

KSIĘŻYC MYŚLIWYCH

*Katarzyna
Krenz*

*Julita
Bielak*

znak

*Pełna szczegółów, niepokojących
drobiazgów, trochę jak szkatulka
z pozytywką, wciąż ją nakręcasz
i z ciekawością powracasz, patrząc,
jakie klejnoty jeszcze w niej możesz
odnaleźć. — Magdalena Parys*

KSIĘŻYC *Katarzyna
Krenz*
*Julita
Bielak*
MYŚLIWYCH

*Wydawnictwo Znak
Kraków 2015*

À l'heure entre chien et loup

„Godzina między psem a wilkiem”

„We śnie wszystko może się zdarzyć, wszystko jest możliwe i prawdopodobne. Czas i przestrzeń nie istnieją. Na niewiele znaczącym tle zdarzeń z prawdziwego życia wyobraźnia przędzie i splata nowe wzory, mieszaninę wspomnień, doświadczeń, czystych wymysłów, niedorzeczności i improwizacji”.

– AUGUST STRINDBERG, wstępne notatki do sztuki *Sen* (1901)
(tłum. Katarzyna Krenz)

Prolog

W piątek 12 października 2012 na blogu Ewy Marii pojawił się wpis zatytułowany *Nowy Świat i okolice*.

„520 lat temu, 12 października 1492 roku, marynarz z załogi Pinty, jednego ze statków Kolumba, Rodrigo de Triana, pierwszy zoczył z bocianiego gniazda brzegi nowego świata. Urodził się w 1469 roku, w Sewilli, w dzielnicy Triana, i pozostał Rodrigiem z Triany dla uproszczenia, gdyż historycy do dziś spierają się o jego tożsamość. (Jak się nazywał? Rodrigo Bermejo czy może Rodrigo Pérez Acevedo?). Miał 23 lata, gdy jako pierwszy Europejczyk od czasów wikingów ujrział Amerykę, a dokładniej: wyspę Guanahani (dziś Wyspa Watlinga). Czy może była to inna wyspa? Zakrzyknął (ponoć) to, co zawsze w takich okolicznościach się woła: *Tierra! Tierra!*

Była druga w nocy. Zawsze mnie zajmowały myśli o tych, którzy zrobili coś pierwsi. Zrobili dla siebie, ale i dla nas. Tak było z lądowaniem na Księżycu 21 lipca 1969 roku. Pamiętacie?

Tym razem była godzina 3:56 w nocy czasu środkowoeuropejskiego. Ale niezależnie od tego, która i gdzie była to godzina, wpatrywaliśmy się w ekrany telewizorów. Wszyscy razem, 600 milionów ludzi. Cały świat. I wszyscy w tym samym momencie usłyszeliśmy słynne zdanie XX wieku: *That's one small step for a man, one giant leap for mankind*. Notabene, cóż to jednak znaczy być pierwszym. Tak naprawdę Neil Armstrong chciał powiedzieć: *That's one small step for a man, one giant step for mankind*, i tak też to zdanie przeszło do Historii, ale ze zdenerwowania przejęzyczył się i zamiast wielkiego kroku ludzkości na Księżycu dokonał się wielki skok.

Chcę wierzyć, że brałam udział w czymś, co symbolicznie zjednoczyło świat w zbiorowym czynie nieegoistycznym, w wielkiej wspólnej obserwacji czegoś, co w historii ludzkości zdarzyło się po raz pierwszy. Taka wspólna obserwacja również zdarzyła się po raz pierwszy. Było nas wtedy »zaledwie« trzy miliardy, w zbiorowym oglądaniu uczestniczyło więc 20 procent ludzkości. A ponieważ telewizorów było o wiele mniej niż teraz, można przypuszczać, że WSZYSTKIE telewizory na świecie nastawiono na to jedno wielkie wydarzenie.

Po raz pierwszy... Magiczne słowa. Studiowałam archeologię, specjalizowałam się w epoce kamienia i w tej niewyobrażalnie długiej epoce fascynowało mnie to, że gdy się zaczynała, powiedzmy, 5 czy 6 milionów lat temu, byliśmy jeszcze małpami i właśnie rozpoczęliśmy naszą drogę ku byciu człowiekiem, a kiedy się kończyła – potrafilismy już tak wiele. Na tej drodze ktoś kiedyś pierwszy wypowiedział słowo, zaśpiewał, zakochał się, odkrył ruchy planet i znaki zodiaku, pomyślał o Bogu, wykonał narzędzie, a potem nauczył syna, jak się nim posługiwać. Upiekł na ogniu mięso. Ogień! Kto, gdzie i kiedy pierwszy, za

pomocą hubki i krzesiwa, rozniecił pierwszą iskrę, tym samym odbierając moc sprawczą piorunom? Ktoś, nie wiadomo kto.

Rodrigo de Triana i Neil Armstrong to ludzie znani z imienia i nazwiska, można im wznieść pomniki i nazwać szkoły czy ulice ich imieniem. Ci moi, mężczyźni i kobiety, którzy wykonywali za nas wielkie skoki ludzkości w prearcheologicznej przeszłości, zniknęli. A jak się pojawią czasem w mowie potocznej, to tylko w charakterze wyzwiska: jaskiniowiec, troglodyta, neandertalczyk. Tymczasem wystarczy przypomnieć, jak fantastycznie malowali na skałach. Picasso mówił o nich: »Moi ojcowie«¹.

*

Była druga w nocy, owa godzina między nadzieją a strachem, gdy psy już dawno umilkły uśpione i tylko wilcze oczy płoną w ciemności. Trudno wtedy odróżnić przyjaciela od wroga, zaciera się granica między tym, co znajome i bezpieczne, a tym, co nieznanne i obce.

To był początek. Zawsze jest jakiś początek.

Rozdział 1: W sieci

Była druga w nocy.

Dyżur zaczął się od ostrego sygnału karetki, która zgarnęła z ulicy rannego. W stanie ciężkim, bez dokumentów, za to z poważnymi obrażeniami wewnętrznymi i niemal bez twarzy. Trzeba było założyć kilkadziesiąt szwów; minie sporo czasu, nim zejdzie opuchlizna, znikną siniaki i wybroczyny i pacjent znów będzie mógł otworzyć oczy. Przeżył tylko dzięki doktorowi Langemu, który uparł się, że nie da za wygraną, a może po prostu, jak sam twierdził, świetnie „reperował” pacjentów i nareszcie mógł się wykazać.

Szkoda chłopaka, taki młody. A sam wypadek zupełnie niepotrzebny. Przypadek, nie wypadek. Zbieg okoliczności. Ziemia jest taka duża, a on znalazł się akurat tam, gdzie prędzej czy później ktoś by i tak w niego wjechał. Furgonetka dostawcza z ładunkiem ostryg z wieczornego odłowu zahamowała gwałtownie, skrzynki z naczepy pospadały i ostrzygi obłożone lodem rozsypały się po jezdni. Kierowca był w szoku, wciąż powtarzał, że to nie jego wina, bo tamten leżał już na jezdni, pijany czy nieprzytomny.

W rzeczywistości nie wiadomo, jak było naprawdę. Co gorsza, z powodu ostryg i topiącego się lodu policja twierdziła, że kierowcy trudno będzie cokolwiek udowodnić. Ani policja nie miała dowodów, że kierowca był winien, ani on, że nie był.

Jeśli wierzyć kierowcy, do zderzenia w ogóle nie doszło, gdyż on nic nie poczuł. Najechał na człowieka, ale go nie drasnął. („Wystarczy spojrzeć na moją maskę. Koła też mam czyste”). Kątem oka zauważył jakiś ciemny kształt, który nagle zniknął mu pod karoserią, no więc ostro zahamował, wyskoczył, rzucił się na kolana, żeby zajrzeć pod wóz, a tam...

Trzeba przyznać, że mimo szoku mężczyzna mówił z sensem: chłopak ocalał, bo znalazł się między kołami. Co więcej, już wstępne oględziny na miejscu wypadku wykazały nie tylko skaleczenia i stłuczenia, ale i inne obrażenia: rany cięte, złamane żebra, jak również czerwoną pręgę na szyi, ewidentny ślad po próbie uduszenia. Całkiem możliwe, że chłopak faktycznie został wcześniej pobity do nieprzytomności, a następnie porzucony. I wcale nie jest pewne, że wszystko odbyło się w tym samym miejscu. Do tego analizy laboratoryjne nie wykazały ani alkoholu, ani narkotyków we krwi.

Kierowca był etatowym pracownikiem w firmie braci Dattnerów w List. Nie pił ani nie zasnął za kierownicą, przeciwnie, był wypoczęty i przyzwyczajony do pracy na nocnych zmianach. Z dostawami świeżych ostryg jeździł po wyspie regularnie co drugą noc, przez cały sezon ostrygowy. Tyle że policja zwykle podchodzi nieufnie do takich zeznań. Bo skoro coś się wydarzyło „nagle”, to czy nie świadczyło o tym, że kierowca się zagapił, stracił kontrolę nad sytuacją, a może

nawet, wbrew temu, co twierdził, jednak zasnął?

Tak czy inaczej, nim rannego można było opatrzyć i przygotować do zabiegu, żeby się pozbyć błota, krwi i zapachu ostryg, pielęgniarki musiały go najpierw wykąpać.

*

Wysoko w górze nad szpitalnym trawnikiem na ciemnym niebie stał nieruchomo srebrny księżyc, zimny i daleki. Gdzieś od strony morza płynął ku niemu czarny kształt. Zmęczona nocnym dyżurem Eva Waltzer w pierwszym odruchu pomyślała, że to czarownica, ale zaraz odrzuciła tę myśl. Tak radziła Sara Sternburger, starsza siostra jej matki. Żeby o czarach i czarownicach nie myśleć nocą, a już na pewno nie wtedy gdy patrzemy na księżyc, bo to niebezpieczne, choć Eva nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego. Sama nie wierzyła w czary, a czarownice знаła jedynie z bajek braci Grimm. Ale z ciotką Sarą nie warto było dyskutować, i tak nie dałaby się przekonać. W ich rodzinie od pokoleń zajmowano się astrologią i czarami, już samo nazwisko na to wskazywało: Sternburger, mieszkawiec Gwiazdnego Grodu. To znak, który zdaniem ciotki zobowiązywał.

Nigdy jednak nie wyjaśniła, do czego miał zobowiązywać.

– Słuchaj i zapamiętaj, co mówię, dziecko, bo moje słowa mają ukryte znaczenia. Uczą, wskazują i ostrzegają – mówiąc to, ciotka groźnie marszczyła czoło. Wyglądała wtedy jak czarownica.

Według niej pewni ludzie, do których i siebie zaliczała, mieli „moc”, a to oznaczało, że wiedzieli i rozumieli więcej niż reszta świata. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby i jej siostrzenica, mimo młodego wieku, nauczyła się mówić do rzeczy. To nic trudnego, wystarczy najpierw pomyśleć z sensem. W przeciwnym razie, po co w ogóle się odzywać?

– Dopóki człowiek nie nauczy się rozumieć mowy gwiazd, dopóty żyje bez przeczuć. To tak, jakby ktoś odebrał mu wiarę i pozbawił nadziei na miłość. Trudno żyć bez przeczuć.

Eva słuchała potulnie, czekając, aż Sara skończy swój wykład i znów na jakiś czas zapomni o jej istnieniu. Ona sama nie pragnęła gwiazd ani przeczuć. Wystarczyło jej to, co się działo tu i teraz w miasteczku List, na fryzyjskiej wyspie Sylt, w najdalej na północ wysuniętej gminie Niemiec, gdzie w białym parterowym domu ciotki od wczesnego dzieciństwa spędzała szkolne ferie i wakacje. Dni upływały leniwie, a noce wypełniała cisza podszyta jedynie gwiazdami i szumem morza. Kilka tygodni późnych pobudek, słodkich bułeczek drożdżowych na śniadanie i jeszcze słodszej samotności na niemal pustej plaży, z książką, zapasem kanapek i wielką torbą owoców prosto z ogrodu, wystarczało, by Eva zapominała o kłótniach wiecznie rozwodzających się rodziców. Do rozwodu jednak nigdy nie doszło, zdaniem rodziców dla dobra jedynej córki, a zdaniem ich córki dla

zaspokojenia wewnętrznej potrzeby samych rodziców, którzy nie potrafili długo wytrwać bez awantury. Do sporu, jak do każdej innej rozmowy, potrzeba partnera, podobnie jak do cichych dni, które nieodmiennie po każdej kłótni następowały. Różne pasje łączą ludzi, pocieszała się Eva, wracając do burzliwego życia rodzinnego, gwaru szkolnych korytarzy i zatłoczonych ulic Hamburga. Może wzajemna konfrontacja to odmiana miłości?

Po latach Eva uświadomiła sobie, że senny dom ciotki Sary to najlepsze, co mogło jej się w życiu przytrafić. Kto wie, może dlatego nie zdecydowała się na studia medyczne, tylko zaraz po maturze zapisała się do szkoły pielęgniarstwa, a po jej ukończeniu znalazła zatrudnienie w Asklepios Nordseeklinik, w największym na wyspie mieście Westerland, i przeniosła się na Sylt na stałe. W tej kwestii mogłaby się pokusić o definicję w stylu ciotki i powiedzieć, że widocznie tak chciały gwiazdy. Ale gdyby mówiąc to, jednocześnie spojrzęła w lustro, wiedziałaby, że to nieprawda. W rzeczywistości Eva bała się ryzyka i nie lubiła zmian. Studia oznaczałyby nowe ścieżki i nowych ludzi, wejście w inne środowisko, a co najgorsze – pożegnanie wyspy na wiele lat, może nawet na zawsze. Za dużo zmian, żeby mogło jej się udać.

Wyspa była jej bezpiecznym portem, dom ciotki – azylem. Wprawdzie Sara głośno wyrzekała, że nie ma z Evy żadnego pożytku, bo nie dość, że nie wierzy w przeczucia ani znaki, a co gorsza, nie zna się na tarocie, to jeszcze wiecznie chodzi z tymi swoimi słuchawkami na uszach. („Muzyka korzeni? Co to takiego, na Boga!”). Ale mimo że za nic nie powiedziałaby tego głośno, Sara była wdzięczna losowi, iż ma Evę za towarzyszkę, a gdy rozpoznano u niej chorobę Parkinsona, także fachową pielęgniarkę.

Eva szybko przyzwyczaiła się do nowego rytmu życia. Wrosła, nareszcie była komuś naprawdę potrzebna – jako opiekunka, a nie argument przetargowy w domowych konfliktach. Wyspa nauczyła ją spokoju. Zaczęła nawet wierzyć, że jeśli gwiazdne nazwisko siostr Sternburger w istocie było śladem tradycji rodzinnej, to i ona otrzymała jej część.

*

Po wielkim cierpieniu nastaje wielka cisza. Gdy pewnego dnia, po pożegnalnym, jak się miało okazać, podwieczorku (filiżanka fryzyjskiej herbaty i jedno kruche ciasteczko z kleksem konfitury, jak zwykle), ciotka Sara nie obudziła się z popołudniowej drzemki, Eva w pierwszym odruchu, zamiast się rozplakać, stanęła cicho przy oknie w saloniku. Był koniec października i noc zapadła niespodziewanie czysta i bezwietrzna. Morze połyskiwało srebrną łuską. Księżyc zarzucił sieć na wszystko dookoła, pomyślała, nie tylko na ludzi.

Poczucie nagłego osierocenia wprawiło ją w popłoch. Jak to zapamiętać? To, co czuję teraz, ale i to, co mówiła Sara. Na przykład te dziwne rzeczy o księżycu:

że nasze pragnienia, plany i marzenia nie istnieją, że to wszystko tylko jego sprawy. Mamidła. I że lepiej uważać, zwłaszcza o tej porze roku, gdy zachodzące słońce na naszych oczach spotyka się z Księżycem Myśliwych, który wzywa człowieka do ostatniego polowania, by mógł uzupełnić zapasy pożywienia przed nadejściem zimy. Jest wtedy chłodny i okrutny, i tak jasny, że na ziemi nic się nie ukryje, ani świeży trop, ani zwierzę.

– Spokojnie, nic mi nie grozi – powiedziała na głos, mimowolnie oglądając się za siebie. Zawsze obawiała się ezoterycznych opowieści ciotki, ogarniał ją wtedy nieokreślony atawistyczny lęk. Sama starała się myśleć rozsądnie, nie magicznie. Twierdziła, że życie przypomina dozowanie kropli aptecznych, należy je odmierzać z umiarem i rozważą. Nieraz się o to spierały i potem Sara nie odzywała się do niej przez trzy, pięć, a czasem nawet siedem dni. Bo liczba dni na milczenie w niezgodzie również musiała być magiczna, nieparzysta, tym bardziej harmonijne następowało po niej pojednanie.

Tamtej nocy w ich domu nad wydmami zapadło dziwnie nieruchome milczenie – milczenie nieobecności. Eva nie spała do świtu. Rano wyszła boso do ogrodu, w pierwszym odruchu chłodna rosa skojarzyła jej się z dotykiem śmierci i księżyca. Zadrżała z zimna, była przerażona. Uspokoiła się dopiero, słysząc swój własny głos, który mówił: To tylko woda, to tylko woda.

Dzień spędziła na wydmach. Gdy wróciła do domu, zatelefonowała do matki. Miała ją zawiadomić o śmierci siostry, a nie wiedziała, od czego zacząć. Pewnie dlatego powiedziała:

– Zostałam sama.

*

Wszystko to wydarzyło się dawno temu, w innej epoce, przed pojawieniem się Thomasa, zanim na świat przyszła Sophie. Eva miała wtedy dwadzieścia dwa lata.

Od owej październikowej pełni, gdy ciotka Sara zasnęła, by więcej się nie obudzić, a Eva stanęła potem przy oknie, z taką uwagą obserwując srebrne kratery, księżyc jeszcze nieraz miał odegrać rolę myśliwego. Czuła, że powinna się jakoś zmierzyć z tą dziwną siłą przyływów i odpływów, że zamiast czekać na znaki i przeczucia, powinna się nauczyć rozpoznawać je zawczasu. Może zdołałaby czemuś zapobiec? Czegoś uniknąć?

Thomas. Miłość jej życia, człowiek z morza. Zawsze tak go widziała: na tle morza. Tak jakby się z niego wyłonił tylko po to, by pewnego dnia wypłynąć i nigdy już nie wrócić.

Kilka dni po pogrzebie ciotki Sary przy furtce stanął bardzo wysoki i bardzo szczupły młody mężczyzna. Nacisnął dzwonek, zapytał o drogę do kapitanatu portu. Twierdził, że zabłądził, ale tacy ludzie nie błądzą, tylko przychodzą.

Pojawiają się znikąd. Czy był to spisek morza z księżycem? Jeśli tak, to ona się tego nie domyśliła. Nie zastanawiała się, jak powinna zareagować: odesłać nieznajomego do sąsiada naprzeciwko, bez słowa zatrzaskać mu drzwi czy może jednak podejść do furtki i pozwolić, by wszystko się zaczęło, zawiązało i potoczyło własnym rytmem?

Eva podeszła i wskazała mu drogę. Sara Sternburger umarła, jej miejsce zajął Thomas Waltzer. Czyż nie tak właśnie dzieje się w życiu, że miejsca, które po sobie pozostawiamy, zajmują inni?

Mieszkanie z ciotką Sarą pod wspólnym dachem mimo woli czegoś Evę nauczyło, nawet jeśli nie było w tym jej wiary, lecz jedynie pamięć zasłyszanych słów. Niech się dzieje. Im mniej moich własnych decyzji, tym mniej rozterek i tym lepiej dla mnie, myślała, czekając z Thomasem w hallu westerlandzkiego ratusza na ich kolej w urzędzie stanu cywilnego.

W ogrodzie pod starym cisem zasadziła kilka krzewinek barwinka.

W dobrych chwilach potrafiła zapanować nad lękiem. Ze spokojem przysłuchiwała się szalonym wykładom Thomasa z oceanografii na temat morskiej głębiny, która, jego zdaniem, była największą spiżarnią świata i wybawieniem ludzkości. Cierpliwie czekała na jego powroty. Lęk dopadał ją nie wtedy, gdy Thomas wypływał w morze i jej obawy byłyby uzasadnione, lecz gdy byli razem, szczęśliwi i bezpieczni, spokojni o siebie nawzajem. W takich chwilach nieraz zdarzało się, że Eva nagle milkła, zamykała się w sobie skupiona na niemym błaganiu losu o łaskawość dla człowieka, który zawładnął nią tak gwałtownie, jak przypływ w porze pełni zagarnia na powrót morskie dno.

Z czasem zapomniała o księżycowych przepowiedniach Sary. Dwa lata później, podczas majowej pełni, urodziła się Sophie, zdrowa i o włosach jasnych jak pszenica. Życie przypominało dobrze nastrojony instrument. Tak, wtedy jeszcze tak myślała: morze, wiatr na wydmach i głosy Thomasa i Sophie w ogrodzie brzmiały jak dobrze nastrojony instrument.

Potem wszystko umilkło. Zastygło w pół słowa, w pół taktu, i tak już zostało.

*

Przed zejściem z dyżuru Eva po raz ostatni zajrzała do pacjenta przywiezionego z wypadku. Nie wybudził się z narkozy, ale spał spokojnie. Jęknął, gdy poprawiała mu kroplówkę; w szpitalnej ciszy jęk zabrzmiał głośno i wyraźnie. Parametry życiowe były wyrównane, jednak był to dopiero początek walki o niego, jeszcze nie pora oznajmiać światu, że niebezpieczeństwo minęło.

Prawdę mówiąc, świat nie okazał zainteresowania jego osobą. Nikt się nie zgłosił, nikt nie czuwał w poczekalni. Może nie był stąd? Trudno powiedzieć. Wyspa była wprawdzie mała i wszyscy uważali, że dobrze się znają, ale turystyka,

bezrobocie i wymiana pokoleń zrobiły swoje. Starzy mieszkańcy powymierali, pojawili się nowi, młodszy i o wiele bogatsi: zmęczeni pracą ponad siły lekarze, bankierzy i prawnicy, maklerzy i korporanci, którzy zarobili dość pieniędzy, by kupić sobie luksusowy letni dom albo w ogóle zrezygnować z kariery, przenieść się tu na stałe i nareszcie zająć grą w golfa i sobą. Z kolei młodzi wyspiarze coraz częściej wyjeżdżali na studia albo uciekali na ląd w poszukiwaniu łatwiejszego życia. Bo życie na wyspie, nie tylko tutaj na Sylcie, nigdy nie jest łatwe. Wiatry i wieczna wilgoć wdzierają się w każdą szczelinę, nie pozwalają pracować, myśleć ani spać spokojnie. Odcięcie od stałego lądu działa jak długa mroczna zima, przynębia.

Pewnie dlatego rannego pacjenta nie rozpoznała ani Eva, ani żadna z pozostałych pielęgniarek mających dyżur tej nocy. Brak dokumentów stanowił dodatkową trudność. Ale nawet gdyby miał przy sobie paszport czy prawo jazdy, identyfikacja na podstawie fotografii i tak nie byłaby możliwa.

Evie zajęło wiele lat, nim się nauczyła, że z chwilą opuszczenia oddziału człowiek musi zapomnieć o życiu innych i wrócić do własnego. Byłoby jej łatwiej, gdyby mogła powiedzieć, że ma jakieś życie, nieważne, dobre czy złe, po prostu jakiegokolwiek. A ona miała niewiele. Codzienne dojazdy autobusem linii numer 1 z List do kliniki w Westerlandzie, nocne dyżury, po których coraz trudniej jej się było zregenerować, a poza tym nieskończenie długie dni i samotne wieczory. I puste noce. Z dala od ludzi, daleko od świata, w odziedziczonym po ciotce Sarze domu na wydmach, z widokiem na morze. I z ogrodem, gdzie pnące róże, dale i wiecznie dzikich ziół o smaku morskiej soli rosły, jak chciały, ponieważ ona nie miała już do nich serca.

I córkę, tak, Eva miała jeszcze córkę. Ale Sophie była daleko stąd, ostatnio nawet dalej niż zwykle, bo mała (już nie taka mała, w maju skończyła dwadzieścia lat) od jakiegoś czasu przestała się odzywać, pisać, dzwonić.

Eva odebrała to jako znak z jej strony, jakby Sophie mówiła: Czas przeciąć pępowinę, mamó. Rozumiała tę potrzebę, nie zamierzała ponaglać ani naciskać, ale musiała przyznać, że było jej z tym ciężko. Z ich wspólnej mapy zniknął nagle ważny trwały ślad. Czekala całe lato, jednak Sophie się nie odezwała. Trudno, taka jest młodość, również młodość własnych dzieci. Mija szybko i bezpowrotnie, ale póki trwa, takie czekanie bywa nieznośnie bolesne. Nie jest łatwo ciągnąć za sobą bagaż dni, które minęły, gdy wciąż kochamy ludzi, których już przy nas nie ma.

Z miłych rzeczy pozostał jej tylko mały rytuał, kiedy po nocnym dyżurze schodziła do portu na śniadanie w barze u niewidomego Johannesesa. Siadała przy oknie z widokiem na nabrzeże i zamawiała zawsze to samo: croissanta z masłem i najlepszą konfiturą morelową na wyspie oraz dwie kawy: na początek cappuccino, a na koniec małe, mocne espresso.

*

Port rybacki odpoczywał już po nocnym połowie, miasto jeszcze się nie obudziło.

Eva lubiła te wczesne zamglone poranki, swoje stałe miejsce przy oknie, smak rogalików francuskich z konfiturą. I zapach kawy, zawsze tak samo intensywny, ponieważ Johannes zamawiał dostawy bezpośrednio z palarni znajomego Włocha w Hamburgu. Eva lubiła też Johanna, pochodzącego z Gotlandii wysokiego Szweda, wikinga o twardych rysach i sercu z wosku, który po latach walki z postępującą retinopatią barwnikową przestał widzieć, za to wszystko wiedział zarówno o swojej chorobie, jak o wydarzeniach na wyspie. I chętnie dzielił się tą wiedzą z każdym, niezależnie od tego, czy był tego ciekaw czy nie.

Dziś było podobnie. Słyszeliście? Dla chorych z retinopatią pojawiło się światelko w tunelu. (Nomen omen! Johannes lubił żartować ze swojej choroby, która zawsze zaczyna się od zawężenia pola do tak zwanego widzenia tunelowego). Genetyka, transplantacja siatkówki, o tym się mówiło od lat, ale teraz pojawiła się nowość: implanty. Bezinwazyjne, bezprzewodowe. Żyjemy naprawdę w niezwykłych czasach, medycyna ma moc sprawczą, jakiej nigdy wcześniej nie posiadała. A ostatniej nocy w końcu umarła pani Schachmann. Długo to trwało, ale odeszła, tak jak chciała, w domu, w otoczeniu dzieci, wnuków, prawnuków i tuzina kotów, z którymi teraz kłopot, bo nie wiadomo, kto się nimi zajmie.

Oprócz kotów była jeszcze jedna sprawa, która martwiła Johanna w związku ze śmiercią pani Schachmann: konfitura morelowa. Nikt na wyspie nie robił lepszej, a teraz pilnie strzeżona receptura poszła z nią do grobu. Wprawdzie zamówiony na zimę zapas Johannes zdążył jeszcze odebrać, ale co potem? A, i jeszcze Rose Lighthouse, ta Angielka, która przyjechała na wakacje i do niedawna pracowała w barze na plaży. Wszyscy wiedzieli, że zakochała się w ratowniku i dlatego postanowiła nie wracać do Newcastle. Lato minęło i okazuje się, że jest w ciąży, ale nie ma za kogo wyjść za mąż, bo jej ratownik zniknął. No, i nie wiadomo...

Eva nie słuchała dalej. Pijąc pierwszą kawę, sennie wpatrywała się w morze za oknem tak długo, aż jej oddech zrównał się z monotonnym ruchem ciężkiego rozkołysu. Zawsze lubiła widok morza, niezależnie od pory roku i pogody, ale od tamtego sztormu przed rokiem wszystko się zmieniło. Przez pierwsze trzy miesiące po wypadku praktycznie nie schodziła z plaży, całymi dniami wędrując w hipnotycznym odrętwieniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię w poszukiwaniu wyrzuconych przez morze szczątków, które dałyby jej jakiś trop czy wskazówkę.

Nie mogła się powstrzymać. Po krótkiej chwili każdy spacer zmieniał się w pełen napięcia bieg wzdłuż brzegu. Nawet na noc zostawała na wydmach owinięta w chustę, skulona na pomoście wśród ostrych traw. Nie chciała spać, nie

chciała wracać do domu, bała się, że prześpi moment, gdy Thomas wyłoni się z mgły albo pojawi na drodze z portu, cały i zdrowy, z workiem żeglarskim przerzuconym przez ramię, i powie jak zawsze, gdy wracał z morza: Jestem. W końcu, żeby nie oszaleć, przestała tam chodzić. Poza tym była Sophie, którą trzeba się było zająć.

Ale jak ktoś mieszka na wyspie, to morze jest wszędzie.

Widok za oknem na chwilę zniknął jej sprzed oczu. Eva odstawiła gwałtownie filiżankę i zacisnęła powieki. Nie rozplacze się, już nigdy więcej nie będzie płakać, to postanowione.

Szyba od porannego chłodu pokryła się parą, Eva odruchowo przetarła ją otwartą dłonią. Zamiast widoku ulicy, ujrzała swoje odbicie. Nie była stara, nie była brzydka, niedawno skończyła czterdzieści dwa lata, choć po nieprzespanej nocy wyglądała na więcej. Prosty nos, proste brwi i proste włosy do ramion, popielate, zdaniem Sary „mysie, ale przynajmniej zdrowe i naturalne”. Szare oczy rzadko kiedy określa się mianem aksamitnych, lecz tak właśnie patrzyła Eva – miękko, bez wścibskiego natężenia. To spojrzenie pozostawiało rozmówcy przestrzeń, prawo do zachowania dystansu, wybór, jakiego nieraz nadmierna ciekawość innych nam nie daje. Jasną cerę rozświetlała koszulowa bluzka z jedwabiu w kolorze przyprószonego różu, który Francuzi nazywają *nacre*, perłowy. Perłowy połysk jedwabiu łagodził poranny światłocień kładący się ostro na twarzy; mały kołnierzyk i wywinięte mankiety kontrastowały z bakłażanowym nasyceniem kaszmirowego cardigana. Reszta, niewidoczna w odbiciu w szybie, była równie stonowana: czarna spódnica do kolan o ołówkowym kroju, dość zachowawcza, i czarne czółenka dopełniały całości.

Nie myślała teraz o kolorach, tylko o tym, że ostatnio coraz częściej czuła się, jakby ją ktoś posypał popiołem. Za dużo smutku, pomyślała, przyglądając się sobie, wciąż siedzi we mnie za dużo smutku, to dlatego. A do tego żadnych wieści od Sophie. Eva rozumiała, że takie jest prawo dzieci – do odejścia, do ustalenia własnych norm w kontaktach z rodzicami. Ale brakowało jej towarzystwa, ciepła i oparcia, a choćby tylko pewności, że w każdej chwili ma do kogo zatelefonować, żeby porozmawiać, usłyszeć znajomy głos.

Bezwiednie poprawiła zawieszkę bransoletki – oszlifowany kawałek czarnej muszli w plecionce ze złotej nitki, jedyna ozdoba, z którą nigdy się nie rozstawała. Thomas sam ją dla niej zrobił. „Pierścionek jest za mały, żeby pokazać, jak bardzo chcę być z tobą”. Mówiąc to, uśmiechnął się, choć z natury rzadko się uśmiechał, a jedynie spoglądał otwarcie, z wyczekiwaniem. Odchyłał przy tym głowę do tyłu, tak jakby następny ruch chciał zacząć od miejsca, w którym panowała cisza. W takich chwilach Eva czuła się jak dziki mustang, oswajany przez zaklinacza koni.

Bransoletka stuknęła o krawędź stołu, wydając cichy dźwięk. Eva odwróciła

wzrok od okna i rozejrzała się po niemal pustej sali. W kącie pod przeciwległym oknem, niezmiennie od lat przy tym samym stoliku, siedział Vincent le Puy. Jak na Francuza, był wyjątkowo skryty i małomówny, dlatego cokolwiek ludzie o nim opowiadali, zaczynało się od przysłówka zrećcznie modulującego rzeczywistość. Podobno. Podobno kiedyś Vincent był matematykiem i wykładał na uniwersytecie w Paryżu. Podobno jego doktorat narobił sporo szumu w kręgach akademickich. Podobno miał piękną żonę, bogatych teściów i dwoje, a może troje dzieci (choć żona była bardziej prawdopodobna niż dzieci, tak przynajmniej twierdził Johannes, bo o żonie słyszał, a o dzieciach – nie). Podobno...

Teraz, mimo wczesnej pory, szybkimi ruchami szkicował w bloku akwarelowym, raz po raz zerkając przez okno – na ulicę czy w kierunku przystani, trudno stwierdzić. Na parapecie okna rozłożył warsztat malarski: zeszyty różnych formatów, szkicowniki w charakterystycznej czarnej oprawie, poplamione pudełka farb i równie ubrudzone szmatki, a także słoik po piklach z czystą jeszcze, niezabarwioną pigmentami wodą. Aparat fotograficzny leżał obok kubka z pędzlami, bo Vincent miał tu swój prywatny kubek z zabawnym napisem *Pas ris! Paris!*, którego nikomu nie wolno było ruszać, jak również swoją *bol à café au lait*, do porannej kawy z mlekiem. Tylko espresso pijał w tych samych filiżankach, w jakich serwowano je wszystkim klientom.

Przy środkowym stoliku nieznamy starszy mężczyzna w okularach pił herbatę; w szklanym dzbanku odbijały się zakrzywione linie okna, a może wieszaka przy drzwiach. Teczkę odstawił na sąsiednie krzesło, małą walizkę podróżną wsunął pod stół. Gdyby nie pewna nerwowość, a do tego plik papierów rozłożonych na stole, można by go wziąć za turystę albo kuracjusza z sanatorium. Rozmawiał przez telefon; oschłe pytania i zwięzłe odpowiedzi udzielane autorytatywnym tonem wskazywały, że nie była to towarzyska wymiana zdań.

Eva zerknęła przez okno: na parkingu nie było żadnego samochodu, co mogło oznaczać, że nieznamy czekał na autobus do List – ten sam, którym Eva zwykle wracała do domu – by stamtąd złapać poranny prom do Havneby na duńskiej wyspie Rømø, skąd groblą można dojechać do Jutlandii. To w przypadku gdyby chciał dotrzeć do Skandynawii. Jeśli natomiast zamierzał udać się na ląd gdzieś w Niemczech, do wyboru miał samolot, prom albo pociąg – Deutsche Bahn Auto-Zug Sylt Shuttle, który groblą poprowadzoną przez Waddensee przewoził pasażerów, auta, a nawet autokary, do Klanxbüll, Niebüll, i dalej do Flensburga czy Hamburga.

Czasem Eva myślała, że dobrze by było znaleźć się daleko stąd.

Mężczyzna spojrział na zegarek. Jeszcze dziesięć minut i muszę się zbierać, pomyślała Eva na widok tego gestu. W przeciwnym razie nie zdążę na autobus.

Leżący w progu wilczur (prawie wilczur) otworzył jedno oko. Nachyliła się w stronę psa.

– Agat, powiedz panu, że zaraz przyjdę po kawę – powiedziała głośno.

U Johannesesa klienci obsługiwali się sami.

Prawie wilczur przeciągnął się i lekkim ruchem ogona potwierdził, że usłyszał polecenie Ewy, po czym z głośnym ziewnięciem wrócił do przerwanej drzemki. Pójdzie, wykona, przekaże. Kiedyś, może nawet zaraz. Ludzie wiedzieli, że Agata łączyła z Johannesem tajemna nić porozumienia, był strażnikiem sytuacji, których jego pan nie mógł widzieć. Ewę Agat znał, nie musiał jej pilnować. Ale gdy przychodziło do płacenia rachunku przez kogoś obcego, natychmiast zjawiał się przy kasie. Siadał i przechylając łeb, przyglądał się jego ruchom. Tylko nie oszukuj, wiesz, że cię dopadnę – zdawał się ostrzegać. Klient informował barmana, jaki banknot podaje, ten zaś wydawał resztę z oznaczonych przegródek. Nowi bywalcy, którzy chcieli zostać stałymi bywalcami, szybko przejmowali miejscowy obyczaj, by mieć w kieszeni tyle drobnych monet, żeby rozliczenia nie sprawiały kłopotu.

Eva podniosła się od stolika. Gdy szła, stopy w czółenkach niemal nie dotykały podłogi, jedynie się od niej odbijały; tak chodzą zawodowe tancerki albo modelki w butach na bardzo wysokich obcasach. Z całej postaci bił niezaprzeczalny wdzięk, dziwnie łączący energię z naturalną nieśmiałością. Szczupła, wyprostowana, zgrabna, miała w sobie to „coś”, czym skupiała na sobie uwagę na równi mężczyzn i kobiet. (Vincent: „Chodzisz zupełnie nie po niemiecku, Evo. Kiedyś namaluję cię w ruchu”).

Johannes wciągnął w nozdrza zapach szpitalnych środków dezynfekcyjnych.

– Pora na drugą – rzekł. Rzadko pytał, po prostu wiedział, znał zwyczaje.

– Tak, pora na drugą, bo czas na mnie – odpowiedziała. Eva szczerze lubiła Johannesesa, ten bar był dla niej jak dom. Z tą różnicą, że tu, w przeciwieństwie do jej prawdziwego domu, zawsze coś się działo.

Usiadła na wysokim stołku i podparłszy brodę na splecionych dłoniach, czekała, aż Johannes wykona kolejne rytualne czynności, całe to stukanie, napełnianie, wyrównywanie i dokręcanie kolby z porcją świeżo zmielonej kawy, a następnie właściwe ustawianie filiżanki na dziurkowanej metalowej tacce, zawsze trzy otworki od lewej, które wyczuwał opuszkami palców, zupełnie, jakby grał na flecie. Tak, taka filiżanka porannej kawy to coś więcej niż napój, to rytuał, pomyślała. Rytuały trwają dłużej niż ludzie. Nie znikają nagle i bez zapowiedzi, to my je tworzymy, a potem porzucamy, a nie one nas.

Ekspres wypuścił kłąb pary, z charakterystycznym sykiem uwalniając mocny aromat, jaki wydaje tylko świeżo zmielona kawa, i za moment do filiżanki o grubych ściankach spłynął ciemny płyn z warstwą kremowej pianki na wierzchu.

Johannes przygotowywał kawę sprawnie jak automat. Śmierć pani Schachmann wprowadziła go w refleksyjny nastrój.

– Twoja ciotka Sara we wszystkim widziała znaki. I wciąż wpatrywała się

w księżyc, twierdziła, że jest jak księga, przepowiada przyszłość. Kto wie, może, gdyby wtedy żyła, w porę odczytałaby... – urwał zaniepokojony, czy nie uraził Evy.

Mimowolnie wyprostowała się, ale nie odpowiedziała. Nie była przygotowana na rozważanie wariantów, co by było, gdyby. Ani tym bardziej na taką myśl, że wszystko wydarzyło się z powodu księżyca. Że gdyby nie on, tamtej październikowej nocy nie byłoby sztormu i dziś Thomas wyszedłby po nią na przystanek autobusowy, jak zawsze, gdy był w domu, a ona wracała z nocnego dyżuru. Nigdy nie wiemy na pewno, czy dobrze robimy, wyjeżdżając, czy może lepiej by było, gdybyśmy jednak zostali. Gdyby Thomas został. Z tą niepewnością będzie żyła już do końca.

Johannes ustawił filiżankę na spodeczku i przysunął cukierniczkę.

Podał Evie łyżeczkę.

– Jedna płaska. Dobrze zamieszać. – Zabrzmiało to jak rozkaz.

Roześmiała się lekko, rozbrojona.

Z filiżanką w jednej ręce, drugą przytrzymując łyżeczkę, Eva przystanęła na moment koło Vincenta. Gdyby sama była malarką, chętnie namalowałaby jego portret. Był interesujący. Lekko przygarbiony, o oszczędnej gestykulacji, szczupły z natury, a może dlatego, że, jak to samotnik, rzadko jadał, skórę miał jasną, o barwie kości słoniowej, z przebijającym rysunkiem żyłek, włosy proste, z pierwszymi siwymi nitkami na skroniach. Dłonie, tak ważne u mężczyzny, wąskie, szlachetne, o smukłych, zawsze poplamionych farbami palcach, zdradzały neurasteniczną wrażliwość. Z mocno zarysowaną męską szczęką i lekko skrzywionym (kiedyś złamanym?) nosem przypominał Evie bohatera filmów z lat pięćdziesiątych, charyzmatycznego, z tajemnicą. A choć tego nieświadomy, ubierał się z niedbałą nonszalancją, która miała w sobie coś z dawnego francuskiego *charme*'u i wiele mówiła o jego charakterze. Wolny ptak, a może ptak zniewolony, który wprawdzie wyrwał się z klatki, ale nie radzi sobie z wolnością. Milkliwy, nigdy nikogo o nic nie pytał, czuło się jednak, że jest dobrym obserwatorem, może z powodu wnikliwego spojrzenia, a może przez to nieustanne szkicowanie. Zazwyczaj nie zaczynał rozmowy pierwszy, ale umiał słuchać, i słuchał uważnie, a jeszcze uważniej przyglądał się ludziom, co nieraz wprawiało ich w zakłopotanie. Dlatego mimo ciepła i widocznej łagodności w zachowaniu sprawiał wrażenie człowieka ironicznego, ze skłonnością do sarkazmu, szybko wychwytyjącego słabości czy brak logiki u rozmówcy.

Odkąd zjawił się na tej fryzyjskiej wyspie, nie rozstawał się ze szkicownikiem, blokiem papieru akwarelowego i podręcznym zestawem farb. Nikt nie wiedział, gdzie Vincent mieszka, bo całe dnie włóczył się po mieście albo przesiadywał w barze Johanna przy „swoim” stoliku, z widokiem nie na port rybacki, który widać było z okna Evy, tylko na przystań, dokąd zawijały promy

z ładu. Szkicował – zawsze piórkiem albo ołówkiem – wszystko i wszystkich, w różnych codziennych sytuacjach, traktując rysunek jak formę notatki, a szkicownik jak dziennik. Za to gdy sięgał po farby, malował zawsze to samo: morze.

– Piękne – powiedziała. Zawsze tak mówiła. Przystawała koło niego i mówiła: Piękne te twoje morza, Vincent.

Vincent spojrział na nią uważnie.

– Są do niczego – odpowiadał zwykle.

Tym razem dodatkowo machnął lekceważąco ręką.

– Są do niczego – powtórzył, a jego ton, podobnie jak ten gest, wyrażały lekceważenie, niemal wzgardę.

– Nie powinieneś ich tak traktować – zaproponowała nieśmiało. – To dobre obrazy, naprawdę.

– Dobre? Gdyby były dobre, to by się sprawdziły.

Eva nie zrozumiała.

– Sprawdziły? W jaki sposób?

Ale Vincent nie odpowiedział. Sięgnął po pędzel i zaczął go płukać w słoiku po piklach tak energicznie, że krople wody rozprysnęły się po stole, tworząc abstrakcyjny wzór zabarwiony kolorowymi pigmentami.

LIST Z PRZYPADKU

Droga J.

A zatem zaczęło się. Kiedy? Jak? Jak zawsze, niepostrzeżenie, a może przez zwykłą nieostrożność. Z powodu pewnego tekstu na pewnym blogu, przy okazji kolejnej podróży służbowej.

Przypadkowość początku nie jest wadą, przeciwnie, zapowiada dalszy ciąg tym ciekawiej, że nie potrafimy z góry założyć, dokąd nas zawiedzie. Trochę tak jak z życiem: staramy się ze wszystkich sił je „zauważyć”, a ono po prostu mija. Ale tak często bywa, że nie dostrzegamy tego, co ważne, a martwimy się, czy pranie rozwieszane w ogrodzie zdąży wyschnąć przed deszczem. Zresztą na takiej północnej wyspie to częsta przypadłość: jeśli nie przyłożyć się solidnie do prognozy pogody (chmury, kierunki wiatrów, opady), to pranie może tygodniami schnąć i moknąć na przemian.

Fakty są jeszcze niepowiązane, pozornie bez wyraźnych przyczyn, ale za to – przynajmniej niektóre z nich – już z groźnymi lub niepokojącymi skutkami. Kilka postaci w ekspozycji rysuje się całkiem wyraźnie, jak choćby Eva Waltzer, która wcześniej (tragicznie) straciła męża, a chociaż brzmienie słowa „wdowa” przyprawia ją o depresję, postanowiła, że nigdy więcej się nie zakocha ani powtórnie nie wyjdzie za mąż. W opisie Ewy warto podkreślić jej wdzięk. Wszyscy znamy takie osoby: z pozoru niepozorne, w kontakcie bezpośrednim, gdy zaczynają mówić, zyskują, przykuwają naszą uwagę. Eva zdecydowanie do nich

należy.

Vincent le Puy, dawny wykładowca i matematyk, obecnie niedzielny malarz, żyje z tego, co sprzedaje turystom, a przynajmniej tak wszyscy myślą. Niezależnie od barwnej przeszłości, o jaką na razie go tylko podejrzewamy, Vincent może się okazać przydatny, ponieważ: a) ma pamięć typową dla matematyka, zapamiętuje numery telefonów i tablic rejestracyjnych, wymyślił nawet swój własny topologiczny system kodowania cyfr i znaków (jaki?); b) jako rysownik, ma wyćwiczone oko skrzyżnego obserwatora. Z nawyku, odruchowo i jakby przy okazji szybkimi pociągnięciami ołówka stale coś szkicuje: zarys sytuacji, scenerię, „portrety pamięciowe”. Jednocześnie na marginesie notuje paletę barw, fragmenty rozmów, znaki szczególne postaci.

Dla Vincenta życie to gra intelektualna, w której wygrywa ten, kto pierwszy przestanie być podłożem dla myśli, a stanie się jej ogrodnikiem. Czy grę uprawia się dla wygranej, czy po to, by zagłuszyć egzystencjalne lęki i wątpliwości? By zyskać czy tylko trwać w grze – z niepokoju, z obawy przed porażką, ale i sukcesem?

Jedno jest pewne: przystąpienie do każdej gry oznacza, że zgadzamy się na niepewność. Taka jest natura gry, jeśli wynik byłby przewidywalny, to rozrywka nie miałaby sensu. Podobnie dzieje się na naszej wyspie: mamy zawiązanie pierwszej tajemnicy, a przynajmniej zagadki kryminalnej z poszlakami. W sumie sporo pytań i jak na razie żadnej odpowiedzi. Przy okazji spotykamy całą plejadę postaci pobocznych, bez których świat byłby jednowymiarowy niczym teatralny monodram. Nie muszą mieć rozbudowanych życiorysów, gdyż tylko przewijają się przez scenę. Mają twarze, rangi, stanowiska. Mówią, komentują. Działają. Wkraczają, aresztują *etc.* Jest młoda Angielka w ciąży. Za chwilę pojawi się miejscowa plotkarka, *Frau* Bellitz, która nie tylko wszystko wie lepiej od innych, nawet od Johannesesa, ale jest też kopalnią porad i przepisów kulinarnych. Ona akurat nie musi mieć imienia, wszyscy zwracają się do niej właśnie tak: *Frau* Bellitz. Kto jeszcze? Partnerzy głównych bohaterów. Doktor w klinice. Stary (schorowany?) sąsiad Evy. I policjant i/lub detektyw, choć to akurat nie nastąpi szybko, bo podobnie jak Ty mało wiem o policjantach, a jeszcze mniej o tajnych agentach i *private eyes*, temat do nadrobienia zatem.

Czy bohaterowie pozwolą na wyjawienie swoich tajemnic – tych z ostatniej nocy i z przeszłości? Pytanie dotyczy na równi „swoich”, jak i „obcych”, którzy na tak małej wyspie, zwłaszcza po sezonie, szczególnie zwracają uwagę. Po co tu przyjechali, czego szukają? Kim jest, na przykład, nieznajomy starszy mężczyzna w okularach, który u Johannesesa rozmawiał właśnie przez telefon? A może nie jest to istotne? My także nie wiemy przecież, kim są ludzie, których spotykamy przypadkiem w pociągu czy mijamy na ulicy.

Johannes i jego bar w porcie to współczesna agora, miejsce spotkań

umówionych i całkiem przypadkowych. Punkt zbiegu wszystkich ścieżek, gdzie przesiadują stali bywalcy i dokąd ściągają wszelkiej maści lunatyczni nomadzi (nomadyczni lunatycy) oraz *accidental tourists*. Johannes w roli komentatora jest wszytkowiedzący (lub prawie wszystko, bo jednak często przegrywa w starciu z *Frau Bellitz*). Nie wścibski, raczej dobrze poinformowany. Życzliwy, w razie potrzeby dyskretny. Rozmowa z nim bywa nie tylko ciekawa, ale i pouczająca.

Choroba nie wybiera – doświadcza, to zasadnicza różnica. Retinopatia barwnikowa nie jest „winą” Johannesesa, który coś zaniedbał, tylko schorzeniem, które nie pyta i nie czeka, nie reaguje również, niestety, na żadne leczenie. Możemy się domyślać, że Johannes mocno przeżył stopniowe zanurzanie się w ciemność. Nadal jednak prowadzi bar, tak jak prowadził, bo, jak sam twierdzi, to jedyna rzecz, jaką umie robić „na pamięć”, a dzięki temu, że z pomocą Vincenta wypracował łatwy i skuteczny system, zawsze wie, co gdzie stoi i jak odróżnić sok jabłkowy od pomidorowego, a biały cukier od brązowego z trzciny cukrowej. Stali bywalcy sami rozliczają swoje rachunki, przygotowują napoje, a nawet obsługują obcych klientów. Wszystko to tworzy familijną atmosferę.

A, jest i pies. Agat, owczarek niemiecki, po przodkach rasowy, ale ze skundlonego związku. Ma problem z łapą oraz rozliczne rany „bojowe”, odnoszone podczas samotnych wypraw. Opatrunki, w wyniku niepisanej umowy z Johannesem, zakłada mu Eva, gdyż w tej kwestii nikogo poza nią Agat nie toleruje. Raz na jakiś czas pozwala *Frau Bellitz* poczęstować się kawałkiem pieczeni wołowej. W portowym barze, gdzie głównie serwuje się ryby, Agat na co dzień akceptuje typowo kocie menu, ale pieczeni *Frau Bellitz* nikt nie potrafi się oprzeć, ani Johannes, ani jego pies. Nie wiadomo, skąd Agat wie, kiedy należy do niej pójść na zwiady...

Doświadczony utratą wzroku Johannes, który, jak już wiemy, jest Szwedem z Gotlandii, mrocznie pokierował moje myśli ku *Scenariuszom* Bergmana. Książka otworzyła się sama na znanym Ci fragmencie z *Tam, gdzie rosną poziomki*:

„IZAAK: Stara poziomkowa polana...

[...] Chyba wtedy [...] usłyszałem dźwięk fortepianu. Zdziwiony odwróciłem głowę i spojrzałem na stojący na wzgórzu dom. Uległ on osobliwej przemianie. Fasada, przed chwilą martwa i ślepa, ożyła nagle, a słońce odbijało się w otwartych oknach. Białe firanki powiewały na ciepłym letnim wietrze. Barwne zasłony zwisały do połowy. Z komina wydobywał się dym. Stary letniskowy dom wrzał życiem. Wyraźnie słyszałem dźwięk fortepianu (było to chyba coś z Waldteufela, ale nie mogę przysiąc), przez okna natomiast dochodziły ludzkie głosy, śmiech, odgłos kroków, krzyki dzieci, skrzypienie pompy. Gdzieś na piętrze próbował ktoś śpiewać. Głos miał silny, w typie włoskiego tenora. Nikogo jednak nie było widać. Ta rzeczywista scena trwała jakiś czas – jak zjawy, która lada chwila może się rozwiać i przepaść w ciszy.

I wtedy ją ujrzałem. Kiedy odwróciłem głowę, by wzrokiem objąć cały ten osobliwie odmieniony dom, zobaczyłem ją, jak klęczy w jasnożółtej sukience i zrywa poziomki...”².

W każdej grupie ludzi prędzej czy później pojawia się myśl o miłości. Czasem tylko myśl, a czasem tylko miłość, bez namysłu. Przywykliśmy do kochania, nie, nie do życia w związkach, nie do obiektu miłości, ale właśnie – do kochania. Ludzi, życia. Mamy w sobie taki mechanizm, ukryty potencjał. Nasze serca i dusze dążą do podobnej homeostazy jak nasze ciała, wystarczy im niewielki impuls.

Wniosek? Na wyspie brakuje Dziewczyny.

Do usłyszenia,

B.

LIST Z NADANIA

J.

Egipcjanie utożsamiali imię z duszą. Znając prawdziwe imię, można było ugodzić człowieka celniej niż strzałą, zniszczyć coś więcej niż tylko jego ciało. Bogowie byli zazdrośni, dlatego Grecy pod imieniem ukrywali tych, których kochali. Nadawali jedno imię, głośno i wyraźnie, a potem wołali zupełnie inaczej. To nie Klejstenes, to Efiates. Chłopiec? Nie widzicie, że to dziewczynka? Lidia zaraz tu przyjdzie, poda dzban retsiny.

Imię było formą oswojenia. Ludy uralo-ałtajskie niedźwiedzia nazywały Staruszkim, Wujaszkiem albo Mądrałą. W krajach nadbałtyckich był Kudłaczem, Dziadkiem albo po prostu Miodową Łapą; jeszcze u Reja był „miedźwiedź”, miodojad, ten, co jada miód. W chrześcijaństwie święci patroni mieli ręce pełne roboty, kto żyw, oddawał im się w opiekę. Wierzono, że święte imię jest tarczą, za którą można się schronić, glejtem bezpieczeństwa, przepustką do szczęśliwego, a przynajmniej bezpiecznego życia.

Imiona, twarze, maski. Nosimy je, a czasem nonszalancko obnosimy, to znów wdziewamy z rozmysłem. Dla bezpieczeństwa, z potrzeby pochwały, zadziwienia, zaskoczenia sobą. Dla poczucia wyjątkowości, chęci ukrycia się. Przez pomyłkę. Z bezsilności, bo zmęczyło nas ciągłe prowadzenie działań pozornych. Albo z woli walki – by jednak coś zmienić.

W tej grze aktorzy – bo każdy z nas jest aktorem – są jak cienie, przemykają w mroku niedopowiedziani do końca. Nie znamy ich motywów, nie wiemy, jaki krok będzie następny ani kto kogo gra i jaką maskę przybrał. „Światu przedstawiam się celowo wyłącznie jako dyletant i dandys – nie jest mądrą rzeczą odsłaniać serce przed światem – a jak powaga jest maską błazna, tak błazeństwo z jego wyborną banalnością, obojętnością i lekkomyślnością jest szatą mędrca. [...] Wszystkim nam potrzebne są maski”³.

Tyle Oskar Wilde. My tymczasem przekonamy się, kto z mieszkańców

wyspy podjął naszą grę. I w jakiej roli.

Kończę, muszę pędzić. Pisz!

B.

LIST Z INICJAŁÓW

Droga J.

Dzień upłynął mi na rozmyślaniach filmowych. Wszystko z powodu imion. Zastanawiające, jakimi ścieżkami wędrują nasze myśli. Północne wyspy. Twarze i maski, imiona. I – znowu Bergman?

Kadr z filmu *Fanny i Aleksander*, gdy Aleksander zagląda do wnętrza teatrzyku kukielkowego: twarz Janusa i moc wszechobecnej boskiej (ludzkiej!) maszyny w zderzeniu z niewinnością dziecięcej ciekawości. Symboliczne posunięcie na szachownicy charakterów. Poruszamy zza sceny kukielkami, które obdarzamy życiem. Którym nadajemy imiona. Okazuje się jednak, że to nie wystarczy. Ci, co nadają innym imiona, sami również powinni być znani z imienia, w przeciwnym razie Los nie będzie wiedział, kogo dotknąć lub doświadczyć, i wszystko zmieni się w Chaos i Przypadek.

A my? Kim my jesteśmy? Ukryte za inicjałami, swobodnie przekraczamy granice światów rzeczywistego i fikcyjnego. Mogłybyśmy pójść o krok dalej i na chwilę nadać sobie inne imiona, przymierzyć jak kostium teatralny. Nie muszę zgadywać, Ty najchętniej poszłabyś tropem bergmanowskim. A zatem zgoda, wybieraj, czy chciałabyś się nazywać Karen Lobelius (z filmu *Kobiety czekają*)? Chyba że wolałabyś Desirée Armfeldt z *Uśmiechu nocy*? Ładnie by się komponowało z suknią w kwiaty i jedwabnym szalem. A może spodobałaby Ci się Agda z *Wieczoru kuglarzy*?

Agda, notabene, jest też w *Poziomkach*.

Jednak w naszym przypadku nie wystarczyłoby zdecydować się na imię jedno z wielu, trzeba by jeszcze sprawdzić, z jakim imieniem dla Ciebie (może jednak Karen?) moje szłoby w parze. Takie są wymogi literatury, imiona muszą nie tylko coś znaczyć, ale również dobrze brzmieć. Karen i – Mia z *Siódmej pieczęci*? Delikatne brzmienie i łagodne konotacje, chętnie bym sprawdziła, jak bym się poczuła jako Mia B. Ale i Ingrid to dobre imię. Dobre, bo mocne, mocno zaprawione chłodnym powiewem północnych wysp, z Fryzją, a może Skandynawią w tle. Wypowiedziałam je na głos i poczułam się, co rzadkie u mnie, dziwnie pewna siebie, niemal beczelna. Blisko mi również do Harriet. I do Bibi.

„O, niełatwo jest żyć z tyloma twarzami w sobie, nie wiedząc o nich nic”, pisze Myśliwski⁴. To prawda, niełatwo. Dlatego przeglądamy się w lustrach innych ludzi, mamy nadzieję odnaleźć w nich swoją tożsamość. Jak w *Personie*, gdzie symetryczne usytuowanie obu kobiet naprzeciwko siebie pozwala na potraktowanie ich tożsamości jako sobowtórów czy bliźniaczych kopii. Z ekranu wyłania się kobieca twarz złożona w połowie z twarzy Liv Ullmann, a w połowie z twarzy Bibi

Andersson. To nie tylko buduje więź między bohaterkami, lecz staje się swego rodzaju metajęzykiem dla rzeczywistego życia: jedna postać uzupełnia drugą, jedna bez drugiej nie mówi wszystkiego. Gdy głębiej wniknąć w psychikę każdej z nich, zobaczymy, że jedna jest stłumioną wersją tej drugiej, a jest możliwe, że w tym złożeniu obie szukają jeszcze jakiejś innej trzeciej osoby. Podobnie tytułowy dobry chłopiec Aleksander z *Fanny i Aleksandra* ma swoje uzupełnienie w postaci Ismaela, człowieka tajemniczego i charyzmatycznego, o zdolnościach parapsychicznych, ze skłonnością do przemocy. To on pomaga Aleksandrowi spełnić jego skryte, straszne pragnienie, staje się wykonawcą czynu, na który sam chłopiec nie znajduje siły.

Dla wielu ludzi ich własna tożsamość bywa niespójna wewnątrz. Niespójna, rozpadająca się na kilka odrębnych bytów. Nie wiemy, kim jesteśmy naprawdę. Jest to do pewnego stopnia zrozumiałe, uzasadnione narzuconymi nam rolami, jakie w życiu gramy. Utrwalenie takiego rozpadu może prowadzić do zagubienia, a nawet do zaburzeń i choroby – śmierci wewnętrznego „ja”.

Tak, niełatwo żyć z tyłoma twarzami w sobie. Jeszcze trudniej bez imienia. Ale, pomyśl, jaka wolność.

B.

PS Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, jak wiele współczesna księga imion zawdzięcza kinu? Weźmy, na przykład, takiego *paparazzo*, jeśli pamiętasz *Dolce vita* Felliniego. Jedną z postaci jest tam natarczywy fotograf o imieniu Paparazzo (w tej roli całkiem już dziś zapomniany Walter Santesso).

PS 2 Jeszcze jedno: charakterystyka postaci. Vincentowi, jako intelektualistcie, który przekroczył pięćdziesiątkę, nie przystoi czupryna, gęste włosy też nie bardzo pasują. Wyobrażam sobie raczej ascetyczną, szczupłą sylwetkę i przerzedzone zakola na czole. Jedyne gest, jakim zaczesuje włosy do tyłu, może świadczyć o tym, że kiedyś było inaczej.

LIST Z GROBLI

Droga J.

Utknęłam w satelicie. Wraz z chmurą mew, unoszę się nad Syltem.

German Hamptons, jak Niemcy nazywają wyspę, to wyobrażenie idealnej scenerii dla letniej kanikuly, romantyczna wizja północnej Europy, niczym na obrazach Friedricha czy Zorna. Senny „ogród morza”. Podłużny kształt przypomina rozłożony parasol (czy może raczej damską parasolkę), z rączką skierowaną ku lądowi. Ta „rączka” została przed wiekami przerwana przez potężne siły przyrody, a następnie, dzięki myśli inżynierskiej, ponownie połączona. To ciekawe, jak opowiadając podobne historie, skracamy czas trwania jednych rzeczy, a wydłużamy czas wyczekiwania na inne. Tak buduje się fabułę filmową, czas „pomiędzy” znika, a my oglądamy jedynie spektakularne klęski żywiołowe, jak niszczycielski sztorm w listopadzie 1436 roku, który zmiotł z powierzchni wyspy

osadę Eidum (ci, którzy przeżyli, założyli miasto Westerland), i równie spektakularne zmagania człowieka z przyrodą czy wizje jej ujarznienia – jak poprowadzenie grobli Hindenburgdamm przez Waddenzee. Pamiętny sztorm trwał nie dłużej niż kilka dni, zbudowanie zaś, pięć stuleci później, grobli długości 11,3 kilometra zajęło kilka lat i wymagało ciężkiej pracy tysiąca pięciuset robotników, trzech milionów metrów sześciennych piasku i gliny i 120 tysięcy ton kamieni. Zanim pociąg Marschbahn mógł, 1 lipca 1927 roku, wyruszyć w pierwszą podróż przez morze, marzyciele i praktycy musieli przeżyć niejedną zawód i rozgoryczenie, najpierw gdy wojna odsunęła projekt budowy na daleki plan, i potem, gdy żywioł przyrody zniweczył to, co zostało już zrobione, i trzeba było wszystko zacząć od początku.

Między tymi wydarzeniami były długie dni i noce, gdy morze nic nie niszczyło ani nic nie budowało, po prostu falowało uwięzione we władzy księżycy. Dziś nowoczesne poldery od strony lądu odebrały morzu trzy kilometry grobli, pociąg, tak zwany Sylt Shuttle, pokonuje ten odcinek sto razy dziennie, a zajmuje mu to zaledwie dziesięć minut, cała podróż zaś ze stolicy wyspy Westerland do Klanxbüll, już na lądzie, trwa dwadzieścia minut. Opływana ciepłym Prądem Zatokowym wyspa wabi turystów łagodnym klimatem oraz białymi nocami letniego przesilenia.

Przypadek sprawił, że to właśnie Westerland, w ciągu zaledwie jednego stulecia (1850–1950), stało się najpiękniejszym morskim kurortem na północy Niemiec i z tej racji również stolicą Syltu, tym samym detronizując biedne Keitum, które wcześniej wiodło prym i nawet mogło się poszczycić jedyną na wyspie apteką. W Westerlandzie mamy obecnie do wyboru kilka aptek, jest posterunek policji i poczta, zegarmistrz, szpital i kościół, są sklepy, hotele, pensjonaty, restauracje. Tam również, na nabrzeżu w pobliżu stacji promowej, znajdziemy bar Johannesasa. Notabene, w zdetronizowanym Keitum warto się zatrzymać. To jedno z piękniejszych miejsc na wyspie, dawna osada wielorybników, która – podobnie jak Morsum, Munkmarsch czy Tinnum – powstała na długo przedtem, zanim Sylt stał się modnym kurortem. Mieszkańcy wciąż mówią tam lokalnym północnofryzyjskim dialektem söl'ring, a sama osada dosłownie tonie w zieleni. O jej wielorybniczej przeszłości przypominają prowadzące do najstarszych, często jeszcze XVII-wiecznych, domów charakterystyczne łukowate furtki, składające się z dwóch skrzyżowanych wielorybich żeber. Najokazalsze należały kiedyś do dawnych fryzyjskich kapitanów.

Poza tym jest na Sylcie niewiele miejscowości i są od siebie znacznie oddalone. Nas najbardziej interesuje położone na północnym cyplu uzdrowisko List, gdzie mieszka Eva Waltzer i skąd kursuje prom do duńskiego Rømø. Dobra nazwa: List. Pobudza wyobraźnię. Jest w niej gładki podmuch szkwału i daleki, otwarty widok przy dobrej pogodzie.

Ja tu niemal od tygodnia codziennie patrzę na morze, wdycham jod, maszeruję plażą z jednego krańca w drugi. Próbuję dopasować moje wędrówki do tego wszystkiego, co o morzach północnej Europy piszą oceanografowie. Na przykład taka kwestia jak barwa. Okazuje się, że morze jest niebieskie albo zielone nie tylko z powodu refrakcji światła i głębokości, równie wiele zależy od stopnia zasolenia, prądów, temperatury, rodzaju osadów, gęstości zarybienia, migracji ławic, gatunków podwodnej flory i fauny. Widoczne jaśniejsze pasma czy stalowoniebieskie plamy raz będą oznaczały mieliznę, innym razem ławicę ryb albo plankton. Swoją drogą, ciekawe, co na temat palety morza miałyby do powiedzenia Alexander von Humboldt, który w podróż do Ameryki Południowej zabrał przyrząd do pomiarów błękitu nieba.

Przyznaję, że hasło „morze” bardziej teraz księguję i bilansuję, niż poetycko przeżywam. Interesują mnie raczej podwodne skały i kratery, warstwy mułu i piasku, muszle i kamienie niż literackie wizje. Nurtuje mnie pytanie: czy stojąc nad morzem, przyglądając się falom, brodząc, pływając, pozwalając, by woda omywała nam stopy – czy w takich chwilach rzeczywiście myślimy o morzu? O tym, jakie jest? Czy próbujemy je nazwać, znaleźć odpowiednie słowa?

Szkolne lektury wyrobiły we mnie nawyk omijania opisów obowiązkowego „piękna przyrody”. Ryk fal, jęki, poszumy, krwawe zachody słońca i pełnie księżycy, ołowiane strugi wody i wycie wichru uderzają we mnie, odbijają się bez echa i zawracają niczym wielka fala przyboju. W głowie kołują jedynie powracającym refrenem dżabbersmoki Lewisa Carrolla:

*Było smaszno, a jaszmije smukwijnie
Świdrokrętnie na zegwniku wężały,
Peliczaple stały smutcholijne
I zbląkinie rykoświstąkały⁵.*

Na dziś tyle, wracam do studiowania *Życia morza* profesora Demela⁶, tymczasem więc.

B.

Wieczorem

A jednak morze nie daje się łatwo zdefiniować, tak jak niełatwo byłoby je powstrzymać. Przy dobrej pogodzie jest w nim stalowy spokój i logika. Ale bywa, że nagle znika ukryte za mgłą, pozornie zbyt słabe, żeby wyrzucić muszlę czy meduzę na brzeg. Wydaje się wówczas niedookreślone, szare niczym lniany obrus niedbale położony na stole. Fale na chwilę zaznaczają swoje terytorium na piasku, lecz zaraz cicho zawracają, niby leniwie bezwolne, w rzeczywistości bezwzględne, a w naszym rozumieniu wręcz bezlitosne, ponieważ wiemy, że znów powrócą, my zaś nie mamy na to żadnego wpływu.

„Chowa sekrety, jakby chciało być wieczną szaradą” – mruczy Vincent, spoglądając przez okno.

Pada, lubię deszcz.
B.

Rozdział 2: Pokój na poddaszu

Zapadał już zmrok, gdy w końcu Jasmine Roegge stanęła przed pomalowaną na gołębią szarość furtką, na której pod owalną emaliowaną tabliczką z numerem 17 wciąż wisiał, przyczepiony pinezką i napęczniały od wilgoci, kartonik z napisem: „*Zimmer frei*”.

Hafenstrasse nie była już miejską ulicą, raczej szosą biegnącą wzdłuż wydm, ale dom Hansa Meyera oficjalnie znajdował się jeszcze w obrębie miasta List. Usytuowany w naturalnym zagłębieniu, osłonięty wałem porośniętym nadmorskimi trawami, dzięki czemu nie docierał tu ani zbyt silny wiatr, ani zbyt głośny szum morza, mimo wczesnego wieczoru sprawiał wrażenie uspionego. Minęły już trzy dni od jej przyjazdu, a ona wciąż odnosiła wrażenie, jakby gospodarz nie w pełni zdawał sobie sprawę z jej obecności i dopiero jej widok przypominał mu, że ktoś ostatnio znów wynajął pokój na poddaszu.

Dziś było dokładnie tak samo jak wczoraj, a wczoraj dokładnie tak samo jak pierwszego dnia, gdy Jasmine dobry kwadrans dzwoniła do furtki, zaglądała przez kamienne ogrodzenie do ogrodu, wołała: „Halo, halo”, lecz nikt nie otwierał. Wyjęła nawet komórkę i sprawdziła namiary, które przysłał jej Cyryl na wszelki wypadek, żeby się upewnić, że nic nie pomyliła: „Herr Meyer, Hafenstrasse 17. Po drodze miniesz jakiś bank (przy Listlandstrasse?), Pension Jensen i Voigts Sylt Alte Backstube. Rząd hoteli w polu widzenia. Plaża, wydmy, morze. Malowniczo. Daj się namówić, potrzebuję Cię. Spotkamy się na dworcu w Keitum”.

Jasmine odpisała, że przyjedzie. Ale nie od razu. Bo chociaż Cyryl wzywał ją na Sylt i wydawało się to pilne, jednak nie odwołał tego, co napisał wcześniej. A to wciąż bolało.

Ten wyjazd mógł coś między nimi zmienić. Nie musiał, ale mógł.

Instrukcja wysłana „na wszelki wypadek” okazała się potrzebna. Cyryl na dworcu się nie pojawił i Jasmine dotarła do List sama, ostatnim wieczornym autobusem. Z początku błądziła, krążąc po nieznanym uliczkach, wśród niskich budynków, aż w końcu popytała ludzi i ktoś wskazał jej drogę. Wszystko się zgadzało, były wydmy, plaża i morze, tyle tylko że dom – kryty strzechą, tak jak wiele domów na wyspie, ale nieoświetlony i dziwnie wypłowiały, jakby przyprószony cukrem pudrem – wyglądał na opuszczony. Wymarły.

W końcu, gdy już zamierzała zrezygnować, bojąc się, że ktoś mógłby nabrać podejrzeń, na ganku zapaliło się światło i w drzwiach ukazała się ciemna postać drobnego mężczyzny.

Pan Meyer był stary jak jego dom i pod pewnymi względami do niego podobny. Niskie wnętrza z belkowaną powałą, zastawione meblami, rzeźbami i bibelotami, sprawiały wrażenie, jakby od lat nikt tam nie sprzątał, ale czy dlatego, że nie było komu tego robić, czy pan Meyer na to nie pozwalał z obawy o swoje

cenne kolekcje, trudno było powiedzieć. Raczej to drugie.

– Proszę łaskawie niczego nie ruszać, nie dotykać, nie przestawiać – przestrzegł na powitanie, prowadząc Jasmine wąskim korytarzem, wyłożonym wzorzystymi chodnikami, między szeregiem kufrów podróżnych z jednej strony a wieszakiem na palta, lustrem z półką na kapelusze, kościelnym pulpitem i stojakiem na laski i parasole z drugiej.

Najpierw jednak wyraził zadowolenie, że Jasmine „zechciała łaskawie wybrać jego skromne progi”. Tylko na kilka dni? Nie szkodzi, może być dłużej.

– Bo miał tu zamieszkać pewien młody człowiek. Kulturalny, tak, ale z przykrością muszę stwierdzić, niesłowny. Bardzo nalegał, pokojem był zachwycony, że cisza, że widok na morze i okolica piękna, ale zdążył się tylko rozgościć, zostawił bagaże i więcej się nie pojawił. Sądzę więc, że skoro zniknął bez pożegnania i bez zapłaty, tym samym wygasło również moje zobowiązanie – ciągnął swój monolog pan Meyer, z pedantyczną dokładnością opisując wszystko do ostatniego szczegółu. – Rzeczy młodego człowieka pozwolę sobie przenieść do sąsiadującej z pokojem komórki. Ale to jutro, bo dziś już późno. – Mówiąc, jednocześnie zręcznie prowadził Jasmine mrocznym labiryntem do sieni na tyłach domu, gdzie znajdowały się schody na piętro oraz zejście do piwnicy.

Nagle zatrzymał się w pół słowa, w pół kroku. Zrobił to tak gwałtownie, że Jasmine omal się nie przewróciła.

– Może herbaty? – I nie czekając na odpowiedź, sam podjął decyzję. – Tak, najpierw herbata. Zatem tędy, proszę, do kuchni.

Jasmine postawiła torbę i plecak na schodach i zawróciła za gospodarzem. Zdezorientowana, przystanęła niepewnie na progu salonu. Między nią a jasno oświetlonym prostokątem drzwi do kuchni, gdzie czekał na nią gospodarz („Proszę, to tutaj!”), stał, tarasując przejście, fortepian, czarny, lśniący i jakby większy niż w rzeczywistości, bo zwielokrotniony odbiciami w oknie i kryształowym lustrze. Na pulpicie zauważyła rozłożone nuty, zerknęła ciekawie: Schubert, *Moments musicaux*. To dlatego pan Meyer nie usłyszał dzwonka – grał.

By dostać się do kuchni, Jasmine musiała obejść nie tylko fortepian. Po drodze była jeszcze kanapa, dwa fotele, serwantka i rokokowy szeslong oraz kilka stolików różnej wielkości, na których stały białe figurki z kości słoniowej i porcelany, szkatułki, bibeloty i naczynia pełne muszli i kamieni. Mimo panującego półmroku jej uwagę zwróciły obrazy, które wisiały ciasno jeden obok drugiego, zapelniając całe pozostawione przez meble wolne miejsce na ścianach. Przechodząc, za uchylonymi drzwiami do sąsiedniego pokoju, dostrzegła masywne biurko i szafy biblioteczne z wysokimi oszklonymi drzwiami, w których odbijały się błyski światła padające z okna od ulicy.

Kuchnia była niewielka i cała w błękitach. („Bo wie pani, insekty nie lubią tego koloru, a ja nie lubię insektów”). Pod ścianą z szerokim oknem stały

pomalowany na niebiesko drewniany stół i dwa krzesła, wzdłuż pozostałych trzech ścian biegł fryz z kafelków, wzorowanych na klasycznej porcelanie Blau Dresmer Wallendorf, jak wyjaśnił gospodarz. Lubił też zioła; wyliczył wszystkie gatunki rosnące w glinianych doniczkach i porcelanowych miskach na parapecie, na blacie między piecem a zlewem, a także na podłodze, przy wyjściu do ogrodu.

Nie przerywając monologu, pan Meyer zajął się herbatą. Nalał wody do czajnika i zapalił gaz. Sięgnął po tacę, na której ustawił filiżanki, cukiernicę i czajniczek do herbaty, a następnie z tacą w rękach, spróbował odsunąć przedramieniem plik leżących na stole gazet. Zrobił to tak niezręcznie, że przy okazji potrącił miedzianą konewkę o długim wygiętym lejku. Konewka spadła z głośnym brzękiem i woda rozlała się po podłodze. Pan Meyer w zaaferowaniu gwałtownie odstawił tacę, filiżanki zadrżały, łyżeczki zadzwoniły. Rozejrzał się bezradnie, chwycił ścierkę kuchenną i rzucił ją na podłogę. Schylił się z wyraźnym wysiłkiem. Wycierając, jednocześnie dziękował za pomoc w usuwaniu szkód, przepraszał Jasmine za swoją niezdarność, prosił o wybaczenie.

– Widzi pani, co starość wyprawia z człowiekiem.

Gdy woda się zagotowała, wyplukał czajniczek, nasypał trzy czubate łyżeczki herbaty, nalał niewielką ilość wrzątku, odczekał trzy minuty, następnie dolał więcej wody, po czym zamknął czajniczek i przykrył go złożoną serwetką. Widać było, że do każdej czynności przywiązuje wagę, nie tylko z powodu ceremonii.

– Wyborna herbata to kwestia taktyki, nic więcej. Ale też nic mniej. Dla nas, Fryzyczyków, najważniejszy jest prawidłowo przeprowadzony proces wędnięcia, skręcania, fermentacji i suszenia listków i pąków, a także region, a ściślej mówiąc, plantacja, z jakiej... – opowiadał z zapałem i gestykulacją urodzonego gawędziarza, gdy w końcu uporali się ze wszystkim i przeszli do salonu, gdzie Jasmine została posadzona na kanapie; pan Meyer wolał swój ulubiony fotel, pod stojącą lampą na rzeźbionym postumencie, z dużym abażurem.

Dopiero gdy ponownie wstał z fotela, żeby dolać jej herbaty, a przy okazji rozlał trochę na spodek, Jasmine zauważyła, że mimo rozsadzającej go energii drżą mu ręce. W bonzurce w szkocką kratę, z wydatnym brzuszkiem, astmatyczną zadyszka i aureolą siwych włosów wokół błyszczącej łysiny wydał jej się kruchy, jak porcelanowa figurka starego mędrca. Albo Buddy.

Nie dosłyszał; gdy mówiła, nachylał głowę w jej kierunku.

– Pokój jest do pani dyspozycji, podobnie jak kuchnia – pan Meyer zrobił zapraszający gest. – Poradzi sobie pani z poranną kawą, prawda? Klucze dostarczę jutro wieczorem. Niespodziewana niedogodność, wiem, ale młody człowiek zatrzymał zapasowy komplet. Kto by pomyślał? Zostawił swój plecak i nawet rozpoczął lekturę jakiejś książki, a zniknął z moimi kluczami. Tak więc klucze jutro, bo ślusarz musi je dorobić.

*

Pan Meyer był stary i niemodny jak jego dom na wydmach, ale pokój na poddaszu okazał się czysty i przytulny. Łóżko i prysznic, tyle jej było trzeba. I tyle, obok nocnej szafki z małą lampką, komody i wiklinowego fotela Jasmine tu znalazła. Rzuciła torbę, kurtkę i kapelusz na łóżko, swój plecak postawiła koło plecaka Cyryla. Przez moment zawahała się, wyciągnęła rękę. Zaraz jednak ją cofnęła. Cyryl był jej chłopakiem, ale to nie oznaczało, że ma prawo grzebać w jego rzeczach.

Otworzyła okno, powiew wieczornej bryzy poruszył firanką. Oparła łokcie na parapecie i wychyliła się na zewnątrz. Okno znajdowało się w szczytowej ścianie domu, dzięki temu z jednej strony miała widok na ogród otoczony żywopłotem, za którym zaczynały się wydmy, z drugiej – na kilka domów, rzadko rozstawionych wzdłuż Hafenstrasse, od której odchodziły ścieżki prowadzące do kolejnych posesji. Poniżej, na trawniku, w smudze światła stała pochyła śliwa, na gałęziach wisiały jeszcze ostatnie pomarszczone owoce. Nikt ich nie zebrał również z trawnika, leżały pod oświetlonymi oknami i wokół wielkich donic z przerośniętymi trawą pelargoniami o przywiedłych kwiatach.

Zrobiło się późno. Gdzieś w mroku, za żywopłotem od strony morza, poruszył się jakiś cień. Pies albo człowiek, a może tylko wysokie trawy na wydmach zakolysały się od nagłego podmuchu wiatru.

Jasmine wzdrygnęła się. Wprawdzie, jak przeczytała w Internecie, ciepły Prąd Zatokowy łagodzi morski klimat Archipelagu Fryzyjskiego, dzięki czemu nawet zimą temperatury nie schodzą tu poniżej zera, a ukształtowanie linii brzegowej wyspy nie dopuszcza do gromadzenia się chmur, ale i tak jesienne powietrze wydało jej się bardziej przenikliwe niż w Lubece, pewnie z powodu wszechobecnej wilgoci.

Pomyślała o Cyrylu. Znowu przeszedł ją zimny dreszcz, tym razem jednak nie z powodu chłodnego wieczoru.

Cofnęła się gwałtownie. Zamknęła okno, zamek zaskoczył z głośnym kliknięciem. Teraz marzyła tylko o jednym: zasnąć, nareszcie przestać myśleć. Jednak mimo zmęczenia nie mogła spać. Wciąż powracała do wydarzeń ostatnich tygodni. Zbyt dużo się wydarzyło, a teraz jeszcze doszedł dręczący niepokój o Cyryla.

*

Od początku cała ta historia z wyjazdem na Sylt była dla niej niezrozumiała. Zaczęło się kilka dni temu. Nic jej nie mówiąc, Cyryl po prostu wyjechał. Gdy rano do niego zadzwoniła, żeby opowiedzieć o nocnej wizycie Sophie, okazało się, że nie mogą się natychmiast spotkać, bo Cyryl jest w pociągu. Jak to, w pociągu?

Usiłował coś tłumaczyć, jednak powody, jakie jej podał, nie były do końca jasne. Sophie potrzebowała pomocy, o tym wiedzieli oboje. Ale buty i kurtka na zimę, których zapomniała w domu? Mogła to załatwić inaczej, a nie wysyłać Cyryla. Musiało być coś jeszcze, o czym jej nie powiedział. Nie mógł powiedzieć czy nie chciał?

„Nadal nie rozumiem, dlaczego pojechałeś beze mnie, bez uprzedzenia”, napisała mu jeszcze, gdy się rozłączyli. Zranił ją, zaskoczył tym wyjazdem, takim niespodziewanym i bez jej wiedzy, zupełnie jakby chciał ją z czegoś wykluczyć. A co już zupełnie niezrozumiałe, dosłownie tego samego dnia wieczorem nagle zmienił zdanie i poprosił, żeby do niego przyjechała. „Im prędzej, tym lepiej, sprawa jest poważna”. W pierwszym odruchu pomyślała, że chodziło mu o nią, o ich związek. Teraz nie była już tego taka pewna.

Był poniedziałek (nie, jednak wtorek). Jasmine należała do osób, które w kryzysowej sytuacji nie potrafią usiedzieć na miejscu, muszą coś zrobić, cokolwiek, byle tylko nie czekać bezczynnie nie wiadomo na co. Odpisała: „Jutro mam kolokwium. Zaliczę, przyjadę. Daj mi dwa dni”.

W czwartek, po porannych zajęciach, wróciła do domu i spakowała plecak. Pojechała na dworzec. Kupiła bilet do Keitum, za który zapłaciła 59 euro, i w ostatniej chwili zdążyła na pociąg o 12:08. Przed sobą miała 4 godziny i 24 minuty drogi (z jedną przesiadką). Wysłała SMS: „Jadę, czekaj na dworcu”.

Ale Cyryl nie odpowiedział, a w Keitum na dworcu go nie było. Nie zadzwonił, nie uprzedził, po prostu się nie zjawił. Zaniepokojona, czekała godzinę na peronie, kolejne pół godziny przesiedziała w poczekalni. Potem poszła w stronę miasta i przez następne godziny wędrowała po sennych uliczkach. Co jakiś czas dzwoniła do Cyryla i zostawiała kolejną wiadomość. Nie odpowiadał.

Krążąc po miasteczku, Jasmine raz po raz wracała na dworzec w nadziei, że Cyryl będzie tam na nią czekał i zaraz wszystko się wyjaśni. Ale nie czekał i nic się nie wyjaśniło.

U pana Meyera również go nie było.

*

Nie mogła zasnąć.

Zapaliła lampę i sięgnęła po książkę, którą „młody człowiek zostawił, może po to, by mieć do czego wracać”, jak się wyraził pan Meyer. Ze słuchawkami na uszach, oparła się wygodnie o poduszkę i spojrzała na okładkę: *Genetics of the Sea*. Praca zbiorowa. Harvard University Press. Otworzyła na przypadkowej stronie: *Sea Urchins' Genetics Reveal Medical Mysteries. Researchers are using the sea urchins to study and understand diseases like cancer, Alzheimer's disease, Parkinson's disease and muscular...*⁷.

Temat niewiele Jasmine mówił, ona studiowała historię filmu, specjalizacja:

Ingmar Bergman i kinematografia skandynawska. Ale po co Cyrylowi, studentowi prawa, taka książka? Postanowił zmienić kierunek studiów? Nic o tym nie wspominał. Zniecierpliwiona, wróciła do strony ze spisem treści. Odruchowo zaczęła czytać nazwiska autorów, gdy nagle jej wzrok przykuło jedno z nich: Thomas Waltzer, Ph.D., *Zielona kropla morza*.

Jasmine usiadła gwałtownie i oparła się o ścianę. Thomas Waltzer, ojciec Sophie? Skąd ta książka...

Dopiero teraz zwróciła uwagę na notatkę, zapisaną ołówkiem, w wyraźnym pośpiechu, nad słowem „Content”: Klanxbüll, pizzeria Olafino naprzeciwko dworca, godz. 12:30. I data.

Jutro?

Z boku, wzdłuż marginesu, był jeszcze jakiś numer telefonu. I nazwisko: E. Gren.

*

Morze widoczne po obu stronach grobli, po której biegną tory kolejowe, czyni podróż niezwykłą. Przypomina żywą istotę. Wokół archipelagu Wysp Fryzyjskich wody są płytkie, zwłaszcza tu, między wyspami a stałym lądem, gdzie znaczną część stanowią szerokie równiny osuchów, podczas odpływów całkowicie odsłonięte. Przyływy podnoszą poziom morza dwa razy na dobę, zalewając płycizny kilkucentymetrową warstwą wody. Prawdziwe królestwo ryb i skorupiaków, rajska spiżarnia dla ptaków, zwłaszcza tych przemierzających tysiące kilometrów między Syberią a Afryką. Z okien pociągu można było zobaczyć całe stada cierpliwie czekające na odpływ.

Jasmine otworzyła torbę. Było tam wszystko: plastikowa butelka wody, kurtka przeciwdeszczowa, iPod ze słuchawkami i netbook w pokrowcu w czarno-fioletowe prążki, który uszył dla niej Cyryl w prezencie urodzinowym. *Four Screenplays of Ingmar Bergman* w miękkiej oprawie, egzemplarz używany, kupiła na Amazonie za cztery i pół euro. Był tam jeszcze zeszyt w kratkę i ołówek do robienia notatek, szkolny nawyk. I książka Cyryla. Jasmine dotknęła jej, ale zaraz odruchowo cofnęła rękę, jakby się sparzyła. Znowu niepokój. Nie lubiła zagadek, wołała jasne sytuacje. A tu najpierw ta historia z Sophie, potem niespodziewana wyprawa na Sylt, a teraz jeszcze zagadkowe zniknięcie Cyryla. Dość, by zacząć się naprawdę bać.

Wyciągnęła netbook i *Scenariusze* Bergmana.

Westchnęła zniechęcona. Sophie zawsze twierdziła, że w podróży świetnie się pisze. Ale to chyba nie o taką podróż chodziło. Bo Jasmine oprócz tego wszystkiego, co w ostatnim czasie się działo, miała na głowie niedokończony esej o *Ofiarowaniu* Tarkowskiego i Gotlandii Bergmana. Nie zdążyła w sesji letniej, termin jesienny zbliżał się niebezpiecznie szybko, a ona wciąż nie miała pomysłu

na całość. Brakowało konstrukcji, kłamry. Nie tyle chodziło o temat, który widziała jasno, ile o jej własny tekst, formę literacką, jaką chciała mu nadać. Zamierzała napisać o wizji domu, nie o domu, tylko właśnie – o jego wizji, w relacji do domu samego Bergmana, na wyspie Fårö. Niewiele osób go tam odwiedzało, Bergman nie wpuszczał obcych za próg prywatności. Ale przekaz jest czytelny. Bergmanowski dom przypomina księgę, w której wszystko zostało zapisane: przemijanie, cierpienie i samotność, spotkania i pożegnania, nieudane próby porozumienia i dialogu, i odwieczne ludzkie zmagania w poszukiwaniu sensu życia, zawsze skazane na klęskę, boleśnie przegrane.

Jak dotąd Jasmine była pewna jedynie postaci narratorki, kobiety poszukującej prawdy. Prawda u obu reżyserów – podobnie jak Śmierć – nie jest abstraktem, lecz „bytem”, Bergman idzie nawet o krok dalej, nadaje jej określoną postać. Tak łatwiej ją pojąć, ujarzmić. Prawda jako Kobieta: współczesna i ściszone, szczupła, w czarnych spodniach i gładkim czarnym golfie. (*If you think all black is boring, think again*). Żadnych znaków szczególnych, żadnego makijażu, poza jasną szminką do ust, ale nie różową, tylko lekko czerwoną, jako kontrast dla czerni ubioru. Jedynie spokój w ruchach i uważne spojrzenie wyróżniają ją z tłumu, każą nam się za nią obejrzeć. Zapamiętać.

Jak na razie niewiele. Jasmine poruszyła się niecierpliwie. Powinna uzupełnić tekst, zamknąć całość, na ile to możliwe, jak najszybciej wysłać do profesor Orth mailem, zaliczyć. I mieć z głowy.

Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek w ten sposób potraktuje ulubiony przedmiot. Czegoś się jednak nauczyła, i od profesor Orth, i od wielkiego Szweda. Najważniejsza jest logistyka, organizacja, plan działania. O Bergmanie wiadomo było, że swoje filmy kręcił zawsze latem, a na plan wkraczał z dopracowanym na wiele miesięcy przed pierwszym kłapsem, precyzyjnym scenariuszem. Słowa były „pre-tekstem” dla obrazów, w dosłownym znaczeniu, wystarczyło opisy przełożyć na kadry w żywej przestrzeni.

Logistyka. Ostatniej nocy, nim zasnęła, Jasmine ułożyła szczegółowy plan. Przede wszystkim musiała odnaleźć Cyryla. Kilka pytań wymagało błyskawicznej odpowiedzi: 1) Dlaczego w ostatnim SMS-ie napisał, że „sprawa jest poważna”? 2) Co się stało, że nie pojawił się w Keitum ani nie czekał na nią u pana Meyera? Zmienił zdanie? Miał wypadek? A może groziło mu jakieś niebezpieczeństwo? 3) Dlaczego zostawił książkę na widoku? Bez powodu, przypadkiem czy jako ślad i wskazówkę?

Jasmine zdawała sobie sprawę, że książka jest śladem enigmatycznym i całkiem możliwe, że fałszywym, a wskazówka (kim jest E. Gren?) również bez związku. Ale intuicyjnie czuła, że musi się sama o tym przekonać. A to oznaczało, że: 4) Powinna pojechać do Klanxbüll, żeby zobaczyć, kto się umówił z Cyrylem w pizzerii Olafino. I w ja-kim celu?

Dlatego wstała wcześniej, zrobiła sobie kawę, której nie zdążyła wypić, a i tak omal nie spóźniła się na autobus odchodzący z List o dziewiątej, ponieważ nie przewidziała, że w biegu znów pokreśli nieznane ulice. Mimo to na dworzec kolejowy w Westerlandzie dotarła przed dziesiątą, dużo za wcześnie, ale wolała to, niż się spóźnić. Uspokojona, kupiła bilet, a potem w barze zamówiła podwójną kawę z mlekiem i po krótkim wahaniu na widok tylu świeżych bułek i rogalików wystawionych w witrynie wybrała bagietkę z serem, sałatą i plasterkami jajka na twardo i ogórka konserwowego. Do tego dwa precle z solą.

Kawa, jak chyba wszystkie kawy na wszystkich dworcach świata, okazała się za słaba i nie dość gorąca, a kanapka zimna, z lodówki, czego Jasmine nie znosiła, w dodatku ser i jajko miały posmak octu z ogórka. Za to precle były pyszne, z chrupiącymi kryształkami soli.

Potem usiadła na ławce w poczekalni z mocnym postanowieniem, że czas, jaki jej pozostał do odjazdu pociągu i potem krótką podróż, wykorzysta na dokończenie eseju. Tak, ta podróż będzie tylko jej, z fryzyjskim krajobrazem za oknem i Gotlandią w domyśle. Z polaną pełną poziomek, starym domem i ironicznym profesorem Izaakiem Borgiem.

*

W pociągu było sporo ludzi. Jasmine odwróciła wzrok od okna i dyskretnie przyjrzała się pozostałym pasażerom. Starsi państwo, rumiani, pogodni emeryci. Obok kobieta, piękna blondynka o orzechowych oczach, ale bardzo schorowana, dłonie zniekształcone artretyzmem oparła na lasce. Mężczyzna, siedzący naprzeciwko, modnie ostrzyżony, w skórzanej kurtce i traperach, które musiały sporo kosztować. Przyglądał jej się otwarcie, jakby szukał kontaktu, gotów do rozmowy.

Nie była w nastroju ani do przygodnych rozmów, ani do nowych znajomości, zwłaszcza z facetami po trzydziestce.

Pochyliła się nad książką.

„[...] Chyba wtedy usłyszałem dźwięk fortepianu. Zdziwiony odwróciłem głowę i spojrzałem na stojący na wzgórzu dom. Uległ on osobliwej przemianie. Fasada, przed chwilą martwa i ślepa, ożyła nagle, a słońce odbijało się w otwartych oknach. Firanki powiewały na ciepłym letnim wietrze. Barwne zasłony zwisały do połowy. Z komina wydobywał się dym. Stary letniskowy dom wrzał życiem...”⁸.

Nie mogła się skupić, nawet muzyka w słuchawkach nie pomagała. Dwadzieścia cztery godziny temu była w Lubece, szykowała się do wyjazdu. Tydzień temu jeszcze niczego się nie bała.

Kilka tygodni temu...

Jasmine właściwie nic nie zauważyła. Mimo że studiowała na różnych kierunkach – Jasmine historię filmu na wydziale kulturoznawstwa, Sophie

medycynę – większość czasu spędzały razem. Razem się uczyły, chodziły do biblioteki, kawiarni, na pizzę i do klubu. Można powiedzieć, że nawet miały... tego samego chłopaka. Bo Cyryl i Jasmine byli parą od szkoły średniej, ale odkąd Sophie zamieszkała z nią razem na stacji, Cyryl stracił głowę. Dużo o tym rozmawiali. Chcesz być ze mną? Chcę. W takim razie dlaczego chodzisz z nią do kina, skoro to ja studiuję filmoznawstwo, a ona medycynę, mógłbyś mi to wytłumaczyć? Nie potrafię. I oczu nie możesz od niej oderwać, i pomagasz jej suszyć włosy suszarką, i wozisz na zajęcia, a potem godzinami czekasz pod prosektorium, aż ona pokroi te swoje żaby. Nieprawda, pomagam, ale nie zawsze, tylko gdy jest spóźniona. A w samochodzie nie czekam, uczę się. Ale latasz do apteki po aspirynę i podpaski, a na Facebooku bez przerwy podsyłasz jej jakieś słodkie muzyczki albo sentymentalne złote myśli, temu chyba nie zaprzeczysz? Nie zaprzeczę, ale wcale nie bez przerwy, tylko czasami, jak widzę, że jej smutno. Jesteś zazdrosna, to bez sensu...

Tamtego dnia, pamięta, był piątek, początek września, rano zjadły śniadanie, Jasmine swoje w biegu, jednocześnie pijąc kawę, ubierając się i pakując torbę, bo jak zwykle zasnęła, a nie chciała się spóźnić na wykład profesor Orth o syndromie samotności u egzystencjalistów. Za to Sophie była jeszcze w piżamie; zajęcia w prosektorium zaczynała dopiero o dziesiątej, Cyryl obiecał, że ją podrzuci autem. Umówiły się, że wieczorem wybiorą się razem do klubu.

Ale nie wybrały się, ponieważ Sophie nie wróciła do domu. W pokoju wszystko było jak zawsze, w miarę bałagan, w miarę porządek. W kuchni na stole Jasmine znalazła kartkę, wyrwaną z notatnika: „Wrócę za kilka dni. Jakby mama dzwoniła, powiedz, że mam wolontariat w szpitalu albo staż, cokolwiek. Nie martw się, dam znać. S.”

Nic ze sobą nie zabrała, jej plecak stał w kącie za szafą.

Nie martw się, dam znać. Jasmine nie wiedziała, jak długo takie słowa są ważne. Czy słowa w ogóle mają jakiś „termin przydatności do użycia”? Gdy Eva Waltzer dzwoniła, zaniepokojona milczeniem córki, Jasmine opowiadała o stażu na internie, który Sophie chciała zaliczyć przed grudniem, żeby na święta mieć wolną głowę. Wspólnym znajomym mówiła, że Sophie musiała pojechać do domu. Sama tymczasem kręciła się po korytarzach wydziału medycyny z nadzieją, że czegoś się dowie. Cyryl z początku trochę się dziwił i niepokoił, że Sophie wybrała taki moment na wyjazd, ale i on miał zaliczenia i kolokwia, których nie chciał zawalić. Matka mu nie pomagała – ojciec odszedł od nich, gdy Cyryl miał dwanaście lat. Nie mógł sobie pozwolić na studiowanie bez końca jak jego koledzy z prawniczych klanów. W jego przypadku była to konieczność, dlatego całymi dniami siedział w bibliotece, a noce zarywał, dorabiając kelnerowaniem.

Po tygodniu Jasmine wpadła w panikę. Postanowiła, że dłużej nie czeka, dzwoni do pani Waltzer, a ona niech sama zadecyduje, czy zawiadomić policję.

Wtedy przyszedł SMS: „U mnie ok! Ale potrzebuję czasu. Muszę wszystko przemyśleć. Pożycz mi trochę pieniędzy, oddam po powrocie”.

Czy słowa zawsze znaczą to, co mówią? Jasmine chciała wierzyć, że „ok” z wykrzyknikiem faktycznie oznacza to, co napisała Sophie: że wszystko jest w porządku. Ale podświadomie czuła, że za tymi słowami kryje się jakaś inna, niepokojąca prawda.

Odtąd żyła w nieustannym napięciu. Źle spała. Czekwała. Wiadomości od Sophie zaczęły się pojawiać regularnie raz na tydzień, zawsze w niedzielę. „U mnie ok. Przelej mi na konto, ile możesz. Przepraszam. Już niedługo”, zawsze w tej samej konfiguracji. Ok. Pieniądze. Niedługo. Prawdę mówiąc, nie były to wiadomości, raczej sygnały. Na ich podstawie trudno było cokolwiek ustalić poza faktem, że Sophie żyje, skoro się odzywa i prosi o zasilenie konta, bo jej jest puste, a z jakiegoś powodu nie chce kontaktować się z mamą. Ale im dłużej to trwało, tym częściej Jasmine myślała, że nawet z tymi pieniędzmi, które sumiennie wysyłała, choć sama nie miała za wiele, to nie do końca była pewna sprawa. Istniała przecież możliwość, że ktoś zmusił Sophie, żeby dała mu dostęp do konta, i teraz Jasmine swoimi przelewami zasilala zupełnie obcą osobę.

Gdy tydzień temu czekała do późna na kolejny sygnał, a Sophie się nie odezwała, Jasmine z nerwów dostała gorączki. Do tej pory, mimo niepokoju o przyjaciółkę, lojalnie dotrzymywała słowa, nikomu nic nie mówiła. Tłumaczyła sobie, że może rzeczywiście nic się nie dzieje, tylko Sophie po śmierci ojca przechodzi trudny okres. Ale dłużej nie miała siły jej kryć, bała się.

O północy skontaktowała się z Cyrylem. Zdenerwował się, zaczął ją wypytywać. Ucięła jednak krótko: Daj spokój, mam gorączkę. Poza tym to nie jest rozmowa na telefon. Tak, wezmę paracetamol. Przyjdiesz? Dobrze, do jutra.

Dwie godziny później zjawiła się Sophie. Była głodna i blada ze zmęczenia, a Jasmine odniosła wrażenie, że również wystraszona. Nie chciała rozmawiać. Teraz muszę się wykąpać i wyspać. Jak dobrze być znowu w domu. Pogadamy rano.

Ale rano już jej nie było. Tym razem zabrała trochę ubrań i książek, pierścionki z miseczki pod lustrem i wspólne pieniądze na czynsz, które zawsze trzymały w starej kopercie w szufladzie kuchennego stołu. I paszport. Po co komu paszport w Europie?

Jasmine natychmiast zadzwoniła do Cyryla. Pamiętała, że obiecał do niej wpaść, ale dopiero po południu. Ale to nie mogło czekać.

Odebrał telefon po pierwszym sygnale. Był w pociągu, w drodze na Sylt.

*

– Persona. Milczenie. Wszystko czarno-białe, w doskonałej proporcji dla oddania skandynawskiej gamy szarości.

Jasmine drgnęła na dźwięk tych słów. Podniosła głowę. Raczej poziomki i Fanny i Aleksander, pomyślała odruchowo.

Przed nią stał mężczyzna z pociągu. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Dobrze ostrzyżony, włosy nie za krótkie, skórzana kurtka, tylko wyglądająca na starą i znoszoną, pulower ze zgrzebnej wełny. I biała koszula z gatunku tych, co to faceci jego pokroju nie kupują na sztuki, tylko na tuziny, i nie piorą, lecz oddają do pralni. Przypomniawszy jej się Cyryl krytykujący swoich kolegów z roku („Co to za studia, gdzie chłopaki większość czasu poświęcają na to, żeby wyglądać jak »markowy student«, zamiast zajmować się czymś ciekawym?”).

Nie! Jasmine impulsywnie położyła obie dłonie na swoich rzeczach i rozsunęła je szerzej na blacie, wysyłając jasny do odczytania komunikat zamknięcia przed otoczeniem. Pochyliła się nad *Scenariuszami*, jakby mówiła: Stolik jest zajęty.

Mężczyzna w kurtce nie należał do osób, które łatwo się zrażają. Arogancki typ, a może tak pewien wrażenia, jakie robi na młodych dziewczynach, że nawet nie spytał o pozwolenie. Usiadł naprzeciwko niej, torbę ze sprzętem fotograficznym odstawił ostrożnie na parapet okna, łokieć przełożył za oparcie krzesła.

– Pora lunchu, jak zwykle w Olafino, wszystkie stoliki zajęte. Tylko tutaj jest wolne krzesło. Posiedzę i poczekam, aż coś się zwolni – oznajmił pogodnie, nie zwracając uwagi na jej ponurą minę, która jasno wskazywała, co Jasmine myśli o drogich ubraniach i tanich chwytach.

Zerknęła na zegarek w popłochu. Kilka minut po dwunastej. Dotychczas wszystko szło zgodnie z planem. Autobus do Westerlandu. Pociąg do Klanxbüll, a tam włoska pizzeria naprzeciwko dworca kolejowego, którą zlokalizowała bez trudu. Ostatni wolny stolik był akurat, tak jak chciała, pod oknem i blisko drzwi. Żeby mieć widok na ulicę i jednocześnie obserwować wchodzących, chociaż nie miała pojęcia, kogo ma się spodziewać. Książkę Cyryla położyła tak, żeby tytuł był dobrze widoczny.

Podjęła decyzję.

– W porządku, mam dwadzieścia minut do umówionego spotkania, potem cały stolik będzie zajęty. – Mówiąc to, umyślnie podkreśliła słowo „cały”.

Kelnerka miała czarne włosy i oliwkową cerę, wyglądała na Włoszkę.

Oskar („Jestem Oskar, a ty?”) spojrzawszy na Jasmine pytająco, a nie widząc zachęty z jej strony, zamówił tylko kieliszek wina.

– Dwa kieliszki – poprawił się. – Chianti, oczywiście – dodał, czarując kelnerkę.

Z nerwów, jak również dlatego, że wcześniej na dworcu zjadła za dużo, Jasmine nie była głodna. Zamówiła insalatę mistę. Bez wina.

Oskar był rozmowny.

– Fotografuję, zajmuję się fotografią profesjonalnie. Widzę, że czytasz Bergmana. Jesteś pewnie aktorką, rozumiesz więc wagę obrazu, sceny, pejzażu. Według mnie scenografia nie jest tłem. To nieraz ważniejszy od słów modulator znaczeniowy (moje prywatne odkrycie). – W jego głosie zabrzmiała nuta samozadowolenia. – O ile, naturalnie, uruchomimy serce i wyobraźnię przed wciśnięciem migawki. Twój portret, na przykład, przedstawiłbym w spłowiałej tonacji piasku z morskiego dna podczas odpływu, z odbiciem chmur w mokrej powierzchni. Czysta monochromia i dal. Tylko włosom nadałbym ciepły poblask miedzi. Piękne, wyjątkowe włosy – monologował, niby zainteresowany rozmówczynią, ale tak naprawdę skupiony na własnym głosie. Tak szacuje się rzecz, towar w sklepie, kupić, nie kupić. Mówiąc, nie zmieniał swobodnej pozycji ciała, nie gestykulował, często kierował spojrzenie za okno, na ulicę, jakby w zadumie. Popijał wino małymi łykami, wprawnym gestem konesera poruszając kieliszkiem delikatnymi, okrężnymi ruchami, żeby bukiet się otworzył. Bez cienia uśmiechu, ale i bez wątpliwości co do efektu, jaki osiągnie.

Przesunął drugi kieliszek w stronę Jasmine.

– Studiuję filmoznawstwo – wyjaśniła, ku własnemu zaskoczeniu, sięgając po kieliszek.

– I jakoś się nazywasz? – spytał niedbale.

– Jamila – skłamała.

Dlaczego skłamała?

– Jamila? Egzotycznie... – Oskar przyjrzał jej się z nowym zainteresowaniem, jakby się nad czymś zastanawiał. Nie kwapił się z komplementami, nie powiedział, że imię piękne, pasuje do jej piegów i rudych włosów ani nic w tym rodzaju. Powoli odwrócił wzrok, spojrzał przez okno. – Ależ tutaj mew, grasują po ulicy jak stado gołębi. Wyczekują. O czymś wiedzą, na coś czekają? – Wskazał na niewielki plac przed dworcem. Wprawnym ruchem zawodowca wyjął z torby aparat, kierując obiektyw na scenę za gładką taflą szyby. – Te zdjęcia będą w kolorze – uśmiechnął się ironicznie, jakby dawał do zrozumienia, że, jego zdaniem, kolor pozbawia fotografię sztuki.

A jednak ujął ją i rozbawił. Świetny rozmówca i świetny fotograf (wyciągnął tablet, pokazał kilka sesji z ostatniego sezonu). Ciekawy świata, sam obracał się w ciekawym świecie. („To napędza, nastraja, sama wiesz, jak to jest”).

Nie wiedziała. Ale nagle zapragnęła się dowiedzieć, posłuchać, zajrzeć do tego świata, choćby tylko w taki sposób jak teraz, pośrednio poprzez spotkanie z obcym przystojnym facetem.

Bo chociaż Jasmine próbowała o tym zapomnieć, prawda była taka, że Cyryl przysłał nie dwie, lecz trzy wiadomości. Trzeci SMS, oprócz ponownej prośby czy wręcz błagania, żeby natychmiast przyjechała na Sylt („Będę czekał w Keitum, potrzebuję Cię!”), zawierał proste stwierdzenie faktu, któremu oboje od pewnego

czasu nie mieli już siły zaprzeczać. „Jasmine, i jeszcze jedno. Długo myślałem, ale miałaś rację. Kocham Sophie. C.” I ani słowa, że jest mu przykro czy smutno, że jej będzie przykro i smutno. Myślał tylko o sobie. Sophie kochał, a jej potrzebował, jakie to proste.

Oskar Olivetti („A ty? Masz jakieś nazwisko oprócz egzotycznego imienia? Jamila Ögge? O, to ciekawe: dwa światy w jednej dziewczynie”) coś w niej obudził, poruszył. Przypomniwał, że życie toczy się tylko tu, gdzie jesteśmy. Tęsknota za tym, co straciliśmy lub czego nigdy nie zdobędziemy, sprawia, że nie ma nas ani tu, ani tam. Jesteśmy –nigdzie.

Dziesiątki obejrzanых filmów wyrobiły w Jasmine komiksowe widzenie świata. Automatycznie kodowała w pamięci sekwencje dźwięków dnia codziennego, rozmaitych czynności czy, tak jak teraz w tej pizzerii, urywki rozmów toczących się przy sąsiednich stolikach, jednocześnie notując bezgłośnie scenki rozgrywające się za oknem, na ulicy. Bywało, że odpryski niemego zewnętrznego planu wdzierały się do środka, zmieniały nastrój, nadając nową jakość sytuacji, w której uczestniczyła. Ale nie tym razem. Beztroski ton głosu Oskara i obrazki zza szyby dobrze współgrały z aromatami włoskiej kuchni i ogólnym gwarem. Zarazem wzmagaly napięcie, z jakim czekała na tajemnicze spotkanie, które miało lada chwila nastąpić.

Oskar odstawił pusty kieliszek na stół i sięgnął po książkę Cyryla. Jasmine zamarła. Nie wiedziała, jak ma się zachować. Co powiedzieć? Nie chcąc się zdradzić, nawet nie drgnęła. Milczała.

On tymczasem dłuższą chwilę nieuważnie przerzucał kartki. Tak jakby czegoś szukał: luźnej kartki, wycinka z gazety czy zakładki. Albo jakby nie zwracał uwagi na treść, tylko chciał powiedzieć: oto książka, zapis ludzkiej myśli, a zarazem przedmiot o charakterze trwałym, zwykle obszerny, o określonej liczbie numerowanych kartek, połączonych grzbietem, który wraz z upowszechnieniem pergaminu z powodzeniem zastąpił zwój.

Ale nie powiedział. Zamiast tego, odkładając książkę na stół, spytał od niechcienia:

– Co genetyka ma wspólnego z historią filmu?

Spojrzała na niego zmieszana. Uratował ją Bergman.

– Dom i morze to DNA Bergmana. Kod genetyczny jego filmowej opowieści, struktura przestrzeni fabularnej. Pomyślałam, żeby napisać coś w rodzaju medycznej epikryzy, historię „choroby egzystencjalnej”. Bo, podobnie jak Tarkowski i Zanussi, tak właśnie Bergman myślał o życiu. Jak o chorobie. A to – wskazała na książkę – znaleziona przypadkiem w jakimś antykwariacie, może się nada. – Rozpaczliwie paplając, liczyła na to, że zdoła zatrzeć wrażenie, jakie mógł odnieść na widok jej paniki.

Żeby nie pomyślał, że coś ukrywa.

Oskar odłożył książkę i objął Jasmine spojrzeniem, które miało oznaczać, że nie potrafi zapanować nad zachwytem.

Pochyliła się nad stolikiem, chcąc ukryć zmieszanie.

– Krzyżówki rozwiązujesz długopisem, a w książkach zaginasz rogi i robisz notatki na marginesach? – spytał nieoczekiwanie.

– Nie rozumiem...

– Próbuję ustalić, czy należysz do rodziny sybarytów książkowych, czy wszystkich tych myszowatych i zasadniczych purystów, dla których książka jest świętością – mówiąc to, dotknął podniszczonego rogu *Scenariuszy*, a jednocześnie kątem oka zerknął na książkę Cyryla.

Jasmine roześmiała się rozbrojona jego bezpośrednią ciekawością.

– To drugie, zdecydowanie to drugie. A ty?

*

Jasmine dała tajemniczemu X aż dwie godziny. Nikt jednak się nie pojawił ani o 12:30, ani później, mimo że skubała swoją sałatkę najwolniej, jak umiała, tak żeby nie wzbudzać podejrzeń o anoreksję lub nagłe zauroczenie nowym znajomym.

Zresztą może ktoś się zjawił, ale na widok dziewczyny z książką, zamiast chłopaka, jak było umówione, wyczuł podstęp i w ostatniej chwili się wycofał? Trudno powiedzieć. W końcu zrozumiała, że dalsze czekanie nie ma sensu.

W porządku, sprawdziła pierwszy trop, taki był plan.

Nic z tego nie wyszło i teraz będzie musiała wymyślić, co dalej. Jedno było pewne: jej pobyt na wyspie będzie dłuższy, niż się spodziewała. Tymczasem jednak, chcąc ukryć zawód, po sałatce i rozmowie przy winie dała się namówić na wspólną pizzę do podziału. Z wyraźnym ociąganiem, żeby Oskar nie pomyślał, że zależy jej na tej znajomości, i tylko pod warunkiem że zapłacą również po połowie.

Kelnerka przyjęła zamówienie na dużą margheritę, chociaż szef kuchni wykrzykiwał, że spóźnialscy mogą poczekać do kolacji, bo kucharz, zwłaszcza rodowity *Italiano*, też człowiek, i należy mu się *riposo*. Potem przychodziła jeszcze dwa razy ustalić szczegóły, raz, czy wolą mozzarellę w plastrach czy świeżo startą na tarce (woleli tartą), drugi – czy balsamico di Modena do sałaty ma być wytrawne czy słodkie (Jasmine lubiła słodkie, a Oskar nie miał zdania, stanęło więc na słodkim).

Jej towarzysz tryskał humorem. Postawił na swoim, został przy stoliku, który od wejścia sobie upatrzył. Dziewczyna z pociągu okazała się nie tylko urocza w tej swojej żółtej sukience, z pieprzykiem nad górną wargą i burzą niesfornych rudych włosów, ale i zabawna. Niby poważna i wciąż z jakiegoś powodu naburmuszona, ale otwarta i szybka w celnych ripostach. Mówiąc, robiła charakterystyczny gest, jakby chciała zatrzymać rozmówcę, żeby jej za szybko nie przerwał.

– Masz chłopaka? – spytał, nalewając wina z karafki, którą kelnerka

przyniosła wraz z nakryciami.

– To nie ma nic do rzeczy – odparowała bez namysłu, trochę za szybko i za ostro. Co miało oznaczać: Uważaj, to nie twoja sprawa!

Jakby czytał w jej myślach.

– To nie moja sprawa, oczywiście. – Oderwał kawałek bagietki. – Tak tylko pytam, dla podtrzymania rozmowy. Lubię jasne sytuacje.

– Czyli jadasz pizzę wyłącznie z wolnymi dziewczynami. Cudze narzeczone i mężatki odpadają? – Jasmine zdawała sobie sprawę, że niesłusznie jest na niego zła. Nie z jego winy cały plan nie wypalił. Ale nie mogła się powstrzymać. Była zdenerwowana, napięta i zawiedziona. Myślała, że to spotkanie (z kim?) coś wyjaśni, posunie sprawy (jakie?) o krok do przodu. A tu nic. Pizza w Klanxbüll z jakimś Olivettim. Jej babcia miała starą przedwojenną maszynę do pisania o takiej nazwie. W dzieciństwie Jasmine namiętnie pisywała na niej listy do świętego Mikołaja.

Oskar roześmiał się niezrażony jej złym humorem.

– Dziś wszystkie dziewczyny są wolne, takie czasy. Związki związkami, a wolność jest podstawowym prawem jednostki – wydeklamował z zasadniczą miną.

Zmrużyła oczy.

– Przyznasz, że to wygodna postawa. I dosyć libertyńska. – Uśmiechnęła się ironicznie. Na co on odpowiedział jakimś żartem na temat czasów oświeconych światłem elektrycznym i diodami, mało romantycznymi w porównaniu ze świecami w rokokowych kandelabrach.

Ale nie słuchała go uważnie, romantyzm czy rokoko niewiele miały wspólnego z jej problemami. Wszystko tak się poplątało. Kochała Cyryła, a on wybrał jej najlepszą przyjaciółkę. I teraz, zamiast przyjaźni Sophie i pierwszej wielkiej miłości, Jasmine czuła, jakby od stóp do głowy wypełniały ją zazdrość, złość i urażona duma. A jakby tego było mało, miała jeszcze do wyboru lęk o Cyryła, niepokój o Sophie i strach przed spotkaniem z jej mamą, policją i tym, czego nie rozumiała, a jedynie czuła, że zagraża im wszystkim. Dużo. Jak na nią, stanowczo za dużo.

Pewnie dlatego, wbrew sobie, opowiedziała Oskarowi więcej, niż chciała. Z nerwów. I dlatego że zakręciło jej się w głowie od wina. A może po prostu pewne rzeczy łatwiej jest opowiedzieć komuś obcemu, o kim wiemy, że więcej go nie spotkamy? W każdym razie tama puściła i Jasmine, celując w Oskara widelcem ostrzegawczo, żeby jej nie przerywał, chaotycznie i nieskładnie opowiedziała mu całkiem sporo, nie pomijając nawet dość intymnych szczegółów („I biegał dla niej po podpaski do drogerii, wyobrażasz sobie? Ja bym go o to nigdy, przenigdy nie poprosiła”).

Ale o tym, co naprawdę ją niepokoiło, nie wspomniała. I nadal – dla niego –

miała na imię Jamila. Jamila Ögge.

*

Pizza była pyszna, prosto z pieca chlebowego, krojenie ciągnącej się mozzarelli zabawne, a wino (jednak dwie karafki, nie jedna) uderzyło jej do głowy.

– Wyglądasz jak... – Oskar przerwał zafascynowany pasmem popołudniowego światła, które nagle pojawiło się na jej włosach, wydobywając miedziany połysk. – Wyglądasz jak Rita Hayworth na plakacie w celi Andy’ego Dufresne’a, w *Skazanych na Shawshank*. Pamiętasz? A widziałaś jedno z jej ostatnich zdjęć? Londyn, styczeń 1976. Mówię ci, twarz jak z Bergmana, wspaniała. Chorowała już wtedy na alzheimera; malowała obrazy, żeby pamiętać.

Na co ona zauważyła ze śmiechem, który niewiele miał wspólnego ze współczuciem dla starej schorowanej aktorki, że wołałaby mu się kojarzyć z jakąś młodszą i mniej seksowną boginią, za to bliższą jej pokoleniu.

Ale on, z jakiegoś powodu, nie podjął jej lekkiego tonu.

– Z trzecim mężem, księciem Aly Khanem, miała córkę Jasmine – oznajmił poważnie. – Wiedziałas o tym?

Jasmine?

Przestała się śmiać. Spojrzała na Oskara uważnie, znowu z napięciem, ostrożnie. W popłochu szukała czegoś, co pomogłoby jej niepostrzeżenie przejść do innego tematu.

Okazało się, że nie jest to potrzebne. Olivetti spojrzał na zegarek, jakby mówił: Już czas. Czas zmienić scenerię. O wspólnym płaceniu za lunch nawet nie chciał słyszeć, rachunek był już zapłacony. Rzeczywiście, chwilę wcześniej przeprosił na moment i poszedł niby umyć ręce, a tak naprawdę, żeby uregulować należność przy barze.

Tego dnia nie wrócili na Sylt. Zamiast tego, wsiedli do pociągu i pojechali w przeciwną stronę, do Niebüll.

Oskar spytał po prostu:

– Byłaś kiedyś w Niebüll? Ja też nie. Ładna nazwa, kojarzy się z kłębiastym cumulonimbusem.

A potem spóźnili się na ostatni pociąg powrotny. Teoretycznie dlatego, że się zagadali, ale gdyby Jasmine miała być całkiem szczerą, raczej dlatego, że ani on, ani ona niespecjalnie pilnowali rozkładu jazdy. Tak jakby obojgu zależało na tym, żeby decyzja podjęła się sama za nich. Gdy w końcu spojrzała na zegarek, mogła już tylko udać zaskoczenie i przestraszyć.

Oskar zasłonił dłonią jej zegarek.

– Nie patrz, nie sprawdzaj. – Zajrzał jej w oczy. – Czasem warto choć na moment znaleźć się poza... czasem. Chcesz? Pokażę ci, jak to się robi.

Poddała się zniewolona tym spojrzeniem, jego dotykiem.

Nawet nie poszli na dworzec, żeby oddać bilety w kasie czy zmienić datę na następny dzień rano. Na kolację też nigdzie nie poszli. Zjemy na ławce w parku, zaproponowała. Albo później, jak zgłodniejemy, w hotelu, powiedział.

W delikatesach przy Hauptstrasse kupili koktajl z krewetek, płat wędzonego łososia, który ekspedient ściał wprawnym płaskim ruchem z wybranego przez nich kawałka, a następnie podzielił na skośne paski. Do tego bagietka, porcja sałatki ziemniaczanej z majonezem i słoiczek kaparów. I butelka białego wina. O zmierzchu Oskar wziął ją za rękę. Zamknij oczy, rzekł. A gdy na jego rozkaz znowu je otworzyła, stali w eleganckim hallu Niebüller Hof.

Przez cały czas Jasmine miała wrażenie, że wszystko toczy się poza nią, nierzeczywiste jak sen. Zupełnie, jakbym grała w filmie Erica Rohmera, myślała. *Jesienna opowieść*. Małe miasteczko na południu Francji, wczesna jesień. Żółte liście, poranne mgły, nasycone światło Południa. Było prawie tak samo: małe miasteczko na północy Niemiec, jesień, żółknące liście i wieczorne mgły. Nasycone barwy, światło Północy. Rohmer, jak zwykle, opowiadał o normalnym życiu normalnych ludzi w normalnych sytuacjach. Ale Jasmine wiedziała, że w kinie nawet najbardziej naturalne i normalne sytuacje są wyreżyserowane, zaskoczenie trwa tylko tyle, na ile pozwala czas kinowy.

W tej chwili z filmową Magali łączyło ją tylko tyle, że i ona miała dwóch mężczyzn do wyboru. I żaden z nich nie chciał (czytaj: nie musiał, jak Oskar, czego była więcej niż pewna) albo nie potrafił (bo przecież to niemożliwe, żeby Cyryl tak nagle przestał ją kochać) podjąć decyzji, czy chciał z nią być naprawdę. Jasmine, która celowała w doszukiwaniu się filmowych parafraz, paranteli i porównań, musiała z niechęcią przyznać, że sytuacja, w jakiej się znalazła – w Niebüll, w tym ekskluzywnym hotelu, z obcym facetem – nie była już nawet lustrzanym odbiciem. To raczej krzywe zwierciadło, w dodatku mocno zamglone. Nikt nie napisał scenariusza, sprawy wymknęły się spod kontroli, pomyślała z goryczą.

Skąd ja się tu wzięłam?

Każdy krok, gest, spojrzenie wydawały jej się jakimś cytatem. Słowa coś przypominały, mówiły jedno, a znaczyły co innego.

Oskar w delikatesach:

– Kto by pomyślał, że można tak nazwać sklep. Eva! *Wszystko o Ewie* – dramat. *Trzy oblicza Ewy* – dreszczowiec. *Kto zabił Ewę?*... i tak dalej.

Recepcjonistka w hotelu:

– Dwa oddzielne łóżka, panie Otter, czy jedno duże małżeńskie?

Panie Otter? Recepcjonistka musiała się pomylić. A może to ona źle dosłyszała?

Sami też byli jak dwa cytaty z *Przed wschodem słońca*. Ethan: „*Jump on and live a Euro-Rail journey you will never forget*”. Julie: „*There are times when love can come as a complete surprise*”.

I ta ostatnia myśl przed zaśnięciem: „*Can the greatest romance of your life last only one night?*”⁹.

*

Oskar obudził ją o piątej.

– Jedziemy – powiedział, zanurzając rękę w jej włosach. – Już czas.

Posadził Jasmine na łóżku, podparł poduszkami, a gdy wreszcie otworzyła oczy, wetknął w rękę kubek kawy. (Skąd on wziął tę kawę?)

– Uważaj, gorąca.

Sam był już po prysznicu, ubrany i spakowany. Jej torba stała koło jego rzeczy, na podłodze przy drzwiach.

W hotelu panowała cisza. Zjechali windą do hallu, recepcjonistka przyjęła klucz i skinęła głową na pożegnanie; najwidoczniej Oskar już wcześniej uregulował rachunek.

Portier otworzył im drzwi.

– Rowery, tak jak pan prosił, czekają przy bramie – poinformował uprzejmie.

Kilka minut później znaleźli się poza obrębem miasta. Granice pastwisk czarnymi liniami przecinały zielone płaszczyzny aż po horyzont. Poranna mgła ścieliła się nisko przy ziemi, stada nieruchomych krów i owiec zdawały się unosić nad tą miękką powierzchnią, jakby płynęły na tratwie. Wysoko na niebie białe skrzydła wiatraków obracały się bez wysiłku, bez dźwięku. Wokół panowała niezmacona cisza wczesnej godziny.

Droga, którą jechali, mimo że wąska, była starannie utrzymana, tylko miejscami na poboczach rosły kępy wyższych traw, cykorii i rumianków. Jadąc za Oskarem, pod słońce, Jasmine rytmicznie naciskała na pedały. Krew pulsowała jej w skroniach. Mimo chłodu szybko się rozgrzali, przystanęli więc na moment, żeby zdjąć kurtki i swetry.

– To już niedaleko. – Oskar położył jej rękę na ramieniu. – Nie jesteś zmęczona?

Pokręciła głową. Nie, dobrze się jedzie. Pięknie. Tak daleko od wszystkiego.

Nie miała pojęcia, jak długo jechali. Dość, żeby się zadyszeć i zmęczyć, ale nie na tyle, by stracić ochotę do dalszej jazdy. W pewnej chwili Oskar zwolnił i wskazał ręką przed siebie. Potem odwrócił się do niej i wypowiedział nieme słowo: morze.

Rzeczywiście, błękitna poświata w oddali niespodziewanie pojaśniała i ich oczom ukazało się morze, jasne, niemal pozbawione błękitu, i dziwnie płaskie. Stapiało się bez wyraźnej granicy z zamglonym niebem na horyzoncie.

Jasmine rozejrzała się sennie wokół siebie. Ciekawe, kto pierwszy zobaczył ten widok: tę zieleń traw i ten srebrny poblask w oddali, zapowiedź wody. Czy to

właśnie czuli dawni wędrowcy, nowi osiedleńcy, żeglarze i odkrywcy? Nie lęk przed nieznanym, nie zmęczenie, tylko – radość? Przebyli góry i doliny, głębokie bory i nieskończenie rozległe równiny, a gdy wreszcie stanęli na brzegu morza, ktoś z nich zawołał: *Thalassa! Thalassa!* Morze.

Tak, pięknie. Jakby działało się po raz pierwszy, tak jak przed wiekami. Czy była wtedy jasna księżycowa noc czy taki świt jak tego ranka?

Zostawili rowery przy drodze i zeszli na brzeg. Stanęli twarzą do morza. Oskar dotknął jej ramienia, ale zaraz opuścił rękę i znów stali obok siebie, nagle tacy osobni, zatopieni w swoich myślach.

– Wiesz, co Meksykanie mówią o Pacyfiku? – spytał nagle.

– Nie.

– Mówią, że nie ma pamięci. To miejsce, gdzie chciałbym żyć przez resztę życia. Błękitne miejsce bez pamięci.

Jasmine rozpoznała kolejny cytat z Timem Robbinsem w roli głównej. Mogłaby powiedzieć to samo o każdym morzu.

– Byłaś już kiedyś na dnie? – spytał znowu, po czym zawrócił do kępy krzewów, gdzie stały ich rowery, żeby wyjąć torbę ze sprzętem fotograficznym z bagażnika.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale okazało się, że on wcale nie zamierzał z niej żartować.

Zatoczył ręką wokół siebie.

– *Mudflat*, po holendersku *Wadlopen*, po niemiecku: *Wattwandern*. To popularny sport, zwłaszcza tutaj, na Waddenzee. Od holenderskiej Fryzji po duńską Jutlandię, wszędzie natrafisz na takie wielkie połącze płytkiego morza. Nie ma nic lepszego, niż poczekać na odpływ, a potem podciągnąć nogawki, zdjąć buty albo mocno je zasznurować, żeby nie stracić ich w mule, i ruszyć prosto przed siebie, ku wyspom.

Słuchała go, nie odwracając oczu od wody. To dlatego morze wydało jej się takie dziwnie płaskie. Woda stała nisko, poprzerrywana fałdami brunatnego mułu, żadnej fali, tylko gdzieniegdzie cienka szklista powierzchnia marszczyła się od podmuchów wiatru.

– To Emmelsbüll-Horsbüll – wskazał na pobliskie domy, po drugiej stronie drogi. – Stąd masz wszędzie blisko: do Keitum na Sylt jest tylko 30 kilometrów, z sąsiedniego Dagebüll do Wyk na wyspie Föhr jeszcze bliżej, tylko 8, a do granicy z Danią 10, może 15 kilometrów, nie więcej.

– I tak wolno? – spytała. – Każdy może sobie wędrować po morzu?

– Nie do końca. Musisz się znać na pływach, żeby zgrać swój czas wędrówki z czasem morza. Bezpieczniej z przewodnikiem.

Ale nie poszli daleko. Innym razem, przyrzekł Oskar, nie masz odpowiednich butów. Dziś tylko dotkniemy dna. Żebyś je poczuła.

Usiadł na kępie trawy, wyjął aparat i zaczął dokręcać obiektyw.

Roześmiała się podekscytowana.

Bez namysłu schyliła się, zdjęła trampki, związała sznurówki i przewiesiła je przez kark. Ruszyła w stronę odsłoniętego dna, gdzie niedawno było jeszcze morze. Na moment zatrzymała się niepewnie, stopy zapadały się w mule, lecz nie na tyle, by nie mogła iść, z początku ostrożnie, potem coraz śmielej.

Przystanęła, podniosła muszelkę. Obejrzała ją, oczyściła z piasku i wsunęła do kieszeni. Potem jedną ręką zgarnęła dół sukienki i uniosła ją do kolan, z drugiej zrobiła daszek, żeby osłonić oczy; poranne światło raziło ostrym blaskiem.

Oskar zerwał się na równe nogi.

– Tak, doskonale! – zawołał. – Zatrzymaj ten gest...

*

Nie wrócili do Niebüll, bliżej mieli do Klanxbüll. Tam złapali poranny pociąg. Oskar zostawił rowery na parkingu przed dworcem. I tak jutro muszę tu być z powrotem, powiedział, wtedy to załatwię.

Na śniadanie zjedli po suchej bułce i popili wodą z plastikowych butelek, które Jasmine kupiła w ostatniej chwili na dworcu. Pociąg był niemal pusty, usiedli twarzą do kierunku jazdy i sennie wyglądali przez okno. Po krótkiej nocy i wczesnej pobudce oboje byli zmęczeni. Gdy pociąg wjechał na groblę, Jasmine poczuła nagły skurcz w gardle. Zakrzuszyła się, nie mogła powstrzymać łez. Sny trwają, dopóki się śnią. Potem mijają i wszystko się kończy. Jak film.

Oskar nie okazał zdziwienia, gdy nagle znów zaczęła opowiadać o Cyrylu. Nie o tym, że ją rzucił, to już opowiedziała mu wczoraj, i dobrze jej zrobiło, że mogła się wygadać. Ale po co napisał, że jej potrzebuje, skoro nie czekał, tak jak się umówili, na dworcu w Keitum? Nie ma paniki, nie o to chodzi, że zniknął, dodała szybko, chcąc ubiec pytanie, które zauważyła w jego wzroku. Może po prostu wyjechał. Ale to przykre, gdy ktoś, z kim tyle cię łączyło, nagle nie ma ochoty się z tobą spotkać. W takim razie po co ją wzywał? Żeby upokorzyć? Już bardziej nie mógł po tym, w jakim stylu z nią zerwał. Ohyda. Klasyka gatunku: zakochać się w najlepszej przyjaciółce swojej dziewczyny, a potem załatwić sprawę jednym SMS-em. Prawda jest taka, że Cyryl przestał się z nią liczyć. Kazał jej rzucić wszystko, *okay*, rzuciła i przyjechała. Mieli razem pójść do... – urwała nagle i zasłoniła usta ręką.

– To znaczy, że wiesz, w jakim celu cię wezwał? – Oskar oparł się bokiem o szybę i rzucił jej uważne spojrzenie. – Mieliście razem do kogoś pójść. Do kogo?

Jasmine potrząsnęła głową wystraszona. Była nieostrożna, powiedziała za dużo.

– Za wczesna pora na przesłuchania, a ja się nie wyspałam – ucięła krótko. Położyła Oskarowi głowę na ramieniu. – Wystarczy mi moja lista pytań, na które

nie znajduję odpowiedzi.

– Masz listę? Gdzie?

Zmarszczyła nos, postanowiła obrócić wszystko w żart.

– Nigdzie – mruknęła sennie. – W kompie.

Muszę zapamiętać tę chwilę, pomyślała. Ten piasek w butach, ten dziwnie kwaśny smak w ustach, jaki się pojawia, gdy suchą pszenną bułkę popijemy zimną wodą, zamiast zjeść porządne śniadanie. I ten ból w mięśniach po wysiłku, coś między drzeniem z napięcia i omdlewającym osłabieniem.

I zapachy też musi zapamiętać, by móc je potem rozpoznać, nawet po ciemku i przez sen. Ich wspólna noc. I ta poranna wyprawa nad morze, wiatr przesycony jodem, powiew z nutą soli, wodorostów i skorupiaków.

I przez cały czas Oskar.

Jasmine wtuliła policzek w jego sweter. Owcza wełna połaskotała ją w nos. Ciekawe, czy i ja już nim pachnę, pomyślała, zapadając w sen.

LIST Z POCIĄGU

Droga J.

Pojawiła się Dziewczyna.

W żółtej sukience i niebieskich trampkach. Rudowłosa, jak na obrazach Malczewskiego albo któregoś z wiktoriańskich preraphaelitów (Rossetti? Millais? Waterhouse?). Przyjechała na wyspę tym samym pociągiem co ja, wysiadła jednak wcześniej, w Keitum. Na peronie nie było nikogo. Gdy odjeżdżaliśmy, stała tam jeszcze, z komórką w ręku wyraźnie zaniepokojona.

Dwa dni później przyszła do baru Johannesesa z jakimś mężczyzną, młodym, ale jednak znacznie starszym od niej. Ciekawe, czy to on miał na nią czekać w Keitum. Bo na pierwszy rzut oka było widać, że tych dwoje do siebie nie pasuje. Kim są? Co ich łączy?

W jakim celu tu przyjechali?

B.

PS Aha, dziewczyna ma na imię Jasmine.

LIST Z PLAŻY

Droga J.

Przyznasz, że Jasmine dobrze brzmi. Choć równie dobra byłaby Marguerite, Judith albo Malwina, wszystkie wnoszą podobne miedziano-kasztanowe konotacje, przynajmniej w moim odczuciu. Ale Jasmine jest w porządku, Jasmine Roegge. Młoda, alternatywna. Może Czeszka, która jako dziecko wyemigrowała wraz z całą rodziną z Pragi? Albo, lepiej, która przyjechała do Niemiec na studia. Gdzie? Może w Berlinie, na uniwersytecie Humboldtów, bo tam miałaby blisko do Babelsbergu? Jej współlokatorką w wynajętym mieszkaniu jest Sophie, córka Evy i Thomasa Waltzerów. To zbliża obie dziewczyny do głównych wątków fabuły, mogą posłużyć jako „pionki na planszy wydarzeń”, niczym Dominic Guard w roli

młodego Leo Colstona w *Posłańcu* Loseya, genialny zwłaszcza w scenie, gdy potajemnie czyta list, a w tle słyszemy fragment fugi z koncertu na dwa fortepiany, ze ścieżki dźwiękowej Legranda.

Oczywiście możemy wybrać inne miejsce i inny uniwersytet, ale nadal niech to będą studia mające związek z filmem, bo to w oczywisty sposób łączy nas – i Jasmine – z Bergmanem.

Jej lektury (z torby wyjęła oczywiście jego *Scenariusze*), podobnie jak przemyślenia, wprowadzają moment oddechu i refleksji. Dzięki temu ona sama staje się swego rodzaju komentatorem wewnętrznym, w przeciwieństwie do Johannaesa, który prowadzi niepisaną „kronikę wypadków”, i do Vincenta, który robi praktyczne notatki na marginesie swoich szkiców.

W tym kontekście Bergmanowski Dom mógłby się pojawić jako miejsce akcji, ale i jako symbol czy motyw z przeszłości. Ciekawy zabieg: dom jako geneza naszego wyboru pewników, które doprowadziły do sukcesu bądź porażki. Taki dom jest jak przypomnienie o chwili szczęścia, gdy byliśmy młodzi i jeszcze pełni wiary wynikającej nie tyle z optymizmu, ile z czystej niewiedzy. Irracjonalizm naszych postępów często na tym właśnie polega: bo jakże mamy być racjonalni, skoro znamy wyłączenie miejsce, które nas ukształtowało, a nie wiemy, czy jesteśmy dobrze przygotowani na przyszłość – w świecie? Jednocześnie taki dom jest jak duch przeszłości. Gdy pewnego dnia powrócimy, on będzie naszym sędzią, a my nagle zrozumiemy, skąd w nas to poczucie przegranej. Nie że faktycznie przegraliśmy, tylko dlaczego tak czujemy.

Piszę ten list na plaży. Nie wiem, dlaczego akurat dziś tu przyszedłam. Latem nie chodziłam, a teraz nagle poczułam, że muszę. Morze jest jak lustro, bez cienia wiatru, nieruchome, przejrzyste, gdzieś na piasku szklą się małe szaroróżowe meduzy. Na horyzoncie tkwi rozłożysty żaglowiec. Mimo że mamy koniec października, jest ciepło, ludzie w sportowych koszulkach wylegają się na kocach, obok rowery, kawałek dalej brązowy terrier szczeka na patyk kołyszący się na wodzie.

Piasek, ciepło. Chłopcy rzucają piłką do rugby. Cicho.

Ściskam, B.

PS Mam kłopot z konfiturą morelową: kto na wyspie podtrzyma tradycję, skoro pani Schachmann umarła? Jakies sugestie w tej sprawie?

LIST Z MARCEPANU

Droga J.

Z Sylt do Lubeki mamy 233 kilometry, mniej niż połowę odległości, jaka dzieli wyspę od Berlina. Samochodem to tylko 3,5 godziny jazdy, pociągiem (jedna przesiadka) 4 godziny i 24 minuty, zamiast 5–6 godzin, jakie pochłonęłyby podróz do stolicy Niemiec.

No, i sama Lubeka: morska, hanzeatycka, z piękną starówką, malownicza.

Miasto, gdzie mieszkało wielu ciekawych i sławnych ludzi. Tu urodzili się bracia Mannowie; przy Mengstrasse znajduje się dom Buddenbrooków, przeniesiony na karty powieści Thomasa; turyści chętnie posługują się egzemplarzem książki jako przewodnikiem po mieście. I są, naturalnie, wyższe uczelnie, w tym trzy uniwersytety, gdzie możesz studiować prawo i medycynę, a na medycynie wybrać takie kierunki, jak inżynieria czy elektronika medyczna, nauki molekularne i... matematyka medyczna. Jest też Akademia Muzyczna i Międzynarodowa Szkoła Nowych Mediów, na wypadek gdyby ktoś chciał zmienić kierunek zainteresowań.

Specjalnością Lubeki jest Lübecker Rotspon, miejscowe wino z winogron sprowadzanych z Francji już w stanie „winnym”, w dębowych beczkach, które w Lubece reklamowane jest jako najstarsza i najdziwniejsza apelacja północnej Europy (docenił ją nawet Napoleon).

Smaki miasta, smaki i zapachy. Jak pachnie Paryż? Gdańsk? Lizbona? Bo Lubeka pachnie kawą, a smakuje – marcepanem. Słodki zapach zapisujesz w pamięci już w pociągu, podczas lektury przewodnika, a ledwie wysiądziesz i postawisz walizkę na peronie, bezwiednie zaczynasz węszyć. Żeby zagłuszyć głód, w parku na ławce zjadasz ostatnią kanapkę z podróży, ale i to nie pomaga. Do Café Niederegger przy Breite Strasse 89 (Marzipanerie & Café & Torten und Gebäck, rok założenia 1806) docierasz bliska omdlenia, jakbyś nie jadła od miesiąca. Masz szczęście, właśnie zwolnił się stolik, i to pod oknem, z widokiem na ratusz. Kawa, tak, poproszę, podwójne espresso. I marcepan, tylko co tu wybrać? Najlepiej wszystkiego po trochu i jeszcze porcję tortu orzechowego, z marcepanem, oczywiście. Złożone zamówienie przynosi ulgę, drzenie rąk zostaje opanowane, jak zawsze gdy podjęte działania przyjemnie zbliżają nas do celu, jakim w Lubece jest smak migdałów uprażonych i utartych w morderzu z dodatkiem cukru.

(Przepraszam, musiałam przerwać pisanie i pójść do kuchni, żeby napić się kawy i zjeść kawałek czekolady).

Niby nic wielkiego taki „marcypan”, *panis martius*, słodka masa, która pod wpływem ciepła (wystarczy, że ogrzejesz w dłoniach) staje się plastyczna, podatna na formowanie ozdobnych i często skomplikowanych kształtów. W XIX wieku popularne były zwłaszcza szachy z marcepanu (czy dlatego, że zbitą figurę zjadał zwycięzca?). Przywędrował do Europy prawdopodobnie z Turkami, spór o autorstwo toczą między sobą także Włosi i Węgrzy, w hiszpańskim Toledo marcepanowe szaleństwo odbiera człowiekowi resztki zdrowego rozsądku, jakich nie zdołał jeszcze stopić żar południowego słońca. Ale to Lubeka uważana jest za europejską stolicę słodkiego przysmaku.

A zatem Lubeka. Miasto, gdzie studiują Jasmine, Cyryl i Sophie – bardziej kameralne, bardziej zanurzone w „tutejszym” małym świecie niż Berlin, który jest gdzieś „tam”, daleko od domu. Jak myślisz?

Uściski dla Piotra. Ojcu powiedz, że zadzwonię wieczorem.
B.

Rozdział 3: Muszla

Komisarz Herzog z komendy policji w Westerlandzie, gdzie administracja kliniki poinformowała o niezidentyfikowanym pacjencie, odniósł się do zgłoszenia z wyraźną niechęcią.

– O co to całe zamieszanie? Chłopak jest młody, silny. Dajmy mu czas. Obudzi się ze śpiączki, dojdzie do siebie i sam nam opowie, jak się nazywa i co się stało.

Komisarz Herzog miał rację, ale nie całkiem. Nie chodziło tylko o to, że klinika przyjęła na oddział intensywnej opieki kogoś, o kim, poza ustaleniem grupy krwi, niewiele więcej można było powiedzieć. W karcie pacjenta, w rubryce „nazwisko” napisano: NN. *Non notus*, osoba nieznana. Tymczasem mnożyły się pytania, rodziły wątpliwości: bo skoro jest nieznany, w dosłownym znaczeniu tego słowa (mimo ogłoszenia w telewizji nikt się nie pofatygował, aby go zidentyfikować), w takim razie dlaczego salowa, która wczoraj rano przyszła do separatki, żeby zmienić pościel i przygotować pacjenta do porannego obchodu, odkryła na podłodze ślady zabłoconych butów? I nie był to piasek z plaży, sypki i łatwy do zamiecenia, lecz glina, która, jak wszystkim wiadomo, jest bardzo gęsta, drobnoziarnista i zasycha w skorupę. Trudno się dziwić, że salowa nie była zadowolona. Wprawdzie odwiedzający nie mają obowiązku wkładania obuwia ochronnego, ale wszystko ma swoje granice. Czy to nie dziwne? Rzadko się zdarza, żeby pacjent, którego nikt na wyspie nie zna, ledwie znalazł się w szpitalu, i to w takim stanie, zaczął swój pobyt od przyjmowania nocnych wizyt. A jeszcze rzadziej, by gość, zamiast posiedzieć przy łóżku chorego, włamywał się do szafki i przeszukiwał jego rzeczy. Po co, skoro wcześniej wszystko, co dało się ukraść, i tak zostało chłopakowi zabrane? Jak pan komisarz sądzi?

Komisarz Herzog był człowiekiem rozważnym. Władzom szpitala oznajmił, że z wnioskami należy cierpliwie poczekać. Pochopność w takich przypadkach nie jest wskazana. Jeśli chodzi o podjęcie jakiegokolwiek działania, jego rozważa sięgała jeszcze dalej: gdy nie wiadomo, co robić, najlepiej robić jak najmniej. I on nie tylko zamierzał postąpić rozważnie, ale natychmiast otwarcie zapowiedział to komendantowi, który zawsze (celowo? złośliwie?) przydzielał go do najbliższych zadań operacyjnych. W istocie tak błahych, że trudno je było nazwać śledztwami.

Kurt Herzog był z natury marzycielem, marzyła mu się solidna kariera w kryminalistyce. Zamiast tego pełnił nudną i żmudną służbę na cichym posterunku, który w dodatku znajdował się przy mało romantycznej ulicy Kościelnej. Co samo w sobie świadczyło o atmosferze, jaka panowała na tej wyspie. Prawdziwy komisarz (jak Brudny Harry czy porucznik Columbo) ma do czynienia z zagadkami, których rozwiązanie wymaga wysokiego ilorazu inteligencji. Komisarz z prawdziwego zdarzenia przechwytuje, rozgryza i dopada,

w jego agendzie nie ma spraw błahych. Kokaina, handel dziećmi, przemyt na dużą skalę. Zbrodnie z zimną krwią albo w afekcie, z planem czy bez, ale zawsze w wielkim stylu.

A on? Zamiast jak jego koledzy odbierać gratulacje za przechwycenie przemytu papierosów z Łotwy czy narkotyków ze Skandynawii, znalazł dziś rano na biurku zgłoszenie w sprawie pobitego chłopaka, dwa włamania, do hurtowni piwa i do domu emeryta, to ostatnie udaremnione przez przygodnego przechodnia, który zadzwonił na policję, i kilka nic nieznaczących bójek i awantur. Wszystkie te sprawy Herzog z miejsca ocenił jako nijakie, bez wpływu na dalszy bieg jego kariery.

Administracja szpitala spełniła obowiązek, pani Bocke nawet zatelefonowała do komisarza, chcąc osobiście dopilnować, by jej mail został potraktowany ze szczególną uwagą, ale nic więcej nie była w stanie zrobić.

– A, panie komisarzu, jest jeszcze coś – przypomniała sobie nagle, mimo że już się pożegnali, wymieniając zwyczajowe uprzejmości. – Może to bez znaczenia, ale lekarz dyżurny zauważył niepokojący znak na plecach ofiary, to jest, zgłoszonego pacjenta. Pod lewą łopatką. Wyglądał jak tatuaż, ale był świeżo... wypalony. Tak, można to nazwać oparzeniem, tyle że to oparzenie ma wyraźny kształt. – Pani Bocke nie potrafiła tego lepiej wyjaśnić. Sama była zażenowana, takie rzeczy nie powinny już mieć miejsca. Na kolejne pytanie komisarza odpowiedziała z wyraźną niechęcią i ociąganiem. Znak na plecach młodego człowieka przypominał bowiem swastykę, co do tego nikt w izbie przyjęć nie miał wątpliwości. – Sądząc po ubraniu (porządne) i rękach (czyste paznokcie, gładka skóra), pacjent jest przyzwoitym młodym człowiekiem, ale w dzisiejszych czasach naprawdę trudno stwierdzić, co to oznacza. No, i jest jeszcze ta muszla...

Komisarz Herzog przycisnął słuchawkę ramieniem do ucha i sięgnął po notatnik.

– Muszla? Może to pani szerzej skomentować?

*

– Podobno miał w kieszeni spodni jakąś muszlę.

– To była tylko część muszli, znaleźli połowę. I nie w żadnej kieszeni, tylko na podłodze przy jego łóżku, chociaż sam jej ze spodni leżących w szafce nie mógł przecież wyjąć, z oczywistych powodów. I nie jakaś, to była muszla ostrygi. – Rose Lighthouse wyprostowała się na krześle i nawinęła na palec włóczkę skręconą z dwóch nitok: niebieskiej i różowej. Odkąd okazało się, że jest w ciąży, całymi dniami przesiadywała w barze Johannaesa, a ściślej rzecz biorąc, przy stoliku Vincenta, i robiła na szydełku słodkie kaftaniki dla swojego dziecka. Płeć jest jedna, wspólna i nierozdzielna, twierdziła, bo wszyscy mamy w sobie pierwiastek męski i żeński, tyle że w różnych proporcjach. A róż ładnie komponuje się

z błękitem.

– Nie muszla ostrygi, tylko świętego Jakuba. – *Frau* Bellitz zawsze wiedziała lepiej niż inni. – Ostrygi były, ale rozsypane na jezdni. Do wyrzucenia.

Chociaż nie zdarzało się to często, tym razem *Frau* Bellitz nie była dobrze poinformowana. Muszlę świętego Jakuba trudno bowiem zmieścić do kieszeni, jest za duża. Z kolei muszle ostryg są oczywiście mniejsze, ale chropawe i nieprzyjemne w dotyku, kto by je nosił w kieszeni? Może więc rzeczywiście była to po prostu „jakaś muszla”? Jakakolwiek. Ludzie często wracają ze spaceru nad brzegiem morza z kieszeniami pełnymi muszli.

Frau Bellitz wzniosła dziękczynnie oczy do sufitu.

– Tak czy owak, Bogu niech będą dzięki za każdą muszlę. Sprawy nie wolno tak zostawić, to wstyd dla naszego miasta. Wstyd dla całej wyspy – mówiąc to, kobieta schyliła się do torby, skąd wyciągnęła pakunek ze smakołykami dla Agata.

Cała czy nie, ostryga czy przegrzebek, wszyscy wiedzieli, co *Frau* Bellitz miała na myśli. Muszla! Komisarza Herzoga nic bardziej nie mogło w tę sprawę zaangażować. Poza pracą i marzeniami o wielkiej sprawie do rozwikłania Kurt Herzog miał jeszcze jedną pasję: muszle. Nikt tak jak on nie potrafił rozpoznać wieku sercówki jedynie po grubości wrębów ani ocenić, która z kolonii omułek jest już gotowa do połowu, a która jest jeszcze za młoda i nie będzie co na talerzu położyć. Sam hodował ostrygi. I mimo że pod bokiem – w List – miał sporą konkurencję, interes szedł mu znakomicie. Może dlatego, że wkładał w to całe serce, ale możliwe również, że prawdziwi smakosze woleli ostrygi z jego hodowli, ponieważ cenili wysoką jakość, a nie ilość. Niedostępność.

Kurt Herzog uwielbiał ostrygi: ich zagadkowe bytowanie i cudowne kształty, odcienie muszli i ich połysk zaraz po otwarciu, gdy w nozdrza uderzał jedyny w swoim rodzaju aromat morza, a wreszcie smak. Podane na surowo, na lodzie, z ćwiartkami cytryny, były wprost idealne, nic nie mogło się z nimi równać. I ta mnogość sposobów przyrządzania: grillowane, pieczone, gotowane w białym winie, duszone w maśle, z dodatkiem czosnku i pietruszki czy listka kolendry – i w każdej postaci wyborne. Herzog mógł rozprawiać o tym bez końca, zbierał i wypróbowywał nowe przepisy, marzył o własnej restauracji. Prowadził blog i utrzymywał kontakty z farmami ostryg na całym świecie. Śledził nowinki hodowlane, sprowadzał osprzęt od najlepszych producentów. Wybierając się na urlop starym kamperem, trasę układał zawsze w taki sposób, by prowadziła ostrygowym szlakiem, jak na swój użytek nazywał porty i przybrzeżne miasteczka Niemiec i Holandii, Belgii i Francji, Hiszpanii i Portugalii, gdzie mógł liczyć na pierwszorzędną świeżość „prosto z morza”. Gdy jadł ostrygi, zawsze zamykał oczy, nie tylko z zachwyty, ale również dlatego, że wtedy najlepiej „słyszał” zapach i aromat: jedyną w swoim rodzaju mieszaninę jodu i wodorostów, tak typową dla morskiego klimatu, lecz w każdym miejscu świata inną. Nigdy się nie

pomylił, nie tylko jeśli chodzi o gatunek – bo jadalnych ostryg istnieje wiele odmian – ale i co do miejsca ich pochodzenia.

Ludzie mówili o nim: *Mister Oyster*.

Dla wielu było oczywiste, że to właśnie muszla, znaleziona na podłodze separatki młodego pacjenta, sprawiła, iż na zgłoszeniu przysłanym z Nordseeklinik pojawił się odręczny dopisek komisarza Herzoga: Priorytet!

I swastyka. Dwa ślady, dwie poszlaki. Herzog aż zatarł ręce z zadowolenia. Jednocześnie musiał sam przed sobą przyznać z pokorą, że zachował się pochopnie. W każdej najmniejszej i z pozoru najłatwiejszej sprawie można doszukać się intrygującego wątku, trzeba tylko chcieć.

Jeszcze tego samego dnia na biurku komendanta posterunku wylądowało podanie z prośbą, by do operacji o kryptonimie „Muszla” wyznaczono zespół śledczy w pełnym składzie.

*

Jak było do przewidzenia, sprawa pobicia, podobnie jak wszystkie nowiny na wyspie, była szczegółowo omawiana w codziennym serwisie Johannaesa. Przy okazji, Eva Waltzer zyskała na popularności. Ciekawi nowin, stali bywalcy zaczęli zjawiać się w barze wcześniej niż zwykle. Zgromadzeni wokół jej stolika pod oknem, wypytywali o stan zdrowia poszkodowanego i postępy śledztwa, snuli domysły. W jakimś sensie czuli się odpowiedzialni.

Eva z pewnym żalem myślała o tym, że jej poranny rytuał zmienił się i nabrał charakteru gwarne go spotkania towarzyskiego. Bar Johannaesa od wczesnych godzin przypominał teraz prawdziwą grec-ką agorę.

Zdezorientowany tą odmianą Agat poszczekiwał niespokojnie przez sen, przebierał łapami i marszczył nos, tak jakby i on brał udział w polowaniu, węszył trop.

Vincent, który do dłuższych notatek używał zazwyczaj wyklejki na wewnętrznej stronie okładki szkicownika, już po kilku dniach zmuszony był dokleić kolejne kartki, które po skończonym pisaniu składał w harmonijkę i przytrzymywał gumką recepturką. W sprawie „X versus Y”, jak wkrótce na własny użytek nazwał tę historię, więcej było poszlak niż pewników. *Ściśle rzecz biorąc – pisał – odpowiedzi, jak na razie, nie ma żadnych, same domysły. Nasz X, „człowiek znikąd” i bez dokumentów, pojawił się na wyspie nie wiadomo skąd, kiedy ani dlaczego. I niemal natychmiast zderzył się dotkliwie z nieznaną siłą Y. Nie wiemy: dobry czy zły, a mimo to wszyscy go polubiliśmy. Ponieważ został skrzywdzony? Czy dlatego, że stało się to tutaj, w naszym „domu”, i mamy niejasne poczucie winy? Rozglądamy się wokół i nagle łuski spadają nam z oczu, bo oto pozbawiono nas złudzenia, że „u nas” świat jest niewinny i bezpieczny. Gdzieś w zasięgu ręki (gdzie?) czai się jakaś niewidzialna i o wiele potężniejsza siła Z,*

która zapewne pchnęła Y do działania. Albowiem każde jednostkowe i z pozoru niewielkie działanie jest wykładnią mechanizmu nadrzędnego, mającego moc sprawczą.

A zatem równanie z trzema niewiadomymi? Na razie, bo niewiadomych może być więcej.

*

Gdyby nie to, że dziewczyna w żółtej kwiciastej sukience i niebieskich trampkach potknęła się w progu o śpiącego Agata, który warknął na nią urażony, i gdyby nie to, że jej towarzysz potracił Evę tak mocno, że zerwał jej torbę z ramienia, sam zaś upuścił na ziemię notatnik, który wcześniej z jakiegoś powodu wyjął i otworzył – zapewne nikt nie zwróciłby na nich uwagi. Na Sylt przyjeżdżają tłumy. Turyści mają przygotowaną listę atrakcji do zwiedzania, spragnieni komfortowych warunków wczasowicze wybierają to miejsce na odpoczynek, kuracjusze odwiedzają ośrodki odnowy biologicznej i sanatoria, a niedzielnicy malarze i profesjonalni fotograficy przyjeżdżają, żeby zapolować na romantyczne pejzaże i dramatyczne widoki morza, jakich tu nie brakuje.

Ale dziewczyna niechcący kopnęła psa (dobrze, że były to tylko trampki). Zachwiała się, omal nie straciła równowagi. Krzyknęła przestraszona; nie zauważyła psa.

– Przepraszam – powiedziała odruchowo.

Eva właśnie wychodziła, minęły się w drzwiach.

Zaskoczony jej niespodziewanym pojawieniem się mężczyzna nie tylko Evę potracił, ale przy okazji zerwał jej torbę i jednocześnie sam upuścił notes. Na ziemię posypały się wizytówki, bilety, kartki z odręcznymi notatkami.

Oślepiąca ostrość światła jesiennego słońca, z powodu którego nie zauważyła wchodzących, Eva chwyciła za framugę drzwi, żeby nie upaść. Wciąż oszołomiona, schyliła się niepewnie po torbę. Mężczyzna zareagował jeszcze gwałtowniej, niemal rzucił się na ziemię i zaczął zgarniać swoje rzeczy. Znów ją potracił, tym razem mocniej, tak że upadła na kolano, ale nawet tego nie zauważył, nie przeprosił.

Eva odruchowo potarła stłuczenie.

Na miejscu mężczyzny, w zaaferowaniu, zapewne wiele osób zachowałoby się podobnie, a tu jeszcze wiatr od morza nie ułatwiał zadania, przeciwnie, porywał lżejsze kartki, unosił je w powietrze, rozwiewał te, które już udało mu się pozbiierać.

Mężczyzna zaklął głośno.

Johannes wyprostował się za barem zaalarmowany zamieszaniem. Agat zerwał się z miejsca, warknął i nadstawił czujnie uszu. Podbiegł do Ewy, jakby była jego panią.

Vincent odłożył szkicownik i wstał od stolika. Powoli podszedł do drzwi.

Zderzenie było gwałtowne, ale w sumie nic się nie stało. Eva otrzepała kolano i odgarnęła włosy z oczu. Uśmiechem podziękowała dziewczynie za chęć pomocy. Nie trzeba. Na przeprosiny mężczyzny (również za jego poryw złości) odpowiedziała prędko: Nie szkodzi. Spieszyła się, za chwilę odchodził jej autobus, a ona miała jeszcze kawałek drogi do przystanku.

Dziewczyna pierwsza weszła do baru. Mężczyzna obejrzał się z wahaniem za oddalającą się Evą.

Na moment przystanęli pośrodku baru niezdecydowanie, po czym on pierwszy ruszył w stronę stolika, chwilę wcześniej zwolnionego przez Evę. Dziewczyna w żółtej sukience zamówiła sok. Na pytanie Johanna: „Jaki?”, odpowiedziała: „Jakikolwiek”. Była zaaferowana czymś innym, a może rzeczywiście było jej wszystko jedno. Na pytające spojrzenie swojego towarzysza („Chcesz zamówić coś jeszcze?”) pokręciła przecząco głową.

Dla siebie zamówił piwo.

Notatka Vincenta na marginesie w szkicowniku:

Dziewczyna przy sąsiednim stoliku ma piegi i pieprzyk między nosem a górną wargą, a szare oczy w świetle wydają się niemal przezroczyste, jak woda. Mówiąc, unosi dłoń do góry charakterystycznym gestem, jakby chciała powstrzymać rozmowę, żeby jej nie przerywał. Trochę smutna i jakby wiecznie zdziwiona (bezbronna?), nieświadoma swego wdzięku. Mimo jesiennej pory ubrana jest wakacyjnie: żółta sukienka ma krótkie rękawki, a błękitne trampki w białe groszki są dobre do biegania latem po plaży, ale na deszczową jesień się nie nadają. Jeśli nie jest przyzwyczajona do naszego klimatu, zmarznie, to pewne. Na szyi duże białe słuchawki, ciekawe, czego słucha. Na podłodze podniszczona torba, z której właśnie wyjęła książkę, ale zaraz ją schowała z powrotem.

Obok niej mężczyzna. Kiedyś o takich mówiło się „zabójczo przystojny”, ale to czasy naszych matek i starszych kuzynek, lepiej więc powiedzieć: interesujący. Młody, ale zdecydowanie starszy od dziewczyny, już nie chłopak, tylko dorosły mężczyzna w wieku, który daje mu prawo do narzucenia, a w razie potrzeby, wymuszenia własnej woli, bez oglądania się na innych. Jak przed chwilą, w drzwiach, gdy potrącił Evę. Jest w nim rys dominacji, dążenie do przewagi. Tym bardziej tych dwoje do siebie nie pasuje.

Znali się wcześniej, a może dopiero poznali na promie czy w pociągu? Co ich łączy? Bo nie miłość, to pewne, nawet nie zauroczenie. Nie tyle para, ile znajomość, krótka i bez konsekwencji. Chociaż stawiałbym na inny motyw, a wręcz na jakiś ukryty pretekst, gdyż brak im umownej swobody, jaka cechuje przypadkowych towarzyszy-na-czas-podróży. Jest w nich zagadka i dziwne napięcie. Niepokój (nieufność?) w oczach dziewczyny. Zniecierpliwienie (ukryte intencje?) w wyrazie twarzy i gestach mężczyzny. Ona odwróciła wzrok do okna, on

pochylił głowę i ukradkiem rozgląda się wokół siebie...

Vincent uśmiechnął się. Słusznie, w takich małych miasteczkach na prowincji należy zachować ostrożność. Przy sąsiednich stolikach wszyscy byli niby zajęci sobą, ale wiadomo, nawet jeśli ludzie nic nie mogą zobaczyć, podobnie jak Johannes, i tak wiedzą swoje, a reszty się domyślają.

Po długiej chwili milczenia oboje niemal jednocześnie sięgnęli po komórki, a następnie szybkimi ruchami kciuków zaczęli wystukiwać SMS-y. Najwyraźniej wysyłali je do siebie nawzajem, gdyż robili to na przemian, w przerwie – w oczekiwaniu na odpowiedź – wpatrując się w to drugie z pełną napięcia uwagą. Mimika podkreślała intensywność emocji i wagę przekazywanych informacji. Dziewczyna zerkała przy tym na boki, jakby w obawie, że ktoś mógłby po ruchu jej palców na klawiaturze rozpoznać układ wystukiwanych liter, doczytać się treści. Pisząc, zasłaniała telefon.

Z jakiegoś powodu rozbawiła tym swego towarzysza.

Zmrużył oczy w uśmiechu.

– Za dużo filmu w twoim życiu – powiedział głośno.

Jego słowa, wypowiedziane tak wyraźnie i tak niewinnie romantycznie, rozbiły szklaną kulę wokół nich. Wszyscy wrócili do swoich spraw, choć rozmawiali teraz ciszej, na wypadek gdyby przy stoliku pod oknem znowu miało się wydarzyć coś interesującego.

Vincent tymczasem, oparty wygodnie o ścianę, z nogą na poprzeczce sąsiedniego krzesła, szybkimi, lekkimi pociągnięciami ołówka szkicował rozgrywającą się scenę. Lubił to. Szkicowanie ma w sobie coś z niewinnego podglądania. Nikomu nieprzydatne, chyba że jakiś turysta zechce sprawić sobie „pamiątkę”, rysowanie *in situ* uczy wnikliwej obserwacji, jest swego rodzaju grą pod tytułem „kto szybszy?” – rysownik czy model, który przecież nie pozuje, a tym samym nie zaczeka, nie dopasuje się do tempa ruchów naszej ręki, tylko wciąż będzie się poruszał, zmieniał wyraz twarzy, gestykulował. Aż w końcu, niczego nieświadomy, odejdzie.

Dla Vincenta taki zapis znaczył nieraz więcej niż słowa. Utrwalał moment z życia kogoś obcego, z kim nic go nie łączyło, a tylko jedność czasu i miejsca sprawiła, że zjawił się w perspektywie jego życia, by zaznaczyć swą obecność. Z takich ulotnych momentów składa się nasza historia. W bezwzględnym wymiarze czasu przyszłe implikacje czy znaczenie poszczególnych zdarzeń zbytnio się nie liczą, wszystko przemija tak samo. Chyba że zdążymy chwycić za ołówek. Tak jak teraz: dziewczyna dopije sok (jednak zmieniła zdanie i zamiast pomarańczowego zamówiła wyciskany marchewkowy), młody człowiek dokończy piwo, potem wstanie, pod baczynym okiem Agata zapłaci rachunek i wyjdą, znikną na zawsze. Zostanie po nich ten lekki, skrótowy powidok w szkicowniku. I pewnie tylko tyle, bo Vincent, odkąd pojawił się na wyspie, nie robi nic na siłę, a to

oznacza, że rzadko który szkic przekształca się w coś więcej.

Szkoda, że ci młodzi milczą. W twarzy usta są takie ważne, zwłaszcza gdy mówią. Bo mówią wtedy więcej niż wypowiedane słowa, mówią wszystko o mówiącym. Ale i tak scena jest ciekawa kolorystycznie: dziewczyna doskonale wie, jaki odcień żółci wybrać – indyjski, nasycony, ciepły – do jasnej piegowatej cery i burzy rudych kręconych włosów pod filcowym kapelusikiem w kolorze oliwki. Mężczyzna również wie. Nie tylko, jak się ubrać i jak zarobić na to, w co się ubiera, ale w jaki sposób zapanować nad sytuacją i partnerką. Nie lubi sprzeciwu, to widać. A tu coś poszło niezgodnie z jego przewidywaniami, co również dało się od razu zauważyć.

Zniecierpliwiony, wsunął komórkę do kieszeni. Ta rozmowa, jak dla niego, odbywała się za wolno. Nie zamierzał czekać.

– O co ci chodzi? – Pytanie zostało zadane szeptem, ale napięcie sprawiło, że szept zabrzmiał głośno i całkiem czytelnie. I nie czekając: – Spędziliśmy razem trochę czasu, fakt, że bez zobowiązań. Ale przyznasz, że było miło, a to chyba daje mi prawo...

W barze ponownie zapadła cisza. Wszyscy zastygli w oczekiwaniu na reakcję dziewczyny.

Pochyliła się nad stolikiem tak nisko, że włosy opadły jej na twarz, tworząc rudą zasłonę. Dopiero wtedy zaczęła mówić, bardzo cicho i bardzo niewyraźnie. Tym razem Vincent zdołał wyłapać tylko fragmenty zdań i tylko dlatego, że niektóre słowa zostały dwukrotnie powtórzone.

– Myślisz, że to daje ci prawo, żeby się wtrącać do mnie i do...? – Dalej szept nieczytelny, poparty pytaniem w szarych oczach. – Przyznaję, nasze spotkanie na dzień...

Spotkanie na dzień? To znaczy?

Mężczyzna ujął dziewczynę za rękę.

– Ciii – uciszył ją. Czuło się, że mówiąc to, nie zamierza zwracać jej uwagi, żeby ściszyła głos, lecz jedynie chciał ją uspokoić. – Uspokój się, już dobrze. A teraz posłuchaj...

W tej chwili zadzwonił telefon. Oboje odruchowo spojrzeli na swoje komórki, ale to do niego ktoś dzwonił. Wstał.

Słuchając z pochyloną głową, wyszedł na zewnątrz. Po chwili, wciąż rozmawiając, wrócił do stolika, z notatnika wyjął jedną kartkę, potem drugą, szukał kawałka wolnej przestrzeni, gdzie mógłby coś zanotować. Jednocześnie dał znak dziewczynie, że potrzebuje pióra.

Sięgnęła po torbę, zaczęła przegarniać jej zawartość, bezskutecznie usiłując wyłowić coś do pisania.

Zasłonił telefon i jednocześnie, nie odwracając się, skinął za siebie.

– Pożycz, proszę, od pana. – Musiał wcześniej zauważyć przybory Vincenta.

Spojrzała pytająco na Vincenta, który wyciągnął rękę w jej stronę. Zerwała się, speszona, a odbierając od niego pisak, niespodziewanie dygnęła.

Z pisakiem i kartką, mężczyzna ponownie wyszedł na ulicę, gdzie oparł nogę o niski murek pod oknem i przytrzymując telefon ramieniem, zaczął notować.

Gdy wrócił, po skończonej rozmowie, stanął przy ich stoliku. Nie usiadł.

– Pytałaś, czy miałem prawo? Nie wiem, ale teraz to już chyba bez znaczenia – rzekł, podając jej złożoną kartkę, tę samą, na której wcześniej notował.

Zabrzmiało to rzeczowo, profesjonalnie.

– Zrobisz, jak zechcesz – dokończył. – Tu masz kontakt.

Dziewczyna zawahała się, ale wzięła kartkę. Otworzyła ją, przeczytała. Potem wyprostowała się gwałtownie, wystraszona.

– Szpital? OIOM? – krzyknęła, ale zaraz zasłoniła usta dłonią, przeszła do głośnego szeptu. – Dlaczego Cyryl jest w szpitalu?

Cyryl?

Chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w mężczyznę szeroko otwartymi oczami. Ponownie przeniosła wzrok na podaną jej notatkę. Machinalnie dopiła sok. On nie dokończył piwa, odsunął butelkę i wciąż stojąc, zapytał, czy ma dla niej coś jeszcze zamówić.

Pokręciła głową.

Podszedł do kontuaru, pod baczynym okiem Agata zapłacił rachunek. Gdy wrócił do stolika, dziewczyna wciąż siedziała pochylona nad notatką. Pocierała czoło palcami, jakby miała migrenę.

– I jeszcze jedno... – dodał z wahaniem. – Za dużo pytasz. Jeśli nie chcesz, żeby twoja lojalność została wystawiona na ciężką próbę, jeszcze dziś wróc do Lubeki, dobrze ci radzę.

Sięgnął po swoje rzeczy.

– To niebezpieczna zabawa – dodał ciszej. – Zwłaszcza teraz gdy zostałem zmuszony... – spojrzał na nią przelotnie i zamilkł.

W jej oczach pojawiły się łzy.

*

Stolik pod oknem otoczyła teraz taka cisza, że można ją było nożem kroić. Nikt nie śmiał odezwać się pierwszy. Zrobiła to dopiero Rose Lighthouse.

Pojawiła się w drzwiach, zasłaniając Agatowi jesienne słońce, w którym leniwie się wygrzewał.

Jako mieszkanka mglistych i dżdżystych Wysp Brytyjskich, Rose nie rozumiała potrzeby wygrzewania się w słońcu. Jej zdaniem dla prawdziwego wyspiarza Północy pory roku praktycznie nie istnieją, bo tam i tak zawsze albo wieje, albo pada. Albo pada i wieje jednocześnie. W grę wchodziło zatem jedno rozwiązanie: uniwersalne dzinsy i bawełniane koszulki, jedna albo dwie, zależnie

od temperatury, a do tego obszerne bure swetry. I jeszcze szalik, przydatny tak latem, jak zimą, jako dodatkowa warstwa. Rozwiązanie to dotyczyło również butów, Rose nie lubiła, gdy marzły jej nogi, nie lubiła też kłujących drobinek piasku między palcami. Niezależnie od pory roku zawsze nosiła nieprzemakalne botki, do kostek i koniecznie bez sznurowadeł, bo wciąż jej się rozwiązywały. Zapominała przy tym dodać, a może nie przyszło jej to na myśl, że za dużo ubrań (i wszystkie za duże) to przekaz łatwy do odczytania: ukryć się. Przed światem i w jakimś sensie również przed sobą. W maju skończyła trzydziestkę, lecz wciąż sprawiała wrażenie młodej, naiwnej dziewczyny, która nie wiedziała, co począć ze swoim życiem.

Agat powinien brać z niej przykład. Bo słońce to niewierny towarzysz.

– Będziesz musiał zmienić zwyczaje, piesku. Nadchodzi zima – odezwała się po angielsku głośno i wyraźnie, jakby było oczywiste, że w tak turystycznym miejscu jak Sylt wszystkie psy muszą znać języki obce. – A jakby tego było mało, jestem w ciąży. – Co w jej rozumieniu oznaczało, że za chwilę nie będzie już mogła przez Agata przeskakiwać, i to nie tylko dlatego, że jemu nie chciało się ruszyć z miejsca.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku.

Vincent zamknął szkicownik i odsunął hałaśliwie sąsiednie krzesło. Johannes wyjął z parującej zmywarki koszyk ze sztućcami i z brzękiem postawił go na kontuarze. Ktoś poprosił głośno o rachunek. Rose może nie wiedziała, jak ma wyglądać jej życie, zwłaszcza teraz, z dzieckiem, które miała urodzić daleko od domu, bez mężczyzny, pracy i mieszkania, ale jedno potrafiła znakomicie: skupić na sobie uwagę całego towarzystwa.

Przeskoczyła psa z wdziękiem wysportowanej dziewczyny, za to do baru weszła już ciężkim, niemal teatralnym krokiem kobiety w zaawansowanej ciąży. Opadła na odsunięte krzesło przy stoliku Vincenta.

– I co ja mam ze sobą teraz zrobić, Vincent? – spytała, wymownym gestem wskazując na swój brzuch. – Ratunku!

Vincent spojrzał na nią bezradnie.

– Nie mam pojęcia, Rose – mruknął. – Chyba jedyne, co ci pozostaje, to zachować resztki romantyzmu.

– Romantyzm! – Rose prychnęła jak rozjuszona kotka. – Z kim? Z duchem faceta, który zniknął? To nie jest romantyczna komedia, drogi przyjacielu, tylko moje życie, które legło w gruzach, zanim zdążyłam je zbudować. Jak ja z tym dzieckiem w domu się pokażę? Vincent, czy ty mnie słuchasz?

– Słyszę, tak, Rose – Vincent wyraźnie podkreślił różnicę między znaczeniem czasownika „słuchać” a „słyszeć”, nie pierwszy raz manifestując niechęć do wszelkich pytań. – Mówisz: dziecko. Mówisz: nie w porządku. Ale życie to nie imieniny u cioci, tu się nie mówi „dziękuję” i wychodzi. To nieustający

wyścig z innymi. I ze sobą. Wyścig, w którym możesz albo wygrać, albo przegrać, bo na remis nie ma miejsca, jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś. Z drugiej strony... – zamyślił się. – To twój ratunek. Inaczej się utopisz, zginiesz, zwariujesz. Reakcja twojej rodziny nie ma tu znaczenia. A tak przy okazji – przyjrzał się Rose znad okularów – masz suchy liść we włosach.

*

Vincent nie odtworzyłby całego filmu, ale to dzięki tej jednej scenie – kłótni trenera z młodym zawodnikiem (gdzieś w Polsce: w Warszawie? Krakowie?) – on, miłośnik Jamesa Deana i francuskiej Nowej Fali, zaprzyjaźnił się w Paryżu z polskim emigrantem, architektem, który sam w czasach studenckich uprawiał sport.

„Życie to nie imieniny u cioci, tu się nie mówi dziękuję i wychodzi”. Polski James Dean, tak Igor Malik nazywał aktora, który wystąpił w roli trenera, a wkrótce potem zginął tragicznie. Igor nie mógł odżałować tej przedwczesnej śmierci, na swój sposób budując wokół postaci Zbyszka Cybulskiego mit równie silny jak mit buntownika bez powodu. To ciekawe, z jaką łatwością śmierć w młodym wieku, taka nagła i niespodziewana, przeobraża fakty w mityczną nierealność.

Vincent nie poznałby również wielu innych polskich filmów, gdyby nie ta przyjaźń. Nigdy nie był w Polsce, a wyimaginowany obraz Warszawy stworzył sobie ze strzępków opowieści Igora: jak to było, gdy podczas sportowego zlotu młodzieży socjalistycznej zakochał się jak szalony w Niemce z Wismaru, a potem bez namysłu zrezygnował ze studiów i bez grosza przy duszy, a za to z ukochaną Christą u boku, wylądował we Francji. I, jak twierdził, nie była to żadna ucieczka.

– Każdy ma przecież prawo wyjechać i osiąść gdzie indziej, prawda?

Prawda, chociaż w przypadku Igora Paryż, gdzie postanowił ukryć się ze swoją zakazaną, a przynajmniej źle widzianą miłością, na zawsze pozostał jego prywatną twierdzą niezdobytą. Obcy może wrosnąć tylko tam, gdzie nie czuje się obco, mówił.

Spotkali się w klubie sportowym w Saint Germain-en-Laye, gdzie Vincent, mistrz francuskiej sztuki walki *savate*, pod okiem Igora trenował klasyczny boks, dopóki nie uległ poważnej kontuzji. Wprawdzie wyszedł z niej bez trwałych uszczerbków, jeśli nie liczyć złamanego nosa, ale do boksu już nie wrócił. I choć Igor nie rozumiał tej decyzji („Człowieku, boks to twój żywioł!”), wciąż się przyjaźnili, nawet zamieszkali po sąsiedzku w starym kamiennym domu w podparyskim Mareil-Marly, Igor z Christą na pierwszym piętrze, Vincent w pokoiku na mansardzie, skąd rozciągał się cudowny daleki widok na La Défence, zwieńczony smukłą sylwetą Tour Nobel.

Dużo ich łączyło, nie tylko smak polskiej wódki i niemieckiej kapusty

kwaszonej, duszonej z boczkiem i kielbasą. Vincent zapamiętał sobotnie kolacje i niedzielne pikniki pod niskopiennymi gruszami w ogrodzie za domem, upływające wśród żartów opowiadanych w językach, z których żaden nie brzmiał poprawnie („Och, Christa, ty i twój niemiecki. Jak można zbudować całe zdanie z jednego wyrazu? Sama powiedz, czy to brzmi logiczne: Maliniszczycielehelikopterówdopadlibyli?”). Zapamiętał bagietki u piekarza przy rue du Belvédère, po które wyskakiwali co drugi dzień na zmianę, i uśmiechy wymieniane z Agnès Camargue w trafice na rogu, gdzie zwykle Igor po drodze na stację kupował *brunes*, popularne *gauloise*'y bez filtra o charakterystycznym ostrym smaku, jaki dawała wyjątkowa mieszanka ciemnych tytoni z Syrii i Turcji. Mocne, lepsze od sportów, mówił Igor, chowając pudełko do kieszeni, po czym usiłował opowiedzieć Vincentowi o smaku papierosów, które z niejasnych przyczyn miały się kojarzyć ze sportem. Wiosną i jesienią nosili mocno ściśnięte paskami prochowce, zimą podobnego kroju płaszcze lodenowe. Prawdziwi młodzi gniewni, z chmurnym spojrzeniem i nieodłącznym papierosem przyklejonym w kąciку warg.

Najważniejsze jednak były ich długie nocne rozmowy „egzystencjalne”. Vincent uwielbiał te dysputy, choć traktował je z przymrużeniem oka, jako typowo słowiańską przypadłość, niemal jednostkę chorobową, taką samą jak depresja czy zapalenie zatok. Bo w końcu ile można opowiadać o samotności jednostki, wolności i potrzebie rewolucji, całą resztę stawiając pod znakiem zapytania? Szczerze mówiąc, Vincent nie powinien okazywać zdziwienia, zważywszy na wydarzenia '68, które francuskim studentom uderzyły do głów równie mocno jak Polakom ich kolejne bunty, ale był młodszy o pokolenie od Igora i spóźnił się dobrych kilka lat na paryski maj, a młodość ma krótką pamięć.

Było w tych rozmowach i w tej przyjaźni dziwne niedopasowanie polskiego emigranta z wybitnie uzdolnionym francuskim studentem matematyki, ale zarazem poczucie stałości, potwierdzenie niezmienności, niosące spokój. Przynajmniej do czasu gdy – już w La Roseraie, gdzie po ślubie Vincent zamieszkał z Yvonne – pewnego dnia wszystko nagle rozpadło się na kawałki, na bardzo ważne małe kawałki, które pewnie nigdy już się nie skleją w całość. A może nie stało się to nagle, tylko przez lata nieudanego małżeństwa działa się tak powoli, że Vincent tego nie zauważył?

Po prostu pewnego dnia poczuł chłód.

Yvonne nie zrobiła mu nic złego, była z innego świata, to wszystko. Zawsze opanowana, o nieskazitelnej urodzie i nienaganych manierach, szczupła, zadbana i taka klasyczna w żakietach od Chanel i Lagerfelda, była kobietą z rodzaju tych, o jakich w kręgach posługujących się językiem porównań powiedziano by: piękna jak Catherine Deneuve, chłodna jak dobry szampan. Nałożone odbicie tych porównań miejscami idealnie do niej pasowało, z biegiem lat, paradoksalnie, nawet

coraz bardziej.

Vincent nie rozumiał tego języka, nie chciał brać udziału w grze pozorów, w której zwycięzcy byli podobni do gwiazd filmowych, a przegrany nie przypominał nikogo poza sobą. On wolał rozmawiać językiem przybliżeń i to nie tylko dlatego, że taki był temat jego doktoratu z matematyki. Gdy pierwszy raz ujrzał Yvonne – było to w Wielki Piątek, podczas koncertu wielkanocnego – na widok jasnowłosej dziewczyny w czarnej sukni, z partyturą *Stabat Mater* Pergolesiego, w której, jak miał się potem przekonać, czerwonym ołówkiem zaznaczyła partie altowe, oblała go fala gorąca. Pierwsza rozmowa, gorąco, pierwsza kolacja w restauracji, ciepło, w domu – gorąco, na granicy omdlenia. Pierwsza noc, temperatura wrzenia. W czasie pierwszego spotkania z przyszłymi teściami Vincentowi kilkakrotnie przyszedł na myśl przenikliwy wiatr, zimą, w jego rodzinnej Akwitanii. Nie odebrał sygnału, nie odczytał ostrzeżenia. To nic, w salonie był przeciąg, idący od wysokich *porte-fenêtres*, stąd to uczucie chłodu.

Zakochany i rozpalony Vincent tak bardzo pragnął jasnowłosej dziewczyny z chóru, śpiewającej frazy Pergolesiego czystym altem, że jego własny wewnętrzny żar poradził sobie bez trudu z lodowatą aurą panującą w domu państwa De Vries. Nie wyobrażał sobie dnia bez telefonów, bez tysiąca okazji, by musnąć dłonią jej jasną skórę na ramieniu, pytać, opowiadać.

W takim nastroju Vincent, już jako wykładowca matematyki, zamieszkał z młodą żoną w La Roseraie, ładnym zespole nowych domów, ze wspólnym basenem, w obrębie starego Mareil. Położony na wzgórzu, skąd przy dobrej pogodzie mieli widok na Paryż, mimo że nowy i niezbyt duży, to jednak dzięki otoczeniu starych willi z ogrodami i bliskości wiekowego lasu budynek bardziej zasługiwał na nazwę rezydencji niż domu jednorodzinnego. Dobra lokalizacja dla przedstawiciela klasy średniej i doskonały adres dla francuskiego inteligenta, którego nie stać było na nic większego, biorąc pod uwagę naukowe uposażenia, które, jak chyba wszędzie, są we Francji relatywnie niskie. Nareszcie mogli być razem, razem w kuchni, razem w łazience, nocą w sypialni i rano na tarasie wśród pelargonii, razem na zawsze.

Czy to czas robi z nami takie sztuczki, czy rzeczywiście byliśmy inni, niż nam się wydawało, tylko nie chcieliśmy tego zobaczyć? Bo z czasem chłód tamtego pierwszego spotkania z rodzicami Yvonne zakradł się również do ich domu. Dla Yvonne było niepojęte, by jej mąż chciał od życia tylko tyle: po prostu być z kobietą, którą kocha. Prawdziwy mężczyzna, taki jak jej ojciec, powinien robić karierę, pracować, dążyć dalej, piąć się wyżej, pragnąć więcej. Jeśli znajomi, to wpływowi, jeśli rozmowa, to tylko o tym, dokąd i za ile, i jeszcze, co od kogo i z kim możemy załatwić. Jeśli doktorat, to tylko z myślą o lepszych zarobkach i wyjazdach na zagraniczne stypendia i konferencje. Niedziele w ogrodzie u starych Malików? Nie miały żadnej wartości, były bezinteresowne, a zatem bezużyteczne.

Tak myślała Yvonne, to wyniosła z domu i z prywatnych szkół. Była taka jak jej świat.

Swoją drogą, czy ktoś mógł przypuszczać, że Igor, wiecznie żartujący z ojczyzny swojej żony, mimowolnie naznaczy przyszły los Vincenta, wysyłając go właśnie do Niemiec?

– Tu masz adres, jedź na Sylt. Ten człowiek to Szwed, poznałem go kiedyś na promie do Ystad, on ci pomoże. I pamiętaj, to nie ucieczka. Każdy ma prawo wyjechać i nie wrócić, jasne?

*

Gdy po długiej i wyczerpującej podróży zszedł ze statku i postawił torbę na ziemi, w pierwszym odruchu pomyślał, że powinien natychmiast się czegoś napić. Na wszelki wypadek, żeby nie spanikować i tym samym statkiem zaraz nie zawrócić. Zapomniał, że to nie Francja i dobrego wina tu nie dostanie. Ani calvadosu. Ale po pięciu kuflach piwa przestał rozmyślać o francuskich winach i w ogóle o Francji. A po serii schnappsów, w tym kilku jabłkowych – którym wprawdzie daleko było do jabłecznej harmonii boularde z klarowną nutą dębu, ale mocy nie można im było odmówić – Vincent dogadał się na migi z właścicielem w sprawie pokoju, gdzie wkrótce zwałił się na łóżko, choć kompletnie nie pamiętał, jak i kiedy się tam znalazł. Dopiero gdy oprzytomniał, następnego dnia rano, zlokalizował łazienkę i klatkę schodową, dostał klucz. Ustalił cenę i formę płatności. („Pieniądze do ręki, żadnych czeków”).

W nowym miejscu i w nowym życiu zainstalował się z łatwością, o jaką sam siebie nie podejrzewał. Nie pracował, ale prawdę mówiąc, nie szukał zajęcia. Postanowił dać sobie czas. Nie wyznaczył terminu, nie chciał zaczynać od ograniczeń, określać, jak długo ma to trwać. O byt nie musiał się na razie martwić. Z małym kapitałem po matce i tym, co uzyskał ze sprzedaży samochodu w Hamburgu, gdzie wsiadł na statek, liczył, że na jakiś czas powinno mu wystarczyć.auta na wyspie nie potrzebował, żył skromnie, jadał niewiele.

Kupił małe plenerowe sztalugi, pędzle i farby. Całymi dniami włóczył się po okolicy, usiłując sobie przypomnieć, co na temat malowania miał mu do powiedzenia stary profesor Renard, u którego w latach licealnych, na życzenie matki, pobierał prywatne lekcje, dwa razy w tygodniu dojeżdżając do Bayonne. To nie apteka, chłopcze, zapomnij o precyzji! Nadmierna inteligencja czyni z nas obojętnych malarzy. Dobry obraz jest mądrzejszy od jego autora. Malowanie wymaga szczególnej ślepoty świadomości. Poddaj się temu, co widzisz wewnętrznym okiem. Jeśli będziesz za dużo wiedział o swoim obrazie, nic nie namalujesz. Otwórz się, chłopcze, otwórz!

I tak dalej. Profesor wykrzykiwał, pukając w jego prace końcem pędzla, a Vincent wytrwale uczył się anatomii obrazu, reguł złotego podziału i koła

barwnego, a następnie jak na rozkaz o nich zapominał.

Rodzice snuli plany w związku z przyszłością jedynaka. Matka, która wcześniej zachorowała na płuca i długo zmagала się z cierpieniem, marzyła, że Vincent zostanie malarzem. („Będziesz malował na świeżym powietrzu, to zdrowo, synku”). Ojciec o jego przyszłym zawodzie nigdy nie rozmawiał. Sam nie mówił o niczym innym poza winnicą, było dlań oczywiste, że Vincent przejmie rodzinną ziemię i zajmie się uprawą winorośli.

A Vincent? Robił to, co mu kazali rodzice, na przemian pomagając ojcu i uczęszczając na lekcje do profesora Renarda, ale naprawdę szczęśliwy był dopiero w szkole, w Dax, gdzie całą uwagę mógł poświęcić matematyce. Nie przeszkadzało mu, że musiał codziennie dojeżdżać z Saint-Jean-de-Marsacq, ponieważ ojciec nie zgodził się na internat. Wyjedziesz, nie wrócisz, mówił. Człowiek nie wraca do kamieni, które ranią ręce. Nicolas le Puy nie wyobrażał sobie, by jego winnicę miał przejąć ktoś obcy.

Matematyka stała się jego czarnym koniem. Vincent wygrał ogólnokrajowy konkurs, dostał stypendium i wkrótce wyjechał na studia do Paryża, gdzie nareszcie mógł się zająć wyłącznie liczbami. Do domu jeździł rzadko, sceny z rodzinnej winnicy i pracowni malarskiej powracały jedynie w snach. Słyszał wtedy głosy matki i profesora Renarda, widział zacięty wyraz twarzy ojca.

Gdyby jednak ktoś go o to zapytał, bez namysłu odpowiedziałby, że wtedy, tam, w Saint-Jean-de-Marsacq, wiódł szczęśliwe życie. Czego chceć więcej od miejsca, gdzie trudno ustalić granice między człowiekiem a naturą? Ziemia dobrze służy winorośli, chleb piecze się w domu, calvados stosuje jako lekarstwo skuteczne na wszystko, a najlepszym napojem orzeźwiającym w letnie upały jest białe wino z dodatkiem crème de cassis z czarnej porzeczki. Rozlewna rzeka wzywała do kąpieli, rozklekotany rower, traktor w winnicy i konie ujeżdżane na oklep dawały poczucie pędu, wolności i nadprzyrodzonej mocy. Myśliwski puukko, o krótkim ostrzu i rękojeści z rogu, przywieziony z Laponii przez wuja Xaviera, posłużył do wystrugania pierwszej wędki, pierwszej procy i pierwszego łuku. Tak, Saint-Jean-de-Marsacq to było dobre miejsce na początek.

Sylt to także był początek. Inny i znacznie spóźniony, ale zdecydowanie – początek.

*

– Brawo, *sir* Vincent! – Rose rozsypała szalik i rozpięła gruby sweter. – Bardzo ładnie zanucił pan dla mnie przyśpiewkę o samodzielności, a następnie popadł w skandynawską zadumę – mówiąc to, Rose obejrzała się na Johannaesa. Ci, co go dobrze znali, wiedzieli o jego melancholii. Gdy go dopadała, wieszał klucz do baru na haczyku przy drzwiach i oznajmiał: „Kto ma czas i ochotę, może mnie zastąpić”, sam zaś, bez bagażu, jedynie z Agatem, wyjeżdżał na Gotlandię.

Vincent ocknął się z zamyślenia.

– Przepraszam, mówiłaś coś?

– Pytałam, czy dobrze rozumiem, że w odpowiedzi na twoją depresyjną przyśpiewkę powinnam stanąć na środku sali i odtańczyć jakiś skoczny taniec ludowy. Ale, niestety, nie znam kroku. Nawet nie wiem, kim jestem, a co dopiero, co mam począć z tym poczętym dzieckiem. – Westchnęła z teatralną rezygnacją i podparła się pod brodę. – Może ty mi powiesz?

Vincent mruknął coś wyraźnie speszony. Na chwilę zapomniał o Rose, jej pytania przypomniały mu inny czas, inne rozmowy.

– Nie wiem, Rose, co masz zrobić. Nie znam się na dzieciach. Ale chyba nie rodzimy ich bez powodu. Jest w tym głębszy sens, gdzieś poza nami, musi być, prawda? A skoro tak, to i ty niepotrzebnie się niepokoisz... – urwał. Zabrzmiało to enigmatycznie i dziwnie łagodnie, jakby tę radę dawał nie młodej kobiecie w ciąży, tylko sobie. Sobie i swojej dawno niewidzianej żonie, która na słowo „dziecko” reagowała z takim lękiem. Uważny słuchacz z łatwością wyłapałby nutę smutku. – Twoje dziecko samo ci powie, kim jesteś, nawet nie będziesz musiała go o to pytać. Taki już jest ten świat.

– A czy świat wytłumaczył ci, dlaczego wciąż przesiadujesz u Johanna i albo wiecznie malujesz to samo morze, albo... to? – zawołała Rose zaczepnie, niemal z triumfem. Jednocześnie szybkim ruchem otworzyła grubo szkicownik o zniszczonych narożnikach, który podczas rozmowy od niechcenia przeglądała.

Odwróciła go i podsunęła Vincentowi: rozłożone strony wypełniał jeden powtarzający się motyw: etykiety francuskiego wina, narysowanej cienkim piórkiem z kaligraficzną dokładnością.

Spojrzał zaskoczony. Jakby przyłapała go na gorącym uczynku. Bez słowa wyjął jej szkicownik z rąk, zamknął i wsunął do torby.

Rose nigdy u niego nie była, nie mogła wiedzieć, że Vincent spędzał wieczory, nie zapalając światła. Wpatrzony w czarny prostokąt okna, stał odwrócony plecami do wnętrza, gdzie na komodzie pokrywały się kurzem dwie butelki Domaine de la Vieille Julienne Châteauneuf du Pape, jego przeszłość zamknięta korkiem, zalakowana. Otworzysz, jak będzie czas, rzekł Igor na pożegnanie. Ale wciąż ich nie otwierał, wiele razy myślał nawet, żeby dać je komuś w prezencie lub wyrzucić. Jednak z jakiegoś powodu tego nie robił. Nie mógł czy nie chciał, tego nie potrafiłby powiedzieć. Na co czekał?

Wstał trochę zbyt gwałtownie. Za dużo pytań. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku miał rację. Pytania są niebezpieczne, dotyczą, odsłaniają prawdę, budują więzi. Pociągają za sobą następne pytania.

A on nie był gotowy.

– Co pijesz? – rzucił przez ramię w kierunku Rose. Podchodząc do kontuaru, na ułamek sekundy przystanął. Ogarnął go cień niepokoju, a może zdziwienia, gdy

nagle zdał sobie sprawę, że nie musi czekać na odpowiedź, ponieważ wie. Wie, co zamówić dla Rose.

*

Chrzęst żwiru na ścieżce prowadzącej na ganek zabrzmiał wyjątkowo głośno, może z powodu wilgoci w powietrzu, a może dlatego, że po sezonie wyspa wcześniej milkła.

Vincent wszedł do domu; skrzypnięcie drzwi wejściowych i zgrzyt zawiasów wydały mu się tak głośne, że zamarł w pół kroku z obawy, że pobudzi sąsiadów. Zmarszczył brwi; nie miał sąsiadów, nie znał nikogo w tej okolicy, od najbliższego domu dzieliło go kilkaset metrów, trudno to było nazwać sąsiedztwem.

Nie zapalił światła, poświata latarni ulicznej była wystarczająco jasna. Nie zdejmując kurtki, odsłuchał wiadomości na sekretarce. Ściśle rzecz biorąc, była tam tylko jedna wiadomość, potwierdzenie spotkania, o którym i tak by nie zapomniał.

Włączył muzykę. Jak zwykle nie przeglądał płyt, których miał sporo, nie wybierał, zawsze słuchał tego samego. I nie chodziło o to, że inna muzyka go nudziła czy nie interesowała, tylko że w jakiś nieuchwytny sposób *Astigmatic* Komedy przystawała do niego z matematyczną dokładnością. Była jedynym namacalnym śladem jego paryskich lat, jedynym oprócz tych dwóch butelek wina, które na pożegnanie podarował mu Igor.

Dzisiejszy dzień nie zakończył się dobrze. Właściwie bez powodu, bo trudno określić powodem zmianę nastroju, która zburzyła jego z takim trudem wypracowany spokój.

Pojawiło się za dużo pytań. Zwykle do tego nie dopuszczał, wycofywał się w porę.

Dlaczego dziś nieoczekiwanie ogarnęło go poczucie, że znają się z Rose od dawna? Czy to ta jej niewinna ciekawość, z jaką bez namysłu wkraczała na czyjś prywatny teren, pokonała w nim wyimaginowany dystans wobec świata, jaki sam sobie narzucał? A może to ta jej trzydziestka, którą wciąż od miesięcy celebrowała? Każde doświadczenie jest wtedy jeszcze prawdziwym początkiem, a nie początkiem „nowym” czy „kolejnym”, jak to bywa, gdy boleśnie poturbowani, próbujemy wyzerować nasze życie i zacząć wszystko od nowa w przekonaniu, że tym razem na pewno będziemy mądrzejsi.

Kogoś mu przypominała. Było w niej coś z Dominiki z *Pewnego uśmiechu* Saganki. A może nawet coś z Yvonne, tak, Yvonne z okresu ich pierwszego zauroczenia, gdy na myśl o czekającym go spotkaniu Vincent bezwiednie przyspieszał kroku, przebiegał przez ulicę i lawirując między samochodami, przeskakiwał kałuże i niewidoczne przeszkody. Rose miała w sobie podobną niewyczerpaną *joi de vivre*, tę jakąś dziwną zdolność do przeżywania wszystkiego,

jakby działo się tylko dla niej, mimo że przecież już wiedziała, iż jest to jedno wielkie oszustwo. Jeszcze nie uświadamiała sobie w pełni, na jakim rozdrożu się znalazła, raczej to tylko przeczuwała, ale nie uciekała przed tym, nie próbowała się wymknąć. Pozwalała biec sprawom własnym torem.

Przyjechała na Sylt na wakacje, zostaje na całe życie. Decyzja zakochanej trzydziestolatki nie płynęła z desperacji, podjęła ją impulsywnie i w całkowicie odmiennej sytuacji, gdy jeszcze miała dla kogo zostać. Ciekawy paradoks: myślimy, że zostajemy dla kogoś albo z jego powodu decydujemy się na rozstanie, a tak naprawdę robimy to dla siebie. Czy dlatego Rose zaczęła przychodzić do baru i przesiadywać przy stoliku Vincenta? Bo potrzebowała czyjejś bliskości – aby poznać siebie?

Mówiąc, bezwiednie dotykała jego ręki albo skubała mankiet jego koszuli. Chodziła w jego swetrach. Nie pożyczala ich, tylko bez pytania je anektowała.

Kim dla niej był? Dojrzałym mężczyzną, kimś, kto wiedział więcej, był mądrzejszy? Figurą ojca i opiekuna? Rodziną zastępczą?

Ta myśl poruszyła Vincenta. Poczul się odpowiedzialny za Rose i jej dziecko. Wrócił niepokojący odruch ucieczki, jakiego nie doświadczył od lat.

*

Vincent rzadko bywał w domu, nigdy go nie ogrzewał, podobnie jak nie przejmował się sprzątaniami czy koniecznymi remontami.

Dom, a raczej domek rybacki, był parterowy, z niską powalą, małymi okienkami i dobudowaną pracownią, dlatego nazywał go przyziemnym. Mimo że znajdował się w zacisznym zakątku miasta, na rogu Waldwinkel i Heideweg, Vincent źle tu sypiał. Nie tylko dlatego, że cierpiał na chroniczną bezsenność.

Odruchowo sięgnął po stary wyciągnięty sweter ze skórzanymi łatami na łokciach, ten sam, po który Rose natychmiast wyciągała rękę, ilekroć zjawiała się w barze. Narzucając go na ramiona, Vincent wyczuł nikły zapach angielskiego talku. Ale możliwe, że się mylił, i był to tylko zapach mydła, którym po przyjeździe do domu umył ręce.

Na półce nad kominkiem błysnęła srebrna ramka z secesyjnym motywem lilii. Wytłoczony w metalu relief, mimo mroku panującego w pokoju, był wyraźnie widoczny, podczas gdy fotografia Yvonne pozostawała ciemną plamą.

Przechodząc do pracowni, Vincent nie zatrzymał się przy kominku, nie spojrzął na zdjęcie. Znał tę twarz na pamięć.

Ponownie nastawił tę samą płytę. Podszedł do okna, jednak po raz pierwszy od dawna zamiast na nocne niebo, jak zawsze wiernie milczące, spojrzął na ogród – osłonięty od wiatru kamiennym murem splechetek ziemi, który był jego własnością. Kupił go wraz z domem i przylegającą doń komórką na narzędzia z jednej strony i wiatą, za poprzednich właścicieli pełniącą funkcję garażu,

z drugiej. Vincent nie miał samochodu.

Jego ogród, ziemia niczyja. Wapienno-gliniasta i zapewne słona, mimo zapuszczenia, musiała być urodzajna, sądząc po wielkości liści łopianów i wysokości pędów pokrzyw, ostów i wrotyczu. Tutaj zawsze było zaciszniej niż na zewnątrz, w wąskich uliczkach, na bulwarze czy w porcie. Cicho i ciepło.

Przyszło mu na myśl, że gdyby miał więcej rozumu i energii, to zamiast malować te swoje nikomu niepotrzebne morza, mógłby się zająć jakąś hodowlą. Kto wie, może nawet jego ulubione w dzieciństwie figi i morele by tutaj urosły? Pewnie nie miałyby równie słodkiego smaku słońca jak w Akwitanii, ale mimo wszystko dalekie wspomnienie tamtego aromatu, choćby nawet z posmakiem soli, i to z własnego ogrodu – cóż by to była za przyjemność!

Odruchowo pomacał się po kieszeni w poszukiwaniu paczki papierosów. Dawno zapomniany gest; od przyjazdu na wyspę Vincent nie palił.

Wspomnienie niebezpiecznie poruszyło pamięć: [...] *and then I go back where I came from to 6th Avenue / and the tobacconist in the Ziegfeld Theatre and / casually ask for a carton of Gauloises...*¹⁰. Zapach, nawet dawno zapomniany, bywa niebezpieczny.

Vincent odwrócił się gwałtownie od okna. Zapalił światło. Rozejrzał się wokół, jakby nagle znalazł się w obcym pokoju w cudzym domu. Albo w hotelu.

Podszedł do stołu i sięgnął po list, który leżał tam od wielu dni. Niecierpliwym ruchem rozerwał kopertę.

LIST Z SAVATE

J.

Jeśli chcemy wiedzieć, kim jest Vincent, nie wystarczy to, co dostrzegamy w nim teraz, na wyspie.

W jego zapiskach odnajdujemy tropy z przeszłości, dzięki nim możemy się dowiedzieć, czym żyli on i jego pokolenie. Zrozumiemy, dlaczego na pytanie Rose Vincent, wprawdzie Francuz, ale zaprzyjaźniony z polskim melancholijnym emigrantem, odpowiada słowami trenera, genialnie zagrane przez Cybulskiego. Scena z młodym Olbrychskim, naszym rodzimym odpowiednikiem Delona czy Belmondo, którzy wówczas rozpoczynali swoje kariery, do obejrzenia pod tym linkiem: https://www.youtube.com/watch?v=KKWTb_Y3D90. Ewentualnie opisowo: YouTube / Stanisław Dygat / Disneyland / JOWITA / (1967) / kłótnia trenera Księżaka z Arensem.

Od Zbyszka Cybulskiego już tylko krok do kina francuskiego i samego Vincenta z czasu, kiedy formował swoją osobowość, zadawał pytania o tożsamość, poszukiwał własnego miejsca. I sfrustrowany swoją „spóźnioną” młodością, zazdrościł starszym kolegom i przyjaciółom, a nawet własnemu ojcu, że zdążyli na kolejne wojny i rewolucje. W tym kontekście doskonale sytuuje się boks. *La savate*, francuska odmiana boksu, dla jego pokolenia była atrybutem mody, jak

ubiór, kapelusz czy marka papierosów. A skoro Vincent trenował (stąd ten złamany nos!), to nikt lepiej niż on nie rozumiał, o czym mówi filmowy trener z *Jowity*.

Sztuki *savate* nauczył Vincenta przyjaciel ojca Xavier Barry z Marsylii. Znali się ze służby w marynarce wojennej, spotkali w Algierze. Ojciec wrócił potem w swoje strony, ożenił się i zajął rodzinną winnicą, podczas gdy Xavier, awanturnik z blizną od noża na skroni i tatuażem na przedramieniu, dom miał wszędzie tam, gdzie położył kapelusz. Co pewien czas wpadał do Nicolasa le Puy z dłuższą wizytą – zwykle było to zimą – i wtedy potajemnie uczył chłopca sztuki walki i samoobrony. Kazał mu się do siebie zwracać *per* „panie wuju”, zabraniał łąz i mazgajstwa, a przy okazji miał do przekazania kilka Prawd Życiowych. O miłości i rozstaniach, które są wprawdzie bolesne, lecz stanowią najlepszą przyprawę życia, dlatego nawet największy spryciarze wciąż wpadają w tę samą pułapkę. O zdrowym rozsądku i obłąkaniu, które zawierają się w sobie nawzajem, dlatego nie wiadomo, kogo tak naprawdę leczyć i z czego. Albo o pieniądzach, którym brak powietrza, dlatego lepiej żyć bez pieniędzy jak ptak. I reguła podstawowa, którą sam Xavier zawsze się kierował, że trzeba odpłacać na równi za dobro i za zło, ale niekoniecznie sprawiedliwie temu, kto nam dobroczy zło wyrządził.

Skądinąd, ciekawe pytanie, dlaczego tamto pokolenie wyobrażamy sobie najchętniej jako czarno-białą fotografię, w stylu Cartier-Bressona i jego kolegów z kręgu „Magnum”, skoro były już wtedy kolorowe klisze? Na dowód załączam kilka zdjęć: La Roseraie i basen (fot. 1), Nanterre (fot. 2), Mareil-Marly (fot. 3 i 4). Zaskakuje mnie w nich dziwne światło i ta rozbielona gama kolorów. Sama już teraz nie wiem, czy to te fotografie po latach wyblakły, czy tak było naprawdę?

Zaraz czwartek, czyli „mały piątek”, dobrze. Tymczasem więc, do usłyszenia,

B.

PS Bar u Johannesesa – tak mówią o nim stali bywalcy. Sam Johannes wciąż nie może się zebrać, żeby zamówić przyzwoity sztyld. Trochę z braku czasu, ale też dlatego że Vincent obiecał wymyślić nazwę. Początkowo miało być „À bout de souffle”, obaj jednak zgodnie uznali, że nazwa jest za długa, człowiek się o nią potyka. Może więc będzie „Borsalino”. Albo, na przykład, „Bande-à-part”.

LIST Z POKOLENIA

Droga J.

Wróć jeszcze do Vincenta. Wiemy już o nim sporo, ale nadal nie wszystko. Ile ma lat? Policzymy: James Dean zginął w 1958, Cybulski w styczniu 1967, obaj byli już legendą nie tylko dla młodego Vincenta, ale i dla znacznie od niego starszego polskiego przyjaciela. A zatem początek studiów mógł przypaść na pierwszą połowę lat siedemdziesiątych, nie wcześniej. Czyli – rocznik '53? To sytuuje Igora Malika w pokoleniu Cybulskiego (rocznik '27).

Postaci takie jak Malik są w życiu ważne, ponieważ spełniają podwójną funkcję, której rodzice, z oczywistych powodów, nie mogą i nie powinni na siebie brać – mistrza i przewodnika. Trenera. Do tego potrzebny jest ktoś z zewnątrz. To w życiu. A życie intelektualne? W Nanterre, na Université de Paris-X, uczelni, jak wiemy, mocno zaangażowanej w wydarzenia Maja '68 (stąd potoczna nazwa „Nanterre la folle” i „Nanterre la rouge”), Vincent poznał charyzmatycznego Jeana Baudrillarda, autora słynnej pracy *L'Autre par lui-même* (Inny wobec siebie samego). Wprawdzie socjolog, a nie matematyk, Baudrillard wywarł na Vincencie głębokie wrażenie, zwłaszcza jego poszukiwania „totalnego znaczenia”. To była miara, swego rodzaju warunek poprawności podejmowanych decyzji. Samotność okazała się jedynie skutkiem ubocznym, o którym Baudrillard nie wspomniał, a Vincent go nie przewidział.

W 1956 roku Gollancz opublikował książkę Colina Wilsona *The Outsider*. Dwudziestoczteroletni wówczas autor analizował społeczną rolę artysty outsidera na podstawie przełomowych dzieł takich pisarzy, jak Camus, Sartre, Hemingway, Hesse, Dostojewski czy T.E. Lawrence; na liście byli również artyści z innych dziedzin, jak Niżyński i van Gogh. *The Outsider*, do dziś uważany za bestseller wszech czasów, stał się wykładnią i manifestem „młodych gniewnych” (*Angry Young Men*) brytyjskiej literatury, debiutujących około roku 1956, jak Amis (ojciec, nie syn), Larkin, Braine czy Osborne. Sztuka tego ostatniego *Miłość i gniew* (*Look Back in Anger*) przyczyniła się do utrwalenia nazwy nie tylko grupy literackiej, ale całego pokolenia młodych buntowników, występujących przeciwko skostniałej mieszczańskiej obyczajowości i małej stabilizacji.

Wilson namieszał w młodych głowach. Zasiał ziarno egzystencjalizmu, dowodząc, że alienacja jest niezbędnym warunkiem kreatywności. „Nowoczesność” tego nastawienia doprowadziła do śmierci wielkich hierarchii i wyzwolenia od norm społecznych; wolność jednostki stała się warunkiem *sine qua non*. Młodzieńcza wizja Wilsona okazała się jednym z najbardziej kontrowersyjnych wyzwania intelektualnych ówczesnej Anglii.

Rewolucje, jak wszelkie zrywy w poszukiwaniu wolności, powracają z zadziwiającą regularnością, niczym epidemia grypy albo ospy wietrznej. Vincent był o pokolenie młodszy od Igora, jak sam twierdził, spóźnił się. No, niezupełnie spóźnił. Świadomie czy nie, on i jego pokolenie zbierali owoce tamtych buntów – angielskich młodych gniewnych, warszawskich i paryskich studentów.

Jednego Wilson ze swoim *Outsiderem* nie przewidział: że łatwiej wznieść bunt, niż potem żyć z nim długo i nieszczęśliwie. Kto wie, może dlatego Vincent wolał, jak u Truffauta, „rozmyślanie o życiu niż samo życie”?

Odezwij się w wolnej chwili,

B.

PS Dziś dotarł do mnie chleb z Krotoszyna, z piekarni Brykczyńskich,

i jednocześnie Twój przepis na tartę z zielonymi szparagami. Otworzyłam więc dzień zapachem i smakiem naszego domu rodzinnego, a zamknęłam pyszną kolacją (ciasto francuskie najpierw podpiekłam na złoto, a dopiero potem ułożyłam ugotowane szparagi i posypałam wiórkami mozzarelli, po czym wszystko jeszcze przez krótki czas zapiekłam). To był dobry dzień.

PS 2. Aha, w sprawie konfitury morelowej: znalazłam francuski przepis, co zważywszy na wiadome tropy fabularne w *Księżycu*, wydaje się ciekawą opcją. Francuzi robią znakomite konfitury, myślę więc, że przepis Ci się spodoba. Zobaczymy, kto przejmie tradycję po pani Schachmann. Fakt, że nie chciała zdradzić swojej receptury, nie musi przecież oznaczać, że ta sztuka nie uda się komuś innemu, na przykład Rose albo *Frau Bellitz*.

Rozdział 4: Z braku dowodów

Komisarz Herzog był zawiedziony.

Wbrew oczekiwaniom, dochodzenie w sprawie brutalnego pobicia okazało się żmudne i mało ciekawe. Żadnej sensacji, żadnej brawurowej akcji, żadnych poszlak. Krótko mówiąc, policyjna rutyna zmierzająca do łatwo przewidywalnego końca.

Kilka dni po zdarzeniu Jasmine Roegge pomogła ustalić tożsamość ofiary. Cyryl Neuhaus, lat dwadzieścia jeden. Pochodził z Hamburga. Z rozbitej rodziny, wychowany przez matkę. Student prawa na uniwersytecie w Lubece. Spokojny, pracowity, dobre wyniki w nauce, pozytywne opinie profesorów i kolegów. Niekarany. Nic, nawet mandatu za parkowanie. Na Sylt przyjechał sam, dziewczyna miała dołączyć do niego dwa dni później, po egzaminie. Wszystko.

Hans Meyer potwierdził zeznania Roegge, od siebie niewiele mógł dodać. Neuhaus przyjechał na wyspę pierwszym porannym pociągiem. Wysiadł w Keitum, do List dotarł autobusem. Na wydmy ani na klify się nie wybierał, sportów nie uprawiał. To miał być krótki pobyt, powiedział, dwa, najwyżej trzy dni. Wspomniał, że ma coś do załatwienia. Z pokoju był zadowolony.

O której przyjechał? Niezbyt wcześnie, ale na pewno było jeszcze przed południem, ponieważ w południe Meyer zawsze pił swoją drugą filiżankę herbaty.

– Rano zaczynam od słodkiej bawarki. W południe parzę kolejną porcję i tym razem piję czarną, bez cukru i bez mleka. Bardzo pilnuję ilości płynów – tłumaczył. – Pan rozumie, dla zdrowia...

Komisarz Herzog rozumiał. Ale miał jeszcze kilka pytań.

– Czy jestem pewien? – Meyer spojrzał na niego z lekką urazą. – Ależ tak, jestem absolutnie pewien, że więcej się nie pojawił. Moi goście mają do dyspozycji klucz, co daje im pełną swobodę, nie są jednak niewidzialni, nieprawdaż? – Meyer zaśmiał się ze swojego żartu. – Poza tym słuch może mam nie najlepszy – wskazał na aparat słuchowy – ale pamięć mi jeszcze nie szwankuje. Jeśli chodzi o pana Neuhaus, wydał mi się dobrze wychowany i nieśmiały, toteż zaprosiłem go na podwieczorek. Nie przyszedł, jak obiecywał, czym sprawił mi taką przykrość, że tego dnia nie byłem w stanie grać. Bo musi pan wiedzieć, że grywam na fortepianie codziennie o tej samej porze od ćwierć wieku. Głównie Schuberta, Straussa, Chopina, rzadziej sięgam po... – przerwał, widząc gest zniecierpliwienia komisarza. – Rzeczy? A tak, rzeczy. Pan Neuhaus wyszedł z takim... – Meyer zawahał się, szukając właściwego określenia. – Plecak kojarzy się z czymś większym, ten zaś był mały, płaski, powiedziałbym, poręczny.

Przed wyjściem Neuhaus zdążył się rozpakować. Najwyraźniej zamierzał wrócić niezbyt późno i poczytać przed snem, bo na nocnym stoliku położył książkę.

– Doradziłem młodemu człowiekowi, żeby się zabezpieczył przed deszczem. Prognozy nie były najlepsze. Porywisty wiatr, możliwe opady. Zawrócił do pokoju po kurtkę, ale za parasol, który chciałem mu pożyczyć, podziękował. – Mówiąc, Meyer żywo gestykulował. Z przejścia dostał wypieków.

Co do koloru nie miał wątpliwości.

– Kurtka? Była żółta i nieprzemakalna, jak te rybackie, tyle że bez kaptura. Akurat to zapamiętałem bardzo dokładnie, bo pomyślałem, że turyści nieczęsto są aż tak dobrze przygotowani na tutejsze warunki.

Meyer usiadł sztywno na brzegu fotela. Był wyraźnie zmęczony, oddychał płytko, z widocznym wysiłkiem.

Serce albo astma, pomyślał Herzog. Lepiej staruszka zanadto nie męczyć. W każdej chwili możemy tu wrócić, dokończyć przesłuchanie.

Hans Meyer był z zawodu księgowym, jego zeznania obfitowały w szczegóły. Nie wszystko się jednak zgadzało. Po pierwsze, nie było żadnej książki. (Zapytać o to J.R.). Po drugie, plecak i kurtka. Meyer twierdził, że wychodząc, Neuhaus miał je ze sobą. Ale wśród rzeczy w szafce szpitalnej ich nie było.

Trawnik przed domem Meyera znaczyły kwadraty świeżej darni. Kilka kamieni wokół klombu również wymieniono; wyraźnie się odróżniały od pozostałych, wymagały pobielenia wapnem.

Herzog stał już w otwartych drzwiach. Jesienne porządki. Pomyślał o swoim ogrodzie.

– Ma pan krety? – spytał, zapinając płaszcz.

– Krety...? – powtórzył za nim Meyer, nie bardzo rozumiejąc, czego tak naprawdę miało dotyczyć pytanie. – Dlaczego pan pyta?

*

Pozostali mieszkańcy w okolicy mieli równie mało do powiedzenia; było ich niewielu, a posesje znacznie od siebie oddalone. Kierowca wywrotki Lothar Krass, który tamtego dnia dostarczył w sąsiedztwie żwir na podjazd do garażu, miał z początku niewyraźną minę. Nie chciał wyjawić, o której przyjechał z ładunkiem. Książki kursów także nie chciał pokazać.

– O której? – Mężczyzna był otyły i flegmatyczny. Przez cały czas żuł gumę.
– Mniej więcej po południu. A data jest na fakturze, to chyba wystarczy?

Komisarz Herzog podniósł wzrok znad notatnika i oznajmił cierpko, że sam oceni, co mu wystarczy. Tak się składa, że faktura nie wystarczy, nie tylko dlatego, że nie ma na niej podpisu klienta. Brak podpisu jest równoznaczny z brakiem dowodu, że kierowca mówi prawdę. To proste.

Dlatego chce zobaczyć książkę.

– W poprzedniej pracy też tak było: mniej więcej, o ile dobrze pamiętam.

Jazda po pijanemu, kłopoty z drogówką. – Herzog zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. – Ciekawe, czy szef będzie mniej czy więcej zadowolony, jak się o wszystkim dowie?

Mężczyzna potarł czoło otwartą dłonią. Był spocony. Kolejnych pytań słuchał w napięciu, odpowiadał ostrożnie, z namysłem, jakby w obawie, że jakimś nieopatrzonym słowem znów się wpakuje w tarapaty.

– Szukamy młodego człowieka w żółtej kurtce przeciwdeszczowej, z plecakiem, może z torbą, może z książką. Włosy ciemne. Widział pan kogoś takiego?

– Nie dotarłem z transportem o umówionej godzinie, to przyznaję. Po drodze musiałem załatwić sprawę. Natury prywatnej. Ale żwir dostarczyłem, chociaż dopiero po południu. Człowieka w żółtej kurtce i z plecakiem nie widziałem. Ani w ogóle nikogo. Taka okolica.

Komisarz nie miał więcej pytań.

Z ręką na klamce Lothar Krass odwrócił się i spojrzał na Herzoga niepewnie.

– Ale szefa nie będzie pan informował? Ładunek przecież dowiozłem.

*

– Młodzi kolejno wynajęli u Meyera pokój, to wszystko – rzekł Herzog z westchnieniem, gdy tego samego wieczoru spotkali się z Vincentem w barze. – Meyer nie miał pojęcia, że młodzi się znają. Poza tym nikt ich nie zna, nikt ich nie widział. Dopóki nie mam dowodów ani zeznań naocznych świadków, moja hipoteza jest nic niewarta.

Vincent pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A masz już jakąś?

– Mam. Tylko co mi po niej?

Herzog zaszepił się. Jak do tej pory, trudno było mówić o dowodach. Zeznania Meyera nie miały związku z samym zajściem. A kierowca wywrotki – jak się zdaje, jedyny człowiek, który tego dnia pojawił się w okolicy – zajęty był głównie manewrowaniem.

Rose stanęła nad nimi z tacą w rękach. Vincent zerwał się, żeby jej pomóc. Odsunął dla niej krzesło. W pierwszej chwili się zawahała, ale ciekawość zwyciężyła, sprawa Neuhaus-Roegge nadal zaprzętała uwagę mieszkańców wyspy. Spotkał ją jednak zawód. Wprawdzie komisarz Herzog pozostał przy stoliku, żeby napić się piwa, ale więcej się nie odezwał. Zanim usiadła, Rose rozpięła sweter, stanowczo za ciepły na niespodziewanie pogodny dzień, i zamaszystym gestem podwinęła za długie rękawy. Wciąż opadały jej na dłonie, przeszkadzając w podpieraniu się na brodzie, picciu herbaty i szydełkowaniu różowo-niebieskich wdzianek dla dziecka.

– Nie rozumiem tego szumu wokół sezonów w modzie. Ja zawsze ubieram

się tak samo i zawsze mi dobrze – powiedziała z westchnieniem, siadając.

Ludzie różnie pokonują dystans dzielący ich od innych, różnymi sposobami zbliżają się do siebie nawzajem. Na przykład poprzez wspólne upodobania: te same ulubione filmy, książki i muzykę, gatunki serów i wina. Rose nie chciała się ubierać „tak jak Vincent”, nie chodziło jej o styl. Ona ubierała się „w Vincenta”. Nie zastanawiała się, co nią kieruje, robiła to bezwiednie.

– Słuchasz mnie? – Czekwała, aż Vincent zareaguje, ale nie podniósł oczu znad szkicownika. Był wyraźnie zażenowany obecnością Herzoga.

W końcu odłożył pióro i spojrzął na Rose.

Roześmiała się beztrzesko. Mężczyźni są tacy wstydliwi.

– Czujesz? – Podsunęła mu rękaw jego własnego swetra pod nos. – Twój sweter to nie rzecz na jeden sezon, tylko „do życia”. Co z tego, że bury i pachnie jak całe stado owiec. Przewiewny wiosną, ciepły zimą i w sam raz na chłodny letni poranek. Albo na jesień. Pójdę w nim do kawiarni i na plażę. Albo na randkę... – urwała. Przez moment zapomniała, że nikt nie umawia się na randki z kobietami po trzydziestce, na dodatek, w ciąży. – Zresztą nieważne. Tak czy inaczej, to najwygodniejszy ubiór do spania i do mycia okien. A spać i myć okna musisz niezależnie od sezonu, prawda?

A gdy nie doczekała się odpowiedzi, dodała:

– Szkoda, że nie nosisz kapelusza. – Nie wyjaśniła jednak, komu, według niej, w kapeluszu byłoby bardziej do twarzy, Vincentowi czy jej.

Herzog nie brał udziału w rozmowie. Niewiele wiedział o swetrach i kapeluszach. Nie zdziwił się, że Vincent milczał, sam również nigdy nie odczuł pragnienia, żeby na taki temat z kimkolwiek porozmawiać.

Sięgnął po jeden ze szkicowników Vincenta, których spory stos leżał na parapecie. Przerzucając kartki niezbyt uważnie, nagle zatrzymał się. Przesunął otwarty zeszyt po stole i odwrócił w stronę Vincenta.

– Co to za rysunek? Możesz coś powiedzieć na jego temat?

LIST Z POGRANICZA

Droga J.

Ta wyspa wciąga. Stopniowo rzeczywistość fabularna zaczyna wybiegać poza granice fikcji, przenika do realnego życia. Bywa to niebezpieczne (dla życia), ale przyznasz, że w znacznym stopniu ułatwia prowadzenie wielowarstwowej gry pozorów, wprowadza element zaskoczenia do i tak skądinąd chaotycznej codzienności. Ingmar Bergman: „Wiem mianowicie, że z pomocą filmu możemy przeniknąć do rzeczywistości, której nigdy byśmy nie zobaczyli. Do rzeczywistości poza rzeczywistością”¹¹.

Na takim tle – niemal filmowej nierzeczywistości – wszystko się teraz toczy; prozaiczna normalność wykazuje tendencje zanikowe. Rzeczy dzieją się jak u Bukowskiego, bezgłośnie roztapiając w miękkiej, mglistej przestrzeni. Taka

przestrzeń skraca perspektywę do kilku kroków. Wszystko staje się proste: wiem tyle, ile zdołam dostrzec, reszta w domyśle.

Pisarze nieraz opowiadają o tym, jak ich bohaterowie „wymknęli się spod kontroli i zaczęli działać na własną rękę”. Może naprawdę się wymykają? Wychodząc po chleb, łapię się na myśli, że jeśli po drodze do piekarni spotkam *Frau Bellitz*, to zapytam ją o tę konfiturę morelową. Przyznasz, że jest w tym coś z demiurgicznego budowania świata od początku.

Historia coraz bardziej się komplikuje. Nadal więcej pytań niż odpowiedzi. Co dalej?

B.

LIST ZE SZTORMU

J.

Gdy Eva chce coś przemyśleć, idzie najpierw do kuchni i parzy świeżą herbatę, a potem z parującym kubkiem staje przy oknie w saloniku. Tylko tam, z widokiem na wydmy i pas morza w oddali, dobrze jej się myśli. Wtedy ma wrażenie, że Thomas znowu jest z nią, rozmawia, słucha, radzi. Pomaga podjąć decyzję.

Albo taka scena: pacjent-bez-imienia zostaje wypisany z kliniki. Wędruje przez miasto, którego nie zdążył poznać, krąży bez celu, w końcu znajduje drogę do morza. Oszołomiony, staje na nabrzeżu, wdycha chłodne powietrze, poddaje się podmuchom szkwału. Trudno mu zrozumieć, co się z nim dzieje, czas sprzed wypadku zapadł się w czarną dziurę pourazowej amnezji. Ludzi nie rozpoznaje: kogoś znał, a nie może go sobie przypomnieć, ktoś inny pojawił się nagle, ale zaraz zniknął, a on zdążył zapamiętać tylko tyle, że tamten zadał mu ból. W wypisie ze szpitala, oprócz epikryzy, podano adres przychodni oraz nazwisko i numer telefonu terapeutki, która ma się nim zająć. Nie wie, co to oznacza, ale niczemu się nie sprzeciwia, a może tylko nie wie, jak mógłby zaprotestować. Mimo szumu fal i wiatru odbiera morze jako miejsce ciszy. Odchodząc, odwraca się po raz ostatni, patrzy. Chciałby tu wrócić.

Sztorm na morzu pojawia się w postaci nadciągającego frontu, jako zapowiedź czegoś groźnego, a czasem przez zaskoczenie, nagłym załamaniem pogody. Jak wtedy gdy zginął Thomas. Jest w tym coś z metafory ludzkiego losu, bez owego napięcia nie może być mowy o oczyszczającym działaniu *katharsis*. Na niebie zaczynają się gromadzić ciężkie chmury, fale rosną z minuty na minutę, grzywacze z rykiem przetaczają się i załamują, by z jeszcze większym hukiem opaść i wgnieść kadłub w wodę. Wiatr podrywa pasma piany, tak że granica między wodą a powietrzem zaciera się i niebo całkiem ginie z pola widzenia. Woda wydaje się czarna i gęsta, ale bywa też stalowa, niemal biała jak całun, napawająca grozą. W takich chwilach niejedyn zaprawiony w walce z żywiołem szyper przestaje przeklinać, milknie załoga. Opis się urywa, nie ma czasu na słowa, bo

walka toczy się o życie. Woda wdziera się na pokład, następny grzywacz może obrócić statek do góry dnem albo go wbić jak kafarem pod wodę i zatopić.

Żywioł morza to potężna siła: zagarnia statki, pochłania ofiary, pożera setki metrów lądu, plaże i wydmy, domy. Drzewa łamie, a nawet wyrywa z korzeniami. Sztormy zmiotły z powierzchni takie miasta jak Westerland czy Łeba; te współcześnie istniejące to kolejne wcielenia, odbudowane obok tamtych zatopionych, na pewniejszym gruncie, choć nadal blisko morza. Atlantydy wciąż szukamy, wierzymy w istnienie pradawnej Winety. Mieszkańcy Gotlandii do dziś opowiadają o „wielkiej wodzie”, która kiedyś zatopiła ich wyspę; w ich snach wciąż powracają wizje podwodnych miast.

Jak widać, porównanie z rozjuszoną bestią nie wydaje się ani przesadne, ani zbyt poetyckie. Najwięcej dni sztormowych na Morzu Północnym przypada na styczeń, od maja do sierpnia jest spokojniej. Sztormy pojawiają się ponownie dopiero od październikowej Pełni Myśliwych, kiedy w Księżycu zawiązują się wątki zdarzeń. Dni stają się krótsze, w mroku wszystko wydaje się inne, napięcie rośnie. Dziwne rzeczy dzieją się między ludźmi, a pewne zjawiska przyrody trudno wytłumaczyć racjonalnie, dlatego niektórzy skłonni są odczytywać je jako znaki i przepowiednie.

Nie obawiaj się, nie musimy poddawać się smagnięciom wiatru, żeby sobie wyobrazić, jak wyje sztorm na Morzu Północnym w październikową noc. Wystarczą fale zapamiętane z przeszłości.

Do usłyszenia,

B.

Rozdział 5: Ruchome piaski

Po ostatnim deszczu trawy na wydmach spłwiałały. Żdźbła straciły zieloną sprężystość, soki spłynęły. Ukryte w ciepłym piasku korzenie szykowały się do zimowego snu.

Stojąc z kubkiem gorących ziół przy oknie w saloniku, Eva z łatwością mogła odtworzyć odgłos suchego szelestu na wydmach, który tak dobrze знаła: gdy zamiast miękko poddać się stopom, trawy łamały się z cichym chrzęstem, pokonane. Niepostrzeżenie, jesień stała się w pełni widoczna. Obecna. Za dnia nie było jeszcze zimno, a wieczorna bryza od strony stałego lądu niosła wyraźne wspomnienie lata: zapach dojrzały, aromatyczny i nasycony, ślad po wczesnych sianokosach i późnych zbiorach. Była w nim sytość jesiennej pełni. Czas, gdy Sara na całe dni praktycznie wyprowadzała się do *Frau Bellitz* (albo odwrotnie), by razem z nią smażyć, warzyć, suszyć i konserwować w domowym occie jabłkowym – z dodatkiem cukru, soli, ziół i korzeni – wszystko, co dało się zebrać w sadzie i warzywniku czy kupić na rynku.

Noce były już chłodne, przenikały mury i ubrania, ścinały ostatnie kwiaty w ogrodzie. W ciągu zaledwie kilku dni dalej i chryzantemy zbrunatniały, zioła szerniały. Tylko róże wciąż jeszcze były w pełnym rozkwicie, ale róże zawsze trzymają się najdłużej, zwłaszcza jej ulubiona odmiana, westerlandzka, o żółtopomarańczowych płatkach, której ostatnie pąki pojawiały się jeszcze w listopadzie, a nieraz i w grudniu.

Eva wyciągnęła z kufra zimową koldrę.

W kuchni, na kominie, suszyły się jabłka i gruszki nanizane na sznurki, pachniały zawieszzone pod okapem pęczki tymianku, rozmarynu i oregano. Na piecu w płaskim miedzianym rondlu pyrkały śliwki w occie z dodatkiem cukru trzcinowego i laski cynamonu, specjalnie dla Sophie; po każdej wizycie w domu wyjeżdżała ze słoikiem w plecaku. Na parapecie okna stały do góry dnem świeżo zawekowane słoiki z ogórkami w słodkiej zalewie octowej, z zielem angielskim i talarkami cebuli, a obok w wielkim słoju marynowały się cytryny na sposób marokański, w oliwie z sokiem z cytryny i solą, z dodatkiem czosnku, uprażonych na patelni ziaren kolendry i listkiem laurowym, ulubiony przysmak Thomasa („Zawsze, jak robisz te cytryny, śni mi się Afryka...”).

Co ją napadło? Po co to, dla kogo?

Wszystko dlatego, że wczoraj Eva nagle poczuła zmianę. W sobie czy w swoim życiu, tego nie wiedziała dokładnie, może po prostu – zmianę. Nagle jakby coś w niej pękło. Czy sprawiła to samotność, bez Thomasa nieznośna jak wieczność? Czy przedłużające się milczenie Sophie, które trzymało ją od wielu tygodni w tak wielkim napięciu, że dłużej nie mogła go już znieść? To możliwe. Bo przecież nie poczuła się tak dlatego, że jakiś obcy mężczyzna, który ją potrafił

w drzwiach u Johannesesa, nie tylko jej nie przeprosił, ale tak zupełnie, tak absolutnie i totalnie nie zwrócił na nią uwagi.

Jakbym była meblem, a nie kobietą, pomyślała urażona.

Ale zaraz roześmiała się głośno. To przecież śmieszne i bez sensu, niepotrzebnie jest taka przewrażliwiona. Sama musiała jednak przyznać, że nie był to wesoły śmiech, lecz jedynie wynik obserwacji, że mężczyźni traktują ją jak powietrze nie całkiem bezpodstawnie. Dla obcych stała się niewidzialna z powodu wieku, przeźroczysta jak powietrze, wiadomo, czterdziestka to granica w dzisiejszych czasach niby mało znacząca, a jednak zważywszy na powszechnie panujący kult młodości, dość wyraźna. Z kolei dla tych wszystkich, którzy ją znali, była nietykalna z powodu stygmatu tragedii. Bo jeśli już wdowa, to jednak lepsza taka „po prostu wdowa”, ona zaś była wdową tragiczną, naznaczoną nieszczęściem. Rok wystarczy, by się przyzwyczaić, powinna to już wiedzieć. Gdyby była wdowcem, miałyby większe szanse na nowy związek.

Kobiety wiedzą, czym jest życie, ponieważ chodzą na pogrzeby. Mężczyźni na pogrzeby nie chodzą, gdyż są przesądni i panicznie boją się śmierci, zwłaszcza nagłej i niespodziewanej. I to wcale nie z powodu ostatniego namaszczenia, tylko urażonej godności. Abowiem prawdziwi mężczyźni wierzą, że są nieśmiertelni. Od Ewy trzymali się z daleka wszyscy: faceci w jej wieku i starzy kawalerowie, wdowcy i rozwodnicy. Zresztą, nawet gdyby któryś zdobył się na odwagę, i tak by nic z tego nie wyszło, bo ona nie chciała nikogo innego. Chciała Thomasa.

Tymczasem, ku jej zaskoczeniu, poranne zderzenie zabolowało nie tyle fizycznie, choć to też – mężczyzna potrafił ją mocno, a ona jeszcze mocniej uderzyła ramieniem o framugę drzwi, a potem, gdy potrafił ją ponownie, upadła na kolano. Dopiero maść arnikowa, którą po powrocie do domu natarła stłuczenia, przyniosła ulgę. Znacznie bardziej zabolowała obojętność. Na tyle, że Eva poczuła, jakby nagle ktoś nią energicznie potrząsnął, wyrwał z długiego letargu. Jakby chciał powiedzieć: Nie czekaj, nie milcz, obudź się!

To ją wytrąciło z równowagi. Wróciła autobusem do List i jak zwykle zabrała rower z parkingu, ale nie pojechała prosto do domu. Zamiast tego zrobiła zakupy wielkie i szalone. Niepotrzebne. W LimeStoneHills przymierzyła sweter z gotlandzkiej wełny w odcieniu palonej kawy, który tak jej się spodobał, że już go nie zdjęła, tylko od razu zapłaciła, a potem dała się jeszcze namówić na chustę w fioletowo-złote pawie oka. Poczowała się lepiej, ale nadal było jej mało.

U piekarza kupiła trzy rodzaje bułek i chleb farmerski z pełnego ziarna, w sklepie warzywnym dwa rodzaje pomidorów, bakłażany i cukinie, sałatę lodową i dynię hokkaido, kiść winogron, pęczek zielonej pietruszki i świeże zioła, a w delikatesach trzy rodzaje serów francuskich, kawałek belgijskiego limburgera i trójkąt parmezanu. Zawróciła do warzywnego, gdzie dokupiła jabłek i gruszek, główkę czosnku i dwa kalafiory. I dwa rodzaje grzybów, polskie kurki i włoskie

porcini, a w ostatniej chwili jeszcze po kilogramie portugalskich cytryn i orzechów włoskich z Kalifornii, bo właśnie przywieźli świeżą dostawę.

Wszystkiego dużo. Dużo pieczywa, dużo warzyw i ziół, i mnóstwo owoców, zamiast tyle, ile potrzeba dla jednej osoby na dwa, góra trzy dni.

W domu rozpakowała torby, a kiedy spojrzała na stół, uniosła brwi ze zdziwienia i lekkiej irytacji na siebie, że kupiła aż tyle. Kiedyś, gdy po raz pierwszy szła do szkoły, zgodnie ze zwyczajem dostała *Schultüte*, „rozek obfitości”, na dobry początek nauki. Ale to było dawno. Teraz? Chyba oszalała. Wystarczyłyby trzy pomidory i dwie bułki; zjedzenie jednego kalafiora zajmowało jej zwykle kilka dni. Odkąd została sama, jej zakupy raczej tak wyglądały, a nie tak jak to...

Dzwonek do drzwi odwrócił jej uwagę. Kto? Nie miała pojęcia. Rzadko ktoś ją odwiedzał, nawet z sąsiadami nie utrzymywała kontaktów towarzyskich, poza zwyczajowymi pogawędkami przy furtce, zwykle o pogodzie. Starego Meyera z naprzeciwka lubiła, ale z daleka; był strasznym gadułą, wyraźnie cierpiał na syndrom samotnika, który na co dzień nie miał z kim rozmawiać.

Przy furtce stała *Frau* Bellitz. Nie czekając, aż Eva zaprosi ją do środka, zręcznie przecisnęła się do sieni. Drogę do kuchni знаła z dawnych lat, gdy z Sarą spotykały się na pogawędkach o przetworach i szydełkowaniu.

Teraz na moment przystanąła w progu i objęła wzrokiem zgromadzone na stole produkty, którymi można było nakarmić cały turnus letników w domu wczasowym. Powstrzymała się jednak od komentarza, pokrywając zaskoczenie (i ciekawość) w charakterystyczny dla siebie sposób. Zakręciła się żywo po kuchni, jarzyny włożyła do kosza, w którym Sara zwykle je przechowywała, owoce wysypała do miski na środku stołu, sery schowała do lodówki, resztę zsunęła na brzeg i na uwolnionym w ten sposób miejscu postawiła koszyk, z którym przyszła. Następnie włączyła elektryczny czajnik, a Evie ruchem ręki nakazała, by wyjęła filiżanki z kredensu.

Przez cały czas nie przestawała mówić.

– Moja kochana, ja tu przychodzę, żeby cię pocieszyć i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Co za historia z tym brutalem! Podobno cię popchnął, przewrócił na ulicę, poturbował i wyrwał torebkę z ręki. Jak on mógł? Co za czasów dożyliśmy, mój Boże, straszna historia. Co za barbarzyństwo!

I tak dalej. Niektórzy ludzie nie potrafią zamilknąć, dopóki nie powiedzą wszystkiego, co mogłoby uspokoić ich sumienie, a choćby tylko zaspokoić zwykłe wścibstwo, i *Frau* Bellitz do nich należała. Eva wiedziała z doświadczenia, że to chwilę potrwa, dlatego nie przerywała, ale i nie słuchała zbyt uważnie.

Tymczasem *Frau* Bellitz przeszła do fazy drugiej, czyli do omówienia działań praktycznych. Włożyła do zamrażarki żelowy opatrunek chłodzący, który kupiła w aptece, na zmniejszenie opuchlizny. Bo stłuczone kolano na pewno

spuchło. Radziła też spróbować kompresów ze startych surowych ziemniaków i z octu winnego, najlepszy jest, naturalnie, jabłkowy domowej roboty, o, tu przyniosła całą butelkę. Oprócz tego, specjalnie dla Ewy, przygotowała dwie mieszanki ziół. Ze skrzypu, słomy owsianej i kłącza tataraku, z dodatkiem igliwia jałowca, kory wierzby (rozgrzewające salicylany) i dzikiej macierzanki do kąpieli, na kontuzje, stłuczenia i krwiaki. Do drugiej mieszanki *Frau* Bellitz wzięła równe części ziela przetacznika, jasnoty białej i uczeputu, a następnie zmieszała z owocem jarzębiny, kwiatem czarnego bzu i kłączem perzu, na koniec zaś dodała po garstce przelotu i pięciornika. To na trawienie, żeby uspokoić żołądek. I nerwy.

– Weźmiesz, moja kochana, jedną łyżkę stołową na szklanekę wody, zagotujesz, potem zmniejszysz ogień i będziesz parzyć pod przykryciem trzy minuty. Napar pij trzy razy dziennie z łyżeczką miodu, powolutku, małymi łykami, to bardzo ważne. Przy okazji obniżysz sobie cholesterol, w twoim wieku warto już o takich rzeczach pamiętać. Z kolei na kąpiel...

Parzone pod przykryciem trzy minuty zioła okazały się nie tylko aromatyczne i rozgrzewające, ale w jakimś sensie pocieszające. Pijąc małymi łykami, Eva sennie przyglądała się morzu. Oboje byli teraz senni – ona i morze. Nareszcie spokój.

Po zderzeniach i zdarzeniach dnia, po szalonych zakupach i wizycie *Frau* Bellitz, życzliwej, ale niemożliwie gadatliwej, Eva czuła, jak powoli wraca jej równowaga ducha. Życie jest, jakie jest, nie ma co z nim walczyć, pomyślała. Ani, tym bardziej, walczyć przeciwko niemu. Najlepszy reżyser nic nie pomoże, gdy większość aktorów zniknęła ze sceny.

*

Na drugą wizytę Eva była jeszcze mniej przygotowana niż na współczucie *Frau* Bellitz.

Właśnie wyszła z wanny i rozczesywała włosy pachnące ziołami, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Rozejrzała się po łazience. Płaszcz kąpielowy! Gdzie...? W tej samej chwili przypomniała sobie, że po powrocie do domu zamierzała włączyć pralkę, ale z powodu wizyty *Frau* Bellitz jeszcze tego nie zrobiła. Płaszcz kąpielowy, nieuprany, tkwił w bębnie.

Kiedy ten dzień wreszcie się skończy, myślała zirytowana, biegnąc do sieni i owijając się po drodze w biały frotowy ręcznik.

Bojowo nastawiona, szarpnęła gwałtownie za klamkę drzwi wejściowych. Cofnęła się o krok. *Frau* Bellitz nie zamknęła furtki i teraz ktoś, zamiast na chodniku, stał tuż przed nią na progu. W niskim świetle zachodu ujrzała zarys męskiej sylwetki. Bardzo wysoki i bardzo szczupły, z torbą przerzuconą przez jedno ramię, w ręce trzymał bukiet róż.

Ewie pociemniało w oczach.

Thomas!

Ale to nie był Thomas. I nie przyszedł, żeby spytać o drogę do kapitanatu portu. Był to ten sam mężczyzna, który rano ją potracił, gdy wychodziła z baru Johannesesa. Co on tu robił? I co ona powinna zrobić? Odesłać go do diabła. Zatrzasnąć mu drzwi przed nosem!

Nie dał jej czasu do namysłu.

– To ja – powiedział na wypadek, gdyby go nie pamiętała.

– Widzę... – zająknęła się, nagle w pełni świadoma własnego ciała („Jestem naga!”) i niezręcznej sytuacji, w jakiej się znalazła z powodu nieprzemyślanej decyzji. Co za głupota. Nie musiała otwierać, nikogo się nie spodziewała. Pobiegnęła jak jakaś ciekawska małolata i otworzyła drzwi. I teraz stała boso, owinięta w ręcznik, z opadającymi na oczy mokrymi włosami, zawstydzona i zażenowana. Całe szczęście, że nie nałożyła na twarz maseczki chlorofilowej, jak zamierzała. Ciepła kąpiel ją rozleniwiała. Jutro, pomyślała, jutro znów się wykąpie i wtedy nałożę maseczkę.

Nieznajomy udał, że nic nie zauważył. Przyjechał, żeby przeprosić. Nie wyjawiał, skąd wziął jej adres, mimo że Eva próbowała się tego dowiedzieć. Wyraził natomiast nadzieję, że nic jej się nie stało i że, mimo wszystko, będzie to początek pięknej znajomości. Tak się wyraził: pięknej.

– Nazywam się Oliver, Oliver von Otter („Ale to szwedzkie von, nie niemieckie”). Jestem dziennikarzem. – Wciąż stał za progiem, z bukietem róż w wyciągniętej ręce. Kwiaty niemal dotykały jej splotu słonecznego pod ręcznikiem, jakby były jakimś metaforycznym łącznikiem między światem zewnętrznym a domem.

Eva potrząsnęła głową.

– Niepotrzebnie... – Usiłowała się skoncentrować. Ręcznik, mokre włosy i bose stopy na zimnej podłodze w sieni utrudniały myślenie. Chłodne powietrze na nagich ramionach.

Rano... Rano była tam z nim śliczna dziewczyna. Rudowłosa, w żółtej sukience i niebieskich trampkach. Młoda. Rówieśnica Sophie.

Eva spojrzała von Otterowi prosto w oczy.

– Tak, to zupełnie niepotrzebne – powtórzyła stanowczo. – Nic się nie stało. Przypadek. Każdemu może się zdarzyć.

Mimo wszystko przekonał ją, żeby przyjęła kwiaty. Następnie wyraził zainteresowanie domem, który, czuł to, miał swoją historię.

Nie zamierzał się żegnać.

Chcąc naprawić niekorzystne wrażenie, jakie musiała na gościu wyrzucić swoim obcesowym zachowaniem, Eva zaprosiła go do środka. Chętnie pokaże dom, tak, rzeczywiście jest ciekawy, z historią, jak słusznie to określił.

Zostawiła go w saloniku, a sama pobiegła do sypialni, żeby się ubrać.

*

Nie spała całą noc.

Po wyjściu Olivera, koło północy, stanęła przy oknie w saloniku. Tutaj najlepiej jej się myślało, z tym widokiem, który znała na pamięć, o każdej porze dnia i nocy: z furtką w niskim kamiennym ogrodzeniu na pierwszym planie i drogą, asfaltową i niezbyt uczęszczaną, za którą, patrząc na prawo, można było zobaczyć dom starego pana Meyera. Dalej zaczynało się pasmo białych wydm, porośniętych zwartymi kobiercami rozchwianych traw, za nimi pas plaży i pas morza, a jeszcze dalej: niebo. Bo nad morzem niebo nie jest wysoko, tylko – daleko, za morzem. Przynajmniej jej się tak zawsze wydawało.

Ale teraz Eva nie myślała o morzu. Jej własna mitologia miejsca i tamtego dalekiego widoku tym razem nie podziałała.

Rozdrażniona, zaciągnęła zasłonę, a potem usiadła przed żeliwną kozą w kącie pokoju, tyłem do okna, i zabrała się do rozniecania dogasającego ognia. O tej porze roku dobrze jest od czasu do czasu napalić wieczorem w piecu i podtrzymać ogień przez noc, ogrzać dom, żeby wilgoć nie zalegała. Gdy skończyła, zrobiło jej się tak gorąco, że musiała zdjąć sweter, który narzuciła, żegnając Olivera.

Przebrała się w piżamę, położyła na kanapie pod pledem, zgasiła światło. Ale sen nie przychodził.

Wstała, bo przypomniała sobie o praniu, które po powrocie do domu zamierzała nastawić. Potem, gotowe, przełożyła do suszarki, a gdy suszarka skończyła program ekonomiczny, poskładała suche rzeczy i pochowała do szaf. Płaszcz kąpielowy, miękki i jeszcze ciepły, zaniosiła do łazienki.

Umyła zęby.

Po drodze do sypialni zawróciła do kuchni. Musi pozmywać do końca, nie lubi, gdy brudne naczynia zostają do rana. Spojrzała na stół. Wczorajsze zakupy zniknęły w szafkach i zakamarkach spiżarni, częściowo pochowane przez *Frau Bellitz*; resztę pomógł jej uprzątnąć drugi gość.

Bo Oliver został na kolacji.

*

Gdy wróciła do salonu, ubrana i jako tako uczesana, mimo że włosy wciąż miała wilgotne, stał przy oknie. W rękę trzymał aparat fotograficzny.

– Co za widok! – Wskazał na wydmy i morze w oddali, odwracając się. Obrzucił ją szybkim, taksującym spojrzeniem. – Pozwoli pani? Od przyjazdu praktycznie nie chowam sprzętu. Magiczna wyspa...

Zaproponowała kawę. Albo świeżo zaparzone zioła. Wybrał zioła. Tak, z miodem, lubi miód wrzosowy z powodu goryczki. Jest wyrazista, ale nie tak

intensywna jak w miodzie spadziowym.

Z kubkami, każde swoim, i puszką keksów, którą niosła Eva, wrócili do saloniku. Oliver usiadł na fotelu między oknem a półkami ze specjalistycznym księgozbiorem Thomasa. A raczej chciał usiąść, bo zaraz się poderwał. Nie zauważył, że na fotelu leżała torba Evy, z której wysypywała się zawartość. Jakby jej właścicielka czegoś w niej szukała. Albo rzuciła w pośpiechu, zapominając, że torba była otwarta.

Podeszła i szybkim ruchem zgarnęła wszystko do środka. Położyła torbę na dywanie za fotelem, robiąc gościowi miejsce. W ostatniej chwili spostrzegła jeszcze jakiś świstek, który wypadł z innymi rzeczami; zgmiotła go i machinalnie wsunęła do kieszeni długiej domowej spódnicy.

Von Otter zdjął kurtkę i rzucił ją za fotel, tam gdzie leżała Evy torba. Potem usiadł, oparł się wygodnie, wyciągnął i skrzyżował nogi.

Evie znów zabrakło powietrza. Nie założył nogi na nogę, tylko wyciągnął je przed siebie, a następnie skrzyżował. Jak Thomas.

Stała na środku pokoju, otwarcie mu się przyglądając. Była poruszona. Tą wizytą, tym spotkaniem. Tym mężczyzną, który nagle pojawił się nie wiadomo skąd i dlaczego w jej życiu, w jej domu, do tej pory w całości wypełnionym wspomnieniami scen i sytuacji z innym – jedynym, najważniejszym, utraconym – mężczyzną.

Potrzebowała czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

Upiła łyk ziół, potem drugi, ale nie powoli, jak kazała *Frau Bellitz*, tylko szybko i nerwowo, parząc się w podniebienie. Następnie przeszła na drugi koniec pokoju i usiadła na niskim drewnianym stołku, przy żeliwnej kozie z wygiętą ocynkowaną rurą kominową, ginącą w suficie.

Oparła się plecami o wiklinowy kosz, napełniony szczapami drewna do palenia. Milczała.

Rozmowę poprowadził Oliver. („Czy możemy przejść na ty? Tak łatwiej rozmawiać”).

Obejrzał się za siebie, na półki z książkami.

– Widzę, że interesujesz się morzem. Jesteś oceanografem? Dla mnie, jako fotografa, to wszystko ma ogromne znaczenie – ponownie wskazał w stronę okna. – Formacje chmur, refrakcje światła i fazy księżyca, kierunki wiatrów. Sól i powietrze. Zapachy. Bez kontekstu morza, bez jego rozległej przestrzeni, bez tej jedynej w swoim rodzaju zawsze dalekiej linii horyzontu nasz świat byłby o wiele uboższy, nie uważasz? Morza nigdy nie ujarzmisz, jest żywiołem nieokiełznanym, jak piszą poeci.

Przerwał, dał jej czas. Ale ona milczała.

– Według mnie morze, tak jak ziemia, nie jest tłem dla naszego życia – ciągnął niezrażony tym milczeniem. – To bohaterowie pierwszoplanowi,

modulatory znaczeniowe, moje prywatne odkrycie. Powinniśmy je odczytywać jak książki albo, jeszcze lepiej, jak listy miłosne. O ile, naturalnie, uruchomimy serce i wyobraźnię przed wciśnięciem migawki. – Mówiąc, nie zmieniał swobodnej pozycji ciała, nie gestykulował, często kierował spojrzenie za okno, w zadumie. Popijał zioła małymi łykami, jakby to było wino; wprawnym gestem konesera poruszał kubkiem delikatnymi, okrężnymi ruchami, czekając, aż bukiet się otworzy, a miód rozpuści.

– Twój portret, na przykład – von Otter zmienił nagle temat – przedstawiłbym w spłowiałej tonacji piasku z morskiego dna podczas odpływu. W mokrej powierzchni odbijają się chmury, czysta monochromia i dal. Tylko włosom nadałbym ciepły blask. Piękne, wyjątkowe włosy, w których odbija się złoty pył słońca. Albo ognia. – Ruchem głowy wskazał na piec za jej plecami. Nie spuszczał z niej oczu.

Na moment ich spojrzenia się spotkały. Prosto, otwarcie. Nie było w nich pytania, raczej stwierdzenie oczywistego faktu.

Eva pierwsza odwróciła wzrok. Odstawiła kubek na dywan i sięgnęła do kosza po szczapę drewna.

– Napalę w piecu – powiedziała – wieczory są już chłodne.

Po czym, ku swemu zaskoczeniu, dodała:

– Jestem pielęgniarką. Pracuję w klinice, w Westerlandzie, na OIOM-ie.

*

Była druga w nocy.

Eva pozbierała talerze i kieliszki, sery zapakowała do plastikowego pojemnika i schowała do lodówki, ze szklanej salaterki wyjadła resztę sałaty z pomidorami. Pustą butelkę po winie odstawiła na ziemię, koło pojemnika na śmieci. Pod misę z owocami wsunęła papierową torbę po chlebie, na której Oliver zanotował dla niej przepis na orzechowe pesto.

Gdy skończyła, usiadła przy stole i rozejrzała się po kuchni. Czysto. Pusto. Wcześniej nie zauważyła, że w jej kuchni zawsze tak właśnie było: czysto i pusto. I nagle ten wieczór, Oliver, róże. I wspólna kolacja. Nad garnkiem ze spaghetti unoszą się kłęby pary, Eva nakrywa do stołu, on łuska orzechy, rozgniatą czosnek z solą, sieka bazylię i pietruszkę, ścina wiórki parmezanu na tarce, miesza z oliwą, doprawia, każe jej smakować. Sól, świeżo zmielony pieprz. Smak orzechów i pietruszki z bazylią, zapach czosnku. Może dodać szczyptę oregano? Zawieranie, rozgardiasz, w kuchni jasno i ciepło. W zlewie pełno.

Zacisnęła powieki i potrząsnęła głową. To jakiś absurd. Gdyby wczoraj rano ktoś jej powiedział, że ten wieczór spędzi z obcym mężczyzną tu, w tej kuchni, to by mu nie uwierzyła. Oburzona, odparłaby z godnością: wieczór z mężczyzną? Nie znam żadnego. Z przygodnymi znajomymi rozmawiam, ale to nie znaczy, że zaraz

zapraszam ich do domu na kolację.

Ani że miałabym ochotę, żeby...

Zerwała się z krzesła. Poczucie winy zaparło jej dech w piersiach, musiała przytrzymać się poręczy.

Nie mogła powstrzymać łez, same płynęły.

Była tak pewna swojej miłości do Thomasa, a tak łatwo go zdradziła w słowach, myślach, a nawet, tak (kolacja przy świecach!) – w uczynkach.

Łatwo? Przez ostatnich dwanaście miesięcy była martwa razem z nim. Ból po stracie był zbyt dojmujący, żal, że strata przyszła tak bardzo za wcześnie, wydawał się ciężarem nie do zniesienia. Przez dwanaście miesięcy żyła, chociaż nie chciała żyć. Prawdę mówiąc, nie żyła, mimo że oddychała, poruszała się, pracowała. Jak automat z zardzewiałym mechanizmem.

Od dwunastu miesięcy nie płakała.

*

O świcie ubrała się. Włożyła nowy sweter na T-shirt z długimi rękawami i dżinsy na spodnie od piżamy. Wychodząc z domu, owinęła się dodatkowo chustą w pawie oka. Z gorącym mlekiem w kubku termicznym po raz pierwszy od bardzo dawna poszła nad morze.

Usiadła na kładce biegnącej przez wydmy. Zimne powietrze kłuło tysiącami igieł, przenikało jej ciało, jakby była naga. Skuliła się i szczerzej otuliła chustą. Ale zaraz wyprostowała się znowu.

Odetchnęła głęboko. Powietrze wcale nie było takie zimne, a ona drżała z innego powodu. Po raz drugi tej nocy poczuła w sobie falowanie morza, ciepłe i intymne jak widok obcego mężczyzny, którego niespodziewanie zaprosiła do domu i raptem zapragnęła.

Wcześniej nie przyszło jej to na myśl. Dopiero dzięki Oliverowi zrozumiała, że drugiego człowieka nigdy nie poznamy w pełni. Imię i nazwisko, wiek, zawód, byliśmy razem przez dwadzieścia lat i będziemy zawsze blisko, niezależnie od tego, czy razem czy osobno.

A potem nagle pewnego dnia: Dzień dobry, nie znamy się, przyszedłem panią przeprosić... I nic, żadnych przeczuć, żadnych znaków. Dwadzieścia lat czy kilka godzin to bez różnicy, granica przebiega gdzie indziej, zbliża nas albo rozdziela w inny sposób. Nie ma powodu, żeby się oburzać: tak po prostu jest. Jak się nad tym głębiej zastanowić, siebie też nie znamy. Tak po prostu jest.

Otrzeźwienie przyszło szybciej, niż mogła się spodziewać.

Oliver von Otter był nie tylko dziennikarzem, jak się przedstawił, fotografem zainteresowanym pejzażami i pięknymi kobietami. Pojawił się z bukietem róż nie tylko po to, żeby Evę przeprosić.

– Od jakiegoś czasu zajmuję się pewną sprawą – powiedział, gdy skończyli

jeść i Eva wstała od stołu, żeby zrobić kawę. – Sprawa jest skomplikowana. Niewyjaśniona.

– Zajmujesz się? Jako kto?... – spytała nieuważnie, zajęta dokręcaniem ekspresu. Nie widziała jego twarzy.

Nie odpowiedział na jej pytanie.

– Morze Północne – zaczął znowu – zwłaszcza tutaj wokół Archipelagu Fryzyjskiego, jest płytkie, ale skrywa głębokie tajemnice, które dla pewnych firm... osób... mogłyby się okazać cenniejsze od złota.

Tu nastąpił mały wykład. Eva odwróciła się od kuchenki z niedokręconym ekspresem w rękach. Słowa znała, jedynie głos nie należał do Thomasa, wypowiadał je kto inny.

Człowiek eksploatuje morze, wydobywa gaz, odławia ryby, hoduje skorupiaki. Przy okazji niszczy naturalne zasoby, a zmiany są często nieodwracalne. FAO i morskie agencje rządowe wprowadzają ograniczenia i regulacje prawne, ale to niewiele zmieni, dopóki sami nie zrozumiemy, że morze to wielka bogata farma, którą możemy uprawiać, spiżarnia, gdzie gromadzą się zapasy na pokolenia, ale pod warunkiem że skończymy z bezlitosną eksploatacją, a zajmiemy się mądrą uprawą. Mamy o co walczyć. W morzu znajduje się więcej minerałów, niż mogą ich wyprodukować największe koncerny świata. DNA glonów i wodorostów można wykorzystać do hodowli komórek do przeszczepów i w elektronice, jako chipy o ogromnej pamięci. Chlorofil! Pełno go w algach i bakteriach fotosyntetyzujących, na przykład w sinicach. Słyszałaś o chlorofilu z sinic? Łatwy do wygenerowania, bogaty biologicznie. A jaką przyszłość ma muł głębinowy! Coraz więcej koncernów spożywczych i farmaceutycznych czuje pismo nosem. Ścigają się, podglądają i szpiegują. Podkupują. I wielu badaczy idzie na współpracę, bo mogą na tym zrobić karierę i zarobić krocie. Nie wszyscy, ale wielu. A jeśli któryś nie zechce takiej współpracy? To niemożliwe, nikt mu nie uwierzy, zapłacimy więcej, proszę tylko wymienić kwotę. Nie? W takim razie będziemy musieli porozmawiać inaczej... – von Otter umilkł na chwilę. – Człowiek z „Minerwy” od lat nie dawał się nikomu podejść. A wiedział dużo. Jego badania były łakomym kąskiem...

Eva gwałtownie usiadła na krześle po drugiej stronie stołu wyprostowana, napięta jak struna.

– Z „Minerwy”?

– Tak nazywała się krypta, na której prowadził swoje badania, prawda? Ale już nie prowadzi. Rok temu...

– Wiem! – krzyknęła rozpaczliwie. Nie chciała, nie mogła, nie była w stanie tego wysłuchać. Nie od tego obcego człowieka. – Wiem, co się stało rok temu – wyszeptała.

Oliver spojrzał na nią uważnie.

– Czyżby? – spytał, a sposób, w jaki to powiedział, jednoznacznie wskazywał, co o tym sądził: że Eva nie wie. A przynajmniej nie wszystko.

Nie zrozumiała go.

– Tak, wiem – powtórzyła głośno, z uporem. – Czytałam raport policji i opinie inspektorów z Izby Morskiej. Wiem wszystko.

Von Otter odczekał, aż Eva skończy. Wtedy sam zaczął mówić.

– Mimo wszystko pozwól, że przypomnę. Rok temu, w końcu października, pogoda była wyjątkowo dobra. Łagodna. Prawdziwa złota jesień, zwłaszcza w Warszawie i Heidelbergu, pamiętam, bo akurat miałem tam spotkania... – przerwał. Nie wspomniał, z kim się tam spotkał ani czy miało to związek ze sprawą Thomasa.

Eva wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Nie przerywała. Łowiła każde słowo, każde zawahanie w głosie, usiłując odróżnić znane jej fakty od fałszu i prowokacji.

– „Minerwa” zwykle wychodziła w morze wieczorem, żeby o świcie rozpocząć pomiary na wybranym stanowisku – podjął po chwili. – Prognozy były dobre, morze spokojne. Lekka mgła, ale nic poważnego, zwykła różnica temperatur między dniem a nocą. Trochę wiało, trochę kiwało, statki trafiały się z rzadka, można było ustawić kurs i spokojnie podrzemać. Załamanie przyszło koło północy, o drugiej wiało już całkiem solidnie. Ale szyper był doświadczony, statek mocny, a oni mieli niejedno kołysanie na swoim koncie.

Potwierdzał to raport z Instytutu Meteorologii w Hamburgu, von Otter nie musiał zaglądać do notatek, szczegóły znał na pamięć.

– Sprawdziłem: o tej porze, w tym akwenie nie było żadnych innych operacji, ani cywilnych, ani wojskowych. Ta śmierć...

Eva zerwała się od stołu. Ekspres wykopiał, zapomniała, że go nastawiła.

– Nieprawda! Nic nie wiesz. Thomas potrzebował złej pogody. Zawsze to powtarzał. Bo wtedy muł z dna się przemieszcza i odsłania głębsze warstwy. Tak było i wtedy. Prognozy były złe, ostrzegali o załamaniu koło północy, o sztormie, wiem to od niego, powiedział mi przez telefon, podczas naszej ostatniej rozmowy... – Przypomnienie bolało, ale ona na nic już nie zważała. – Wyszedł w morze jeszcze przy niskiej fali. Dopiero w nocy wiatr stężał i fale stały się tak ogromne, że dziób praktycznie nie wychodził z wody. Zniosło ich za daleko, w końcu statek stracił sterowność i...

Nie mogła dłużej mówić. Płakała.

Von Otter wstał. Podeszedł do niej, chciał objąć ramieniem, pocieszyć. Ale go odtrąciła.

Wtedy powiedział:

– Thomas Waltzer zginął na morzu i z powodu morza. Ale to nie morze go zabiło.

*

Kazała mu się natychmiast wynosić. Iść do diabła!

– Nie wracaj. Tej rozmowy nie było. Nie znamy się, nigdy się nie spotkaliśmy, a ja nie zamierzam sobie nic przypominać – oznajmiła kategorycznie. – Nie chcę do tego wracać! – krzyknęła, wypychając go do sieni. – Niech mnie pan zostawi w spokoju – wyszeptała niemo samymi wargami, bliska omdlenia.

Pan, tak. Nie zamierzała ciągnąć tej znajomości. Wyszedł do sieni, po drodze zabrał rzeczy z saloniku. Ale nie otworzył drzwi. Zamiast tego bez słowa zawrócił do kuchni, zaparzył nową kawę, wyjął mleko z lodówki. Z dwoma kubkami stanął obok niej, przy oknie z widokiem na morze. Potem podał jej jeden kubek, tak jak podaje się dziecku gorące mleko na dobranoc.

Nie chciała kawy ani współczucia, odtrąciła jego rękę.

Po chwili sama wzięła od niego kubek. Usiadła wyprostowana na brzegu fotela, jak w poczekalni.

– Jesteś dziennikarską hieną, a hieny śmierdzą padliną. – Spojrzała na niego znad kubka ostrzegawczo: ma jej nie przerywać! – Paparazzo w najgorszym wydaniu. Czarujący i podstępny. Wszystko po to, żeby złowić ofiarę, zarzucić sieć, niech się potem miota na piasku, bez powietrza – mówiła prędko, porywczo, bez tchu. Jakby się bała, że prawda, której skrawka przed chwilą dotknęła, w pełni ujawniona, okaże się mroczna i niebezpieczna. – Thomas kochał morze, był uczciwym człowiekiem, z nikim nie wchodził w żadne brudne interesy. Nie miał innej pasji poza morzem i... – zająknęła się. Nie dodała: poza naszą miłością, bo przemknęło jej przez myśl, że od kilku godzin nie miała już prawa tak mówić. Ponieważ zdradziła Thomasa tą kolacją z obcym mężczyzną, z którym tak dobrze jej się rozmawiało. Któremu, w jej mniemaniu, powiedziała za dużo, przed którym bez namysłu się otworzyła.

Von Otter wytrzymał jej krzyk i gniew. Jej pogardę.

– Jestem dziennikarzem śledczym, a nie paparazzo – odparł ze spokojem. – I raczej nie podłym, tylko dociekliwym. To różnica. Jeśli chcesz się dogrzebać do prawdy, musisz być jak pies gończy, mieć świetny węch i słuch. I jeszcze lepszy instynkt. Tylko wtedy twoja historia może okazać się... w cenie.

Wychodząc, po raz drugi tego wieczoru na moment objął ją ramieniem. Tym razem go nie odtrąciła.

– Przypomnij sobie wszystko, co wiesz – rzucił na koniec. – Jeśli masz jakieś papiery, pokaż mi je. A jeśli nie masz, poszukaj! – Zabrzmiało to niemal jak groźba, jakby mówił: Ja tu jeszcze wrócę.

Albo jak obietnica.

LIST Z NIEPOKOJU

J.

Piszę, bo wszyscy na wyspie się niepokoją. Johannes wyjechał. Zwykle nikogo to nie dziwiło, gdyż wracał po kilku dniach. Albo dzwonił do Vincenta, że pobyt mu się przedłuży. Tym razem nic – cisza. A prognozy na najbliższy tydzień nie są dobre. Ulewne deszcze, ostrzeżenie o huraganie. To nie jest czas na szwendanie się po świecie, zwłaszcza w jego sytuacji. Latem to co innego, ale teraz...

Vincent twierdzi, że nic nie wie. Znasz go, jest dyskretny. Nawet gdyby coś wiedział, i tak będzie milczał.

Z rana Johannes podyktował Rose menu na cały tydzień, na wypadek gdyby mimo deszczu i posezonowej senności ktoś jednak postanowił zajrzeć do baru. Potem zarzucił torbę na ramię, odwiesił klucz na haczyk przy drzwiach i gwizdnął na psa. Przypiął mu smycz.

– Odprowadzisz mnie? – spytał.

– Jasne. – Vincent o nic nie zapytał, nie musiał.

Odtąd codziennie rano, o zwykłej porze, Vincent sam otwierał bar, a Rose, nie zważając na deszcz i brak klientów, wypisywała kredą na tablicy posezonowe menu: chleb pełnoziarnisty z pieca chlebowego (od piekarza w mieście), pieczona szynka z musztardą i piklami, śledzie w zalewie octowej z cebulą i piklami, deska serów. I pikle. Do tego piwo. Kawa, herbata. Pożywnie, solidnie. Kalorycznie. W poniedziałek, tak samo jak we wtorek, w środę tak samo jak we czwartek.

W piątek Rose straciła cierpliwość.

– Nudno i bez polotu. Czy Johannes tego nie widzi? – Zasłoniła usta zawstydzona własną bezdusnością.

Na szczęście poza Vincentem nikt nie mógł jej usłyszeć, ponieważ nikogo nie było. A on i tak jej nie słuchał.

Lunch zjedli we dwoje. Tylko tyle zdołałam się dowiedzieć, oczywiście nie od Vinceta, tylko od Rose. Nic więcej nie wiem.

B.

PS Może Johannes ma kłopoty?

LIST Z CZEKANIA

J.

Kierkegaard dowodził, że impuls ucieczki od niepewności wyczekiwania poprzez rzucenie się w wir zajęć jest najgłębszym i najbardziej podstawowym źródłem naszej rozpacz. Sto lat później Susan Sontag w swoim dzienniku pisała o *creative purpose of boredom*. Ten stan zawieszenia w oczekiwaniu, przez nas samych odczuwany niekiedy jako nuda, przez innych postrzegany jako lenistwo, w rzeczywistości może być stanem niezwykle czynnym, nudą pracowitą i antycypującą. Dlaczego? Ponieważ podszyta jest nadzieją.

Trudne zadanie: uruchomić w sobie otwartość czekania, wierząc, że nas popchnie ku czemuś nowemu, a nie zepchnie w otchłań. Trudne i niebezpieczne,

istnieje przecież możliwość, że długie czekanie, a wraz z nim poczucie niespełnienia i frustracji staną się sensem i esencją wszystkiego, i to one wypełnią dany nam czas. Jak to ujął Konwicki: „Wierzyliśmy, że kiedyś zacznie się prawdziwe życie. No i masz. Przychodzi starość i gdzie to prawdziwe życie?”¹².

Na co czeka Vincent? Czy potrafi to nazwać? Będzie umiał rozpoznać w porę? Nie jest to pewne, stąd jego niepokój i bezsenność, stąd nocne wyprawy, stąd ten jazz, którego wciąż słucha, a który działa na niego niczym siła napędowa, nie pozwalając mu się zatrzymać, jego *perpetuum mobile*. Jeśli coś ważnego miało się wydarzyć, on chciał być na to przygotowany. Dlatego sen, podobnie jak obecność innych ludzi, postrzega jako przeszkodę.

Nie przewidział, że im bardziej będzie się od ludzi oddalał, tym mocniej będzie ich do siebie przyciągał.

Do usłyszenia,

B.

PS U Johannaesa w barze jest grająca szafa. Lecą stare przeboje, kiedy ktoś z gości ma ochotę i wrzuci monetę. To wzmaga gwar, ożywia. Tylko gdy zjawia się Vincent, Johannes wyciąga wtyczkę z kontaktu i wiesza kartkę: „Konserwacja. Awaria”. Włącza wtedy radio, kanał informacyjny, wiadomości, prognoza pogody, *road service* dla kierowców. Żadnej muzyki.

Rozdział 6: Jasmine i morze

To zadziwiające, jak wiele może się wydarzyć między jedną pełnią księżyca a drugą. Nie od razu, oczywiście. W pierwszej kwadrze malejącej świat na chwilę zamiera. Tak jest dobrze, tak podpowiada instynkt. Emocje muszą się wyciszyć, konflikty załagodzić, rany zagoić. Śpimy wtedy głębiej, śnimy spokojniej. Wojownicze energie, które jeszcze kilka dni wcześniej gwałtownie się ze sobą ścierały, ustępują teraz miejsca siłom witalnym, zdolnym zregenerować nasze dusze i ciała.

Eva zrobiła generalne porządki w szafach i na strychu, popakowała stare ubrania dla Czerwonego Krzyża i worki niepotrzebnych rzeczy do wywiezienia. W klinice wzięła dodatkowe dyżury. Nie odbierała telefonów, nie odpowiadała na SMS-y. (Oliver: „T. wiedział, że życie na głębinie jest pełne zieleni. Woda morska wydaje się niebieska jedynie z powodu refrakcji światła”). Nie wierzyła w spiskowe teorie von Ottera, a jednak czuła, że w jej życiu nastąpiła zmiana.

W kieszeni spódnicy natknęła się na zmięty świstek papieru, zapisany nie jej ręką, za to z jej adresem i numerem telefonu. Nie potrafiła powiedzieć (nie pamiętała?), skąd się tam wziął.

Również Vincent w ostatnim czasie częściej niż zwykle, zamiast szkicować, siedział bezczynnie zapatrzony w horyzont za oknem. Pamiętał, że ma odesłać papiery do Paryża i że powinien odpisać ojcu na list, już nawet ułożył sobie w głowie, co powinien odpisać. I zdecydował, że podpisze pozew rozwodowy. Nikt nie dawał mu gwarancji, że spotkanie z ojcem po latach milczenia i rozwód z Yvonne po latach separacji w jakiś sposób go wyzwolą. Nikt nie wie na pewno, co daje większą wolność: otwarte, niedokończone sprawy czy ich definitywne zamknięcie. Ale on z jakiegoś powodu nagle poczuł, że ma dość czekania nie wiadomo na co. Na dowód któregoś wieczoru postanowił otworzyć jedną z butelek Châteauneuf du Pape od Igora. Nie żeby się tym winem delectować (zdawał sobie sprawę, że od stania na kredensie w nieodpowiednich warunkach nie zyskało z biegiem czasu, przeciwnie – straciło). Sam nie wiedział po co. Może po to, by wreszcie wypuścić dzinny na wolność? Oswoić je?

W domu nie miał korkociągu.

– Od czegoś trzeba zacząć – mruknął, wychodząc. Drzwi nie zamknął na klucz, nigdy nie zamykał.

Dopiero na widok Rose za kontuarem przypomniał sobie, że Johannes nie wrócił jeszcze z Gotlandii.

W barze poza nimi nie było nikogo. A oni nie rwali się do rozmowy, nawet Rose, zmęczona po całym dniu pracy. Było to jednak dobre milczenie, oparte na pewności. Może jeszcze nikłej, ale mimo wszystko pewności.

*

Jasmine całe dni spędzała przy szpitalnym łóżku.

Odnalazła Cyryla. Czy raczej powinna powiedzieć: to Oskar go odnalazł, na oddziale intensywnej opieki w westerlandzkiej klinice. Jak? Tego nie chciał powiedzieć. Zresztą nie było to konieczne. Jasmine była wystarczająco spostrzegawcza, by zauważyć, że czarowanie nieznanymi dziewczyn z pociągu, kelnerek w restauracji, hotelowych recepcjonistek i pielęgniarek w szpitalu to była jego druga natura. Przez telefon równie skuteczna, przynajmniej w jego wykonaniu. Gdy mu to wytknęła, nie obraził się, przeciwnie, pochwalił ją za spostrzegawczość i krytycyzm, a następnie oznajmił pogodnie, że to należy do zawodu. Rasowy dziennikarz powinien umieć otworzyć każde drzwi i nie dać się wyrzucić, dopóki nie załatwi tego, po co przyszedł. Musiała mu wierzyć na słowo, nigdy wcześniej nie widziała prawdziwego reportera w akcji. Oskar jej zaimponował.

O wiele bardziej peszył ją i niepokoił podchwytliwymi pytaniami, dzięki którym już podczas pierwszego spotkania wyciągnął z niej, co chciał i ile chciał, a nawet więcej.

Zaczął w Olafino. Zanim stamtąd wyszli, wiedział już o niej i Cyrylu, a nim następnego dnia wrócili na wyspę, wiedział również, że Cyryl zniknął. Gdy wchodzili do nadbrzeżnego baru na śniadanie, mieli za sobą pierwszą poważną kłótnię.

*

Właściwie nie pokłócili się, trudno nazwać kłótnią rozmowę, w której ktoś „chciał dla nas dobrze”.

Gdy w Westerlandzie wysiedli z pociągu i Oskar podał jej torbę, Jasmine spojrzała na niego niepewnie, nagle zakłopotana. Szybko odwróciła wzrok. Zdała sobie sprawę, że nie była jego pierwszą przelotną przygodą. To ona nie miała doświadczenia, nie wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć na zakończenie – wspólnego wypadu w nieznaną czy w ogóle znajomości.

Oskar zarzucił na ramię torbę ze sprzętem fotograficznym.

– Pójdziemy teraz na policję – powiedział.

Jasmine zamarła.

– To znaczy? – wyjąkała.

Zorientował się, że źle odczytała jego intencje. Roześmiał się swobodnie, niemal nonszalancko.

– Spokojnie. Nie chodzi o nas, my jesteśmy dorośli i, mam nadzieję, zadowoleni? – Zawahał się przez chwilę. Z jego głosu przebijała nuta pobłażliwości. Przynajmniej Jasmine tak to odebrała. – Chodzi o twojego przyjaciela.

Zapamiętał, co mu chaotycznie naopowiadała o Cyrylu. Po co? To nie jego sprawa.

Dopiero teraz ogarnął ją prawdziwy lęk.

– Po co? – spytała ostrożnie.

– To jasne – odparł rzeczowo. Nie domyślił się, jak bardzo ją przestraszył, czy tylko udawał? – Twój przyjaciel nie daje znaku życia, sama mówiłaś, prawda? Zniknął. W takich sytuacjach należy powiadomić policję. I obdzwonić wszystkie szpitale w mieście. Czy, jak tutaj, wszystkie na wyspie.

Odwróciła się bez słowa i nie czekając na niego, ruszyła w stronę hali dworca.

Dogonił ją, przytrzymał za ramię. Zrównali krok. Ale Jasmine nie zamierzała na ten temat rozmawiać. Ani z nim, ani z nikim innym. Cyryl wcale nie zniknął. Zerwał z nią i teraz gra w kotka i myszkę. Dziecinada!

– Nie możesz tego tak zostawić – podjął kolejną próbę.

– Jestem głodna, zmęczona i śpiąca – warknęła. – A to... – przystanęła i spojrzała mu prosto w oczy. – To nie jest twoja sprawa.

Była zdenerwowana. I jego też zdenerwowała.

– W takim razie po co mi to opowiedziałaś? Dla zabicia czasu? Musisz to zgłosić na policji – powtórzył stanowczo.

Nawet nie chciała o tym słyszeć. Nie wyjawiała dlaczego, ale nie, i już. Nie ma mowy. Dlaczego? Bo nie!

Zacisnęła usta.

Oskar nie powinien się dowiedzieć, że ze zniknięciem Cyryla mogły się wiązać jeszcze inne sprawy, trudne i niewyjaśnione. Policja? A co będzie, jeśli zaczną ją wypytywać? Bo zaczną, to oczywiste. Po co przyjechała na Sylt? Do Cyryla. To znaczy? Bo ją wezwał. A w jakim celu?

Nie dość, że ją wystraszył tą policją, to jeszcze na koniec nie mógł się powstrzymać, żeby nie dorzucić kamyczka do ich wspólnego ogródka. Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, a on już ustalał reguły gry.

Wyszli z dworca i Oskar pojednawczo zaproponował „solidne” śniadanie. Nic tak nie godzi i nie łągodzi jak wspólne solidne śniadanie, prawda?

– Chodźmy do Johannesesa – zaproponował.

Jasmine jeszcze nie słyszała o Johannesie, ale cokolwiek się za tym kryło, chętnie się zgodziła. Nie chciała się rozstawać w niezgodzie, zależało jej, żeby Oskar zapamiętał ją taką, jaka była wcześniej. Bo chociaż na peronie ubodło ją, że tak lekko odniósł się do ich znajomości, to jednak miała nadzieję, że i on nie żałował.

I była głodna.

Przeszli może dwie przecznice, gdy na rogu przed apteką Oskar nagle przystanął.

– Zaczekaj chwilę! – zawołał za nią, wyjmując komórkę z kieszeni.

Odeszła kilka kroków i usiadła na ławce pod drzewem. Teraz już nie tylko była na niego zła – była zła i zawiedziona. A więc to tak! Niby rozmawiali, niby byli razem, a tu się okazuje, że Oskar ma inne sprawy, które akurat teraz musi koniecznie załatwić. Czy to oznacza, że przez cały czas, który spędzili razem, on myślami był gdzie indziej?

Ledwie ruszyli dalej, Oskar wrócił do przerwanej rozmowy.

– Po tym wszystkim, co było między nami, mam chyba prawo głosu w tej sprawie, nie uważasz?

Nim doszli do baru, kłócili się już generalnie o wszystko. O prawo do prywatności, o wolność i narzucanie innym własnego zdania. O to, co jest najpierw: nasza prywatna wolność i prawo innych do takiej samej wolności, czy prawo do narzucania woli innym, w imię błędnego założenia, że nasze racje są słuszniejsze.

Może, gdyby nie to, Jasmine nie potknęłaby się o tego śpiącego wilczura. Dobrze, że miała trampki, a nie jakieś ciężkie buty, dopiero by miała wyrzuty sumienia.

Potrącony pies poderwał łeb i warknął ostrzegawczo. Krzyknęła z przestachu.

– Przepraszam!

W tej samej chwili Oskar potrącił tamtą kobietę. Nie zauważył jej. Niespodziewanie pojawiła się w drzwiach, zrobiła krok nad leżącym w progu psem i właśnie zamierzała wyminąć Jasmine, kiedy się zderzyli. Odchyliła się gwałtownie do tyłu, straciła równowagę. Próbował ją podtrzymać, ale tylko zerwał jej torbę z ramienia. Upadłaby, gdyby w porę nie przytrzymała się framugi drzwi.

Wyciągając obie ręce w jej stronę, Oskar sam się zachwiał i upuścił notes, który chwilę wcześniej, po rozmowie telefonicznej wyjął, chcąc coś zanotować. Na ziemię posypały się luźne kartki i jakieś wizytówki.

Kobieta jęknęła i na moment znieruchomiała zdezorientowana.

Oskar zaklął głośno. Schylił się po notes, znów potrącił tę kobietę, tym razem mocniej, ale nawet tego nie zauważył; wiatr porywał luźne kartki z ziemi, unosił w powietrze.

Upadając, musiała się boleśnie poturbować. Chwyciła się za łokieć, dotknęła stłuczonego kolana. Jasmine nachyliła się nad nią, chciała pomóc, ale tamta odsunęła jej rękę.

– Nie trzeba – powiedziała łagodnie. Odgarnęła włosy z oczu. Nie była zła ani zdenerwowana, jedynie oszołomiona. – Nic się nie stało.

Wilczur, warcząc, stanął czujnie przy kobiecie, zupełnie jakby była jego panią.

Hałas zaniepokoił barmana. Przechylił się ponad kontuarem i uniósł głowę,

nasłuchując. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, szczupły, w okularach, siedzący przy stoliku pod oknem, wstał i podszedł do drzwi.

Na szczęście, upadek okazał się niegroźny, bo kobieta zaraz wstała, otrzepała spodnie i zaczęła chaotycznie zbierać rzeczy, które jej się wysypały z otwartej torby. Nie chciała zostać, usiąść, napić się wody ani opatrzyć stłuczenia. Wspomniała coś o autobusie, że zostało kilka minut.

Odeszła w pośpiechu.

*

Jasmine weszła do baru pierwsza. Na moment przystanęła na środku, czekając na Oskara, który w drzwiach odwrócił się jeszcze i odprowadził nieznajomą wzrokiem.

Zajęli jedyny wolny stolik, gdzie chwilę wcześniej siedziała pewnie tamta kobieta. Jasmine zamówiła sok. Na pytanie barmana: „Jaki?“, odparła w roztargnieniu: „Jakikolwiek“. Na pytające spojrzenie Oskara („Chcesz zamówić coś jeszcze?“) pokręciła przecząco głową. Straciła ochotę na śniadanie.

Oskar podrapał się w głowę, jakby mimo wszystko jej zmienność dawała do myślenia. Przecież była głodna.

– Może jeszcze się namyślisz – mruknął, po czym poprosił o butelkę jasnego piwa.

Zdarzenie przed wejściem do baru ostatecznie wytrąciło ich z równowagi. Oskara chyba nawet bardziej niż ją, może dlatego, że od początku próbował jej zaimponować swoim opanowaniem. Nie patrzyli na siebie, nie rozmawiali. Odwróciła głowę do okna, on pochylił się i ukradkiem rozejrzał wokół siebie. Przy sąsiednich stolikach wszyscy byli niby zajęci sobą, ale, wiadomo, w takich małych miasteczkach na prowincji ludzie są ciekawscy. I nawet jeśli są niewidomi, jak ten gość za barem, zawsze wszystko wiedzą.

Pili zamówione napoje; Jasmine jednak zmieniła zdanie i zamiast soku pomarańczowego, który zaproponował jej barman, zamówiła świeżo wyciskany z marchewki. Było jej wszystko jedno, ale nie lubi pomarańczy, wyjaśniła. Potem zamilkli i było to milczenie długie i niezręczne.

Jasmine pierwsza nie wytrzymała. Spojrzała Oskarowi prosto w oczy, a wtedy, w tej samej chwili, oboje sięgnęli po komórki i zaczęli wystukiwać SMS-y. Za pierwszym razem wysłali je niemal jednocześnie, ale po chwili robili to już na przemian, przerzucając się argumentami. Jasmine co pewien czas zerknęła kontrolnie na boki, czym rozbawiła Oskara. Zmrużył oczy w uśmiechu. Jakby była tajną agentką, mówiła jego mina.

– Nie bój się, nikt nie rozpozna układu wystukiwanych liter po ruchu rąk – powiedział cicho, niemal nie otwierając ust.

Spojrzała na niego urażona.

Roześmiał się głośno.

– Za dużo filmu w twoim życiu!

Jego słowa, wypowiedziane tak wyraźnie i tak niewinnie żartobliwe, rozbiły bańkę zaciekawienia wokół nich. Do baru powrócił zwykły ruch i gwar, chociaż, jak zauważyła Jasmine, wszyscy zachowywali się teraz o ton ciszej, jakby na wypadek gdyby zachciało im się dostarczyć następnej sensacji.

Nie mogłabym żyć w takim miasteczku, pomyślała Jasmine ponuro. Żadnej prywatności, jak u Eskimosów. Biedna Sophie, musiała to znosić.

W odruchu buntu wcisnęła kapelusz głębiej na czoło.

Oskar wsunął komórkę z powrotem do kieszeni. Zniecierpliwiło go wypisywanie SMS-ów. Za wolno! A on lubił mówić szybko i jeszcze szybciej reagować.

– Pytałaś o lojalność? – Pytanie zadał półgłosem, ale napięcie sprawiło, że jego głos zabrzmiał, jakby grał na tubie.

W barze momentalnie zapadła cisza, wszyscy zastygli w oczekiwaniu na jej reakcję. Ale on jeszcze nie skończył. Odruchowo przysunął się bliżej i zniżył głos do szeptu.

– Co miałaś na myśli? Lojalność moją czy Cyryla? Bo jeśli chodzi o twoją, to wierz mi, może być jeszcze wystawiona na ciężką próbę.

Jasmine pochyliła się nad stolikiem tak nisko, że włosy opadły jej na twarz, tworząc rudą zasłonę.

– Dziś rano spytałeś, czy byłam kiedyś na dnie. Ty miałeś na myśli morze, a ja odebrałam to poważnie. I moja odpowiedź brzmi: Tak, Oskar, byłam. Jestem teraz. I jeśli to, co od pewnego czasu dzieje się w moim życiu, szybko się nie wyjaśni i nie rozwiąże, to będę mogła powiedzieć, że to... – zawahała się. – Nie pytaj o nic, bo nic ci nie powiem, poza tym jednym: nigdy więcej! Tajemnice lubię w kinie, ale w życiu wolę jasne sytuacje. – Wyprostowała się i odgarnęła włosy z czoła. – I jeszcze jedno. Nasze spotkanie na dnie morza było cudowne i romantyczne, ale nie daję ci żadnych praw. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Ku jej zaskoczeniu, Oskar się nie obraził. Wziął ją za rękę.

– Ciii – uciszył ją. Nie miał zamiaru jej upominać, że powinna ściszyć głos, chciał ją naprawdę uspokoić. – Ciii, już dobrze. Nie będę się więcej wtrącał. Tylko...

I wtedy zadzwonił telefon. A potem już wiedziała. Oskar zapisał jej wszystko na kartce. Nordseeklinik „Asklepios” i adres. Piętro, oddział, nazwisko lekarza prowadzącego. I numer telefonu do dyżurki.

Cyryl był w szpitalu!

Oskar podał jej kartkę, zczekał, aż schowa ją do kieszeni.

Nie usiadł z powrotem. Jasmine nie chciała nic zjeść, on nie dopił piwa. Podszedł do kontuaru i zapłacił rachunek pod baczny okiem wilczura, który

zjawił się przy nim jak cień, z miną strażnika.

Byli już na ulicy, gdy Oskar wyjął z notesu jakąś wizytówkę.

– Jeśli uznasz, że to konieczne lub wskazane, tu masz jeszcze namiary do komisarza Kurta Herzoga. Jest w porządku, nie musisz się go obawiać.

*

Z trudem powstrzymywała się od płaczu. Kręciło jej się w głowie.

Wstali o piątej rano, teraz było koło południa. Minęło niespełna siedem godzin. Ogarnęło ją przemożne uczucie, że to nie jej się to wszystko przydarzyło, tylko trzem różnym osobom. Tak jakby między pierwszą rozmową przy pizzy i sesją fotograficzną o świcie a kłótnią po przyjeździe do Westerlandu i chwilą, w której dowiedziała się o Cyrylu, nie było żadnego związku. Albo jakby dzieliła je wieczność. Szalona, romantyczna Jamila zniknęła, jej miejsce zajęła dawna Jasmine.

Oskar dotknął jej ramienia.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Spotkamy się jeszcze?

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Z ulgą. Nigdy w życiu się tak nie bała jak w ostatnich dniach. Nigdy w życiu nie była taka zagubiona.

Kiwnęła głową.

– Będę tu czekał wieczorem – wskazał za siebie, na drzwi do baru.

– O której?

– Nie musisz patrzeć na zegarek – rzekł dziwnie miękko. – Spotkajmy się, jak nasi przodkowie, gdy jeszcze nie mieli zegarków, „między godziną psa i wilka”. Po zmierzchu. – Zabrzmiało to tajemniczo, niemal magicznie. – Będę czekał.

*

Doktor Lange przyjął ją natychmiast.

– Ranny pacjent... – doktor włożył okulary i zajrzał do karty, gdzie w odnośnej rubryce, zamiast inicjałów N.N., pojawiło się właśnie imię i nazwisko: Cyryl Neuhaus. – Zdążyłem się przyzwyczaić, że na oddziale mówimy o nim Kapitan Nemo. Wie pani, że przywieziono go do nas w stanie ciężkim, prawda? Jak dotąd nie udało się ustalić, co się stało, pacjent ma wciąż dziury w pamięci, zwłaszcza tej bezpośrednio dotyczącej wypadku. Również w zakresie pamięci wstecznej stwierdziliśmy luki.

Zdaniem doktora Langego, zważywszy na stan, w jakim go porzucono na ulicy, Cyryl mógł mówić o szczęściu.

Ponownie zajrzał do papierów, zaczął czytać:

– Rany cięte, złamane trzy lewe żebra, odbite nerki, i tak dalej. Utrata przytomności w wyniku licznych urazów czaszki o różnej etiologii.

Farmakologicznie czysty, ani śladu alkoholu czy narkotyków... – Doktor odłożył papiery i zdjął okulary; zakołysały się na złotym łańcuszku, po czym znieruchomiały na koszuli w biało-niebieskie prążki. – Tak, głowa ucierpiała najbardziej. Musiałem założyć sporo szwów. Jak pani sama się przekona, jeszcze potrwa, nim ostatecznie zejda wybroczyny i wszystko się zablizni. Wygląda na pobicie, celowe i brutalne. I ta pręga na szyi!

Jasmine słuchała w napięciu, starając się opanować zdenerwowanie, a jednocześnie zrozumieć fachowe terminy, zapamiętać, co mówił doktor. Wciąż nie mogła uwierzyć, że wszystko to odnosiło się do Cyryla.

– Stan ogólny jest dobry, w śpiączce farmakologicznej nie trzymaliśmy go długo. Cud, że wzrok nieuszkodzony, bo początkowo okuliści byli mocno zaniepokojeni.

A widząc jej minę, dodał pocieszająco:

– Jest młody, zdrowy. Wyjdzie z tego, nie ma obawy.

Słuchając doktora Langego, Jasmine uniosła rękę. Czekala, aż skończy mówić. Następnie wróciła do jednego z wątków jego długiej wypowiedzi.

– Doktor wspomniał o amnezji...

– Pacjent nie pamięta samego wypadku ani jak do niego doszło.

– A to, co wydarzyło się wcześniej?

– Różnie. Z doświadczenia wiemy, że te pokłady odsłaniają się szybciej, są lepiej zakodowane. Poza tym nie nastąpiło wyparcie, tak typowe dla sytuacji stresogennych. Natomiast ostatnie dni... – zawiesił na chwilę głos. – Tutaj samo zdarzenie było traumatyczne, i to pod każdym względem. Widoma nagłość, a więc zaskoczenie. Rozległość obrażeń, nawet groźba śmierci. Ból, bezsilność. Strach. W takich sytuacjach mózg nie radzi sobie z nadmiarem negatywnych bodźców, ucieka w niepamięć.

– Trochę jak w komputerze...

– To prawda. Pamięć bieżąca RAM. Twardy dysk. Kosz. Teraz chodzi o to, aby jak najwięcej z tego kosza odzyskać. Proszę dużo z Cyrylem rozmawiać, a jeśli pani coś wie czy pamięta z jego lub waszej wspólnej przeszłości, niech pani mu to opowiada po wiele razy, ze szczegółami. – Doktor podrapał się delikatnie w czoło.

– Przydałby się malarz.

– Malarz?

– Tak, pamięć pozasłowna jest głębsza. Fotografie to dobre odniesienie, ale uruchamiają jedynie funkcje pasywne. A wspólne rysowanie znanych miejsc, osób czy scen z przeszłości otwiera mózg na aktywne działanie, uruchamia półkulę kreatywności. Jednym słowem, każe działać – mówiąc to, doktor Lange uśmiechnął się pogodnie.

Jasmine nie potrafiła odwzajemnić się tym samym. Z trudem nad sobą panowała.

Przyjrzał jej się ze zrozumieniem.

– Cierpliwości. Wszystko będzie dobrze. Już niedługo pacjent... Cyryl przypomni sobie, że panią kocha.

– Nie! Tak, oczywiście. Dziękuję. – Doktor nie musiał wiedzieć, że Jasmine życzy Cyrylowi jak najlepiej, ale wolałaby, żeby nie przypomniał sobie, że jej nie kocha.

Czy amnezja może wymazać z czyjejś pamięci informacje, których ktoś inny sobie nie życzył?

Z zamyślenia wyrwał ją głos doktora.

– ... pani Waltzer.

– Słucham? Przepraszam, nie dosłyszałam. Czy może pan doktor powtórzyć?

Doktor Lange wstał, obszedł biurko. Podał Jasmine rękę na pożegnanie, a potem trzymając ją za łokieć, poprowadził do drzwi. Tak postępuje się z pacjentami w szoku, po urazie psychicznym.

– Mówiłem właśnie, że z mojej strony to wszystko. Gdyby były jakieś sprawy, proszę bez wahania zwracać się do siostry oddziałowej pani Waltzer.

*

Gdy przyszła, Cyryl spał.

Jasmine cofnęła się odruchowo, odwróciła wzrok. Nie potrafiła przyglądać się jego twarzy otwarcie, jakby przekraczała granice prywatności. Znała Cyryła z intymnych sytuacji, to prawda, ale co innego z kimś się kochać i razem z nim zasypiać, a co innego – zobaczyć go uśpionego na szpitalnym łóżku.

Nachyliła się i ostrożnie musnęła ustami jego czoło. Poruszył się, miała wrażenie, że wciągnął w nozdrza jej zapach, bo drgnął przez sen, jakby coś mu się przypomniało. („Twoje włosy są jak kasztany. Pachną jesienią”).

Ale się nie obudził.

Przesiedziała przy jego łóżku do wieczora.

Jak przez sen pamiętała, że miała się spotkać z Oskarem. Cieszyła się, że znów go zobaczy. Mimo porannej scysji w jakimś barze, przy ludziach, była mu wdzięczna, że zajął się tą sprawą. Takie sytuacje zbliżają, sprawiają, że czujemy, jakbyśmy się znali znacznie dłużej niż w rzeczywistości. To już nie było wyłącznie pragnienie i wzajemna fascynacja, lecz znajomość. Coś więcej.

Kiedy tak jeszcze myślała? W południe, gdy biegła do kliniki? Tak dawno. Od tamtej chwili upłynęło morze czasu. Gdy wieczorem wychodziła z oddziału, wiedziała już, że nie pójdzie na żadne spotkanie. Nie mogła.

Za dużo emocji, za dużo zdarzeń.

Nawet nie zadzwoniła do Oskara, żeby odwołać, podać jakiś powód, dla którego nie przyjdzie. Musiałaby powiedzieć mu prawdę. Albo skłamać.

*

Było już ciemno, gdy Jasmine wróciła do List, zmarznięta i przemoczona. W drodze powrotnej zaczęło padać, a ona zostawiła kurtkę w klinice. Pan Meyer czekał z herbatą, ale na rozmowę z gospodarzem, podobnie jak na spotkanie z Oskarem, również nie miała siły. Bąknęła: „Dziękuję, przepraszam, może jutro”, i od razu poszła na górę do swojego pokoju.

Zrzuciła mokre ubranie na podłogę, buty związała sznurowadłami i zawiesiła na kaloryferze, żeby wyschły; miała tylko tę jedną parę. Dygotała z zimna, zęby jej szczykały. Długo stała pod prysznicem, ale mimo że woda parzyła jej skórę, nie mogła się rozgrzać. Natarła się mocno ręcznikiem, włożyła piżamę i wsunęła do łóżka. Chociaż nie było jeszcze dziesiątej, od razu zgasiła światło.

Naciągnęła kołdrę na głowę, ale nadal było jej zimno. Żałowała, że nie dała się namówić na herbatę. Nie zeszła jednak do kuchni, bała się skradać jak złodziej, myszkować po cudzych szafkach. Pan Meyer gotów by pomyśleć, że ktoś się włamał do domu. Jasmine zauważyła, że był na tym punkcie przewrażliwiony.

Jak wiele się zmieniło. Dawniej lubiła tę chwilę na minutę przed zaśnięciem, gdy mogła podsumować dzień, zaplanować następny; na własny użytek nazywała to katalogowaniem. Od tygodni tego nie robiła. Zapadała w sen natychmiast bez jednej myśli albo uciszając niepokój, powtarzała rozpaczliwą mantrę: Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Kichnęła raz, potem drugi. Wstała, wygrzebała z torby sweter i podkolanówki w kolorowe prążki, w kosmetyczce znalazła tabletkę paracetamolu, którą łyknęła, popijając ciepłą wodą z kranu.

Biegiem wróciła do łóżka i skuliła się pod kołdrą.

Co ona narobiła? Po co wpakowała się w tę całą historię z Oskarem? Jakby nie miała dość kłopotów na głowie. Powinna zaczekać, Cyryl mógł się przecież rozmyślić, zmienić zdanie. Takie rzeczy się zdarzają. Ludzie zrywają ze sobą, a potem dochodzą do wniosku, że popełnili błąd, że nie mogą bez siebie żyć, i tak dalej. Trzeba tylko dać im czas. Możliwe, że Cyryl już żałował.

Nagle ogarnęła ją złość. Nie na siebie, tylko na Cyryla.

Dlaczego miała się czuć winna? Napisał, że nie chce z nią być, bo kocha Sophie. Porzucona dziewczyna ma prawo do nagrody pocieszenia, a jak się pocieszać, to tylko z przystojnym facetem. Jak w amerykańskim filmie. Zamiast za grube pieniądze wyplakiwać się jakiemuś terapeutcie, umów się na randkę.

Aż usiadła na łóżku, gdy nagle wyobraziła sobie scenę w pustym barze. Oskar przy stoliku. Oparty o poręcz krzesła, zapatrzony w drzwi, raz po raz niecierpliwie sprawdza komórkę. Albo z rękami splecionymi beczynnie na pustym blacie, z pochyloną głową, czeka z początku spokojnie, potem coraz bardziej zdziwiony, wreszcie zirytowany. Za oknem zrobiło się ciemno, zaczęło padać, a jej wciąż nie było. Zamówił coś? Wypił piwo? Zjadł bez niej kolację? Był na nią zły,

musiał być, zepsuła im wspólny wieczór bez powodu. Nie dała znać, tylko, ot tak, po prostu nie przyszła.

Zaraz do niego zadzwoni i wszystko wytłumaczy.

Ale gdy zapaliła światło, okazało się, że jest już pierwsza w nocy, za późno. Opadła z jękiem na poduszkę. Jedyne pożytek, że od tego myślenia zrobiło jej się gorąco.

Już miała ponownie zgasić światło, gdy nagle na skośnym suficie nad oknem zobaczyła pająka. Był duży i długonogi i właśnie zabierał się do uprzedzenia swojej łownej sieci. Nocny myśliwy.

Jasmine zerwała się gwałtownie z łóżka.

– Co to, to nie, mój panie – powiedziała na głos. – Możesz polować, ale nie w moim pokoju.

Pobiegła do łazienki po szklankę do płukania zębów, z torby wyjęła folder turystyczny z Niebüll. Otworzyła okno. Nocne powietrze pachniało morzem i wodorostami. Księżyc rzucał jasną poświatę na bezchmurne niebo.

Ostrożnie przystawiła szklankę do ściany i wsunęła folder pod spód. Odczekała, aż uwięziony pajak się uspokoi, następnie uniosła przykrytą szklankę i szybko wytrząsnęła go za okno.

– W ogrodzie pana Meyera upolujesz więcej zwierzyny – mruknęła. Nie lubiła pajaków, jak inni wierzyła, że gryzą w powieki. Ale zarazem nie rozumiała tej jakiejś dziwnie histerycznej manii zabijania.

W zalegającym nisko przy ziemi mroku trudno było rozróżnić kształty. Pelargonie w donicach pod jej oknem rosły tylko dlatego, że Jasmine widziała je wcześniej, w pełnym świetle dnia. Wiedziała, że tam są.

Zamknęła okno i wróciła pod kołdrę. W końcu zasnęła.

LIST Z CZUWANIA

J.

Spróbujmy sobie wyobrazić taką scenę:

„Jasmine spędzała całe dni przy łóżku Cyryla. Przeważnie spał, ale nawet gdy się budził, w jego wzroku nie było nic poza dezorientacją i strachem. Sen jest odmianą pamięci. Tak jakby wypadek pozbawił go ciekawości czekania, myślała Jasmine, ćwicząc się w sztuce cierpliwości.

Przychodziła codziennie rano i siadała na białym krześle. Co pewien czas poprawiała poduszkę albo przewracała Cyryla na bok, żeby oklepać mu plecy, tak jak ją nauczyła pielęgniarka. Nie reagował, nawet gdy nie spał, poddając się bezwolnie jej zabiegom. To nic, ona i tak to robiła. Całując go w czoło albo policzek, starała się robić to delikatnie. Raczej muśnięcie niż pocałunek. Rano po przyjeździe i wieczorem na pożegnanie, i gdy poprawiała mu poduszki.

Wyobrażała sobie, że taki szpital jest jak białoseledynowy kokon, który otacza ciało, izoluje je i unieruchamia. Oddziela. Kto wie, myślała, czy świat

zewnątrzny nie ma właściwości leczniczych? Może jej dotyk mimo wszystko dociera – tam? Dlatego nachylała się i delikatnie całowała Cyryla w czoło albo w zagojony policzek, obok blizny. A potem znów siadała na białym krześle i głaszcząc go po ręce, nuciła melodie, których kiedyś razem słuchali.

– Słyszysz mnie, prawda? – szeptała mu do ucha, powtarzając swoje małe rytuały. Sama zamykała przy tym oczy, żeby nie widzieć tej seledynowej bieli wokół nich.

Przyglądała się twarzy Cyryla. Wydawała jej się taka obca, zupełnie jakby widziała ją pierwszy raz. Dawniej często obserwowała Cyryla z bliska, gdy spał spokojnie, twarzą do niej, obok na poduszce. Ale teraz jego spokój był inny, nie tylko z powodu środków nasennych i nie dlatego, że sińce i blizny tak bardzo go zmieniły. To Cyryl był inny, daleki i obcy. Kiedyś wiedziała, kim jest, nawet gdy spał, znała jego myśli, plany na następny dzień i na przyszłość. Dziwne uczucie tak patrzeć na kogoś, kogo się dobrze znało, i całkiem go nie rozpoznawać.

Tak mijały całe dni. Rano Jasmine zamieniała kilka słów z doktorem Langem albo pod okiem którejś z pielęgniarek uczyła się kolejnych zabiegów praktycznych z zakresu pielęgnacji chorego. Pozostałe godziny upływały jej na czuwaniu. Długie godziny, których nie potrafiła niczym zapełnić. Lubeka się oddaliła, w ogóle całe jej dawne życie oddaliło się, odpłynęło. Jakby żyła na innej planecie.

Nie mogła pisać. Niedokończony esej o Bergmanie z wolna zmieniał się w plik luźnych notatek, nieraz bez związku z tematem. *Scenariusze* czytała dla uspokojenia. Ku jej zaskoczeniu, dobrze znane słowa brzmiały teraz zupełnie inaczej, bardziej prywatnie, intymniej.

W *Scenach z życia małżeńskiego* odkryła fragment o absurdalnym i nigdy niezaspokojonym pragnieniu wspólnoty i próbach unicestwienia dystansu i izolacji. Jesteśmy samotni, ponieważ próby te są nie tylko niezręczne, ale i nieskuteczne. Samotność kryje się w ich podejmowaniu. „Człowiek jest absolutnie samotny. Wszystko inne jest złudzeniem. Nie spodziewaj się niczego oprócz zła. Jeśli zdarzy się coś przyjemnego, tym lepiej. Nie będziesz rozczarowana, kiedy wszystko wróci do dawnego porządku. Trzeba żyć ze świadomością, że samotność jest absolutna. Wtedy człowiek przestaje się skarżyć, przestaje narzekać. Dopiero wtedy uzyskuje poczucie bezpieczeństwa i uczy się akceptować ten absurd z pewną satysfakcją”¹³.

Odczytała ten fragment kilka razy. Samotność kryje się już w samych próbach jej przełamania, gdyż próby te są z góry skazane na niepowodzenie. Paradoks „odwieczności” takiego usiłowania kryje się w gramatyce: czynność jest prawdziwa w chwili mówienia, czyli – zawsze.

Do usłyszenia,

B.

Z ZAPISKÓW VINCENTA

Stary Baudrillard mylił się, gdy twierdził, że każda rzecz winna być nazwana zgodnie z tym, co oznacza, lecz jej zrozumienie możliwe jest jedynie poprzez określenie tego, czym nie jest. I nie chodziło mu o surrealistyczne „Ceci n’est pas...” Magritte’a, tylko o to wszystko, co fajkę otacza, o całość universum. Czysta fikcja! Jego poszukiwania „totalnego znaczenia” okazały się z natury rzeczy złudne i nieskuteczne, a „całość”, którą starał się pojąć i poskładać, w prawdziwym życiu wymyka nam się z rąk. Bo jak się ma jego sieć znaków do mojego związku z Yvonne? Jego teoretyczna enigma kontra nasza złota klatka „życia jak z obrazka”? Tam tysiące znaczeń bez związku z rzeczywistością, tu skorupa rzeczywistości bez znaczenia. Z tej perspektywy patrząc, moje małżeństwo wydaje się dziś podwójnie nierzeczywiste.

B. nie mylił się tylko co do jednego: gdy mówił, że opisanie życia w jego najdrobniejszych szczegółach teoretycznie jest możliwe. Teoretycznie, tak. Tymczasem im pełniejszy i rzekomo bardziej spójny uda nam się złożyć obraz rzeczywistości jako takiej, tym bardziej niepewna i niestabilna stanie się nasza własna realna mała codzienność. Zagubieni w nadmiarze tego wszystkiego, czym (i kim) nie jesteśmy, tym większy odczuwamy lęk.

Za późno zacząłem studia, spóźniłem się na to, co ważne. Cokolwiek nastąpiło potem, okazało się czystym urojeniem: słowa, znaki, nawet zdania matematyczne. Moje malarstwo? Jest równie zafałszowane jak to wszystko, od czego próbowałem uciec. Od czego uciec tak naprawdę się nie da. Obrazy są tylko obrazami, trochę farby na płótnie czy papierze nie odda zmienności morza ani się nim nie stanie.

Dobrze, że przestałem palić. Jeszcze jedna pusta poza, jeszcze jeden gest, który...

Rozdział 7: Bezsenna

Jedynie czas astronomiczny przebiega równomiernie. Ludzki czas ma stałe przyspieszenie, a jeśli zwalnia, to tylko przejściowo, gdy na coś czekamy. Bo potem zaraz znów przyspiesza, by wraz z pojawieniem się kolejnego zadania czy kolejnej sprawy odwrócić naszą uwagę od tego, co nas niepokoi i porusza do głębi: od przemijania.

Na co dzień żyjemy szybciej, spłyceniu ulegają obydwa kierunki – czasu przeżytego i przyszłego. Mniej wtedy myślimy, a tylko jesteśmy, to także zadanie do wykonania, takie jak każde inne.

*

Ostatnio Vincent doszedł do wniosku, że nie lubi słońca.

I nareszcie zrozumiał dlaczego. Za dnia, nawet na sennym Sylcie, nawet po sezonie wszyscy mówią jednocześnie. Vincentowi nie przeszkadzało, że nie śpi po nocach, podobnie jak nie miał nic przeciwko temu biernemu zawieszeniu, w jakim upływały mu kolejne lata. Przeczyło to ogólnie przyjętemu przekonaniu, że skoro ktoś nie może zasnąć, to znaczy, że „cierpi” na bezsenna. I że powinien się leczyć.

Vincent nie cierpiał, przeciwnie, wierzył, że w nocnej ciszy dzieje się więcej i ciekawiej. Może boleśniej, ale głębiej. Brak snu wyostreza zmysły. Ciosy zadane nocą trudniej się goją, wspomnienia mocniej ranią, dawno wypowiedziane słowa celniej trafiają w serce, bo żadne inne słowa ich nie zagłuszają. Starzy wrogowie, dawno pokonani, nawiedzają nas pod osłoną nocy, burząc z trudem odzyskany spokój. Czekanie, które za dnia potrafimy utrzymać w ryzach, nocą wymyka się spod kontroli i staje się nie do zniesienia, ponieważ kochamy wtedy pełniej i bardziej nienawidzimy. Ale nie ma w tym nic złego, tak powinno być. Po co mielibyśmy żyć, jeśli nie po to, aby dotrzeć do sedna naszych uczuć? To wymaga odwagi, a odwaga nie rodzi się w tłumie. W tłumie rodzi się pustka.

Wbrew pozorom, nocą człowiek czuje się mniej samotny, jedynie wilki, sowy i nietoperze – odwieczni towarzysze nocy – czuwają wraz z nim. Zawieszony między cieniem księżycy a mroczną i pełną przywidzeń jawą, zatrzymuje się nad przepaścią sennego koszmaru, by w ostatniej chwili przed upadkiem cofnąć się, a poczuwszy ziemię pod stopami, nareszcie przestać się bać.

Strach w pełnym słońcu południa bywa o wiele bardziej niebezpieczny. Uderza znienacka.

*

Światło w rozumieniu Obcego, jak u Camusa, jest symbolem przemocy. Od słońca nie ma ucieczki, ono budzi nie tylko zmysły, budzi również nasz bunt

i niezgodę na świat, który jest okrutny, obojętny i nieczuły. Oślepiający do utraty zmysłów, i sam ślepy. To dlatego Meursault zabił, z powodu słońca. Był Francuzem, Algier go oślepił. A jeśli do nadmiaru światła za dnia (i braku łez na pogrzebie matki) dodamy równie intensywne, drżące od chłodu noce, które zamiast koić, budziły rozdrażnienie, jeśli dodamy blask księżyca, który nie pozwalał się ukryć, i wiatr z pustyni, i morską sól, palące pod powiekami – wówczas zrozumiemy, że myśl o morderstwie nie była w istocie myślą, lecz jedynie odruchem, który zrodził się sam, mimo woli. Wystarczyło, by zniecierpliwiony duchotą Meursault poszedł do kuchni po szklanek wody i na stole zobaczył nóż. To było takie proste, nie musiał nawet kraść broni. Sztorm w ludzkim sercu niekoniecznie jest kwestią uczuć, nie należy zapominać o słońcu.

*

Spał do dziewiątej, jak na niego wyjątkowo długo.

Zwykle budził się po dwóch, trzech godzinach, w pełni przytomny. Widział wtedy wszystko tak wyraźnie, jakby do patrzenia nie używał zmysłu wzroku, tylko wewnętrznego oka: jaki obraz namalować, jaką decyzję podjąć? Nauczył się czekać na te chwile przebudzenia, dzięki nim mógł zawierzyć intuicji, zwłaszcza gdy miał problem do rozwiązania. Tak jak teraz.

W ciągu wielu dni, które dawno zmieniły się w tygodnie, zwlekał z podjęciem decyzji. Zdawał sobie sprawę, że zamiast rozmyślać o naturalnych pigmentach i bawić się w eksperymenty z ucieraniem muszli z wodorostami i łączeniem ich z kolorowymi glinkami z klifów i morskim mułem („Czy można morze namalować morzem?”), powinien po prostu usiąść i napisać do ojca, odpowiedzieć na jego list. A odpowiedź powinna brzmieć: „Jeśli chcesz, to oczywiście przyjeżdż. Nie mam nic przeciwko temu”. Na taką odpowiedź każdy dzień był dobry albo zły, zależy, jak na to spojrzeć. Do tego intuicja nie była potrzebna.

Vincent kochał ojca, to nie tak, że nie miał ochoty go spotkać. Tyle tylko, że ich światy dawno się rozeszły. Dawno, to znaczy wtedy, gdy poprosił ojca, by przyjechał do Paryża i we dwóch zjawili się w eleganckim domu rodziców Yvonne, na przedmieściach Paryża, żeby poprosić o jej rękę.

Tamten wieczór więcej w jego życiu zamknął, niż otworzył. Chrzęst żwiru na podjeździe, przyciszona muzyka w salonie i dźwięk otwieranej butelki szampana na tarasie ostatecznie stłumiły głosy dawnego świata. Vincent nie patrzył na ojca, starannie unikał zarówno jego wzroku, jak i widoku – spracowanego człowieka w niemodnym garniturze. Ty też na mnie nie patrz, błagał w duchu, zostaw mnie w spokoju. To moja cena, nie twoja.

Ale znał ojca, wiedział, co myśli. Mimo hektarów winnicy i domu, który od pokoleń był w posiadaniu rodziny, bardziej niż ziemianina pełną gębą, którym był

w istocie, stary Nicolas le Puy przypominał Rollandowskiego Colasa Breugnona, francuskiego chłopca z zasadami, dla którego szczęście to nie był towar na sprzedaż z tej prostej przyczyny, że nie miał ceny. Chyba że chcesz, synu, porozmawiać o ziemi i winnicy albo o kontrakcie ślubnym i posagu, wówczas to całkiem inna rzecz.

Minęło tyle lat, a jemu tamten wieczór wciąż nie dawał spokoju: byli jak dwaj aktorzy z prowincjonalnego teatru, wynajęci na zastępstwo do paryskiej Opéra Royale. Ojciec nigdy mu tego nie wybaczył, a Vincent o wybaczenie nigdy nie poprosił.

Państwo de Vries nie zgodzili się, by na wesele zaprosić zbyt wielu krewnych z Saint-Jean-de-Marsacq, również Bayonne leżało za daleko od stolicy. Malików skreślili z listy gości weselnych, tłumacząc, że będą inne okazje, jak choćby wieczór kawalerski czy poprawiny „tylko dla młodzieży”. Argument wydawał się logiczny, mimo że Malików trudno było nazwać młodzieżą. Logiczny nie tyle taktycznie, ile strategicznie, tak samo jak pomysł, by nie kłopotać rodziny pana młodego daleką podróżą.

Vincent godził się na wszystko. Dla świętego spokoju czy ze szczęścia, nieważne, wtedy jeszcze nie był tego świadom. Nie zareagował nawet wówczas, gdy się okazało, że w „wąskim rodzinnym gronie” zaproszonych na przyjęcie weselne gości znaleźli się koledzy z banku, gdzie pan de Vries zajmował wysokie stanowisko.

*

Nie wstając z ławy, sięgnął ręką za siebie i przyciągnął torbę malarską. Wyjął z niej szkicownik, z którego wyrwał czystą kartkę. W kieszeni wymacał jakąś kredkę; trafił na czerwoną. Nie namyślając się dłużej, napisał kilka linijek, które zakończył słowami: „Przyjeżdżaj, czekam”. Następnie złożył kartkę na pół, i ponownie na pół, przesunął palcami po zagięciach. Zrobił to kilka razy, tak jakby się bał, że słowa mogłyby stamtąd wypaść. Albo że się rozmyśli.

Wstał, w papierach na biurku wyszukał starą kopertę, wsunął złożoną kartkę do środka, a kopertę zakleił taśmą klejącą. Tą samą taśmą przykleił kawałek czystej kartki w miejscu starego adresu. Zaadresował: Nicolas le Puy, rte Peyrehorade 23, 40230 Saint-Jean-de-Marsacq, Landes, Aquitaine, Francja / Frankreich.

Poszedł do kuchni. Z kredensu wyjął talerzyk, paczkę przeterminowanych płatków kukurydzianych, słoik miodu, który dała mu kiedyś *Frau* Bellitz, i puszkę Nescafé z kilkoma zaschniętymi grudkami kawy na dnie. Tyle zdołał znaleźć. I jabłko.

Wypłukał czajnik, powąchał, czy nie pachnie stęchlizną, wypłukał jeszcze raz. Nalał świeżej wody i postawił czajnik na kuchence. Obok położył pudełko zapalek. Zawrócił do pokoju po coś do pisania. Poprzednią kredkę, tę, którą pisał

list, gdzieś odłożył, ta była zielona. Z kosza na opał przy kominku wyciągnął starą gazetę i oddał z niej narożnik, na którym napisał: „Dzień dobry. Zjedz śniadanie, spotkamy się u J. Sam otworzę bar”.

Kartkę zostawił na stole w kuchni.

Zanim wyszedł, z listem w kieszeni, przystanął na chwilę na środku pokoju. Przypomniawszy sobie sen, który mu się przyśnił tej nocy, dopiero teraz sobie przypomniawszy, nagle.

W mieście ludzie mówili, że ich wyspa dryfuje, prądy znoszą ją na wchód. On i Rose postanowili to sprawdzić, zaczęli więc wspinać się na dach latarni morskiej w Hörnum, a może to było na Czerwonych Klifach. Wiał silny wiatr, musieli przytrzymywać się iglicy, żeby nie spaść, ale udało im się dotrzeć na szczyt, skąd mieli widok na całą wyspę i morze dookoła. A widok był piękny. Fale uderzały cierpliwie o brzeg, odbierając wyspie ziemię milimetr po milimetrze, zmywając piasek, wypłukując kłaczka traw. Jednak piasek nie znikał i trawy powracały, było ich wciąż tyle samo, tylko w innych miejscach. W wiecznym obrocie, wokół wyspy wolno poruszały się piaskarki, które zasysały piasek z morskiego dna i grubymi rurami posyłały wprost na plażę, gdzie ciężkie buldożery rozprowadzały go, tworząc gładką satynową powierzchnię. Było całkiem cicho. Kiedy w końcu zeszli na dół i stanęli na ziemi, Vincent odwrócił się do Rose i powiedział z ulgą: Nie dryfujemy, tylko przenosimy się z miejsca na miejsce, to różnica.

Gdy wychodził z domu, Rose jeszcze spała.

*

Na ganku zawahał się i po chwili zastanowienia wszedł z powrotem do sieni. Wyjął z kieszeni klucz i położył go na parapecie okna. Następnie odblokował zamek, a wychodząc, zatrzasnął za sobą drzwi.

Na poczcie kupił znaczek i długopisem pożyczonym od urzędniczki dopisał na kopercie „*prioritaire*”. Przez chwilę ważył list w ręku, ale zaraz szybkim ruchem wsunął go do skrzynki. Koperta wślizgnęła się w otwór i spadła bezgłośnie po drugiej stronie.

Vincent odetchnął głęboko. Nie ma się nad czym dłużej zastanawiać.

Na ulicy przystanął przed piekarnią, w pobliżu poczty, skuszony zapachem świeżego pieczywa. Ale nie wszedł, zrezygnował. Pierwszą kawę zawsze pił u Johanna, niezależnie od tego, czy Johannes stał za barem, czy akurat pojechał do Anny. Żaden powód nie był dość dobry, żeby nagle zmienić zwyczaje, ani list do ojca, ani myśl o nieuniknionych zmianach, jakie go wkrótce czekały.

Ani zapach świeżego pieczywa.

Ruszył wolnym krokiem w kierunku nabrzeża, nareszcie swobodny, odprężony. Po drodze, mrużąc oczy, z przyzwyczajenia przyglądał się kolorom,

analizował plamy barwne. Ostatni deszcz sprawił, że ziemia nabrała jednolitego brunatnego odcienia, zielenie minionego lata przesuając w strefę niedopowiedzenia. Powietrze utraciło błękit, poszarzało, a miejscami wyblakło jak na starej kliszy fotograficznej. Nawet pudła z farbami nie trzeba otwierać, pomyślał. Wystarczą resztki pigmentów na pędzlu.

Nagle przystanął. To chyba niemożliwe, pomyślał w panice.

Dlaczego wcześniej tego nie sprawdził?

Zawrócił. Szybkim krokiem ruszył w kierunku domu. Ledwie skręcił za róg Friedrichstraße, gdy przed wejściem do *Inselapotheke* natknął się na *Frau* Bellitz. Za późno, żeby się wycofać, poza tym *Frau* Bellitz szła w tę samą stronę. No, ale ta kobieta zawsze szła w tę samą stronę co cała reszta miasta. A idąc, mimo astmatycznej zadyszki, prowadziła ożywiony monolog, życzliwy, to prawda, ale w jakimś sensie, może z powodu tej zadyszki, przyprawiający słuchacza o zawrót głowy.

Tak jak teraz.

– Ach, miło pana widzieć, *Herr* Vincent! – *Frau* Bellitz wymawiała jego imię twardo, z niemieckim akcentem: Vin-zent. – Nie wiem, czy już panu mówiłam, ale ja często o panu myślę, panie Vin-zent. Bo jakoś mi żal, że dni panu mijają tak bez echa, ledwie się żarzą, a co to za życie, skoro nie ma w nim kobiety? Ani miłości, ani rozpaczy, ani rodziny, to sen, nie życie. Wie pan, jak mawiała *meine Mutti*, a musi pan wiedzieć, że była mądrą, życiową kobietą: Córko, toastu nie wzniesiesz piwem, do tego potrzebny szampan. Złote słowa, panie Vin-zent, godne samego Bismarcka. A ja dodam, że od szampana lepszy jest tylko mój likier szafranowy z korzeniami i prażonymi migdałami, stary irlandzki przepis, nastawiam go każdej zimy, a im dłużej stoi w spiżarni, tym lepszy. Koniecznie musi pan kiedyś wpaść, spróbować...

Vincent przystanął na przejściu dla pieszych.

– *Frau* Bellitz?

– Tak, panie Vin-zent?

– Ma pani jeszcze to auto męża?

*

U Johanna nie było nikogo. Poza Johannesem, który niespodziewanie wrócił ostatniej nocy i sam otworzył bar.

I poza Agatem.

Vincent nastawił ekspres do kawy – przepływowy, z papierowym filtrem, a nie wysokociśnieniowy; rano obaj z Johannesem zawsze pili taką kawę, słabszą, ale za to więcej.

Odczekał, aż dzbanek się napelni. Posłodził, rozmieszał cukier laską cynamonu, którą następnie wrzucił do środka. Sięgnął na półkę po swoją *bol à*

café, ze zmywarki wyjął kubek dla Johannaesa. Nalał kawy.

Przesunął parujący kubek i karton mleka po kontuarze w kierunku przyjaciela, sam usiadł na wysokim stołku po przeciwnej stronie. Wszystko to zrobił w milczeniu, nieobecny myślami, zaaferowany.

Nie zagadnął Johannaesa, co tam słychać na Gotlandii, to nie była podróż tego rodzaju.

Dla Johannaesa milczenie przyjaciela nie stanowiło żadnej odmiany. Znał Vincenta: jeśli miał wybór między rozmową a milczeniem, zwykle wybierał to drugie, nawet gdy miał coś ważnego do przekazania, zwłaszcza wtedy. Przy nim możecie się nie krępować, zapewniał Johannes nowych klientów. Będzie milczał jak te stoły i krzesła, należy do wyposażenia.

Znali się od lat, niejedno razem przeżyli. Zaczęło się na tym nabrzeżu, w tym domu, na piętrze nad barem, gdzie pierwszej nocy po przyjeździe na wyspę Vincent wynajął pokój. Johannes był wprawdzie Szwedem, ale nie tym znajomym Malika, z którym Vincent miał się skontaktować, lecz jedynie przejął po tamtym sąsiedni pokój. Pracował jako rybak na trawlerach dalekomorskich, zniknął na długie tygodnie. Gdy wracał z morza, pukał w ścianę oddzielającą ich pokoje i razem schodzili na dół, na kolację, która zwykle przeciągała się do późnej nocy.

Wtedy jeszcze zarówno bar, jak i cały budynek należały do braci Hammerów.

*

Któregoś razu, włócząc się po okolicy w poszukiwaniu tematów, Vincent trafił do miejsca, w którym nigdy wcześniej nie był.

Dom zbudowano z kamienia. Zabity deskami i zarośnięty niemal po okap łupkowego dachu, stał w cichym zaułku na obrzeżach miasta. Na furtce wisiała kartka: „Na sprzedaż”. Smagany północnym wiatrem od morza, był zamknięty na cztery spusty i wiele wskazywało na to, że od lat nikt do niego nie wchodził. Dawni mieszkańcy opuścili go w widocznym pośpiechu: na ganku zauważył przewrócone krzesło, na oparciu drugiego jakaś tkanina z powodu wilgoci niemal straciła strukturę.

Furtka była zamknięta na przerdzewiałą kłódkę, zamek poddał się pod naciskiem ręki. Płatki rdzy posypały się na ziemię. Brodząc po pas w rumiankach, komosie i dzikiej marchwi, Vincent obszedł dom dookoła. Przetarł rękawem zakurzoną szybę i zajrzał do kuchni. Jakby aktorzy opuścili plan filmowy w pośpiechu, nie kończąc tego, co zaczęli. Na podłodze pod stołem leżał jeden sabot, pranie wciąż suszyło się na sznurku nad piecem, zasnutę pajęczynami talerze i kubki stały na kuchennym stole. Drewniana łyżka, nóż, zapomniana lalka. Co mogło się wydarzyć, że dziewczynka nie zdążyła zabrać lalki?

Odsunął się gwałtownie od okna. Wewnętrzny głos zarządził

natychmiastowy odwrót, a on posłuchał go wyjątkowo potulnie. Lepiej nie dotykać miejsc, które tyle pamiętają, pomyślał. Nawet jeśli są to cudze domy.

Co dziwne, z nikim nie omówił tej przygody, nie wspomniał Johannesowi, sam też nie dociekał. Ale zapamiętał, jako znak dla siebie. Ten dom go poruszył, w podobnym, jeszcze jako chłopiec, spędzał zawsze wakacje u stryjostwa w Moux-en-Morvan, skąd blisko było do Baune, gdzie w cukierni *madame* Chamas robili najlepsze lody miętowe z kawałkami gorzkiej czekolady.

Nieświadomie zaczął krążyć wokół tego miejsca. Początkowo niby przypadkiem albo dlatego że jego zdaniem, był to wyjątkowo dogodny skrót do portu czy do miasta. Nawet nie zauważył momentu, gdy zaczął się zjawiać tam celowo; weszło mu to w nawyk. Idę do mojego domu, myślał, a tam siadał na składanym trójnożnym krzeselku dla wędkarzy, rozstawiał sztalugi i otwierał skrzynkę z farbami. Malował codziennie to samo: kamienny dom, zamknięty, zarośnięty, romantyczny. W krótkim czasie, obok morskich pejzaży, dom stał się jego sztandarowym motywem, turystyczną atrakcją; nostalgiczna przeszłość wyspy Sylt sprzedawała się wyjątkowo dobrze.

W rzeczywistości Vincent malował swoje dzieciństwo.

Nareszcie przypomniał sobie twarz matki.

Pewnego dnia przed furtką zastał jakiegoś obcego mężczyznę. Stoi przed moim domem, zachnął się w myślach. Mężczyzna wyglądał trochę jak policjant, a trochę jak złodziej, ale okazało się, że nie był żadnym z nich.

Wskazał ręką za siebie, na dom.

– Z wysp ludzie nie wyjeżdżają, ot tak. Ludzie z wysp uciekają – rzekł, kiwając melancholijnie głową. Następnie przywitał się, przyznał, że czeka na Vincenta od godziny, przedstawił sprawę, z jaką czekał. Mówiąc, nie spuszczał z niego wzroku.

Vincent poprosił o czas do namysłu, mimo że praktycznie już był zdecydowany. Spotkali się tydzień później w tym samym miejscu i kolejny raz, w biurze notarialnym przy Boysenstraße, niedaleko dworca. Pośrednik sprzedał, a Vincent kupił opuszczony dom. Przy okazji, za resztę oszczędności, od tego samego pośrednika kupił także bar braci Hammerów, którzy postanowili wrócić do rodzinnej Alzacji i zająć się sadownictwem.

Był teraz goły jak święty turecki, ale posiadał dwie rudery. Na własność, nie na hipotekę. Tamtej nocy obudził się zlany potem, przerażony własną krótkowzrocznością. Przesiedział tak do świtu. Uspokoił się dopiero, gdy w głowie ułożył cały plan.

Może nie utonę, pomyślał, zapadając w sen.

Następnego dnia zabrał swoje rzeczy z kwatery nad barem, a potem zszedł na dół i cały dzień czekał na Johanna. Po kolacji, gdy siedzieli już nad piwem, Vincent wyjął z kieszeni pomiętą kontrakt i rozłożył go na stole. Przedstawił swój

plan. Bar trzeba przerobić na małą francuską knajpkę, z paryskim nastrojem. Na piętrze urządzi się hotelik. Dom wyremontuje się na tyle, by w sezonie letnim nadawał się do wynajęcia. Dla niego wystarczy w tym czasie atelier w ogrodzie. Które będzie musiał sobie zbudować.

– Zgódź się – poprosił. – Ty będziesz miał stałe zajęcie na łodzi, a ja ką do rysowania. Nie ma mowy o dzieleniu się kosztami. Ani o długi wdzięczności – dodał szybko, uprzedzając to, co usiłował powiedzieć Johannes. – Robię to wyłącznie dla własnej wygody. Mam dość łożenia po mieście ze sztalugami.

*

Dopił kawę i zaczekał, aż Johannes skończy swoją, żeby wstawić naczynia do zmywarki. Potem przesiadł się do swojego stolika. Sięgnął do torby po szkicownik i wieczne pióro. Spojrzał przez okno z przyzwyczajenia, a może w poszukiwaniu tematu.

Vincent i jego szkicownicy. Kiedyś, w innym życiu, specjalizował się w topologii i potem tak już zostało: czuł się przede wszystkim topologiem. Dla otoczenia to dobry obiekt żartów: człowiek, który nie potrafi odróżnić kubka od obwarzanka. I słusznie, kubek i obwarzanek są homeomorficzne, a więc z punktu widzenia topologii właśnie ciągłe, spoiste i nieodróżnialne. Trójkąt jest tym samym co kwadrat czy koło, a w każdym momencie na Ziemi istnieją dwa punkty antypodyczne, w których zarówno temperatura, jak wilgotność powietrza są takie same, przy założeniu, że temperatura i ciśnienie zmieniają się w sposób ciągły. To także matematyka, i to wciąż topologia, a kto wie, może nawet wytłumaczenie powszechnego sądu o istnieniu dwóch połówek jabłka rozrzuconych po świecie i gwarantujących wieczną miłość.

Pierwsze szkicowniki Vincenta były jeszcze niemal w całości wypełnione topologicznymi wzorami: równa się, nie równa, pętelki, litery, nawiasy, klamry. I koniczynki, dużo koniczynek, znaczący symbol w topologii. Z czasem mu to minęło. Zaczął wyglądać przez okno. Nocami wędrował po wyspie.

Przez chwilę przerzucał zapisane kartki, aż w końcu odnalazł miejsce, gdzie kilka tygodni wcześniej, zaraz po powrocie z wydm, naszkicował scenę, której był przypadkowym świadkiem. Chwila nagłego przebudzenia na wydmach, cisza zakłócona odgłosem silnika, snop reflektora i widmowa sylwetka motocyklisty przed domem starego Meyera. Jeździec bez głowy z Midsomer. Sen rozbity, zmieszany z nierealną rzeczywistością nocy.

Sięgnął po pióro. Po kolei: najpierw wczorajsza nocna wędrówka, a dopiero potem cała reszta: ojciec, lotnisko. Auto. Rose! I jeszcze Kurt, który niespodziewanie zmienił termin, ponieważ miał do niego sprawę. Zwykle spotykali się w innym celu, nie po to, żeby załatwiać jakieś sprawy, pomyślał z niechęcią. Nie lubił, gdy życie zakłócało mu rozmyślanie o życiu.

Właściwie nie wiedział, jak należało zinterpretować to, co zobaczył ostatniej nocy. Brakowało klucza do zagadki. Za dnia, w natłoku jednoczesnych zdarzeń, jeszcze jedno zdarzenie zapewne nie zwróciłoby jego uwagi, ale w nocy? W nocy wszystko budzi wątpliwości i podejrzenia, wydaje się wyjątkowe,

Po chwili namysłu zaczął notować: *Trudno powiedzieć, czy to należy do tego samego równania z wieloma niewiadomymi, w którym młody, nieznajomy X został dotkliwie pobity i (podobno) stracił pamięć. Istnieje możliwość, że chodzi o jakieś inne równanie, o którym nic jeszcze nie wiemy. W każdym razie mamy nowe pionki na szachownicy: A – tragiczna i piękna wdowa, od której nasze przesądne miasteczko trzyma się na bezpieczną odległość, B – obcy mężczyzna (nowy, tym bardziej atrakcyjny), o którym nie wiemy, ani skąd, ani w jakim celu się zjawiał, za to wiemy z kim, ponieważ kilka dni temu miał tutaj w naszej obecności intymną sprzeczkę z uroczą rudowłosą C. Czy B jest z C? Jeśli tak, w takim razie, co robił z A ostatniej nocy na wydmach? Nie wiemy, czy B jest dobry czy zły, ale kobiety...*

*

W ostatnich tygodniach Vincent zmienił nocne zwyczaje. Po staremu wychodził z domu koło drugiej, ale do tej pory wędrował na wschodnie wybrzeże, w stronę Keitum i Zielonych Klifów, gdzie piaski porośnięte miękką wilgotną trawą schodzą łagodnymi stokami do morza. Teraz zaczął się wypuszczać w kierunku cypla północnego. Szedł kilka kilometrów ścieżkami spacerowymi, których siatka przecina wydmy we wszystkich kierunkach. Gdy miał już dość marszu, znajdował zaciszne miejsce na jednej z kładek prowadzących do plaży, gdzie rozkładał się z karimatą i lornetką, żeby obserwować gwiazdy. Innym znowu razem szedł rytmicznie i zapamiętale aż do Kampener Vogelkoje, a nieraz i do samego List, około piętnastu kilometrów. Tam schodził na plażę i kładł się na piasku, a jeśli było wietrznie, w jakimś koszu plażowym (ławek unikał, żeby policja nie wzięła go za włóczęgę) i zapadał w krótką drzemkę. O świcie, w zależności od pogody, wracał tą samą trasą do domu albo łapał pierwszy autobus do Westerlandu i prosto z dworca szedł do Johannesena na śniadanie.

Ostatniej nocy dobrze mu się szło, nie czuł zmęczenia, to kwestia pogody, kwadry księżycy, który stał już wysoko, choć do pełni było jeszcze daleko. Minął rząd hoteli i tuż przed List skręcił z drogi. Po chwili znalazł wygodny schodek na kładce na wydmach; oparty o poręcz, długo obserwował gwiazdy, aż w końcu zasnął zahipnotyzowany odległym migotaniem.

Ze snu wyrwały go jakieś głosy dobiegające od strony drogi. Usiadł gwałtownie i przetarł oczy zdezorientowany. Podniósł się z ziemi i rozejrzał wokół siebie. Świtało. Rozpoznał to miejsce od razu. Po lewej pensjonat z dużym parkingiem, o tej porze roku całkiem pustym, za nim morze, a po prawej pierwsze domy na obrzeżu miasta, z rzadka rozrzucone po obu stronach drogi. Ten najbliższy

niego stykał się ogrodzeniem z pasmem wydm. Nieraz tam bywał. Hans Meyer, znany na wyspie ze swoich wariackich pasji, był emerytowanym księgowym. Vincent zjawiał się u niego regularnie raz do roku, w okresie rozliczeń podatkowych, w których Meyer, za drobną opłatą, mu pomagał.

Nie ruszając się z miejsca, sięgnął do plecaka po lornetkę.

Okazało się, że to nie Hans Meyer wykrzykiwał na drodze, tylko ta sama rudowłosa dziewczyna i przystojny fotograf, z którym niedawno dość gwałtownie posprzeczała się u Johannaesa. Z tą różnicą, że wtedy usiłowali robić to szeptem, a teraz rozmawiali podniesionymi głosami.

Skąd, u licha, się tam wzięli? Inaczej: skąd wziął się mężczyzna, Vincent nie musiał pytać, ponieważ widział go zaledwie kilka godzin wcześniej, jak wracał z wydm z Evą Waltzer. Przeszli sąsiednią kładką kilka metrów od niego i chwilę później zniknęli w jej domu, po drugiej stronie drogi. Gdyby tych dwoje znało się tylko z incydentu, jaki niedawno miał miejsce przed barem Johannaesa, a tutaj spotkali się przypadkiem, nie nieśliby pledu, pomyślał Vincent. Zaraz jednak zganił się w duchu za plotkarskie podejrzenia w stylu *Frau Bellitz*.

Ale najwyraźniej nie tylko on tak pomyślał, skoro rudowłosa dziewczyna również oczekiwała wyjaśnień.

Co B robił z A o północy na wydmach? I skąd rudowłosa C znalazła się na tej drodze o tak wczesnej porze?

*

Niespodziewany hałas wyrwał go z zamyślenia. Vincent podniósł głowę znad notatek.

Zerwał się z miejsca.

Co Johannes robił przed wejściem do baru? Dlaczego ustawił tam stółek, na który właśnie zamierzał wejść?

Wybiegł na zewnątrz i przytrzymał go za rękaw.

– Człowieku, co ty wyprawiasz? Mogłeś mnie zawołać!

Przyjaciół tylko uniósł głowę.

– To miała być niespodzianka. Ale faktycznie, moje wyczyny na tym parszywym stołku nie muszą być niespodzianką, wystarczy to – roześmiał się. Wcisnął Vincentowi do rąk młotek i kawał jakiejś deski, a sam wymacał drzwi i wyuczoną na pamięć trasą wrócił do swojej bezpiecznej przystani za kontuarem.

Dopiero teraz Vincent spojrzał na to, co Johannes wcisnął mu do rąk. Młotek. Deska. A na desce, wyrzeźbiony i pomalowany na jaskrawą czerwień, napis: „Bande-à-part”.

Nie wiedział, co powiedzieć. Odwrócił się w stronę otwartych drzwi.

– To my... – zająknął się.

– Ty! To twój bar. Nie gadaj, tylko wieszaj – rozkazał Johannes. Nie miał

wątpliwości, kto tu jest szefem.

Gdy Vincent skończył posłusznie stukać młotkiem i szyld zawisł nad wejściem, Johannes odczekał, aż tamten odstawi stółek i umyje ręce, po czym wyjął spod kontuaru jakiś pakunek.

– Byłbym zapomniał. Rano był tu listonosz – powiedział. – Jest przesyłka dla ciebie. Z Francji.

I po chwili:

– A teraz dość tego. Mów, co się stało.

LIST ZE SŁUCHU

J.

Twoje pytanie o muzykę u Bergmana dotyka istoty obrazu filmowego, ale czy możliwe jest w literaturze? Inaczej: czy pochylając się nad Bergmanowskimi scenariuszami, słyszymy to samo co potem, gdy te same „słowa” oglądamy na ekranie? Czy zapisane, oprócz własnego brzmienia, kryły w sobie zapowiedź brzmień, z których potem ułożone zostały takty scen, frazy i tonacje wątków, tak jak to się dzieje w muzyce? Wiemy, że Bergman i Liv Ullmann pisywali do siebie listy wprost na ścianach domu na wyspie Fårö, gdzie Bergman mieszkał do końca, z dala od zgiełku. Dlaczego nie na papierze? Bo wydawał im się zbyt płaski i oczywisty, nie dość „akustyczny”, by nie powiedzieć wręcz – niemy?

Pisanie na ścianie, murze, a choćby tylko palcem po zaparowanej szybie ma w sobie coś z pierwotnej bezpośredniości. Ściana, jako narzędzie komunikacji, pozwala odrzucić nalot przyzwyczajień, odkodować kody kultury. Jest jak pisanie własną krwią, jak rysunki naskalne w grotach, malowane kolorowymi glinkami przed wyruszeniem na polowanie, magiczne zaklęcie. Wierzmy, od czasów Lasceaux, Altamiry, Cueva de las Manos czy Foz Côa zawsze wierzyliśmy, że dzięki temu nasze błaganie o przebaczenie, skierowane do zwierząt i bogów w obliczu śmierci, jaką zamierzamy im zadać – zwierzętom czy bogom, to kwestia niemal drugorzędna – zostanie wysłuchane. Jeśli oglądałaś holenderski film o Ingrid Jonker, to wiesz, o czym mówię. Jeśli nie – koniecznie obejrzyj ten film.

Jonker przez całe życie pisała na ścianach, tak powstały najlepsze jej wiersze. Mając 31 lat, popełniła samobójstwo, utopiła się w morzu przy Cape Town. Był rok 1965, zaledwie dwa lata po tym jak za tom wierszy *Rook en oker* (Dym i ochra) zdobyła nagrodę Afrikaanse Pers-Boekhandel, a w ślad za tym stypendium na wyjazd do Europy i międzynarodowe uznanie.

Zauważ: I.B. był wielokrotnie żonaty, miał też liczne związki i romanse, w tym z trzema swoimi muzami: Harriet Andersson (1952–1955), Bibi Andersson (1955–1959) i Liv Ullmann (1965–1970). Lecz tylko z Liv pisywał na ścianach w domu na wyspie. Najwyraźniej był to rok, gdy ściany... wisały w powietrzu.

Muzyki w filmach I.B. nie zauważamy, nie pamiętamy. Nie wpada w ucho. Niewidoczna niczym strumień myśli, któremu towarzyszy, jest jak nagły przebłysk

zrozumienia. Bez niej spojrzenie w głąb nie byłoby możliwe. Dźwiękowymi ścieżkami świata poruszamy się w przestrzeni nasyconej specyficznym sonarnym metajęzykiem, dzięki temu warstwa dźwiękowa przypomina rozpisaną na wiele głosów partyturę. Pośrednio dźwięki (nie tylko muzyka) zwracają naszą uwagę na to wszystko, co inaczej by umknęło.

Na co dzień nasza percepcja działa wybiórczo: zdarzenia dzieją się w ledwie zarysowanej przestrzeni, z udziałem kilku kluczowych rekwizytów, w tym również dźwięków wyłuskanych z otoczenia przez nasz zmysł obserwacji. Kilku, tak, na więcej podobno nasz mózg sobie nie pozwala, żeby nie zwariować. Dlatego szczegółowe przesłuchania, prowadzone przez policjantów, śledczych i prokuratorów nie mają sensu, są raczej zabawne niż dociekliwe czy logiczne. Zawsze mam ochotę odwrócić sytuację i zapytać drugą stronę: A co pan sędzia robił tego samego dnia o godzinie 13:54?

Fryzyjska partytura składa się z wielu równoległych ścieżek. Scala je księżyc, w jego blasku wszyscy robimy dziwne rzeczy – i wtedy gdy czuwamy, i wtedy gdy śnimy. Śniąc, nie dążymy do tego, by jak w godzinie wilka oddzielić prawdziwe kształty od zjaw, lecz sen nakładamy na jawę. Wierzymy, że tylko w taki sposób jesteśmy w stanie poszerzyć granice naszej świadomości i odsłonić to, co ukrywa przed nami nasza podświadomość.

Nietzsche pisał: „Sny nasze, jeśli wypadkiem udają się i tworzą zwarte kompozycje – zazwyczaj sen bywa fuszerką – są łańcuchami symbolicznych scen i obrazów, zastępujących opowiadanie poety; opisują nasze przeżycia lub oczekiwania, lub stosunki ze śmiałością i wyrazistością poetycką, że nazajutrz dziwny się sobie, kiedy przypominamy nasze sny. Zużywamy we śnie zbyt wiele artyzmu – i dlatego w dzień bywamy często tak w niego ubodzy”¹⁴.

Myśli krążą wokół Gotlandii. Szukam połączeń, sprawdzam ceny biletów. Żeby zrozumieć Johanna, muszę to miejsce zobaczyć.

Tymczasem w przyszłym tygodniu powinnam znowu pojechać na Sylt.

Dam znać,

B.

PS Masz rację, w kwestii prywatności lepiej zachować ostrożność. Nasze listy mogą się przewijać, ale tylko w tle. Nie powinny zaciemniać fabuły. („Znów kolejny wyjazd, a potem góra prania, sprzątanie i prasowanie, i jabłka obrodziły w tym roku, tyle jabłek w ogrodzie!”). Gra idzie o granice – czy raczej o ich zacieranie – między rzeczywistością a fikcją, między jawą a snem, gdy różne rzeczy tylko nam się wydają, bo nie dość wyraźnie je widzimy.

Tydzień później

Dziś krótko:

Jeśli milczę, to wiesz dlaczego. Zwykle wszystko staje się nagle: kolejny nawrót, telefon, karetka, wyczekiwanie. Niepokój, brak snu i niewygodna twardego

szpitalnego łóżka.

Na Sylt nie dotarłam. Gotlandia również musi poczekać, pojedę, gdy wszystko minie.

B.

LIST Z MARSZU

Wróciłam, jestem, do następnego razu.

Po powrocie do domu przebrałam się i natychmiast pomaszerowałam na Solec, tam i z powrotem. W szpitalu brakowało powietrza. Trasa, jak zawsze, ta sama: przed wiaduktem w lewo, w kierunku portu czerniakowskiego na lewym brzegu i smutnych żurawi. Są smutne, bo nie pracują; ilekroć tamtędy przechodzę, spoglądam na nie, a wtedy czuję się jak ich matka. Za żurawiami trasa prowadzi wokół stadionu i dalej, aż do ratusza i arsenału, gdzie skręcam na most i wzdłuż kanału docieram z powrotem do domu.

Lubię maszerować w rytm muzyki, pokonywać wyznaczoną trasę, pocieszać się pewnością ogrzania po powrocie. Atawistyczny model – wyruszyć, zdobyć, szczęśliwie powrócić, rozpalić ognisko – skutecznie pomaga w wyciszeniu.

B.

Rozdział 8: Kolacja

Vincent zadzwonił do drzwi i w tym samym momencie przypomniał sobie, że dzwonek nie działa. Nie dlatego że się popsuł, tylko dlatego że żona Kurta nie lubiła tego dźwięku. Wołała kołatkę.

Kołatka była w kształcie lwiej głowy. Zastukał trzy razy.

Odczekał kilka minut, po czym zastukał ponownie. Minęła jeszcze dłuższa chwila, nim w drzwiach pojawił się komisarz Herzog. Wycierając ręce w kuchenną ścierkę, szerokim gestem zaprosił gościa do środka.

– Nie słyszałem, że pukasz. Poszedłem do ogrodu po szczypior i sałatę.

Spotykali się regularnie raz w miesiącu, gdy żona Kurta wyjeżdżała na weekend do swoich rodziców. Tym razem jednak komisarz zaproponował spotkanie wyjątkowo w czwartek, a nie jak zawsze w piątek. Wyjątkowo, powiedział, ponieważ sprawa jest zawikłana. Oznaczało to, że również cel spotkania będzie inny, a nie wyłącznie kulinarny.

– Naturalnie, kolację zjemy, jak zwykle – uspokoił od progu Herzog. – Irma przygotowała dla nas *casserole* i poszła na plotki do przyjaciółki.

Kuchnia była przestronna, z jadalnią w dobudowanym aneksie, który pełnił jednocześnie funkcję ogrodu zimowego. Od strony wschodniej Irma hodowała kaktusy, pozostałe parapety, szerokie i wyłożone białymi kaflami, zajmowały uprawy ziół i pomidorów, które były domeną komisarza. Między doniczkami dojrzewały, ułożone w równych rzędach na przemian z rzędami jabłek, ostatnie jesienne pomidory, zielonkawe, miejscami niemal białe, lekko przebarwiające się ku jasnej czerwieni. Vincent nie zapytał o jabłka. Po pierwsze, Kurt już wielokrotnie wyjaśniał, że dzięki zawartemu w jabłkach etylenowi pomidory szybciej dojrzewają i mają pełniejszy smak, jego zdaniem, bardziej pomidorowy. Po drugie, Kurt Herzog wyraźnie nie był w nastroju do rozmowy o ogrodnictwie.

– Najpierw kolacja – oznajmił krótko.

Vincent podał mu pakunek przyniesiony rano do baru przez listonosza.

– Dzisiejsza dostawa, prosto od Boularda. – Uśmiechnął się z przyjemnością.

W istocie, już sama myśl o calvadosie z Pays d’Auge sprawiała przyjemność. Na widok charakterystycznej wydłużonej szyjki Grand Solage Herzog na moment się rozchmurzył. Nie zapomniał, z jakiego powodu zmienił utarte zwyczaje i po co wezwał Vincenta, ale – taki calvados!

Postawił na stole dwa kieliszki, z lodówki wyjął pojemnik z lodem. Otworzył butelkę, nalał. Przymknął oczy.

– Pierwszy łyk jest zawsze najpiękniejszy – mruknął, poruszając kieliszkiem; kostki lodu delikatnie zastukały o ścianki. Spojrzał na Vincenta z uznaniem. – Dzięki, przyjacielu. Nic nie mogło mnie dzisiaj bardziej ucieszyć niż ta bursztynowa nuta dojrzałych jabłek prosto z Normandii.

Vincent zaśmiał się wyraźnie ożywiony.

– Recepta jest prosta: dwieście lat doświadczenia, kompozycja złożona ze stu dwudziestu gatunków jabłek i długie spokojne leżakowanie w głębi dębowej beczki. To prawie jak przysłowiowy angielski trawnik, wystarczy trzysta lat, a będzie doskonały. Sam też bym chętnie tak poleżakował.

Odetchnął z ulgą. Przynajmniej w tej kwestii wieczór nie odbiegał od normy. W końcu po to się spotykali: żeby wspólnie pokucharzyć, eksperymentując z nowymi recepturami, a potem degustować i zastanawiać się nad możliwymi wariantami, które byłyby na tyle ciekawe, że zasługiwałyby na stałe miejsce w menu przyszłej wymarzonej restauracji Herzoga.

Kurt był człowiekiem rozmownym, potrafił godzinami opowiadać o ostrygach, o wyższości hodowli europejskich nad azjatyckimi czy amerykańskimi i zaletach wód Morza Północnego. („Ostrygi to delikatne stworzenia, wyczują każde świętowanie. W zanieczyszczonej wodzie po prostu umierają”). Jednak podczas tych spotkań wyjątkowo, zamiast samemu perorować, wolał słuchać Vincenta, jak płynną niemczyzną z francuskim akcentem opowiadał o terrinach i gęsich wątróbkach, o brandadach i tapenadach, o quichach, cassouletach i casserolach. O winach, cydrach i armaniakach.

Dla Vincenta był to jedyny czas, gdy ogarniało go zwątpienie, czy dobrze zrobił, wyjeżdżając z Francji. Tylko wtedy, w te rozleniwione sytością wieczory, oglądana przez pryzmat wyśmienitych smaków, zapachów i nostalgii, wpisana w pamięć zmysłów i podświadomość Francja jawiła mu się w formie idealnej, jako wyspa szczęśliwa, której nigdy nie porzucił, gdzie żadnej walki nie przegrał. Do której tęsknił aż do bólu.

Ostrygi z hodowli Kurta zawsze otwierały przyjęcie, to był jedyny stały punkt wieczoru. Cała reszta, a więc co i w jaki sposób zamierzali przyrządzić, było jedną wielką improwizacją, należało to do reguły gry.

Le calva od Boularda spełnił zadanie: zaskoczył.

L'hors d'oeuvres, czyli dwa tuziny świeżych ostryg, które zwykle jadaliby *in crudo*, doprawione jedynie cytryną i pieprzem – czekały już w dużej misie wypełnionej pokruszonym lodem.

Kurt sięgnął do szuflady po dwa wysłużone, acz solidne noże do otwierania twardych muszli. Vincentowi najlepiej się pracowało nożem od Sabatiera, z płaską drewnianą rękojeścią i smukłym ostrzem ze stali nierdzewnej. Komisarz wolał amerykańskie bostony od Dextera Russella, może nieco brutalne, ale trwałe i skuteczne. Był to jedyny model, którego nie gubił na farmie: dobrze wyważony i na tyle krótki, że można go było schować do kieszeni, z wygodnym uchwytem w kształcie przewężonej w środku gałki i krótkim trójkątnym ostrzem, które z łatwością wchodziło w muszlę, bez naruszenia miększo ostrygi.

Otwieranie ostryg wymaga pewnej zręczności. Nóż trzeba wbić

zdecydowanym ruchem w miejsce wiązadła łączącego obie części muszli, a następnie poruszając nim, podważyć skorupę, tak by odskoczyła. Należy to robić ostrożnie a zdecydowanie, wodę z wnętrza muszli zlać do czystej miski. Przefiltrowana przez gazę, w połączeniu z cytryną i świeżo zmielonym pieprzem, ta woda, krystalicznie czysta, bez żadnych zanieczyszczeń z zewnątrz, dodatkowo podkreśli morską nutę jodu i soli. Dlatego smakosze, „spijając” ostrygi wprost z muszli, zamykają oczy – dla tej morskiej nuty.

Jeśli chodzi o *croque monsieur*, to obaj jednogłośnie zgodzili się na wersję francuską, zamiast saksońskiego *strammer maxa*, o którym Kurt wyrażał się z najwyższym uznaniem, a Vincent mawiał, że jest niezły, i owszem, ale *croque monsieur* jednak szlachetniejszy. Zwłaszcza, tak jak tego wieczoru, z beszamelem, który przyrządzili na maśle, ze szczyptą muszkatu i kroplą calvadosu, a następnie zapiekli z gałązką świeżego tymianku na wierzchu.

– Nie zgłaszam sprzeciwów wobec masła i tymianku, ale pod warunkiem...
– Kurt Herzog uniósł ostrzegawczo rękę, w której trzymał wąską tarkę do tarcia gałki muszkatołowej – ... że z kolei ty, drogi przyjacielu, nie będziesz komentował mojego wina. Nie obawiaj się, nie będzie tak źle.

Wprawdzie Kurt znał zapatrywania Vincenta i sam był zagorzałym frankofilem, ale tym razem, jak to ujął, nie był przekonany o celowości snucia wątków akwitańskich, co Vincent często nieświadomie czynił. Wszystkie potrawy poza ostrygami, do których zaproponował sekta, z powodzeniem mogła obsłużyć butelka reńskiego, byle przyzwoitej jakości. W końcu byli w Niemczech, a komisarz ze swoim uposażeniem i oszczędną żoną starał się myśleć ekonomicznie. Dlatego wybór padł na wytrawny riesling Louis Guntrum z Hesji, z wyczuwalnym aromatem zielonego jabłka, cytrusów i gruszki.

Natomiast główne danie nie podlegało dyskusji, ponieważ przyrządziła je Irma. *Poulet en Cocotte*, kurczak pieczony z ćwiartkami czerwonych jabłek i majerankiem, w sosie na armaniaku, był jej koronnym daniem. Receptura pochodziła od szefa kuchni pewnej restauracji francuskiej w Lubece, dokąd Herzog, regularny bywalec, miał nadzieję kiedyś wyciągnąć Vincenta na ostrygi z prawdziwego zdarzenia. Liczył, że przy okazji pomoże mu rozgryźć, na czym polega ich wyższość nad ostrygami z jego hodowli. („Nie rozumiem, skąd one wiedzą, że są francuskie. Dlaczego tamte mają więcej stylu i elegancji od moich niemieckich, skoro i tu, i tam żyją w tym samym Morzu Północnym?”).

– Serów również proszę nie krytykować – zastrzegł. – Pikantny Harzkäse i bardzo ciekawy Nieheimer z Westfalii. Przez chwilę w grę wchodził jeszcze Weisslacker Bierkäse, po który chętnie sięgam pod popołudniowy kufelek, ale zrezygnowałem. Nie ta pora i nie ta okazja.

Tak, Harzkäse i Nieheimer to był, zdaniem komisarza, słuszny wybór.

I przez cały wieczór calvados i smak jabłek.

*

Po kolacji usiedli w fotelach przed kominkiem. Herzog otworzył pudełko z cygarami, prezent urodzinowy od Vincenta. Zapalili obaj, było to jedyne odstępstwo, na jakie Vincent sobie pozwalał, odkąd rzucił palenie.

– Jak wspomniałem, sprawa jest zawikłana – zaczął komisarz. – A dojście do prawdy może się okazać trudniejsze, niż nam się wydaje. Co mamy? Kilka wątków, które jak na razie bieżą odrębnymi torami. Ale nos mi podpowiada, że gdzieś już się skrzyżowały, a jeśli nie, to wkrótce się skrzyżują. Kwestia czasu.

Komisarz nie mógł wyjawić wszystkiego. Dla dobra sprawy i samego Vincenta, jak się wyraził. Pewne fakty wymagały jednak przedstawienia, jeśli nie w logicznej, to przynajmniej w chronologicznej kolejności. Wiązało się to z prośbą, o której wspomniał wcześniej przez telefon.

Rzecz jasna, gdyby Vincent się zgodził.

– To tylko prośba, oczywiście. Równie oczywiste jest, że możesz odmówić.

Otóż nie było żadną tajemnicą, że w ostatnim czasie na wyspie pojawiło się kilku obcych osobników. Ludzie mają oczy i rozum, potrafią rozpoznać, kogo znają, a kogo nie. I kto budzi zaufanie. A z obcymi różnie bywa. Weźmy, na przykład, tego reportera, który paraduje po okolicy, udając fotografa. Owszem, sprzęt ma profesjonalny, ale istnieją podstawy, by sądzić, że nie interesują go pokazy mody ani turystyczne atrakcje. Grupa operacyjna komisarza Herzoga ustaliła, że Olivetti wynajął na łodzi pokój w hotelu, gdzie trzyma sprzęt, jakiego nie powstydziliby się dobrze płatny paparazzo. Ale na zdjęciach kompletowanych w komputerze nie ma żadnych polityków ani półnagich celebrytek. Jest natomiast sporo interesujących miejsc i portretów, z których kilka bez trudu udało się zidentyfikować. To tworzy pewien krąg.

Jaki krąg? Tego komisarz nie wyjaśnił.

Wstał i podszedł do kominka. Otworzył szklane drzwiczki, przegarnął popiół w palenisku. Dorzucił szczapę do ognia.

Następnie odstawił pogrzebacz i wrócił na swoje miejsce.

– Zapytasz: po co Olivetti tu przyjechał? Żeby węszyć, to oczywiście. Domyślamy się, w jakiej sprawie. W grę wchodzi jeden ze znanych koncernów spożywczych, a możliwe, że również farmaceutyczny. Prawdopodobnie niemiecki, choć ślady prowadzą i do Danii, i do Chin. Co to oznacza? Tylko jedno: duże pieniądze i jeszcze więcej ciemnych interesów, które warto wyciągnąć na światło dzienne. Krótko mówiąc, z takim materiałem Olivetti mógłby trafić na pierwsze strony gazet. Co ważniejsze, na tym tle zaginięcie na morzu Thomasa Waltzera i jego szypra zaczyna się jawić w zupełnie nowym świetle.

Na dźwięk tego nazwiska Vincent poruszył się wyraźnie zaskoczony. Nadal słuchał z uwagą, ale jednocześnie w myślach odtwarzał wydarzenia ostatniej nocy.

– To naturalne, że obcy przybysz przywozi ze sobą, oprócz bagażu, także swoje sprawy. Ale co się dzieje, gdy obcy okazuje się nie do końca obcy, a jego „sprawa” dotyka kogoś z nas?

Śmierć Waltzera nie została w pełni wyjaśniona. Nikogo to nie zdziwiło, w powszechnej opinii każdy wypadek na morzu pozostaje w jakimś stopniu niewyjaśniony. Dzieje się tak z różnych powodów, lecz głównie z powodu samego morza. W takich chwilach wszystko się toczy w zawrotnym tempie, walka z żywiołem nie pozostawia miejsca na nic poza atawistycznym odruchem, jakim jest instynkt walki o przetrwanie. Strach, jeśli się pojawi, jest tylko jego pochodną, dlatego nieraz zaciemnia ocenę sytuacji.

Potem? Na statkach nie ma czarnych skrzynek. Możemy próbować odtworzyć przebieg wydarzeń *post factum*, *post mortem*. Ale w odpowiedzi otrzymamy jedynie przybliżoną symulację. Interpretację może prawdopodobną, lecz – czy w pełni prawdziwą? Pytania bez odpowiedzi i niepewność pozostaną. Dlatego śmierć na otwartym morzu, daleko od lądu, od ludzkich dróg i siedlisk, wydaje nam się bardziej samotna. Żałoba po takiej śmierci nigdy się nie kończy.

Herzog przerwał na moment zmęczony mówieniem, a może dlatego, że mówiąc, sam oglądał przedstawiane fakty w nowym świetle.

Vincent dobrze pamiętał tamten wypadek. Znał również treść komunikatu Izby Morskiej, czytał go w prasie. Napisano w nim, że do katastrofy doszło z powodu złych warunków pogodowych. Fala zmyła dwóch ludzi z pokładu: badacza oceanografa, do którego statek należał, oraz szypra, który z nim od lat pływał. Pozbawiony załogi statek zdryfował i osiadł na mieliźnie. Po raz kolejny żywioł morza, okrutny i zdaniem wielu niesprawiedliwy, okazał się silniejszy od człowieka.

Informacje Kurta były poruszające. A jeśli intuicja go nie myliła, to pojawienie się Olivettiego nocą, na wydmach, w towarzystwie Ewy Waltzer, mogło nie być przypadkowe.

Vincent wahał się. Fakty i poszlaki w śledztwie to jedno, a przypadkowe spotkanie na wydmach to całkiem coś innego. A on jedynie widział tych dwoje ludzi na wydmach. O nietypowej porze, koło północy, to prawda, ale nie tylko on miał prawo do bezsenności. Reszta – jeśli w ogóle można było mówić o jakiegokolwiek „reszcie” – pozostawała w sferze domysłów. Jego zdaniem domysł powtórzony na głos niebezpiecznie upodabniał się do plotki i pomówienia. Na nic więcej, poza domysłem, Vincent nie miał dowodów. Poza szkicami, których zrobił kilka zaraz po powrocie z wyprawy do List, póki miał wszystko świeżo w pamięci, nic więcej nie mógł uczynić.

Dlatego teraz postanowił milczeć. O szkicach również nie wspomniał.

*

Jakkolwiek było, cokolwiek się za tym kryło, sprawa katastrofy morskiej sprzed roku znowu „wyłynęła”, jak z przekazem określił to sam Herzog. I osobiście dopilnował, by następnie spłynęła wprost na jego biurko.

Działął metodycznie, tak jak lubił. Zaczął od archiwum, gdzie zażądał wglądu w materiały dowodowe, raporty z dochodzenia oraz opinie ekspertów z Izby Morskiej. Wszystkie zgodnie potwierdzały, że ani na pokładzie, ani w mesie nie odnotowano śladów walki. Mapy, dokumenty, aparatura pomiarowa, pobrane próbki i sprzęty, zarówno w mesie, jak w kabinie nawigacyjnej, powypadały z półek i zamocowań, bo fala była wyjątkowo duża. Uszkodzenia pokładu i kabiny zostały spowodowane czynnikami naturalnymi. Wiadomo, sztorm nie wybiera, niszczy, ile i jak długo może.

Proste? Nie do końca.

W zeszłym tygodniu Herzog zajrzał do hangarów stocznioowych. Znalazł „Minerwę” czy raczej to, co z niej pozostało, w ciemnym kącie, opieczętowaną jako materiał dowodowy do dalszych działań operacyjnych. Które nigdy nie nastąpiły, gdyż śledztwo zostało umorzone z braku dowodów.

– Spędziłem tam cały dzień, i cały następny, tym razem w towarzystwie eksperta od balistyki. A potem kolejny dzień przesiedziałem z jego raportem w ręku przed ekranem komputera, analizując zdjęcia i porównując je z wynikami ekspertyzy. Wszystko to zrobiłem, bo mam takie uprawnienia, prawda? – Zawiesił głos. – Ale czy ktoś mi może wytłumaczyć, dlaczego myszkował tam nasz tajemniczy reporter? Czego szukał? Co znalazł? Czy dowiedział się czegoś, o czym ja nie wiem? Jak już wspomniałem, taki materiał to dla mediów smakowity kąsek, można go drogo sprzedać. Niejedna redakcja chętnie zleciłaby takie dziennikarskie śledztwo. Zaraz... – Herzog zmarszczył nagle czoło. – A jeśli to nie media węszą, tylko ktoś, kto się pod media podszywa? O tym nie pomyślałem.

Do tej pory Vincent słuchał, nie zadając pytań. Kurt sam je zadawał i sam udzielał odpowiedzi, teraz jednak zamilkł i ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt pochylił się do przodu. Jakby czegoś szukał.

Vincent spojrzał na niego pytająco.

– Fałszywy dziennikarz? – Chciał się upewnić, że nie zgubił wątku.

Komisarz drgnął wyrwany z zamyślenia.

– Właśnie. Wywiad gospodarczy. Jakiś koncern, sam wiesz, oni nigdy nie mają dość. W porównaniu z nimi nasza globalna wioska to zbiór bezpiecznie zamknięty, oaza spokoju, pełen błogostan. Ale to właśnie ta globalna wioska jest ich celem: polowanie się oplaca, dopóki znajdzie się ktoś, kto kupi ich produkt.

– Myślisz, że Olivetti mógłby pracować dla kogoś takiego?

– Jeśli o to chodzi, nie mam złudzeń. To kwestia pieniędzy, a nie etyki zawodowej.

Vincent także nie miał złudzeń. W jego wieku złudzenia, nawet jeśli nadal

by je miał, zwykle nie zaciemniały już oglądu świata.

Miał natomiast wątpliwości.

– To zależy – mruknął, zaciągając się cygarem. Wstrzymał oddech, zaczekał, aż jego zmysły spokojnie zanalizują waniliowy aromat kubańskiego tytoniu, a następnie powoli wypuścił dym. Jedno w miesiącu takie cygaro smakowało doprawdy wybornie.

Herzog podążył wzrokiem za błękitną smużką dymu.

– Pieniądze są bezwzględne. Duże czy małe, to bez znaczenia. Korumpują i uzależniają.

– I tu nasze wnioski się spotykają – zaśmiał się Vincent. – Dziennikarze zarabiają na sensacjach, to prawda. Ale to wolni strzelcy, nie lubią przymusu. Zamiast wykonywania poleceń, wolą działać na własną rękę.

– Możliwe. Niemniej trop wymaga sprawdzenia.

*

Chyba się zdrzemnął kilka minut, podczas gdy gospodarz rozmawiał z żoną przez telefon. Odnotował jeszcze, że na dźwięk telefonu Kurt wstał i przeszedł do jadalni, a tam, rozmawiając, najpierw obrywał suche liście z roślin na parapetach, a potem sprawdzał, czy ziemia w doniczkach zanadto nie wyschła.

Nie zauważył, kiedy Kurt wrócił. Po prostu ocknął się, gdy tamten siedział już z powrotem w fotelu naprzeciwko i coś do niego mówił.

– ... a swoją drogą, ciekawe, jak tacy faceci to robią, że wokół nich zawsze się kręcą piękne kobiety? Albo odwrotnie, na jedno wychodzi.

Herzog podjął wątek nie bez przyczyny: Olivetti pasował do tego modelu wręcz idealnie.

– Potrzebował informacji od Evy Waltzer? Nawet nie zadał sobie trudu, żeby przyjechać, nawiązać kontakt, otwarcie porozmawiać. Zamiast tego cynicznie namierzył jej córkę w Lubece. Bliżej, łatwiej i... przyjemniej, bo młodsza, a do tego ładna. Najwyraźniej jednak się przeliczył. – W głosie komisarza zabrzmiała nuta satysfakcji. – Bo Sophie jest młoda, ale na pewno nie naiwna. Ona zniknęła, a Olivetti musiał się ujawnić.

– Przyznać trzeba, że okazała sporo sprytu i inteligencji – zauważył Vincent. – Miejmy nadzieję, że ukryła się w bezpiecznym miejscu i zatarła ślady.

– Sprawdzamy to. – Kurt potarł czoło. – Nie chciałbym, żeby coś jej się przytrafiło, tak jak temu Neuhausowi.

Przez niego śledztwo utknęło w martwym punkcie. Mógłby wiele wyjaśnić, gdyby tylko pamiętał, po co przyjechał na wyspę i dlaczego wszedł do domu Waltzerów pod nieobecność matki Sophie. I czego tam szukał. I co się wydarzyło potem.

Na pytanie Vincenta Herzog pokręcił głową.

– Nie, nie włamał się. Miał klucze.

Dopiero żegnając się, przedstawił Vincentowi sprawę, dla której go wezwał. Ten chwilę się wahał, ale, jak wyjaśnił, nie dlatego, że nie chciał spełnić prośby Kurta.

– Akurat jutro mam kilka spraw do załatwienia – powiedział. – Ale w sobotę będę już wolny.

Herzog nie widział problemu.

– Może być w sobotę. Sam go odbiorę i przywiozę. Będziesz w domu?

Odprowadził Vincenta do drzwi.

– A wiesz, że Olivetti wcale nie nazywa się Olivetti? W hotelu zameldował się jako Oliver von Otter.

*

Westerland to niewielkie miasto, Vincent nie mógłby nazwać komisarza Herzoga swoim sąsiadem, ale do domu nie miał daleko, ledwie kilka przecznic. Po drodze minął uspiiony dom *Frau Bellitz* i szereg domów, które ożywały tylko latem, a teraz stały cicho, ze szczelnie zamkniętymi okiennicami. Przypominały jaśniejące w mroku pudełka, zwieńczone strzechą, ponad nimi wisiał niski pułap ciężkich chmur. Noc była ciemna i wietrzna. Prognozy zapowiadały front niżowy, a wraz z nim jesienne załamanie pogody. Nadchodziły nieuchronnie krótsze dni. I bardziej szare.

Rose nie spała. Czekwała na niego.

– Uprałam ci wszystkie swetry. W szamponie, bo nie znalazłam proszku. Suszą się w kuchni na blacie. Podłożyłam ręczniki, żeby woda nie kapała na podłogę.

– Nie musisz prać moich swetrów, żeby tu być. – Odruchowo obejrzał się na kuchnię.

– Muszę. To mnie uspokaja.

Zaśmiał się krótko. Sam po staremu zanosił pranie do mieszkania nad barem, gdzie stała pralka, którą przed laty kupili na spółkę z Johannesem. Swetrów nigdy nie rozkładał, tylko od razu po wyjęciu z pralki wieszał na wieszakach, nie zwracając uwagi na to, że się rozciągają.

– W takim razie będę musiał kupić proszek do prania.

Rose wciąż była blada, ale wyglądała na wypoczętą i o wiele spokojniejszą niż poprzedniej nocy, gdy po powrocie z wędrówki do List Vincent zastał ją skuloną i roztrzęsioną na swoim ganku.

Na jej widok nie zdziwił się, mimo że Rose nigdy wcześniej u niego nie była. Przemknęło mu przez myśl, że właściwie to ciekawe, skąd wiedziała, gdzie mieszka. Ktoś musiał jej powiedzieć. Zresztą to bez znaczenia.

– Drzwi były otwarte, mogłaś wejść do środka – powiedział.

– Wiem, weszłam. – Rose pociągnęła nosem. – Ale ciebie nie było, więc zaraz wyszłam.

Miała na sobie jego golf, który rano zaanektowała w barze, a mimo to trzęsła się z zimna. Zresztą pewnie nie tylko z zimna. Vincent nie pozwolił jej na żadne wyjaśnienia, sam też o nic nie zapytał. Nie musiał, miał dość wyobraźni, by i bez tego się domyślić, co musiała czuć. W jej sytuacji...

Zrobił jej gorącej herbaty i wygrzebał jakieś stare herbatniki z kredensu. Potem zostawił ją w kuchni, a sam poszedł do sypialni, gdzie włączył elektryczny kaloryfer, następnie szybkimi ruchami zgarnął pościel, w której nie spał od miesięcy. Z komody wyjął świeże prześcieradło i poszewki, a z szafy poduszkę i gruby wełniany koc.

– Jakby ci było nadal zimno, poszukaj tam sobie czegoś. – Wskazał na dużą niemodną szafę w kącie pokoju.

Zaczekał, aż Rose się uspokoi, a wtedy wypił kubek wody z kranu i ponownie wyszedł. Nie zamknął drzwi na klucz.

Dopiero nad ranem, gdy po powrocie z wydm stanął pod prysznicem, poczuł senność. Może nawet zasnął krótko pod strumieniem wody.

Położył się na twardej ławie pod oknem w salonie. Od wyjazdu z Paryża unikał miękkich materacy. Poza tym w jego łóżku spała Rose.

LIST Z LOTNISKA

Lotnisko Lisboa-Portela, 12 września

Droga J.

Tydzień w Lizbonie było to fascynujące doświadczenie. Szkoda, że bez Ciebie, ale mimo wszystko – fascynujące.

Chodząc ulicami, które posłużyły za tło do tak wielu książek i filmów, zastanawiałam się nad formułą „miękkiego” kryminału, a więc napisanego w taki sposób, by nie udawał mocnej męskiej gry, a pozostał wiarygodny. W końcu znalazłam odpowiedź: nie ma potrzeby określania gatunku, dziś nikt tego nie oczekuje. Już postmodernizm na to pozwalał, a post-postmodernistyczny eklektyzm na granicy gry pozorów, czarnego humoru i autotematyzmu wręcz się tego domaga.

Tęsknię za naszą wyspą. Wyobrażam sobie, że jesienią północna Fryzja tonie we mgle. Kontury się zacierają, brunatne liście są tak nasiąknięte wilgocią, że przestają szeleścić. Wilgoć wnika w mury domów, przenika do szpiku kości. A jeśli zdarzy się cieplejszy słoneczny dzień, to noc będzie tym bardziej zamglona, a rano wstanie w białych oparach.

Dziś krótko, bo już nas wzywają do bramki. W słuchawkach słucham Sassetiego, na przemian z Bollanem i Einaudem. To dobra „muzyka podróży”, migającym wokół obrazom nadaje strukturę ciągłości.

Mam nadzieję, J., że następnym razem uda nam się lepiej zgrać terminy

i będę miała okazję zobaczyć to miasto Twoimi oczami.

Odezwę się z Warszawy.

B.

PS O przepisie na lawendowe ciasteczka Mamy pamiętam.

Rozdział 9: Sól i stare wino

Auto świętej pamięci męża *Frau* Bellitz stało w garażu od dnia, gdy przed czterema laty *Herr* Bellitz zmarł tak cicho, jak żył, nie obudziwszy się ze śpiączki po rozległym wylewie do mózgu.

Bmw E28 stało w garażu, pochodziło z końca lat osiemdziesiątych. Cztery lata przymusowego postoju to dużo jak na taki stary samochód, pomyślał Vincent z rezygnacją. Szanse na jego uruchomienie były niewielkie, a czasu mało. Trudno, będzie, co ma być, w ostateczności pojedzie na lotnisko taksówką.

Jak się okazało, akumulator przez cały ten czas leżakował w spiżarni, obok długiego rzędu butelek z nalewkami *Frau* Bellitz. Mimo to Johannes, do którego Vincent zadzwonił, żeby się poradzić, nie spodziewał się cudu.

– Nie zwracaj sobie głowy akumulatorem – powiedział. – Zajmij się całą resztą, a ja zamówię ci zaraz nowy i ktoś go wam podrzuci. Do wieczora zdążysz ze wszystkim.

Vincent podziękował *Frau* Bellitz za kawę, herbatę i ziółka, po czym zaoferował, że wyniesie stary akumulator do garażu. Ale *Frau* Bellitz nie chciała, przyzwyczała się do jego widoku. Przypominał jej zmarłego męża, tłumaczyła, prowadząc Vincenta do garażu.

Pod maską było czysto jak w kuchni *Frau* Bellitz. Vincent wykręcił świece, prysnął odrobinę nafty i zakręcił rozrusznikiem na sucho, a następnie założył nowe świece, które *Herr* Bellitz przechowywał w szufladzie stołu z narzędziami. Wymienił płyn w chłodnicy. Spuścił stare paliwo z baku i nalał świeżego z kanistra, z którym tu rano przyszedł. Sprawdził, na ile potrafił, czy jakieś zwierzaki nie narobiły szkód, ale nic nie zauważył, linki hamulca ręcznego też nie nosiły śladów rdzy. Tak radził Johannes, a on, w przeciwieństwie do Vincenta, znał się na silnikach. Co prawda, pływając na trawlerach, miał do czynienia z maszynami o innej skali, na wyspie zaś ani on, ani Vincent nie używali samochodów, ponieważ nie było takiej konieczności, ale rady okazały się skuteczne. Opony były w doskonałym stanie; tuż przed śmiercią *Herr* Bellitz z jakiegoś powodu kupił nowe, choć jego żona była zdania, że stare dowiozą ich bezpiecznie na ostatni spoczynek aż do samej bramy cmentarza.

Teraz już pozostało tylko zaczekać na akumulator, a potem spróbować, czy silnik zapali.

Vincent spojrzął na zegarek. Samolot przylatywał o ósmej wieczorem, sporo

czasu w zapasie. Odetchnął z ulgą. Nie spodziewał się, że pójdzie mu tak gładko.

Wytarł ręce w czystą białą szmatkę, którą podała mu *Frau Bellitz*. Przez cały czas bacznie przyglądała się jego poczynaniom, pokazną postacią tarasując wejście do garażu.

– Jest czysty, bo odkurzam go regularnie raz na tydzień. Ale nie jeżdżę. Nie mam prawa jazdy.

Vincent spojrzał przelotnie na swoją rozmówczynię. Uśmiechnął się. Wyobrażenie sobie *Frau Bellitz* za kierownicą wymagało pewnego wysiłku.

– A syn? – spytał. – Nie potrzebuje samochodu?

– Adam? Nie, na takie stare auto nawet nie spojrzy, choć jest dobre i zadbane. Woli motory. Niech pan zobaczy, całe podwórze zastawione. Stale tam przesiaduje, majstruje i pucuje, a potem nanosi brudu i smaru do domu. Żadnego pożytku z tego nie ma, tylko prania i sprzątanania pełno.

Vincent odruchowo odwrócił się we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, zagracone podwórze musiało stanowić bolesny widok dla lubiącej ład i porządek *Frau Bellitz*. Przysłowie o jabłku nie miałoby tu żadnego zastosowania; sądząc po garażu, jej mąż, urzędnik w magistracie, był równie schludny i poukładany jak jego towarzyszka życia. A tu nagle – takie podwórze.

Adam Bellitz, niezbyt wysoki, ale mocno zbudowany blondyn, zakładał właśnie jakąś część do motoru; maszyna lśniła chromem, w czarnym lakierze, jak w lustrze, odbijały się chmury. Wcześniej młody człowiek przeszedł kilka razy koło garażu, zerkając w ich stronę, jakby chciał wejść albo zagadnąć. Ale nie wszedł ani się nie odezwał.

– Ogród od frontu za to prezentuje się pięknie – pocieszył ją Vincent życzliwie.

– Ogród, tak. To była duma Wolfganga.

Nastąpiła długa opowieść o ogrodzie. O kwiatowym zegarze słonecznym, który jej mąż Wolfgang przez lata doskonalił, a efekt, jaki osiągnął, był wprost niezwykły. („Wie pan, że gatunki kwiatów są tak dobrane, że otwierają się o pełnych godzinach?”). I o dzikiej róży, którą rozpropagowali na wyspie razem z Hansem Meyerem. („Zna pan, panie Vin-zent, Hansa Meyera? Mieszka w List. Przyjaźnili się z Wolfgangiem całe lata”). Bo *rosa rugosa* to gatunek wyjątkowy, żadnych wymagań, rośnie praktycznie na piasku i nic jej nie przeszkadza, ani morska woda, ani sól w powietrzu, ani najcięższy sztorm. Z początku Wolfgang nie był przekonany, uważał, że ta róża jest za silna dla tej wyspy. Tak, za silna, bo przetrwa w każdych warunkach, a przy okazji z miejscowej flory wyprze inne, słabsze gatunki. Ale ja już wolałam, jak oni spierali się o róże. Bo kiedy zaczęli dyskutować o wojnie, to nie mogłam tego słuchać. Wychodziłam wówczas do kościoła, tak się zażarcie kłócili. A już najgorzej było, gdy burmistrzem został Heinrich Reinefarth. Wtedy Hans w ogóle przestał się u nas pokazywać. Zapał się

jak jakiś osioł, proszę wybaczyć te słowa, ale mówię, jak było. Twierdził, że noga jego nie postanie w Westerlandzie, dopóki ten człowiek będzie siedział w ratuszu, bo siedzieć to on powinien, tyle że nie w ratuszu, a w...

Vincent nie słuchał, za kieliszek nalewki imbirowej również podziękował. Jeśli miał ze wszystkim zdążyć, to musiał się pospieszyć.

Wciąż nie mógł pojąć, jak to się stało, że pomylił daty. Tak dawno otrzymał list od ojca i tak długo zwlekał z odpowiedzią, że błędnie zapamiętał „ostatni piątek listopada”. Tymczasem Nicolas le Puy napisał wyraźnie: „Kupiłem już bilety. Przylecimy w drugi piątek listopada wieczorem, niezależnie od tego, czy będziesz tam na mnie czekał czy nie. Chcę zobaczyć miejsce, które wybrałaś zamiast naszej ziemi”.

Wtedy nie przeczytał dokładnie, a potem zapomniał. Jeszcze poprzedniego dnia rano, gdy zaklejał kopertę, szedł na pocztę, kupował znaczek i wrzucał list do skrzynki – nic nie pamiętał. Dopiero na widok listu znikającego w podłużnym otworze skrzynki niespodziewanie ogarnął go niepokój.

Początkowo pomyślał, że to reakcja nerwowa na to, co wbrew sobie napisał. Przyjeżdżaj, czekam. Ale to nie było to.

Na ulicy przystanął. Piątek? Który piątek?

Nie poszedł do portu, żeby otworzyć bar, tylko zawrócił do domu. Koło apteki wpadł na *Frau Bellitz*. Przejdę się z panem, panie Vin-zent, spacer dobrze mi robi. Vincent nie słyszał, co kobieta mówi, w głowie miał zamęt. Johannes na Gotlandii. Rose w domu, zainstalowana w jego łóżku. Ojciec na lotnisku – w który piątek?

W sypialni bez słowa wyminął zaspaną Rose i zaczął przerzucać stosy papierów na biurku. Znalazł list od ojca, odczytał ponownie.

Tak, pomylił daty. Nie za dwa tygodnie, tylko jutro.

– Później, nie teraz – mruknął, wychodząc z domu, w odpowiedzi na pytające spojrzenie zaspanej Rose.

Był spóźniony. Bar otwierali o dziewiątej, ale Johannes zawsze przychodził wcześniej, żeby wszystko przygotować. Vincent dawno powinien już tam być. Jakby tego było mało, *Frau Bellitz* potwierdziła, że owszem, ma auto, i chętnie je Vincentowi wypożyczy, ale dopiero jutro.

– Niech pan przyjdzie jutro z rana, panie Vin-zent. Na dziś mam zaplanowane pranie.

Uspokoila go dopiero obecność Johanna, który niespodziewanie wrócił ostatniej nocy.

Zjedli razem śniadanie, Vincent pomógł zawiesić nowy szyld. Gdy skończył posłusznie stukać młotkiem, Johannes wyjął spod kontuaru jakiś pakunek.

– Jest dla ciebie przesyłka Francji – powiedział. I po chwili: – A teraz dość tego. Mów, co się stało.

Wysłuchał w milczeniu, ale wbrew oczekiwaniom Vincenta zupełnie się nie przejął. Odkąd stracił wzrok, Johannes przestał się czemukolwiek dziwić. Nie spodziewałeś się, przyjacielu? No popatrz, ja też nie.

*

Nicolas le Puy wszedł ostrożnie do domu, zdjął buty i odstawił je na wycieracze, żeby nie nanieść błota na świeżo umyte podłogi. Nie chcąc obudzić Paulette, przeszedł po ciemku przez pokój, a światło zapalił dopiero w kuchni, gdy zamknął za sobą drzwi. Zawsze poruszał się tak cicho, twierdził, że ziemia nie lubi ludzi nieuważnych. A tym razem, dodatkowo, nie był u siebie, tylko w domu syna. Obawiał się, że może przypadkiem coś zrzucić albo potrącić, narobić hałasu.

Wyjął z lodówki butelkę mleka, które poprzedniego dnia sympatyczna Angielka kupiła na farmie za miastem. („Prosto od krowy, prawdziwe, a nie to uwięzione w kartonie”, powiedziała po angielsku bardzo głośno i wyraźnie, jakby sądziła, że to ułatwi im komunikację).

Nicolas nalał pełną szklankę i usiadł za stołem. Następnie sięgnął do kieszeni po składany kozik z drewnianą rękojeścią, z którym nigdy się nie rozstawał. Przetarł ostrze, na wypadek gdyby pozostały tam drobinki ziemi z ogrodu, po czym odwinął z lnianej ścierki duży żytni chleb, który poprzedniego dnia Paulette upiekła na zakwasie. Przyciskając okrągły bochenek do piersi, odkroił nierówną kromkę. Spod szklanego klosza wyjął owczy ser własnej roboty; niemieckiego nie zamierzał nawet próbować, nie mieściło mu się w głowie, że ktoś poza jego ojczyzną mógł mieć w tej kwestii coś dopowiedzenia.

Odciął kawałek i umieścił na jednej połówce kromki, drugą zagiął, tak by ser znalazł się w środku, na koniec naciął skórkę chleba w kilku miejscach, dzieląc ją na łatwe do oderwania kęsy. To było jego śniadanie. Mógłby powiedzieć, że przez całe życie nie jadał na śniadanie nic innego, ale ponieważ Nicolas, mimo że dobiegał osiemdziesiątki, nigdy nie oglądał się w przeszłość, toteż prościej byłoby mu stwierdzić, że takie będzie jego śniadanie tego dnia, w trzeci piątek miesiąca, w domu jego syna Vincenta, na wyspie Sylt w Niemczech.

Starannie zebrał i przeżuł ostatnie okruszki sera, dopił mleko do końca. Wytarł ostrze i zamknął nóż, po czym wsunął go z powrotem do kieszeni.

Wstał od stołu, opłukał szklankę i zakręcił kran. Z ręką na kurku odczekał chwilę, dokręcił mocniej. Ale kran wciąż kapał.

*

Tak, *le vieux* Nicolas, jak w Saint-Jean-de-Marsacq nazywali go sąsiedzi, w przeciwieństwie do jego syna nigdy nie tracił czasu na rozmyślanie o tym, co się kiedyś wydarzyło. Miał lepsze rzeczy do roboty. Kiedyś znaczy nigdy, mruczał pod nosem, raz po raz oglądając się na furtkę w nadziei, że Vincentowi w końcu minie

zły humor i wróci do nich, do rodziny.

Co za przekłeta wyspa, szara i mokra.

Nicolas wzdrygnął się z niechęcią. Podciągnął drelichowe spodnie, które mimo szelek i skórzanego paska, zapiętego na ostatnią dziurkę, opadały mu na biodra, po czym oparł dłonie na stylisku i jednym mocnym pchnięciem wbił szpadel w twardą ziemię. Minął ledwie tydzień od ich przylotu, a on już sporo zrobił. Oboje zrobili – on i Paulette. Bo mała też była bystra, szybka i pracowita.

Zaczął, oczywiście, od inspekcji ogrodu.

Niezbyt duży, otoczony kamiennym murem i dzięki temu zaciszny ogród był zapuszczony i zarosnięty po pas, ale jemu to nie przeszkadzało. Powoli wszystko da się wyporządzić, nie takie ugory Nicolas widywał w swoim długim życiu. Ziemię trzeba przekopać, powinna odpocząć do wiosny dobrze natleniona; chwasty już usunął i przemielił na kompost, a stare ścieżki odsłonił i wygracował. Przy okazji na jednej ze ścieżek wytyczył tor do *pétanque*. Wprawdzie trudno sobie wyobrazić, by przy takiej pogodzie, o tej porze roku można było znaleźć partnera do gry w bule, ale w końcu i na takiej północnej wyspie bywają pogodne dni. No i kiedyś przychodzi wiosna.

Narzędzia ogrodnicze były w opłakanym stanie. Nicolas wymienił zużytą sprężynę w sekatorze i osadził nowe stylisko w grabiach do gracowania ścieżek, zanotował również w pamięci, czego brakuje, a co Vincent wiosną będzie musiał dokupić. Gdy zmęczył się przekopywaniem ogrodu, zajmował się bieżącymi naprawami: dokręcił śruby zawiasów w furtce, uszczelnił okna w całym domu, bo od północnych wiatrów łomotały jak dusze potępionych na wrzosowisku. Wszystko to zrobił wczoraj. A przed chwilą wynalazł za szopą kawał solidnej żerdzi, którą wkopał w klomb przed frontowym gankiem, a na szczycie zaczepił, zszytą ręcznie przez Paulette ze znalezionych w kufrze kawałków kolorowego płótna, francuską flagę. Nie była duża i kolory niezupełnie się zgadzały, ale wszyscy orzekli, że były wystarczająco *bleu-blanc-rouge*, by każdy mógł zobaczyć, że w tym domu mieszkają obywatele Republiki Francuskiej. Wprawdzie, jak przyznał Nicolas, czekając, aż Paulette skończy szycie, od ostatniej wojny minęło wiele lat i Niemcy zapomnieli o Paryżu, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Wykopując dół pod prowizoryczny maszt, nagarnął pełną garść ziemi, powoli roztarł ją w rękach, powąchał, a potem w świetle latarni ulicznej przyjrzał się połyskującym grudkom: była chłodna, nabrzmiała jesiennym deszczem i morzem, ale mocna. Nie szkodzi, że słona, na pewno będzie rodzić, wystarczy jej trochę zachęty. Gdyby ktoś go spytał, co ta świeżo zaanektowana fryzyjska ziemia miałaby urodzić, bez namysłu odpowiedziałby, że wino. A gdyby ktoś odważył się podać tę myśl w wątpliwość („Wino tutaj? Na północy?”), odrzekłby, że każda ziemia ma w sobie moc obudzenia ziarna i zakorzenienia, więc i tutaj coś pewno wyrośnie. Jak wino będzie słodkie, dobrze, a jak się okaże za kwaśne, to przerobią

je na ocet, bo dobry ocet winny można zrobić tylko z dobrej winorośli.

Ale, na szczęście, nikt mu nie marudził nad głową. Po pierwsze, dlatego że dochodziła dopiero godzina szósta rano i wszyscy w domu jeszcze spali. Po drugie, nawet gdyby już nie spali, i tak nikt by go o nic nie zapytał. Vincent od przyjazdu z lotniska nie pokazał się ani razu. Przywiózł ich, pomógł wnieść bagaże, burknął, że mają się rozgościć i czuć jak u siebie w domu. Nie muszą się krępować, on im nie będzie przeszkadzał, ma coś do załatwienia. To nie potrwa długo, dodał i zniknął. Na Paulette nawet nie spojrzął. Poza zdawkowym powitaniem na lotnisku nie odezwał się do niej ani słowem.

Jeśli chodzi o pozostałych domowników, to poza Paulette, która nie musiałaby o nic pytać, bo dobrze ojca znała, z Angielką porozumienie było utrudnione, ponieważ po francusku znała ledwie kilka słów. O Cyrylu nie było nawet co wspominać.

*

Rose zawsze chciała mieć siostrę. Starszą czy młodszą, wszystko jedno. A ona nie dość, że była jedynaczką, to jeszcze wychowała ją samotna matka, która, jak sama mówiła, zakochała się w Rudolfie Valentino, a została porzucona przez Casanovę i drania. Rose nigdy nie poznała ojca. W rzeczywistości miała na imię Miriam – Miriam Rosemary Lighthouse. Wcześniej jednak doszła do wniosku, że łatwiej się żyje, mając na imię po prostu Mary, a jeszcze lepiej Rose. Jako Miriam musiałaby zachowywać się przyzwoicie, jako Mary byłaby szarą myszką, Rose mogła się urywać na wagary, pyskować nauczycielowi i przez kilka dni z rzędu nie zmywać naczyń. A potem skończyć szkołę byle jak i zostać fryzjerką albo kosmetyczką.

Dzięki Jeanne Raymond, przyjaciółce matki, polubiła książki, porządki i szydełkowanie. Polubiła też swoją pracę rehabilitantki i pacjentów na oddziale ortopedii. Przez ostatnie trzy lata nie brała urlopu, nie tylko dlatego że pracy było dużo, a personelu mało. Zbierała pieniądze na nadzwyczajne wakacje, koniecznie na wyspie. Nie na takiej z palmami i błękitnymi lagunami, tropiki ją nie bawiły. Z powodu jasnej karnacji źle znosiła upały, wolała chłodniejszy klimat. Wybrała Sylt w dalekiej Fryzji na Morzu Północnym, z siwymi wydhami i kolorowymi kosztami wiklinowymi na białym piasku, z krzykiem mew, statkami na redzie i nadmorskimi bulwarami, gdzie po południu spacerowało się pod wiatr, który kłuł w policzki niczym kryształki lodu.

Przyjechała na dwutygodniowy urlop, ale tak jej się spodobało, że postanowiła zostać. W domu nic jej nie trzymało; była samotna, jeśli nie liczyć romansu z żonatym chirurgiem z oddziału, który „cenił sobie wolność” i był tak zajęty, że miał dla niej czas dwa razy w tygodniu, między piątą a siódmą po południu. Praca? Rose zawiadomiła przełożoną, że wróci jesienią, a gdyby zmieniła

zdanie, to da jej znać. Zmieniła, zadzwoniła. Była wolna.

Została kelnerką w barze na plaży. Miała gdzie mieszkać, bo szef zaproponował, by dołączyła do dziewczyn zakwaterowanych w służbowych pokojach na zapleczu. Zarabiała niewiele, ale jak się doliczyło napiwki, nie mogła narzekać. To tam, w barze pod sztuczną palmą poznała Timma Jürgena, ratownika, który po pracy wpadał do nich na caipirinbę z lodem. Był taki przystojny i opalony, że niewiele jej było trzeba, żeby się zakochać. Fakt, że krótko to trwało, ale spędzili razem naprawdę romantyczne chwile.

Gdy w odpowiedzi na radosną wiadomość Timm następnego dnia się ulotnił, Rose początkowo trochę się przejęła. Trochę, ale nie za bardzo. Nie miała do niego żalu. Powinna była wiedzieć, że wszystko się kiedyś kończy, zwłaszcza taka wakacyjna miłość. Trudno, straciła głowę, nie zachowała ostrożności, jej wina, jej problem. Lepsze to niż „przenudzić” życie jako Miriam, myślała, myjąc okno w kuchni Vincenta.

Mycie okien było jedną z niewielu czynności domowych, które Rose robiła naprawdę dobrze. Kiedy już się nimi zajęła, jej okna lśniły. Ceniła natychmiastowy efekt swojej pracy, chociaż nie robiła tego regularnie. Teraz też lśnią, jak na złość, mruknęła, przyglądając się swojej zaokrąglonej sylwetce w nieskazitelnie czystej szybie. Wszystko już widać, nawet w obszernym swetrze Vincenta. No i dobrze, niech ludzie się dowiedzą, przynajmniej będą mieli temat do plotek.

Podciągnęła energicznie rękawy do łokci i ponownie przejrzała się w szybie; sweter był za długi i za szeroki. Nie ma obawy, że pewnego dnia przestanie się w nim mieścić.

Była wdzięczna Vincentowi, że o nic nie pytał. Może dlatego tak dobrze się czuła w jego towarzystwie. Ale on w ogóle taki był, niczego nie oczekiwał ani od życia, ani od ludzi. To nie on kazał jej umyć te okna, były zakurzone i z zaciekami deszczu, dlatego sama się za nie wzięła. Z radości, że ma dach nad głową i nareszcie nie musi czekać na ławce do zmroku, a potem zakradać się i po kryjomu szukać jakiegoś opuszczonego kutra albo kosza na plaży, gdzie mogłaby się przespać.

Wszystko tak nagle się urwało. Timm zniknął, a ona wraz z końcem sezonu została bez pracy, mieszkania i pieniędzy, za to z dzieckiem w drodze. W dzień przesiadywała u Johanna, który ją dokarmił, w zamian za co Rose chętnie pomagała w kuchni, obsługiwała klientów i sprzątała przed zamknięciem. Wtedy mówiła dobranoc i udawała, że „idzie do siebie”. Wszystko było dobrze, dopóki pogoda się nie popsowała. To w jeden z takich gorszych dni Vincent znalazł ją na ganku zmarzniętą i zapuchniętą od płaczu.

Człowiek to jednak dziwne stworzenie. Rose nie pytała, ale była pewna, że Vincentowi nie chodziło o ojca, tylko o Paulette. To z jej powodu od tygodnia nie pokazywał się w domu. Codziennie wpadała do baru i próbowała mu przemówić do

rozumu, ale Vincent ucinął rozmowę. Jestem zajęty, odpowiadał, nie patrząc na nią, choć Rose dobrze wiedziała, że wcale nie jest zajęty. Nie pisał, nie rysował, tylko siedział nad swoimi szkicownikami, machinalnie przerzucając kartki.

Paulette była sympatyczna, żywa i wesoła, i taka śliczna z tymi dołkami w policzkach i brodzie, piegami i grzywką wiecznie opadającą na oczy. Kto powiedział, że siostra nie może być przyszywana? Prawdziwa czy przyrodnia, kogo to obchodzi? Ważne, że się dobrze rozumiały, mimo że głównie porozumiewały się na migi albo z pomocą przygodnych tłumaczy. Już następnego dnia po przylocie poszły razem po mleko, po drodze ucząc się nawzajem nowych słów. Bez dyskusji podzieliły się obowiązkami: Rose sprząta, a Paulette gotuje, piecze pyszne brioszki i bagietki, zdążyła już nawet zrobić konfitury. Aż w całym domu pachniało!

Monsieur Nicolas też jest w porządku. Niby pohukuje jak puszczyk, tak że nigdy nie wiadomo, czy jest zadowolony, czy zaraz wytknie, że mają przestać gadać i chichotać, bo robota czeka, ale od razu było widać, że nie robił tego na poważnie. A to oznaczało, że i one nie musiały się go poważnie obawiać.

Tylko ten chłopak, którego pobili kilka tygodni temu. Cyryl. Z nim był problem.

W sobotę rano siedzieli we trójkę przy śniadaniu – Vincent, naturalnie, nie nocował w domu – gdy zjawił się komisarz Herzog z miejscowej komendy policji. Pytał o Vincenta, chciał wiedzieć, gdzie go szukać, a potem tłumaczył coś długo i zawile, z czego Rose niewiele zrozumiała, nie tylko z powodu słabej znajomości niemieckiego. Podobno Vincent miał tu dziś na niego czekać, tak przynajmniej twierdził komisarz, wskazując na Cyryla. Podobno wie o wszystkim. Podobno zgodził się, że mają coś razem narysować.

Dlatego chłopak ma z nimi na jakiś czas zamieszkać.

– Zamieszkać u nas? – Rose nie nadała za tokiem myślenia komisarza. – Żeby rysować?

– Wiem, to trochę nieformalne rozwiązanie... – mówiąc to, komisarz pokiwał głową, jakby sam się chciał w czymś utwierdzić.

Zdawał sobie sprawę, że pomysł był niekonwencjonalny i absolutnie nieformalny i że jego przełożeni nie będą zachwyceni. Ale eksperyment zapowiadał się ciekawie, a jego pociągało ryzyko, nawet w sprawach proceduralnych.

– Również doktor Lange jest tego zdania – dodał z przekonaniem.

Rose nie musiałaby tego wszystkiego wysłuchiwać, gdyby Vincent był w domu. Ale go nie było, a dom nie należał do niej, tylko do niego. Nikt z domowników nie ma prawa podjąć tak poważnej decyzji, niech komisarz uzgodni to z właścicielem. Na pewno jest u Johanna.

Komisarz nie chciał szukać właściciela. Ani słuchać Rose. Nawet gdyby lepiej znała niemiecki, i tak by go nie przekonała. Zostawił chłopaka na ganku jak

jakąś paczkę, a sam z zadowoloną miną wsiadł do auta i odjechał.

– Ma na imię Cyryl, ale o tym nie wie – zawołał od furtki na pożegnanie. – Nie pamięta.

Komisarz i Vincent warci siebie nawzajem. Bo to one z Paulette musiały się zająć Cyrylem, urządzić mu kąpiel w pracowni, wygospodarować miejsce do spania i zapasową pościel. Teraz karmią go i zagadują, prowadzą do kuchni albo na werandę, a wieczorem kładą do łóżka jak dziecko. A on siada, gdzie mu każą, wstaje na rozkaz, a potem kładzie się i śpi. I przez cały czas milczy, tylko przygląda się człowiekowi nieruchomo wielkimi oczami, jakby był Ralphem Fiennesem w *Wichrowych Wzgórzach. Spooky*. Aż dreszcze chodzą człowiekowi po plecach.

– Jestem w kontakcie z jego koleżanką czy dziewczyną – poinformował ją komisarz, jakby było oczywiste, że wszyscy w mieście wiedzą, co łączy tego obcego chłopaka z jakąś nieznaną dziewczyną. – Tą, co mieszka u Meyera – dodał tonem wyjaśnienia. – Obiecała, że wpadnie tu do was, do pomocy. Nie martwcie się, wszystko zostało ustalone.

– Ustalone? Ale nie ze mną – zawołała za nim zadziornie i niezbyt przyjaźnie. Cyryl, bezwolny i nieobecny, napawał ją nieokreślonym lękiem. Podciągnęła rękawy swetra, a żeby znów nie opadły, podparła się pod boki. – Nie wiem, kiedy Vincent... pan le Puy wróci.

Komisarz Herzog stał już na chodniku, przy samochodzie. Z kluczykami w ręku, odwrócił się i spojrzał na Rose, na dom, po czym ponownie przeniósł wzrok na nią. Tak jakby wcześniej, zajęty sprawą Cyryla, nie zorientował się w sytuacji i teraz dopiero domyślił się wszystkiego.

Widać było, że chciał coś powiedzieć, ale Rose nie zamierzała go więcej słuchać.

– Nie ma się czego domyślać – warknęła zła na niego za to spojrzenie. – Szukam mieszkania. A tu wciąż pada.

*

Vincent od godziny siedział w aucie *Frau Bellitz* ze zgaszonym silnikiem, z rękami na kierownicy. Przez zalewaną deszczem szybę przyglądał się swojemu domowi. Od tygodnia mniej własnemu.

Za tłoczno tam teraz jak dla niego, za gwarno.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Przez chwilę jeszcze się zastanawiał, ale trwało to krótko. Wycofał samochód i zawrócił do portu. Nie był gotowy.

*

Przez lata samotności zdążył się przyzwyczaić do ciszy, do spokojnego bezruchu. Nikt na niego nie czekał, to prawda, ale też rzeczy zawsze były tam,

gdzie je odłożył przed miesiącem, a nawet dawniej. To dobre poczucie, wiedzieć, że coś, co do nas należy, pozostaje w tym samym miejscu, w nienaruszonym stanie, aż znów będzie potrzebne. Wystarczy wrócić pamięcią do ostatniego razu, gdyśmy tej rzeczy używali, dotykali, potrzebowali. Tak wygląda ciągłość naszego życia, gdy nikt nie ingeruje z zewnątrz. Rzeczy żyją naszym życiem, żadnej decyzji nie podejmują bez naszej wiedzy, poza nami. Są dokładnym odwzorowaniem tego, co robimy.

Nigdy o sobie nie myślał, że jest sam czy samotny. Miał rodzinę: ojca w Saint-Jean-de-Marsacq, matkę na tamtejszym cmentarzu parafialnym i żonę w podparyskim domu, w którym, jeśli dobrze znał Yvonne – a znał ją dobrze – niewiele się zmieniło. Każda rzecz była tam w dobrym gatunku, w dobrej cenie i dobrze utrzymana, nieskazitelnie czysta, ponieważ nie służyła do użytku codziennego, tylko do ozdoby. Yvonne nie gotowała, jadła na mieście.

Nie miał dzieci, ale miał przyjaciół: Igora i Christę Malików i kilku kolegów z uniwersytetu, z czasów studenckich i tych, z którymi zaprzyjaźnił się później, gdy już pracował nad doktoratem. Byli wierni, a co ważniejsze, nie zmieniali adresów; Vincent szczególnie to cenił, sam należał do ludzi, którzy wierzą w siłę zakorzenienia w jednym miejscu. W tym sensie jego wyjazd (ucieczka?) na wyspę był niczym wybuch wulkanu; wyjeżdżając, Vincent naruszył strukturę własnego świata.

Z drugiej strony jednak mógł powiedzieć, że jego życie stanowiło jego prywatną planszę do gry i dopóki w ogólnych ustawieniach panowała kontrolowana równowaga, dopóty on sam mógł się przemieszczać do woli. Po latach spokoju pierwszy i jak dotąd jedyny ruch na tej planszy wykonała Yvonne, kilka miesięcy temu przysyłając mu papiery rozwodowe. Ale była to już czysta formalność.

Poza tym żadnych zmian.

Na wyspie było podobnie. Miejsca: dom, a w nim ława pod oknem w salonie i skrzypiące krzesło na ganku, to samo, na którym ktoś, odchodząc, zostawił połatany kabat. Bar, w którym miał swój stały stolik, prywatną *bol à café au lait* i fajansowy kubek z napisem *Pas ris! Paris!*, których nikomu innemu nie wolno było używać. I jeszcze port rybacki był jego miejscem, i nocne ścieżki na wydmach, z ich wietrzną ciszą i zapachem jodu i soli. Ludzie: Johannes i Kurt Herzog. Żadnych kobiet, jeśli nie liczyć kilku nietrwałych znajomości, które minęły równie ulotnie, jak się zaczęły, lekko i bez zobowiązań.

Ostatnio pojawiła się Rose.

Ale Rose to co innego. Była młoda i wciąż taka otwarta na to, co przyniesie jej kolejny dzień, i tak otwarcie wobec tego bezbronna, że obaj z Johannesem czuli się za nią odpowiedzialni. Budziła w nich obu opiekuńcze uczucia, czego, prawdę mówiąc, Vincent nigdy się nie spodziewał ani po sobie, ani po przyjacielu. Kto

wie, może obaj powinni być jej za to wdzięczni?

Przyjazd ojca w towarzystwie Paulette uświadomił mu, że ludzie nie czekają jak przedmioty. Zmieniają się, starzeją, zaczynają chorować, milkną, przestają widzieć i pamiętać. Zmieniają również swoje życie. Zajęty pilnowaniem, by nic się wokół niego nie zmieniało, Vincent zapomniał, że niekoniecznie trzeba się wyprowadzić, wyjechać czy uciec, żeby coś zmienić. Można, na przykład, jak jego ojciec, po śmierci żony przyjąć kobietę do pomocy w gospodarstwie i z tą kobietą mieć nieślubną córkę.

Czy ojciec miał obowiązek go o tym powiadomić?

– Właśnie to robię – oświadczył spokojnie na lotnisku, stawiając na wózku nową i dziwnie do niego niepasującą wielką czarną walizę. – To jest twoja siostra Paulette. Przyrodnia siostra.

Vincent nigdy wcześniej nie pomyślał o ojcu jako o mężczyźnie. Mężczyzna, który do tej pory był jego ojcem, jadł i pił, dni spędzał w winnicy, a po pracy mył się w korycie studni na dziedzińcu przed tłocznią wina, z głośnym prychaniem polewając się wiadrzem zimnej wody.

Z powodu tego mycia, tak bez skrępowania przy ludziach, matka przestała się pokazywać w winnicy. Taka rzecz nie mogłaby mieć miejsca w rodzinnym domu Danielle Morgan, w Bayonne. Jej wyobrażenie o higienie było ściśle powiązane z łazienką i czystymi ręcznikami, i było sprawą intymną. Dla rozrywki i na oczach wszystkich człowiek mógł się pluskać w basenie, w morzu albo w rzece, ale myć się powinien za zamkniętymi drzwiami. Danielle bez powodzenia usiłowała to wytłumaczyć mężowi. Niedobre małżeństwa miewają różne oblicza, myślała ze smutkiem, odliczając dni do wakacji, kiedy znów mogła zabrać syna i wyjechać na kilka tygodni w rodzinne strony.

Obserwując rodziców, Vincent nieraz zastanawiał się, jak to było możliwe, że jego ojcu udało się zdobyć miłość takiej panny z dobrego domu jak jego matka. Byli sobie z gruntu obcy. Nigdy się nie dotykali ani nie śmiali z tych samych rzeczy, rzadko na siebie patrzyli, z biegiem lat coraz rzadziej rozmawiali. Poznali się w jej rodzinnym Bayonne, dokąd Nicolas przyjeżdżał na motocyklu po świeże ryby i owoce morza. Ich małżeństwo było oczywistym mezaliansem, nie tylko ze względów społecznych. Szybko się okazało, że Danielle źle znosi życie na prowincji i trudne warunki, jakie to życie, mimo wygod obszerne domostwa, dyktowało. Cena za młodzieńczą miłość okazała się wysoka, przedwczesną śmierć żony Nicolas odebrał jako w pełni zasłużoną karę niebios za nieposłuszeństwo wobec woli rodziny Danielle. Nic dziwnego, że po takim doświadczeniu zgorzkniał, stał się człowiekiem twardym i ponurym, a dla syna wręcz nieczułym.

I nagle związek z „jakąś” kobietą? Myśl o nocach wypełnionych miłością zaskoczyła Vincenta. Jeszcze bardziej zaskoczyła go dziwna radość, z jaką ojciec patrzył na tę swoją śliczną roześmianą córkę. Na niego nigdy tak nie spojrział, ani

wtedy gdy wygrał konkurs matematyczny i w nagrodę otrzymał stypendium na studia na paryskim uniwersytecie, ani po tym jak Vincent oświadczył się Yvonne i został przyjęty przez rodzinę zamożnego bankiera. Ani potem, gdy przyjechał do Saint-Jean-de-Marsacq, by pokazać ojcu dyplom, na którym widniało jego nazwisko, a obok tytuł doktorski. Jeśli miał wierzyć ojcu i Paulette rzeczywiście była podobna do matki jak dwie krople wody nie tylko pod względem urody, ale i charakteru, to oznaczałoby to, że w jego rodzinnym domu panowała teraz radość. Vincent nigdy dotąd nie widział, żeby ktoś śmiał się tak beztrąsko i zaraźliwie jak Paulette.

Ojciec także się zmienił. Narzekał po staremu, ale raczej na pokaz, jakby chciał przypomnieć o pozycji, którą dawno utracił, chociaż nikt mu jej nie odebrał, po prostu nie była mu już potrzebna. Nie musiał udawać, że jest francuskim chłopem ani że nim nie jest. Był nim w każdym calu, ponieważ w jego świadomości życiodajność ziemi i kobiety spletały się w jedność, której na imię było płodność. I trwanie. Chorowita żona i nadwrażliwy syn, którzy nie lubili ziemi, a zamiast tego woleli małą, jego zdaniem, przydatną księżkę, malarstwo i abstrakcyjne liczby, nie pasowali do tego świata.

Na swój sposób kochał ich oboje, ale dopiero gdy zniknęli z jego życia, Nicolas pogodził się sam z sobą.

*

– Ten Prąd Zatokowy to dla nas wyborna wiadomość – powiedział Nicolas, opierając stopę na szpadlu, który sądząc po szerniałym od wilgoci stylisku, przetrwał w rozpadającej się szopie w kącie ogrodu niejednym sezonem zimowych sztormów.

Kolejna rzecz do wymiany.

Nicolas splunął w dłoń i wprawnym gestem ujął uchwyt, jednocześnie ruchem głowy dając Cyrylowi znak, żeby się odsunął.

– Uważaj, synu – ostrzegł. – Bo znowu oberwiesz.

Chłopak cofnął się kilka kroków z wyraźnym ociąganiem.

Odkąd przymusowo zamieszkał w tym obcym domu, pełnym nieznanym ludzi – amnezja nie miała tu nic do rzeczy, ponieważ rzeczywiście ich nie znał, również przed wypadkiem – Cyryl najchętniej przebywał w towarzystwie starego *monsieur*. Sam Nicolas kazał mu się do siebie w ten sposób zwracać: *monsieur le Puy*. Ta Młoda z dużym brzuchem w dużym swetrze, która ciągle sprząta i każe zostawiać buty w sieni na wycieraczkę, również tak o nim mówi, i ta Ruda, która go karmi, myje i ubiera, i twierdzi, że się znają. *Monsieur*. Dlatego Cyryl każde zdanie zaczyna od tego zwrotu. Jeśli w ogóle coś mówi, czego najczęściej nie robi.

– Tak, *monsieur le Puy*...

Nieraz były to jedyne słowa, jakie w ciągu dnia wypowiadał. Były łatwe do

zapamiętania, poza tym uspokajały. Dawały poczucie bezpieczeństwa, osadzenia w przestrzeni i życiu, które samo w sobie jawiło mu się teraz jako nieogarniona przestrzeń, bez znaków rozpoznawczych. Resztę zagłuszał monotony szum w głowie. Zagłuszał wszystko: imiona, obrazy, nazwy i znaczenia różnych rzeczy, a wraz z nimi – wspomnienia.

Podciągnął popielaty dres, który raz po raz opadał mu na biodra, odsłaniając bokserki w granatowe paski. Spodnie były za luźne nie dlatego, że tak bardzo schudł. W dniu wypisu ze szpitala kupił mu je, wraz z T-shirtem, bluzą i skarpetami, komisarz Herzog, który nie znał się ani na zakupach, ani na rozmiarach; jemu ubrania kupowała żona i robiła to zaocznie, gdyż on sam nigdy nie miał na to czasu. Komisarz wybrał bezpieczną opcję: kolor popielaty, rozmiar oznaczony dodatkowym X. Lepiej za duże niż za małe, zdecydował. Wygodniej.

Od czasu gdy zdjął szpitalną piżamę, Cyryl godził się wyłącznie na ten ubiór. Do noszenia swoich rzeczy, które Ruda przywiozła mu z domu pana Meyera, gdzie został jego plecak – z jakiegoś powodu nie dawał się namówić. Rzeczywiście, Jasmine chodziła za nim z jego własną koszulą i spodniami, ale nawet nie chciał na nie spojrzeć, a co dopiero włożyć. Trudno było powiedzieć dlaczego. Czy dlatego, że odbierał je jako obce? A może przeciwnie, ponieważ przypominały coś, o czym nie chciał pamiętać.

Cofając się z grządki, tak jak przykazał mu *monsieur*, Cyryl zszedł na świeżo odsłoniętą ścieżkę, obrzeżoną wrotyczem i cykorią. Pochylił się i dotknął ostatniego błękitnego kwiatu cykorii. Pędy były jeszcze zielone, ale już zdrewniałe i niepodatne, tak jakby koniec lata przeszkodził im w ostatnim elastycznym ruchu, z jakim z przyzwyczajenia zamierzały poddać się podmuchowi wiatru.

Kilkakrotnie przejechał palcami po sztywnych łądyżkach. Przypominały struny gitary i pachniały jak zielone listki, które kiedyś jadł. Cyryl grał niegdyś na gitarze. Był samoukiem, miał doskonałą pamięć muzyczną, wystarczyło, że usłyszał jeden, dwa dźwięki, a już potrafił odtworzyć całą melodię.

Gdzieś w krzakach odezwał się ptak.

Zamknął oczy. W scenie, która nagle mu się przypominała, Cyryl siedzi w swoim pokoju, z gitarą opartą na kolanie, wpatrzony w rozłożone na biurku nuty. Nie może się skupić, matka woła na obiad. Ogarnia go zniecierpliwienie, chciałby jeszcze poćwiczyć, ale wie, że musi się pospieszyć, ponieważ za chwilę...

Przytknął zerwaną łądyżkę do nosa, poruszył nozdrzami. To ten zapach, a nie głos ptaka. Scena ma ciąg dalszy, ponieważ towarzyszy jej zapach.

Matka stoi w kuchni, Cyryl widzi nóż w jej ręce i drewnianą deskę na stole, z pęczkiem częściowo posiekanych zielonych łądyżek, obok leżą łupiny cebuli, obierki marchwi, jabłko. Za stołem siedzi ojciec, czyta gazetę, Cyryl nie widzi jego twarzy. Wczesny zimowy zmierzch miesza się z mdłym światłem lampy wiszącej nad stołem. W garnku na kuchence bulgocze zupa, Cyryl obserwuje kłębki pary,

jakie wydostają się spod pokrywki, a potem unoszą i zmieniają w cienkie smużki. Czajnik gwizdże, ojciec, który czytał coś matce na głos, wstaje, zdejmując gwizdek z czajnika, gasi gaz. Następnie wraca do stołu, siada i ponownie rozkłada gazetę, ale w tej samej chwili jego postać znika, a gazeta z szelestem kołysze się sama w powietrzu, niczym sztywne łodyżki cykorii na wietrze. Czajnik przestał gwizdać i bulgotać, z niedokręconego kranu kapie woda. Matka, stukając nożem o deskę, sieka zielone listki i mówi, żeby Cyryl wyjął trzy, nie, dwa talerze z kredensu i śmietanę z lodówki.

Widzi to wszystko jak we śnie, ale zarazem czuje, jakby się nagle obudził.

Otworzył oczy przerażony. Zachwiał się. Nie potrafił powiedzieć, co bardziej go przeraziło: dziwna pustka wokół ich kuchni, tak jakby nie była częścią domu przy Lichtstrasse, na przedmieściach Hamburga, czy fakt, że nie pamięta, jak wyglądał ojciec ani jak smakowała ugotowana przez matkę zupa. I dlaczego miał wyjąć z kredensu trzy, nie, dwa talerze (dlaczego dwa? a ojciec?)? I po co był ten szczypiorek? Jeśli to był szczypiorek, a nie pietruszka. Cyryl znał te słowa, pamiętał, co oznaczały, miały smak i zapach. Ale rodzice? Dlaczego miał wrażenie, że dawno ich nie widział? Czy każdy człowiek ma ojca, który znika?

Przejechał ręką po odrastających włosach; skosem przez środek czaszki biegła wyraźna szrama. Niemal z ulgą powitał szum w uszach, który powrócił, pochłaniając wszystkie inne dźwięki.

– Tak, *monsieur* le Puy. Odsuń się, synu. Bo znowu oberwiesz – powtórzył za tamtym jakby ze zdziwieniem, odsuwając się posłusznie o kolejny krok. – Bo znowu?

Lecz Nicolas nie słuchał, co mówi Cyryl, pewnie dlatego nie wyczuł w tych repetycjach zdziwienia ani niepewności. Był zajęty swoimi myślami, poza tym wiedział, że chłopak po wypadku dziwnie się zachowuje. Może to nawet lepiej, że nic nie pamięta? Kto by chciał pamiętać właściciela kija baseballowego, który wypala nam swastykę na plecach?

– Prąd Zatokowy, tak – sapnął z zadowoleniem Nicolas, jednocześnie wbijając szpadel w ziemię. Na moment zastygł pochylony nad styliskiem, jakby chciał wyczuć, czy szpadel wszedł wystarczająco głęboko i pod odpowiednim kątem. Następnie wykroił i odłożył na bok skibę gliniastej ziemi, przemieszanej z kłęczkami perzu, odłamkami muszli i łupinami orzechów laskowych i żołądź. Ziemia była mokra, jak to jesienią, gęsta i ciężka. Trudna. Winorośl lubi trudną ziemię, tylko taka rodzi szlachetne wino. Łatwa ziemia daje sok owocowy.

– Nie rozumiem mojego syna – mruknął Nicolas, przyglądając się bryle ziemi.

Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiał. Ani jego pasji do malarstwa i matematyki, ani decyzji o małżeństwie z Yvonne, które okazało się równie niedobre i pozbawione miłości jak jego własne. Nie przypuszczał jednak, że

nadejdzie taki dzień, gdy pomyśli o tym z powodu ziemi, którą jego syn posiadał.

Ta ziemia była wapienno-gliniasta i w każdym calu północna, ale mimo zapuszczenia musiała być urodzajna, sądząc po wielkości liści łopianów i wysokości pędów pokrzyw, ostów i wrotyczu. Gdyby Vincent miał więcej rozumu i wytrwałości, to zamiast malować nikomu niepotrzebne widoczki, zająłby się hodowlą winorośli. Może wino nie miałoby słonecznego bukietu chardonnay, ale już chłodne chablis o lekkim posmaku metalu i soli? Kto wie...

Odkładając skibę za skibą, ojciec Vincenta nie przerywał monologu.

– Widzisz, synu, klimat tu ciepły, łagodny. Żadnych przymrozków, małe wahania temperatury, lekkie zimy. Napoleon wiedział, co robi, wysyłając w te strony beczki z winem do leżakowania. Nawet piwnice nie były potrzebne, tutaj wszędzie jest właściwa wilgotność i odpowiednia temperatura. A wszystko dzięki morzu, co do tego nie ma wątpliwości. Cesarz zrobiłby lepszy interes, gdyby zamiast maszerować bez wytchnienia przez Europę i podbijać kolejne narody, na każdym zdeptanym skrawku ziemi posadził krzew winorośli. Ale cóż, do wojaczki Bonaparte był pierwszy, za to do roboty w polu ostatni. – Odwrócił głowę, chcąc się upewnić, w którą stronę ma się przesunąć, żeby nie nadepnąć na Cyryla.

Zachowuje się jak szczeniak zbyt wcześnie odebrany matce, pomyślał. Chodzi za mną krok w krok, powtarza słowa, naśladuje ruchy.

Nie żeby mu to przeszkadzało. Życie nauczyło Nicholasa, że w każdym żywym stworzeniu drzemie instynkt stadny i wola przetrwania. W trudnych chwilach budzą się i każą walczyć, wskazują miejsca, gdzie się schronić, ludzi, którzy pomogą przeżyć najgorsze. A nikt nie jest lepszym oparciem w takich chwilach niż stary człowiek.

Stary? Nicolas uśmiechnął się przekornie. Prawda, może jest i stary, może słabiej pracuje i wolniej biega, ale jeszcze na niejedno go stać.

– Nasza winnica będzie nieduża, raczej ogród winny, ale na takiej wyspie trudno o większy spłachetek ziemi. Wiatry? Co tam wiatry, mamy ten mur. – Zatoczył wolną ręką wokół siebie. – Na wszystko znajdzie się rada. Byłeś, synu, na Krecie? Nie? Ja byłem, w czasie wojny pływałem w konwojach. Tam z powodu wiatru pędy winorośli prowadzi się nisko przy ziemi, owijając je wokół własnego pnia, jak ciepły szalik wokół szyi. Tutaj zrobimy tak samo. – Nicolas wszystko przemyślał, miał gotowy plan. – A jak jeszcze namówimy Vincenta, żeby kupił przenośną nagrzewnicę na gaz, to powstanie tu prawdziwy rajski ogród.

– Tak, *monsieur* le Puy – powtórzył za nim Cyryl jak echo. – Rajski ogród.

– Nie wierzysz mi, co? Ludziom się wydaje, że raj jest tylko tam, gdzie ciepło, a ciepło jest tylko na Południu. Nic bardziej mylnego – ciągnął Nicolas, nie przerywając rytmicznej pracy. Nie potrzebował rozmówcy, tylko słuchacza, Cyryl do tej roli nadawał się idealnie. – Widzisz, synu, w młodości, gdy jeszcze nie miałem rodziny, zaciągnąłem się na hiszpański frachtowiec. Woziliśmy

pomarańcze do Irlandii, na Wyspy Owcze, na Szetlandy. Myślałem, że nasze pomarańcze będą zadziwiały jak zamorskie skarby, ale byłem w błędzie. Niby wszędzie tam zimny ocean i pełno soli w wodzie i w powietrzu, tymczasem oni w ogródkach hodowali palmy, figi i brzoskwinie. A wszystko dzięki Prądowi Zatokowemu.

Hałas przy furtce odwrócił ich uwagę od prądów morskich, klimatu i wina. Rose przepuszczała przodem jakąś obcą kobietę, jednocześnie odbierając od obładowanej torbami Paulette dwie skrzynki, ustawione jedna na drugiej. Skrzynki zakołysały się, przechyliły i na ziemię posypały się pomarańczowe owoce. Rose krzyknęła, Paulette wybuchnęła śmiechem. Wszystkie trzy, razem z nieznajomą, jednocześnie schyliły się i zaczęły zbierać rozsypane owoce z ziemi.

Gdy skończyły, Paulette wstała, pobierała torby z zakupami. Wolną ręką poprawiła kolorową kamizelkę, wciśniętą na grubym sweter w afrykańskie wzory i odsunęła z czoła czapkę obszytą białym barankiem. Pod barankiem kryła się za długa grzywka, a pod grzywką wielkie orzechowe oczy i zadarty piegowaty nos, który wszyscy zgodnie nazywali „noskiem”, co Paulette niezmiennie złościło.

Na widok ojca i Cyryla dziewczyna odstawiła torby na ganek i zamachała rękami.

– Wykupiłam cały zapas moreli. Trochę przejrzałe, dlatego przecenione. Z Egiptu – zawołała i nie czekając na odpowiedź, wbiegła do domu.

Z Egiptu? Nicolas skrzywił się z niesmakiem. Prawdziwe morele, z zamszą skórką i miąższem słodkim jak ulepek, rosną tylko na południu Francji.

*

– No już, wybacz mu – powiedziała Rose, przesuwając szkicowniki Vincenta z miejsca na miejsce, żeby wytrzeć blat stolika. – Zresztą, co tu wybaczać?

Westchnęła ciężko. Co za uparty człowiek, można do niego mówić i mówić, a on nic, nawet powieka mu nie drgnie na znak, że się zgadza. Skąpa szybciej by skruszała na wietrze niż on.

– Twój ojciec miał prawo urządzić sobie życie. Was i tak już tam nie było – ciągnęła z determinacją, udając, że nie dostrzega jego zaciętego milczenia. – Bez ciebie i żony, nie chciał zostać sam, co w tym dziwnego? Najważniejsze, że nie wyparł się nieślubnej córki, czego ja o swoim ojcu nie mogę powiedzieć. Ani, niestety, o ojcu mojego dziec-ka. – Spojrzała na Vincenta z nadzieją, że po tygodniu takich „rekolekcji”, jak je nazywała w myślach, Vincent przestanie się wpatrywać w jeden punkt na ścianie ponad jej ramieniem i nareszcie coś powie.

A przynajmniej na nią spojrzy.

I rzeczywiście, spojrzał ponuro, ale nic nie powiedział, po czym wrócił do przerwanej obserwacji ściany.

W barze było pusto, jak to jesienią. Przy sąsiednim stoliku siedziała tylko jedna klientka. Obok niej, na podłodze, stała mała walizka, skórzana teczka z laptopem na sąsiednim krześle była otwarta. Kobieta przeglądała jakieś papiery. Miała równo podcięte włosy do ramion, z naturalnymi siwymi pasmami, była bardzo szczupła i ubrana na czarno. Jedyny akcent kolorystyczny stanowiły czerwone oprawki okularów i szminka. Ta czerń w niczym nie przypominała żałoby, czarne spodnie i sweter z perłowymi guzikami stanowiły elementy kodu, zgodnie z którym ubierały się kobiety w średnim wieku, z dużego miasta, pracujące w organizacji pozarządowej albo jakiejś redakcji. Tak przynajmniej Rose to sobie wyobrażała: że gdyby ona była w średnim wieku, to tak by się ubierała.

Ciekawe, kiedy zaczyna się średni wiek, pomyślała. I jak długo trwa? Pięć lat, dziesięć?

Nieznajoma piła słabą herbatę, obok szklanego dzbanka stał otwarty słoik miodu, z owalną nalepką: *Sylter Extra Art. Pharisäer Wildblüten Honig mit orig. Jamaika Rum*. Rose uśmiechnęła się. Rano była w mieście z Paulette i kupiła dokładnie taki sam słoik (za 2,95). Johannes dobrze wiedział, co zaoferować w taką pogodę. Nic nie rozgrzeje lepiej niż gorąca herbata z miodem i rumem. Ostatecznie może być nawet ziołowa, chociaż ona wolała czarną, dobrze zaparzoną i z mlekiem, taką, jaką się pija w jej rodzinnej Anglii.

Tamta chyba wyczuła, że Rose jej się przygląda, bo nagle podniosła głowę znad papierów. Na moment ich spojrzenia się spotkały i nieznajoma lekko się uśmiechnęła.

Ten uśmiech speszył Rose. Odwróciła się z powrotem do Vincenta i zerknęła na zegarek. Zrezygnowana, westchnęła i przeniosła wzrok na ścianę za swoimi plecami, usiłując zlokalizować punkt, któremu z takim uporem przyglądał się Vincent. Przy okazji wypolerowała rękawem jego swetra kawałek szyby.

– Nie musisz dawać do zrozumienia, że przydałoby się malowanie – rzekła.
– Już mówiłam Johannesowi, że czeka nas remont. Ale ustaliliśmy, że zrobimy to dopiero na wiosnę. Teraz jest za zimno, farba by nie schła. Ściany pomalujemy na lawendowo, a meble będą oliwkowe, jak w Prowansji. Dobry pomysł?

Nachyliła się nad stolikiem i pomachała mu dłonią przed oczami. W końcu to Vincent był malarzem i znał się na kolorach, a nie ona.

– A wracając do Paulette, wyobraź sobie...

*

Mimo pozorów obojętności Vincent słuchał z uwagą, kątem oka obserwując Rose znad okularów.

Od tygodnia z trudem opanowywał odruch ucieczki, a był to dopiero początek. Ojciec przekopywał, karczował i naprawiał. Dziewczyny prały, szorowały, sprzątały. Piekły i gotowały. Codziennie chodziły na farmę po świeże

mleko. Szyły, a jego pytały, gdzie są igły, nici i guziki.

– ... wyobraź sobie... – pogodny głos Rose po raz kolejny wyrwał go z odrętwienia. Nieustępliwy głos. – Mówię ci, jeszcze nie mogę wyjść z podziwu. Poszłyśmy z Paulette po mleko. Tyle razy tamtędy przechodziłam i nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Paulette? Wczoraj dwa kroki od ścieżki nazbierała pełne kieszenie pachnącego tymianku, a mnie kazała narwać rajskich jabłek, takich małych, czerwonych, drzewo było nimi wprost obsypane. Dziś wieczorem usmażymy je w gęstym syropie, będą się pięknie prezentować z lodami albo jako dekoracja urodzinowego tortu... – Rose przerwała, ale tylko na chwilę i tylko dlatego, że zabrakło jej tchu. – A w drodze powrotnej nazbierałyśmy pełno owoców dzikiej róży, suszą się w piekarniku. Taka herbata ma dużo witaminy C, dobra na przeziębienie. To nie wszystko, bo...

Vincent skulił się na krześle. To jeszcze potrwa, pomyślał z rezygnacją.

I rzeczywiście.

– ... dziś w sklepie – Rose podjęła wątek dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwała – robię spokojnie zakupy zgodnie z listą, bo jak się domyślasz, odkąd w domu jest pełno ludzi, zapasy znikają natychmiast. Rozglądam się za Paulette, a ona zjawia się przy kasie z dwiema skrzynkami egipskich moreli. Trochę przejrzałe, dlatego przecenione, ale na konfiturę będą w sam raz i... – Rose nagle zamilkła.

W drzwiach pojawił się Kurt Herzog.

Na jego widok Vincent bez słowa zgarnął szkicowniki ze stołu i spakował torbę. Wstał.

LIST Z PROWINCJI

J.

O co walczymy? Czy, jak piszesz, stworzeni jesteśmy do życia według naszych wyobrażeń, za którymi, nieraz daremnie, podążamy? Czy może jednak naszym prawdziwym przeznaczeniem jest, uważane za nudne i przegrane, ukojne bytowanie na prowincji, wszelkiej prowincji, w tym także duchowej?

Prowincja – rozumiana jako obszar z dala od stolicy czy jak w czasach Imperium Romanum jako terytorium podległe Rzymowi, a leżące poza Italią – dziś kojarzy nam się raczej negatywnie, jako „miejsce, gdzie nic się nie dzieje”. I często w domyśle zawiera przekonanie o ciasnocie poglądów i zacofaniu. Co w istocie nie jest prawdą, lecz jedynie stereotypem.

Osobiście lubię prowincję. W pozytywnym rozumieniu tego słowa: jako miejsce blisko korzeni, z dala od zgiełku, które, jak w *Naszym mieście* Wildera, pozwala nam żyć i umierać w pewnym linearnym porządku upływającego czasu, ściśle powiązanego z trwaniem. Chodzi mi tutaj nie tyle o wymiar stereotypowo prowincjonalny, ile o rozmiar. O świat skrojony na naszą prywatną miarę, o jego całość w sensie mikrokosmicznym. O naszą prywatną wyspę.

Dawniej ludzie po prostu żyli na prowincji, teraz – szukają „swojej prowincji”. Wierzą, że czas, jeśli płynie wolniej, pozwala ludziom dojrzewać, a domom się starzeć, dziczeć starym sadom, zarastać ogrodami. Prowincja trwa i nam pozwala trwać, ma swój rytm, nie spieszy się ze zmianami jak wielkie miasta, z ich wielopiętrową mnogością rozgałęzień, zaburzających naszą percepcję związków i przynależności. Małe mapy prowincjonalnych ścieżek, w tym również mentalnych, nie zmieniają się tak szybko, nie tracą na aktualności. Horyzont łatwiej wykreślić, gdy ręka nie drży od nadmiaru kierunków, a my mamy gdzie usiąść, zaczekać, aż powietrze przestanie wirować. Mamy czas pomyśleć.

Przez Sylt sporo się nas przewija – obcych przybyszów. Będziemy znów wyjeżdżać albo wręcz uciekać, jakże często gnani ukrytymi pragnieniami, goniący za urojeniem. Lecz wkrótce z ulgą wrócimy, zmęczeni, wciąż nie rozumiejąc, że tak naprawdę szukaliśmy bezpiecznego schronienia. Może Eva, Johannes i Vincent już to wiedzą, ale jest też całkiem prawdopodobne, że działają intuicyjnie, w najbardziej podstawowym odruchu samoobrony. Trochę jak u Nietzschego: „Nieświadomie szukamy zasad i teorii stosownych do swego temperamentu, iż w końcu wygląda na to, że zasady i teorie uformowały nasz charakter, udzieliły mu stałości i pewności; kiedy tymczasem rzecz się miała zupełnie na odwrót”¹⁵.

Dopowiedziałbym, że nie tylko szukamy zasad i teorii odpowiadających naszemu usposobieniu, ale sami je na własny użytek tworzymy, odbierając te narzucane z zewnątrz jako uwierające i niewygodne.

Jednostajny rytm mijających dni zdaje się pasować do tej hipotezy.

Do usłyszenia,

B.

LIST Z KUCHNI

J.

Wróćę jeszcze do naszej niedawnej rozmowy o mamie i ciasteczkach, nie tylko lawendowych. Bywają różne mamy: kuchenne, porządkowe, zapracowane, poświęcające się rodzinie, pobłażliwe, mamy kumple, skrupulatne, surowe, nagradzające, pouczające („Zostaw, to dla gości!”). Nasza zawsze była ozdobą. Męża, domu, dzieci. Podziwiam ją za konsekwencję trwania w wybranej roli, za optymizm. Tak jak wtedy gdy powiedziała w zadumie:

– Ciekawe, jak będzie wyglądała...

– Kto, mamie?

– No, ta moja starość.

Dylemat, który ją zafrapował w dawno minione dziewięćdziesiąte piąte urodziny, przynasz, że uroczy.

I w tym kontekście, nagle, „ciasteczka Mamy”. Ha!

Mimo starań nie potrafiłam sobie wyobrazić naszej mamy piekącej ciasteczka. Jej ostatnie ciasto datuję na rok 1965. Było cytrynowe, na olejku

cytrynowym i proszku, jakiś wielki dzwon, może imieniny? Częściej na moim biurku, dziele ojca, miewałam „petitberry” z powidłami. Mama w tym czasie przymierzała przed lustrem apaszkę przetykaną złotymi nitkami i nucąc ostatni przebój, czekała, aż w końcu ja coś upiekę. Nie, nie czekała, miała pewność, że prędzej czy później i tak coś upiekę. A idąc za mną do kuchni, opowiadała z nostalgią o sadzie u dziadków w podwarszawskim Domaniewie, ach, jakie wiśnie i węgierki, jakie jabłka, chrupkie i soczyste, a ten smak galaretki porzeczkowej, ucieranej na zimno, niezapomniany.

Jak się więc domyślasz, ciasteczka lawendowe są nie tyle „ciasteczkami Mamy, ile „dla Mamy”, bo to ja je piekę – dla niej.

B.

PS I jeszcze przepis:

Bierzesz: 1 łyżeczkę świeżych kwiatów lawendy, drobno siekasz (jeśli suszone, to weź tylko pół łyżeczki i rozetrzyj lekko w móżdżierzu), 150 g masła, 1 żółtko gotowane + 1 żółtko surowe, 50 g cukru, 2 łyżki mielonych migdałów, 225 g mąki pszennej (typ 550). Do obtoczenia: 1 łyżka mielonych migdałów + 1 łyżka cukru (rafinowany kryształ). Zarabiasz szybko, póki masło zimne, wkładasz do lodówki na godzinę. Robisz niezbyt grube wałeczki (średnicy dwuzłotówki), obtaczasz w migdałach wymieszanych z cukrem, tniesz na krążki grubości 1 cm, pieczesz na złoto 10 minut w dobrze nagrzanym piekarniku.

Rozdział 10: Po śladach

– Wychodzisz? – W głosie Herzoga zabrzmiała nuta ironii.

Vincent potarł zarost na policzku. Było w tym geście wszystko: rezygnacja, przygnębienie, ale i zakłopotanie. Zdawał sobie sprawę, że zawiódł Kurta. Zamiast zająć się Cyrylem, tak jak obiecał, całe dni przesiadywał beczynnie u Johannesesa i użalał się nad sobą.

– Czas do domu, od tygodnia się nie goliłem – mruknął.

– A to się dobrze składa. Ogolisz się, pogadasz sobie z rodziną. Przy okazji poznasz swego nowego lokatora. – Herzog również nie był w nastroju do żartów. I nie chodziło tylko o Vincenta, który zgodził się pomóc w terapii Neuhausesa. Na co Herzog liczył. Dzięki czemu można by wreszcie uzupełnić materiały śledcze o zeznania ofiary napadu. Co jak do tej pory się nie udało i w raporcie nie przybyło nic nowego. Nadal znajdowały się tam wyłącznie zeznania Meyera, który dużo mówił, tyle że nie na temat, i tej rudej Roegge, która nic nie wiedziała, a przynajmniej twierdziła, że nie wie. Swastyka na plecach ofiary? Bestialski wybryk. Muszla? Jedna z tysięcy, jakie każdego dnia lądowały w kieszeniach turystów.

Stanowczo za mało, żeby ten incydent nazwać „sprawą”.

Był jeszcze fotograf Olivetti, który przez moment interesował się rudą dziewczyną i w rzeczywistości nazywał się von Otter. O nim wiedzieli już sporo, ale on był pod obserwacją z innego powodu, który z Neuhaussem nie miał nic wspólnego – poza dziewczyną. No, ale wszystko wskazywało na to, że ich znajomość była przelotna.

– Zamiast narzekać, powinienes okazać zadowolenie, że nie były to, na przykład, porachunki gangów – zaśmiał się Vincent.

Herzog skrzywił się.

– Gangsterzy na tej plotkarskiej wyspie? Niemożliwe. Tutaj nic się nie ukryje.

Prawdę mówiąc, Herzog zjawiał się w barze nie po to, żeby robić złośliwe wymówki przyjacielowi.

– Wybacz, stary, nie przyszedłem cię aresztować – powiedział pojednawczo.

– Jestem umówiony. – Skinął głową, wskazując na nieznaną kobietę w okularach.

Vincent odetchnął z ulgą. Miał wyrzuty sumienia.

Herzog podrapał się w czoło. Ta rozmowa coś mu przypomniała. Rano dzwoniła *Frau* Bellitz, sprzedając, że po południu wybiera się do Herzogów z krótką wizytą. Ciekawe, po co tym razem?

*

– Wiesz równie dobrze jak ja, Kurt, że w takich sprawach nie wystarczy utopić człowieka, żeby utopić całą sprawę. – Kobieta siedząca naprzeciwko komisarza Herzoga poprawiła okulary w czerwonych oprawkach. Zrobiła to charakterystycznym gestem, który Herzog miał okazję zaobserwować podczas kilku poprzednich spotkań: najpierw zgięty palec wskazujący lewej ręki powędrował wzdłuż grzbietu nosa do jego nasady między brwiami, a następnie zjechał w dół, by potrzeć koniuszek. – W naszej organizacji mamy do czynienia z takimi sprawami na co dzień. Z tą różnicą, że ta trwała zbyt długo. Wasz człowiek był podwójnie niewygodny.

Komisarz Herzog odstawił filiżankę z niedopitą kawą. W pustym o tej porze barze Johanna brząk potrąconej łyżeczki zabrzmiał czysto i metalicznie, jak dzwonek.

– To znaczy? – Herzoga zawsze fascynowały nierozwikłane zagadki kryminalne, a umorzone śledztwa traktował jak trening umysłowy. – To znaczy? – powtórzył, spoglądając na swoją rozmówczynię.

– Niewygodny, co w praktyce oznaczało: niebezpieczny – Bibianne Berg mówiła szybko, z żywą gestykulacją; szkła okularów raz po raz błyskały, odbijając światło padające z okna, przy którym siedzieli. – Po pierwsze, znał się na tym, co robił, jak mało kto. Po drugie, działał na własną rękę. Był niezależny, nieprzekupny i nieustępliwy. Nikomu nie udało się go skłonić do współpracy. Ani pieniędzmi, ani... Zresztą sam wiesz, bo go znałeś.

– Ciekawy eufemizm na określenie uczciwości – zauważył Herzog z przekąsem. – Tak to nazywają w wielkim świecie? Odmową współpracy?

– Służę całą listą eufemizmów w razie potrzeby. – Berg uśmiechnęła się lekko samymi wargami, oczy pozostały poważne.

Podobnie jak Herzog, dawno wyzbyła się złudzeń; jako ekolog z brytyjskiej organizacji pozarządowej Sustainable Seafood & Clean Seas nie od dziś zajmowała się prześwietlaniem działalności wielkich koncernów farmaceutycznych i producentów tak zwanej zdrowej żywności. Doskonale znała ciemne zakamarki pozornie nieskazitelnych firm, które głośiły puste hasła na temat etyki, jawności i przejrzystości, a jednocześnie za zamkniętymi drzwiami swoich laboratoriów dopuszczały się wielkich oszustw, szkodliwych dla zdrowia i często wykraczających poza granice prawa. Niejednokrotnie mogła się przekonać, że im większa produkcja i obroty i im bardziej nagłaśniane akcje dobroczynne, tym bardziej potencjalni nabywcy traktowani byli jak zwierzyna, na którą poluje się z oczywistych pobudek: dla zysku, bez względu na konsekwencje.

– Dla przeciwników Waltera – podjęła po chwili – samodzielność myślenia stanowiła sygnał, że nie tylko nie da się on kupić, ale że nie będzie milczał. *Ergo* będzie mówił. W swoim środowisku, na międzynarodowych sympozjach i konferencjach, a także w mediach. Co gorsza, równie pracowicie będzie pisał, do

czego akurat Waltzer miał wyjątkową smykałkę. U nas nazywamy to *verbal laxity*, rozwolnieniem werbalnym, to kolejny eufemizm, całkiem trafny, na określenie braku dyskrecji w sprawach drażliwych, które wymagają bezwzględnej tajności. Krótko mówiąc, Waltzer wybrał niebezpieczny temat, i to niebezpieczny dla obu stron, choć z przeciwstawnych powodów – mówiąc to, Bibianne Berg przechyliła się przez stolik i z teczki stojącej na sąsiednim krześle wyjęła laptop w podniszczonym pokrowcu.

Rozejrzała się za gniazdkiem; bateria była stara i słaba, a ona w pociągu pracowała. Następnie odwróciła ekran, tak żeby Herzog mógł czytać razem z nią.

– Nie będę cię zamęczać statystykami ani analizami – zaczęła, przesuwając myszką duże partie tekstu. – Waltzer miał z nami kontakt od dawna, jego informacje były wnikliwe, wyczerpujące, wręcz bezcenne. Weźmy, na przykład, fałszowane algi: najczęściej sprzedawane w formie proszku, który nieuczciwi producenci mieszają w dowolnej proporcji z mąką, a następnie zaprawiają barwnikami i substancjami zapachowymi, zbliżonymi do naturalnych. Albo chlorofil, jego konik. Nazywany „krwią roślin”, łatwo łączący się z tlenem, i dlatego idealny jako chelator oczyszczający komórki ze złogów. Pod względem budowy cząsteczek niemal identyczny z ludzką hemoglobina, jedyna różnica jest taka, że hemoglobina ma w swoim centrum atom żelaza, natomiast chlorofil – atom magnezu. Pozyskiwany w dużych ilościach legalnie – i oczywiście nielegalnie – poprzez odławianie planktonu wielkimi ssawami jak odkurzaczem. Nie muszę ci mówić o rozmiarach zagrożenia życia biologicznego całych akwenów, wyższe studia nie są tu konieczne, wystarczy trochę wyobraźni.

Bibianne Berg dołała sobie herbaty; Herzog odruchowo spojrzął na swoją pustą filiżankę. Znowu pił za dużo kawy.

Oboje ponownie skupili się na ekranie.

– Tu z kolei – Berg wskazała fragment tekstu – masz rośliny i stworzenia morskie, których jedyną winą jest to, że nie odróżniają kadłubów statków od podwodnych skał, porastają wszystko bez wyjątku. Dlatego giną milionami zatrwane najgorszą chemią, jaką możesz sobie wyobrazić. Rozumiemy, że armatorzy statków i gospodarki narodowe wydają krocie na czyszczenie kadłubów, badania naukowe nad środkami antyfoulingowymi i nowymi powłokami, które byłyby mniej podatne na porastanie. Ale to nie zmienia faktu, że twojemu dzieciakowi nie wolno nasiusiać do morza, bo to jest be, natomiast nikt nie mówi głośno o dramatycznych i śmiertelnie toksycznych skutkach przeciwdziałania foulingowi. A przecież to jest to samo morze, nad którym wy spędzacie wakacje.

– Życie – mruknął Herzog.

Bibianne Berg nie zrozumiała. Jakie życie?

– Nasze, tutaj – Herzog stuknął palcem w blat stołu. – Wyspiarze z reguły nie jeżdżą nad morze na wakacje. My tu spędzamy życie.

– Sam widzisz. Jeśli o to chodzi, można powiedzieć, że Waltzer nie tyle mówił, ile wrzeszczał. – Bibianne sięgnęła po filiżankę, ale po sekundzie zastanowienia zrezygnowała. Herbata wystygła, a kobieta nie lubiła zimnych płynów. Oparła się o poręcz krzesła. – Dziwisz się, że próbowali go kupić, potem zastraszyć, aż w końcu ktoś się zdenerwował i postanowił go uciszyć?

– To akurat mnie nie dziwi. – Herzog oderwał wzrok od ekranu z ciężkim westchnieniem. Wykaz firm zainteresowanych uciszeniem Thomasa Waltzera był długi i obejmował wiele krajów, nie tylko w Europie. Trafienie na właściwy trop graniczyło z cudem, a zważywszy na nakłady finansowe, jakie te firmy wydawały na pozorowanie, ukrywanie i mylenie śladów, mogło zająć miesiące, jeśli nie lata. Tak naprawdę już zajęło i nie przyniosło rezultatów.

Nie prościej byłoby działać uczciwie, zarabiając mniejsze pieniądze i nie szkodząc przy okazji? Herzog nieraz się nad tym zastanawiał, w końcu i on na swojej ostrygowej farmie stale robił to samo: czyścił i oskrobywał obrośnięte siatki i skrzynki. A przecież nigdy nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby w tym celu posłużyć się jakimś śmiercionośnym świństwem. I nie dlatego że ostrygi muszą żyć w idealnie czystym środowisku, w każdym razie nie tylko dlatego. Po prostu nie rozumiał, dlaczego „niewygodną” część przyrody traktuje się jak wroga, którego należy zniszczyć.

Bibianne Berg nawiązała kontakt z Herzogiem w sprawie Waltzera, który od lat z nimi współpracował. Ich rozmowy były interesujące również z innego powodu. Oboje mogli bez końca opowiadać o morzu. O wszystkich tych kordyloforach i pąklach bałtyckich, kleszczugach i podwoikach, rozmaitych kielżach i bełkaczkach, które w przeświadczeniu Herzoga były szlachetne nie tylko z nazwy. Podobnie jak omulek jadalny (*Mytilus edulis*), sinice i zielenice (*Cyanoprocaryota* i *Chlorophyta*) czy okrzemki (*Bacillariophyceae*). Szlachetne i piękne, niezależnie od tego, czy przyczepiały się do kadłuba statku, falochronu i podnośnika portowego czy też nie. Albo do ostrygowych siatek.

Herzog zdawał sobie sprawę, że globalizm opiera się na potędze wielkich liczb, a Don Kichotów, takich jak Waltzer czy Bibianne Berg, a nawet on sam, jest niewielu. Łączyła ich jednak pewna wspólna cecha: nie dawali za wygraną. Nawet najbogatsi i mający najlepsze powiązania potentaci bali się ich jak ognia. Tak było i w tym przypadku: Bibianne nie uwierzyła w oficjalne orzeczenie, Herzog z ochotą wrócił do sprawy, mimo że śledztwo zostało umorzone z braku dowodów, a sąd uznał obu zaginionych na morzu mężczyzn – Waltzera i jego szypra – za zmarłych.

Herzog zacisnął dłonie. Zdenerwował się. Miał ochotę wstać, pobiec nad morze. Rzucić się do walki.

Przeniósł wzrok z ekranu na swoją rozmówczynię.

– Nie prościej, a nawet taniej jest działać uczciwie? Można przecież

zarabiać, nie szkodząc – powtórzył na głos nurtującą go wątpliwość. – I nikogo nie zabijać po drodze.

Bibianne Berg pokręciła głową.

– Niestety, to typowy *casus belli* – odparła. – Zgodnie z prawem Bernoullego, z prawdopodobieństwem bliskim jedności mogliśmy się spodziewać, iż przy dostatecznie wielkiej liczbie prób możliwość zdarzenia losowego nie będzie się różniła od prawdopodobieństwa, że wydarzy się naprawdę. I rzeczywiście, nie pomyliliśmy się, Waltzer był niepokorny nie raz, lecz wiele razy, aż w końcu zmusił swoich wrogów do reakcji.

– Rozumiem, że Waltzer przeszkadzał, ale czemu zdecydowali się pozbyć też szypra, a do tego zatopić cały statek? Zresztą... – Herzog machnął ręką. Stary policjant wziął w nim górę. – Nie ma co pytać. To przecież proste: wypadek na morzu wygląda najmniej podejrzanie.

– Obawiam się, że nie jest to aż takie proste. – Berg pokręciła głową. – Jak wiesz, szyper, z którym Waltzer od lat współpracował, niespodziewanie się zwolnił jakieś trzy miesiące przed... Powiedzmy, przed tamtym sztormem. Ale czy wiesz, że na jego miejsce niemal natychmiast zgłosił się inny kapitan?

Tego Herzog nie wiedział. Dawniej tak ważnej informacji by nie przeoczył. Jak mogło mu to umknąć? Natomiast uwadze Bibianne nie uchodził najdrobniejszy nawet szczegół.

– Nazywał się Lars Olafsson, był Duńczykiem. Przez lata pływał na kutrach i pogłębiarkach, z powodu picia raz po raz tracił pracę, lądował na zasiłku. Niby szukał nowego zajęcia z potrzeby, bo miał długi, a w domu chore dziecko i niepracującą żonę i podobno tylko dlatego odpowiedział na ogłoszenie. Ale wypływając w rejs z Thomasem, swoje rzeczy zostawił w pensjonacie, za który zapłacił za miesiąc z góry. Dlaczego to zrobił? Skąd miał pieniądze?

– Tu już chyba przesadzasz z podejrzliwością. – Teorie spiskowe jakoś nigdy do Herzoga nie przemawiały.

– Czyżby? A czy wiesz, kto był ostatnim pracodawcą naszego Duńczyka?

Herzog uniósł brwi. Tego także nie wiedział.

– Ulva Lactuca, firma zajmująca się połowem morskiej sałaty, tak, sałaty. To alga. Duńczycy i Szkoci chętnie ją jedzą. Na tyle chętnie, że chodzi tutaj o wielkie pieniądze.

Powoli wszystko, o czym do tej pory mówiła Bibianne, zaczęło się układać w logiczną całość. Waltzer. Fouling i skażenie środowiska. Spirulina i chlorella, zielone zdrowie w pigułce. Morska sałata. Chlorofil. I pieniądze, zawsze duże i szybko.

Bibianne Berg przyglądała się Herzogowi w napięciu, ciekawa jego reakcji, komentarza. Milczał jednak. Potrzebował czasu na wpasowanie nowych szczegółów w materiał, który sam już zgromadził. Poza tym musiał się zastanowić,

co mógł, a czego nie powinien wyjawiać Bibianne.

Wstał, wyminął śpiącego na środku podłogi Agata i obszedł kontuar. Włączył czajnik. Czekając, aż woda się zagotuje, zamienił kilka słów z Johannesem, który właśnie napełniał solniczki.

Z gorącym czajnikiem Herzog wrócił do stolika.

– Dolać ci wrzątku? – spytał.

Bibianne skinęła głową, machinalnie podsuwając mu filiżankę. Myślami była gdzie indziej.

– Czy wiesz, że oprócz magnezu *ulva lactuca* zawiera aż dwadzieścia pięć razy więcej żelaza niż wołowina?

Herzog uniósł brwi, trudno powiedzieć, czy na znak podziwu dla wiedzy i sprawnego działania ludzi z organizacji Sustainable Seafood & Clean Seas, czy raczej w sarkastycznej zadumie, bo jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, aby jego przełożonych mogła zainteresować zawartość żelaza w wołowinie.

– To rzeczywiście bardzo ciekawe, Bibianne. Ale... – Odstawił czajnik na kontuar, po czym usiadł i potarł kark otwartą dłonią. – W twoim rozumowaniu niepokoi mnie pewna luka. Pomyśl, gdyby chodziło o pozbycie się Waltzera, ten wasz Duńczyk rozegrałby to tak, żeby samemu wyjść cało, zgarnąć zapłatę i spokojnie wrócić do tego pensjonatu po rzeczy, które, jak twierdzisz, tam zostawił. A zginęli obaj.

Bibianne Berg przyjrzała się komisarzowi z macierzyńską czułością. Od lat wytrwale ścigała ludzi pozbawionych skrupułów, z ich praktykami miała na co dzień do czynienia. W porównaniu z nimi niektórzy policjanci sprawiali wrażenie naiwnych jak dzieci.

– Nie zginęli, Kurt, tylko za-gi-nę-li. Na morzu to wielka różnica – zniżyła głos niemal do szeptu. – Znaleźliście ciała? Byłeś na pogrzebie?

*

Frau Bellitz zjawiała się w domu Herzogów punktualnie o piątej po południu. Przywiózł ją syn. Jak wyjaśniła od progu, nie przychodzi z towarzyską wizytą, tylko z poczucia obywatelskiego obowiązku. Poza tym pragnie uczcić pamięć Emmy Schachmann, powiedziała, wskazując na koszyk wypełniony słoikami z konfiturą morelową, który wniósł za nią Adam.

Rozsiadła się w salonie. Nogę w gipsie sztywno wysunęła przed siebie. Syna wysłała do kuchni, żeby pomógł Irmie Herzog wypakować koszyk. Poprosiła o szklankę wody. Wolałaby, żeby woda była ciepła, z plasterkiem cytryny. Złamanie było skomplikowane, bolało, a świeży gips ziębił.

– Człowiek nie zna dnia ani godziny. Pech, po prostu pech. Wystarczył jeden nieuważny krok na świeżo umytych schodach i zaraz taki kłopot.

Herzog wyraził ubolewanie, pomógł odstawić kule. Z niepokojem obejrzał

się na żonę, która właśnie przyniosła dzbanek wody, ale nie usiadła, tylko wróciła do kuchni, żeby pomóc Adamowi.

Jak przewidział, *Frau Bellitz* miała dużo do powiedzenia. Nawet nie starał się podążać za tokiem jej myślenia, póki jeden temat rzeczywiście go nie zainteresował.

– Jest pani pewna?

Frau Bellitz spojrzała na niego wymownie.

– A pan, panie komisarzu, chodzi w czerwonym dresie z kapturem? To był ktoś młodszy od mojego syna, który ubiera się już przecież jak dorosły mężczyzna. Co taki młody człowiek robił u dojrzałej kobiety?

Frau Bellitz była kobietą doświadczoną przez życie, a od czasu gdy jej mąż powalił udar mózgu, również kobietą rozdartą. W życiu tak naprawdę kochała tylko jednego mężczyznę – swego syna. Dopiero w szpitalu, siedząc przy łóżku nieprzytomnego męża i obserwując, z jakim oddaniem i czułą determinacją zajmowała się nim młoda i śliczna pielęgniarka, Ingeborg Bellitz zrozumiała, że pewne sprawy w swoim małżeństwie źle rozegrała, a co gorsza, że nigdy już nie zdoła rozegrać ich lepiej, ponieważ los nie da jej drugiej szansy. Rzeczywiście, Wolfgang Bellitz zmarł po kilku dniach, nie odzyskawszy przytomności.

Sprawa, z którą przychodzi, jest podejrzana, dlatego *Frau Bellitz* postanowiła przerwać znowu milczenie.

– Ta kobieta przyjmuje mężczyzn w swoim domu. Nie spotyka się z jednym, to może byłoby zrozumiałe w jej sytuacji – mówiąc to, *Frau Bellitz* uniosła jedną brew. – Ale ona przyjmuje, to jest właściwe słowo, panie komisarzu. I młodych, i starych.

Z obszernej relacji, która nastąpiła potem, wynikało, że „ta kobieta” zaczęła szastać pieniędzmi.

– Po tym wypadku w barze, pamięta pan? Pojechałam do niej z litości, zawiozłam maść i zioła na okłady. A tam, proszę pana, bakłazany na stole. Od małego jadła jak ptaszek, a tu nagle takie frykasy.

Herzog obejrzał się bezradnie na drzwi do kuchni. Gdzie ta Irma?

– Na własne oczy widziałam, syn może zaświadczyć. Akurat wracaliśmy od kuzynki męża. Zajedziemy do Ewy, mówię, podarujemy jej słoiczek, ona taka samotna. Zajechaliśmy, ale nawet się nie zatrzymaliśmy, proszę pana, bo ten młody człowiek akurat pokazał się na ścieżce. Wybiegł z domu swobodnie, sam zatrzasnął za sobą drzwi, zupełnie jakby tam mieszkał. Samotna, też coś!

– Może nie wszyscy młodzi mają coś na sumieniu – zgodziła się niechętnie z komisarzem, któremu w końcu udało się przerwać ten monolog, by sprostować coś, co jego zdaniem sprostowania wymagało. Granica między poszlaką a pomówieniem jest cienka, ale to nie znaczy, że jej nie ma. Dlatego może lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków, uciał, poirytowany.

Frau Bellitz nie była jedynym powodem irytacji Herzoga. Po południu jego przełożeni niespodziewanie doszli do wniosku, że w ich zespole żadne śledztwo nie powinno trwać wiecznie, zwłaszcza w sprawie zwykłego pobicia. Herzog został poinformowany, że jeśli w ciągu tygodnia nie zamknie sprawy, ma odesłać akta do archiwum. A on, acz niechętnie, musiał uznać swoją porażkę.

Jednego był pewien: Cyryl Neuhaus został pobity, ponieważ znalazł się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze. Ale z całą pewnością nie był to dom Ewy Waltzer.

– I zgodzi się pani, że nie każdy młody człowiek musi być podejrzany, tylko dlatego że jest młody.

– Nie będę się z panem spierać, sama znam taki wyjątek. – *Frau* Bellitz obejrzała się na drzwi do kuchni, gdzie w tej chwili pojawił się jej syn.

Adam Bellitz wskazał na pusty koszyk, po czym skinął głową za siebie, na kuchnię Herzogów. Tak, słoiki wypakowane i ustawione na wskazanej półce, w szafce pod oknem.

– Możemy jechać – mruknął. Nie spojrzał na komisarza.

Frau Bellitz wstała z wyraźnym wysiłkiem.

*

Północ dawno minęła, ale Herzog nie spał.

Wizyta tej kobiety wytrąciła go z równowagi. W swojej pracy na co dzień miał do czynienia z przestępstwem i zbrodnią, lecz były one w pewnym sensie uzasadnione – miały przyczynę, stanowiły skutek. Zło jest zazwyczaj celowe, nawet jeśli u jego podłoża leży czyn nieprzemyślany, a choćby tylko brawura czy choroba psychiczna. Śledztwa nieraz wykazują, że przemoc stanowi jedynie część przestępstwa. Bywa skutkiem ubocznym, narzędziem zastraszenia, perswazji lub szantażu, koniecznym do osiągnięcia innego celu. Zdarza się, że jest motywem pozornym, zasłoną dymną, mającą za zadanie utrudnić dojście do prawdy. Albo „informacją” dla ofiary – jako przestroga lub kara.

Herzog starał się zawsze myśleć jak sprawca: szukał motywu. Tak było w przypadku pobicia Neuhaus: gdyby samo pobicie było celem, napastnicy nie zostawiliby „podpisu”.

Wizyta *Frau* Bellitz, mimo że w zamiarze miała na celu wyłącznie plotkę, była dowodem bezinteresownej głupoty. A z tym Herzog zupełnie sobie nie radził.

LIST ZE SŁÓW

J.

Nasza ostatnia rozmowa na temat bergmanowskich słów obrazów i słów dźwięków doprowadziła mnie do pytania o słowa jako takie. Dziś rozbite na miał powierzchownej nieważności – czy mają taką samą wagę jak kiedyś? *Words belong to each other*, powiedziała Virginia Woolf w jedynym zachowanym nagraniu

radiowym. Jej wiara w słowa jako antidotum na nietrwałość życia wydawała się niezachwiana, na niej budowała własną wieczność. Kto wie, może to był powód (prócz depresji), dla którego wybrała samobójczą śmierć, gdy 28 marca 1941 roku, w środku mrocznej wojny, weszła do rzeki Ouse, by wreszcie coś w jej życiu otrzymało pieczęć trwałego wydarzenia?

Życie nie trwa długo, można je zakończyć w dowolnej chwili. Budynki rozpadają się, ziemia ulega powolnej erozji, a teren, na którym jeszcze wczoraj falowały łany pszenicy, dziś jest miastem. Słowa to co innego, słowa trwają dłużej niż jakakolwiek inna materia naszego życia, niełatwo poddają się ciosom zadawanym przez czas. Słowa używane właściwie żyją wiecznie – nawet te, które nie pozostają sobie zbyt wierne. „Słowa [...] przepelnione są echem wspomnień i skojarzeń w naturalny sposób. Pojawiały się gdzieś, kiedyś, na ustach ludzi, w ich domach, na ulicach, na polach, przez tyle stuleci. I to jest jedna z głównych trudności w posługiwaniu się nimi dzisiaj – to, że są one tak pełne owych znaczeń i wspomnień, i że zdążyły zawrzeć tak wiele słynnych związków małżeńskich”¹⁶.

Czy nie przypomina to Baudrillarda? Określoność nigdy nie zostanie w sposób jednoznaczny dookreślona, przekłamię ją nieograniczona zdolność słów do wolnych związków i asocjacji. Weźmy, na przykład, słowo *incarnadine* (cielisty), mówi Virginia. Piękne samo w sobie – wcielone. Lecz kto w kręgu języka angielskiego może dziś z niego skorzystać, nie odwołując się do makbetowskiej wizji mórz spływających krwią? Z powodu tej jednej sceny rzeczownik przeistoczył się w czasownik: poczerwieniał od krwi. Jego nowe znaczenie zostało opatrzone pieczęcią poety:

*Czy wszystkie morza wielkiego Neptuna
Krew tę z mej ręki obmyć będą w stanie?
Ach nie! Ta ręka raczej swą purpurą
Mórz nieskończonych wody poczerwieni,
Zielone prądy w krwiste zmieni fale*¹⁷.

Dobranoc,

B.

LIST Z RÓWNOLEGŁOŚCI

J.

Ostatni film Antonioniego, wtedy już pięćdziesięcioletniego niewidomego starca, z cyklu *Eros* (2004), nosił tytuł *Il filo pericoloso delle cose* (Niebezpieczna nić rzeczy). Ekran wypełniają senne obrazy, ścieżka dźwiękowa prowadzi nas przez powolne frazy śpiewane przez Caetano Veloso: *Visione del silenzio / Angolo vuoto / Pagina senza parole / Una lettera scritta / Sopra un viso / Di pietra e vapore / Amore / Inutile finestra*¹⁸. Okno miłości, *inutile finestra*. Nieprzydatne, a może po prostu zawodne. Bo miłość nie pomaga, nie leczy, nie wyzwala. Życie to cisza, słowa spisane we mgle na gładkiej powierzchni kamienia

nie przetrwają, zmyje je następny deszcz. Bergmanowskie pytanie o to, jak się czują ci, co z powodzeniem (w ich mniemaniu) zaspokoili pragnienie wspólnoty – pozostaje otwarte. Dlaczego? Ponieważ nie wiemy, czy dzięki temu poczuli się mniej samotni. Oni także tego nie wiedzą.

Antonioni, podobnie jak Bergman, wierzył bezwarunkowo w natchnienie, tę dziwną moc kreacji pojawiającą się poza wolą i świadomością. W siłę samych słów natomiast wierzył już mniej, w braku porozumienia upatrując naszej nieuchronnej przegranej. U obu natchnienie często przybierało kobiecą postać, może dlatego i oni sami, niczym wieczni poszukiwacze i wędrowcy w kraju prawdy, oprócz licznych żon (Bergman miał ich pięć, Antonioni dwie), miewali swoje muzy: Antonioni – Monicę Vitti, Bergman – Harriet, Bibi i Liv.

Odeszli jednego dnia, 30 lipca 2007 roku. W moje imieniny. Jak niegdyś Szekspira i Cervantesa, tak ich połączył na zawsze dzień śmierci. Odległość między Rzymem a wyspą Fårö wynosi 2503 kilometry, na jej pokonanie potrzeba dwudziestu ośmiu godzin i kilku środków lokomocji (prom, pociąg, samolot i znów pociąg albo *airport shuttle*), co jednak nie przeszkodziło rzymskim Parkom i nordyckim Nornom przeciąć nici życia obu twórców niemal w tej samej minucie. Jediną różnicę, jak się zdaje, możemy zauważyć, oglądając obraz Agache'a: Nona, Decima i Morta przędą tam czerwone nici (czerw na królewską purpurę), a wiemy, że Urd, Werdandi i Skuld wołały przędzę złotą.

Taka śmierć. Teatralny chwyt, godny wielkich mistrzów, czy tylko czysty przypadek, nazywany przez mojego przyjaciela poetę „batem poganiającym przeznaczenie”? Skłaniałabym się ku teatrowi, tym bardziej że nie należy wierzyć w przypadki. Żaden zwycięzca nie wierzy w przypadek.

Za życia różnili się zasadniczo, zarówno w myśleniu, jak i w metodzie filmowej. Bergman cenił zaledwie dwa filmy wielkiego Włocha, *Noc i Powiększenie*, resztę określał jako nudną i nie rozumiał, dlaczego Antonioni darzony był takim uwielbieniem. Chociaż zgodzisz się, że *Zawód: reporter* to genialny film. Oglądałam go nieskończenie wiele razy, godzinami mogę analizować.

Do usłyszenia,

B.

Rozdział 11: Deszcz i piasek

Po wielu dniach spędzonych w klinice, gdzie Cyryl głównie spał albo odurzony leżał w farmakologicznym półśnie wywołanym celowo, aby organizm miał czas na regenerację, nareszcie wypuszczono go do domu. Lekarze nie zgodzili się, aby zamieszkał w List, w wynajętym pokoju, pod opieką młodej i niedoświadczonej osoby. Poza tym było to nieuzasadnione prawnie, Jasmine nie należała do rodziny poszkodowanego. Z kolei policja nie zgodziła się na jego wyjazd do domu; czekali, aż odzyska pamięć i będzie mógł złożyć zeznania. Komisarz Herzog odszukał matkę Cyryla i za jej zgodą ustalił, że dopóki nie przyjedzie – co nie nastąpi prędko, dodał, nie wyjawiał wszakże powodów – Cyryl zatrzyma się u Vincenta le Puy. Podobno miało to w jakiś sposób pomóc i samemu Cyrylowi, i sprawie.

Na razie nic nie pomagało. Ani sesje z terapeutką, ani obecność Jasmine, jedynej osoby, którą Cyryl mógłby rozpoznać. Gdyby ją pamiętał.

*

Jasmine odłożyła książkę na kolana i z rezygnacją spojrzała na stojące w wodzie ptaki. Nieruchome, wyczekujące, ale pewne, że przed nocą morze wróci, a wraz z nim powrócą ryby.

Chciałabym być jednym z nich, pomyślała. Te ptaki nie chodziły na lekcje geografii, nie mają pojęcia, że to morze nazywa się Waddenzee, ale doskonale wiedzą, po co tu są. Czego ona, niestety, nie mogła o sobie powiedzieć.

„[Miejsce] wydało mi się znacznie mniejsze i nie zrobiło na mnie spodziewanego wrażenia. Jak przed laty rosło tu mnóstwo poziomek. Usiadłem pod starą, samotną jabłonią i począłem zbierać poziomki, jagoda po jagodzie. Czułem, jak ogarnia mnie dziwne wzruszenie, jak poddaję się znużeniu i melancholii...”¹⁹.

Nagle ogarnęła ją tęsknota za jej dawnym światem. Zanim to wszystko się zaczęło, zanim wtargnęło, porwało. Jak trudno znieść tęsknotę za czymś, co nie wróci. A nawet jeśli wróci, nigdy nie będzie takie samo, ponieważ my będziemy już inni. Ta myśl zabolęła tak mocno, że Jasmine musiała się skulić i ucisnąć żołądek.

Przypomniała jej się Lubeka. Wciąż siedziała na ławce na nabrzeżu w List, kuląc się z zimna, a jednocześnie przed oczami przewijał jej się w przyspieszonym tempie niczym rolka filmowa ciąg obrazów. Uniwersytet: szerokie schody i gwarne korytarze, stare sale wykładowe, z rzędami ławek jak w amfiteatrze, gdzie Jasmine zawsze siadała w ostatnim rzędzie, gdyż mogła wtedy wszystko widzieć z góry. I gabinet profesor Orth, w którym spędziła niejedną godzinę na dyskusjach o filmie skandynawskim. Klub, do którego chodzili we trójkę z Cyrylem i Sophie, i kawiarnia, gdzie przy jednej herbacie wolno było przesiadywać godzinami, uczyć

się, czytać albo po prostu gadać bez opamiętania. Biblioteka. Hala targowa. I wspólne mieszkanie na Starym Mieście, jej i Sophie, z widokiem na kościół Świętego Piotra. Było stanowczo za drogie na ich studenckie kieszenie, ale tak jasne i przestronne, że mimo ceny bez namysłu je wynajęły.

To był jej świat. Nie było tam miejsca dla Oskara.

Odetchnęła powoli, chłodne powietrze otrzeźwiło ją. Zamiast rozczulać się nad sobą, powinna wszystko zapamiętać i na drugi raz nie dać się tak łatwo wplątać w cudze sprawy. Ani, tym bardziej, nie pozwolić się omotać pięknym słowom nieznajomego, którego, na dodatek, poznała w pociągu. Co za banał. Ciekawe, czy równie szybko zdecydowałaby się spędzić pierwszą noc z facetem niższym i mniej charyzmatycznym niż on?

Ta myśl zirytowała Jasmine, ale przynajmniej mogła sobie pogratulować, że nareszcie była to pierwsza szczerza ocena tego, co się wydarzyło. Gorzka, ale prawdziwa.

Wyprostowała się na ławce i poprawiła szalik z grubej fioletowej włóczki, owinięty wokół szyi, tak żeby frędzle nie łaskotały jej w ucho. Nasunęła kapelusz głębiej na czoło. Był wieczorny odpływ, zimno.

Już dobrą godzinę temu przyjechała autobusem do List, ale zamiast wrócić prosto na stację, poszła do portu, gdzie usiadła na ławce, i zamiast poczytać, jak zamierzała, zapatrzyła się w morze. Wiedziała, że pan Meyer na nią czeka, samotny stary kawaler gotów do kolejnej pogawędki o przeszłości, do której przywiązywał większą wagę niż do teraźniejszości.

– Fakt, że jestem, oddycham, żyję, wcale nie oznacza, iż dzisiejszy dzień jest ważniejszy od innych, to żaden powód. Dla mnie, proszę pani, liczy się tylko czas dokonany. Przeszłość uczy nas myśleć historycznie – mówił z emfazą, wbijając palec wskazujący w powietrze, jakby chciał przekłuć niewidzialny balon.

Kiedy to było? Podczas ostatniej herbaty, wczoraj wieczorem. Tak dawno.

Teraz jednak Jasmine nie miała siły na rozważania o pamięci historycznej według pana Meyera. Podobnie jak na rozmowę z Oskarem, który w ciągu dnia kilkakrotnie usiłował się do niej dodzwonić. Nie odebrała telefonu. Wciąż nie mogła się otrząsnąć po porannym spotkaniu.

Nie była na nie przygotowana.

*

Wypadła z domu spóźniona, w biegu naciągając bluzę na sweter, z kapeluszem pod pachą, owijając szal wokół szyi, zapinając torbę, do której wrzuciła klucze od domu.

W połowie ścieżki zawróciła, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknęła drzwi na klucz, tak jak jej przykazywał pan Meyer.

Były zamknięte. Włożyła kapelusz.

Biegając z powrotem do furtki, potknęła się o sznurowadło; i tak było za długie, a ona nie zawiązała go porządnie. Syknęła zniecierpliwiona. Nachyliła się, żeby zawiązać je ponownie, przy okazji podciągnęła podkolanówki.

Wyprostowała się, poprawiła torbę na ramieniu. Palcem wskazującym pchnęła rondo kapelusza do góry, a potem zamrugowała gwałtownie, jakby na dowód, że bez kapelusza na oczach świat widać wyraźniej.

Jej uwagę przyciągnęło światło po drugiej stronie drogi.

Drzwi domu naprzeciwko były otwarte, na progu stali kobieta i mężczyzna. On, znacznie wyższy od niej, na chwilę objął kobietę ramieniem, tak jakby chciał ją ukryć albo osłonić od wiatru. Potem zszedł na ścieżkę, a ona została na progu, w kręgu światła padającego z wnętrza, przytrzymując jedną ręką chustę na ramionach. Stał przy furtce, odwrócił się, spojrział na nią raz jeszcze i uniósł rękę w geście pożegnania. Chyba coś powiedział, a przynajmniej Jasmine tak to sobie wyobraziła. Że w podobnej sytuacji mężczyzna odwraca się i mówi, na przykład: Do zobaczenia, czekaj na mnie. Po czym sam chwilę czeka, aż kobieta zamknie drzwi, i dopiero wtedy odchodzi.

Powiedział coś, a potem zaczekał. Kobieta skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi, światło na ganku zgasło. Wtedy on odwrócił się i charakterystycznym gestem zaciągnął zamek błyskawiczny skórzanej kurtki pod szyję. Potem ruszył w stronę zaparkowanego samochodu.

Jasmine poznała go natychmiast. Oskar! Znała również kobietę, z którą właśnie się rozstawał, spotykała ją niemal codziennie w klinice na oddziale, gdzie Eva Waltzer była przełożoną pielęgniarek.

Nie miała wątpliwości: Oskar wychodził o wpół do ósmej rano z domu Ewy Waltzer.

Nie zauważył jej. Dopiero, gdy stanęła przed nim i było za późno na jakikolwiek manewr – dopiero wtedy ją zauważył.

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Jamila! – Oskar uśmiechnął się. Nie wyglądał na zaskoczonego, nie był zmieszany, a jeśli nawet, pokrył to żartobliwym tonem. – Co ty tu robisz? O tej porze?

Stała oniemiała, usiłując wymyślić błyskawiczną ripostę i jednocześnie ocenić sytuację. Ale jak człowiek stoi oniemiały, wcale nie myśli błyskawicznie. I nic nie potrafi ocenić. Scena, w której bierzemy udział, rozgrywa się w zwolnionym tempie, a my przyglądamy się wszystkiemu z boku, jak widzowie w kinie. Co ona tu robi o tej porze? Ona, Jasmine? Jak powinna odpowiedzieć na takie pytanie? Wynajmuję pokój u pana Meyera. Spieszę się na autobus. Mam spotkanie z psychoterapeutką Cyryla, czeka na mnie doktor Lange. Z którym, tak się składa, to ty mnie skontaktowałaś.

Wszystko to Jasmine mogłaby oczywiście powiedzieć, a przy okazji

wytłumaczyć, dlaczego wtedy nie przyszła na umówione spotkanie, gdyby nie inne pytanie, które nasuwało się w oczywisty sposób: A ty, Oskarze? Co ty robisz o tej porze przed domem Ewy Waltzer, z którą przed chwilą tak czule się zegnałeś?

I dlaczego więcej do mnie nie zadzwoniłeś?

Nie miała pojęcia, że Oskar wciąż jest na Sylcie, była przekonana, że wyjechał i nigdy więcej się nie spotkają. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, nie mrugając, jakby to wszystko jej się śniło. Nie potrafiła się kłócić ani awanturować, od dziecka miała z tym kłopot. Milczała. Czekala. Śniła.

Oskar nie zamierzał się tłumaczyć. Był w dobrym nastroju.

– Jedziesz do Westerlandu? – spytał pogodnie, wyciągając kluczyki z kieszeni. – Ja też. Podrzucę cię, chcesz?

Wsiadł do samochodu, przechylił się i otworzył drzwi po stronie pasażera.

Być może, gdyby Jasmine zgodziła się z nim pojechać, obudziłaby się z tego koszmarne snu i coś by sobie zdołali wyjaśnić. Na przykład, że Oskar jest wolnym strzelcem i poluje zawsze, gdy ma na to ochotę lub gdy nadarzy się dobra okazja. Albo że Eva Waltzer to jego stara znajoma, wczoraj zjedli razem kolację, mieli sprawy do obgadania, spotkanie się przedłużyło, dlatego zaproponowała, żeby przenocował. Albo...

Ale Jasmine nie chciała, żeby Oskar podrzucił ją do Westerlandu. Zamiast tego nagle zaczęła wykrzykiwać. Nie pamiętała już dokładnie co, ale wie, że straciła panowanie nad sobą zamroczona wściekłością, upokorzona. Coś o własnej naiwności, o zaufaniu i szczerości. O uczciwości. Zagalopowała się tak dalece, że wspomniała nawet o zdradzie. I jeszcze o tym, że jak ktoś o świcie jedzie z kimś na rowerze na plażę, aby wspólnie obserwować, jak odpływ odsłania dno morza, to potem nie powinien tak szybko zapominać. Bo wiele jest rzeczy, które dzielą, ale mało, które tak mocno łączą, jak taka chwila na dnie morza.

Krzycząc, wymachiwała rękami.

Gdy skończyła, odwróciła się na pięcie i nie oglądając się za siebie, pomaszerowała w stronę przystanku autobusowego. Szła szybko, niemal biegła, stawiając duże kroki, a Oskar przez cały czas jechał obok niej, denerwująco powoli. Opuścił szybę, próbował coś mówić, ale Jasmine nie słuchała. W końcu zajechał jej drogę, tak że musiała przystanąć.

Wyskoczył z samochodu.

– Posłuchaj! – Przytrzymał ją za rękę, zmusił, żeby wreszcie na niego spojrziała. – Nic sobie nie obiecywaliśmy. Ty nie przyszłaś, ja miałem ważne spotkania. Byłem zajęty. Nie przyjechałem na Sylt na wakacje. Jestem tu... w pracy.

Szarpnęła się, on jednak trzymał ją mocno.

– Nie robisz notatek po książkach, prawda? – Nieoczekiwanie zmienił temat.

Jasmine zmarszczyła brwi. Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

– To znaczy?

– Ani ołówkiem, ani piórem, sama mi to powiedziałaś.

Spotkanie w Klanxbüll, pizzeria Olafino. Książka Cyryla na stoliku. Dawno o tym zapomniała, tyle się wydarzyło od ich pierwszej rozmowy. Taki szczegół, a jednak Oskarowi nie umknął.

– To proste. Skoro ty nie bazgrzesz po książkach, w takim razie *Genetics of the Sea*, książka, którą miałaś wtedy ze sobą w Olafino, nie była twoja. Czyja? Dla kogo ją tam położyłaś na widoku? Czy wiesz, kto kryje się pod nazwiskiem E. Gren zanotowanym na stronie tytułowej?

Skąd on to wszystko wiedział? Ludzie zwykle nie rejestrują informacji, których nie szukają. Które nie są im potrzebne.

Jasmine zakręciło się w głowie. Zaciśnęła powieki i pochyliła głowę. Znowu przypomniała jej się scena, której świadkiem była kilka minut wcześniej. Oskar i Eva. To nie był sen. Nareszcie wymyśliła ripostę, może nie błyskawiczną, ale odpowiednią do sytuacji.

– Nie wiedziałam, że pracujesz po godzinach – warknęła.

– Ojciec Sophie nie musiał zginąć – odparł spokojnie.

Spojrzała na niego.

– Nie... nie rozumiem – zająknęła się zdezorientowana.

– Nie przyszło ci do głowy, że ta książka i zapisane tam informacje mogły być przeznaczone nie dla ciebie, tylko, na przykład... dla mnie? – Oskar wciąż trzymał ją mocno za ramię; mimo podwójnej warstwy ubrań, swetra i bluzy, Jasmine czuła, jak jego palce boleśnie wpijają jej się w ciało. – Cyryl i jego misja nie tylko ciebie interesowały. Albo inaczej: ciebie interesował Cyryl, ale jego misja... Czy raczej powinienem powiedzieć: misja Sophie?

Jasmine szarpnęła się gwałtownie, wyrwała ramię. Powrócił nieprzyjemny ucisk w dołku. Strach.

– Skąd wiesz o Sophie? – Zdawała sobie sprawę, że znów zaczęła krzyczeć, ale było jej wszystko jedno. – Co o niej wiesz?

Oskar rozejrzał się wokół siebie.

– To długa historia... – przerwał, nad czymś się zastanawiał. – Od dawna pracuję nad pewnym tematem. Sophie musiała wyjechać, ale obiecała przysłać kolegę. Zamiast niego zjawiała się rudowłosa dziewczyna, urocza, to fakt, fotogeniczna... – Oskar spojrzał przeciągle na Jasmine, jakby nagle przypomniał sobie o jej istnieniu. – Tyle że ta dziewczyna nie miała o niczym pojęcia. A w książce nie było tego, co zapewne by tam było, gdyby koledze udało się nawiązać kontakt z Evą Waltzer. Bo Gren to nazwisko panięńskie matki Sophie, wiedziałaś o tym?

Stała oszołomiona, nie rozumiejąc. Słyszała, co Oskar mówi, ale słowa ginęły rozmyte nadmiarem informacji, jakby zagłuszał je wiatr od morza.

– Skąd wiesz? – Chciała, żeby zabrzmiało to zaczepnie, ale nie panowała nad głosem. Strach był silniejszy. – A może Cyryl skontaktował się z Evą, to znaczy z panią Waltzer? I może wszystko mi przekazał? Nie możesz tego wiedzieć.

– Nic nie miałaś, poza książką. Sprawdziłem – powiedział. – Z ważnym, kluczowym artykułem Waltzera, ale oficjalna publikacja nie jest wystarczającym dowodem. Mnie potrzebne są kulisy. Dane, których nie ujawnił. I które gdzieś ukrył, pytanie tylko gdzie.

Jasmine rzuciła mu szybkie spojrzenie. Nagle przypomniało jej się coś, na co wcześniej, w hotelu, nie zwróciła uwagi.

Wieczorem powiesiła torbę na poręczy krzesła, zawsze tak robiła, stary nawyk z domu. Tak jest wygodniej. Łatwo sięgnąć po pióro, książkę czy komórkę, niczego nie trzeba szukać, a potem pakować. W hotelu było biurko. I krzesło. Ale rano torba stała koło plecaka ze sprzętem Oskara, na podłodze przy drzwiach.

– Grzebałeś w moich rzeczach – było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie grzebałem, tylko szukałem tego, co mogło wypaść z książki. Bez czego nie mogę dalej pracować. Ale nic nie wypadło, bo nic tam nie było, twój chłopak nawalił. Dlatego teraz muszę załatwić tę sprawę inaczej – mówiąc to, Oskar skinął głową za siebie, w stronę domu Evy. – Jedziesz? – Odwrócił się, zamierzając wsiąść do samochodu.

Przypomnienie sceny na progu zabolowało mocniej, niż się tego spodziewała. Złość podziałała trzeźwiąco.

– Cyryl nie jest moim chłopakiem! – Wycelowała ostrzegawczo palec wskazujący w jego stronę. – To tylko przyjaciel, jasne? A ja nigdzie z tobą nie jadę. Ani teraz, ani w ogóle. Nigdy.

Oskar wsiadł, a potem wysunął rękę za okno i poprawił lusterko.

– Już cię ostrzegałem. I powtórzę jeszcze raz: lepiej trzymaj się od tego z daleka, Jamilo – powiedział. – Tak będzie bezpieczniej, nie tylko dla ciebie.

Jasmine nie chciała go słuchać. Nie wierzyła mu, nie ufała. Nie oglądając się na sunący obok samochód, zaczęła biec. Biegła szybko, miarowo, dysząc ciężko. Uderzenia butów o chodnik zagłuszały głos Oskara, szum morza, jej własny oddech.

Spóźniła się na autobus, musiała poczekać na następny. Gdy dotarła do kliniki, doktor Lange był już na porannym obchodzie. Z psychoterapeutką spotkała się dopiero w domu Vincenta.

LIST Z ROZGRYWKI

J.

Zabawa się skończyła. Jak i kiedy, tego nie wiem, ale gra intelektualna, która bawiła mnie (i, mam nadzieję, Ciebie również) przez wiele tygodni tej długiej deszczowej jesieni, niepostrzeżenie przeszła w symulację prawdziwego życia. A życie, ta szekspirowska opowieść idioty, bywa zabawne tylko czasami. Możemy

od czasu do czasu pośmiać się z *Frau* Bellitz, lecz żyć musimy na poważnie.

Bliskość czy oddalenie to nie tylko kwestia odległości fizycznej czy geograficznej, lecz przede wszystkim tajemnice. Wiążą nam ręce, zmuszają do milczenia, prowadzą w nieznaną. Odgradzają od siebie nawzajem, a my nie wiemy jeszcze, dlaczego tak się dzieje, nie znamy przyczyny. Wyspa jest jak plansza do gry, w której zaszczości są równie istotne jak przewidywania na przyszłość. Niepostrzeżenie bohaterowie niczym wytrawni gracze zaczęli zmieniać pozycje, przesuwać się, przegrupowywać. Jedni planują kolejne ruchy, inni – jak Cyryl czy Jasmine – z graczy stali się pionkami w cudzych rozgrywkach. W mocy pozostaje przestroga Juliána Greena, byśmy bacznie obserwowali znaki, nawet te z pozoru nieistotne, gdyż przez nieuwagę możemy coś przeoczyć.

Rzeczy mają to do siebie, że trwają, a rozwiązanie spraw wymaga czasu. Przed wyruszeniem na lotnisko, na spotkanie z ojcem, Vincent pod wpływem impulsu na wszelki wypadek przeniósł śpiwór i sprzęt malarski do swego dawnego pokoju nad barem. Zrobił to bez wyrzutów sumienia, Rose obiecała, że zajmie się domem. Jednak, prędzej czy później, będzie musiał się przełamać i wrócić do domu. Konfrontacja jest nieunikniona.

Właśnie skręca za róg, gdzie natyka się na *Frau* Bellitz. Za późno, żeby się wycofać, poza tym ona zawsze idzie w tę samą stronę. A idąc, mimo widocznego wysiłku spowodowanego marszem o kulach i astmatyczną zadyszką, prowadzi ożywiony monolog:

– Ach, *Herr* Vin-zent! – *Frau* Bellitz ma irytujący zwyczaj zaczynania zdań przyczynowo-skutkowych od spójnika hipotaktycznego „Bo...” – Bo ja tu właśnie kuśtykam dla zdrowia i rozmyślam o panu. Bo widzi pan, chociaż mi żal tego auta, jako że jest to najcenniejsza pamiątka po Wolfgangu, jaką posiadam, to jednak ja tego auta nie potrzebuję. A panu może się przydać. Bo to i dom teraz pełen, i to angielskie dziecko niedługo się państwu urodzi, i na lotnisko może znów trzeba będzie pojechać. A co do spłaty...

Co za wścibska kobieta, angielskie dziecko się państwu urodzi, też coś! Bezczelna plotkarska zagrywka.

Na dobranoc jeszcze jeden cytat, tym razem z Camusa: „*Au milieu de l’hiver, j’ai découvert en moi un invincible été*”²⁰. W środku zimy odkrywamy w sobie niezwyciężone lato. Oto dlaczego człowiek to istota rozdarta.

Na dziś dosyć, padam z nóg. Dobranoc.

B.

PS Przyczyny, zawsze są jakieś przyczyny. Bergman nie miał co do tego złudzeń. „Świat jest jaskinią zbójców i zapada noc. Zło zrywa łańcuchy i biegnie przez świat niczym wściekły pies”²¹, powiada Gustav Ekdahl. Cytuję z pamięci, wybaczyć, jeśli zakradły się nieścisłości.

Rozdział 12: Przez uchylone drzwi

Eva usiadła na podłodze. Zamroczyło ją od niewygodnej pozycji, gdy kucnąwszy ze schyloną głową, zajrzała pod szafę, żeby zobaczyć, czy wszystko dokładnie wymiotła. Na starej kopercie A4 z urzędową naklejką, która posłużyła jej za szufelkę, zebrał się spory kopczyk muszli, oklejonych piaskiem, oplątanych gęstą siateczką cienkich brunatnych nitek. Piasek, muszle, wodorosty. Kolejny dowód na to, że Thomas był człowiekiem morza; gdy schodził na ląd, ciągnął za sobą smugę morskich odpadków.

Ładny mi ląd, pokręciła głową. Uśmiechnęła się lekko. Morze to taki sam śmietnik jak mój dom, pomyślała. Gdyby żył, Thomas z czasem sam by się zmienił w obrośnięty wrak, jak łódź podwodna osiadła na mieliźnie. A gdyby ona wypowiedziała te słowa na głos, pewnie dorzuciłaby jeszcze ton krytyki, nutę sarkazmu.

Lubiła porządek, zwłaszcza odkąd została sama, sprzątanie przynosiło jej ulgę. Miała wtedy poczucie, że przynajmniej ta część życia zależy wyłącznie od jej woli. Reszta wymknęła się spod kontroli, gdy Thomas zginął. Odejście Sophie tylko utwierdziło ją w tym przekonaniu.

Pomyślała o Oliverze i jego spiskowych teoriach. Pojawiał się i znikał, kiedy chciał, często nie zważając na jej pracę, dyżury ani plany na wolny dzień. Zwykle wpadał wieczorem, jedli razem kolację, a potem siedzieli w salonie przy piecu albo wychodzili na spacer, na wydmy. Gdy, jego zdaniem, sprawa była pilna, budził ją wcześniej rano telefonem od furtki. Z bagietką pod pachą szedł do kuchni, parzył kawę, a kiedy zjawiała się w szlafroku, zaspana i nieprzytomna, pokazywał jej swoje nowe zdobycze: wycinki z gazet, kserokopie dokumentów, fotografie. Wypytywał. Rozpoznasz? Pamiętasz? Wiesz, kto to jest?

Sam nic nie wyjaśniał, a Eva nie pytała. Instynkt jej podpowiadał, że im mniej będzie wiedziała, tym mniej w razie czego będzie musiała kłamać. To „w razie czego” budziło jej niepokój. Podobnie jak dociekliwe pytania Olivera. Niepokój i gniew.

– Nie masz pojęcia, jak to jest – mówiła, machając ręką, jakby odganiała muchę. Zbywała go, stawiała zaporę między nimi, porównywała. Oliver nie stracił nikogo bliskiego. Olivera nie zżera niepokój o córkę. – Nie masz córki, co ty możesz wiedzieć?

Czasem miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: To prawda, nie mam dzieci ani nikogo nie straciłem. Ale tu chodzi o coś jeszcze, o czym nie pomyślałaś. Jednak milczał.

Tylko raz poruszył ten temat.

– Polowanie to męska gra. Ale wbrew temu, co myślisz, nie prowadzę jej z ciekawości – powiedział któregoś dnia na pożegnanie.

Tyle, ani słowa więcej. Dość ogólnie i jakby mimochodem, ale i tak, jak na niego, bardzo dużo. Mówiąc to, objął ją ramieniem, a ona pozwoliła mu na to o ułamek sekundy za długo.

Lecz zaraz odsunęła się o krok.

– W takim razie dlaczego? – Zabrzmiało to ostro, zaczepnie.

Była zła na siebie. Jestem jak rzep, pomyślała. Udaję, że nic mnie nie obchodzą jego poszukiwania, a prawda jest taka, że zżera mnie nie tylko podejrzliwość, ale i zazdrość. Oliver nie musi mi się tłumaczyć, a ja powinnam zachować wobec tej znajomości większy dystans.

Bo chociaż Eva pilnowała, żeby do tego nie dopuścić, i sama by się do tego nigdy nie przyznała, to z czasem te nieoczekiwane wizyty zaczęły jej sprawiać coraz większą przyjemność.

– Dlaczego? – powtórzyła.

Oliver nie spieszył się z wyjaśnieniami.

Był już przy furtce, ale przystanął jeszcze, odwrócił się.

– Żeby powstrzymać tę siłę. Żeby ktoś następny nie musiał... – zawahał się, nie dokończył zdania.

Domyśliła się, co miał na myśli. Żeby ktoś następny nie musiał zginąć w niewyjaśnionych okolicznościach, jak Thomas. I w tej samej chwili nareszcie zrozumiała, dlaczego Sophie zniknęła.

*

Gdyby nie Sophie, która nagle przypomniała sobie o jakiejś kurtce i zimowych botkach, Eva jeszcze długo nie odważyłaby się pójść na strych, do pracowni Thomasa.

I gdyby nie Oliver. Słowa, które podczas tamtej pierwszej wizyty z taką pewnością wypowiedział – o tym, że Thomas nie musiał zginąć i że nie była to śmierć przypadkowa – wzburzyły ją. Zburzyły kruchą konstrukcję odzyskanego z takim trudem spokoju.

Zareagowała gwałtownie. Wyrzuciła go z domu.

Ale Oliver wrócił raz, potem drugi. I za każdym razem ponawiał pytanie, aż w końcu w niej również zasiał wątpliwość. Dlaczego Thomas zginął? Tamtej nocy był sztorm, to prawda, ale nie na tyle gwałtowny, by ktoś z takim doświadczeniem jak on nie mógł w miarę bezpiecznie przeczekać do rana w dryfie, ze sklarowanym pokładem.

– Przypomnij sobie, co się działo przed tamtym ostatnim wyjściem w morze. W domu, w pracy. Jakieś spotkanie, rozmowa? Mówił coś, denerwował się? Miał złe przeczucia? Nie spał po nocach?

Eva zdawała sobie sprawę, że Oliver usiłuje jej pomóc. Ale tym większą bezsilność budziły w niej te pytania, że na żadne z nich nie potrafiła odpowiedzieć.

Thomas na pewno coś mówił, z kimś i o czymś rozmawiał. Do kogoś telefonował i sam odbierał telefony. Umawiał się i spotykał, a może nie chciał się spotkać.

– Nic nie wiem. Nie pamiętam.

Czuła się winna. Oliver twierdził, że nawet jakieś napomknienie, aluzja czy niedomówienie mogły być wskazówką, tylko ona nie zwróciła na nie uwagi. Nie usłyszała, nie domyśliła się. Ale jak się nad tym głębiej zastanowić, po co Eva miałyby to robić? Żyjąc z kimś w związku tak po prostu, bez podejrzeń czy konieczności udawania, zazwyczaj na wiele spraw nie zwracamy uwagi. To normalne. Przyzwyczała się, że Thomas ma swój świat, a dopóki wracał, pachnący morzem, stęskniony, niecierpliwy i rozpalony, jego nieobecność stanowiła jedynie część ich codzienności, nic poza tym. Wypływał w morze, wyjeżdżał na konferencje i sympozja, na długie godziny zaszywał się w pracowni, ale zawsze wracał. Co wtedy myślał, co mówił? Thomas był człowiekiem uważnym. Kiedy był z żoną i córką, był tylko z nimi.

Eva o nic nie pytała, ponieważ nie musiała pytać. Czuła każdym milimetrem swego ciała, jak bardzo za nią tęsknił. Jak bardzo oboje tęsknili. Gdy wracał, wolny czas wyłuskany z codziennych zajęć należał do niej, do nich razem: nocą na plaży i na dywanie przed kominkiem, pod prysznicem i ukrytych pod wielką puchową kołdrą, wciąż od nowa szukających siebie nawzajem.

Dlatego nie potrafiła sobie przypomnieć żadnych zdarzeń sprzed wypadku. Potem? Śmierć Thomasa rozbiła ciągłość jej życia. Czas rozpadł się na dwie niepowiązane ze sobą części, rozdzielone wyrwą długich tygodni rozpacz, które z wolna przeszły w miesiące apatii, bez czucia i bez pamięci. Tylko w taki sposób, ugodzona jego śmiercią, była w stanie przetrwać i żyć dalej.

Teraz jednak myśl, że coś przeoczyła, coś, na co powinna była zwrócić uwagę, zareagować, a kto wie, może nawet pomóc czy zapobiec, nie dawała Evie spokoju. Nic nie zauważyła, bo nic takiego się nie wydarzyło, krzyczała, gdy Oliver wracał z kolejnym pytaniem.

A jeśli się wydarzyło? W takim razie ona nie była dość spostrzegawcza. Czy może raczej powinna powiedzieć: nie dość podejrzliwa?

– Po co miałam go podejrzewać? O co? – Rozkładała bezradnie ręce. – Zawsze wracał do domu.

*

Którejś nocy obudziła się zlna potem, roztrzęsiona. Usiadła gwałtownie na łóżku. Fala nadciągała powoli, nieubłaganie, niosąc dawno zapomniane dławiące uczucie. Morze nie jest bezlitosne, jest obojętne. Przychodzi i uderza, zalewa twarz i płuca, odbiera tlen, a potem bezwładem własnego ciężaru przytrzymuje ciało pod wodą, spycha na dno, by już go nie wypuścić.

Sny są jak morze.

Eva widziała wszystko całkiem wyraźnie. Scena przypominała jawę – była okrucieństwem tego, co kiedyś na jawie się zdarzyło. Thomas stoi przy oknie, rozmawia przez telefon. Schylona nad grządką jesiennych dalii Eva widzi jego postać za szybą, po gestach domyśla się, że Thomas jest zdenerwowany. Wolną ręką przesuwa po nieogolonym policzku. Z czymś się nie zgadza, kręci głową, nie, to niemożliwe. Potem otwartą dłoń dotyka szyby. Jakby chciał kogoś zatrzymać, jakby mówił: a może jednak?

Ktokolwiek jest po drugiej stronie, nie daje łatwo za wygraną. Thomas zaczyna tracić cierpliwość, skubie brodę, stuka palcami o szybę, na zaparowanej powierzchni kreśli bezwiednie jakieś linie. Na koniec potrząsa gwałtownie głową i spogląda na zegarek, jakby mówił: Muszę kończyć, dziś wychodzimy w morze. Sądząc po jego postawie, nawet z oddali można wyczytać, że jest zawiedziony.

Gdy Eva wraca z ogrodu, Thomasa nie ma w salonie. Słyszy jego kroki nad głową, znak, że poszedł na górę, do pracowni. Krąży tam i z powrotem, tam i z powrotem, jakby powtarzał wciąż to samo: Co w tej sytuacji powinienem zrobić?

Ale jest też możliwe, że po prostu się pakuje.

We śnie Eva widzi siebie wyraźnie, jak podchodzi do okna i staje w miejscu, gdzie chwilę wcześniej Thomas starał się kogoś o czymś lub do czegoś przekonać. Patrzy przez okno, ale zamiast ogrodu za oknem, jesiennego i poszarzałego od deszczu, widzi szybę, na której Thomas narysował wielkie serce. Nie przygląda się bliżej, w połówkach serca nie dostrzega podobieństwa do otwartej muszli, chociaż powinna się tego domyślić – jeśli Thomas w ogóle cokolwiek rysuje, ma to zawsze związek z morzem. Zamiast tego myśli: romantyk z tego mojego Thomasa, a potem szybkim kolistym ruchem przeciera zamgloną szybę; kiedy Eva ma wolny dzień, sporo czasu poświęca na sprzątanie.

Znowu zaczyna padać. Szkło pęka pod kroplami deszczu. Powoli morze napełnia ogród, ale nie staje się jak on zielone, jest srebrnobiałe. Eva cofa się instynktownie przerażona. Fala rośnie, jeszcze chwila, a runie na nią, ciężka i zgrzywna...

Po latach życia z Thomasem pod jednym dachem Eva doszła do wniosku, że ludzie dzielą się na dwie kategorie. Jedni po prostu żyją, nie oglądając się za siebie. W starym miejscu nie sprawdzają, czy wszystko stoi tam, gdzie stało, w nowym nie martwią się, czy trafią z powrotem do domu. Eva zdecydowanie należała do drugiej kategorii, tych, którzy idąc przed siebie, zamiast poczuć drogę, zamiast wejść w nowe miejsce, wtopić się w nie i zjednoczyć z nieznanym rytmem, przez cały czas obmyślają skomplikowane strategie odwrotu, ucieczki, obrony. Zdawała sobie sprawę, że te przerosty lęków, które nazywała odpowiedzialnością, są niemądre. Niepotrzebne. Po co się asekurować, skoro jeden nieuważny krok może zmienić bieg zdarzeń? Albo jedna fala. Nie potrafiła nad tym zapanować. Jedni boją się

mniej, jak Thomas, myślała, a ja boję się więcej i częściej.

– Coś poszło nie tak? Możesz się jeszcze wycofać? – Pytanie zadała ostrożnie, dopiero podczas kolacji, nawiązując do porannej niemej sceny za oknem, której stała się przypadkowym świadkiem. Z jakiegoś powodu tym razem sprawy Thomasa zaniepokoiły ją.

Spojrzał na nią, jakby nie zrozumiał, do czego się odnosi jej pytanie. Przysunął deskę z serami i winogronami, oderwał gałązkę z fioletowej kiści. Obracając owoce w palcach, wypił łyk wina.

Nie zrozumiał. A może zapomniał.

– Wypływamy o północy – powiedział. – Mam jeszcze trzy godziny.

*

Z tamtego wieczoru zapamiętała mało istotne szczegóły. Nieogolony policzek Thomasa. Zamszowy nalot błękitu na winogronowej skórcie. I szarą smugę popiołu, smakowicie przecinającą trójkąt morbiera, który tego ranka kupiła na hali targowej. Świeża dostawa, zachęcał Jean-Jacques, a ona mu zawsze wierzyła, bo mało kto znał się na francuskich serach tak jak ten Alzatczyk, „uciekiniar z Południa”, jak sam siebie nazywał, twierdząc, że północne mgły są mniej męczące dla zmysłu powonienia niż powietrze nabrzmiące od aromatu ziół i żaru bezlitosnego słońca.

Resztę wieczoru Thomas spędził w pracowni. Pakował się, porządkował.

– Zrobiłem klar na pokładzie. I nawet zamiotłem – zażartował na pożegnanie, ruchem głowy wskazując na poddasze.

– Zamiotłeś? Ty? Chyba pod szafę – zaśmiała się, wtulając nos w gruby splot jego irlandzkiego arana, pachnącego owczą wełną, towotem i ropą do silników, tą dziwnie męską i morską mieszaniną zapachów, jaką pachną rybacy dalekomorscy, drewniane pirsy w porcie i podkłady kolejowe.

*

Dotknęła kopczyka wygarniętych spod szafy śmieci. Kilka ziarenek piasku osypało się po małej stromiźnie, zatrzymując się na krawędziach muszli, kłaczkach brunatnych nitek i wodorostów. Aż w końcu wszystko ponownie znieruchomiło.

Rozejrzała się wokół siebie. To poddasze, królestwo swojego dzieciństwa, oddała Thomasowi we władanie bez żalu. Niegdyś ciotka Sara przechowywała tu słoiki z konfiturami i kompotami. Niegdyś Eva spędzała tu długie godziny na ich wyjadaniu, leniwym czytaniu i sennych marzeniach o pierwszej miłości.

Sara Sternburger patrzyła na to niechętnym okiem.

– To nie teatr, gdzie możesz dowolnie przedstawiać rekwizyty, moja panno – burczała niezadowolona, że Eva grzebie w szafach i kufrach, przymierza jej stare suknie, a co gorsza, uszczupla zimowe zapasy przetworów, nie zważając na rok

produkcji. – Znowu wszystko pomieszałaś – groziła palcem, jednocześnie wręczając dziewczynce łyżkę i metalowe kółko do otwierania wklęsniętych pokrywki. Siostrzenica miała u niej specjalne względy. – Tylko znieś mi potem puste słoiki na dół do mycia.

Ale to było kiedyś. Odkąd Sara odeszła i niemal jednocześnie w domu pojawił się Thomas, strych przestał grać rolę teatru. Thomas w naturalny sposób przejął to miejsce w posiadanie. Morze musi mieć gdzie zarzucić cumy na lądzie, usprawiedliwił się z miną winowajcy, gdy któregoś dnia weszła tam z miską pełną prania. Eva tylko pokiwała głową. Racja, gdzieś trzeba było składować sprzęt ze statku, aparaturę do pomiarów, skrzynki z narzędziami, stopy dokumentacji i kartony okazów flory i fauny, które Thomas zwoził z każdej ekspedycji. Na hakach wbitych w belki pod sufitem zawisły gumowane spodnie i sztormiaki, wzdłuż ścian stanęły worki żeglarskie i plecaki, a w kącie przy stromych schodach, zrzucone na nieporządną stos, leżały kalosze, wodery i ciężkie buty.

Na strychu pojawił się nowy zapach.

Eva nigdy tu nie zaglądała, ale bez trudu mogła sobie wyobrazić, że wbrew temu, co twierdził, Thomas do porządków miał dość swobodne podejście. Zostaw, ty i tak masz dość zajęć, mówił, sam wszystko poukładam. Przynajmniej będę wiedział, gdzie co stoi. Albo leży.

Jak te muszle – pod szafą.

Rozejrzała się wokół siebie. Aparatura, której przeznaczenia nie знаła, półki zastawione długimi rzędami pustych słoików. Wiklinowy kosz, do którego Sophie przed wyjazdem na studia spakowała swoje rzeczy. Kiedyś wróć, powiedziała, a wtedy i one wrócą na dawne miejsce. Ale teraz nie chcę, żebyś odkurzała mój martwy pokój.

Martwy pokój Sophie. Martwa pracownia Thomasa. Wszystko pokryte kurzem.

Od tego zmiatania pod szafą zakręciło jej się w głowie. I od smutku. Siedziała na najwyższym stopniu schodów, obserwując drobinki kurzu w skośnych pasmach światła padającego z okna. Strych wypełniony był tyloma różnymi nieobecnościami, że gdyby ktoś kazał jej wybierać, nie wiedziałyby, nad którą zapłakać najpierw.

Łzy napłynęły jej do oczu, zakrztusiła się od hamowanego szlochu. Za dużo duchów w tym domu. Wstała gwałtownie, jakby ktoś ją szarpnął za ramię. Dość tego! Otrzepała spodnie i rozprostowała ramiona. Jej wzrok zatrzymał się na kartonie stojącym na szafie.

Był niewielki, ale na tyle wysoki, że dotykał krokwi. Zaintrygowana, pociągnęła za róg. Karton poddał się łatwiej, niż się tego spodziewała. Nim zdążyła go przytrzymać, spadł, a spadając, otworzył się i zawartość wysypała się jej na głowę. Poczowała lekkie uderzenia, jakby gradu, równocześnie dał się słyszeć lekki

stukot. I cichy szelest, suchy deszcz.

Zaskoczona, znieruchomiła, odruchowo zaciskając powieki. Po chwili ostrożnie je otworzyła. Dmuchięła na grzywkę; na podłogę posypał się piasek. Gdy dotknęła włosów, wyczuła, że był to nie tylko piasek, ale i jakieś nitki, skręcone, suche. Zdjęła jedną, przyjrzała się bliżej, po czym ze zdumieniem przeniosła wzrok na podłogę. Wokół niej leżał dywan muszli i piasku. Muszle były takie same jak te wygarnięte wcześniej spod szafy – czarne, podłużne, obrośnięte kłaczkami rudych nitek.

Podniosła głowę i ponownie spojrzała na górę szafy. Czy to możliwe, że spadając, karton zahaczył i poluzował deskę sufitową obok krokwi? A może deska była luźna i karton ją tylko przytrzymał?

Młotek, pomyślała. Żeby przybić tę deskę, muszę najpierw poszukać młotka.

LIST Z PRZYPOMNIENI

J.

Dzień dzisiejszy na wyspie – listopadowo mroczny, a za chwilę już grudniowy i przenikliwy – coraz gęściej obrasta przeszłością, tak jak muszlami obrasta kadłub statku pod wodą. Przeszłość pojawia się pod różnymi postaciami, rzadko jednak widzimy ją wyraźnie jako całość. Częściej obraz jest fragmentaryczny i zatarty, tym trudniej odczytać tropy, rozpoznać ślady. Jeszcze trudniej odtworzyć chronologię zdarzeń.

Ślady, ślady. Może dlatego takim uczuciem darzę wyspy: na Rugii czy Gotlandii masz je wszędzie na wyciągnięcie ręki: wylaniają się z dna morza i warstwic wapiennych skał, chrzęszczą pod stopami, gdy wędrujesz po plaży. Kryją się w zdziczałych sadach i ruinach domostw. Runicznymi znakami znaczą polne kamienie.

Instynkt myśliwego drży pod skórą. Muszę pojechać na Gotlandię. Tylko kiedy?

Tymczasem praca, praca.

B.

LIST Z JAZZU

J.

Za chwilę znów wyjeżdżam (który to już raz w tym roku?). Chyba wywróżyłam sobie ten wieczny ruch wahadła pisaniem, moi bohaterowie są zawsze w drodze.

I, niestety, znów nie będzie to Gotlandia.

Rano, pakując walizkę, słuchałam Komedy. Obejrzana wczoraj *Matnia* pokrzyżowała mi plany dnia, naprowadziła na muzyczne ścieżki i teraz, jeśli mam zdążyć, muszę się pospieszyć. Tak właśnie działają matnie: zaczynają tobą rządzić.

„Kraków, druga połowa lat pięćdziesiątych, wszyscy sławni jazzmani są w Krakowie, Komeda, Trzaskowski, Kurylewiczowie. Po Krakowie chodzą sobie

Andrzej Bursa, Irek Iredyński, Staszek Czycz. Leje się dużo alkoholu. Czycz z piersiówką z czystą wódką, zawsze ciepłą. Komeda mówi do Piotra, że idziemy na wódkę, Piotr, że nie może, bo prowadzi kabaret. »Właśnie, że idziesz«, mówi Komeda i bierze pod pachę gipsowe popiersie Piotra, wyrzeźbione przez Bronka Chromego. I jakaś taka duża grupa – Dymny, Komeda, Trzaskowski i inni piwniczanie – rusza na tak zwany szlak...”²².

Poszłabym z nimi na szlak. Zamiast się pakować, słuchałam Komedy i jednocześnie przeszukiwałam sieć w pogoni za tropami, które pomogłyby mi odtworzyć tamten klimat, nie tylko polskich ulic, klubów i teatrów, ale i Europy, i świata – dwadzieścia lat po drugiej wojnie. Natrafiłam na serię fotografii Doisneau i Boubata. Paryż w ich obiektywie: zakochane pary na mostach, dzieci kopiące piłkę i katedry odbijające się w kałużach, muzycy w nocnych klubach i Les Halles o świcie, z ruchliwym gwarem w domyśle, tak typowym dla miejsc, gdzie się handluje i dobija targu. Był w tych scenach nastrój wyrazisty jak zapach gorącej pożywnej *bouillabaisse* z wielu gatunków ryb, z dodatkiem dużej ilości czosnku, cebuli i pomidorów. Czarno-biały wymiar czasu, gdy jeszcze fotografie wyświetlało się w ciemni. Studenckie lata Vincenta.

Wszystko wtedy wymagało czasu: żeby ugotować zupę rybną i żeby fajka równo się żarzyła i nie zgasła. I żeby powstała książka, pisana odręcznie piórem albo na maszynie do pisania, a za to bez podpierania się Google’em czy funkcjami skrótów, jakie podsuwa nam ten czy inny program do tworzenia „prawdziwych powieści”. Ma- jak Mariola, mi- jak miłość, me- jak arabski melizmat, eM jak... I jeszcze test wyboru: blondynka czy brunetka, w *college*’u czy po studiach, wyjeżdża do dużego miasta (na liście obowiązkowo Nowy Jork), a może zmęczona, ucieka w rodzinne strony, żeby zacząć życie od nowa. I tak dalej, bez końca, bez zatrzymania, jedna, cztery czy dwadzieścia książek rocznie, co to dla nas, współczesna technologia umożliwia pisanie z ponaddźwiękową szybkością, będzie miejsce i dla brunetki, i dla blondynki, ruda też zdąży się pojawić.

A jednak, mimo fantastycznego odkrycia w postaci czarno-białego świata w obiektywie francuskich fotografików, wciąż czułam, że to jeszcze nie to. Bo ja szukałam muzyki, a jak tu sprawić, żeby zabrzmiała na fotografii?

I nagle olśnienie. Zachłysnęłam się Plewińskim. Dziewczyna, łóżko i mężczyzna. Ona na wpół naga, długie włosy opadają splecione na plecach, na nadgarstku połyskuje srebrna bransoletka. On, w piżamie, siedzi obok na pościeli, pochylony nad saksofonem, skupiony na melodii, a może na trudnej palcówce, gra. Jest w tej fotografii *all that jazz*, ten z epoki szczerości młodych gniewnych, gdy wieczorem „ruszali na tak zwany szlak”, maszerując przez miasto w drodze do klubu, na tanie wino i jeszcze tańszą wódkę. Mężczyzna z saksofonem na zdjęciu Plewińskiego to oczywiście Komeda.

Nie wiem, jak się ubrać na tę podróż, co ze sobą zabrać. Pogoda taka

zmienna, aż trudno określić porę roku. Chmury zbierają się niby śniegowe, jedna ciemniejsza od drugiej, ale zamiast śniegu wciąż mamy mglistą pluchę, przeplataną krótkimi oddechami zimowego chłodu. Jakby ktoś drażnił cię piórkiem, bębenkiem albo urodzinową trąbką, taką kolorową, co to wysuwa się, gdy dmuchniesz. I tak od tygodnia: piórko, bębenek, trąbka. Przestałam zabierać parasol, nie suszę kurtki, nie warto. Idę, jak stoję, moknę, marznę i zaraz schnę, i mrużę oczy w oślepiającym blasku. Dlatego Komeda od rana, diament po szkle.

<https://www.youtube.com/watch?v=cDL0CfyKvYQ>

Za godzinę muszę być na lotnisku, dokończę w samolocie.

B.

LIST Z SAMOLOTU, CD.

Ledwie zdążyłam, taksówka po drodze utknęła w korku. Gdy w końcu dotarłam na lotnisko, już wywoływali moje nazwisko.

Siedzę teraz zawieszona między Warszawą a Londynem i nareszcie mam kilka godzin dla siebie. Powinnam przygotować się do spotkania, a tymczasem myślami jestem gdzie indziej, na mojej (naszej?) nieistniejącej wyspie.

Chodzi za mną Komeda.

Wcześniej przymierzałam inne nurty jazzu, próbowałam innych melodii, ale nie wtapiały się w wyspę, w kamienny dom Vincenta ani w jego rysowanie. Muzyka Komedy wie, jak zejść po trapie z promu na nabrzeże i w porywach wiatru otworzyć parasol. I jak zabrzmieć tą szarością, jaka ogarnia nas podczas oglądania filmu Polańskiego.

Dla Vincenta związek Polańskiego z Syltem byłby pewnie mniej znaczący niż dla polskich widzów, aczkolwiek i u niego wywołałby zadumę. Wspólny dla obu „paryski bruk” w tym kontekście – z Komeda w tle – przemówiłby mocniej. Emigracja zawsze jest emigracją, niezależnie od motywów, nawet wtedy gdy sami wybieramy czas i miejsce, podejmujemy decyzję.

Oczywiście Vincent zna filmy Polańskiego, w czasach paryskich nieraz oglądał je z Igiorem. Przez kontrowersyjnego reżysera poznał kontrowersyjną muzykę polskiego kompozytora. Zawładnęła nim. *Astigmatic*, tę najbardziej znaną polską płytę jazzową, przechorował jak grypę, z dreszczami i gorączką. Dla niego było to coś więcej niż muzyka, słuchając Komedy, zrozumiał, że pójście własną drogą jest możliwe. On, matematyk i pozbawiony złudzeń pragmatyk, racjonalista z krwi i kości – wierzył w cuda. Doszukiwał się działania sił wyższych, zrządzenia losu w fakcie przypadkowego początku i tragicznego końca wspólnej pracy obu artystów. O wypadku i śmierci Komedy nie potrafił myśleć spokojnie; on także szukał klamry dla swojego życia, ale nie takiej. Raczej łudził się nadzieją, że jeszcze nie czas na ostateczne spojenie, że wiele dni musi upłynąć, niosąc jeśli nie wydarzenia, to przynajmniej świadomość istnienia i wiarę, że po drodze coś jednak go zaskoczy, poruszy. Niekoniecznie miłość, Vincent nie oczekiwał spełnienia

w miłości, nawet wtedy gdy pojawiła się Yvonne, a on odczytał ją jako brakującą część swego bycia sobą. Zaskoczenie miało wynikać z tego, co wykracza poza wykalkulowane czekanie. Czarny koń, as z rękawa. Suma jest czymś więcej niż prostym dodawaniem składników.

Jeśli więc już wprowadzać muzykę do przepełnionego ludźmi domu Vincenta, Komeda wydaje się dobrym wyborem. Mimo że *Astigmatic* ukazał się w 1966 roku, Vincent nie trzyma się tej muzyki w starczym zapamiętaniu, nie sięga do pamięci głębokiej. Nie musi, ponieważ ta muzyka jest wciąż nowoczesna.

Za chwilę lądujemy. Do usłyszenia,

B.

Rozdział 13: W zawieszeniu

Kobieta, która pomogła Rose i Paulette pozbierać rozsypane morele, była szczupła, krótko ostrzyżona i naturalna. Jej naturalność przejawiała się zarówno w stroju jak i w sposobie zachowania. Marianne Keller, doktor psychologii klinicznej i psychoterapii behawioralnej, była typem nowoczesnej „ekologicznej” matki, przekonanej o zaletach karmienia piersią i noszenia dziecka w afrykańskiej chuście, weganką i terapeutką z powołania.

W przedsionku zdjęła buty, domowych kapci nie chciała.

– Nawet na takiej kamiennej posadzce – przejechała stopą po nierównych czerwonych kaflach, jakimi wyłożona była podłoga w kuchni – wełniane skarpety wystarczą.

Jasmine nastawiła czajnik i otworzyła szafkę nad blatem, gdzie stały kolorowe puszki. Odkąd Cyryl zamieszkał u Vincenta, zaczęła tu regularnie bywać. Nie tylko samodzielnie korzystała z kuchni, ale w miarę możliwości pomagała w gospodarstwie. Obierała ziemniaki, zmywała naczynia. Prała rzeczy Cyryla. Czasem rozmawiała z dziewczynami, a wtedy na moment ogarniało ją beztroskie zapomnienie. Ale głównie spędzała długie godziny z Cyrylem, czekając, aż on odezwie się pierwszy. Siedząc z nim na ganku albo na dywanie w pracowni Vincenta, prowadziła go ścieżkami wspólnych zdarzeń, po wiele razy powtarzając te same historie. Zadawała pytania, a potem udzielała na nie odpowiedzi. Sama była żywym przypomnieniem.

Cyryl jednak milczał.

Któregoś dnia Jasmine poprosiła Evę Waltzer o zdjęcia Sophie.

*

Czajnik wyłączył się, bulgotanie wody ustało.

– Kawa czy herbata? Może jakąś kanapkę? – spytała Jasmine, oglądając się na Marianne.

– Zioła, jeśli to nie kłopot. Jakiegokolwiek.

Jasmine przesunęła kolorowe puszki na bok i z głębi szafki wyciągnęła jakieś opakowanie z szarego kartonu.

– Koszyczek rumianku, liść melisy i kwiat dzikiej róży. Z naturalnej uprawy, niekruszone. Bez dodatku cukru, glutenu i konserwantów – odczytała opis na opakowaniu. – Gluten w ziołach?

Roześmiały się obie.

– Od czego zaczniemy? – spytała Jasmine ciekawie, gdy w końcu usiadły przy biurku w pracowni Vincenta, dokąd wyrzuciła je Paulette, bo stół w kuchni zajęły morele.

Prawdę mówiąc, morele zajęły całą kuchnię. To znaczy same morele, już

wydrylowane i przesypane cukrem pudrem, wylądowały w spiżarni. Ale Paulette potrzebowała przestrzeni: na piecu pojawiły się dawno nieużywane rondle i patelnie oraz miedziany kociołek do konfitur, który pożyczyły od *Frau Bellitz*. Zlew wypełniły słoiki i pokrywki, na środku stołu królowała staromodna żeliwna waga z szalkami, a obok leżała garść wydrylowanych morelowych pestek, kilka cytryn i kiść bananów, które miały posłużyć do zagęszczania syropu zamiast pektyny.

– Muszę jeszcze wstawić zupę i upiec kurczaka na obiad – powiedziała, wypychając je z kuchni. – Przeszkadzacie mi.

– A więc? – powtórzyła pytanie Jasmine. – Od czego zaczniemy... – zawahała się. Teraz już nie ona występowała tu w roli terapeutki. – Od czego zacznie się terapia?

Marianne, mimo młodego wieku, miała spore doświadczenie. Nie spieszyła się.

– Od niczego – odparła spokojnie. – Pobędziemy, popatrzymy. Pomilczymy, najpierw każde z osobna, a potem może już razem. Jak długo osobno? I kiedy razem? To się okaże.

Istnieje różnica między przypominaniem a odpominaniem, wyjaśniła Marianne. Głos miała łagodny, ale nie protekcyjny, co Jasmine zauważyła z ulgą. Marianne nie wierzyła w siły paranormalne, nie należała też do osób, które uważały, że wiedzą więcej i są mądrzejsze od ich pozbawionych pamięci pacjentów.

– Potocznie nie zwracamy na to uwagi – ciągnęła – a tymczasem różnica jest zasadnicza. Dlaczego? Ponieważ wydobywanie obrazu z pamięci jest łatwiejsze niż wydobywanie czegoś z niepamięci. A Cyryl w tej chwili nie ma pamięci. Zobaczymy, co zadziała. Co da lepszy rezultat: żmudne odpominanie od początku czy odwołanie się do jakiegoś momentu emocjonalnego, na tyle zaskakującego czy krytycznego, by zadziałał jak iskra.

*

– Wiecie, dlaczego francuskie konfitury są najlepsze? – spytała Paulette, mieszając morele drewnianą łyżką. – Bo smażymy je w sadzie. Albo w ogrodzie. W każdym razie na świeżym powietrzu.

– Ale wtedy nie czujesz tych magicznych aromatów – zaproponowała Jasmine, pociągając nosem. – Stracona okazja, przynajmniej dla Prousta byłaby stracona. Dla Bergmana zresztą też.

Rose również nie była przekonana

– Konfitury na ruszcie? Nad ogniskiem? Uwędzą się jak pstrągi albo przypalą jak kielbaski. I jeszcze osy się zlecą – zauważyła rozsądnie.

– Nic nie rozumiecie. – Paulette machnęła łyżką w ich stronę

z lekceważeniem. – W miedzianej patelni nic się nie przypalała, a osy, jak ich nie denerwować, nie zrobią wam krzywdy, wołają cukier od żądlenia ludzi. – Grzywka, stanowczo za długa, znowu opadła jej na oczy. Ostatnio Rose podarowała Paulette dwie nowe spinki, ale jej włosy łatwo się nie poddają, a sama Paulette potrafi zgubić każdą liczbę spinek. – Odpowiedź jest równie prosta jak moje pytanie: konfitury smażyjemy na świeżym powietrzu, bo latem w domowej kuchni jest za gorąco. Poza tym ogrodu nie trzeba potem myć. A kuchnia, same widzicie... – Rzeczywiście, stół, blat przy kuchence i zlew, rondle i miedziany kociołek *Frau Bellitz*, nawet kafelki na ścianie i podłoga, wszystko lepiło się od syropu cukrowego. – Jakby tajfun przeszedł.

– Za to spiżarnię mamy pełną konfitur! – zawołała Rose z zachwytem, nalewając wody do wiadra i sięgając do szafki po mop. – Ciekawe, co powie *Frau Bellitz*. Według mnie nasza konfitura jest lepsza, a przynajmniej nie gorsza od tej, jaką robiła pani Schachmann.

Paulette spojrzała na zegar wiszący nad drzwiami.

– Zaraz się tego dowiemy, *Frau Bellitz* będzie tu za kilka minut. No, bierzmy się do sprzątnia. W przeciwnym razie jutro rano cała wyspa się dowie, jak wyglądała kuchnia Vincenta oklejona morelami.

Nie zdążyły wszystkiego uprzątnąć, na kaflach wciąż widniały krople syropu, ale przynajmniej rondle były pomyte, a blaty, stół i podłoga już się nie lepiły, gdy zjawiała się *Frau Bellitz*.

Stała na ganku wsparta jedną ręką na kuli, drugą przytrzymując się łokcia młodego szczupłego blondyna. Miała nogę w gipsie. Wypadek zdarzył się niedawno, wyjaśniła, dlatego ciągle porusza się z takim trudem. Bez pomocy syna zupełnie sobie nie radzi.

Jej pojawienie się w tym stanie wywołało naturalne poruszenie.

– *Frau Bellitz*! Co się stało?

Mówiły wszystkie naraz, jedna przez drugą.

– Proszę usiąść, noga pewnie boli.

– Nie wiedziałam, że ma pani syna.

Frau Bellitz opadła na podsunięte jej przez Paulette krzesło, po czym oddała kulę młodemu człowiekowi.

– To Adam, mój syn – sapnęła z wysiłku. – Jest taki cichy, że nawet ja czasem zapominam o jego istnieniu. Ale bez niego... – mówiąc to, spojrzała na jedynaka z wyraźną dumą.

Adam Bellitz zarumienił się. Bez słowa odebrał kulę od matki; przez cały czas na żadną z nich ani razu nie spojrział. Mimo zabiegów, by sprawiać wrażenie „mocnego” mężczyzny – z podgolonym karkiem, złotym kolczykiem w jednym uchu (drugie zaklejone było plastrem), w czarnych skórzanych spodniach, żołnierskiej kurtce i ciężkich sznurowanych głanach – był wyraźnie speszony

sytuacją i niespodziewanym nadmiarem zainteresowania.

– Wróć po ciebie za godzinę – powiedział szybko, nachylając się nad matką. Potem skinął głową i nadal nie podnosząc wzroku, niemal rzucił się do drzwi z widocznym pragnieniem, by jak najprędzej stamtąd uciec.

Frau Bellitz odprowadziła go wzrokiem.

– Jest taki cichy i nieśmiały – powtórzyła z westchnieniem. – Tylko dlatego nie ma dziewczyny. A czas najwyższy. Pewnego dnia mnie zabraknie i zostanie sam – mówiąc to, obrzuciła wzrokiem kolejno Rose, Paulette i Jasmine, jakby nagle jakaś myśl zaświtała jej w głowie. – Mamy taki wygodny dom. I duży ogród...

W kuchni zapadło milczenie. Pierwsza odezwała się Paulette.

– Co pijemy, kawę czy herbatę? – A widząc, że Rose zamierza wyjść z kuchni, podniosła lewą dłoń i zaczęła odginać kolejne palce. – Dla Marianne i Cyryla wiadomo, nie musisz chodzić i pytać. Dla nas herbata. A taty i Vincenta nie ma, są u Johannesesa – w jej głosie zabrzmiała nutka irytacji, a może nawet zazdrości. Z jakiegoś powodu nie bardzo jej się podobało, gdy Rose kręciła się po domu Vincenta, jakby to był jej własny dom. Jej i Vincenta. Pauletta dopiero co poznała przyrodniego brata, nie była jeszcze gotowa, żeby się nim dzielić.

Pytanie dotyczyło tylko ich gościa.

Rose niechętnie cofnęła się od drzwi. Rzeczywiście, nie musiały pytać.

Frau Bellitz poprosiła o kawę.

W kuchni zawirowało, tak jak, zdaniem Paulette, powinno wirować w każdej porządnej kuchni, w każdym porządnym domu, pełnym mniej lub bardziej zasiedziałychem domownikóww oraz gości. A więc i herbata, i kawa. I zioła dla Marianne, ale tylko dla niej, bo Cyryl od dwóch dni nie chciał pić soku ze słomy (jego słowa), wołał wodę z miodem.

Filiżanki, talerzyki i sztucce, i koszyk ze świeżymi brioszkami. Masło, nie wiesz, Rose, gdzie jest masło? Skończyło się, trzeba wyjąć świeże opakowanie z lodówki. Cukru, *Frau Bellitz*? Czy może woli pani posłodzić miodem? Kawa ze śmietanką?

Gdy szum i zawirowanie w końcu ustały, Paulette rozejrzała się po kuchni.

– Nie wiesz, Rose, gdzie odstawiłaś słoik dla *Frau Bellitz*?

Frau Bellitz wzięła podany jej przez Rose słoik i uniosła pod światło. Przyglądała się długo i uważnie. Każdy może wsypać do rondla morele i wymieszać je z cukrem, ale to jeszcze nie znaczy, że wyjdzie z tego konfitura, oznajmiła. Prawdziwa konfitura morelowa powinna być jak bursztyn, jasna i szklista. Przynajmniej tak twierdziła Emma Schachmann. Przepis? Hm, przepis...

Nawet zapewnienie, że Paulette ma swój własny wypróbowany przepis rodzinny, a chodzi jedynie o porównanie, nie skłoniło *Frau Bellitz* do mówienia. Paulette zaczęła więc pierwsza: owoce trzeba poprzedniego wieczoru umyć,

wypestkować, ułożyć warstwami w miskach, przesypując cukrem pudrem, wstawić na noc do lodówki, żeby puściły sok. Nie wyrzucać pestek! Następnego dnia morele z cukrem przełożyć do rondla, dodać jednego banana i sok z dwóch cytryn i smażyć na małym ogniu nie dłużej niż godzinę, w przeciwnym razie konfitura ściemnieje, pomimo cytryny.

– Nie, nie zapomniałam o pestkach – dodała, widząc, że Rose daje jej znaki.
– Ale pestek nie gotujemy, tylko przed zamknięciem wkładamy po jednej do słoika, dla migdałowej goryczki.

Pestki to najgorsza robota, ponieważ są bardzo twarde i dziadkiem do orzechów się ich nie skruszy. Trzeba użyć innego sposobu: włożyć sporą garść do płóciennego woreczka i rozbić tłuczkiem do mięsa. Z wyczuciem, żeby nie wyszła miazga. Potem nasiona wystarczy sparzyć, zdjąć skórkę, i gotowe.

Frau Bellitz odkręciła wieczko i sięgnęła po łyżeczkę. W kuchni zapadła cisza, trzy pary oczu odprowadziły łyżeczkę, czekając w napięciu na reakcję, słowo komentarza.

Ale *Frau Bellitz* nic nie powiedziała. Zmieniła temat.

– Kilka dni temu odwiedziłam komisarza Herzoga w domu. Przyjął mnie w salonie, ale po drodze miałam okazję rzucić okiem na jego kuchnię. – *Frau Bellitz* oznajmiła to takim tonem, jakby chciała dać do zrozumienia, że zaglądnienie do nowoczesnych i czystych kuchni sprawia autentyczną przyjemność, czego o kuchni Vincenta, gdzie właśnie siedziała, nie można było, niestety, powiedzieć.

Frau Bellitz wygładziła niewidoczną fałdkę spódnicy.

Rose poczuła się urażona w imieniu domowników i swoim własnym. Jej się tu wszystko podobało, z bałaganem włącznie. Tym bardziej że odkąd ona tu zamieszkała, był to już czysty bałagan.

– Czyżby komisarz również smażył konfitury? – rzuciła bez namysłu.

Paulette parsknęła krótkim śmiechem, Jasmine spojrzała porozumiewawczo na Rose.

Frau Bellitz nic nie zauważyła.

– Nie, państwo Herzogowie zwykle dostawali kilka słoiczek na zimę od Emmy. W tym roku, ze zrozumiałej przyczyny, uznałam, że ktoś powinien przejąć ten obowiązek... – *Frau Bellitz* w zamyśleniu nabrała kolejną łyżeczkę konfitury, potem zjadła ze smakiem jeszcze trzy i dopiero wtedy podjęła przerwany wątek. – To była bardzo przyjemna wizyta, mimo tego nieszczęsnego gipsu. – Zrobiła znaczący gest w kierunku nogi spoczywającej na niskim zydelku. – Na szczęście syn mnie zawiózł i pomógł wnieść koszyk, a potem jeszcze pomógł Irmie wypakować słoiki z koszyka. Adam jest taki chętny do pomocy.

Rose zaproponowała, żeby *Frau Bellitz* została na kolację. To nie szkodzi, że zaraz zjawi się Adam, zapewniła. On też może do nich dołączyć.

Paulette zarumieniała się. Chcąc ukryć zmieszanie, sięgnęła do kredensu po

dwa dodatkowe talerze. *Frau Bellitz* nie chciała jednak zostać. Od lat nie jada kolacji. Jej mama zawsze twierdziła, że z pustym żołądkiem sypia się o wiele smaczniej i zdrowiej.

Paulette spojrzała na trzymane w rękach dwa talerze. Niechętnie odstawiła je na miejsce.

*

– Pamiętasz ten smak? – spytała Marianne Keller, podsuwając Cyrylowi gliniane naczynie. – To sól. Znasz to słowo?

– Sól... – powtórzył Cyryl. – Sól.

To było nawet przyjemne. Smakować, wąchać, dotykać. Słuchać głosu Ziółowej, powtarzać za nią, nazywać.

Prawdę mówiąc, Cyryl wolał głos i zapach tej Rudej, która budziła go codziennie rano. Nie pachniała rumiankiem i herbatą miętową, jak Ziółowa, tylko czymś dalekim, czego nie potrafił określić, chociaż ona twierdziła, że kiedyś był to jego ulubiony zapach. No, i bardziej mu się podobała tamta Kolorowa, z dołkiem w brodzie i piegowatym noskiem; Cyryl lubił piegi.

Ale Ziółowa też była w porządku, mimo że taka stonowana – spokojne ruchy, monotony głos, ubrania, wszystko w niej było zabarwione szarą zielenią, jak te suche gałązki w wazonie, które nazwała bylicą i piołunem. Ziółowa była ciepła i łagodna. Bez ostrych kantów, o które można by się boleśnie poobijać.

W ogóle ten dom dziwnie... nie bolał. Cyryl czuł się już całkiem swobodnie, sam wychodził na ganek i do ogrodu, kilka razy podszedł nawet do furtki. Ale na ulicę nie chciał wychodzić. Kolorowa próbowała pójść z nim raz do miasta, chciała kupić cukier i zapas słoików, Cyryl miał nieść torby. Ale niedobrze się to skończyło. Ledwie zamknęli za sobą furtkę, Cyrylowi pociemniało w oczach, omal nie zemdlął. Musieli wrócić do domu.

Ruda czyta mu książki i opowiada historie. Ma ładny głos. Cyryl lubi ją nie tylko dlatego, że ładnie pachnie, w ogóle dobrze mu się kojarzy. Tylko ten jej wzrok jest niepokojący, nie daje mu odetchnąć. Jakby na coś czekała. Na co? Chciałby się dowiedzieć, co powinien zrobić, żeby ruda dziewczyna przestała mu się tak przyglądać, tylko nie wie, o co ma zapytać.

Dlatego, słuchając, jak mu czyta, Cyryl stara się na nią nie patrzeć, zamyka oczy. Ale ona mu na to nie pozwala. Spójrz, jaka ciekawa okładka, mówi. Zobacz, jak w tej historii splatają się różne wątki. Śmieszna ta chmura, zauważyłeś, że ma złoty brzeżek? Jak myślisz, będzie z niej deszcz?

Widziałeś już to zdjęcie?

Kilka dni temu Ruda przyniosła pudełko fotografii i teraz często mu je pokazuje. Mówi: To jest Sophie, a to jej mama. Pamiętasz Sophie? Wczoraj wyjęła zdjęcia z koperty tak niezręcznie, że rozsypały się na dywanie. Cyryl

automatycznie schylił się i podniósł jedno z nich. Przedstawiało dom.

Jasmine wyciągnęła rękę.

– Daj – powiedziała. – To zdjęcie nic ci nie powie.

Ale on cofnął się, nie oddał zdjęcia. Poznał ten dom.

*

Chociaż nie umiałby tego wyjaśnić, Cyryl musiał przyznać, że Ruda miała rację. Rzeczywiście, lepiej wszystko widzieć, niż zamykać oczy. Pod zamkniętymi powiekami obrazy rozpadały się na części, tworząc dodatkowy szum w mieszaninie dźwięków, które już i tak nieustannie słyszał. I wszystko mieszało się jeszcze bardziej.

Dwa dni temu Ziółowa zrobiła mu koktajl. Zapewniała, że smaczny i zdrowy, owoce z dodatkiem greckiego jogurtu, bez cukru. Ale Cyryl nie chciał spróbować. Uciekł do pokoju. To urządzenie do mieszania pomieszało wszystko, kształty, kolory, smaki. Jeden wielki szum.

– To jest sól – powtórzyła Marianne Keller. Po ostatnim doświadczeniu z koktajlem wrócili z Cyrylem do obserwacji pojedynczych rzeczy. – To jest drewniana deska, a to porcelanowy kubek, biały z niebieskim wzorem. Tak smakuje cukier. Kakao. A tak jajko i pomidor. Pamiętasz smak cebuli?

Osobno, po kolei. Bez pośpiechu. To jest sól.

Cyryl dotknął białych ziarenek, a potem nabrał pełną łyżeczkę i włożył do ust. Zakrztusił się, ale połknął. Sól.

Kilka ziarenek posypało się na stół. Białe punkciki na białym obrusie – światło padające z okna wydobyło odmienne faktury grudek soli i lnianej przędzy. Białe na białym, a jednak widoczne, rozpoznawalne, inne.

– To. Jest. Sól – powtórzył głośno, powoli.

Marianne wstała i podeszła do zlewu. Odkręciła kurek z zimną wodą.

– A to jest woda – powiedziała, stawiając na stole szklany dzbanek.

Na przezroczystych ściankach osiadły od wewnątrz pęcherzyki powietrza. Długą chwilę siedzieli oboje nieruchomo, obserwując, jak pęcherzyki jeden po drugim odrywają się i zdążają ku górze, by tam rozbić się o chybotałą powierzchnię. W końcu rozkołysany ruch wody całkiem ustał.

Marianne oderwała wzrok od dzbanka.

– Wodę możesz wylać, jeśli chcesz. Możesz zrobić też wiele innych rzeczy. Możesz ją wypić. Możesz się w niej umyć. Podlać kwiaty. Rozpuścić w niej sól i woda stanie się słona. Albo posłodzić, przez dodanie cukru, miodu czy soku. A ja wtedy powiem: ta woda jest słodka, smakuje miodem. Albo malinami – zamilkła i znów, jak poprzednio, oboje długą chwilę siedzieli bez ruchu zapatrzeni w dzbanek.

Potem Marianne powiedziała:

– Sól i cukier są jak słowa, które możesz zanurzyć w strumieniu swojego umysłu. Ten strumień płynie bez ustanku, czujesz to, prawda? – Spojrzała na niego, zmuszając, aby i on na nią spojrzał. – I będzie płynął, dopóki go nie powstrzymasz i nie zaczniesz z niego wyławiać pojedynczych słów i obrazów. One tam są, wystarczy sięgnąć, wystarczy powiedzieć na głos: To jest sól. To jest woda. To był człowiek, który mnie uderzył. Pamiętam jego twarz, jego oczy. Kij w rękę.

Cyryl słuchał wpatrzony w Marianne szeroko otwartymi oczami. W końcu, zmęczony wysiłkiem, a może wzburzony nagłym przypomnieniem, skulił się i schował głowę w ramionach.

– Kolczyk – powiedział. – Pamiętam. Kolczyk w uchu.

LIST Z KWERENDY

J.

Wczoraj nareszcie przyszła Twoja odpowiedź na mój „List z jazzu”. Zaczęłam czytać, gdy nagle zatrzymałam się. Znam to, myślałam, to był inny list, lecz mówił o tym samym. Od kogo do kogo?

Czyżby *Listy do pani Z?* Ale nie, nie o Dygata mi chodziło. Już prędzej mogły to być *Listy Przybyszewskiej*. Pisane przez kobietę uzależnioną, całkowicie samotną i niezrozumianą (zmarła w Gdańsku, w wieku 35 lat!), są fascynujące i tak pełne gorczy, a przez to napięte do granic wytrzymałości, jakby dotyczyły prawdziwej namiętności. Jak, na przykład, ten do „Wiadomości Literackich”, w którym pisała o krótkich formach, nowelach i opowiadaniach, wymagających techniki wirtuoza, i o tym, jak spożytkować z pozorów niewiele znaczące wątki, w których nikt nic nie ukradł i tylko z rzadka ktoś kogoś pocałował. Albo inny list, o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, co wiszą w powietrzu jak wojna albo burza, ze swoim rzewnym, osłabiającym, starym sentymentalizmem, ze sztuczną świąteczną radością, śpiewaniem kolęd, łamaniem się opłatkiem i „niepowszednim i zgoła niewesołym oświetleniem choiny”. Przybyszewska, bezkompromisowa, jak to ona, ostro i bez złudzeń widziała w tym świątecznym omamieniu rytuał usytuowany poza i ponad człowiekiem, który „we wnętrzu swoim wie przecież, że to nieprawda”.

Ale to nie te listy i nie ta książka. Jedynie rodzaj napięcia był znajomy, stale obecny trochę jak lęk nasz powszedni, czy wszystkiemu sami podołamy. Nie mogłam sobie przypomnieć. Drżąc z napięcia i niecierpliwości, zamiast przygotowywać materiały do raportu, który miał być gotowy „na wczoraj”, ruszyłam na poszukiwania. Idąc za tropem, węszyłam niczym gończy polski, ten jakże szlachetny członek gromady psów myśliwskich, zrównoważony, łagodny i brawurowo odważny, ale też roztropny, inteligentny, podatny na tresurę. Nieufny w stosunku do obcych, acz nie agresywny, i z tej racji wysoce ceniony jako stróż. Czy wiedziałaś, że gończy polski charakteryzuje się „melodyjnym gonem o zmieniającej się tonacji”?

Tak minął mi wieczór. Na chybił trafił przeglądałam książki, przekładałam zdjęcia, bilety na koncert, czas płynął, a ja wciąż nie mogłam przyszpilić tamtej zapomnianej ćmy – o czyje listy mi chodziło? Do kogo? Wreszcie jest! Mała, cienka książeczka: Jeremi Przybora, *Dziecko szczęścia. Listy z podróży*, Warszawa 1975. Dlatego tak trudno było mi znaleźć, bo właśnie mała i cienka, „towar bez grzbietu”, jak to się dzisiaj mówi w wydawnictwach.

Uspokojona, zmieniałam kompres na kolano i posmarowałam łokieć maścią z arniki (skutki uboczne wczorajszego marszobiegu po naszej rozkopanej ulicy), po czym wróciłam na kanapę. *List ze Stadionu Sportów Suchych. List z parku jesiennego. List z Klubu Prasy, Z rogu ulicy Suczej.*

I, na koniec, jest – *List z Delikatesów*, czyli *Rêve d'amour*:

„Staliśmy z przyjacielem w ogonku po wędlinę. Ktoś z członków ogonka włączył aparacik tranzystorowy. Popłynęła melodia »Rêve d'amour« kompozytora Liszta, tak cudnie zinstrumentowana na wielką orkiestrę smyczkową, że chyba nie było w ogonku osoby muzycznej, na którą upojność melodii tej nie podziałałaby w jakimś stopniu, niezależnie od tego, czy był to ktoś nastawiony zasadniczo na Suchą Krakowską, Serdelki Eksportowe czy Superpodgardlaną de Luxe [...]”²³.

A więc o to mi chodziło: muzyka i listy. Zwierzyna upolowana, trofeum mogę przewiązać wstążką cytatu i zawiesić nad kanapą. Książeczkę czytałam dawno, tylko raz. Czy to możliwe, by pamięć poboczna zachowywała okruchy treści tak dokładnie tylko po to, by w odpowiedniej chwili coś mi podpowiedzieć, podsunąć, upomnieć się o przywołanie pierwowzoru?

Żyjemy w świecie cytatów. Jesteśmy utkani z cytatów. Paradoks polega na tym, że wprawdzie wszystko już było, to jednak dla nas dzieje się to zwykle po raz pierwszy. Wypowiadamy się w swoim imieniu, ale podpieramy cytatem, a cytując, świadomie lub bezwiednie, podszywamy się pod autora, przypisujemy sobie zasługi, podając cudzą myśl jako własną. Nie ma mowy o tantiemach, bo komu mielibyśmy je płacić? Ludzkości? I za co? To, co zapamiętane, wchłonięte przez komórki jako integralna część naszego ciała i umysłu, *de facto* staje się przecież naszą własnością. Więcej, jest naszą zasługą, bo przecież sami tę zwierzynę upolowaliśmy.

Gdzieś tutaj jest miejsce na tradycję, poczucie wspólnoty, rytualną powtarzalność, choćby tylko dzięki modzie. Czy Mary Quant powinna mnie ścigać za to, że w czasach studenckich nosiłam mini? Notabene, to nie był wcale jej pomysł, wcześniej minispódniczki nosiły spartańskie dziewczęta, w średniowieczu były elementem stroju kobiet z azjatyckiego ludu Miao. Dziś „krótka długość” w naturalny sposób i bez większych rewolucji znowu powróciła, tym razem z dość cynicznych pobudek: na uszycie mini idzie mniej materiału, mniej nici i mniej czasu, z takim szyciem nawet wietnamskie dziecko sobie poradzi. Wynikałoby z tego, że mniej nie tyle znaczy więcej, jak u Miesa van der Rohe, ile szybciej

i taniej.

Cytujemy z pasją i zaangażowaniem: ubieramy się w cytaty, uzupełniamy siebie o to, co zobaczone, usłyszane, noszone przez innych. Czy robimy tak dlatego, że chcemy być „jacyś”? Jacy powinniśmy być, żeby stać się jacyś: bardziej wyraziści i zindywidualizowani czy raczej zunifikowani i dzięki modzie mocniej osadzeni w czytelnych odwołaniach – to kwestia drugorzędna. Pociągające są wzorce same w sobie i to, co symbolizują: magiczny świat, świat, w którym nie ma pracy, trudu ani zmęczenia, są tylko bale i intrygi, zwycięstwa i namiętności, tajemnice i szczęśliwe zakończenia. I wszystko teraz, zaraz – natychmiast. A życie jest takie długie i monotonne, szare i nieokreślone. W życiu nie można raz na zawsze być szczęśliwym ani raz a dobrze wygrać. Wygrywa się i przegrywa małe i nic nieznaczące partie każdego dnia. I każdego dnia trzeba zaczynać od nowa, bez wytchnienia. Moda mówi o sile marzenia. Bywa, że cytat, z którego skorzystamy, jest jedynym spełnieniem.

Moje poszukiwania wprowadziły ryt myśliwski. Polowanie na dobre buty i ekologiczną cebulę, podobnie jak poszukiwanie miłości i właściwej drogi, zachowało wiele prehistorycznych cech polowania. Pod tym względem cywilizacja przegrała, ponieważ nie zdołała ujarzmić naszych instynktów. A może to nasze instynkty okazały się silniejsze niż cywilizacja, kultura i historia razem wzięte?

Do usłyszenia,

B.

PS Pytanie: co w tym kontekście oznacza „mieć własny styl”?

LIST Z POLOWANIA

J.

Polowanie trwa.

Zdobyć pożywienie i terytorium oznaczało zabić z potrzeby. Zabić znaczyło przeżyć. Tak było na początku.

Zaledwie kilka eonów później prawo do polowania dowodziło już statusu społecznego, pozwalało żyć lepiej i dostatniej. Kto mógł polować, jednocześnie zabraniając polowania innym, stawiał siebie w uprzywilejowanej pozycji, anektował ziemie, poddawał ludy i plemiona swojej władzy, jednym słowem, czerpał z tego korzyści.

Nic dziwnego, że polowanie stało się królewską rozrywką dla wybrańców. Przy dźwiękach rogów i ujadania smukłych chartów możni panowie wyruszali w knieje ze śmiercionośnym grotem, ostrzem, ołowianą kulą – gotowi do utoczenia szlachetnej krwi dumnego jednorożca. „Głos Pana łamał cedry, Pan łamał cedry Libanu”²⁴, powiada Pismo, lecz to od jego namiestników na ziemi – królów, książąt i cesarzy – oczekiwano, by w sztuce polowania doskonalili się od wczesnej młodości, a w sztuce zabijania upatrywali szlachetnej rozrywki i najwyższej przyjemności.

Tym „gorszym” pozostawało kłusownictwo.

Wielu słynnych myśliwych przeszło do historii nie tyle z racji myśliwskich trofeów, ile dzięki spisaniu swoich doświadczeń na kartach iluminowanych ksiąg. We Francji, tylko w XIV wieku, powstały aż trzy słynne traktaty; równie cenne księgi z tego okresu, traktujące o myślistwie, zachowały się w Hiszpanii, Niemczech i Anglii. Normandczyk Gace de La Bigne, który, jak sam wyznaje, uczył się łowiectwa od dziewiątego roku życia, w wieku dojrzałym, już jako kapelan królów Filipa VI, Jana II i Karola V, brał udział w niejednym polowaniu. Gdy po bitwie pod Poitiers, w 1356 roku, Jana II Dobrego pojmano i uwięziono, de La Bigne na życzenie króla pozostał przy nim jako osobisty spowiednik. To tam, w angielskim Hereford, na rozkaz królewskiego więźnia, de La Bigne rozpoczął pracę na traktatem o myślistwie z przeznaczeniem dla najmłodszego z czterech synów króla, wówczas czteroletniego księcia Filipa de Bourgogne, przyszłego Filipa Śmiałego. Polowanie, pisał, pomaga młodemu człowiekowi pokonać lenistwo i nabrać dobrych przyzwyczajęń, moralizującym tonem nawiązując do popularnych w owym czasie *Les Livres du roy Modus et de la royne Ratio* (Ksiąg króla Metodego i królowej Rozumu) Henriego de Ferrières. Zwłaszcza w jednej kwestii de La Bigne odniósł się szczegółowo do rozważań Ferrières’a: gdy dowodził wyższości polowania z jastrzębiami nad nagonką ze sforą psów.

Stare zasady gościnności wymagały, by podróżnego, który wstąpił w nasze progi, przyjaźnie pozdrowić, a po słowach powitania posadzić przy ogniu, napić i nakarmić, aby się ogrzał i odzyskał siły. Następnie należało uprzejmie wysłuchać opowieści o przygodach z dalekiego świata, na koniec zaś pozwolić gościowi odpocząć w czystym łożu. Zaraz jednak pojawia się przestroga: „Sam nigdy nie opuszczaj domu swego bez miecza i topora. Albowiem nie przeczujesz bitwy w kościach ani nie zdołasz przewidzieć walki”.

W Londynie, mimo jesiennych liści, wiał ciepły, niemal wiosenny wiatr. Warszawa przywitała mnie śniegiem.

Do usłyszenia,

B.

Rozdział 14: Sceny myśliwskie

Vincent od godziny przyglądał się swojemu domowi po drugiej stronie ulicy. I przez cały ten czas siedzący na ganku Cyryl Neuhaus nie poruszył się ani razu.

W tej chwili od strony ogrodu pojawił się ojciec. Wszedł na stopień, spojrzął na chłopaka, wskazał głową na niebo, coś powiedział, a potem machnął ręką, nakazując tamtemu, żeby się posunął. Teraz obaj siedzą na jednej ławce, nie rozmawiając, bez ruchu.

Drzwi wejściowe otworzyły się. To Rose. Spojrzała na obu mężczyzn, po czym zniknęła wewnątrz domu, ale tylko po to, by zaraz wrócić, tym razem z termosem i dwoma kubkami. Vincent rozpoznał je z daleka: były to pozostawione przez poprzednich właścicieli stare emaliowane kubki, w których on zwykle trzymał pędzle. Najwyraźniej Rose postanowiła przywrócić im dawną funkcję. Podawała kubki mężczyznom, a sama odkręciła termos. Nalewając parujący płyn, opowiadała coś, wskazując głową w kierunku portu, to znów za siebie, na ulicę.

Nie widzieli go. Nie zdawali sobie sprawy, że ktoś siedzi w aucie zaparkowanym pod drugiej stronie ulicy i ich obserwuje.

Na progu stanęła Paulette. Oparła się o framugę i pochyliła głowę, żeby spod dachu ganku spojrzeć na chmurne niebo. Zmarszczyła nos z niezadowoleniem. Machnęła ręką na deszcz, na wiatr, po czym machnęła ręką na nich: Chodźcie, jedzenie czeka. Weszli wszyscy do środka, ojciec jako ostatni.

Drzwi zamknęły się.

Vincent spojrzął na zegarek. Pora kolacji, *le dîner*. We Francji święty, nienaruszalny czas.

W oknach pokoju od frontu zgasło światło, pozostawiając tylko nikłą poświatę, znak, że wszyscy poszli do kuchni.

Vincent wyprostował się. To światło...

Wysiadł z auta, które odkupił od *Frau Bellitz*, a potem szybkim krokiem przeszedł przez ulicę i otworzył furtkę.

*

Drzwi nie były zamknięte na zamek. To dobrze, bo zamek się zacinał i klucz podczas przekręcania wydawał głośny zgrzyt, a on nie chciał narobić hałasu. Wszedł do sieni, powiesił kurtkę na wieszaku. Zwykle nic więcej poza jego kurtką tam nie wisiało, teraz wszystkie haczyki były zajęte.

W półmroku potknął się o jakiś sporych rozmiarów przedmiot, stojący na ziemi obok butów. Zaintrygowany Vincent przykucnął. Pakunek był nieforemny, zawinięty w gruby papier i przewiązany sznurkiem; papier w jednym miejscu został rozdarty, w środku coś błysnęło. Vincent wsunął rękę do środka, wyczuł pojemnik o lekko nierównej powierzchni, rurki...

Rozpoznał te kształty od razu. Nie do wiary, ojciec przywiózł tutaj ich stary miedziany alembik, którego używał do produkcji domowego *le marc*, destylując wyłoki i pestki winogron, żeby jak co roku zasilić piwniczkę. Stąd te wielkie walizy, jego i Paulette. Nicolas rzadko podróżował, od ostatniego spotkania z synem w Paryżu, o ile Vincentowi wiadomo, nigdzie nie wyjeżdżał. Najwyraźniej do tej podróży podszedł bardzo poważnie.

Co ojciec zamierza tu destylować? Wodę morską?

Vincent wstał i kręcąc głową z niedowierzaniem, spojrzął w kierunku uchylonych drzwi, skąd dobiegał przyciszony gwar rozmów i zapach, który tak dobrze znał: mieszaniny świeżego chleba, pieczonego mięsa, czosnku z ziołami, octu winnego i oliwy. Tak pachniały wieczory w domu, w Saint-Jean-de-Marsacq. Ludzie zabierają różne rzeczy w podróż. Jego ojciec, oprócz alembiku, przywiózł ten zapach.

Oparł się o ścianę i zamknął oczy.

Już dawno przestał sam przed sobą udawać. Dom, który stworzyli z Yvonne, był piękny, ale martwy. Dlatego wyjechał. Tyle tylko że jego ucieczka niewiele zmieniła, jedyna różnica polegała na tym, że martwy dom w la Roseraie zamienił na pusty dom na Sylcie. A Vincent wychował się z tym zapachem, z codzienną krzątaniną w domu, z dobiegającymi z kuchni głosami matki i Clotilde, niani, która go wychowała, a gdy Vincent podrósł, pozostała u nich jako gospodyni i kucharka. Z tymi odgłosami zasypiał, to one budziły go z rana.

Poczuł głód, ale nie wszedł do kuchni. Zamiast tego przeszedł przez ciemny salonik i skierował się do pracowni. Po omacku trafił do biurka, usiadł na krześle. Opierając się, wyczuł, że coś wisi na poręczy: bluza z kapturem, nie miał pojęcia czyja. Odłożył ją na kosz z gazetami, zapalił lampę. Dopiero wtedy zsunął z ramienia torbę, otworzył ją, wyjął szkicownik. Zaczął przerzucać zapełnione kartki, aż trafił na wolne miejsce.

Przez chwilę przesuwiał machinalnie dłonią wzdłuż szycia, nad czymś się zastanawiając.

Niepotrzebnie zgodził się na ten eksperyment Herzoga. Szalona rzecz, odpowiedzialna. W dodatku wcale nie musiała się udać, bo Vincent nie miał w tej materii doświadczenia. Nic nie wiedział o amnezji. Wprawdzie podczas wczorajszego spotkania w klinice doktor Lange wyjaśnił mu mechanizmy pamięci i wyparcia, podsunął schemat postępowania, uprzedził, jakie mogą być skutki (lub ich brak), ale to jeszcze nie oznaczało, że Vincent był przygotowany. Szukali malarza, nauczyciela rysunku, w porządku. Lecz zarazem chcieli, żeby był to ktoś funkcjonujący w normalnej rodzinie. A tego nie można było o nim powiedzieć.

Pokręcił głową zniechęcony. Przecież Kurt to wiedział. Tak, ta wyspa jest naprawdę szalona. I pomyśleć, że mieszkają tu skrupulatni, zasadniczy Niemcy. Dobrze, że przysłali terapeutkę. I może ta rudowłosa dziewczyna okaże się

pomocna.

Mimo wszystko nierozważny krok. Vincent oderwał wzrok od kartki i zapatrzył się w czarny prostokąt okna bez zasłon. To prawda, że był malarzem i nauczycielem, ale uczył matematyki, a nie rysunku, i było to bardzo dawno temu. Jutro zadzwoni do Kurta i powie mu, że jednak nie może się tego podjąć.

Postanowienie uspokoiło go. Przysunął szkicownik.

Przez chwilę pocierał czoło zamyślony, potem sięgnął po ołówek. Zaczął szkicować lekko, niemal niewidocznymi kreskami, nakładając jedną na drugą, w poszukiwaniu podobieństwa. Pracował szybko, bez namysłu, chcąc zachować spontaniczność rysunku, a zarazem dać swobodę myśli, jak zawsze ciekaw, w jakim stopniu udało mu się kogoś zapamiętać z przelotnych spotkań w barze czyną ulicy.

Zaczął od owalu głowy. Proporcje czoła do długości nosa i nosa do brody. Regularne łuki brwi, wklęsłość skroni, wysokie kości policzkowe i szare oczy, które w świetle wydawały się niemal przezroczyste jak woda. Zarys brody; miękka linia podpowiadała, że ta twarz długo będzie wyglądała na znacznie młodszą, niż była w rzeczywistości. Usta, to od nich zależy, czy portret będzie podobny. Trzeba uchwycić kontur warg, światłocieniem wydobyć ich wypukłości i zagłębienia, gotowość do śmiechu albo smutku. Prawdomówność. Skłonność do milczenia czy, jak w tym przypadku, raczej nieśmiałość, o czym świadczył niepewny uśmiech, gotów w każdej chwili zniknąć. I jeszcze burza rudych włosów nie do opanowania. Zwykle, gdy dziewczyna zjawiała się w barze, były zaplecione w warkocz i przyciśnięte filcowym kapelusikiem, ale i tak się wymykały.

Drugą twarz Vincent znał od lat, miał dość czasu i okazji do obserwacji, jak dziecięce rysy zmieniały się, nabierały wyrazistości i charakteru. W przeszłości nieraz ją rysował, w starych szkicownikach znalazłoby się sporo materiału do porównań.

Vincent lubił pierwsze szkice do portretów, ta faza wydawała mu się najciekawsza. Poszukiwanie podobieństwa miało w sobie coś z polowania. Tak musi się czuć myśliwy, tropiący zwierzę, które raz ukazuje mu się w pełnym widoku, to znów znika wśród drzew.

– Był pieprzyk. Tu nie ma – rozległ się nagle czyjś głos za jego plecami.

Vincent drgnął gwałtownie. Zajęty pracą, nie usłyszał hałasu, nie zauważył, że ktoś wszedł do pracowni.

Odwrócił się. Tuż za nim stał Cyryl. W mroku – lampa oświetlała tylko blat biurka i rozłożony na nim szkicownik – pochylona nad nim twarz wydawała się dziwnie blada. Vincentowi przemknęło przez myśl, że trudno byłoby tę twarz zdefiniować, ponieważ brak jej wyrazistego konturu. Czy zanik pamięci może pozbawić czyjeś rysy charakterystycznego kształtu? Zajęło mu dobrą chwilę, nim się zorientował, że linia owalu jest taka nieregularna nie tylko z powodu nikłego

światła, lecz również z powodu zarostu; był ciemny, źle ogolony.

Przez chwilę obaj milczeli.

Pierwszy odezwał się znowu Cyryl.

– Jas-mi-ne – wyskandował, dzieląc imię na sylaby. Dało się wyczuć, że w ostatnim czasie rzadko mówił. Pochylił się nad biurkiem i w narysowanej twarzy dotknął palcem miejsca między nosem a górną wargą. – Pieprzyk tutaj – powtórzył monotonnym głosem, jakby dopiero uczył się wypowiedzianych słów.

Vincent sięgnął po ołówek, chcąc uzupełnić rysunek we wskazanym miejscu. Uniósł rękę, odsłaniając przy tym sąsiednią stronę. Na widok drugiego portretu oczy Cyryla rozszerzyły się z niepokoju. Przez długą chwilę przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, wpatrując się w nie z natężeniem. Porównanie budziło w nim jakieś przypomnienie, na granicy przestachu.

Trwało to tak długo, że w końcu Vincent spytał cicho:

– Poznajesz?

Cyryl nie odpowiedział. Pochylił się nad Vincentem, wyjął mu ołówek z ręki i spojrzał ponownie na portret Sophie. Potem szybkim ruchem przekreślił jej twarz na krzyż. Kreśląc, za mocno przycisnął ołówek, zahaczył o papier i złamał grafit.

*

Zajęte rozmową, ani Rose, ani Paulette nie usłyszały pukania do drzwi.

Nie był to jednak Adam Bellitz, który miał zabrać Paulette do klubu, tylko komisarz Herzog.

Chciał natychmiast zobaczyć się z Vincentem.

– Jest w domu? – spytał, podając rękę Nicolasowi, który otworzył mu drzwi.
– Bo bar zamknięty na głucho.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Był zaaferowany, spieszył się. Nie okazał zdziwienia na widok Johannesesa, większe zainteresowanie wzbudziła w nim rozłożona plansza szachowa, trudno jednak było stwierdzić, czy dlatego, że różniła się od tradycyjnych plansz – czarne pola znajdowały się o kilka milimetrów wyżej od białych, a pionki mocowało się w nawierconych otworach – czy dlatego, że komisarz sam lubił szachy. Kojarzyły mu się z wolnym czasem i spokojną głową. Dawno nie grał.

Poklepał Agata po grzbiecie.

– Tam? – spytał, wskazując na drzwi do pracowni.

Nicolas skinął głową w milczeniu. Znał już Herzoga, wiedział, że jest komisarzem i pracuje w policji. Wizyta o tak późnej porze nie mogła wróżyć nic dobrego.

– Ma pan rację – mruknął Herzog, jakby odgadł, o czym tamten myśli. – Teraz dopiero wszystko się skomplikowało.

Otwierając drzwi do pracowni, zahaczył kieszenią płaszcza o klamkę.

Zniecierpliwiony, szarpnął mocniej. Klamka puściła, a może to kieszeń się naderwała pod wpływem szarpnięcia. Nie miał czasu na drobiazgi. Pewnie dlatego nie zauważył, że zamykając drzwi, przytrzasnął szalik, który zsunął mu się z szyi i spadł na podłogę.

Agat podszedł wolno do zamkniętych drzwi i ułożył się na progu. Pysk oparł na szaliku komisarza.

*

– Dziś w nocy do domu Hansa Meyera włamali się nieznani sprawcy. Gospodarz spał, aparat słuchowy miał wyłączony, nic nie usłyszał. Ale nawet gdyby się obudził i tak niewiele by zrobił, ponieważ klamka drzwi do jego sypialni została zablokowana krzesłem. Gdy w końcu się uwolnił i dotarł do Evy, był w szoku, zemdlał na jej progu. Waltzer wezwała pogotowie. W szpitalu Meyer dostał zawału, jest w ciężkim stanie.

Rozmawiali półgłosem, stojąc przy oknie, za którym ciemna deszczowa noc ograniczała pole widzenia. Widać było tylko krople spływające po szybie.

Vincent odwrócił wzrok od okna.

– Domyślcie się, jaki był motyw? Rabunek? Meyer miał cenne zbiory, stare książki, kilimy, porcelanę. Ale równie dobrze mogło chodzić o pieniądze, na przykład na narkotyki.

Herzog pokręcił głową. Nie powiedział jeszcze wszystkiego.

– Motyw to jedna sprawa, druga... – przerwał. Namyślał się przez chwilę, stukając palcami w parapet. – Druga sprawa to zasadnicze podobieństwa, które dopiero teraz, wobec wydarzeń ostatniej nocy, w nowej konfiguracji zaczęły tworzyć pewien spójny trop. Pomyśl, po tylu latach... – umilkł.

– Możesz mówić jaśniej? – Vincent zrobił zachęcający ruch ręką. – A przynajmniej dokończyć ostatnie zdanie?

– Chodzi o swastykę.

Vincent uniósł brwi.

– O swastykę? – powtórzył ostrożnie.

– Ktoś nie tylko zdemolował meble i potłukł porcelanę, ale wyraźnie zaznaczył motyw swojego działania. I to zaznaczył w dosłownym znaczeniu tego słowa: wyrył swastykę nożem na drzwiach wejściowych – w głosie Herzoga brzmiało niedowierzanie. – Sam widzisz, po tylu latach...

Vincent obejrzał się za siebie, chcąc się upewnić, że Cyryl siedzący w fotelu pod lampą nie słyszy ich rozmowy.

– Czegoś tu jednak nie rozumiem... – Vincent myślał głośno, usiłując poskładać części łamigłówek. – Neonaziści są i działają, to wiemy nie od dziś. Ale dlaczego tutaj? Co mieli do Meyera? I dlaczego... – ściszył głos do szeptu. – Dlaczego Cyryl?

Z tego, co było wiadomo, Cyryla Neuhausa z Hansem Meyerem łączył jedynie wynajęty pokój. Tymczasem napastnik zachował się podobnie: jednego pobił, drugiemu zdemolował dom, ale w obu przypadkach pozostawił czytelny podpis.

– Masz rację, trop łączący te dwie ofiary jest dość powierzchowny, powiedziałbym, wręcz przypadkowy, a jednak...

– A jednak zdecydowanie zacieśnia krąg podejrzeń – dokończył za niego Vincent.

Herzog skinął głową.

– Co więcej, nie mamy pewności, czy napastnik uznał sprawę za zamkniętą. Dlatego na wszelki wypadek obstawiliśmy klinikę naszymi ludźmi. Jeśli była to jakaś pseudoorganizacja, Meyer nie jest bezpieczny. Mogą być kolejne ofiary.

Długą chwilę milczeli, każdy zajęty swoimi domysłami.

– To jeszcze nie koniec – podjął Herzog.

Swastyka na drzwiach wejściowych domu Meyera została wycięta nożem. Ściśle mówiąc, nożem do otwierania ostryg, który bez trudu udało się zidentyfikować. I ustalić właściciela. Nóż był nowy, niedawno zamówiony i przesłany pocztą z Ameryki na adres domowy klienta. Podwładni komisarza dotarli do właściwego urzędu pocztowego i zabezpieczyli potwierdzenie odbioru: osobą zamawiającą był sam Kurt Herzog.

Komisarz sięgnął do kieszeni prochowca, skąd wyciągnął butelkę francuskiej brandy. Postawił ją na parapecie ostrożnie, z uwagą, tak żeby szkło nie wydało żadnego dźwięku.

– Dziś o godzinie siedemnastej zostałem formalnie zawieszony w czynnościach służbowych – powiedział. – Odsunięto mnie od śledztwa. Do czasu wyjaśnienia sprawy mam zakaz opuszczania wyspy.

LIST ZE SNÓW

J.

Fascynuje mnie koncepcja czytania wyspy jako księgi historii naturalnej. Czuję, że tak właśnie czytali Gotlandię Bergman i Tarkowski, który na ukochanej wyspie tego pierwszego nakręcił swój ostatni, może najbardziej symboliczny film *Ofiarowanie*. Wzajemna fascynacja obu reżyserów, notabene, niekoniecznie szła w parze z ich światopoglądem czy rozumieniem sztuki. Dlatego, jak pisze jeden z recenzentów, dość przypadkowe wydają się formułowane na podstawie tego filmu porównania Boga Tarkowskiego do Boga Bergmana. Dla Bergmana Bóg zawsze był „Tym, który milczał”, niemową, nieobecnym pośród ludzi. U Tarkowskiego jest dokładnie odwrotnie.

Wróć jeszcze do snów. Ostatnio sny zaczęły mi się mieszać z rzeczywistością, co gorsza, nie są to moje sny. W snach Ewy powraca morze, które ma nade mną magiczną moc. Ty wybierasz się na Gotlandię, by, jak piszesz,

coś rozwikłać, a kto wie, może i zamknąć. Nie pojedę z Tobą, muszę wrócić na Sylt, i to szybko, nim będzie za późno. Zapytasz, dlaczego nie możemy się spotkać. Nie pytaj, ja już dawno przestałam. Księżyc pociąga za wszystkie sznurki, nie mamy na to żadnego wpływu. Możemy jedynie wracać do naszych snów jak do bezpiecznego portu.

Zacierając granice życia i teatru, Zbyszek Cybulski²⁵ snuł w Bim-Bomie przedziwne sny, przenosząc widzów do iluzorycznych ogrodów. Iluzorycznych, a jednak pozostających zawsze w ścisłym związku z miejscem i miarą czasową. Rzeźbił scenę w głąb, budując perspektywę kolejnymi kurtynami, natężeniem dźwięku. Kadrował sceny, lawirując między zbliżeniami, planami ogólnymi i bardzo dalekimi nie tylko obrazem, ale i dźwiękiem, raz bliskim, to znów dalekim, wybrzmiewającym w oddali. Przenikanie planów, w filmie oznaczające upływ czasu, osiągał łagodną zmianą światła, nakładaniem się planów świetlnych; na proscenium obowiązywała teraźniejszość, bieżąca chwila przedstawienia. Bywało, że postaci zza kolejnych kurtyn, z owych innych światów, zbudowanych z iluzji i marzeń sennych, przenikały do „teraźniejszości”, naruszając terytorium czasu współczesnego, anektując przestrzenie, o których „tam” mogły tylko śnić. Sceny kończyły się zaciemnieniem, typowym dla klasycznego języka filmowego, gdzie zanikanie kończyło jedną opowieść, a zaczynało następną.

Cybulski instynktownie odczytywał sens współczesności. Jak wtedy gdy podpatrywał młodzież wyczekującą pod domem towarowym. Nie było jeszcze filmów z Deanem, a Beckett z Godotem dopiero co zawitali w warszawskim Teatrze Współczesnym. Cybulski ze swoją inscenizacją bezbłędnie przeczuł nadejście nowej fali. Na razie było to tylko przecucie, ale już – w dzinsach uszytych przez matkę kolegi z żaglowego płótna, które farbowało się w domu, z dodatkiem octu do płukania.

Oto ta scena.

Młodzi ludzie przed domem towarowym. Nic nie robią. Jedni trzymają ręce w kieszeniach, inni palą papierosy. Cybulski przystaje, zaczepia, ucina sobie pogawędkę. Pyta, co robią.

– Czekamy – mówią.

– Na co?

– Aż coś się wydarzy.

Był rok 1957. Na planie *Popiołu i diamentu* Cybulski stoi oparty o framugę drzwi, kołysze się, czeka. Drzwi skrzypnęły. Niepokój, zawieszenie w czasie, wahadło emocji rozhuśtane do granic wytrzymałości, wszystko w tym było, i jeszcze coś: tajemnica.

Tajemnicą jest los, a my przypominamy kawałki stłuczonego szkła, łatwo zranić się każdym z nas, ponieważ nie wiemy, kto i jaką rolę nam przypisał. A możliwe, że jest jeszcze gorzej, niż nam się wydaje: że nie ma żadnego losu

i nikt nic nikomu nie przypisał. Żyjemy i ginimy bez przyczyny.

Tyle na dziś, za chwilę świt. Ubiorę się, pójde do piekarni po chałkę i rogaliki. Potem śniadanie, dzień, czas – do kolejnej odsłony.

Pisz!

B.

Rozdział 15: Gra w klasy

Kurt Herzog siedział na skrzynce po ostrygach, obserwując ponuro, jak woda z leniwym chłupotem omywa mu kalosze. Wokół niego, w równych rzędach, niczym bruzdy na ornym polu, ciągnęła się jego morska hodowla.

Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nie chodziło o to, że ktoś usiłował go wyłączyć z gry, tylko że mu się to powiodło, i to w tak dziecinnie prosty sposób: użył skradzionego noża, a następnie porzucił go na miejscu zdarzenia. Prawdziwi przestępcy nie robią takich rzeczy dlatego, że są aż tak głupi, nie robią tego nawet po to, żeby okazać pogardę dla rzekomo niskiego poziomu inteligencji policjantów czy śledczych. Odwrócić uwagę, o to chodzi. Zyskać na czasie.

To niemożliwe, powtórzył Herzog w myślach już chyba po raz setny, to po prostu nie może być prawda. A jednak jego przełożeni nie mieli wyjścia – fakty mówiły same za siebie. Czy nóż należał do Herzoga? Należał. Czy najpierw znajdował się u Herzoga w domu, a potem znaleziono go na progu domu Hansa Meyera? Tak. I Herzog został odsunięty od śledztwa, a sprawca osiągnął cel – zyskał na czasie.

Wprawdzie „góra” natychmiast wyznaczyła następcę na miejsce komisarza, ale nowy śledczy będzie musiał rozpoznać sprawę, a to zawsze trochę trwa. Tymczasem, ktokolwiek pobił Cyryla Neuhausa, a następnie włamał się do Hansa Meyera, by zniszczyć i splądrować jego dom, przy okazji demonstrując przekonania polityczne, pozostaje na wolności. Może dalej działać.

Herzog wstał i rozprostował ramiona; w grząskim podłożu woda pod kaloszami zabulgotała z głośnym mlaśnięciem.

– Czas zabrać się do roboty – mruknął. – W przeciwnym razie nie zdążę przed przyływem.

Uśmiechnął się zadowolony. Był czwartek, godziny pracy, a on od rana, zamiast tkwić za biurkiem albo mordować się w terenie, goniąc za przestępcami, siedział nad morzem, niemal jak wolny człowiek. Nie ma co narzekać. Nareszcie mógł się przekonać, co miał na myśli jego znajomy ze Scotland Yardu, z którym przez kilka lat współpracował, gdy Interpol rozpracowywał północny kanał przemytu dzieł sztuki zrabowanych przez Niemców podczas wojny na terenach okupowanych. Gdy Dobsona pewnego razu zawieszono, wpadł na Sylt bez zapowiedzi „na lotną inspekcję”, jak się wyraził. Wybrali się z Herzogiem na piwo. Po trzeciej kolejce John stwierdził sentencjonalnie: *Each failure comes with its own reward, be it but a pint of stout or a day off.*

Tak, wolny dzień, a może nawet wiele dni, to w sumie przyjemna perspektywa. Zwłaszcza że idą święta. Rodzina będzie zachwycona.

Z nową energią zabrał się do czyszczenia i naprawy klatek. Przy takim

zajęciu myślało mu się najlepiej: gdy łątał przerwane oczka w drucianych siatkach albo oskrobywał je z uciążliwych glonów i drobnych muszli.

Myślenia nikt mi nie może zabronić, uznał. Zwłaszcza teraz.

Skrzywił się na wspomnienie rozmowy, jaką odbył z szefem poprzedniego dnia.

*

Herzog poszedł do nadinspektora Tannenbergą nie po to, żeby go przekonywać o swojej niewinności. Nie zamierzał się tłumaczyć, byłoby to poniżej jego godności. Z tego powodu również nie wspomniał, że nóż, przysłany ze Stanów kilka dni wcześniej prosto od producenta, był czysty i piękny. Herzog odebrał przesyłkę z urzędu pocztowego, rozpakował i wpadł w zachwyt nad jakością stali i kształtem ostrza. Nóż położył na stole w kuchni, żeby móc się nacieszyć jego widokiem. Pozostawił odciski palców, oczywiście, że tak. Czy to dziwne? Człowiek nie zaciera swoich śladów na przedmiotach, których używa we własnym domu. A pięknych przedmiotów nie używa do celów niezgodnych z prawem. Przynajmniej on by nie użył.

W milczeniu przyjął do wiadomości, że jako właściciel „dowodu w sprawie” znalazł się na liście podejrzanych. Niekoniecznie o dokonanie czynów przestępczych, ale w taki czy inny sposób zamieszanych. Tak się wyraził jego przełożony: komisarz Kurt Herzog był zamieszany.

Wydało mu się to absurdalne, choć niepozbawione racjonalnych przesłanek. Nie miał alibi, a policja miała jego nóż. Jeśli w istocie był niewinny, to tylko dlatego, że sam o tym wiedział. Z zasady nie robił takich rzeczy: nie bił ludzi, nawet jeśli się z nimi z jakiegoś powodu nie zgadzał. Nie plądrował ich domów.

Mimo wszystko nie potrafił ukryć rozczarowania. Wbrew temu, co na początku sądził, sprawa okazała się rozwojowa, i to w dość nieoczekiwanym kierunku. Była jak partia szachów, a on lubił grać w szachy, choć od dawna nie miał na to czasu.

Bez słowa uścisnął dłoń szefa, w milczeniu opuścił jego gabinet. Nim doszedł do swojego pokoju, przystanął na korytarzu. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. Następnie zawrócił, gestem dłoni powstrzymał sekretarkę, która na jego widok uniosła się z krzesła z widocznym zamiarem interwencji.

Otworzył drzwi do gabinetu.

– Przypominam ci, że w biegach terenowych na orientację zawsze byłem najlepszy. – W latach licealnych Herzog chodził z Tannenbergiem do jednej klasy. – Możesz mi odebrać sprawę, możesz mnie zawiesić w czynnościach, ale myśleć mi nie zabronisz. Zobaczmy, kto pierwszy dobiegnie do mety. I nie licz na to, że wam pomogę. – W jego głosie pojawiła się nuta ostrzeżenia. – Działam sam i po swojemu. I nie wchodzimy sobie w drogę!

Wychodząc, trzasnął drzwiami.

O ile znał nadinspektora Petera Tannenberga, a znał go dobrze, wiedział, że jego szef jest człowiekiem pragmatycznym. Zwróci się do Herzoga o pomoc, gdy tylko się zorientuje, że jego następcą nie posunął śledztwa do przodu. Zwłaszcza że zbliżał się koniec roku, a niedokończone sprawy psuły statystyki.

Tymczasem jednak został odsunięty od roboty. Miał wakacje.

Pod koniec dnia przekazał protokoły i materiały ze śledztwa. Wśród dowodów rzeczowych znajdował się – zamknięty w plastikowym woreczku i opatrzony fiską z numerem ewidencyjnym – jego własny nóż do ostryg.

Posprzątał na biurku i w szufladzie, na co nigdy, nawet przed Bożym Narodzeniem, nie miał czasu. Zdał broń do magazynu, przepustkę służbową zostawił na biurku w sekretariacie. Z nikim się nie pożegnał.

Wsiadł do samochodu. Nim przekręcił kluczyk w stacyjce, zadzwonił do żony.

– Wrócę dziś później – powiedział. – Nie czekaj z kolacją.

Po drodze kupił butelkę brandy.

*

Jego następcą, młody i niedoświadczony, ale pełen zapału podkomisarz Jan Rattner, przejął sprawę następnego dnia. Określił ją jako prostą i zmierzającą do szybkiego zamknięcia. Przystudiował raporty swojego poprzednika, przeanalizował jego wnioski i przedstawione poszlaki. Nie miał pytań.

Natomiast pytania miałby zapewne komisarz Herzog, który tymczasem, z powodu braku postępów w tym śledztwie, został oddelegowany do innych zadań, a następnie, z powodu fałszywej poszlaki – zawieszony. A który teraz wreszcie zdobył niezbity dowód na to, że sprawa w istocie była: a) zawiła, b) wielowątkowa i rozwojowa oraz c) ze wszech miar interesująca. W świetle ostatnich wydarzeń hipoteza Herzoga nabrała nowego wymiaru. Pojawił się klucz, jakiego zabrakło przy pierwszym incydencie. I, zawieszony czy nie, Herzog nie zamierzał takiej okazji przepuścić.

Czyny brutalne niekoniecznie muszą być przestępstwem głównym w danej sprawie, choć przez prawo winny być traktowane równie surowo. Nasuwało się oczywiste pytanie: czy między pierwszym zdarzeniem, to jest pobiciem z użyciem kija baseballowego i wypaleniem znamienia na plecach ofiary, a zniszczeniami w domu Hansa Meyera, dokonanymi niedługo potem, istniał jakiś logiczny związek poza faktem, że Neuhaus w tym czasie wynajął u Meyera pokój?

I poza swastyką.

Prowadząc śledztwo, nieraz trudno rozdzielić procedury służbowe od działań na wpół prywatnych czy mniej lub bardziej nieoficjalnych, o których zazwyczaj nie informuje się przełożonych. Pod tym względem Herzog nie był wyjątkiem. Miał

swoje metody, ścieżki i kontakty, niejednokrotnie korzystał z pomocy zaufanych informatorów. I jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że to, czego się nieoficjalnie dowiedział i do czego sam doszedł, mogłoby pomóc w rozwiązaniu zagadki, nie zamierzał udostępniać swoich źródeł. Nie dlatego że był rozgoryczony. Takie są niepisane prawa tego zawodu i należy je traktować jako jeden z nielicznych przywilejów. Z innych, jeśli takowe w ogóle istniały, komisarz Herzog jak dotychczas nie miał okazji skorzystać.

Był już wieczór, gdy zagłębiając się w swoim fotelu w salonie, skończył przeglądać notatki. Odchylił się na oparcie i zamknął oczy, w myślach zestawiając fakty, których mógł być pewien. Wciąż niewiele, ale wystarczająco, by potwierdzić słuszność jego hipotezy, czuł to intuicyjnie. A intuicja go nigdy nie zawodziła.

Przeciągnął się, ziewnął głośno. Po wielu godzinach spędzonych na świeżym powietrzu ogarnęła go senność. Ale nie mógł sobie pozwolić na drzemkę. Był umówiony.

*

Vincent już na niego czekał.

– Mam nadzieję, że na coś ci się to przyda – powiedział, wręczając mu jeden ze swoich zeszytów. – Zdaję sobie sprawę, że się spóźniłem z tym pomysłem. Ale po naszej wczorajszej rozmowie...

To była ciekawa rozmowa. Obaj byli zmęczeni i przygnębieni, dlatego Kurt nie zagadnął o postępy w terapii Cyryla Neuhaus, a Vincent nie spytał, czy przełożeni Kurta nie zmienili zdania w sprawie jego zawieszenia. Nie wspomniął też o swoich wątpliwościach w roli nauczyciela. Będzie jeszcze okazja.

Rozmawiali o teorii widzenia. Policja, argumentował Vincent, zazwyczaj wychodzi z założenia, że każdy świadek opisuje dokładnie to, co widział, nawet jeśli jest to opis subiektywny, co już samo w sobie stanowi swoistą odmianę manipulacji. Pomijając kwestię strachu czy celowego kłamstwa, jesteśmy skłonni uznać zapamiętane szczegóły za części realnego świata.

– A moim zdaniem zapamiętujemy kształty i kolory. Wychwytujemy je w dowolnym porządku i wrzucamy do worka pełnego innych, wcześniej zapamiętanych, przypadkowych obrazów. Bez związku, bez kontekstu, w oderwaniu od rzeczywistości są to dane z waszego punktu widzenia bezużyteczne. Wasze „przyciskanie świadków” nie ma sensu, ponieważ nie odpowiada regułom percepcji. Dlatego tak łatwo coś upozorować. Tu nie chodzi o twoją inteligencję, tylko o twoje oczy.

– Do czego zmierzasz?

– Pamiętasz te dwa luźne szkice, o które zapytałeś jakiś czas temu? – A gdy Herzog przytaknął, Vincent ciągnął dalej. – To oczywiście, że pokazanie ich świadkom niewiele by dało. Co by zobaczyli? To samo co ja, rysując. Szcupłego

mężczyznę w pomarańczowej kurtce z kapturem. Długie włosy, wąskie nogawki. Plama koloru. Alespójrz na to.

Herzog pochylił się nad otwartym zeszytem. Długą chwilę przyglądał się szkicom, po czym podniósł wzrok. Vincent skinął głową.

– Twarz z fotografii dostarczonej przez tę rudą dziewczynę nie pomogła w identyfikacji, prawda? Dlaczego? Z powodu kontekstu, a raczej jego braku. Zabrakło zapisu miejsca, pory dnia, sytuacji. Takie są fotografie w paszportach i wszelkich dowodach osobistych. Wyabstrahowane z rzeczywistości, kłamią, a przynajmniej nie mówią prawdy o człowieku. Natomiast tutaj...

Herzog słuchał uważnie, jeszcze uważniej wpatrując się w rysunki przyjaciela.

– Natomiast tutaj kontekst jest zwornikiem mojej pamięci – podjął Vincent, stukając palcem w otwarte strony. – To było w banku. A to na dworcu. Tam go widziałem. Wyglądem i zachowaniem odbiegał od... – zaśmiał się. – Chciałem powiedzieć „od normy”, ale to nie tak. Nie był ani mieszkańcem, ani turystą, zwrócił moją uwagę, bo był w nim dziwny wewnętrzny opór, tak. Jakby musiał coś załatwić, a nie miał na to ochoty.

*

Poprzednim razem, gdy Herzog ją przesłuchiwał, urzędniczka z kasy dworcowej nie była chętna do rozmowy. Udzielanie tego typu informacji, a tym bardziej snucie domysłów nie należy do jej obowiązków, oznajmiła sucho. Ludzie codziennie wystają przed rozkładem jazdy, zastanawiają się, spisują godziny, konferują przez telefon, nie ma się czemu dziwić. Młody człowiek? Może i był taki. Do hali dworca wpadł z impetem, z komórką przy uchu, dlatego go zapamiętała. Ale skąd ona może wiedzieć, czy to o niego chodziło?

Teraz ponownie przyjrzała się fotografii Cyryla, a potem długą chwilę wpatrywała się w kolorowy szkic przedstawiający znajomą scenerię. I wcale nie dlatego, że komisarz pozwolił sobie na niezbyt delikatną uwagę na temat jej spostrzegawczości. Co on może wiedzieć o pracy w okienku kasowym po osiem godzin dziennie przez okrągły rok?

Po prostu dopiero w zestawieniu z rysunkiem to zdjęcie coś jej przypomniało.

– Ale mogę się mylić – zaznaczyła dla porządku.

Jechała autobusem do pracy i ten chłopak...

– Pan wybaczy, ale wygląda tak młodo, zupełnie jak mój syn. Usiadł na siedzeniu przy oknie, za kierowcą. Robił zdjęcia komórką. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo u nas na każdym kroku spotyka się gromady zachwyconych turystów. Ale jego nie interesowała wyspa, krajobrazy, hotele, nic z tych rzeczy. – Zastanawiała się przez chwilę. – On fotografował niebo. Tak, niebo, chmury, ptaki,

bo komórkę ustawiał, o tak. – Na dowód uniosła ręce do góry. – Zabawnie przy tym wyglądał, szyję wyciągał jak żuraw.

Gdy dwie godziny później Herzog dotarł do List, Lothar Krass, z którym umówił się na wizję lokalną, już czekał. Wskazał miejsce, gdzie nawrócił wywrotką i gdzie zrzucił żwir.

– Co działo się potem?

– Nic się nie działo. – Krass wzruszył ramionami. Wyjął paczkę gumy do żucia i zaczął powoli ją rozpakowywać. Próbuje rzucić palenie, wyjaśnił.

Spojrzał pytająco na Herzoga, ale ten pokręcił głową. Nie palił, a gumy do żucia nie lubił.

– Nic się nie działo – powtórzył. – Musiałem nawrócić samochodem, żeby skierować naczepę na podjazd po drugiej stronie. Wtedy go zobaczyłem. Biegł. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął, wcześniej go nie zauważyłem. Pędem wyminął mój wóz, ale zamiast w stronę miasta albo do tamtego domu naprzeciwko – wskazał na posesję Hansa Meyera – on bez zastanowienia pobiegł tam, prosto na wydmy. No, ale pan pytał o młodego człowieka w żółtej kurtce. A ten był co prawda młody, ale bez kurtki. Dlatego o tym nie wspominałem. Nie było o czym.

Na zdjęcie, które mu pokazał, Krass nie zareagował. Herzog powoli zaczął pojmować, co Vincent miał na myśli. Otworzył jego szkicownik i przez chwilę wertował kartki. W końcu odwrócił zeszyt i stuknął palcem.

– To on?

Krass wziął zeszyt z rąk Herzoga i pochylił się nad rysunkiem. Przyglądał się, oddalał go i przybliżał, próbując uchwycić podobieństwo. W końcu pokręcił głową. Tamten był w jakimś burym swetrze.

– To nie on. Ale tego gościa też widziałem, tylko nie pamiętam gdzie. – Zmarszczył brwi, usiłując coś sobie przypomnieć. – Już wiem.

Herzog wyprostował się.

– Tak?

– Tutaj, na plaży.

– Na plaży – powtórzył Herzog. Według Meyera Cyryl na plażę ani na klify się nie wybierał z braku czasu. Ale to jeszcze nic nie znaczy. – Jest pan pewien?

Mężczyzna zamknął szkicownik.

– Ja tam nie wiem, kto to był. Po prostu ktoś w odblaskowym pomarańczowym skafandrze, takim jak ten na rysunku. Nie po to poszedłem na plażę, żeby podglądać ludzi, tylko żeby... – zawahał się. – Miałem powód do świętowania, poza tym chciałem w spokoju wypalić ostatniego papierosa. Tak, bo postanowiłem, że to będzie ostatni. Do tego knajpa z kumplami mi nie pasowała. A na tamtego zwróciłem uwagę, bo dziwnie się zachowywał.

– To znaczy?

– Trudno to powiedzieć, był pochmurny dzień, no i zrobiło się późno. Ten

tutaj – wskazał na szpicownik, który oddał Herzogowi – siedział skulony na piasku i... Sam nie wiem, jakby dawał znaki? Bo raz za razem migał jakimś światłem, może świecił latarką? Ale może to była komórka.

Wrócili razem na ulicę w milczeniu, pożegnali się. Krass wszedł do auta. Już miał odjechać, gdy Herzog zatrzymał go ruchem ręki.

– Zawsze pan świętuje na plaży, Krass? – A gdy tamten tylko się roześmiał, wskazał za siebie, na plażę, skąd właśnie przyszli. – I zawsze tutaj?

*

Odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód. Potem wolnym krokiem zawrócił w stronę plaży. Zatrzymał się na pomoście biegnącym przez wydmy, w tym samym miejscu, gdzie chwilę wcześniej rozmawiał z Krassem. Dzień był pochmurny, ale stosunkowo ciepły. Powietrze przesycone wilgocią lepiło się do twarzy.

Herzog rozejrzał się. Sylt to niewielka wyspa, ale *Frau* Bellitz nie miała racji, twierdząc, że tutaj nic się nie ukryje. Dochodziło południe, a na wydmach ani na plaży, jak okiem sięgnąć, nie było nikogo. Jedynie spłowiałe trawy kładły się w porywach wiatru białymi falami na piasku. Daleka perspektywa dawała poczucie przestrzeni.

Tak, doskonale miejsce. Pusto, żadnych świadków. W razie potrzeby można coś ukryć albo zakopać. Gdyby Neuhaus miał coś do ukrycia, przyszedłby właśnie tutaj. Sam również mógł się tu zaszyć, bez obawy, że ktoś go zauważy. Blisko domu Meyera, a jednak na odludziu.

Jeśli to w ogóle był on.

Z miejsca gdzie stał, dom Meyera był dobrze widoczny. Herzog skrzywił się. Po co Neuhaus miałby go stąd obserwować, skoro gospodarz dał mu klucz, a w dodatku był głuchy jak pień?

Siedział na plaży i dawał znaki latarką? Komu, w jakim celu? Kierowcy musiało się coś przywidzieć.

Krass zeznał, że biegnący młody mężczyzna miał na sobie sweter. Kurtka? Nieważne, żółta czy pomarańczowa, mógł ją zdjąć i ukryć wraz z plecakiem gdzieś na wydmach, a potem z jakiegoś powodu nie zdołał po nie wrócić. Może ktoś mu je ukradł?

Westchnął zniechęcony. Już mu się zdawało, że wie, czego szuka. Że wystarczy odtworzyć tamten dzień, gdy Neuhaus pojawił się na wyspie, a cel jego przyjazdu i powód, dla którego został napadnięty i porzucony na ulicy, same ułożą się w logiczny ciąg przyczyni skutków.

Zszedł na plażę i usiadł na piasku, w miejscu wskazanym przez Krassa. Próbował rozważyć hipotetyczne warianty. Pierwszy, zakładający, że Krass widział dwóch różnych mężczyzn, drugi – że był to ten sam mężczyzna w dwóch różnych

miejscach, o dwóch różnych porach, który wcale nie zapomniał kurtki, tylko włożył ją później, ponieważ zmarzył, siedząc na plaży. Nadal jednak nie było pewności, że chodziło o Neuhaus. (Zeznania Meyera: „Kurtka była żółta i nieprzemakalna, jak te rybackie, tyle że bez kaptura. Akurat to zapamiętałem bardzo dokładnie, bo pomyślałem, że turyści nieczęsto są aż tak dobrze przygotowani na tutejsze warunki”). Ani że to o nim mówiła kasjerka. („Wpadł z takim impetem, że wszyscy się na niego obejrżeli”). Z kim rozmawiał przez telefon na dworcu? I po co prosto stamtąd poszedł do banku, skoro nic nie załatwiwszy, zaraz stamtąd wyszedł? Jak wspominał Vincent, tylko dlatego zwrócił na nie-go uwagę.

A jeśli to nie był on?

Przy wszystkich wątpliwościach, jakie budziły rozbieżności w zeznaniach świadków, jedynie trop prowadzący z powrotem do List wydawał się dość pewny. Kierowca autobusu zapamiętał Neuhaus, ponieważ wiozł go wcześniej w przeciwną stronę, do Westerlandu, a popołudniowy kurs powrotny był luźny, wsiadło niewielu pasażerów. A jednak w domu Meyera Cyryl więcej się nie pokazał. Również w mieście nikt go nie widział; Herzog już wcześniej kazał sprawdzić bary, kluby i restauracje, zarówno w List, jak i w Westerlandzie. Zdjęcie dostarczone przez Jasmine Roegge ułatwiało identyfikację.

Albo utrudniało, zależy jak na to spojrzeć, skrzywił się Herzog, machinalnie wybierając z piasku kamyki, które ktoś ułożył w regularny wzór. Teorie Vincenta podkopały jego wiarę w portrety pamięciowe.

Niby sporo osób widziało Neuhaus, ale jak zaczynali go opisywać, można było odnieść wrażenie, że tego dnia na Sylt nastąpiła inwazja młodych mężczyzn w kolorowych kurtkach, z kapturem lub bez. Z szalikiem, za to bez plecaka. Lub odwrotnie. Jedyne podobieństwo do fotografii dotyczyło włosów: długich i ciemnych, kręconych, a może potarganych przez wiatr. Które po wypadku nie były już znakiem szczególnym Neuhaus, ponieważ w szpitalu ogolono mu głowę.

I tyle. Potem – luka, aż do momentu gdy Neuhaus pojawił się z powrotem w Westerlandzie, pobity i nieprzytomny, pod kołami samochodu dostawczego. Co robił w międzyczasie? Po co wrócił do List, skoro nie zamierzał zjawić się u Meyera na podwieczorku? Nikogo nie znał, z nikim się nie spotkał, nikt go nie widział. Czy na pewno?

Kto i dlaczego go pobił?

I jeszcze jedno. Dlaczego student, jak można się domyślać, o niezbyt wysokich dochodach, zamiast zostać w Keitum, gdzie wysiadł z pociągu, albo wybrać któryś z tanich hosteli w okolicy, pojechał do List, gdzie pokoje, nie tylko u Hansa Meyera, nie należały do najtańszych. Dlaczego tam?

A jeśli łączyło ich coś jeszcze?

Herzog uśmiechnął się lekko. Nie były to pytania, jakie zadałby młody

podkomisarz Rattner. Poczul się jak detektyw amator, który zwęszył trop.

*

Czas, którego Herzog miał teraz w nadmiarze, płynął w zwolnionym tempie. Kto wie, może nawet pozwoli sobie na partyjkę? Prawdę mówiąc, tak powinno wyglądać śledztwo: jak partia szachów. Praktyka dnia codziennego odbiegała od tej wizji.

Nie potrafił powiedzieć, po co wrócił na tę plażę. Po dniach jesiennej słoty było mało prawdopodobne, że znalazłby jeszcze jakieś ślady na piasku, nawet gdyby człowiekiem opisanym przez Krassa rzeczywiście był Cyryl, nieważne – w swetrze czy w skafandrze.

Pora się zbierać do domu.

Był już blisko ulicy, ale z jakiegoś powodu nie chciało mu się jeszcze stąd odchodzić. Zatrzymał się przy drewnianej ławce nagle znużony. Usiadł, łokcie oparł na kolanach i zapatrzył się w kępy trawy.

Czubkiem buta wydobyl spod warstwy piasku kupkę śmieci, które ktoś zakopał: skórkę od banana, opakowanie po batonie i zmięty świstek zadrukowanego papieru. Uniósł brwi. Przecież obok stoi kosz na odpadki, pomyślał.

Schylił się, pozbierał śmieci, wyrzucił do kosza. Ponownie przegarnął piasek butem, ale nie było nic więcej. Już miał wstać, gdy nagle kątem oka dostrzegł coś pod ławką. Sięgnął głębiej.

*

Zawrócił na plażę niemal biegiem, jakby się bał, że ktoś go ujrzy z cudzą własnością w ręku. Zatrzymał się dopiero na brzegu morza.

W oddali zobaczył grupę koszy plażowych, ale był zbyt niecierpliwy, żeby tam iść. Usiadł wprost na piasku.

Plecak uszyty był z ciemnego materiału, impregnowany, niezbyt duży. (Zeznania Meyera: „Rzeczy? A tak, rzeczy. Pan Neuhaus wyszedł z takim... – Herzog zapamiętał precyzję, z jaką staruszek dobierał słowa. – Plecak kojarzy się z czymś większym, ten zaś był mały, płaski, powiedziałbym, poręczny”).

Fakt, mały. Niewiele się w nim mieściło. Pomarańczowy skafander z kapturem chowanym w kołnierzu, zmięty papierek po batonie i prawo jazdy. Szalik. I jeden spinacz biurowy.

Herzog gwizdnał przez zęby. Elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Wstał, otrzepał się z piasku. Spokojnym krokiem zawrócił w stronę ulicy, gdzie zaparkował auto. Przystanął przy drewnianej ławce, tej samej, na której wcześniej usiadł, żeby odpocząć. Obszedł ją dookoła, zajrzał ponownie pod spód,

przegarnął piasek już nie butem, ale rękoma. Na wszelki wypadek, gdyby wcześniej czegoś nie zauważył. Wyprostował się. Czysto.

Już miał odejść, gdy jego uwagę przykuł nowy widok. Z miejsca gdzie znajdowała się ławka, widać było wyraźnie wcale nie plażę i nie morze, i nie dom Meyera, tylko – dom Evy Waltzer. I samą Evę w jasno oświetlonym oknie na poddaszu.

*

Eva przedstawiła fakty w zwięzłej formie. Mówiąc, sprawiała wrażenie osoby szczerzej, która nie ma nic do ukrycia. Czy poznała Cyryla Neuhausę osobiście? I tak, i nie.

To znaczy?

Zadzwoił do niej na prośbę córki, która zapomniała zabrać z domu parę zimowych rzeczy. Nie, Eva nie widziała w tym nic dziwnego. Sophie poprosiła kolegę o drobną przysługę, czy to takie dziwne? Tyle że...

Zamyśliła się.

– Tyle że... – podchwycił komisarz, przywołując ją do rzeczywistości.

Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale z jakiegoś powodu rozmowa telefoniczna nie wzbudziła jej zaufania. Nie, nie pomyślała, że to oszust, złodziej czy ktoś w tym rodzaju. Przeciwnie, wydał jej się uczciwy i nieśmiały. Niepewny siebie. Ale to właśnie ta jego niepewność była w jakimś sensie alarmująca, obudziła jej czujność. Jakby nie miał złych intencji, a jednak kłamał, a przynajmniej nie mówił całej prawdy.

– Dlatego umówiłam się z nim na następny dzień w mieście. Miał przyjść do Johanna.

– I?

– I nic. Nie przyszedł. Nawet nie zadzwonił, żeby odwołać spotkanie, przeprosić. Teraz już wiem, z jakiego powodu, ale wtedy potwierdziło to tylko moje podejrzenia.

Herzog pochylił się nad notatnikiem, gdzie swoim zwyczajem wektorowo wykreślał rzeczywiste i domniemane powiązania osób mających związek ze sprawą. Nie poznali się, a jednak się znali. Umówili się, ale się nie spotkali.

Waltzer mówiła prawdę: nie poznała Cyryla. Gdy przywieziono go na oddział intensywnej opieki, gdzie tej nocy pełniła dyżur, był już człowiekiem bez twarzy i bez tożsamości. Minęło sporo czasu, nim się dowiedziała, kim naprawdę był.

LIST Z CHŁODU

Nie wiem, jaką macie teraz pogodę, u nas powiało mroźnym zimowym wiatrem.

Za oknem w kuchni stoi brzoza targana przez wiatr, niespokojna. Wieje

potężnie, a to oznacza, że zima za pasem, a wraz z nią długie zimowe wieczory w domu, rzadziej, mam nadzieję, przerywane podróżami. Chociaż sprawa, nad którą ostatnio pracujemy, okazała się zawiła (nowe ślady, dodatkowe komplikacje), a to zwykle oznacza dla mnie kolejne wyjazdy.

A zatem zima. Nigdy nie wiem, kiedy ta zmiana następuje, niekoniecznie z pierwszym śniegiem, po którym, bywa, wraca całkiem pogodna jesień, tyle że już mniej złota, a bardziej zgaszona. Tymczasem wiatr przekrzywia czapkę, przenika na wylot i mimo że potem znów wyskakuje słońce, trwa to krótko, bo za chwilę znów siecze deszcz ze śniegiem.

O tej porze roku jedynie ludzie zahartowani funkcjonują bez trudu, nadszarpniętym udaje się to gorzej – wiem, już to kiedyś mówiłam, ale dziś taki ziąb, że myśl sama powraca. Kołacze. Pasuje do sytuacji. W taką pogodę człowieka dopadają lęki, nowe i zadawnione, trudne do opanowania. Zresztą może to nie tylko pogoda.

Tak, to nie pogoda, raczej poczucie niemocy, nagarniania wody dziurawym sitem, co w moim przypadku wcale nie jest aż taką metaforą, na jaką wygląda. Jawi się nietzscheańska zemsta pustych rąk: „Miejcie się na baczności przed każdym, co doznaje gorzkiego uczucia rybaka, który po dniu pełnym mozołów wraca do domu z próżnymi sieciami”²⁶.

Na Sylcie również wietrznie i sztormowo, sprawdzałam prognozy. Szkoda, że zatrzymują Cię w Lizbonie. Wpadłabyś do Warszawy. Albo na Sylt, żeby zajrzeć do Johannesesa, może byśmy się czegoś dowiedziały.

B.

PS Jaki mamy teraz Księżyc – chmurny, wietrzny, na rozdrożu?

Rozdział 16: Gniewni ludzie

Na plaży było pusto.

Nikogo poza nim, ale on ukrył się na wydmach, żeby być niewidocznym. Co wcale nie oznaczało, że stał się niewidzialny. Chciałby w tej chwili całkiem zniknąć, tylko nie wiedział, jak to zrobić. Położył się na piasku wśród wysokich traw. Bał się.

Pająk odnalazł go w domu Vincenta, to i tutaj go dopadnie.

Zanik pamięci obudził w Cyrylu dziwny instynkt przetrwania. Uczucie było trudno uchwytnie, bo w jakiś sposób bezimienne. Odkąd stare synapsy się porwały, coś w nim – Cyryl nie potrafiłby dokładnie określić, czy chodziło tu o jego mózg, ciało czy też o instynkt i wolę życia – nauczyło go, jak sobie radzić w nieznanym terenie. Instynktownie jak zwierzę, atawistycznie jak praczłowiek. Ukryć się, wymknąć, wydostać. Przetrwać.

Tylko dzięki temu, nim Pająk wsiadł na swój motocykl, nim zdołał uruchomić silnik, Cyryl był już daleko: przeskoczył przez płot, jeden, potem drugi, przebiegł przez tereny kolejowe i jakiś plac budowy, a potem, skradając się wąskimi przesmykami między domami wśród ogrodów, dotarł na plażę. Kilka razy, gdy odgłos motoru zbliżył się niebezpiecznie, zmuszony był przywrzeć do muru albo do ziemi, to znów ukryć się za śmietnikiem, ale tamten go nie zauważył, i motocykl w końcu odjechał.

*

Rano obudził się późno. Nie chciało mu się wstawać, myć, ubierać ani robić tylu innych rzeczy, które Ruda i Kolorowa bez przerwy kazały mu robić. A *monsieur le Puy* zabraniał. Nie dotykaj, nie siadaj na grządkach, odsuń się, stań dalej. Zaczekaj na ganku, bo zaczęło padać.

W domu panowała cisza, wszyscy wyszli. Dobrze, pomyślał z ulgą. Miał dzień dla siebie, bo Ziółowa zapowiedziała, że przyjdzie dopiero wieczorem. Poleży sobie, posłucha płyty, tej samej co zawsze, jedynej, jakiej słuchał Vincent, gdy zaszywał się w swojej pracowni. Do której i on się przyzwyczał, mimo że z początku wydawała mu się niezrozumiała, drażniła.

Potem może wstanie. I będzie rysował. Może.

Sam nie lubił, wołał z Vincentem.

Rysowanie z Vincentem to była w ostatnim czasie najlepsza część jego dnia. Nareszcie Cyryl nic nie musiał, zwłaszcza nie musiał nic nazywać ani rozpoznawać, co było bardzo wyczerpujące. Siedzieli obok siebie i Vincent rysował swoje, a on swoje. Przyjemne uczucie, zwłaszcza gdy ręka sama się poruszała, bez pomocy głowy.

Teraz już – rysowała. Bo na początku Cyryl zupełnie nie rozumiał, czego się

od niego oczekuje, dlatego po prostu kopiował Vincenta, nie tyle rysunki, ile ruchy jego ręki. Kreska w lewo – w lewo, kreska w prawo – w prawo, a potem w dół i na ukos przez kartkę... Siedzieli obok siebie, prowadząc ołówki w tę samą stronę, w tym samym tempie. Albo naprzeciwko – wówczas wszystko, co narysował Cyryl, było w lustrzanym odbiciu i do góry nogami. Widząc to, Ruda śmiała się, że przypominają pływaków synchronicznych. Powiedziała, że zgłosi ich na olimpiadę.

Któregoś dnia właśnie zabrali się do rysowania, gdy Vincent niespodziewanie musiał wyjść. Odebrał telefon, chwilę słuchał, po czym bez słowa złapał plecak i z telefonem przy uchu dosłownie wybiegł z domu. Nawet się nie ubrał, a od rana padało. Angielka popędziła za nim ze sztormiakiem i parasolem, dogoniła przy furtce. Vincent się opierał, aż w końcu oboje zmokli, bo trochę jej zajęło, nim zdołała mu wcisnąć ten sztormiak. Ale parasola i tak nie zabrał.

Cyryl stał przy oknie. Oparty czołem o chłodną szybę, przyglądał się scenie na ścieżce. Chciał wiedzieć, czy Vincent, który właśnie walczył z Angielką o parasol (udało mu się), wsiądzie do auta i odjedzie, czy może jednak zawróci i znów będą razem rysować. Ale Vincent wsiadł i odjechał, co wytrąciło Cyryla z równowagi. Nie był na to przygotowany. Ogarnęła go panika, jak wtedy gdy po raz pierwszy wyszedł z Kolorową na ulicę.

Stał długo, najpierw przy oknie, potem na środku pokoju, czekając. Czas mijał, ale Vincent nie wracał. Cyryl usiadł przy biurku, przysunął szkicownik Vincenta i zaczął machinalnie przerzucać kartki. Odkrył, że go to bawi: oglądając kolejne rysunki, dotykał palcami nie tyle kresek i konturów, ile ludzi, domów, kutrów rybackich. W rzeczywistości to niemożliwe, nie dotykamy czyjejs twarzy, nie dosięgniemy ręką do masztu czy komina, nie zatrzymamy spadającego liścia ani morskiej fali. A w szkicowniku Vincenta Cyryl mógł pogłaskać twarz dziewczyny, która przysłała do niego jednej nocy, a on ją objął i pokochał. Przyłożył szkicownik do policzka. Byli znów tak blisko.

*

Rysowanie to ciekawa rzecz, lepsza od mówienia. Obrazy, które Cyryl widział w wyobraźni, przeniesione na papier, zostawały z nim, nie znikwały jak słowa, które wypowiadał i potem nie mógł ich sobie przypomnieć. Chmury na niebie, mgły w ogrodzie, one także umykały. Dlatego wołał milczeć. Mógłby już mówić, ale nie chciał. Ręka z ołówkiem nadawała chronologię: kreski pojawiały się kolejno. Rysowanie było spokojne, wyjmowało myśli z głowy. Kolory łagodniały, szum ustawał. Cyryl przestał się budzić w nocy z krzykiem.

Ale nie dziś rano. Zaczął rysować, jednak po chwili spokój pękł jak szklany dzbanek, do którego wczoraj Ziółowa przez pomyłkę naląła wrzątku. Trach, i wszystko z chrzęstem i chlupotem wylądowało na podłodze, rzeka chrupkiego szkła. Obłok gorącej pary.

Sięgnął właśnie po żółty flamaster, gdy ktoś zapukał do drzwi; dzwonek znów nie działał, mimo że *monsieur* le Puy już kilka razy usiłował go naprawić. Rdza, orzekł, rdza zjada wszystko, nawet dzwonki.

Cyryl nigdy sam nikomu nie otwierał, przynajmniej w domu Vincenta jeszcze tego nie robił, dlatego w pierwszym odruchu nie zareagował. Wstał, z blokiem rysunkowym pod pachą, włączył płytę i właśnie zamierzał usiąść z powrotem, gdy pukanie powtórzyło się, tym razem mocniej i głośniej. Było pełne zniecierpliwienia, a może tylko pośpiechu. Takie pukanie zmusza, by zaraz coś zrobić. Pójść. Otworzyć drzwi.

Cyryl wyszedł z pracowni, ale w saloniku zatrzymał się niepewnie, ponieważ na ganku panowała cisza. Już miał zawrócić, gdy pukanie powtórzyło się i jednocześnie w oknie przy drzwiach wejściowych ukazał się czarny cień. Okno zasłaniała firanka, którą ostatnio powiesiła tam Kolorowa; cień na przezroczystej tkaninie przypominał wielkiego pająka, z rozpostartymi szeroko kończynami.

Cyrylowi przyszło na myśl, że jednak pójdzie i otworzy. Chciał wiedzieć, jak Pająk to zrobił, że stojąc na zewnątrz, zdołał wczepić się w firankę, która znajdowała się wewnątrz.

Otworzył drzwi.

Pająk był chudy i niezbyt wysoki, kończyny miał cienkie, ale i tak sprawiały groźne wrażenie, były czarne, pokryte błyszczącą skórą. Tylko głowa przytwierdzona do czarnego tułowia była jasna, podobnie jak oczy wpatrzone w Cyryla – bardzo niebieskie, przezroczyste jak woda, a może tak mu się wydawało, ponieważ Pająk stał na ganku w plamie światła.

Cyryl podniósł rękę do czoła. Słońce raziło go, nie widział nic poza zarysem sylwetki i białą twarzą z niebieskimi koralikami zamiast oczu. Przechylił głowę oślepiiony.

Przez chwilę stali w milczeniu, w końcu Pająk poruszył się niespokojnie. Powiedział:

– Moja matka zapomniała zabrać jakiś słoik. Z konfiturami. Albo z czymś takim.

Cyryl nie zrozumiał, był zajęty czym innym.

– Aha... – mruknął. Przesunął się o krok w lewo, chcąc zobaczyć twarz mówiącego. Ale to nie słońce, to twarz Pajaka naprawdę była taka biała, jak kartka w bloku rysunkowym, który zostawił na dywanie w pracowni.

– I kazała dać to – ciągnął tamten, podając Cyrylowi jakiś koszyk.

Cyryl nie chciał koszyka. O słoiku też nic nie wiedział. Ale przed sobą miał białą twarz, okoloną jasnymi kosmykami prostych włosów, twarz, którą rozpoznał natychmiast.

Tylko jeden szczegół się nie zgadzał.

Zrobił krok w stronę tamtego, potknął się o próg. Zdezorientowany, zachwiał

się, przygiął kolana. Już miał się wyprostować, gdy z kolei nogi Pajaka przykuły jego uwagę: czerwone zygzaki sznurowadeł prowadziły ku górze przez podwójny rząd dziurek. Czerwone zygzaki, Cyryl policzył prędko: dziurek było dziesięć. Tyle samo co wtedy, tylko wcześniej widział je w odwrotnej kolejności, do góry nogami, zsuwały się ku ziemi, a nie wznosiły ku nogawkom, jakby chciały się wspiąć Pająkowi na kolana.

Podniósł wzrok wyżej, ku pochylonej nad sobą twarzy; jasne kosmyki zakołysały się powoli, jak w zwolnionym tempie.

– Coś się stało? – spytał tamten. – Pomóc? – Wyciągnął do niego otwartą dłoń.

Cyryl spojrział na wyciągniętą ku sobie dłoń; na małym palcu błysnęła srebrna obrączka. Przechylił głowę na bok i zajrzał pod spód, jakby chciał się przekonać, czy srebrne kółko obejmuje palec dookoła. Okazało się jednak, że nie była to obrączka, tylko gruby, mocno wystający sygnet.

Twarz nad nim poruszyła się, białe usta Pajaka powtórzyły pytanie, lecz Cyryl nie słuchał. Wpatrzony w jeden punkt, wyprostował się i teraz on wyciągnął przed siebie rękę. Zrobił to tak gwałtownie, że nieznajomy cofnął się zaskoczony, po czym błyskawicznie odchylił głowę, chcąc uniknąć niespodziewanego dotknięcia.

Ale nie zdążył. Ręka Cyryla dosięgła jego lewego ucha; koniuszek był zaklejony plastrem.

– Kolczyk – wyszeptał Cyryl. – Dlaczego nie ma kolczyka?

Następnie, nie czekając na reakcję tamtego, rzucił się do furtki i wybiegł na ulicę.

*

Mewy szybowały wysoko nad wydmami.

Wczoraj, gdy sadzili krzewy winorośli wzdłuż południowej i zachodniej ściany domu, *monsieur* mówił, że człowiek, budując szybowiec, nieudolnie skopiował mądrość ptaka. Prawda, że szybowiec doleci z Saint-Jean-de-Marsacq nad morze, ale nie można tego porównać z lotem dzikich gęsi. One pokonują dystans wielu tysięcy kilometrów o własnych siłach.

Mewy jednak nie odlatywały daleko, tylko zataczały nad nim szerokie kręgi, jakby Cyryl był rybą wyrzuconą na piasek. Unoszone ciepłym prądem powietrza, niemal nie poruszały skrzydłami.

Szkoda, że nie mogę zobaczyć, jak taki ciepły prąd wygląda, pomyślał sennie. Wzdrygnął się. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo leżał na wydmach. Zmarzł, dygotał z zimna, wiatr i wilgoć były przenikliwe. Próbował usypać wokół siebie wał z piasku, ale piasek był chłodny i mokry po ostatnim deszczu. A może piasek na plaży zawsze jest mokry, ponieważ nosi w sobie pamięć morza?

Pamięć jest jak morze, przyplýwa, a potem znów odchodzi, wymyka się, przecieka przez palce. Teraz jednak był czas przyplýwu, morze podeszło całkiem blisko, monotonnym szumem zagłuszając inny wewnętrzny szum, przed którym Cyryl nie potrafił się obronić.

Przyplýw, który przywiódł wieczorne morze ku wydmom, rozwiął mgłę, odsłonił zapomniane sceny i obrazy, porzucił je na mokrym piasku blisko niego. Szum ucichł.

Sophie ma twarz ze szkicownika – narysowaną ołówkiem i kredką akwarelową; miejscami kredka jest sucha, to znów pociągnięta smugą wody. Dziewczyna wydaje się młodsza, jest jasna jak pierwsze światło nad ranem, senne wspomnienie.

Tamtej nocy Cyryl uczył się do egzaminu, położył się późno, i tylko z rozsądku, żeby rano mieć świeży umysł. Sophie przyszła przed świtem. Wchodząc, położyła mu dłoń na ustach, cicho, nie budźmy nikogo. Oddała plecak, pozwoliła zdjąć sobie kurtkę i sweter, herbaty nie chciała. Pokręciła głową, nie, wody też nie. Chwilę stała bez ruchu, ale nic nie powiedziała. Potem wzięła go za rękę i zaprowadziła do pokoju. Powoli pokazała, jak się rozpinają guziki jej bluzki, pomogła zsunąć rękawy.

Na wydmach zapadł szary zmierzch, ale jemu wydawało się, że jest środek nocy, nie, bliżej świtu, choć nadal ciemno za oknem, jedynie z jaśniejszym pasem u dołu nieba. Gdyby nie ciepły dotyk, jaki czuł na skórze, Cyryl mógłby pomyśleć, że to sen.

Ale to nie był sen. To była Sophie, jej uspokojone ciało obok jego nagiego ciała. A jeszcze bliżej jej szeptał, taki cichy, ale całkiem wyraźny, pełen napięcia: Będziesz pamiętał? Nie pomylisz się? Zrobisz wszystko po kolei, dokładnie tak jak mówiłam? W kieszeni kurtki znajdziesz adresy mamy i pana Meyera, numery telefonów. Nie bierz auta, lepiej pojedź pociągiem, pierwszy odchodzi za godzinę.

Szarpnął się, chciał zapalić lampę, spojrzeć Sophie w oczy, przekonać się, czy mówi serio. Że Cyryl wyjdzie za chwilę z akademika i zamiast na egzamin, pojedzie na dworzec, a tam wsiądzie do pociągu, który zawiezie go na Sylt.

Lampa, pomyślał w panice. Musi koniecznie zapalić lampę, ciemność ukrywa kształt rzeczy, zaciemnia sens słów.

Ale Sophie przytrzymała go za ramiona, wtuliła twarz w zagłębienie między szyją a włosami, poczuł jej oddech, ciepło.

Zamknął oczy.

– Nie zapalaj, nie ruszaj się – wyszeptał ten sam głos, który sekundę wcześniej skończył wydawać rzeczowe polecenia i instrukcje. – Proszę, pomóż mi, nie mam nikogo innego. – Przytuliła policzek do jego policzka; poczuł wilgoć, Sophie płakała. – Ja nie mogę tego zrobić, muszę zaraz znów zniknąć. Ale jeszcze nie teraz, za minutę. Tak jest dobrze.

A gdy minuta minęła, w bezruchu, ciemności i milczeniu, Sophie sama wyciągnęła rękę i zapaliła światło.

– Musisz się zbierać – powiedziała, wstając. Jej naga sylwetka na tle szarzejącego nieba tańczyła Cyrylowi przed oczami. – Pamiętaj, mama nie może się domyślić, po co się zjawiłeś. Ma ci dać moje zimowe kozaki i ciepłą kurtkę, które głupio wyniosłam na strych, i tyle. Nie pomyślałam, że mogą mi się przydać, a ona zna mnie na tyle, że uwierzy. – Podczas gdy Cyryl mył zęby, ubierał się i pakował, Sophie chodziła za nim krok w krok, po raz kolejny powtarzając instrukcje, tak jakby sama chciała się upewnić, czy nic nie pominęła. – Pamiętaj, na strych musicie pójść razem. Wymyślisz jakiś pretekst.

Próbował pytać: Co się stało? Dlaczego? Ale ona tylko pokręciła głową. To długa historia, nie teraz.

– Zostaw tam kurtkę albo szalik, cokolwiek, po co potem będziesz mógł wrócić, niby że zapomniałeś. Teraz papiery. Na szafie, przy schodach po prawej stronie, dokładnie pod belką, powinien stać karton. Przesuniesz go, w belce będzie deska. Naciśniesz ją, powinna odskoczyć, przynajmniej tak mówił... – zawahała się, ale zaraz potrząsnęła głową. Nie było czasu na wątpliwości. – Będzie schowek. A w nim maszynopis. Zapamiętasz? Włóż gruby sweter, żebyś mógł go ukryć.

I jeszcze muszla.

– I jeszcze bank – powiedziała Sophie, jednocześnie pomagając mu zapiąć plecak. – Tu masz numer kodu do skrytki bankowej – podała mu muszlę, czarną, podłużną, o błękitnym wnętrzu, którą ojciec wysłał jej po ich ostatniej rozmowie. Powiedział: przysłę ci numer kodu, a przysłał paczkę pełną muszli. Domyśliła się. Cyfry wrył cienkim ostrzem.

Przesyłkę odebrała dwa dni po jego śmierci.

– Zaczekaj – powiedziała, idąc do korytarza, gdzie wcześniej zostawiła plecak. – Weź moje klucze do domu, na wszelki wypadek. Gdyby z mamą ci nie poszło, będziesz musiał tam wrócić. Sam. Wyczekasz, aż będzie okazja. – Objęła go szybko, ale zaraz się odsunęła. – Masz na to wszystko trzy dni. Oliver będzie czekał w Klanxbüll, w pizzerii Olafino. Nie zapomnij o książce, to wasz znak rozpoznawczy.

*

Cyryl przewrócił się na wznak i spojrzał w niebo. Ptaki zniknęły, zamiast nich pojawiły się chmury. Rozpędzone, mknące lekko, jakby bez wysiłku; dokąd, ku czemu?

Wzdrygnął się z zimna. Z domu wybiegł tak, jak stał, bez swetra, bez kurtki, boso. Z początku było mu nawet gorąco – z emocji i ponieważ biegł. Ale od tego leżenia na piasku zaczęły wstrząsać nim dreszcze.

Tak samo trząś się tamtej nocy, gdy nagle przed domem Hansa Meyera

nieznany napastnik przewrócił go na zimny i mokry trawnik. W świetle latarni ulicznej niebieskie oczy, które widział nad sobą, lśniły, jakby były zrobione ze szkła; twarz pozbawioną rysów zakrywała czarna maska.

Cyryl nie pojmował tego gniewu, nie rozumiał, co się stało, ponieważ nie znał powodów: dlaczego ktoś go bił z taką wściekłością? Z początku szamotał się, próbował uwolnić, a przynajmniej osłonić przed atakiem, a może nawet odparować ciosy. Ale po kilku minutach stracił orientację, pięści tamtego trafiały w różne miejsca jednocześnie: w głowę, klatkę piersiową, nogi. Twardo, ostro, szybko.

Nie wie, jak długo to trwało. I nie była to kwestia pamięci, ból zawsze odczuwamy jako wieczność. Zaczął krwawić. Ciepła wilgoć, krew i błoto. Nagle, w ciemności gdzieś od strony domu pana Meyera, dały się słyszeć stłumione głosy.

– Hej, zmywamy się! – zawołał cicho jeden z nich. – Ktoś kręci się na wydmach za domem.

– Jedźcie, dogonię was! – odkrzyknął ten, który bił.

Ten drugi ponaglił zniecierpliwiony.

– Wykończ go – wysapał, pochylając się nad nimi. – Dawaj, pomogę ci!

Ale ten, który bił, odtrącił tamtego ramieniem. Zniecierpliwiony, ściągnął kominiarkę z głowy.

– Wał się! Sam sobie poradzę – warknął, wycierając twarz rękawem. – Zaczekajcie na mnie na stacji benzynowej.

– Dobra, tylko nie zapomnij się podpisać – zawołał trzeci głos, oddalając się.

Ta krótka wymiana zdań osłabiła ucisk. Cyryl poruszył się, zdołał wyswobodzić jedną rękę. Nad jego głową znów pojawiła się pięść, nieproporcjonalnie duża, ciężka jak kamień. Ale nie opadła. Niespodziewanie napastnik rozluźnił chwyt i zerwał się na równe nogi, krzycząc z bólu, z ręką przy głowie.

Na drodze dał się słyszeć warkot silników. Maszyny rozgrzewały się przez chwilę, potem kolejno odjechały. Cyryl policzył machinalnie: jedna, druga. Warkot rozbrzmiewał jakiś czas na wyludnionej ulicy, potem ucichł. Dwa motocykle. Trzeci wciąż stał zaparkowany z boku, przy ogrodzeniu, tam, gdzie Cyryl go zauważył kilka chwil wcześniej, gdy wracał z domu Ewy Waltzer.

Uwolniony od ciężaru uciskającego mu żebra Cyryl przewrócił się z jękiem na bok i chwycił jedną ręką za brzuch; drugą, zaciśniętą w pięść, spróbował unieść do twarzy, ale zaplątała się w zakrwawiony i umazany błotem rękaw. Chwiejnie podniósł się na kolana, zaraz jednak znów się skulił i upadł.

Napastnik stanął nad nim okrakiem.

Cyryl, jak przez mgłę, zobaczył nad sobą czarną sylwetkę, dziwnie wydłużoną i zniekształconą. Poniżej, tuż przy ziemi, na wysokości twarzy miał zygzaki czerwonych sznurowadeł. Zsuwały się ku ciężkim butom, jak długonogie pająki.

– Jeszcze nie skończyliśmy – syknął tamten, pochylając się nad nim. Teraz był już nie tylko z jakiegoś powodu wściekły na Cyryla, ale dodatkowo zdenerwowany, pewnie dlatego, że jego kompani odjechali.

Spieszył się. Chwytał Cyryla za ramiona i ostrym szarpnięciem przewrócił na brzuch. Sięgnął pod sweter i wyciągnął mu koszulę z dzinsów. Zaklął zdziwiony, gdy spod koszuli wypadł na ziemię plik kartek, złożonych na pół. A to co znowu? Nie namyślając się, zmiął papiery, rzucił na ziemię i przydeptał butem, potem jednym kopnięciem odgarnął je na bok; wpadły do kałuży w zagłębieniu między klombem a trawnikiem.

– Jeszcze nie skończyliśmy – powtórzył przez zęby.

Cyryl uniósł głowę i na moment otworzył oczy. W ciemnościach zamajaczył mu rozżarzony czerwony ognek. Wtedy znów poczuł ból i stracił przytomność.

LIST Z OBECNOŚCI

J.

Czy Vincent pamięta moment, kiedy pomyślał, że przegrał? Dzień tygodnia, porę roku, dnia lub nocy? Stawało się to stopniowo czy stało nagle? Był wtedy sam czy może miał właśnie wykład dla studentów, zapisywał jakiś wzór na tablicy? To całkiem prawdopodobne. Wzory matematyczne mają szersze konotacje, noszą w sobie ziarna kosmosu, muzykę świata. Dlatego wielu matematyków, podobnie jak astrofizyków, cierpi na depresję. Dni płyną, czy to coś zmienia?

Pozornie niewiele się dzieje. Vincent nadal przesiaduje u Johannesesa, gdzie pisze i maluje. Starannie dobiera rozmówców, aczkolwiek szybciej i bez widocznego zniecierpliwienia daje się wciągać w codzienne pogawędki o pogodzie. Równie cierpliwie poddaje się lawinom pytań egzystencjalnych ze strony Rose, oczywiście pod warunkiem że nie dotyczą one tego wszystkiego, na co on sam nie znajduje odpowiedzi. Jeśli tak się zdarzy – że Rose trafi celniej, niż mogłaby tego oczekiwać – wówczas Vincent zaczyna się pakować. Zgarnia szkicowniki i farby, zapina torbę, sięga po szalik. Rose już rozpoznaje te objawy. Wyjmuje mu szkicowniki z rąk, odkłada farby na parapet, szalikiem owija sobie szyję. Potem idzie zaparzyć kawę. Gdy wraca z tacą, nad którą unoszą się dwie ruchliwe smużki pary, mówi: No już, w porządku, przecież ja tylko głośno myślę. Wtedy Vincent oddycha z ulgą. Nie lubi pytań. Ale lubi Rose.

Rzadko dostaje pocztę, odpisuje tylko z konieczności. Dawniej trafiały się jeszcze książki od Malika, z dołączoną kartką, zawsze zwiędłą: „Uściski od Christy, ostatnio chorowałem, wesołych świąt!”. Albo: „Pozdrowienia od Lamouretów, czekamy na Ciebie w Mareil. PS Kiedy wracasz?”. Ale częściej: „Nie wracaj, dopóki nie będziesz gotowy. Wcześniej nie chcę Cię widzieć”. Raz Igor przysłał mu tom wierszy czworga autorów *Nowa Kwadryga*, po polsku. Przy jednym z wierszy, na marginesie, zamieścił tłumaczenie:

Niekiedy śnią mi się moi studenci

*ich młode twarze, które niosą życie
lubie patrzeć na ich nieporadność
i nieposkładane słowa
gdy siedzą obok, wydaje mi się
że trzymamy się za ręce i pijemy
z tych samych ust
a potem odchodzą niepoznani
i coraz mądrzejsi i idą z oczami
zwróconymi ku słońcu
spotykam ich nieraz na szerokich
ulicach tak samo odległy jak wtedy
gdy byliśmy razem...²⁷.*

Malik od jakiegoś czasu milczy, ale Vincent nieraz wraca do tego wiersza. Kiedy nikt nie widzi, szkicuje swoje paryskie miejsca, zapamiętane twarze. Zamawia i sprowadza z Francji książki, które wtedy wszyscy czytali; swoje, wyjeżdżając, zostawił Malikowi. Rozmyśla. O tym, jak bardzo człowiek jest jednorazowy, bez replik i duplikatów, a często z uszczerbkami nie do naprawienia. O długich latach z Yvonne, z niezrozumiałych powodów aż tak długich. W takich chwilach wydaje mu się, że życie, które porzucił, nigdy do niego nie należało, ponieważ on sam był kimś, kogo nie znał i nie rozumiał. Wciąż słucha Komedy, tej dziwnej muzyki, niebieskiej od dymu papierosów i aż gęstej od ważnych rozmów nie tylko z Malikiem, również z profesorem Baudrillardem i przyjaciółmi z uniwersytetu. Nocami włóczy się po wyspie. Nie cierpi na bezsenność, po prostu nie zgadza się, aby sen traktować jako stan uzdrawiającego zapomnienia. Woli krążyć po ulicach, wędrować przez wydmy – to jest dla niego stan snu idealnego, ma nad nim kontrolę. Prędzej czy później każda noc prowadzi go nad morze. Tam czeka świtu.

Ostatnio nastąpiła zmiana. Z jakiegoś powodu, który wciąż trudno mu wytłumaczyć – bo za nic w świecie nie przyznałby, że sprawiła to obecność ojca – pewnej nocy, gdy siedział na plaży, czekając, aż morze wraz z nadejściem dnia zacznie się od niego oddalać, Vincent pomyślał, że jego życie mimo wszystko jest wyjątkowe, ponieważ w zasadzie nie różni się od życia innych. Niby nie było w tej myśli nic odkrywczego, pokolenie za pokoleniem ludzi takich jak jego ojciec przez całe życie nie robi nic innego: rodzą się, przycinają pędy w winnicy, myją się przy studni, umierają. A jednak poczuł ulgę.

Zrozumiał, że popełnił błąd. Źle wyliczył, błędnie wymierzył. W ludzkim mózgu jest sto miliardów komórek nerwowych, tyle ile gwiazd w galaktyce Drogi Mlecznej. Trzeba przebyć tryliony lat świetlnych, by dotrzeć do pierwszej gwiazdy poza Układem Słonecznym. Jeśli w jego życiu ma się cokolwiek wydarzyć, nie może to być ani „od początku”, ani „wyjątkowo”. Bo początek już był i tkwił

w nim głęboko, jak dar albo drzazga, i nie było w nim nic nadzwyczajnego, a innego nie będzie. Tak pomyślał Vincent. Że musi nauczyć się to wszystko cenić, w przeciwnym razie... Co się stanie w przeciwnym razie? Nic. O to właśnie chodzi: nic nie nastąpi. Nieobecni nie mają racji, są nieobecni, a to tak jakby nie istnieli. Każda rzecz musi mieć inną rzecz, od której może się odbić, odróżnić i zdystansować. To samo tyczy się czasu, jaki jest nam dany. Którejś nocy, przed wyjściem z domu, zapisał w dzienniku: „Życie to tylko złudzenie optyczne, jak pełnia księżyca”.

Wkrótce będziemy życzyć sobie wesołych świąt, a wtedy niech się weseli, kto może.

B.

PS Jak pisał Sławomir Mrożek w Warszawie, 16 grudnia 1962 roku: „Pojutrze zaczniemy naszą »operację przetrwania«, a mianowicie przetrwania bożonarodzeniowego szaleństwa [...]. Kto powiedział, że Boże Narodzenie to czas ciszy i spokoju? Może kiedyś tak było, dawno temu. Współczesne społeczeństwa uczyniły z niego apogeum hysterii, przeważnie hysterii handlowej, apogeum wszystkiego, tylko nie ciszy i spokoju”²⁸.

Rozdział 17: Z notatnika Vincenta

Sztuka powinna być nieuchwytna. Niech się wymyka, uległość to ostatnia rzecz, jakiej należy od niej oczekiwać. To również przestroga dla mnie: samo dążenie jest o wiele ciekawsze niż osiągnięcie celu. Dlatego lepiej będzie, jeśli od razu się na to zgodzę. Moja uległość za cenę wolności sztuki? Do przemyslenia.

Płynąc ocembrowanym kanałem, strumień rzeki nie przestaje być strumieniem, zachowuje jego siłę i energię, woda nadal jest wodą. Jeśli sztuka ma pozostać Sztuką, musi zachować prawa i właściwości wody, energię liczb pierwszych i wyjątkowych. W przeciwnym razie nie uwolni się z kokonu rzemiosła.

W wymiarze ludzkim oznacza to prawo do wolności myślenia, w wymiarze płótna – prawo do formy, której nie będą ograniczały akademickie zasady, teorie ani mody. Sztuka, poddana definicjom, przestaje wydawać plon...

To rolnicze porównanie przypomniało mu o ojcu. Vincent odłożył pióro (nieodłącznego, niezniszczalnego schaeffera, którego dostał od Yvonne z okazji doktoratu). Potarł zziębnięte dłonie. Ciasno zszyte kartki notatnika, uwolnione, rozprostowały się, powróciły do pierwotnego ułożenia, znieruchomiły.

Gdyby potrafił przyjrzeć się sobie bliżej, Vincent dostrzegłby w sobie zmianę. Wprawdzie nadal myślał o ojcu jako o żywiole, który nieoczekiwanie wtargnął w jego spokojne i wolne życie, lecz gdzieś ulotniła się irytacja, cięte odpowiedzi już mu nie przychodziły tak łatwo. Czy to możliwe, że nauczył się ważyć cenę zgody, a kto wie, może nawet rodzinnej więzi? Jakkolwiek było, zaczął nocować w domu i kilka razy dał się namówić na wspólny posiłek przy gwarным stole. Nagle był zajęty bardziej niż zwykle, i pewnie tylko dlatego nie miał czasu, żeby zabrać śpiwór z pokoiku nad barem. Zresztą niech tam czeka.

*

Nicolas le Puy nigdy na nic nie czekał. Nad czym tu się zastanawiać, synu? Życie jest jak winnica, powtarzał, wszystko musisz robić naraz: sadzić nowe krzewy i przycinać stare. A wyciskając z tegorocznych winogron moszcz, myśleć o tym, jakie będzie z niego winoza kilka lat.

Ojciec nie zapytał Vincenta o zdanie, jego pozwolenie także nie było mu potrzebne. Robił to dla siebie. Przekopał ogród, wytyczył grzędy wzdłuż ogrodzenia i wokół domu. Wykopał dołki w odpowiedniej odległości od siebie i każdy nawiózł najlepszym nawozem naturalnym, jaki udało mu się znaleźć w centrum ogrodniczym. A potem wściekł się na Vincenta, który wszystko pomylił i zamiast sadzonek dobrych odmian winnych, sprawdzających się w północnym klimacie, kupił odmiany absolutnie nieprzydatne do produkcji wina.

Syn, który się nie zna na niczym, to wstyd dla starego winiarza.

– Tak, na niczym. Bo jak nie znasz się na winorośli, to znaczy, że nie znasz

się na życiu – skandował, akcentując każde słowo machnięciem ręki. – A tak, sam widzisz – mówiąc to, obejrzał się, żeby sprawdzić, czy może bezpiecznie machnąć ręką, żeby nie uderzyć przy tym Cyryla.

Zapomniał, że go tam nie ma. Zdążył się przyzwyczaić, w końcu od tyłu dni chodził za nim jak cień.

– Sto sadzonek – mruczał pod nosem Nicolas, zły na cały świat, że znów musi mówić sam do siebie. – Kto będzie tego doglądał? I kto to będzie jadł? Chyba nie te chude dziewczyny, które gadają w tyłu językach, że człowiek w ogóle nic nie rozumie, a dziobią w talerzach jak wróble. Istna wieża Babel. W dodatku bez winnicy.

*

– *Qu'est-ce que c'est?* – spytała Paulette.

– Worek na śmieci – odparła Rose, nie podnosząc oczu znad szycia. Dziurawy sweter Vincenta, mimo jej wysiłków, wymagał jeszcze bardzo dużo pracy.

– Nie na śmieci, tylko ze śmieciami – poprawiła ją Paulette. – Nie wiesz, co to za ubrania? *Vêtements. Clothes.*

– Ubrania?

Rose odłożyła sweter na kanapę i zajrzała do worka, który podsunęła jej Paulette.

– A, już wiem. To rzeczy Cyryla. Komisarz przywiózł je ze szpitala, ale w tym całym zamieszaniu zostały w sieni pod wieszakiem i zapomniałam. Są okropnie brudne. Wrzucę je zaraz do pralki. I tak miałam robić pranie. – Rose wstała. Wbrew temu, co twierdziła, że odkąd zaszła w ciążę, nikt już nie pamięta prawdziwej Rose, a tylko widzi w niej „Rose w ciąży”, nie-wiele przybrała na wadze i poruszała się energicznie jak dawniej.

Z workiem pod pachą powędrowała za Paulette do kuchni. W powietrzu unosił się zapach ziół na gorączkę, które właśnie wykupiały na kuchenkę, mimo że Paulette gotowała je na bardzo małym ogniu.

– Każda kuchenka wie coś innego na temat gotowania – westchnęła, odstawiając kipiący ronderek. Następnie ze zgaszonego przed chwilą piekarnika wyjęła naczynie z wyprażoną soczewicą. Przesypała ziarna do płóciennego woreczka.

– Jesteś pewna? – spytała Rose z powątpiewaniem.

Sama by się nie zdobyła na takie nieposłuszeństwo. Wezwany lekarz z pogotowia stwierdził, że Cyryl ma zapalenie oskrzeli; przepisał antybiotyk i dał skierowanie na rentgena płuc. Paulette wrzuciła receptę do szuflady ze sztućcami. Po moim trupie, oświadczyła, nie takie oskrzela leczyliśmy z mamą domowymi sposobami. Antybiotyk może zaczekać.

– Nie oparzysz go tą soczewicą? – Rose włożyła w to pytanie kolejną dozę wątpliwości. Ona zawsze bała się lekarzy. Kazał to kazał, antybiotyk to antybiotyk. Poza tym nie lubiła chorować, a dzięki pigułkom szybciej się zdrowiało. W ciąży też za bardzo nie lubiła być, zwłaszcza na początku, kiedy miała mdłości, ale ostatnio zaczęło jej się to podobać. Przynajmniej ktoś mnie słucha ze zrozumieniem, śmiała się bez cienia pretensji do świata.

– Spokojna głowa. – Paulette dmuchnęła w grzywkę, która zasłaniała jej oczy; ręce miała zajęte. – Co taki młody lekarz może wiedzieć? – Ona wiedziała doskonale: oskrzela trzeba wygrzać, a potem postawić bańki. Do tego zioła, mleko z imbirem i miodem. Sok z cytryny z czosnkiem. W ogóle dużo płynów i lekka dieta.

A Marianne obiecała, że wpadnie po południu, żeby wymasować Cyryłowi stopy.

– Nie bój się, będzie dobrze. Byle tylko już nie zrywał się z łóżka i nie uciekał w piżamie do ogrodu.

*

Dwa dni temu Cyryl zniknął. Gdy koło południa wróciły z miasta, dom był otwarty, a Cyryla nie było. Wołały, zaglądały do różnych kątów, przeszukały ogród i szopę.

Rano, przed pójściem na zakupy, razem z Paulette odprowadziły *monsieur* Nicolasa do portu. Odkąd zakończył swoje „roboty polowe”, przedpołudnia spędzał w barze u Johannesasa. Jak twierdziła Rose, zagadywał Vincenta, usiłując obudzić w nim syna. Cyryl mógł o tym nie wiedzieć. Albo zapomniał i wyszedł do ogrodu z przyzwyczajenia.

Ogród stał cichy i pusty. Prześwietlona słońcem mgła wybieliła niebo, na tle jedynej ciemnej chmury szybowała krzykliwa mewa. Cyryla nie było ani w domu, ani w ogrodzie. Zniknął, mimo że do tej pory sam nie ruszał się dalej niż do furtki.

Na ganku, na podłodze koło drzwi, stał koszyk pełen słoików. Na etykietkach wypisano zamasztysem pismem: *Aprikosenmarmelade*, z tegoroczną datą. Morele od *Frau* Bellitz? Spanikowana Rose wcisnęła koszyk Paulette, a sama natychmiast zadzwoniła do Vincenta. Nie, nie wyglądało to na włamanie. Poza koszykiem, który musiała zostawić *Frau* Bellitz, bo któż inny, nie zauważyły żadnych zmian. Zamek nie został zniszczony, w domu wszystko stało na swoim miejscu. Co niekoniecznie oznacza porządek, zauważyła rozsądnie Rose, korzystając z okazji, by przypomnieć Vincentowi, że mógłby pewnym sprawom poświęcać więcej uwagi. W końcu był to jego dom.

Pierwszy domysł nasunął się automatycznie: Cyryłowi się pogorszyło. Wyszedł z domu nieświadomy tego, co robi, a teraz błąka się po mieście zagubiony i zdezorientowany.

Tak czy inaczej, nie mógł być daleko. Gdy rano, przed wyjściem, Paulette zaniósła mu kubek mleka, spał jeszcze. Powiedziała głośno: Mleko. Na co on mruknął coś, co przypominało „dziękuję”. Gdy wróciły do pustego domu, nastawiona płyta z jazzem jeszcze grała.

Tym razem zazwyczaj spokojny Vincent wpadł w popłoch. Eksperyment eksperymentem, odpowiedzialność spadała na niego. Wprawdzie Kurt na początku przysłał im kogoś do pilnowania, ale jego następca uznał, że dalszy nadzór policyjny nie jest konieczny. Młody człowiek może śmiało wrócić do cywila, oznajmił. Argumentów nie wysłuchał, do dyskusji nie dopuścił.

Po naradzie u Johanna postanowili, że jeśli do wieczora Cyryl się nie znajdzie, zawiadomią lekarza prowadzącego i posterunek. W pierwszym odruchu Vincent chciał zadzwonić do Herzoga, ale po namyśle zrezygnował. Może wkrótce wszystko się wyjaśni?

Tymczasem Nicolas zarządził poszukiwania w grupach. Zaczął od tego, że z pomocą Vincenta, pochylony nad mapą, wyznaczył rewiry w mieście, w porcie i na plaży. To na początek, bo chociaż rower stał w szopie, a wersje zakładające zakup biletu na pociąg czy autobus były mniej realne, bo skąd Cyryl wzięłby pieniądze, nie znaczyło to jednak, że nie mógł opuścić miasta, na przykład, autostopem. Do pociągu teoretycznie też mógł wsiąść – bez biletu.

Paulette i Rose miały obejść sklepy, kawiarnie i bary. Plaże i wydmy przypadły w udziale Jasmine oraz Marianne Keller, która zjawiała się o zwykłej porze i na drzwiach wejściowych znalazła przyczepioną kartkę. Vincent z ojcem zajrzeli najpierw w okolice dworca kolejowego, a potem ruszyli w objazd, przeszukując pirsy i tereny portowe oraz bulwary.

Szukali kilka godzin, z początku sami, potem już w towarzystwie Kurta Herzoga, który sam zadzwonił do Vincenta, żeby spytać, jak się mają sprawy. Vincent przyznał, że nie najlepiej. Ale jeszcze nie róbmy z tego wielkiej tragedii, dodał. Może Cyryl sam wróci do domu. A może nawet już wrócił.

Komisarz zgodził się, że takie rzeczy się zdarzają. Do poszukiwań dołączył nieoficjalnie, jako przyjaciel domu, co wyraźnie podkreślił. Zawieszenie służbowe, jak do tej pory, nie zostało cofnięte.

– Mam zakaz opuszczania miasta, ale nie mogą mi zabronić przejażdżki z przyjaciółmi – rzekł z przekąsem, wciskając się na tylne siedzenie; ze względu na wzrost i tuszę sam kupował większe samochody.

Nie oglądając się za siebie, Nicolas pociągnął za dźwignię i pchnął swój fotel do przodu. Zsunął kapelusz na czoło. Nie był w nastroju do rozmowy.

*

– Słyszałaś, co mówiła Jasmine? – spytała Rose, idąc za Paulette do pracowni.

Jasmine znalazła Cyryla na wydmach. Leżał obok pomostu skulony wśród wysokich traw, z twarzą ukrytą w zagięciu ramienia, zagrzebany w piasku; podmuchy wieczornego wiatru nanosiły kolejne cienkie warstwy. Nie zauważyła go, tylko usłyszała jęk, dlatego przystanęła.

Miał gorączkę, majaczył.

– Wciąż nie mogę przestać o tym myśleć... – ciągnęła Rose, gdy wróciły do kuchni. Cyryl dał się w końcu namówić na wypicie ziół, również do ciepłego okładu z soczewicy zdołały go przekonać, chociaż nie poszło im to łatwo.

Rose sięgnęła po czarny worek z rzeczami Cyryla. Zaczęła napełniać pralkę.

– Jasmine twierdzi, że Cyryl nie majaczy z powodu gorączki, tylko w ogóle mówi od rzeczy. Coś mu się przypomniało, ale wszystko, co mówi, jest kompletnie pomieszane. W rzeczywistości było inaczej.

Paulette wzruszyła ramionami.

– Skąd ona może to wiedzieć? Cyryl był jej chłopakiem, ale to nie znaczy, że wie, co tak naprawdę się zdarzyło.

Paulette mówiła z doświadczenia. Jean-Pierre codziennie powtarzał, że ją kocha, zapraszał do kina, woził na motorze, nawet prezenty jej kupował. Taki był przystojny, że wszystkie koleżanki jej zazdrościły. A okazało się, że jest zamieszany w jakieś podejrzanе sprawy i poszukuje go policja.

– Twoje dziecko też nie będzie miało ojca, prawda? A jak się kochaliście, to nawet ci przez myśl nie przeszło, że facet zamierza się ulotnić, bo jest żonaty. Z Cyrylem mogło być podobnie.

– Może i tak, ale jednak to dziwne, że aż tyle rzeczy się nie zgadza. W końcu do ostatniej chwili byli blisko ze sobą. Nie mógł jednej nocy być u Jasmine, a następnej przespać się z jej najlepszą przyjaciółką. Jasmine wiedziała, że Cyryl podkochiwał się w Sophie, ale fascynacja to jedno, a zdrada to zupełnie coś innego. Tak się nie robi. Już bardziej prawdopodobne są te pająki, które wszędzie widzi. Zrobiło się zimno, to normalne, że myszy i pająki wchodzą do domu.

Ale Rose ta sprawa nie dawała spokoju. Bo jednak pewnych szczegółów nie mógłby znać, gdyby wszystko mu się tylko wydawało. Nawet w gorączce by ich nie wymyślił.

Sięgnęła do worka z rzeczami ze szpitala. Sweter był poplamiony krwią, sztywny od zaschniętego błota, z przyklejonymi w kilku miejscach źdźbłami trawy, spodnie wyglądały niewiele lepiej. Rose sprawdziła kieszenie; z doświadczenia wiedziała, ile szkody może narobić jedna zapomniana chusteczka higieniczna.

Chusteczek nie było, za to w prawej kieszeni znalazła czarną muszlę.

– To zakrawa na chorobliwe natręctwo – stwierdziła, odwracając się do Paulette. – Nie dość, że ciągle łązi na plażę, skąd znosi ich pełne kieszenie, to jeszcze coś na nich wypisuje. – Przyjrzała się bliżej znalezionej muszli. – Spójrz, to przypomina list w butelce, tyle że zamiast słów są tu cyfry...

Rzeczywiście, na wewnętrznej powierzchni widniał szereg cyfr. Wyglądało to jak numer ewidencyjny na okazie muzealnym.

Rose sprawdziła drugą kieszeń.

– A to co takiego?

Z NOTATEK VINCENTA

„W pamięci wszystko jest na tej samej płaszczyźnie: dialog, wzruszenie, wizja współistnieją. W *Drodze przez Flandrię* chciałem stworzyć strukturę, która by pozwoliła mi przedstawić jedno po drugim wydarzenia w rzeczywistości nakładające się na siebie, znaleźć konstrukcję czysto percepcyjną. To wydaje mi się najbardziej naturalne, ale i najtrudniejsze. Szczęśliwi malarze... Temu, kto patrzy na obraz, wystarczy chwila, by zdać sobie sprawę ze wszystkich jego elementów”²⁹.

Tak, temu, kto patrzy, wystarczy chwila. A temu, kto maluje? Simon, mój ulubiony pisarz, wiedział, o czym mówi. Sam kiedyś próbował swoich sił w Akademii Sztuk Pięknych, zdawał sobie sprawę, że dopóki nie będzie gotowy, obraz jest jak tekst: staje się po kolei.

Rozdział 18: Dom duchów

Było jeszcze jasno, gdy Jasmine przyjechała do List. Za wcześnie, pan Meyer powiedział wyraźnie: Po zmroku, gdy zapalą się latarnie. Mówił słabym głosem, ale jego instrukcje były tak pedantyczne jak on sam, gdy wieczorami zapraszał Jasmine na herbatę i zabawiał ją pogawędkami pełnymi zawiłych dygresji i ciekawostek z przeszłości.

Leżał na szpitalnym łóżku na wznak, z głową wspartą na wysoko spiętrzonych poduszkach, z rękami ułożonymi wzdłuż tułowia na białej pościeli. Zamiast rumianego staruszka Jasmine nagle ujrzała zmęczonego życiem umierającego człowieka.

Głos miał monotony, a może senny z powodu środków uspokajających.

– Zaczeka pani do zmroku, aż zapalą się latarnie. Proszę nie stać na ulicy, nie kręcić się koło domu. Jacyś wieczorni spacerowicze albo sąsiedzi mogliby panią zobaczyć, zgłosić na policję... – Chwycił ją za rękę z niespodziewaną siłą, przyciągnął kurczowo do siebie i już nie wypuścił. – Nie chciałbym, żeby i panią spotkało coś złego.

Jasmine miała wejść nie przez furtkę od frontu, tylko przez bramkę na tyłach domu, od strony wydm. Nie wszyscy o niej wiedzą, wyjaśnił pan Meyer, bo przycina żywopłot w taki sposób, że z zewnątrz jej nie widać.

– Kiedyś tamtędy przywoziło się opał na zimę, ale teraz ogrzewam gazem. Rzadko ktoś korzysta z tej drogi. Klamki nie ma, schowałem ją. Dla niepoznaki.

Opadł na poduszki, odpoczywał.

– Sięgnie pani pod gałęzie trzeciego krzaka ligustru na lewo od bramki – zaczął znowu, rozdzielając poszczególne słowa płytkim oddechem. – Tam wyczuje pani ułamaną gałązkę. Na niej wisi klamka, a raczej jej część, tylko jeden uchwyt. Drugiego nie ma, to kwestia bezpieczeństwa. Proszę otworzyć bramkę. Następnie wyjmie pani klamkę ze strony zewnętrznej i włoży po wewnętrznej, żeby za sobą zamknąć. Klamki proszę nie zostawiać w bramce, a ślady na ziemi zatrzeć, zapamięta pani? – I tak dalej, krok po kroku, Jasmine łowiła gorączkowy szept pochylona nad łóżkiem szpitalnym jak pielęgniarka poprawiająca poduszkę. Słuchała w napięciu, zdrętwiała w niewygodnej pozycji, ale bała się poruszyć, żeby coś jej nie umknęło. I ze strachu.

To, o co poprosił ją pan Meyer, gdy odwiedziła go w szpitalu, było trudne z kilku powodów. Budziło naturalny niepokój. Jasmine nigdy wcześniej nie robiła takich rzeczy: nie wchodziła po kryjomu do cudzych domów, zwłaszcza w takiej sytuacji. Nawet fakt, że w jednym z pokoi znajdowały się jej rzeczy osobiste, do których miała pełne prawo, nie był dostatecznym usprawiedliwieniem. Jak również to, że prośba została wyrażona przez właściciela domu, który miał poniekąd prawo decydować o tym, kto tam wchodzi, w jakim celu i o jakiej porze. Ale właśnie

tylko poniekąd, ponieważ po włamaniu drzwi zostały zaplombowane, a posesję otoczono żółto-czarną taśmą z napisem „Policja. Wstęp wzbroniony”. Jasmine obejrzała niejedyn thriller, wiedziała, co to oznacza: nie zbliżać się, nie przekraczać, nie wchodzić, a wszystko pod groźbą kary, zgodnie z paragrafem takim a takim kodeksu karnego. Wprawdzie czynności dochodzeniowe zostały zakończone, dowody rzeczowe zabezpieczone, a próbki pobrane i odesłane do laboratorium, ale skoro taśmy nie zdjęto, zakaz nadal obowiązywał.

Hans Meyer także okazywał niepokój; był praworządnym obywatelem, z zasady przestrzegał prawa. Tym razem jednak miał swoje powody, żeby to prawo złamać. I były to powody, jego zdaniem, istotne.

– Zgodzi się pani? – Ścisnął jej rękę aż do bólu. – Muszę zabezpieczyć moją dokumentację, te papiery to dowód. Już raz udało im się wejść. A co będzie, jak podpalą dom? W przypadku pożaru nawet zmiana zamków nic nie da – zamilkł przerażony wizją płonącego domu, zmęczony mówieniem, gonitwą myśli i napięciem, jakie go nie opuszczało od dnia napadu. – Nie mam nikogo innego.

Jasmine nie potrafiła odmówić. Po pierwsze, nie wiedziała, jak miałyby to zrobić, żeby staruszka nie urazić. Po drugie, bała się, że swoją odmową mogłaby pogorszyć jego stan. A tego by sobie nie darowała.

*

Idąc od strony miasta, minęła po prawej dom Evy Waltzer, następnie przebiegła ukosem na drugą stronę ulicy. Koło domu pana Meyera przeszła niemal swobodnie i prawie obojętnie, jak przypadkowy przechodzień, w każdym razie starała się, żeby tak to wyglądało. („Proszę zachowywać się naturalnie, jak wszyscy”).

Nie zwolniła kroku. Zajrzała przez ogrodzenie mimochodem, tak jak to robią zwykli ludzie, niezbyt poruszeni widokiem policyjnej taśmy, ponieważ zdarzenie nie dotyczyło ich osobiście, ale zarazem z wyraźną ciekawością, bo ludzie z natury są ciekawscy, spragnieni sensacji, o której mogą potem opowiadać. Szybkim spojrzeniem obrzuciła dom z ciemnymi prostokątami okien i drzwiami, na których ktoś w zapiekłej złości wyrzył znak swastyki, a pod nim czarnym sprayem napisał: *Hände weg von unseren Helden, ausländische Schweine*. Starając się nie okazać przerażenia, jakie ją ogarnęło na ten widok, Jasmine przeszła jeszcze kilkadziesiąt kroków, po czym gwałtownie skręciła w lewo, ku morzu, i po chwili zniknęła za wydmami.

Miała nadzieję, że nikt nie widział, jak biegnie.

Zatrzymała się dopiero na plaży. Dysząc, opadła na piasek, wciągnęła w płuca zimne powietrze, zatrzymała przez długą chwilę, nim z głośnym krzykiem je wypuściła.

Obejrzała się za siebie, ale zaraz odwróciła głowę ku morzu. Co tam się

wydarzyło? „Ręce precz od naszych bohaterów!” Co takiego zrobił pan Meyer, w czym zawinił? Obcy? Jak długo człowiek jest obcy w miejscu, gdzie osiadł na stałe? I dlaczego kojarzy się ze świnia?

I co ona, Jasmine, ma teraz zrobić?

Bo skoro tyle ją kosztowało niewinne przejście koło domu pana Meyera, to co będzie dalej?

Nie miała pojęcia, jak długo tam siedziała. Zapatrzona w morze, zahipnotyzowana płytkim rytmicznym falowaniem, odruchowo w rytmie tego falowania przegarniając piasek, w którym raz po raz natrafiała na kamyk albo muszlę. Zmarzła. Nie tylko z powodu przenikliwego chłodu, ale również dlatego, że była głodna.

Rano zjadła śniadanie z dziewczynami i panem le Puy. Od dnia gdy komisarz Herzog przyszedł z wiadomością o napadzie na dom Hansa Meyera, Jasmine przeniosła się na stałe do Vincenta; torbę i nieliczne rzeczy, jakie miała ze sobą, trzymała w kącie jego pracowni, spała w salonie na kanapie.

Dwie briozki z masłem i konfiturą morelową, i kubek cykorii z mlekiem na śniadanie, tego dnia to było wszystko, aż do teraz. Pomogła pozmywać naczynia, a potem czekała na Rose. Miały razem pójść do kliniki, ona, żeby odwiedzić pana Meyera, Rose, bo tego dnia miała badanie USG. A Rose, jak to ona, zbierała się długo, tak że w końcu musiały bieć, by nie spóźnić się na wyznaczony termin.

Widząc, że wychodzą, Paulette zawołała za nimi: „A nie zapomnijcie w drodze powrotnej ze szpitala kupić miód i masło!”. Jasmine zapomniała, to było wieki temu, zanim pan Meyer poprosił ją, żeby weszła do jego domu, bezprawnie i po kryjomu. Może Rose pamiętała?

Krzyk mewy wyrwał ją z zamyślenia. Wzdrygnęła się. Przeszukała torbę, ale znalazła tylko zgnieciony batonik müsli z rodzynekami. Zjadła go łapczywie, podstawiając drugą rękę pod brodę, tak by nie uronić ani okruszka. Potem, aż do zmroku, biegała i robiła przysiady, trochę dlatego, żeby się rozgrzać, a trochę dla niepoznaki, na wypadek gdyby ktoś jednak ją obserwował. Przyszła na plażę poćwiczyć, to normalne, wielu ludzi biega i ćwiczy dla zdrowia.

Gdy w końcu zrobiło się ciemno, zebrała swoje rzeczy i wolnym krokiem ruszyła z powrotem do domu pana Meyera.

Posesję ogrodzono taśmą policyjną, a dom opieczętowano plombami, ale terenu nikt nie pilnował. Ulica była pusta. Światło latarni drgało rozproszone wieczorną mżawką.

*

Wszystko zgadzało się co do milimetra, jeśli o precyzję chodzi, pan Meyer, równie dobrze jak księgowym, mógłby być aptekarzem. Jasmine bez trudu odnalazła gałązkę, ułamaną przy samym pniu jednego z krzewów zimozielonych

w szpalerze żywopłotu. („Trzeci ligustr na lewo od bramki, zapamięta pani?”). Na niej, przewiązana kawałkiem czarnej tasiemki, wisiała połówka klamki. Gładka mosiężna rączka na długim trzpieniu była rzeźbiona i ciężka, przedwojenna. Dziś już się takich nie robi.

Włożyć, otworzyć, wyjąć i wejść, przełożyć. Zamknąć bramkę. Nie zapomnieć o schowaniu klamki do kieszeni, na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że ktoś tej samej nocy wpadł na podobny pomysł. I dla porządku, ponieważ pan Meyer był pod każdym względem porządnym człowiekiem.

Ku swemu zaskoczeniu, Jasmine musiała przyznać, że szło jej jak po sznurku, mimo drżących rąk i rozpędzonego pulsu, który dudnił w uszach, zagłuszając inne dźwięki. Dawka adrenaliny jako bezpłatny bonus, tego nie przewidziałam, pomyślała przerażona, ale i podniecona, że w każdej chwili ktoś może ją zobaczyć i wezwać policję.

Oparła się o żeliwne pręty, dysząc ciężko, jak po długim biegu. Przycisnęła ręce do klatki piersiowej. Przemknęło jej przez myśl, całkiem absurdalnie, że takie głuche dudnienie serca to fantastyczna ścieżka dźwiękowa: w samotności jedyną siłą sprawczą jest nasz własny strach.

Potrząsnęła głową zniecierpliwiona. Skup się! Jak oberwiesz w głowę, to będzie po tobie. Powiedziała to głośno. Jej własny głos otrzeźwił ją, zakryła usta dłonią.

Dopiero początek miała za sobą. Teraz jeszcze musiała przebiec przez odsłonięte podwórze, odnaleźć kolejny klucz i wskazane drzwi, a potem zerwać plombę i wejść do środka. I nie zacząć krzyczeć.

Mżawka ustała. Na niebie ukazał się księżyc w kolorze białego złota. Było jej duszno i zimno jednocześnie. Zdjęła kapelusz i wepchnęła go do tej samej kieszeni, do której chwilę wcześniej wsunęła klamkę, trudno, pogniecie się, nie ma wyjścia.

Skulona, przebiegła przez niewielkie podwórze. Biegąc, jednocześnie liczyła donice ustawione wzdłuż ściany domu, na prawo od werandy. Jedna, druga, trzecia, przy czwartej zatrzymała się. („Teraz klucz do kotłowni, proszę pani. Jest zawinięty w plastikowy woreczek, schowany pod donicą. Czwartą z kolei, licząc od werandy”).

Jasmine kucnęła i przechyliła donicę na tyle, by móc wsunąć pod spód rękę. Donica była ciężka, a uschnięte łodygi pelargonii drapały ją po twarzy, ale klucz był na swoim miejscu.

Wstała i rękawem kurtki potarła policzek. Kierując się wskazówkami pana Meyera, bez trudu odnalazła niepozorne drzwiczki, zagłębione w terenie, do których prowadziły trzy krzywe schodki w dół. Hans Meyer od lat nie korzystał z tego wejścia, ponieważ nie grzał już zimą węglem, ale zawiasy były świeżo naoliwione. Otwarcie nie powinno sprawić kłopotu, zapewnił. („Tak będzie

najbezpieczniej, przez te drzwiczki. Są małe i dobrze schowane, nikt się nie zorientuje, gdy zerwie z nich pani plombę. Przynajmniej nie od razu”).

Rzeczywiście, nikt się nie zorientował. Zarośnięte i zastawione pustą beczką, nie zostały nawet zaplombowane – policja ich nie zauważyła.

*

Prawdę mówiąc, kiedy zgadzała się na tę eskapadę, Jasmine nie myślała o sobie, tylko o panu Meyerze i jego prośbie. Był taki słaby i bezradny. Dopiero w autobusie uświadomiła sobie, czego się podjęła, i na moment pociemniało jej w oczach. Jak ona ma to zrobić, skoro nawet oglądając kryminały, nie mogła bez strachu patrzeć na podobne sceny. W obcym pustym domu pokoje wyłaniają się w nikłym świetle latarki niczym duchy, okna, niefrasobliwie (niebezpiecznie!) odsłonięte, zdają się obserwować i skrzętnie notować każdy nasz ruch, podobnie jak nieznanne sprzęty i skrzypiące podłogi. Strach na krawędzi krzyku przerażenia, stuk gałęzi o czarną szybę. Nocne ptaki. Nietoperze i ich bezszelestne łowy.

Tego wszystkiego również Jasmine nie przewidziała, nie tylko dudnienia w uszach, drżących rąk i uginających się pod nią kolan.

(„Proszę posłuchać uważnie: gabinet to pokój od ulicy, nawet blask latarki może zostać zauważony. Dlatego musi pani wystarczyć światło ulicznej latarni”).

Tu nastąpił precyzyjny opis rozmieszczenia mebli, ustawienia przedmiotów na parapetach i stolikach, porządku książek na półkach (tematycznie i według autorów) i układu perskich chodników względem cennego dywanu z Maroka. („Czy pani wie, że Tuaregowie słyną z produkcji dywanów? Co za wzory, a jakie barwniki, naturalne, trwałe...”).

Ale najważniejsze było biurko.

– To piękny mebel, proszę pani, ze słynnego zakładu Jamesa Shoolbreda. Wiktoriańska Anglia, rok produkcji 1872, z certyfikatem potwierdzającym autentyczność. Dąb politurowany, w świetnym stanie, szuflady wykładane mahoniem, wszystkie zamki i klamki oryginalne. Błat nachylony pod niewielkim kątem niezmiernie ułatwia pisanie, nawet szklany kałamarz uchował się bez uszczerbku...

Jasmine dotknęła jego ramienia.

– Proszę pana...

*

Okna, obramowane nisko podpiętymi storami z ciężkiego materiału, w rozchyleniu pozostawiały sporych rozmiarów jasny trójkąt rozproszonego światła z ulicy.

Przystanąła na progu gabinetu, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do mroku. Powoli z jednolitej czerni zaczęły wyłaniać się ciemniejsze kształty. Dwa

fotele przy kominku, obok pod ścianą wyściełana sofa, a przy niej stolik, okrągły, na wysokich giętych nóżkach. Między sofą a oszkloną biblioteczką miała stać lampa z dużym abażurem z ręcznie malowanego japońskiego parasola. Jednak lampy tam nie było. Pewnie pan Meyer coś pomylił albo ona źle zapamiętała.

Oszklone drzwi wysokiej biblioteczki błysnęły nikłym refleksem. Dopiero w tej chwili Jasmine uświadomiła sobie, że drzwi były otwarte, a odbicie światła zamigotało w kawałku szyby tuż przy ramie; reszta szkła została wybita. W ogóle opis pokoju pana Meyera zgadzał się tylko częściowo: wprowadzie ciężkie meble stały na swoich miejscach, ale wszystko poza tym – krzesła, książki, wazony, figurki z saskiej porcelany, poduszki i bibeloty, a nawet obrazy – zaścielały podłogę. Leżała tam również lampa, tyle że bez abażuru, który zgnieciony, a może podeptany, walał się obok.

Biurko stało między oknami odsunięte od ściany pod nienaturalnym kątem. Jasmine zrobiła krok w tamtym kierunku, jeden, potem drugi, ostrożnie. Starła się nie deptać przedmiotów rozrzuconych po podłodze, lecz mimo to przy każdym kroku coś chrzęściło jej pod butami. Potknęła się, narobiła hałasu. Przerazona, na moment zastygła w nienaturalnej pozycji, nasłuchując. Przytrzymała się mebla, o który się potknęła, przesunęła po nim dłonią, przyjrzała się bliżej: był to jakby stolik, ale niezupełnie. Włączyła komórkę i osłaniając ją niczym płomyk zapałki, oświetliła niewielki drewniany blat o nierównych krawędziach. Pod spodem, w miejsce dwóch nóżek miał przymocowane sporych rozmiarów pomalowane na czerwono kółka. Taczki ogrodowe przerobione na stolik czy może stolik udający taczki? Przewrócony na bok, przygniatał szachownicę, obok leżały rozrzucone pionki.

Jasmine podeszła do biurka i dotknęła palcami gładkiego dębowego blatu. Był pusty. Usiadła na ciężkim krześle z poręczami, odstawiła torbę na podłogę i z ciężkim westchnieniem odchyliła się na oparcie.

Teraz mogła już liczyć tylko na to, że włamywacze nie odkryli tajemnego schowka w szufladzie, gdzie pan Meyer ukrył dokumenty, po które tu przyszła.

*

Heinrich Friedrich (Heinz) Reinefarth urodził się 26 grudnia 1903 roku w Gnieźnie (niem. Gnesen, dawne Prusy, dziś Polska). Niemiecki wojskowy, nazista w randze SS-Gruppenführera odpowiedzialny za liczne zbrodnie wojenne na terenie Polski, popełnione przez wojska niemieckie między innymi podczas tłumienia powstania warszawskiego. Po wojnie władze polskie zażądały od Brytyjczyków i Amerykanów jego ekstradycji, jednak zachodni alianci odmówili, ponieważ uznali, że może on być przydatny jako świadek w procesach norymberskich. Wprowadzie Reinefarth pozostawał przez pewien czas w areszcie pod zarzutem zbrodni wojennych, ale sąd w Hamburgu zwolnił go z braku

dowodów. W grudniu 1951 roku został wybrany na burmistrza miasta Westerland, jako przedstawiciel partii Blok Wszechniemiecki, Blok Wypędzonych ze Stron Ojczystych i Pozbawionych Praw. W 1962 roku wybrano go do landtagu w Szlezwiku-Holsztynie; po zakończeniu kadencji, w roku 1967, rozpoczął pracę jako prawnik. Władze RFN przyznały mu generalską rentę. Reinefarth zmarł w wieku 75 lat, 7 maja 1979 roku, w swojej rezydencji na wyspie Sylt. Nigdy nie poniósł odpowiedzialności...³⁰.

Jasmine przesunęła palcem po ekranie i wyłączyła komórkę. Nikłe światelko, oświetlające plik kartek, zgasło. Przeczytane słowa dźwięczały jej w uszach, jakby każde było wielką żelazną kulą do burzenia domów. Czy tak się czuje człowiek, który niespodziewanie dociera do ukrywanej przez lata prawdy? Słyszy wielki huk?

Jak to się stało, że ta cicha wyspa przyjęła zbrodniarza, by mógł tu spokojnie dożyć swoich dni? Dlaczego nikt nie zaprotestował?

Obejrzała się niespokojnie za siebie. Nagle pojęła przyczynę wściekłości napastników, którzy na drzwiach wejściowych wyryli swastykę. Hans Meyer chciał zniszczyć pamięć ich germańskich bohaterów. On, emerytowany księgowy z wyspy Sylt, pisał doniesienia do prokuratury w Hamburgu, Amnesty International i „wszystkich sprawiedliwych świata”, domagając się sprawiedliwości.

Ulicą przejechał samochód, światła reflektorów przesunęły się wolno, omiatając zniszczone przedmioty. Chwilę później znów dał się słyszeć cichy odgłos silnika, z tą różnicą, że tym razem nadciągnął z przeciwnej strony – światło ponownie prześlizgnęło się po ścianach, powoli, bardzo powoli, jakby czegoś szukało albo, po namyśle, zapragnęło wrócić do punktu wyjścia.

Jasmine zerwała się z krzesła.

*

Wsunęła papiery pod pachę, zgarnęła kurtkę i torbę z podłogi i potykając się, wybiegła z gabinetu. W korytarzu zatrzymała się. Dokąd? Na ulicę nie mogła, za późno, za wcześnie. Wyjść na zewnątrz się bała, a do Westerlandu mogła wrócić dopiero za kilka godzin; pierwszy autobus odjeżdżał o szóstej rano.

I nie na plażę; w otwartej przestrzeni trudniej się ukryć.

Dopóki nie postanowi, w jaki sposób doprowadzić plan pana Meyera do końca, musi zostać tutaj, w tym domu pełnym duchów przeszłości.

Przytrzymując się chropawej poręczy, żeby nie spaść ze stromych schodów, zeszła po ciemku do piwnicy, wymacała kontakt na ścianie i zapaliła światło. Odetchnęła głęboko. Bała się, bała się tak bardzo jak nigdy dotąd. W tej chwili nawet sprawa Sophie – jej tajemnica, jej zniknięcie – wydały jej się... mniej istotne?

Odłożyła przyniesione rzeczy na stół z narzędziami i zdjęła sweter. Na

moment ukryła w nim twarz, wdychając zapach proszku do prania i płynu do zmiękczenia wełny. Kiedy kilka dni temu go prała, świat wyglądał inaczej – mimo że byli tam już Cyryl i pan Meyer, obaj w szoku, okaleczeni na ciele i duszy. Był tam również „Zły”, który ich zaatakował. Ale gdy Jasmine robiła to ostatnie pranie, w jej świecie nie było jeszcze Heinza Reinefartha, zbrodniarza wojennego – „bohatera”, o którego dobrą pamięć ktoś nieuchwytny i nieznanym toczył niewidzialną wojnę.

*

Ponownie włączyła komórkę i spojrzała na zegarek. Była godzina druga. Pomyślała: Ciekawe, czy na niebie wciąż jeszcze jest księżyc? Zwykle widzimy, jak wschodzi, ale potem zostawiamy go na niebie, wysoko, daleko. Zасыpiamy. A gwiazdy? Kiedy ostatni raz widziała, jak o świcie gwiazdy gasną i odpływają w jasność dnia, by na wiele godzin ukryć się przed naszym wzrokiem?

Rozejrzała się po nisko sklepionym pomieszczeniu za jakimś stołkiem, w końcu pod stołem z narzędziami znalazła stary zniszczony zydelek. Wyciągnęła go stamtąd i ustawiła pod ścianą, na której pod samym sufitem umocowana była lampa w metalowej oprawie, przypominającej kaganiec dla psa.

Usiadła na zydelku i oparła się o ścianę, chłód wilgotnego muru przeniknął ją do szpiku kości. Znużona, odłożyła na podłogę torbę, kurtkę i sweter, a po chwili wahania także papiery pana Meyera.

Nie czuła się bezpieczna.

Wstała i z kąta za drzwiami wyjęła deskę, która wydała jej się odpowiednia. Syknęła z bólu, deska była nieoszlifowana, wyjmując ją, Jasmine wbiła sobie drzazgę w dłoń. Odruchowo przycisnęła bolące miejsce do warg. Potem ostrożnie, na palcach, weszła po schodach na górę, tam przełożyła klucz w zamku na swoją stronę, zamknęła drzwi, a klucz schowała do kieszeni. Podstawiła deskę pod klamkę w taki sposób, żeby ją zaklinować. Na wszelki wypadek.

Następnie zeszła z powrotem do piwnicy. Sięgnęła po plik kartek.

*

Heinz Reinefarth był synem pruskiego sędziego Fritza Reinefartha i Berthy z domu am Ende. W latach 1922–1927 studiował prawo na uniwersytecie w Jenie, w 1930 ukończył aplikację sądową i rozpoczął pracę w zawodzie jako adwokat i notariusz. 1 sierpnia 1932 wstąpił do NSDAP, a w grudniu tegoż roku także do SS. W 1930 poślubił Adelheid (Heidi) Reichelt (1905–1986) i miał z nią dwoje dzieci: Petera (ur. 1933) i Inge (ur. 1936). Po wybuchu II wojny światowej walczył w kampanii wrześnieowej na terenie Polski, za co otrzymał Krzyż Żelazny II klasy. W roku 1940, w randze podoficera Wehrmachtu w pułku piechoty, brał udział w kampanii przeciwko Francji, gdzie wraz ze swoim plutonem wziął do niewoli 3

tysiące żołnierzy francuskich i jako jeden z niewielu podoficerów został odznaczony Krzyżem Rycerskim. Powołany w roku 1941 ponownie do swojego dawnego pułku piechoty, wziął udział w walkach na froncie wschodnim, zaczął także szybko awansować w SS. 20 kwietnia 1942 roku został generałem-majorem policji oraz SS-Brigadeführerem i w tej randze przydzielony do sztabu głównego inspektora SS w Protektoracie Czech i Moraw.

29 stycznia 1944 roku Reinefarth dołączył do sztabu wyższego dowódcy SS i policji w Kraju Warty, w okupowanej Polsce. Po wybuchu powstania warszawskiego, począwszy od 5 sierpnia 1944 roku, jego oddziały Kampfgruppe brały udział w walkach na Woli, gdzie w ciągu zaledwie dwóch dni, wraz z oddziałami Oskara Dirlewangera, wymordowały w masowych egzekucjach blisko 50 tysięcy cywilnych mieszkańców Warszawy. W jednym z raportów do dowództwa Reinefarth donosił: „Mam więcej jeńców do rozstrzelania niż amunicji. Co robić?”. Po brutalnej pacyfikacji Woli jego oddziały zostały przesunięte do ciężkich walk kolejno na Starym Mieście, Powiślu i Czerniakowie.

Dokładna liczba ofiar zgładzonych z rozkazu Reinefartha nie jest znana, wiadomo jednak, że prócz mordowania cywilów jego oddziały zajmowały się także likwidacją jeńców wojennych i rannych w szpitalach wojskowych. Za udział w tłumieniu powstania Reinefarth otrzymał 30 września 1944 Liście Dębowe do swojego Żelaznego Krzyża...³¹.

Jasmine podniosła głowę znad zapisanych kartek i spojrzała w stronę małego okienka o czterech szybkach. Ciemno, do świtu wciąż było daleko.

Dopiero teraz na podłodze pod nim zauważyła kopczyk węgla, pozostałość po czasach gdy domy takie jak ten ogrzewano jeszcze, paląc w piecu.

*

Ubrała się i zgarnęła swoje rzeczy. Już nawet otworzyła piwniczne drzwiczki do ogrodu, gdy po chwili wahania zmieniła zamiar.

Wbiegła po schodach na górę i wyjęła deskę blokującą kłamkę. Gdy znalazła się w korytarzu, zdjęła buty i postawiła je przy zejściu do piwnicy, a sama weszła na palcach na górę, do swojego pokoju. Od wypadku pana Meyera nie miała się w co ubrać; dom był zaplombowany, a mimo że sprawa nie dotyczyła jej, tylko gospodarza, Jasmine nie wolno było tam wejść. Nawet komisarz Herzog nic tu nie poradził, nie mógł ominąć przepisów. Jasmine chodziła więc w rzeczach, które pożyczyła od dziewczyn – Rose dała jej sweter Vincenta (za duży), a Paulette krótką spódniczkę i podkolanówki. T-shirty na zmianę i zapas bielizny po prostu kupiła.

Spakowała torbę. Nie zabrała wszystkiego, kilka rzeczy zostawiła na widoku, w takim samym ułożeniu jak poprzednio, na wszelki wypadek, gdyby policja miała tam jednak jeszcze zajrzeć. Ręcznik na poręczu fotela, piżama na

łóżku. Szampon na umywalce.

Czuła się nieswojo. Skradanie się bez butów po schodach i pozorowanie własnej nieobecności nie było czymś, co stale robiła w życiu. Nie zapaliła światła; odchyliła jedynie firankę.

Jak niewiele dzieli niewinną swobodę ruchów od nienaturalnej ostrożności. Konieczność ukrywania się rodzi w nas czujność, czujność rodzi przewrażliwienie, które prędzej czy później staje się pułapką, zostawia skazę na naszych myślach i na tym, co mówimy. Zaczynamy się inaczej poruszać, zachowywać. Jasmine знаła podobne sytuacje z filmów i książek, ale sama nigdy wcześniej czegoś podobnego nie przeżyła.

Pomyślała: A więc tak zachowuje się człowiek przypadkiem w coś „zamieszany”. Poczuła się jak panna Marple, szperająca w ogrodowej szopie w poszukiwaniu dowodów morderstwa, w filmie, który widziała jako mała dziewczynka i którego tak się bała, że nie zapamiętała dokładnie ani fabuły, ani tytułu. Tylko dawny dreszcz strachu pozostał.

Z torbą przewieszoną przez ramię zeszła na dół. Starła się stąpać lekko i ostrożnie, bo pamiętała, że schody skrzypią. Mimo to kilka razy nie udało jej się uniknąć hałasu. Nie potrafiłaby powiedzieć, co zabrzmiało głośniejsz: skrzypienie stopni czy bicie jej serca.

W korytarzu usiadła na podłodze i włożyła buty, potem wstała, odruchowo otrzepała się i podniosła torbę z ziemi. Przez chwilę stała bez ruchu, przebiegając w myślach ostatnie minuty. W torbie trochę rzeczy i papiery pana Meyera, w kieszeni klucze i klamka do bramki. Nic nie zostawiła, o niczym nie zapomniała.

Obejrzała się za siebie. Jeszcze tylko...

*

Było wpół do szóstej, gdy Jasmine wymknęła się z domu Hansa Meyera tą samą drogą, którą tu przysła.

Otworzyć, wyjść, zamknąć drzwi na klucz i zastawić z powrotem beczką. Sprawdzić, czy nie zostały ślady na ziemi.

Klucz ukryć pod czwartą donicą.

Przeszła kilka kroków wzdłuż domu i odszukała w trawie plastikową torebkę w miejscu, gdzie wcześniej ją zostawiła. Włożyła do niej klucz, zawinęła szczelnie, po czym kucnęła i przechyliła donicę na tyle, by móc włożyć pod nią rękę. Robiąc to, odruchowo odsunęła głowę, żeby uschnięte łodygi pelargonii nie podrapały jej twarzy. Wstała. Rękawem kurtki odgarnęła kosmyk włosów z czoła; łaskotał ją, a ona miała brudne ręce.

Skulona, przebiegła na drugą stronę podwórza i niemal bez tchu dopadła ogrodzenia. Gdy wreszcie bramka się za nią zamknęła z cichym trzaskiem, oparła się o równo przystrzyżony żywopłot, dysząc ciężko, jak po długim biegu.

Przycisnęła ręce do piersi, próbując zapanować nad dygotem, w uszach jej szumiało.

Żyje, udało się!

Spełniła prośbę pana Meyera. I nie umarła ze strachu. Wszystko zrobiła dokładnie tak, jak staruszek jej przykazał.

Z jedną różnicą.

Zanim wyszła, zawróciła do gabinetu. Z półki nad kominkiem zdjęła ostrożnie zegar ze stłuczoną szybką, uważając, żeby się nie pokaleczyć odłamkami szkła. Zegar był niezbyt duży, ale ciężki, w obudowie z jasnego kamienia. Miała nadzieję, że w ogólnym rumowisku nikt nie zauważy, że czegoś brakuje. Przynajmniej do czasu.

W koszu na opał znalazła gazetę. Zawinęła zegar.

Pogratulowała sobie w duchu, że moździerz z kamienia mydlanego, który do tej pory zawsze nosiła w torbie, by w razie czego móc go użyć w miejskiej dżungli jako broni, ukryła w pokoju na górze. Książkę *Genetics of the Sea* wsunęła pod łóżko. Nie była jej już potrzebna.

*

Odnalazła trzeci ligustr w szpalerze żywopłotu. („Na lewo od bramki, tak, proszę pana, pamiętam, że wychodząc, będę go miała po prawej”). Odwiesiła kłamkę na miejsce. Była ciepła w dotyku; w kieszeni swetra zdążyła się nagrzać przez kilka godzin.

Podniosła torbę z ziemi. Nie czuła zmęczenia i nawet, mimo nieprzespanej nocy, nie była śpiąca, jedynie zimne dreszcze na przemian z falami gorąca świadczyły o stresie.

Wyjęła kapelusz z kieszeni, rozprostowała go i nasunęła mocno na czoło; stracił formę, ale było jej wszystko jedno. Potem schyliła się i podciągnęła podkolanówki, jednocześnie rozglądając się ukradkiem. Wokół panował niczym niezmacony bezruch świtu, między ciszą a dniem, na moment przed przebudzeniem. W głębi, za wydmami, morze powoli roztapiało nocne cienie. Trawy na wydmach stały wyprostowane, nieporuszone wiatrem ani deszczem.

Na plaży nie było nikogo, nawet mewy jeszcze spały, białe owalne grudki rozrzucone na wodzie i piasku. Jasmine podniosła kołnierz kurtki; nie potrafiła zapanować nad dygotem, nieprzespana noc dawała o sobie znać.

Żeby się obudzić, ruszyła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Obeszła posesję pana Meyera dookoła i skręciła w prawo, skąd do ulicy miała już niedaleko. Jeśli się pospieszę, zdążę jeszcze coś zjeść na dworcu, pomyślała, wychodząc na chodnik.

Nagle krzyknęła wystraszona. Zatrzymała się gwałtownie.

Przed nią, oparta o drzewo, stała kobieta.

Na widok Jasmine nie poruszyła się, nadal stała spokojnie. W ogóle wszystko w niej było spokojne: odchylenie ciała, nieruchome spojrzenie pod łukami regularnych brwi, czarny ubiór i gładkie, równo przycięte włosy z siwymi pasmami i prostym przedziałkiem, nawet ręce wsunięte do kieszeni długiego swetra. Był w niej dystans beznamiętnego świadka, a może widza w teatrze. Tylko oprawki okularów nie pasowały do tego spokoju. Były czerwone, drażniły.

Obserwowała dom pana Meyera? Czekala na Jasmine!

Podmuch wiatru poruszył frędzlami czarnego szala nieznajomej. Jasmine drgnęła. Rozejrzała się wokół, lecz nie zauważyła nikogo więcej; kobieta była sama. Mieszkańcy sąsiednich domów jeszcze spali, poza tym żadnych przejeżdżających samochodów, żadnego ruchu, nikogo. Tylko ta kobieta. Stała pod drzewem i przyglądała się Jasmine otwarcie, taksująco.

Skuliła się pod tym spojrzeniem. Na moment zapomniała, po co tu przyjechała, a zobaczyła siebie czyimiś oczami, z zewnątrz. Okutana po szyję, w pomiętym kapeluszu, z ciężką torbą, zdyszana marszem i biała jak ściana z niewyspania. Wołała nie wiedzieć, jak wygląda.

Odwróciła się, nagle z jakiegoś powodu zła na tę kobietę, zawstydzona. Bez słowa ruszyła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

Na dworzec, byle prędzej, byle dalej. Nie oglądaj się!

Szła, niemal biegła, z opuszczoną głową, ze wzrokiem utkwionym w czubkach własnych butów, które raz po raz ukazywały się w polu jej widzenia, lewy, prawy, i znów lewy, prawy, i znów.

Dopiero gdy skręcała w ulicę, prowadzącą do dworca autobusowego, obejrzała się. Pusto, tylko w głębi, na skrzyżowaniu, pojawiła się biała furgonetka. Jechała w jej stronę za wolno czy tylko tak jej się wydawało? Jasmine schyliła się, udając, że musi zawiązać sznurowadło. Odczekała, aż samochód ją minie i pojedzie dalej. Minął ją. Skręcił w przeciwną stronę, nie do dworca.

Jasmine wyprostowała się, zerknęła za siebie. Nikogo.

Kupiła bilet, potem w barze zamówiła podwójną café americano w papierowym kubku, a do tego, po krótkim wahaniu na widok różnorodności pieczywa wystawionego w witrynie – to samo co zwykle: kanapkę z ementalerem, połówką jajka na twardo i plasterkiem ogórka konserwowego. I precel z solą. Potem usiadła na ławce w poczekalni z mocnym postanowieniem, że przez najbliższą godzinę nie będzie myśleć o niczym, absolutnie o niczym. Miała dość. Teraz marzyła tylko o jednym: żeby się wykąpać.

W autobusie wybrała miejsce w ostatnim rzędzie przy oknie, po czym opadła na fotel i natychmiast zasnęła.

LIST Z WOJNY

Droga J.

Dziś trudno sobie wyobrazić, a jednak Józef Stalin i Adolf Hitler byli

zgłoszeni do Pokojowej Nagrody Nobla, o czym przeczytaliśmy ze zdumieniem, gdy Komitet Noblowski – po wygaśnięciu pięćdziesięcioletniej klauzuli tajności – ujawnił nazwiska osób nominowanych, które tą nagrodą nie zostały wyróżnione.

W ostatnich latach, jak wiemy, wśród kandydatów znalazł się, na przykład, Internet „za promowanie dialogu i demokracji” oraz Władimir Putin, którego kandydaturę zgłosiła Międzynarodowa Akademia Jedności Duchowej i Współpracy Narodów Świata. Poinformował o tym portal „Głos Rosji”, powołując się na prezydenta tejże akademii Georgija Trapeznikowa. „Bardzo dobrze wiemy, jaką rolę w zaprowadzaniu pokoju w trudnych rejonach, zwłaszcza w Biesłanie, w Osetii Północnej, odegrał nasz prezydent” – stwierdził Trapeznikow, nie wyjaśnił jednak dokładnie, co miał na myśli.

Kandydatura Stalina wysuwana była dwukrotnie, w 1945 i 1948 roku, z jednakowym uzasadnieniem: „Za wysiłki na rzecz zakończenia II wojny światowej”. Inaczej rzecz się miała z Hitlerem. To, notabene, ciekawy i pouczający przykład, jak nasze słowa (i intencje) mogą być interpretowane, nieraz wbrew naszym intencjom. Otóż kandydaturę tę, w liście z 27 stycznia 1939 roku, skierował do norweskiego Stortingu szwedzki polityk i parlamentarzysta Erik Brandt. Ten zdeklarowany antyfaszysta uczynił to na znak protestu i oburzenia z powodu innej kandydatury, zaproponowanej przez grupę dwunastu jego kolegów z parlamentu, którzy zgłosili brytyjskiego premiera Neville’a Chamberlaina w dowód uznania „za wkład w utrzymanie pokoju w Europie”. Jak pamiętamy, Chamberlain prowadził politykę appeasementu wobec hitlerowskich Niemiec i faszystowskich Włoch, nie chcąc dopuścić do wojny. Cel w istocie był szczytny, a raczej byłby, gdyby nie starano się go osiągnąć za wszelką cenę, jak to miało miejsce, we wrześniu 1938 roku, podczas negocjacji z Hitlerem kolejno w Berchtesgaden i Bad Godesberg, a wkrótce potem w Monachium. Owa ustępliwość wcale nie została odczytana przez Hitlera jako cywilizowany sposób postępowania, lecz jako dowód słabości. Utwierdziła go w przekonaniu, że cokolwiek uczyni z mapą Europy, Wielka Brytania zachowa neutralność, i to samo doradzi innym. Do pewnego momentu Hitler miał rację. Na przejście obszarów tak zwanego Sudetenlandu Chamberlain po prostu się zgodził, a gdy 15 marca 1939 oddziały Wehrmachtu wkroczyły do Pragi, premier Wielkiej Brytanii nie odważył się na słowo sprzeciwu. Zmienić to miał dopiero wrzesień 1939 roku.

Chamberlain był przekonany, że dobrze czyni, a swoje zabiegi dyplomatyczne oceniał jako wielki sukces. Po powrocie z Bad Godesberg, w mowie powitalnej, jaką wygłosił na lotnisku Heston, nazwał zawarte tam porozumienie „pokojem dla naszych czasów”. I w tamtych dniach gorących negocjacji z Niemcami i Włochami, zwieńczonych podpisaniem traktatu monachijskiego, który dziś śmiało możemy nazwać „traktatem ustępstw z następstwami” – poczynania brytyjskiego premiera tak właśnie postrzegano.

Prasa niemal w całości bezkrytycznie wspierała Chamberlaina, społeczeństwo zasypywało go listami dziękczynnymi i tysiącami prezentów, od serwisów obiadowych i srebrnych sztuczków po ulubione przez brytyjskiego premiera parasole, których otrzymał wówczas spory zapas. Królowa matka, w liście do swego syna króla Jerzego, pisała oburzona: „Powrócił do kraju z obietnicą pokoju, dlaczegóż inni nie potrafią okazać mu wdzięczności?”, mając zapewne na myśli admirała Duffa Coopera, który nazajutrz po Monachium zrezygnował ze stanowiska pierwszego lorda admiralicji („Wojna z honorem albo pokój bez honoru – to jeszcze mógłbym zrozumieć. Ale wojna bez honoru – tego już za wiele!”). Równie krytycznie oceniał „sukcesy” brytyjskiej dyplomacji Winston Churchill: „Anglia miała do wyboru hańbę albo wojnę. Wybrała hańbę, a wojnę dostanie i tak”.

Brandt dostrzegał – z dzisiejszej perspektywy całkowicie słusznie – niebezpieczeństwa kryjące się za brytyjską polityką, argumentując, iż Chamberlain w równym stopniu nie zasługiwał na Pokojową Nagrodę Nobla co Hitler. Jego list pełen jest gorzkiej ironii i choćby tylko z tego powodu warto go przeczytać z uwagą: „Niżej podpisany pozwala sobie zwrócić się do Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla z uprzejmą sugestią, by nagrodą za rok 1939 uhonorowano kanclerza Niemiec, Führera [...] w dowód uznania za wyjątkowe osiągnięcia...”. Wielki człowiek i przywódca. Gorliwy piewca pokoju, czemu dał wyraz w *Mein Kampf*, najwybitniejszym, obok Biblii, dziele literatury światowej. Zbawca, który ocalił kontynent europejski od straszliwej katastrofy. Wizjoner, który wcielił i anektuje, lecz czyni to bezkrwawo i pokojowo. Jego poczynaniom przyświeca słuszne i z gruntu uzasadnione pragnienie przywrócenia wielkości narodowi niemieckiemu. I tak dalej.

Zdania ociekają sarkazmem, widzimy, że apoteoza bohatera jest świadomie zamierzoną satyrą, a mimo to list został odczytany przez członków szacownej komisji z powagą i odebrany co najmniej jako nietakt. W zderzeniu z taktyką ustępstw dalekowzroczność szwedzkiego polityka przegrała na rzecz pochwały krótkowzroczności brytyjskiego premiera. Miesiąc później, 1 lutego 1939, Brandt swą propozycję wycofał, a Pokojowej Nagrody Nobla tego roku w ogóle nie przyznano – co znamienne o tyle, że w jakimś sensie decyzja noblowskiej komisji sama w sobie była aktem appeasementu.

Pisząc swą ironiczno-sarkastyczną apoteozę, Brandt posłużył się językiem propagandy, ukazał zło w sposób pozytywny. Hitler, z kolei, spotykając się z przedstawicielami elit politycznych Zachodu, otrzymał niejako w prezencie dobre intencje i eleganckie zapewnienia, a zrobił z nimi, co chciał. Wojna i tak wybuchła, jak przewidział to Churchill, i była wojną długą i straszliwą.

Masz rację, pokolenia mijają, a pamięć jest zawodna. Możemy jedynie liczyć na sprawiedliwość *post mortem* – sprawiedliwość pamięci. Jak Hans Meyer. Co

i tak, przyznajmy, nawet jeśli zaprawione goryczą, jest lepsze niż całkowite zapomnienie.

Myślę o Jasmine i demonach wojny. Co poczuła w tym nieoczekiwanym zderzeniu z przeszłością? Odnoszę wrażenie, że w tej chwili nie musi nam się z niczego tłumaczyć. Ani z tego, ile wiedziała wcześniej, ani co poczuła tamtej nocy, poza strachem, który jest odruchem naturalnym; w jej sytuacji każdy by się przestraszył, ja na pewno. Kiedyś do tej sprawy wróci, w innym czasie i w innym miejscu. Ale dopiero po wszystkim, gdy upora się z całą tą historią z Cyrylem i Sophie.

A jednak nie mogę przestać o tym myśleć. Jest taka piosenka Otisa Reddinga „*Fa fa fa fa sad song. Sad song is all I know...*”. Znamy wiele smutnych piosenek, to prawda. Kiedyś zaczęłam nawet układać listę tych najsmutniejszych. Otwierali ją Reggiani i Léo Ferré.

Z tego wszystkiego sięgnęłam znowu po Kierkegaarda, sąsiada zza duńskiej miedzy, który był wyjątkowym znawcą i wyznawcą wysokiej sztuki melancholii.

Dobrej nocy,

B.

PS Dla uzupełnienia tej zawiłej wykładni przesyłam fotografię paryskiej ulicy. Oddaje jasno, jak sądzę, moją myśl. Na billboardzie najślynniejszy obraz Delacroix z waleczną Marianną, czyli *Wolność wiodąca lud na barykady*, poniżej młoda dziewczyna w swoim świecie, w nowych modnych kolorach, przechodzi przez jezdnię. A kilka kroków dalej kobieta w średnim wieku: znacznie mniej modna, zmęczona życiem, spieszy się. Załatwi, co miała do załatwienia, a potem szybko, nie rozglądając się na boki, wróci do domu na świętą porę kolacji. Czas i miejsce jest jedno, ale założę się, że te trzy kobiety nic o sobie nawzajem nie wiedzą: ani współczesna dziewczyna o Mariannie na barykadach i zmęczonej kobiecie, ani starsza kobieta o dwóch pozostałych, ani, jeśli o to chodzi, sama Marianna.

LIST Z MIŁOŚCI

Droga J.

W domu rodzinnym mojej przyjaciółki Dominique, dokąd wybrałyśmy się któreś niedzieli, żeby uciec od zgiełku Paryża, poznałam historię sekretnej miłości jednej z babć i niemieckiego żołnierza. Jeśli dodasz do tego, że mąż babcinej siostry bliźniaczki był policjantem, a ja gościem z (komunistycznej) Polski, wówczas zrozumiesz, dlaczego rozmowa przy stole toczyła się nie tylko, jak to we Francji, o jedzeniu. Od wojny minęło tyle lat, a miłosna historia babci i jej niemieckiego żołnierza nadal była pilnie strzeżoną tajemnicą rodzinną, w której równie ważne jak miłość były: patriotyzm, odpowiedzialność za losy ojczyzny i za swoje czyny, obowiązek i posłuszeństwo. Ale nie ważniejsze. Bo miłość jako kwestia polityczna to we Francji, jak wiadomo, trudna sprawa, ponieważ tam

miłość nie wybiera, czyś wróg, czy przyjaciel. Kochasz i już, Niemca, Francuza, Anglika, to nieistotne. Każdy by tak postąpił, gdyby w grę wchodziła miłość – argumentowała babcia, podczas gdy jej siostra, ta od Niemca, podawała do stołu kolejną porcję ślimaków z masłem, drobno posiekaną pietruszką i czosnkiem. Co to były za ślimaki, nigdy więcej nigdzie takich nie jadłam. A jakie wino, a cielęcina w białym sosie, a sałata i domowy vinaigrette, i jeszcze sery, i tarta z owocami, a na koniec kawa dla wszystkich, dla chłopaków zaś cygara.

Między tym wszystkim one obie: szczuplutkie, poruszające się drobnymi kroczkami, już lekko przygarbione, ale nadzwyczaj sprawne, działające jak jeden organizm, z cieniami przystojnego Niemca i dziadka policjanta w sercach. Na wspomnienie swych miłości prostowały się, w oczach zapalał się blask, miałaś wrażenie, że jeszcze chwila, a zakręca się po salonie w takt walca; we Francji miłość jest synonimem wdzięku i elegancji. Do Dominique z wizytą, pamiętam, przychodziły zawsze w kapeluszach.

Moja babcia Maria, nim tak jak stała, bez dobytku, późną jesienią 1944 zjawiała się u rodziców w Starachowicach, dwukrotnie ocalała z powstania: najpierw, gdy nie dała się zabić, i ponownie, kiedy zdołała uciec z konwoju jeńców, pędzonych do obozu w Pruszkowie. W kieszeni prochowca zachowała jedynie mosiężne odważniki ze swojego sklepu: jedno-, pół- i dwudekagramowe. Mam je do dziś, nieraz zastanawiałam się, co takiego ważyła tymi odważnikami, gdy jeszcze miała co i gdzie ważyć – herbatę? A potem?

Temat powstania poruszała rzadko. A choć używała pięknej polszczyzny, zawsze podmiot, zawsze orzeczenie, we właściwym szyku, to na wspomnienie powstania zdania zaczynały się rwać, a ona zamyślała się, nie dopowiadała myśli do końca. Nie oceniała ani się nie skarżyła. Za to gdy tylko to było możliwe, wróciła do „swojej” Warszawy, w gruzy, na biedę i poniewierkę. Kochała to miasto.

Tyle na dziś. Nie czytam ponownie, nie poprawiam mimo, jak podejrzewam, nadmiaru dygresji i opowieści bez związku. Ale jest późno, północ dawno minęła. O kapeluszach obiecuję opowiedzieć szerzej, poszukam fotografii.

Tymczasem,

B.

Rozdział 19: W biały dzień

Obudził ją kierowca autobusu.

– Proszę wysiąść – powiedział, potrząsając Jasmine za ramię. – Przepraszam – cofnął rękę – ale stoję tu nad panią i stoję, a pani śpi jak kamień. Jesteśmy w Westerlandzie.

Wzięła torbę, wcisnęła pognieciony kapelusz na głowę, owinęła szyję tyle razy, na ile pozwalała długość szala, i drżąc z zimna, pomaszerowała do Johannesesa. Było jeszcze wcześniej, w domu na pewno wszyscy spali.

Johannes wystawiał właśnie na chodnik tablicę, na której poprzedniego wieczoru, po zamknięciu, Rose wypisała wymyślną kaligrafią: „AUTUMNAL BRUNCH, wszystko od rana na ciepło i gorąco. Kawa z dolewkami w cenie kawy”. Od jakiegoś czasu wypisywanie takich enigmatycznych haseł zamiast dań menu stało się nową pasją Rose. Twierdziła, że to eksperyment marketingowy, a zasada była prosta: im dziwniejsza będzie zachęta, tym większą liczbę klientów przyciągnie.

Tego dnia na śniadanie miała być tylko kawa z dolewkami w cenie kawy. Zaczęło znowu padać, Johannes nie spodziewał się dużego ruchu.

Nie zdziwił się, że Jasmine zjawiała się o tak wczesnej porze. Zresztą on się nigdy niczemu nie dziwił, a nawet gdyby tak było, to tego nie okazywał. Jak również o nic nie pytał; lubił rozmawiać, ale był dyskretny. Za to Jasmine spytała, czy nie ma nic przeciwko temu.

Nie miał, chociaż nie wyjaśniła, co miała na myśli.

Wyminęła go w progu, postawiła torbę na parapecie okna i bez słowa zabrała się do smażenia jajek sadzonych na bekonie. W domu zazwyczaj jadała płatki śniadaniowe z jogurtem, a częściej, bo zwykle była spóźniona, w biegu jakiś owoc. Ale miała za sobą trudną noc. I bardzo długą. Buty jej przemokły i było jej zimno, musiała natychmiast zjeść coś ciepłego i wypić morze gorącej kawy z dolewkami.

Żeliwna patelnia była duża i ciężka.

Jasmine zrumieniła cienkie plastry chudego bekonu, w ostatniej chwili polewając je łyżką mleka, żeby były bardziej chrupkie, tak jak ostatnio nauczyła ją Paulette. Cukier w mleku karmelizuje się, a karmel, wiadomo, chrupie. Gotowe, odsunęła na brzeg patelni, a na środek położyła kawałek zimnego masła, po czym wbiła cztery jajka. Gdy białko się ścięło i lekko przypiekło na brzegach, nakłuła żółtka widelcem, odczekała, aż wypłyną, a wtedy szybko zakreśliła żółty krąg na białym tle, uważając, aby żółtka nie spłynęły na patelnię. *Frambled eggs*, jak nazywała je Rose.

Wyjęła dwa gorące talerze ze zmywarki, wrzuciła dwie kromki chleba do tosterki i włączyła ekspres do kawy.

Ustawiła na tacy dwa kubki i największy dzbanek, jaki udało jej się znaleźć

na półce. Wyjęła mleko z lodówki.

– Śniadanie gotowe, kawa zaraz będzie. Jest szczypiorek? – spytała, stając w progu.

Szczypiorku nie ma i dziś nie będzie, stwierdził Johannes. A on nie jada śniadań, nim na dobre się nie obudzi.

Jasmine nie przejęła się.

– Dzisiaj zjesz – oznajmiła. – Bez szczypiorku.

*

Pozmywała naczynia mimo protestów Johannaesa. Przed tygodniem w barze pojawiła się nowa zmywarka, ale Jasmine nie chciało się na nią nawet spojrzeć. Mimo obfitego śniadania i trzech dolewek kawy wciąż było jej zimno. Zmywanie ją rozgrzało.

Potem stanęli oboje w otwartych drzwiach baru, wsłuchując się w monotony rytm deszczu. Milczeli. Była to jedna z tych chwil, kiedy słowa nie są potrzebne, żeby wiedzieć na pewno, co się czuje. Po długiej nocy, pełnej strachu i obrazów wojny, Jasmine nareszcie odzyskała spokój. I miała absolutną pewność, że zawdzięcza to obecności człowieka, który stał obok i razem z nią słuchał deszczu.

Rozpadało się i nic nie wskazywało na to, że przestanie. Ciekawe, ile kropel zmienia pojedyncze kapanie w taki monotony szum, pomyślała sennie.

Schyliła się i pogłaskała psa. Nim się pożegnali, wyjęła z torby kopertę. Nie chcąc wyjawiać szczegółów, zaczęła coś zawile tłumaczyć.

Johannes machnął ręką za siebie.

– Przechować? Jasne, nie ma sprawy. Najlepiej w kantorku, obok kasy. – Sięgnął do stojaka przy drzwiach, chwilę czegoś szukał, wybierał. Podał Jasmine jeden z parasoli. – Nie musisz oddawać – mówiąc to, przejechał palcem po ręcznie obszytej skórą. – Mamy tutaj całą kolekcję takich porzuconych sierot.

Jasmine przystanęła na krawężniku i otworzyła parasol; był biały, w niebieską kratę. Weszła na jezdnię. Obróciła się jeszcze, żeby coś powiedzieć, gdy nagle odskoczyła wystraszona piskiem opon. Biały van zahamował gwałtownie tuż przy niej, by za sekundę, w fontannach wody, ruszyć dalej. Nie uderzył jej, ale zdążył wytrącić parasol z ręki.

Oszołomiona, zachlapana Jasmine stała bez ruchu, rejestrując wzrokiem znikający w głębi ulicy samochód. Nadmierna szybkość uniemożliwiła zapamiętanie szczegółów – nowy czy stary, miejscowy, z napisem czy bez. Biały, tyle. Ale czy na miejscowych numerach, tego już nie zapamiętała.

Odgłos silnika rozbrzmiewał długim echem na pustej ulicy, aż w końcu ucichł. Niesiony wiatrem, połamany parasol podskakiwał na chodniku, wreszcie ugrzązł w kałuży. Nie przyda się już na nic, oceniła, zbierając pogięte szczątki.

Wrzuciła je do kosza na śmieci.

Poczuła, że Agat liże jej rękę. Za plecami usłyszała niespokojny głos, to Johannes dopytywał się, czy wszystko w porządku.

– Tak, tak, w porządku! – odkrzyknęła. – Tylko wiatr porwał mi parasol.

– To weź drugi! – zawołał, wychodząc na chodnik. W wyciągniętej ręce trzymał otwarty parasol. – Ładniejszy? – spytał, krótkim śmiechem usiłując pokryć zdenerwowanie.

Parasol był różowy, w duże białe grochy.

– Śliczny – Jasmine również się roześmiała. Rozmowa o parasolach uspokoiła ją, pozwoliła wyrównać oddech.

*

Zakład zegarmistrzowski, do którego skierował ją Johannes („Chcesz kupić, sprzedać albo naprawić zegarek? Idź do Alfreda!”), mieścił się w najstarszej części miasta, niedaleko ratusza. Był staroświecki, ale zarazem elegancki, jak to w kurortach, gdzie stare domy z niemodnych przerabia się na atrakcje turystyczne.

Pod wskazany adres trafiła bez kłopotu. Szyld nad drzwiami przypominał starą kieszonkową cebulę. Na cyferblacie wymalowane były wskazówki i godziny, przez środek biegł napis: *Pendulum*. Wahadło.

Jasmine stanęła po drugiej stronie ulicy, czekając, aż zmienią się światła. Przechodząc przez lśniącą od deszczu jezdnię, kątem oka spostrzegła idącą w przeciwną stronę kobietę w charakterystycznych okularach. Obejrzała się gwałtownie. Ona? Ale nie zdążyła się przyjrzeć, tamta szła szybko, niemal biegła, była już daleko. Nie miała parasola ani kurtki przeciwdeszczowej, z frędzli czarnego szala na ramionach kapąła woda, jednak jej to najwyraźniej nie przeszkadzało. Idąc, przez cały czas rozmawiała przez komórkę.

Jasmine zawahała się. Przez moment chciała zawrócić, dogonić kobietę, ale zrezygnowała. Po co? Żeby porozmawiać? Nie miałyby o czym. To było przypadkowe spotkanie, przypadkowa zbieżność. O świcie na wydmach. I teraz w deszczu. Zresztą może jej się tak tylko wydawało.

Wzdłuż krawężnika płynął rwący strumień, bez namysłu przeszła na chodnik, brodząc w wodzie. Nogi i tak miała już mokre; samochód, który omal jej nie potracił przed barem Johanna, ochlapał ją od stóp do głów, strugi błota wlały się do butów.

Nim weszła do zakładu zegarmistrzowskiego, przystanęła przed oknem wystawowym. Za szybą, na postumentach przykrytych czarnym aksamitem, stały stare zegary, w szybie odbijała się jej postać – spływające po szybie krople sprawiedliwie obdzielały jesienną wilgocią oba obrazy, zacierając granicę między ulicą a wnętrzem. Napis na szybie powyżej, wymalowany po łuku złotą farbą, informował: „Stare zegary, zegarki i werki. A. Raabe & Brat, rok założenia 1938”.

Otworzyła drzwi. Podały się łatwiej, niż się spodziewała, sądząc po rzeźbionych kasetonach, biegnących wokół przeszklonej środkowej płytki, na której kołysała się mosiężna zawieszka z napisem „Otwarte”.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał zaskakująco głośno, ostro. Wystraszona hałasem Jasmine cofnęła się odruchowo na próg gotowa uciec. Zaraz jednak się opanowała, zamknęła drzwi za sobą.

Spokojnie, przyszedłam naprawić zegar, to mi wolno. Nawet jeśli nie jest to mój zegar.

W zakładzie nie było nikogo. Jasmine zatrzymała się na środku i rozejrzała niepewnie. Ściany aż po sufit obwieszane były zegarami: po lewej zegary szafkowe, po przeciwnej cała kolekcja zegarów szwarcwaldzkich z kukułkami, a w głębi za ladą okazy wyjątkowo stare i cenne: ręcznie malowane, intarsjowane egzotycznymi gatunkami drewna, inkrustowane macicą perłową, ozdobnie rzeźbione w kamieniu. Oszkloną gablotę przy przejściu na zaplecze wypełniała kolekcja budzików.

Na ladzie, pod wielkim kloszem, stała sporych rozmiarów rzeźba mężczyzny dźwigającego globus. Dopiero przy bliższych oględzinach Jasmine zauważyła, że globus nie przedstawia mapy Ziemi, tylko układ ciał niebieskich, a postać mężczyzny wspiera się kolanem o drugą mniejszą kulę z wmontowanym zegarem.

Postawiła torbę na wyściełanym fotelu obok kontuaru i wyjęła zegar pana Meyera.

– Czym mogę pani służyć?

Nie usłyszała kroków, wcześniej nie zorientowała się, że podłoga wyłożona jest dywanem w tureckie wzory. Z zegarem w rękach odwróciła się i – znieruchomiała.

Przed nią stał... pan Meyer?

Mężczyzna przyglądał się jej zza okrągłych szkieł w złotej oprawce. Niewysoki, drobny, z aureolą siwych włosów wokół błyszczącej łysiny, przypominał jej gospodarza z domu przy Hafenstrasse.

Uśmiechał się.

– Przepraszam... – Jasmine zająknęła się.

– Czym mogę służyć? – powtórzył.

Odetchnęła z ulgą. To nie był pan Meyer. W przeciwieństwie do niego, stojący przed nią mężczyzna mówił cicho i łagodnie, bez nerwowej egzaltacji. Wprawdzie kogoś nadal jej przypominał, ale nie potrafiła powiedzieć kogo. Figurkę Buddy? Aktora teatralnego z doklejonymi siwymi bokobrodami? Możliwe. Był równie kruchy, stary i tajemniczy, tylko mniej „zakurzony”.

Speszona jego nagłym pojawieniem się, bez słowa podała mu pakunek. Przyjął go, ostrożnie położył na kontuarze, rozchylił papier. Na widok zniszczonego zegara nie potrafił ukryć poruszenia.

Wyprostował się, spojrzął na Jasmine pytająco, ale o nic nie zapytał. Zamiast tego powrócił do oględzin.

Wprawnymi ruchami, za pomocą pęsety, usunął odłamki szkła, tkwiące w mosiężnej ramce wokół tarczy. Dotknął pogiętych wskazówek, by sprawdzić, czy nadal się obracają, potem przesunął palcem po obtłuczonym narożniku marmurowej obudowy. Następnie odwrócił zegar i krótkim nożykiem podważył zamek w drzwiczkach mechanizmu; odskoczył z cichym trzaskiem.

Zegarmistrz zdjął okulary i sięgnął po inne oprawki, z wmontowaną lupą. Zapalił diodę, umocowaną z boku, od strony skroni, spojrzął na Jasmine jednym okiem, błysnął drugim, dmuchnął kilka razy gumową gruszką, żeby usunąć niewidzialne pyłki, po czym sięgnął po jakieś narzędzie. Pochylił się nad mechanizmem.

W zakładzie panowała kompletna cisza.

– Znam ten zegar doskonale. Cudowny – mruknął w końcu mężczyzna, podnosząc głowę. – Ściśle rzecz biorąc, był cudowny, zanim go ktoś tak brutalnie potraktował. To francuski „Mantes” z lat trzydziestych. Obudowa z marmuru kaukaskiego, u dołu, przy podstawie mosiężny ornament napoleońskiego orła ze wstęgą w stylu *art déco*. Sygnowany. Szkło osłaniające tarczę cyferblatu szafirowe. To bardzo twarde szkło, proszę pani, praktycznie nie do zarysowania, natomiast uderzenia znosi gorzej niż szkło mineralne, czego właśnie mieliśmy dowód. – Skinął głową w stronę miseczki, do której chwilę wcześniej wsypał stłuczone odłamki. – Przepięknie wybija... wybijał połówki godzin oraz całe godziny. Trudno ocenić stan mechanizmu bez starannych oględzin. – Dotknął pogiętej wskazówki. – Możemy tylko mieć nadzieję, że nie jest to wynik upadku ze znacznej wysokości.

– Nie. To znaczy chyba nie. Wzięłam go z... – Jasmine urwała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Za to Alfred Raabe wiedział.

– Nie jest zakurzony ani zawilgocony, miałem go u siebie na przeglądzie bodajże w marcu... – Zsunął lupę z czoła i ponownie pochylił się nad werkiem. – Tak, siódmego marca. Działał wtedy bez zarzutu – w jego głosie zabrzmiała nuta żalu, a nawet pretensji.

Jasmine zmarszczyła brwi. Trudno byłoby wytłumaczyć, że to nie ona zrobiła, pomyślała z rezygnacją.

Raabe nie zauważył jej reakcji zbyt przejęty stanem zegara, który, jak wynikało z jego słów, przez lata pieczołowicie konserwował. Zniszczenia musiały być dla niego bolesnym widokiem.

– Dokonałem wówczas rutynowego czyszczenia i oliwienia, uregulowałem naciąg sprężyn – kontynuował. – Nic więcej nie trzeba było robić, tylko naoliwić i wyczyścić. O, widzi pani? Werk wspaniale błyszczący, a wszystkie koła, osie,

czopy oraz płyty są w doskonałym stanie. Był przygotowany do pracy na całe lata – westchnął.

W tej chwili zegary, jeden po drugim, zaczęły wybijać pełną godzinę.

Jasmine wyprostowała się i sięgnęła po torbę.

– Czy mógłby pan się nim zająć? Sprawić, żeby ten zegar... – Jasmine zająknęła się. Wokół niej zegary i zegarki z chrzęstem odliczały do jedenastu, a tymczasem ona nie mogła zebrać myśli.

Wcześniej o tym nie pomyślała. Przecież taka naprawa będzie sporo kosztować. Zabierając zegar z domu Meyera, działała pod wpływem impulsu. Myślała tylko o tym, że po powrocie ze szpitala staruszek nie powinien zastać domu w takim stanie. Nie mogła tam posprzątać ani usunąć zniszczeń, przynajmniej póki dom był zaplombowany. Czuła jednak, że w jakiś sposób musi pomóc, choćby tylko oddając do naprawy ten stłuczony zegar.

Teraz jednak nie była już taka pewna, czy dobrze obmyśliła cały plan. Zapomniała o kosztach.

Zawahała się, ale trwało to krótko.

– Zajmie się pan tym zegarem? – powtórzyła zdecydowanym tonem. O pieniądze będzie się martwić później, jak przyjdzie czas płacenia.

Zegarmistrz nie odpowiedział od razu. Nie słuchał zajęty swoimi myślami.

– Jak on się czuje? – spytał nagle.

Spojrzała mu prosto w oczy, wytrzymała jego naglący wzrok.

– Lepiej – odparła. – Ale to jeszcze potrwa. Policja... – umilkła. Nie miała pojęcia, ile stary zegarmistrz już wie. I nie była pewna, ile ona może mu powiedzieć.

Alfred Raabe wiedział więcej, niż mogła przypuszczać. Zaczął mówić:

– Tyle razy mu powtarzałem, żeby dał spokój. Żeby zapomniał. Miał szczęście, wydostał się z wojny, czego więcej trzeba? – Chwila milczenia. – Urodził się w Poznaniu, w pruskiej urzędniczej rodzinie. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby latem '39 nie pojechał nad morze, gdzie zakochał się w uroczej warszawiance, studentce Akademii Sztuk Pięknych. Wymienili adresy, przyrzekli sobie, że znów się zobaczą, ale już miesiąc później jej adres okazał się nieaktualny, a nowego Hans nie dostał, jeśli o nowym w ogóle mogła być mowa. Stracili się z oczu.

Zegarmistrz błysnął szklami w jej stronę.

– Zna pani Hansa? Uparta sztuka – uśmiechnął się lekko. – Po wojnie szukał Irenki wytrwale, wiele śladów udało mu się odtworzyć, ustalić, moim zdaniem, zbyt wiele. Niepotrzebnie. Chociaż trudno się dziwić, zapewne i ja zapatrywałbym się na to inaczej, gdyby moja ukochana zginęła rozstrzelana. Tak, tak, w masowych egzekucjach, z tysiącami mieszkańców Warszawy, z rozkazu niejakiego Reinefartha. Do czego Hans doszedł po latach żmudnych poszukiwań

w rozmaitych archiwach, nie tylko niemieckich. – Ostatnie zdania zegarmistrz wypowiedział cicho, zasłaniając usta ręką. Nie patrząc na Jasmine. Tak jakby te zwierzenia były zbyt trudne albo zbyt prywatne, by dzielić się nimi z obcą osobą. Albo jakby sam gotów był w każdej chwili sobie przerwać. Jednak czy działo się tak z powodu samych wspomnień czy z lęku, ponieważ nigdy wcześniej z nikim o tym nie rozmawiał, trudno było zgadnąć. Może jedno i drugie.

Mimo to po chwili zaczął mówić dalej.

– Gdy Hans zjawił się na wyspie, był w złym stanie, załamany, dezorientowany. Szukał zaczepienia, wzięliśmy go z Maksem, moim starszym bratem, do zakładu na czeladnika, dzięki czemu mógł okrzepnąć, stanąć na nogi. Był sumienny, ale zegarmistrzem zostać nie chciał. Miał głowę do liczb, bardziej odpowiadała mu księgowość. Potem rzadko się spotykaliśmy... – Alfred Raabe zamilkł w pół zdania. Odtwarzał w pamięci minione lata. – Ale swoje zegary przynosił zawsze do mnie, mimo że sam potrafił się nimi zająć. Mówił, że czeladnik może naprawiać ruskie „czasy” i ernerdowskie ruhle, z nieznanymi mi bliżej powodów reklamowane jako najszybsze zegarki świata, ale nie takie francuskie rarytasy – uśmiechnął się. Absurdalny slogan przywołał go do rzeczywistości.

Sięgnął po pióro i kwitariusz, po czym staranną kaligrafią wpisał wszystkie dane w odpowiednie rubryki. Termin odbioru: za tydzień.

Jeśli tu jeszcze będę, pomyślała. A jeśli nie, to będę musiała specjalnie w tym celu wrócić.

– Od początku byłem zdania, że nie powinien tej sprawy ruszać. Nie po to przyjechał na wyspę, żeby pamiętać. Ale Hans twierdził, że właśnie po to. To nas oddaliło – powiedział jej na pożegnanie.

Wychodząc, zerknęła na dzwonek nad drzwiami. Zabrzmiał już mniej ostro, pełnym, niemal wesołym dźwiękiem.

Jasmine obejrzała się za siebie.

Za szybą Alfred Raabe, z lupą na oku, stał pochylony nad zegarem Hansa Meyera. Siwe włosy, prześwietlone światłem lampy, wyglądały jak aureola. Dopiero teraz zauważyła, że mimo żywych ruchów drżą mu ręce. Chociaż było też możliwe, że wcześniej nie drżały.

Otworzyła parasol i poprawiła torbę na ramieniu. Była ciężka; wprawdzie morderz zostawiła w domu pana Meyera, a jego zniszczony zegar u zegarmistrza, za to teraz na wierzchu rzeczy zabranych z List niosła pękaty bułgarski budzik na nóżkach, z dwoma dzwonekami. Chciała go kupić, jednak Alfred Raabe odmówił przyjęcia pieniędzy.

*

W łazience było zimno, ale na szczęście woda w bojlerze zdążyła się już

nagrzać po domownikach, którzy korzystali z niej rano przed śniadaniem.

Nie pamiętała, jak długo stała pod prysznicem ukryta wewnątrz mokrego parasola kropel, nieruchomo, zasypiając na stojąco. Możliwe nawet, że na moment zasnęła, bo ocknęła się nagle – dotyk zimnych kafli poza strumieniem wody podziałał na nią jak porażenie prądem. Wyciągnęła rękę przed siebie, na oślep, ale nie mogła wymacać ręcznika.

Przetarła oczy i odgarnęła włosy z twarzy.

Zapomniała. Ręcznik został na poręczy krzesła w pracowni Vincenta. O czystych rzeczach, które przywiozła z List, też zapomniała.

Jasmine zmarszczyła nos niezadowolona. Będzie musiała włożyć sweter na mokre ciało i boso pobiec do pracowni. Na samą myśl o tym skuliła się i szybko wróciła pod ciepły strumień. Po wydarzeniach ostatniej nocy nawet tak proste zadanie wydawało jej się ponad siły.

W swetrze i pasiastych podkolanówkach, z całą resztą zwiniętą pod pachą i butami w rękę, przemknęła przez salon niezauważona. W kuchni, w przelocie, kątem oka zauważyła starego pana Nicolasa: stał tyłem do drzwi i tłumaczył coś Paulette, gwałtownie wymachując rękami. Tłumaczył to mało powiedziane, raczej krzyczał, ale Jasmine i tak by nie zrozumiała, o co mu chodziło. Za to Paulette rozumiała doskonale i najwyraźniej była innego zdania niż jej ojciec, ponieważ słuchając, kręciła przecząco głową, a gdy odpowiedziała, szybko przeszła na równie gwałtowny ton. Słysząc ją było nawet po tym, jak Jasmine zamknęła za sobą drzwi do pracowni. Nie będziesz mi dyktował, jestem dorosła...

*

Przykucnęła koło torby, którą po powrocie do domu postawiła w kącie pracowni pod oknem, obok nielicznych swoich rzeczy, jakie miała tu już wcześniej. Wyjęła rajstopy, bawełniany golf i czarną spódnicę, nie znalazła tylko paska, pewnie został w domu pana Meyera. Ale i bez paska było dobrze, nareszcie nie musiała nic pożyczać.

Zdjęła sweter i sięgnęła po ręcznik. Odgarnęła włosy z karku. Mokre, w szarym świetle deszczowego dnia utraciły zwykły miedziany połysk, pociemniały. Skontrastowane z porcelanową bielą uniesionych do góry ramion, wydawały się niemal czarne. Owinęła głowę ręcznikiem.

Mocując się z podkoszulkiem, który utknął na turbanie, nagle poczuła dotyk czyjejs ręki. Ta ręka, sucha i ciepła, pomogła oswobodzić jej turban, ręcznik się rozwinął, podkoszulek zsunął się na podłogę. Włosy znowu opadły splątane. Chłodny dreszcz przebiegł po jej nagich ramionach.

Jasmine odruchowo przytrzymała ręcznik i odwróciła się gwałtownie. Mogłaby przysiąc, że gdy wchodziła, w pokoju nikogo nie było.

Cyryl stał tuż przed nią, bardzo blisko. Zauważyła, że się ogolił, może

dlatego jego policzki wydawały się mniej zapadnięte. Popielaty dres miał za długie rękawy, zasłaniały mu pół dłoni. Mimo widocznej poprawy zdrowia Cyryl nadal upierał się, że nie chce nosić swoich rzeczy, które Jasmine przywiozła mu wcześniej z domu pana Meyera. Te, które miał teraz na sobie, nie pasowały ani rozmiarem, ani wyglądem. Kupione przez komisarza w dniu wypisu ze szpitala, pod każdym względem nie były jego.

Cofnął rękę, ale jej nie opuścił. Tak jakby czekał, aż Jasmine, po wykonanym półobrocie, znieruchomieje i znów będzie mógł jej dotknąć. Przechylił głowę. Wodząc w napięciu wzrokiem po jej mokrych włosach, i dalej wzdłuż linii brwi, nosa i ust, przyglądał się jej uważnie i zarazem pytająco. Dłuższą chwilę zatrzymał się na pieprzku nad górną wargą. Jakby chciał tę twarz narysować albo nauczyć się jej na pamięć.

Na koniec dotknął jej policzka. Zrobił to tak lekko, że Jasmine prawie nie poczuła dotyku, tylko ciepło jego dłoni. Przez chwilę stali oboje bez ruchu, związani tym dotykiem, lecz mimo to osobno, daleko od siebie.

Cyryl poruszył się pierwszy. Zaczął ostrożnie przesuwając palce po jej policzku, w dół ku brodzie i dalej wzdłuż szyi, aż do zagłębienia, w miejscu gdzie spotykają się obojczyki. Nazywało się *incisura jugularis*, Jasmine z jakiegoś powodu zapamiętała tę nazwę, pewnie dlatego, że kiedyś przepytowała Sophie przed egzaminem z anatomii; przebrały się w kostiumy kąpielowe i udawały kulturystki na wybiegu, co nie za bardzo wyszło, ponieważ w mieszkaniu było zimno. Nauka za to poszła im o wiele lepiej, Sophie zdała egzamin celująco.

Jasmine stała nieporuszona, niemal bała się odetchnąć. Miała wrażenie, że wszystko toczy się poza nią, jest nierzeczywiste niczym sen.

Zupełnie jakbyśmy stali na planie filmowym gotowi do odegrania kolejnego ujęcia, pomyślała. Już to gdzieś widziała, kiedyś przeżywała. Kiedy? Całkiem niedawno. Z tą różnicą, że teraz nie była to jesienna opowieść Erica Rohmera, z Oskarem Olivettim w roli amanta, i nie było to małe miasteczko Niebüll na drugim brzegu Waddenzee, gdzie niedawno spędziła z nim noc w hotelu. Teraz była burza piaskowa na Saharze, przed wojną. Zresztą może wojna już była w toku, tego Jasmine nie potrafiła sobie w tej chwili przypomnieć.

W *Angielskim pacjencie* Michael Ondaatje i Anthony Minghella opowiadali o niezwykłych ludziach, którym przyszło się spotkać i pokochać w niezwykłym miejscu, w niezwykłych czasach. Dlatego ich miłość była taka porywcza. Porywająca. Gdy burza piaskowa w końcu ustała, ich los był przesądzony, pustynia już ich nie wypuściła, by w końcu doprowadzić do Jaskini Pływaków. Słynna scena. Na jej przykładzie profesor Orth tłumaczyła studentom, jak za pomocą scenografii buduje się metaforyczne dopowiedzenie obrazu filmowego.

Jasmine zdawała sobie sprawę, że w scenariuszu nawet najbardziej dramatyczne i pełne napięcia sytuacje są wyreżyserowane, i z tego powodu

w pewnym sensie nieautentyczne. Jej zaskoczenie autentycznie ją zaskoczyło. Było pełne dygresji i skojarzeń, obrazy przepływały jej przed oczami, łagodząc zdziwienie. Skąd się tu wzięłam? Łatwo to wytłumaczyć. Hrabia de Almásy pomylił aktorki, to nie Katherine Clifton tu stoi, bosa i naga, zasłaniając się mokrym ręcznikiem, ponieważ nie zdążyła się ubrać po kąpieli. To ja, Jasmine.

W tej chwili z filmową Katherine – poza wirującymi odblaskami światła, które wprawiały w ruch rysunki naskalne w grocie na pustyni – łączyło ją tylko tyle, że i ona miała dwóch mężczyzn. Co, jak wiadomo, zazwyczaj nie kończy się dobrze, ponieważ nie można „mieć” drugiego człowieka na własność. Posiadać można rzeczy, a nie siebie nawzajem. W tym ujęciu jeden czy dwóch mężczyzn było bez znaczenia, to nie kwestia liczb, tylko miłości, błędnie ukrytej pod pojęciem posiadania. Oskar mógł zniknąć z jej życia równie nagle, jak się pojawił, nie dlatego że wyjechał bez pożegnania, tylko z powodu iluzji – nie wszystko w naszym życiu dzieje się naprawdę, często jest tak, że coś nam się tylko wydaje. Oskar nie był jej własnością, wyjechał. Tak samo Cyryl mógł ją kiedyś kochać, potem od niej odejść dla Sophie, a teraz...

Nakryła jego rękę swoją ręką. Na moment ich palce splotły się w zagłębieniu między jej obojczykami.

Cyryl drgnął. Spojrzał na Jasmine prosto w oczy uważnie, pytająco, tak jakby nagle się obudził i nikogo nie poznawał ani nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Tu było znamię – powiedział. – Małe jak wiewiórka. Śmieszne. A teraz go nie ma.

Kiedy nie odpowiedziała, uniósł drugą ręką. Przesunął po jej prawej piersi i odgarniając ręcznik, dotknął miejsca poniżej, gdzie dało się wyczuć żebro.

– Tu było drugie. – Pokiwał głową na potwierdzenie swoich słów. – Pamiętam. Bluzka miała dużo guzików, trzy były rozpięte. Pozostałe pomogła mi rozpiąć.

Cofnął się o krok.

– Była ciepła. Sophie. Ciepła i gładka. Nie drżała.

Odszedł z pochyloną głową. Usiadł na dywanie i sięgnął po blok rysunkowy.

Jasmine opuściła ramiona. Stała bez ruchu, bosa, z mokrym ręcznikiem w zaciśniętych rękach, drżąc z zimna. Potem ubrała się. Szybko, bez zastanowienia: bawełniany golf, rajstopy i długa czarna spódnica, bez paska. Niecierpliwym gestem zwinęła włosy w ciasny węzeł na karku. Nie miała spinek.

Włosy rozplotły się, ale nie zauważyła tego, myślała o czymś innym.

Podeszła do Cyryla.

– Tęsknisz za nią? – spytała.

Nie odpowiedział, ale widziała, że usłyszał. I że wie, kogo miała na myśli, domyśliła się po jego nieobecnych spojrzeniach.

Zaczęła mówić:

– Była taka... – zrobiła charakterystyczny gest, jakby chciała powstrzymać Cyryla, żeby jej nie przerywał. – Prosta, tak, to jest to słowo, była prosta, tak ją pamiętam. Proste jasne włosy, proste brwi, długie szczupłe nogi. Czy uważasz, że była ładna? Faceci się za nią oglądali na ulicy, a więc tak, była ładna, a może nawet piękna, miała to „coś”. Ale... Nie czuleś, że się wymyka? Bo ja tak. Przypominała mi... – Jasmine zawahała się, szukając odpowiedniego określenia – To. To wszystko – wskazała za okno. Sophie była jak to wszystko. Jak uciekające fale. Jak piasek i deszcz. Wiatr. Ona nie zniknęła ostatnio, zawsze taka była. Nieuchwytna.

Często nie widziały się całymi dniami. Sophie dorabiała w kawiarni klubu tenisowego albo w recepcji w prywatnej klinice, czasem na pokazach mody. Jakoś to wszystko godziła nie tylko ze studiami, bo brała także dyżury jako wolontariuszka, w pogotowiu i w szpitalu. Ostatnie wakacje zamierzała spędzić jako ratowniczką na plaży, miała już nawet załatwioną pracę gdzieś tutaj, na Sylcie.

– Miała szare oczy. Zauważyłeś, że ta szarość była czasem niebieska, a czasem zielona? I nie zależało to od światła, tylko od humoru. Bo czasem śmiałyśmy się bez opamiętania... Ale może była to kwestia makijażu. – Zamilkła. Trudno rozmawiać z chłopakiem o takich sprawach jak makijaż. Zwłaszcza z chłopakiem, który nie słucha. A przynajmniej takie sprawia wrażenie.

Jasmine potrząsnęła głową. Nie słuchał jej. Nieważne, mówiła bardziej do siebie niż do niego.

– Pamiętasz, jak chodziła? Miętko, wolniej niż inni. Nie, nie bardziej leniwie, tylko lżej. Ostrożnie. Jakby się czegoś bała. I zawsze nosiła ciemne okulary, nawet w niepogodę. Nie pytaj dlaczego, bo nie wiem.

Tak, Jasmine zawsze tak myślała: że ten krok, jakby centymetr nad ziemią, a nawet ciemne okulary były oznaką lęku przed natłokiem dźwięków i obrazów, jakie niosły ze sobą ruchliwe korytarze uniwersytetu. Odruchem samoobrony wobec opresyjnego zagęszczenia ulic Lubeki.

Ale odkąd sama przyjechała na wyspę, zrozumiała, że tu nie chodziło o lęk i nie o Sophie. Wszyscy mieszkańcy wszystkich wysp świata poruszają się w taki sposób: uważnie. Wiedzą, że wokół ich kawałka ziemi jest tylko morze, nie uciekną. I że nadmiar śladów na piasku, wodzie i kamieniach mógłby ich wyspę zatopić. W taki sposób chodziła Eva Waltzer, nawet Vincent le Puy, całkiem pewnie nieświadomie, wtopił się w wyspiarskie życie tak bardzo, że tak już patrzył i mówił, a nawet dotykał słoika z wodą do płukania pędzli.

– Pamiętasz?

Ale Cyryl nie poruszył się.

Niepotrzebnie pytała. Widocznie takie rzeczy pamięta się nawet wtedy, gdy wszystko poza tym z jakiegoś powodu zostało z naszej pamięci wymazane, uległo zapomnieniu. Takie rzeczy zapamiętuje się każdą komórką ciała.

Nie czekała dłużej, aż Cyryl zareaguje.

Muszę się natychmiast położyć, pomyślała. Muszę zasnąć. Już! W przeciwnym razie się rozpadnę.

Rozejrzała się po pokoju. Z fotela wzięła koc, z torby wyjęła iPoda i słuchawki. Podeszła do kanapy. Już chciała się położyć, gdy nagle, z kocem i słuchawkami w rękach, znieruchomiała.

Na poduszce, rozłożone w równych rzędach, leżały zdjęcia Sophie.

*

W domu Vincenta pojawiło się w ostatnim czasie tylu nowych mieszkańców, że dla Jasmine została już tylko kanapa w saloniku. Nie przeszkadzało jej, że był to pokój przechodni, szybko się przyzwyczała. Noc daje złudne poczucie prywatności.

Za dnia jednak nie chciała przeszkadzać, poza tym potrzebowała spokoju. Dlatego bez namysłu zgarnęła zdjęcia Sophie z poduszki i podała je Cyrylowi, który wciąż oparty plecami o kanapę, siedział na dywanie. Położyła się w ubraniu na jego pościeli, pod kocem.

Wciąż czuła na ciele badawczy dotyk jego dłoni, w uszach brzmiały zaskakujące słowa – niezbity dowód, że związek Cyryla z Sophie był nie tylko platoniczny. Że oboje ją zdradzili. Bo choćby nawet oni sami oceniali to inaczej, Jasmine nie znajdowała innego określenia, przynajmniej na razie.

Kiedy tak stali naprzeciwko siebie – on z pytaniem w oczach, ona naga – nagle ujrzała ich wspólną historię w innym świetle. Na tle wydarzeń ostatnich tygodni wydała jej się mniej znacząca, straciła wymiar czegoś ważnego. To pewnie kwestia perspektywy: kiedyś oni i ich miłość stanowili oś życia, reszta była dodatkiem, dopowiedzeniem, takim jak strój czy zawód, który zamierzali wykonywać. Teraz na pierwszy plan wysunęły się sprawy innych. Były nagłe, wymagały poświęcenia, a niejednokrotnie odwagi. Kazały zapomnieć o sobie. Prawdę mówiąc, czy było tak w rzeczywistości, czy tylko ona w taki sposób to odbierała, nie miało znaczenia. Jasmine sprawiało satysfakcję, że jest potrzebna innym, nie tylko Cyrylowi.

Będzie jeszcze czas, żeby to przemyśleć.

Jak bardzo Cyryl się zmienił. Kiedyś – tak niedawno – jej chłopak studiował prawo, był czuły i łagodny. Ten inny i w jakimś sensie obcy Cyryl-z-Wyspy mówił rzeczy bez związku i zapełniał stopy kartek bazgrołami. Panicznie bał się niewidzialnych pajaków. Znosił z plaży tony muszli, ponieważ wciąż nie mógł znaleźć tej jedynej, którą zgubił. I nie pamiętał jej, Jasmine, a za to wciąż pytał o Sophie. Cokolwiek wydarzyło się między tym dwojgiem, pozostawiło trwałe ślad. W istocie tak trwały, że nawet zanik pamięci nie zdołał go wyprzeć. Bo Sophie rzeczywiście miała takie znamię, ukryte pod prawą piersią, a więc w miejscu na pierwszy rzut oka niewidocznym. A jednak Cyryl wiedział o jego

istnieniu. Co oznaczało, że noc z Sophie, o której tyle razy wspominał, mogła nie być takim samym podstępny trikiem amnezji jak muszle i pająki. Mogła wydarzyć się naprawdę.

Doktor Lange twierdził, że mocniej zakodowane pokłady odsłaniają się szybciej. Dlaczego Sophie, a nie Jasmine? I jedna (jeśli jedyna?) namiętna noc, a nie długi, spokojny, dobry związek? Czy o tym mówił doktor? Że zdrada jest uczuciem silniejszym od miłości? Nagle ogarnął ją lęk. Co powinna zrobić, jeśli się okaże, że amnezja wykasowała z pamięci Cyryła tamten moment, gdy postanowił od niej odejść i będzie chciał, żeby byli razem? Nie znów razem, tylko po prostu – razem. Czy tego właśnie chciała? Żeby wszystko było... jak? Jak dawniej? To nie woda w rzece jest inna, to my się zmieniamy. Każde nowe doświadczenie oddala nas od przeszłości, dlatego tak trudno przetrząść most, a jeszcze trudniej wrócić.

Nawet gdyby im się udało, nigdy nie będzie miała pewności, czy na tym moście nie zaskoczy ich jakiś inny wiatr, inny księżyc, inny czas, z którymi już sobie nie poradzą.

Zwinęła się w kłębek i naciągnęła koc na głowę. Nikt jej nie zarzuci, że nie walczyła o swoją miłość. Czy raczej o miłość Cyryla, bo swojej była pewna, nawet teraz, na przekór wszystkiemu.

Brzmiało to banalnie, ale tylko w odniesieniu do historii innych ludzi. Jej historia wcale nie była banalna, bolała naprawdę.

*

Nastawiła budzik w komórce, żeby zadzwonił za godzinę. Nie chciała przespać całego dnia, poza tym musiała odebrać papiery od Johanna i zanieść je panu Meyerowi do szpitala.

Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Przed oczami wciąż od nowa przewijał jej się film z ostatnich kilku godzin. Włączyła muzykę i nasunęła słuchawki na uszy. *Hang on to Your Love* zabrzmiało prześmiewczym wyzwaniem.

A jeśli z powodu muzyki nie usłyszy budzika?

Zsunęła słuchawki, ale z kolei bez muzyki nie potrafiła się uspokoić. Przewróciła się na bok, twarzą do ściany. Dopiero w takiej pozycji, przytrzymując jedną słuchawkę przy uchu, wsłuchana w łagodny głos Sade, w końcu zasnęła. *I've lost the use of my heart / But I'm still alive / Still looking for the light / And the endless pool on the other side / It's the wild, wild west / I'm doing my best. / I'm at the borderline of my faith, / I'm at the hinterland of my devotion / In the front line of this battle of mine / But I'm still alive...*

Przyśniła jej się piramida, jednak nie kamienna egipska czy meksykańska, tylko żywa – zbudowana z ludzi. Wszyscy byli uzbrojeni i strzelali w niebo. Pociski układały się w napis: *Żołnierze Miłości*.

LIST Z REKWIZYTÓW

Moja J.

W *Wiarołomnych* występuje pewien drobny, acz ważny przedmiot: pozytywka (pomysł Liv Ullmann). Gra tylko jedną melodię, jak to pozytywka, pomysł polega na tym, że melodia płynie coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie całkiem milknie. Pozytywka się zepsuła, ale melodia brzmi dalej. Jest jak samo życie, o którym wiemy, że kiedyś się skończy, lecz przecież coś po nim pozostanie, ślad dawnej melodii.

Nie potrafimy, nawet w granicach fikcji, w pełni określić naszych bohaterów nie dlatego, że brak nam pomysłów, tylko dlatego, że – jeśli mają być przekonujący – musimy poddać ich rzeczywistym regułom życia. Fikcyjne losy wyglądają jak prawdziwe tylko wtedy, gdy są niedopowiedziane, niedookreślone i niejednoznaczne, a sam bohater jest niekonsekwentny, a przynajmniej taki nam się wydaje, ponieważ: a) ma coś do ukrycia i dlatego świadomie podsuwa nam wygodne wersje na swój temat, albo b) nie wszystko wie, toteż z braku informacji błędnie interpretuje samego siebie i / lub (fikcyjne) fakty.

Zastanawiające jest zderzenie naszych niepełnych tożsamości z tak powszechnym dziś zewnętrznym „ometkowaniem”, jakiemu jesteśmy poddawani i sami chętnie się poddajemy. Powierzchowe markery, powszechnie czytelne i rozpoznawalne, są formą komunikacji ze światem, mówią o nas, a zarazem o miejscu, w którym sami chcielibyśmy siebie zobaczyć. Nie wiemy, kim tak naprawdę jest ani jakie ma zamiary Oskar Olivetti („Dwa oddzielne łóżka, panie Otter, czy jedno duże małżeńskie?”, pyta recepcjonistka w Niebüller Hof), ale wiemy, jakie są jego preferencje w kwestii ostatnich trendów mody i modeli aparatów fotograficznych.

B.

Rozdział 20: Po sezonie

Późną jesienią wyspy przypominają liście na wodzie. Chmurne niebo odbiera morzu klarowny błękit i nawet płytkie Waddenzee wydaje się niemal czarne, ponieważ światło nie przenika w głąb. Ostatnie kwiaty w ogrodach i trawy na wydmach zbrunatniały, uginając się pod naporem jesieni, by wraz z przedłużającą się szarugą ostatecznie przejść na stronę monochromatycznej palety, pozbawionej wszelkich kolorów. Karty zostały rozdane: tylko biel i czerń, dzień albo noc, zawsze w deszczu i chmurach albo w chmurach zapowiadających deszcz. Czas między jesienią a zimą, która już blisko.

Ludzie z niepokojem obserwują termometry i chorągiewki na dachach, stukają w barometry, uważniej niż latem śledzą prognozy pogody. Im dalej w listopad, im bliżej zimowego przesilenia, tym skwapliwiej kupują elektryczne piecyki, staromodne termofory i nowe czajniki. Nie muszą nikogo pytać, czy to konieczne, wystarczy, że spojrzą w niebo, nastawią twarz pod wiatr. Wymuszona monotonia powtarzalnych czynności i smaków przechodzi w przyjemny rytuał, potrzeba ciepła podpowiada wygodną pozycję w pobliżu pieca lub w fotelu przed kominkiem, z książką i kieliszkiem czegoś mocniejszego na rozgrzewkę. Albo w przytulnym, zatłoczonym barze za rogiem. Jesienią człowiek wykazuje zdrową tendencję do ciepłych posiłków i życia w gromadzie.

Tego roku jesień na Sylcie była wyjątkowo deszczowa. Wszyscy tak twierdzili, ale prawdę mówiąc, nikogo to nie dziwiło. Nikt też nie narzekał. Wyspiarze z reguły nie narzekają, jesień na wyspie wymaga cierpliwości, hartuje, a przy okazji, jakby mimochodem, utwierdza w przekonaniu, że na dobrą pogodę podobnie jak na poprawę nastroju człowiek powinien sobie zasłużyć wytrwałością i ciężką pracą. Jak przystało na mieszkańców Północy, Fryzyjczycy wiedzą, jak przetrwać. Po tradycyjnym powitaniu *Moin – moin (Morgen – morgen)* zasiadają nad filiżanką mocnej herbaty i – czekają.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, że koniec sezonu oznacza w ogóle koniec wszystkiego i życie zamiera, u Johanna niezależnie od pory dnia przez cały tydzień wszystkie stoliki były zajęte. Turyści wyjechali, nareszcie tubylcy mieli chwilę dla siebie. Nie w domu, gdzie nudno, i nie nad morzem, gdzie wieje, tylko właśnie u Johanna, bo tam było najcieplej. Gwarno. Jedni, jak Eva Waltzer czy Vincent le Puy, wpadali już z samego rana na pierwszą kawę, potem wypijali drugą, a po trzeciej bez trudu opanowywali impuls, żeby wrócić do domu i zająć się czymś pożytecznym. Inni, jak komisarz Herzog i Bibianne Berg, umawiali się na lunch, bo to dobra pora i świetna okazja, żeby przedyskutować bieżący stan sprawy, nad którą od wielu tygodni pracowali. A jeszcze inni przychodzili pograć w rzutki, wymienić się plotkami, a przy okazji to czy owo załatwić. Albo, jak Alfred Raabe, po prostu zasiedzieli się nad poranną gazetą rozleniwieni pożywnym

śniadaniem, które Rose nazywała szumnie *Full Syltisch*, w nawiązaniu do obfitych *Traditional Fry-ups* na jej rodzimych wyspach. Składały się one z jajek sadzonych, chrupiącego bekonu, parówek z fasolką w sosie pomidorowym, z dodatkiem smażonych pieczarek, pomidorów i tostów. W niektórych wariantach podaje się jeszcze owsiankę i kromki, tak zwane *hash browns*, ale Rose wykreśliła je z *Full Syltisch*, ponieważ uznała, że to, co proponowała, i tak wystarczy. Od samego wypisywania na tablicy robiło jej się słabo z przejedzenia.

*

W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli.

W południe *Full Syltisch* zostało wykreślone z menu, a kuchnia zajęła się przygotowaniem lunchu. Przewidziana była „*Onion Soup* na ostro, w wersji międzynarodowej. Na cebuli z Brandenburgii, z grzankami z serem alzackim. Szef z Francji”.

Zapach był intensywny, pobudzał apetyt i działał na wyobraźnię, ale zupa nie była jeszcze gotowa, gdyż Rose dopiero smażyła cebulę. Na pytające spojrzenia klientów, niecierpliwe i łakome, odpowiadała równie niecierpliwie, że cebula się smaży, a szef czy raczej szefowa z Francji zaraz się zjawi.

Tymczasem minęło południe, a Paulette wciąż nie było. Obiecała, że nie zostawi Rose samej z tą cebulą. Zapomniała?

Rose dzwoniła już do niej trzy razy. Raz, żeby zapytać o cebulę: jak ma ją pokroić. W kostkę, no tak, to proste. Tylko – tu drugi raz chwyciła za telefon – jaką? Dużą czy małą? I jak kroić: najpierw na pół, tak, ale wzdłuż czy w poprzek?

Wzdłuż na pół, potem każdą połówkę na trzy grube plastry, a na koniec w poprzek, też trzy razy, kostka ma być duża.

Aha.

Za trzecim razem pytanie dotyczyło smażenia: w czym i na czym?

Na patelni, najlepiej, żeby była żeliwna. Na oliwie, z kilkoma łyżkami masła. Kilka to kilka, więcej oliwy, mniej masła. Nie solić. Cukier dopiero na koniec.

– Paulette, jaki cukier? Przecież to ma być zupa, a nie deser. – Słuchając instrukcji, Rose zapatrzyła się bezmyślnie w okno. Stanie w oknie, najlepiej z rękami założonymi do tyłu, ma swoje zalety. Pozwala zwolnić tempo, a przy odrobinie wprawy wprowadza umysł w stan pustki doskonałej. Uwalnia od wszelkich myśli i lęków na temat skomplikowanych zadań do wykonania. – Cukier w zupie? Nie wiedziałam. Dosypać jedną łyżeczkę, ale dopiero gdy cebula będzie złota i zacznie się rumienić, rozumiem. Tylko... – telefon został przełożony z prawej ręki do lewej – ... jak ja poznam, że jest już złota? Dobrze, spojrzę pod światło. Mam mieszać, aha. Tak, drewnianą łyżką.

Rose wrzuciła telefon do szuflady ze sztućcami, drewnianej łyżki nie znalazła. Wyjrzała z kuchni, a nie widząc Johannesza za kontuarem, krzyknęła na

całą salę:

– Johannes, czy my mamy drewnianą łyżkę?

Patelnia była duża, żeliwna i bardzo ciężka, drewniana łyżka znalazła się w szufladzie z narzędziami; miała długi trzonek, ze sztućcami się nie mieściła.

Rose rozpuściła oliwę z masłem, a gdy masło się spieniło, zgodnie z instrukcją wsypała spory kopczyk pokrojonej cebuli, jednak cała porcja od razu się nie zmieściła. Zupa cebulowa zdecydowanie ją przerastała. Gdzie ona odłożyła telefon?

– Nie, nie ma większej patelni, ta jest wielka. – I po chwili: – Rozumiem, na raty. Odczekać, aż siądzie.

W końcu udało się wsypać na patelnię całą cebulę, która wymieszana z oliwą i masłem i podduszona, rzeczywiście stopniowo osiadła. Ale nadal była biała, i było jej bardzo dużo. A ogień, zgodnie z instrukcją, nie za duży.

To potrwa.

Rose wytarła ręce w przyczepioną do kieszeni fartucha ścierkę i z ciężkim westchnieniem nalala sobie kubek kawy. Po chwili wahania sięgnęła po drugi, z napisem *Pas ris! Paris!* i z dwoma kubkami powędrowała do stolika Vincenta. Odsunęła łokciem jego papiery na stoliku. Postawiła kubki, a potem opadła na krzesło. Było jej ciężko, bo sama robiła się coraz cięższa.

Upiła łyk, syknęła, przyłożyła palce do warg. Gorąca ta kawa. Równie teatralnym gestem odstawiła kubek na stół, aż kawa się zakolysała, rozbijając kremowe pęcherzyki pianki. Przez cały ten czas Vincent nie odezwał się ani nie oderwał oczu od szkicownika. Uśmiechał się lekko, obserwując spod oka te manewry; obecność Rose już mu nie przeszkadzała, oswoił się.

– Dziękuję – mruknął, ruchem głowy wskazując na parujący kubek.

– *You're welcome* – odparła odruchowo po angielsku, po czym podparła brodę na rękach i zapatrzyła się w okno. Myśli miała zajęte tyłoma sprawami: cebulą pyrkającą na patelni, dzieckiem, Panem Bogiem.

– Wczoraj poszłam do kościoła – oznajmiła.

Teraz powinno paść pytanie: Po co?

Ale Vincent milczał.

Spojrzała na niego przelotnie i wróciła do obserwacji deszczu za oknem. Nie był to już etap, gdy krople żłobią korytarze na suchej powierzchni, a potem łączą się i zlewają w cienkie strużki. Szyba była jednolicie mokra, jakby deszcz ją roztopił, i na chodnik spływało płynne szkło. Przed wejściem stały zaparkowane trzy motocykle. To Adam Bellitz z kolegami wpadli do baru na partię rzutek.

Rose wyprostowała się na krześle.

– Dziękuję, że mi nie przerywasz – burknęła.

Vincent poruszył się, rozprostował nogi, ale zaraz wrócił do poprzedniej pozycji, ze szkicownikiem skośnie opartym o brzeg stołu. Tak mu się najlepiej

rysowało.

– Słucham uważnie – powiedział. – Po co?

– Po co tam poszłam? Bo chciałam się rozmówić, usłyszeć, co on o tym wszystkim myśli. Ale on nic nie myśli, ponieważ go nie było. Tylko ja tam byłam, sama w pustym kościele. Już więcej do niego nie pójdę.

– Może ksiądz był zajęty.

Rose spojrzała na Vincenta z politowaniem.

– Ksiądz mnie nie obchodzi, jest człowiekiem. Ja szukałam Pana Boga.

Ręka Vincenta zawisała nad szkicownikiem. Wizja Rose szukającej Boga poruszyła go.

Przyjrzał jej się z nowym zainteresowaniem.

– I nie poszłam tam z powodu dziecka – ciągnęła. – Nie myśl, że się boję czy mam poczucie winy. Nic podobnego.

– Wcale tak nie myślę.

– I dobrze. – Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. – To prawda, chodziło mi o dziecko, ale nie o to tutaj. – Dotknęła fartucha, opiętego na krągłej wypukłości. – Tylko o to, co mam mu kiedyś powiedzieć. Bo sama nie wiem, czy wszyscy jesteśmy Jego dziećmi i czy On istnieje. Ale okazuje się, że taki z Niego ojciec jak ze mnie kucharka. Tylko to jest prawdziwe. – Zatoczyła ręką wokół siebie, jakby chciała wyliczyć: ulice, nabrzeże, przystań promowa, motocykle na parkingu. Morze, wyspa. Chmury. Kawa, ludzie przy stolikach.

Ale nie wyliczyła, zamiast tego krzyknęła:

– Cebula! – Zerwała się z krzesła i popędziła do kuchni.

Na szczęście w kuchni był Johannes. Stał nad patelnią i przegarniał cebulę drewnianą łyżką.

– Chyba już – powiedział, odwracając głowę w jej kierunku. – Ładnie pachnie. A jak wygląda?

– Też ładnie. – Rose nachyliła się, usiłując spojrzeć na cebulę pod światło. Faktycznie, była złotawa i szklista, przyrumieniona na brzegach.

Co dalej?

– Dzwoniłeś do niej? – spytała płaczliwie. – Jak ona tak mogła?

Zdeterminowana, wzięła z półki torebkę cukru i sięgnęła do szuflady po łyżkę. Posypała cebulę, dużo, mało? Na oko.

– W porządku – dotknęła ramienia Johannesesa – mieszaj dalej. W razie czego dodamy więcej pieprzu.

*

Eva sięgnęła po filiżankę. Trzecia kawa, a ona wciąż się nie może obudzić czy raczej z trudem powstrzymuje się od zaśnięcia. Zwykle dobrze znosiła nocne dyżury, na oddziale nigdy nie spała, a w dzień nie lubiła odsypiać, nie czuła takiej

potrzeby. Tym razem jednak było inaczej i nawet kawa niewiele pomogła, jak zawsze u Johanna świeżo palona, intensywna.

Z filiżanką w jednej ręce i spodkiem w drugiej oparła się wygodnie o poręcz krzesła i skrzyżowała nogi. Agat tylko na to czekał. W barze siedziało sporo ludzi, drzwi raz po raz to otwierały się, to zamykały, biedak nie miał się gdzie podziać. A na dworze lało. Teraz wcisnął się pod stolik Evy i zwaliwszy się całym ciężarem na jej stopy, z westchnieniem ulgi natychmiast zasnął. Eva nie cofnęła nóg; lubiła Agata, poza tym nie miała ochoty się ruszać.

Była znużona. Nie nocnym dyżurem, który minął wyjątkowo spokojnie, tylko stanem zawieszenia. Czekanie bez pewności, że w końcu się doczekamy, ma w sobie coś z depresyjnej apatii. Nie popychamy dni radośnie do przodu, jak przed zbliżającym się urlopem czy świętami, szybciej, szybciej. Czekamy inaczej. Ociągamy się, opóźniamy każdą chwilę, jakbyśmy dawali sobie ostatnią szansę. Eva tak właśnie się czuła, i nawet знаła powód. Oliver wyjechał nagle i bez pożegnania, a ona zdążyła polubić ten nastrój przyjemnego zaskoczenia, gdy wpadał bez zapowiedzi, o dziwnych porach, a nie jak zwyczajni ludzie, którzy dzwonią, żeby umówić się na poranną kawę i lunch, do kina czy na spacer. Jeśli już, to Oliver wpraszał się na kolację, a potem wyciągał ją na długie wędrówki brzegiem morza. I coraz częściej – przecież to widziała, potrafiła czytać znaki, zwłaszcza w ostatnim okresie gdy już się lepiej poznali, odbierała wystarczająco dużo sygnałów, by w to wierzyć – bez określonego powodu, pod błahymi pretekstami. Dlatego gdy wyjechał, była pewna, że wkrótce wróci. Na wyspę, do niej.

Ale dni mijały, a Oliver się nie pojawiał, telefon również milczał. Ponury sufler w jej głowie teatralnym szeptem podpowiadał, że jest niemądra. Oliver von Otter zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Jedyna pociecha, że ciotka Sara nie mogła zobaczyć jej apatycznego wyczekiwania, by po swojemu skomentować: „A nie mówiłam!”. Eva sama była już gotowa sobie powiedzieć „A nie mówiłam?”. Zachciało jej się nowych znajomości.

Poruszyła się niecierpliwie. Oliver wcale jej nie porzucił, nie byli parą, między nimi do niczego nie doszło. To była tylko znajomość, może bliższa, może ciekawsza od innych, ale nic poza tym. Nie pożegnał się? Widocznie miał powody, w zawodzie dziennikarza to zwykła rzecz.

Czasami, siłą rzeczy, porównywała, ale szybko dochodziła do wniosku, że tych dwóch nieobecności w żaden sposób nie da się porównać. Thomas stanowił trwałą część jej życia, Oliver był znajomym. Strata Thomasa bolała jak żywa rana. Ból był w niej, ona była bólem, przez długie miesiące zmaganie się z rozpaczą zajmowało całą jej uwagę, zabierało energię, każdego dnia powalało na łopatki i znów kazało wstać. To dojmująca świadomość: że coś się definitywnie skończyło. Nieobecność, której w żaden sposób nie da się odwrócić, przesuwa nas na z góry

przebrane pozycje. Nic, tam już nic nie ma – poza bezwładem pustki i biernym zapatrzeniem w okno.

Z Oliverem było inaczej. Eva nie potrafiła odgadnąć, co myślał i czuł wobec niej ani kim ona jest dla niego. A teraz wyjechał. Na tym polega przelotna znajomość – jest tymczasowa.

Dobrze się stało. Nie była gotowa na nowy związek.

Westchnęła. Jestem zmęczona i stara, pomyślała. Mam szare włosy, którym najlepsze nożyczki nie przywrócą blasku, i szarą cerę, której nie odmłodzi żadna kosmetyczka. Szara Eva Waltzer, która – teraz dotarło to do niej z nową siłą – na żadną zmianę w życiu nie była gotowa.

*

Morze za oknem całkiem zniknęło we mgle. Ściana wilgoci. Drobne różnice wynikały jedynie ze zmian stanu skupienia, które rozmywały horyzont tak długo, aż w końcu całkiem zniknął.

Eva dopiła kawę. Zapatrzona w mokrą szybę, odstawiła pustą filiżankę na stół. Rozległ się cichy brzęk – łyżeczki na spodku, a może bransoletki. Rzeczywiście, to bez sensu. Zamiast rozpaczać, że coś się skończyło, powinna docenić dobry czas, jaki przeżyła.

Wszystko dlatego, że człowiek nie widzi własnego życia, nie potrafi ocenić tak jak życia innych. Eva była przyzwyczajona do rozmów z pacjentami, często chorymi terminalnie. To należało do umiejętności, jakich nabywa się w jej zawodzie, takich samych jak podłączanie kroplówki, wykonywanie opatrunków czy podawanie leków, często na przekór temu, czego nauczono ją w szkole: że obiektywny profesjonalizm budzi zaufanie pacjenta, daje mu poczucie, że personel szpitala nad wszystkim czuwa. Jak ostatniej nocy, którą w znacznej części spędziła przy łóżku Hansa Meyera, trzymając go za rękę. W dzień milczał uparcie, za to w nocy krzyczał przez sen, wciąż od nowa przeżywając to, co mu się przytrafiło.

Kim był Hans Meyer? Nie ten jej niepozorny sąsiad, którego niemal codziennie widywała po drugiej stronie ulicy, machała mu na powitanie, a on wołał coś z oddali, zapewne o pogodzie, gdyż wskazywał przy tym na niebo albo na morze. I nie przysłowiowy stary kawaler ukryty za zabawnymi nawykami, chociaż tak zazwyczaj o nim myślała: że ukrywa się za nawykami. Przed śniadaniem gimnastyka szwedzka na świeżym powietrzu, niezależnie od pory roku. Potem zapewne rogalik z kawą zbożową na mleku i lektura porannej gazety, zimą w jadalni, latem na werandzie. Po południu, zawsze o tej samej porze, filiżanka herbaty i kolejny rozdział biografii jednego z wielkich kompozytorów, w ulubionym fotelu przy oknie, z widokiem na ogród. O zmierzchu kilka taktów na fortepianie, z Bacha, Beethovena czy Schuberta, bo pan Meyer kojarzył się Ewie z domowym muzykowaniem, czego nieraz dawał dowody, zwłaszcza latem, gdy

grał przy otwartych oknach. I tak dalej. Nie, Evie chodziło o tego człowieka, któremu kilka dni temu o świcie otworzyła drzwi swego domu, a on, w samej piżamie i pantoflach na bosych stopach, błądliwy i roztrzęsiony, zemdlał na jej progu.

Dobrze, że Jasmine zjawiła się dziś rano na oddziale wcześniej niż zwykle, żeby starszy nie był sam przez cały dzień. Sekretariat wspólnie z policją już sprawdzał, czy Hans Meyer miał rodzinę. W takich okolicznościach obecność kogoś bliskiego jest wręcz niezbędna, nikt tego nie wiedział lepiej od Evy, która z niejednym podobnym przypadkiem miała do czynienia. Nawet jeśli w dobrym zdrowiu twierdzimy, że nie potrzebujemy nikogo – w chorobie czy po wypadku, w szpitalu nie ma lepszego pocieszenia niż świadomość, że nie jesteśmy sami. To często działa skuteczniej niż zabiegi i zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

Jak łatwo mówić takie rzeczy, kiedy dotyczą one innych. W jej przypadku nie było to takie proste, bo nie o chorobę czy wypadek tu chodziło. Jakim cudem wszystko miało być dobrze, skoro ona sama nie potrafiła określić, co to „wszystko” miało oznaczać? Gdyby miała wybór, co by wybrała? Życie z duchem zmarłego męża czy z... kimś nowym? Zgoda, niezależnym, wolnym jak ptak i, jak się dobrze nad tym zastanowić, dość enigmatycznym na swój temat, ale może właśnie dlatego tak atrakcyjnym?

Na rękawie swetra wyczuła drobną kuleczkę nitek. Oderwała ją i odruchowo zaczęła obracać między palcami. Był to ten sam sweter, który kilka tygodni temu tak bardzo jej się spodobał, że bez namysłu go kupiła, mimo ceny. A potem dała się jeszcze namówić na tę chustę. Z początku miała wyrzuty sumienia, ale teraz już nie żałowała chwilowego szaleństwa. Było jej ciepło.

Dość tych rozmyślań, i tak do niczego nie prowadzą.

Rozejrzała się po gwarnej sali. Ależ pełno! W kącie pod przeciwległym oknem Vincent le Puy siedział pochylony nad szkicownikiem, a Rose stała nad nim, podpierając się pod boki. Była wyraźnie czymś poruszona, a może zła na kogoś, bo mówiąc, gwałtownie gestykułowała kuchenną ścierką w czerwoną kratę. Za nimi, ukryty za gazetą, siedział Alfred Raabe, zegarmistrz. W sezonie rzadko tu bywał, znany był z tego, że nie dowierzał swoim ekspedientom, wolał sam wszystkiego dopilnować, ale przyznać trzeba, że jego zegarki działały bezbłędnie. Drobnym i rumianym, z aureolą siwych włosów wokół błyszczącej łysiny, przypominał Einsteina. W tej chwili do jego stolika dosiadł się ojciec Vincenta. Co za postać, prawdziwy francuski farmer, jak Yves Montand jako wuj „le Papet” z filmu *Jean de Florette*. Jakby był ulepiony z ziemi, w której podobno grzebie się całymi dniami, niezależnie od pogody. *Frau* Bellitz mówiła, że nawet w najgorszym deszczu przekopuje ogród Vincenta i coś sadi, oganiając się przy tym od chłopaka, który chodzi za nim z parasolem, jak od natrętnej muchy. Oczywiście, *Frau* Bellitz miała na myśli Cyryla Neuhaus. Pomijając kwestię moknięcia na deszczu, co w okresie rekonwalescencji mogło się w każdej chwili

zakończyć kolejną infekcją, Evę w jakiś sposób ucieszyła ta wiadomość, oznaczająca bowiem, że jej były pacjent ma żywy kontakt z ludźmi.

Nim usiadł, Nicolas machnął w kierunku syna, choć nie bardzo było wiadomo, czy ten gest oznaczał powitanie czy zniechęcenie. Jakby mówił: Z nim i tak się nie dogadam, a więc równie dobrze mogę usiąść tutaj.

– Nie przeszkadzam – raczej oznajmił niż zapytał, stawiając butelkę piwa na stoliku. Wina na wyspie uparcie nie tykał, twierdząc, że Niemcy muszą zaczekać, aż on i jego wino przejmą rynek. Ale piwo było niezłe, co Nicolas przyznawał z niechęcią. Wprawdzie nie wyrażał tego słowami, za to konsumował ze smakiem.

Raabe błysnął szklami w złotych oprawkach, ale nic nie powiedział, nie odłożył również gazety, a jedynie lekko się odsunął. Nicolas dobrze trafił: mógł mówić do woli, jak długo chciał i o czym chciał, bez obawy, że Alfred mu przerwie. I mówił tak głośno, że jego francuski monolog słychać było w całym barze.

Kobieta siedząca za nimi obejrzała się najpierw na Nicolasa, następnie na drzwi, po czym przeniosła wzrok na zegar nad barem. Czekala na kogoś? Możliwe. Szara myszka, oceniła ją Eva, taka sama jak ja. Tylko jej okulary zwracały uwagę, wyróżniały.

Eva uwolniła stopy spod psiego ciężaru. Agat jęknął wyrwany ze snu, jednak nie wstał i nie poszedł za nią. Ziewnął przeciągle. Pani poszła, ale wróci. Przechodząc między krzesłami, Eva zatrzymała się przy stoliku Vincenta.

– Tak dzisiaj mokro, że wystarczy wystawić papier na zewnątrz i akwarela gotowa – zażartowała.

Vincent podniósł głowę znad pudełka z farbami.

– Przeczekamy. – Odwzajemnił uśmiech. – Wszystko minie, i zła pogoda, i marne obrazy. Wbrew pozorom, takie światło jak dzisiaj bywa ciekawe.

Obrzucił postać Evy taksującym spojrzeniem. Jasną cerę rozświetlał biały kołnierzyk bluzki, wywinięte mankiety rękawów kontrastowały z grubym splotem swetra w kolorze palonej kawy i chustą w złote i fioletowe pawie oka, która była jedynym „malowniczym” akcentem w skądinąd spokojnej gamie, jednocześnie ciepłej i chłodnej, jakby rozdwojonej. To z powodu światła: wewnątrz kawiarni, oświetlone lampami o wiklinowych kloszach, zamykało się w gamie żółcieni i brązów, podczas gdy światło padające z okna było szare, z odcieniem błękitu.

Vincent zmrzążył oczy. Wszyscy jesteśmy podwójni, choćby tylko z powodu światła, pomyślał.

Niezły pomysł na obraz.

– Kiedyś zgodziłaś się, że będziesz mi pozować – powiedział. Ich spojrzenia na moment się skrzyżowały. – Pamiętasz? Może czas do tego wrócić?

Eva zarumieniała się pod jego spojrzeniem.

– A nie jest na to... – nie dokończyła, speszona. Za późno? To chciała

powiedzieć? Że kiedy się zgadzała, była o kilka lat młodsza?

Objął wzrokiem jej szczupłą sylwetkę.

Dokończył za nią.

– Za późno? Nie, teraz jest właściwa pora. Młodość niewiele mówi, jest tylko piękna.

Eva ruszyła w stronę baru.

– Może kiedyś do tego wrócimy – rzuciła lekko, nie oglądając się za siebie.

*

Odprowadził ją wzrokiem, obserwując, jak układa się światło na płowych włosach i prostych plecach, częściowo zakrytych trójkątem kaszmirowej chusty.

Może kiedyś...

Chciał coś odpowiedzieć, gdy nagle jego uwagę przykuła scena przy barze. Trzej młodzi ludzie zajęci byli grą w rzutki: jeden, siedzący na wysokim stołku przy kontuarze z butelką piwa, zapisywał wyniki i sekundował dwóm pozostałym, którzy podchodzili kolejno do linii. Linia, tak zwana *hockey*, wymalowana przez Vincenta resztką farby po pierwszym remoncie baru, znajdowała się w przepisowej odległości dwóch metrów od tarczy zawieszanej na ścianie koło wejścia do kuchni, co oznaczało, że gracze musieli rzucać lotkami wzdłuż rzędu stołków barowych.

Rozgrywka szła na ostro. Bellitz i jego kolega celowali długo i uważnie, ze ściągniętymi brwiami, nie rozmawiali przy tym ze sobą, nie żartowali, a gdy któryś trafił w bycze oko, za maksymalną liczbę punktów, zaciskał pięści z satysfakcji, podobnie jak wtedy gdy przeciwnikowi nie poszło i trafił w niepunktowane pole. Widać było, że wszyscy trzej traktują grę serio. Na pewno nie jak zabawę.

W pierwszej chwili nie potrafił powiedzieć, o co mu chodziło. Rzutki to tradycyjna rozrywka, podobne tarcze wiszą na ścianach w barach i pubach w różnych zakątkach świata. Nie, to nie to. Vincent znał tych młodych ludzi, to znaczy nigdy z nimi nie rozmawiał, ale wiedział, kim są i jak się nazywają. A jednak coś go poruszyło, wzbudziło niepokój.

Otworzył szkicownik, przerzucił kilka kartek, zatrzymał się na czystej stronie. Zaczął szkicować. Skupienie na twarzach graczy, zarysy sylwetek, czarne skórzane spodnie i czarne T-shirty z nadrukami, sznurowane buty na grubych podszwach. Obok, na jednym ze stołków, zrzucone na stos, nabijane ćwiekami skórzane kurtki – zwisające bezwładnie splecione rękawy przypominały martwą ośmiornicę albo pająka z zastygłego asfaltu.

Szkic był szybki i niezbyt dokładny, lecz trafnie oddawał sytuację gry, również podobieństwo było dobrze uchwycone. Mimo to Vincent pokręcił głową zniechęcony. Nie, to wciąż nie było to, o co mu chodziło. Grali w sumie spokojnie, jeśli nie liczyć napięcia, wręcz agresji w ich twarzach. Przy barze, poza kolegą tamtych dwóch, nie było nikogo. Swoją grą nikomu nie przeszkadzali.

Vincent sięgnął po czarny *brush pen*. Na małej powierzchni kartki postaci wydały mu się nadmiernie stłoczone, dlatego kilkoma pociągnięciami miękkiego pędzelka zamalował detale wnętrza: kontuar ze stołkami, drzwi i okna, stoliki i krzesła, ekspres do kawy w głębi za barem.

Paradoksalnie, czarne tło wokół trzech postaci w ruchu, zamiast zacieśnić, dodało przestrzeni, wyprowadziło naszkicowaną scenę poza sytuację w zatłoczonym lokalu na zewnątrz. Teraz mogła się wydarzyć wszędzie.

Vincent odłożył pisak na stół. Obejrzał się za siebie. Adam Bellitz stał z podniesioną ręką, ważąc wolframowy grot z fosforyzującym czerwonym piórkiem. Już miał rzucić, gdy w tej samej chwili nad jego głową zgasło światło. Trudno powiedzieć, czy stało się to w wyniku zwarcia z powodu wilgoci, czy po prostu przepaliła się żarówka. Adam zaklął wściekły, że nieoczekiwana sytuacja popsuła mu szyki.

Podniósł gwałtownie głowę w stronę sufitu, a potem zamachnął się, jakby chciał kogoś uderzyć.

– Może byście wreszcie zamontowali porządne oświetlenie tarczy – warknął.
– Co za nora!

*

Paulette wytarła umyty stół do sucha. Następnie, odmierzając mąkę szklankami, usypała spory kopczyk, dodała kilka plastrów zimnego masła i zaczęła je siekać dużym płaskim nożem, który wyciągnęła z zamrażarki; do kruchego na tarty i paszteciki nóż powinien być zimny.

Siekała tak energicznie, że słyhać ją było aż na ganku, chmura unoszącej się w powietrzu mąki osiadała jej na rzęsach i grzywce. Ale nie zwracała na to uwagi: w domu nie było nikogo poza tym dziwakiem, który w ogóle jej nie zauważał, chyba że wołała go na jedzenie. Grzywkę niepotrzebnie rano po myciu włosów starannie przycięła nożyczkami. A potem równie starannie dobrała strój. To sztuka ubrać się na randkę, tak żeby było i kobieco, i żeby pasowało do rozpedzonego motoru. W tym celu Paulette wyciągnęła spod łóżka walizkę i zrobiła dokładny przegląd swego stanu posiadania. Długo nie była zadowolona z wyborów, w końcu zdecydowała się na nowy zestaw „prosto z Paryża”.

Bezpośredni lot z Paryża do Hamburga trwał godzinę i dwadzieścia pięć minut, ale był o tak wczesnej porze, że ojciec zarządził nocleg w Paryżu. Nie będziemy tłuc się pociągami po nocy, oświadczył i kazał Paulette znaleźć w Internecie jakiś niedrogi hotel niedaleko lotniska. Wybrała trzygwiazdkowy Hotel du Louvre przy Rue du Roule, kierując się bliskością nie tyle portu lotniczego w Roissy, ile bulwaru Haussmanna i Galerie Lafayette. W końcu wyjeżdżali za granicę, a ona nie miała co na siebie włożyć.

W Paryżu była mgła. Paulette nie tak wyobrażała sobie ten dzień. Przecież to

jesień, burknął ojciec, stawiając walizę na peronie Gare du Nord, by wyregulować zegarek „zgodnie z czasem obowiązującym w stolicy”, jak się wyraził. Prawda, jesień, ale ona nie chciała takiego Paryża, tylko taki jak na fotografii – prześwietlony ostrym słońcem, pełen fioletowych cieni w zaułkach, z zakochanymi parami całującymi się na tle straganów z kwiatami.

Szła za ojcem naburmuszona, nie patrząc pod nogi, raz po raz rozchlapując kałuże, w których odbijały się paryskie fasady i bardzo nieparyskie chmury, i po raz kolejny wysłuchiwała wymówek, że hotel drogi i że daleko. Na dojazd do lotniska wydadzą fortunę. Skąd Paulette mogła wiedzieć, że to takie wielkie miasto? Na mapie wcale tak nie wyglądało.

W końcu miała dość. Zatrzymała się przy krawężniku, z jedną nogą zawieszoną nad kolejną kałużą, i spojrzała ojcu prosto w oczy. Jak ta podróż dalej ma tak wyglądać, z wymówkami, mgłą i deszczem, to ona woli wrócić do domu. Będzie taniej, dodała i z premedytacją opuściła nogę zawieszoną nad krawężnikiem. Kałuża była głęboka, zimna woda wlała się do buta. Paulette wiedziała, co robi. Nie w kwestii kałuży. Ojciec obawiał się tej podróży jeszcze bardziej niż ona. Dlatego ją zabrał.

Kolację zjedli już w pełnej zgodzie. Jedzenie było pyszne, ojciec rozmowny i wesół, rozochocony rozgrywką w *pétanque*, do której się przyłączył w alejkach ogrodów Tuileries. Paryż nie Paryż, to było coś, co Nicolas dobrze znał, typowo męskie zajęcie, zwyczajowo wzmocnione pastisem. Paulette po zakupach w Galerii Lafayette również czuła się pewniej. W krótkiej spódniczce z halką z prawdziwego tiulu i swetrze z miękkiego moheru w kolorze lilaróż była gotowa pojechać wszędzie, nawet za granicę.

*

No tak, ale dziś mogła się ubrać choćby w worek po kartoflach, ponieważ Adam się nie zjawił. Albo przynajmniej wyspać się porządnie, a nie zrywać o świcie tylko dlatego, że jakiś niesłowny Niemiec zaprosił ją na przejażdżkę na motorze na drugi koniec wyspy, żeby podziwiać wschód słońca.

Nie przyjechał, Paulette zrozumiała, co chciał jej przez to powiedzieć. Że rano otworzył jedno oko, stwierdził, że leje, dlatego przewrócił się na drugi bok i spokojnie zasnął, a o niej zwyczajnie zapomniał. W takim razie po co to wszystko?

Zaczęło się niewinnie: któregoś dnia Adam przywiózł matkę na popołudniową wizytę, a wieczorem po nią wrócił. Nazajutrz zjawił się na progu z koszykiem pełnym konfitur od *Frau* Bellitz dla domu. Wprawdzie nikogo nie zastał, ale koszyk postawił w widocznym miejscu, na progu, tak żeby po powrocie z miasta domownicy od razu go spostrzegli. Nie przewidział, że tego dnia Cyryl ucieknie z domu, zmarznie na wydmach i dostanie zapalenia oskrzeli, ale przecież

nie była to jego wina.

Potem zaczął wydzwaniać już tylko do Paulette, przeważnie po to, żeby ją wyciągnąć na przejażdżkę na tej swojej dzikiej maszynie. Zwiedzili razem wyspę, od List po Hörnum, chociaż Bogiem a prawdą, wiele tu do zwiedzania nie było. W międzyczasie byli ze dwa razy w kinie i raz w miejscowym klubie.

Przedwczoraj wieczorem Adam zadzwonił i zaproponował, żeby wybrali się na romantyczne śniadanie na plaży o wschodzie słońca. To był jego pomysł („Nie jest zbyt ciepło, ale przynajmniej słońce wstaje późno, możesz się wyspać”, zażartował). Z własnej woli to zaproponował, a teraz z własnej woli się nie zjawił. Co ona widzi w tych facetach w czarnych skórach, jeżdżących na czarnych motorach? Już jednego takiego odchorowała, powinna była wyciągnąć naukę z tamtej historii. Za tamtym policja rozesała listy gończe, a ten po dwóch tygodniach znajomości się nią znudził.

Co za dzień! Zamiast wschodu słońca nad morzem awantura z ojcem, który ubzdurał sobie, że nie wpuści za próg niemieckiego zięcia. Jakby Paulette już myślała o ślubie. Ojciec zawsze taki był, gonił jej chłopaków, jakby chcieli mu coś ukraść. Dla świętego spokoju Paulette wychodziła po kryjomu albo udawała, że wybiera się do kina z koleżankami.

Odkąd tu przyjechała, było jeszcze gorzej. Na wyspie, poza domownikami Vincenta, terapeutki ze szpitala i wścibskiego komisarza policji, Paulette nikogo nie знаła. Adam od razu jej się spodobał. Był taki spokojny, zdecydowany. I milczący, co ułatwiało komunikację łamaną angielszczyzną. Prawdziwy mężczyzna, w dodatku – przystojny blondyn. Nieśmiały, to prawda, nigdy nie chciał wejść do domu, tylko dawał jej sygnał komórką, a sam czekał za rogiem, nie gasząc silnika. Ale, zdaniem Paulette, tak było lepiej, przynajmniej nie wchodzili ojcu w drogę. Tym większe było jej zdziwienie, kiedy dziś rano ojciec zaczął krzyczeć, zupełnie jakby zaraz miał wyruszyć na wojnę. Skąd on się dowiedział o Adamie?

Czy to się nigdy nie skończy?

Rzuciła komórkę na stół, wznecając obłoczek mąki. Myślała, że to Adam, ale to tylko Rose już trzeci raz dzwoniła w sprawie zupy cebulowej. Paulette obiecała, że przyjedzie do Johanna koło jedenastej. Plan był taki, że po wycieczce z Adamem wróci najpierw do domu i upiecze na lunch kilka sztuk *quiche lorraine*, po czym jeszcze ciepłe tarty przewiezie z Adamem do baru, a tam pomoże ugotować autentyczną francuską *soupe à l'oignon gratinée*, zapiekaną z grzankami. Rose już wczoraj wieczorem wypisała na tablicy obie potrawy jako gwoździe w menu: „Gorąco polecamy dania na gorąco”, i tak dalej. Mieli prawo być na nią wściekli.

Wszystko dlatego, że Adam z powodu byle deszczu ją zignorował. I nawet nie zadzwonił. Paulette tak to wytrąciło z równowagi, że zapomniała o zupie i całej

reszcie. Siedziała w kuchni na parapecie, między doniczkami uschniętych pelargonii, i machając nogami, wpatrywała się w zegar, dopóki Rose nie zadzwoniła z pretensjami. Dopiero wtedy Paulette oprzytomniała, co nie znaczy, że tarty wyjdą jak należy; mama zawsze powtarza, że jak masz zły humor i ciasto do upieczenia, to lepiej zrezygnuj z ciasta.

Odgarnęła przedramieniem grzywkę, która mimo porannego przystrzyżenia nadal była za długa. Szybkimi ruchami zagniotła ciasto, dodając na koniec kilka łyżek zimnej wody z kranu, po czym lśniąca kulę wrzuciła do miski, przykryła ścierką i wstawiła do lodówki. Farsz był już prawie gotowy: szynka pokrojona w kostkę i przesmażona z cebulą, wystarczyło doprawić do smaku, a potem polać mieszaniną jajek ze śmietaną. Do tego sałata ze świeżymi ziołami. Nie, bez ziół. Jasmine miała kupić bazylię i tymianek, ale pomyliła się albo zapomniała, bo przyniosła tylko zieloną pietruszkę.

Mimo wszystko sałata bez świeżych ziół to nie to samo. Paulette oskrobała resztki ciasta z rąk i opłukała je pod bieżącą wodą. W sieni włożyła kalosze, narzuciła nieprzemakalną kurtkę z kapturem i wybiegła do ogrodu. Krople deszczu załaskotały ją w policzki. Zmarszczyła nos. Niepotrzebnie się wściekała. W takim deszczu nawet nie było co marzyć o romantycznym wschodzie słońca. Ale z drugiej strony Adam jako wyspiarz mógłby się lepiej znać na pogodzie.

Mięta rosła w głębi ogrodu, za szopą na narzędzia.

Mijając po drodze rzędy sadzonek winorośli, świeżo posadzonych wzdłuż kamiennego ogrodzenia z jednej strony i ściany domu z drugiej, Paulette pokręciła głową. Gdyby mama to widziała, powiedziałaoby ojcu, co o tym wszystkim myśli. Że zwariował, to oczywiście. Pierwszy raz w życiu wyjechał na wakacje, miał odpocząć, dogadać się z synem, chodzić z nim na plażę po odpływie, żeby zbierać małże i ostrygi, a nie pakować się w taką robotę, z której w dodatku – tego nie tylko Paulette była pewna – żadnego вина nigdy nie będzie. W tym klimacie, w takim deszczu?

Natomiast mięta radziła sobie z klimatem doskonale, liście miała duże, ciemnozielone, niemal brunatne u nasady. Paulette wołała rosnącą w ich ogrodzie miętę korsykańską, niskopienną, o listkach drobnych i miękkich jak aksamit, bo była łagodniejsza i pachniała jak jej ulubiony likier miętowy, którego w dzieciństwie wolno jej było wypić jeden łyżeczek z okazji urodzin. Ale z braku tamtej mogła być i pieprzowa. Była wprawdzie twardsza i przez to, w jej mniemaniu, mniej wyrafinowana, ale za to bardziej pikantna.

Zerwała sporą garść listków, strząsając krople i układając jeden na drugim, tak żeby się nie pogniotły, po czym wsunęła je do kieszeni. Rozejrzała się w poszukiwaniu melisy czy tymianku, ale innych ziół nie znalazła.

Zrobiła krok, z nasiąkniętej kępy trawy wyprysnęła woda z grudkami błota, które opadając, przykleiły się do kaloszy. We Francji w taki dzień pewnie by już

pozamykali szkoły i ogłosili alarm przeciwpowodziowy, pomyślała.

Zawróciła do domu. Umyślnie stąpała ciężko, tak by kalosze jak najgłębiej zanurzały się w grząskiej ziemi, bo wtedy wydawały zabawne odgłosy. Jak kiedyś, gdy z dziećmi z sąsiedztwa urządzali zawody brożenia w kałużach; kto uzyskał największy rozbryzg, ten wygrał.

Nagle zatrzymała się, nasłuchując.

W bezwietrznym powietrzu deszcz szumiał miarowo, drzewa stały nieporuszone. Nic, żadnego odgłosu. Musiała się przesłyszeć. Odetchnęła z ulgą i już zamierzała ruszyć dalej, gdy ponownie rozległ się trzask łamanej gałęzi, tym razem całkiem blisko, w kącie pod murem, w miejscu gdzie rosły krzaki czarnej porzeczki i agrestu. Posypały się kamienie.

W pierwszym odruchu chciała uciec do domu, zatrzasnąć drzwi na zamek, zabarykadować się. W Saint-Jean-de-Marsacq pewnie tak by zrobiła, ale tutaj stanęła sparaliżowana dziwnym strachem. Czekwała dłuższą chwilę w napięciu, ale hałas więcej się nie powtórzył. Tylko w uszach wciąż miała tę samą sekwencję: najpierw charakterystyczny trzask, a po chwili osypywanie się żwiru czy kamieni.

Paulette wyprostowała się. Zsunęła kaptur, zimne krople na czole i włosach już nie łaskotały, mroziły. Nie zważała na to – kaptur zasłaniał widok, tłumił dźwięki. Odetchnęła głęboko, a potem zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę, skąd dobiegał hałas. Ktoś tam był. Kot?

Czy koty polują w deszczu?

Ominęła krzaki porzeczki i agrestu i energicznym gestem odchyliła gałęzie od muru. Zaprawa między kamieniami dawno zwietrzała, widać było liczne szpary i prześwity. W jednym miejscu kamienie całkiem wypadły, tworząc sporych rozmiarów wyrwę. Była na tyle duża, że dorosły człowiek mógł się przez nią przedostać. Paulette nie odważyła się wyjrzeć na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy ktoś się tam zaczął. Bała się.

Ręce jej drżały, gdy podnosiła z ziemi świeżo ułamaną żerdź. Obok leżała garść zdeptanych i pokruszonych muszli.

Rzuciła żerdź na ziemię. Potykając się o grudy przekopanej ziemi i kępy chwastów, popędziła do domu. Zdyszana, dopadła do ganku.

Przez chwilę nasłuchiwała. Szum deszczu. Poza tym cisza. Zmarszczyła nos, nad czymś się zastanawiając.

Zawróciła do ogrodu.

Przy krzaku agrestu zatrzymała się na moment, jakby jeszcze chciała zmienić zdanie, ale zaraz zdecydowanym gestem odgarnęła mokre włosy z czoła, po czym kucnęła i zaczęła zbierać leżące na ziemi wokół niej gałęzie. Łamiąc je na mniejsze kawałki, zatkała nimi otwór w murze. Potem wyrwała kilka kęp trawy i zapełniła nimi wolne przestrzenie między prowizoryczną kratownicą.

Gdy znalazła się z powrotem w sieni, odetchnęła. Zsunęła kalosze, zrzuciła

mokrą kurtkę na podłogę. Dwa razy sprawdziła, czy drzwi są zamknięte na zamek.

– Zamknięte – powiedziała na głos. – Uspokój się.

W kuchni opłukała ręce i twarz, woda była lodowata, otrzeźwiła ją.

Zmarszczyła brwi. Przeszła przez salonik i otworzyła drzwi do pracowni.

– Cyryl! Jesteś?

Pracownia była pusta. Na starym adapterze z cichym trzaskiem obracała się niemo czarna płyta.

*

Wyjęła ciasto z lodówki, prędko zarobiła je wprawnymi ruchami, rozwałkowała. Wykleiła spód i boki trzech okrągłych foremek do pieczenia, rozłożyła równe warstwy farszu i tak przygotowane tarty owinęła folią. Do litrowego słoja wbiła kilka jajek i wlała dwie porcje *crème fraîche*, dodała szczyptę soli i muszkatu. Szczelnie zamkniętym słoikiem potrząsnęła kilka razy, aż masa dobrze się ubiła. Obok blaszek postawiła przygotowaną wcześniej torbę piknikową: pierożki nadziewane mięsem, chleb orkiszowy i brioski z rodzynekami, upieczone poprzedniego wieczora na dzisiejsze śniadanie na plaży.

Sięgnęła po komórkę.

– Niech ktoś po mnie przyjedzie – powiedziała. – Nie, nie zaraz, już.

I po chwili:

– Kto? – Rozmawiając, wycierała mokre włosy ręcznikiem. Teraz zastygła z ręką uniesioną do góry. – Tylko nie on, Rose, błagam!

Ale Rose już się rozłączyła.

Kiedy mniej więcej pół godziny później Adam pomagał udobruchanej Paulette wnieść wszystko do baru („Powiedziałem »*free day*«, a nie »*Friday*«. Dziś nie mogłem, bo w piątki rano zawsze pracuję w porcie przy rozładunku”) – w drzwiach omal nie doszło do zderzenia. Jakiś mężczyzna wyszedł nieoczekiwanie zza rogu, od strony przystani promowej. W jednej ręce trzymał torbę podróżną, w drugiej komórkę. Klamkę nacisnął łokciem.

– Niech pan uważa – pisnęła Paulette ostrzegawczo.

Oliver odwrócił się gwałtownie.

– Och, przepraszam – zawołał, odsuwając się. – Nie zauważyłem.

LIST Z SUSPENSU

Droga J.

Powieści często przypominają precyzyjne konstrukcje, które krok po kroku układają się w spójną całość. Tymczasem w życiu wiele zależy od przypadku i zbiegu okoliczności. Albo od pogody. Celowość i dążenie do celu pozornie oznaczają to samo, ale nie do końca są tym samym. Dążyć do celu możemy, niekoniecznie przez cały czas myśląc trzeźwo i działając celowo. Weźmy, na przykład, Jasmine w chwili, gdy przedstawia się jako Jamila. Świadomie nie mówi

prawdy, z powodu nieufności wobec obcego człowieka, ale także dlatego, że jej obawy (i kłamstwa) są uzasadnione z innych powodów, o których my już wiemy, a z których Oskar / Oliver nie zdaje sobie sprawy. Tak jakby mówiła: To nie ja podjęłam tę grę, tylko dziewczyna o imieniu Jamila. Sama Jasmine nie miałyby dość odwagi.

Nie tylko Oskar / Oliver i Jasmine / Jamila naginają fakty, kluczą, zmieniają tropy i swoją tożsamość w zależności od sytuacji. Nie ma w tym nic dziwnego, w jakimś stopniu każdy z nas nieustannie manipuluje rzeczywistością. Na krótką metę to skuteczny sposób, ale prędzej czy później mistyfikacja zostanie rozszyfrowana. Wystarczy poczekać, aż wszystko się skomplikuje jeszcze bardziej, a napięcie stanie się nie do zniesienia i coś gdzieś pęknie. To kwestia czasu, na tym w istocie polega suspens.

Życie „na krawędzi” uznawane jest dziś za jeden z głównych stymulatorów psychologicznych współczesnego człowieka, niezależnie od tego, czy będzie on mieszkańcem wielkiego miasta czy rezydentem cichej prowincji, gdzie, jak w wierszu mojego przyjaciela „[...] smutki małych miasteczek / mają truciznę w oku / wzlatują w szarość nieba / porywają obłoki, płyną...”³². Tę krawędź różnie możemy rozumieć. Jako igranie z niebezpieczeństwem lub jako potrzebę przygody, wiecznej zmiany miejsca, zaczynania wszystkiego od nowa. Osobiście skłonna jestem się zgodzić z Blumą Zeigarnik (1900–1988), że nasza potrzeba „krawędzi” wywodzi się z niepokoju wywołanego przez „niedomknięcie”.

Otóż Zeigarnik twierdziła, że ludzie najmocniej „czepiają się” spraw, które oceniają jako otwarte i niedokończone lub których sami nie dokończyli. Przerwali w pół słowa, zrezygnowali w trakcie, odeszli. Muszą jednak wrócić, i wrócić, ponieważ pozostało w nich napięcie: niezamknięta sprawa jest jak rana, która nie chce się zabiżnić. Tak działa nasza pamięć: czepia się.

„Efekt Zeigarnik” to swego rodzaju „błąd pamięci” wynikający nie tyle z naszej niekonsekwencji („Brak mi wytrwałości”) czy przerwy w działaniu („Wysłałam, zaraz wracam”), ile z otwartości samej sytuacji. Wiemy, ponieważ tak nas nauczono, że każda rzecz powinna mieć początek, środek i zakończenie, które jest jak koda w muzyce, kropka w zdaniu. Możemy śmiało powiedzieć, że ów koniec odczytywany jest jako osiągnięcie, sukces sam w sobie, zaś niedomknięcie i otwartość – jako nasza osobista klęska („Nie udało się!”). Co ciekawe, Zeigarnik zajęła się tym zjawiskiem po tym, jak jej profesor psychologii *Gestalt* Kurt Lewin zauważył, że kelner w restauracji lepiej pamięta te stoliki, przy których goście nie uregulowali jeszcze rachunków.

Potrzeba napięcia emocjonalnego plasuje się wysoko na liście stymulatorów, obok podróży w nieznaną (wciąż przede mną), szybkiej jazdy (nie lubię), skakania po dachach, zakupów, seksu, jedzenia (zarówno chipsów, jak typu *gourmet*), degustacji win i przesiadywania w kawiarniach z książką, papierami i komputerem

(lubię!). Bywa, że dążenie do orbitowania popchnie kogoś w inne rejony, co może, choć niekoniecznie musi, wiązać się z przekroczeniem granic (prędkości, prawa, zdrowego rozsądku) lub nadużyciem (zaufania, alkoholu). I kto to mówi? Osoba, która pije wyłącznie herbatę ziołową i zawodowo zajmuje się ściganiem tych, którzy przekroczyli prawo.

Co mnie interesuje tu najbardziej, to ludzki wymiar winy, kary i przebaczenia. Suspens przenosi się w sferę motywacji, opcji mamy nieskończenie wiele. Napięcie kryje się w konflikcie wewnętrznych wyborów.

Tymczasem czeka nas tygodniowy suspens. Jutro znowu muszę lecieć do Londynu. Anglicy to mistrzowie suspensu. Moim zdaniem deszczowe wyspy, mgła jak mleko i latarnie sodowe o żółtym świetle szczególnie predestynują do myślenia konspiracyjnego. Warto by się zastanowić, jak wygląda statystyczna zależność między skłonnością do knucia i snucia zbrodniczych intryg a częstotliwością opadów.

Odezwę się.

B.

Rozdział 21: Cebula i domysły

Widać było, że jest zmęczony. Duże orzechowe oczy o jasnym i czystym spojrzeniu, które z dziwną mocą intrygowały i jednocześnie trzymały rozmówcę na dystans, teraz podkreślone były fioletowymi półksiężycami z niewyspania. Policzki, szczupłe i lekko zapadnięte, pod trzydniowym zarostem nabrały odcienia szarości, nadając całej twarzy wyraz nieprzystępności i zamknięcia w sobie. Zresztą równie dobrze mogła to być kwestia pochmurnego dnia lub słabych żarówek pod sufitem.

Oliver nie przeprosił, że zniknął tak nagle. W ogóle niewiele opowiadał, więcej milczał, oboje milczeli. Eva myślami była gdzie indziej. Nie mogła się uwolnić od wrażenia, że widzi go po raz pierwszy. Co się stało, że nie potrafiła sobie przypomnieć tak przecież świeżych emocji, jakie zazwyczaj towarzyszą każdej nowej znajomości, gdy jeszcze niewiele zapowiada, a mimo to wywołuje stan napięcia, a wręcz rozgorączkowania? Tak działa nowość, mówiła sobie niedawno, każdy pustelnik po dniach samotności powiedziałby to samo.

Teraz tamte emocje gdzieś się ulotniły. Jakby dopiero się poznali i tym razem była to już całkowicie odmienna znajomość: poważna, zbudowana nie tyle na powierzchownej fascynacji czy choćby tylko zainteresowaniu, ile na czymś, co miało głębsze znaczenie. Krótka nieobecność, niby niewiele, a taka zmiana. Dla Olivera minione dni zapewne nie oznaczały nic poza podróżą. A podróż, jak wiadomo, rządzi się swoimi prawami, jest jak nowela albo opowiadanie: ma swój początek, punkt kulminacyjny i prędzej czy później dobiega kresu. Harmonogram. Trasa. Planowanie. Spotkania, sprawy do załatwienia. I dalej – w drogę.

Dla niej, która została w pustym domu, powolny upływ pustych godzin każdego dnia oznaczał powrót do kolein monotonii. Czas uciszył emocje, wypłukał osad oczekiwań. Powróciło poczucie odgradzenia, ale i spokoju, jakie w sobie z takim wysiłkiem po wypadku zbudowała. Tak, w tej chwili mogła spokojnie rozmawiać z Oliverem o wszystkim, nawet o śmierci Thomasa.

A może to nie ona? Może to Oliver był inny, kiedy na nią patrzył, jakby jej nie widział, i opowiadał o trudach podróży, lecz milczał o jej celu. Czy coś się stało?

Poczuła ucisk w żołądku. Miała ochotę krzyknąć: Błagam, powiedz, co się stało!

Oliver odgarnął włosy znużonym gestem. Przemknęło jej przez myśl, że z kimś takim trzeba by wiele przeżyć, żeby się przekonać, kim jest w rzeczywistości: tym poważnym mężczyzną po drugiej stronie stołu czy tamtym pewnym siebie przystojnym arogantem, który zjawił się niespodziewanie na progu jej domu z kiczowatym bukietem pod pozorem przeprosin za poranne zderzenie, a tak naprawdę, ponieważ zależało mu na informacjach o Thomasie. W tej chwili

sama nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego wtedy tak bez zastanowienia poddała się tej oczywistej manipulacji, pozwoliła mu wejść do domu, zaprosiła na kolację. Wbrew sobie musiała przyznać, że oprócz arogancji miał niezaprzeczalny urok. A ona nagle zapragnęła obecności mężczyzny, który by ją wyrwał z letargu. I w pewnym sensie to mu się udało, może dlatego że, paradoksalnie, mimo pozorów swobody i bezpośredniości, umiał zachować dystans. Należał do mężczyzn, których nie da się oswoić ani zdobyć na własność. Taki właśnie był Thomas.

Ale Thomasa nie było.

– Jesteś zmęczony – powiedziała, stawiając przed Oliverem filiżankę kawy.

Zauważyła, że nawet jego ubranie dopasowało się do nastroju, jakby straciło coś z wcześniejszej perfekcyjności; kołnierzyk lnianej koszuli zaczynał się lekko przecierać na zagięciu, a z mankietu swetra wysnuła się nitka; trzeba by ją zadzierzgnąć, w przeciwnym razie będzie się dalej pruć.

– Jesteś zmęczony – powtórzyła.

Zmarszczył brwi, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale po namyśle zrezygnował. Zamiast tego uśmiechnął się sennie, samymi oczami. Porozmawiamy wieczorem, rzekł, nie patrząc na nią. Po kolacji. Objął filiżankę w taki sposób, że zupełnie ginęła w jego mocnych dłoniach. Pił kawę małymi łykami.

Gdy skończył, odstawił filiżankę.

– Rozmawiałem z Sophie – powiedział.

*

Kurt Herzog zjawił się w barze koło południa.

– Świeża dostawa ostryg – oznajmił głośno.

W kuchni pozbył się skrzynek, za barem zajął się parzeniem kawy. Zapytał Evę o stan zdrowia Hansa Meyera, lakonicznie wyraził zadowolenie, gdy Eva zapewniła go, że rekonwalescent czuje się lepiej.

Na chwilę zapomniał, że nie była to już jego sprawa. Ściśle rzecz biorąc, nadal była jego, ale nie jako komisarza prowadzącego śledztwo, tylko w roli podejrzanego.

– Ma pan już jakąś hipotezę na temat tych dwóch napadów? Czy były w jakiś sposób ze sobą powiązane? – Eva, podobnie jak inni, nie przyjęła do wiadomości decyzji nadinspektora Tannenberga o zawieszeniu komisarza Herzoga, o czym gazety rozpisywały się szeroko, kładąc nacisk na element sensacji. Herzog był dobry w tym, co robił, szybki, sprawny, dociekliwy. I inteligentny, co nie było bez znaczenia. Zapracował na swoją reputację długoletnią służbą ze świetnymi wynikami, o czym te same gazety donosiły kiedyś równie skwapliwie. Zasłużył na szacunek, a nie na pochopne i bezpodstawne podejrzenia. Nóż? Jaki nóż? Ostrygi to specjalność tej wyspy, mało ludzi ma takie noże? A nawet jeśli faktycznie był to

nóż Herzoga, czy to możliwe, że w policji nikt nie czyta kryminałów? Przecież to najprostszy i najoczywistszy sposób na zmylenie śladów. Nawet *Frau* Bellitz wyznała ostatnio, że żal jej komisarza. Sama namiętnie śledziła kroniki kryminalne i równie namiętnie czytywała kryminały.

– Ale czytam je wyłącznie w nocy – wyznała. – Bo tylko wtedy naprawdę się boję.

Herzog mrugnął do Ewy porozumiewawczo wyraźnie zadowolony. Uznanie w oczach znajomych było najlepszą nagrodą pocieszenia za to, co się wydarzyło, a co w pierwszym odruchu odebrał jako osobistą porażkę.

– Nie wiem, do jakich wniosków doszedł mój młodszy kolega podkomisarz Rattner i czy w ogóle już do czegoś doszedł. Dla mnie wszystko jest tak jasne, jakby rozegrało się w biały dzień, wśród tłumu ludzi w hali targowej – komisarz mówił głośno, tak że słycać go było w drugim końcu sali. – Wprawdzie sprawcy byli sprytni, śladów nie zostawili, oprócz mojego noża, oczywiście, ale w ostatnich dniach udało mi się namierzyć mocny dowód rzeczowy. I nie jest to żaden nóż – zaśmiał się. – Teraz podstawowa trudność to znalezienie świadka, który by potwierdził moją hipotezę. – Ustawił dwie filiżanki kawy na tacy, obszedł kontuar naokoło i dopiero wtedy wziął tacę do rąk.

Na jego widok Bibianne Berg odsunęła swoje rzeczy na brzeg stołu.

*

Vincent kończył właśnie poprawiać ostatni szkic, gdy nad barem zgasło światło i Adam Bellitz zaczął wykrzykiwać na temat nędznej budy, gdzie ślepy właściciel nie ma nawet światła dla klientów, którzy dobrze widzą. Tak go to wzburzyło, że nie dokończył gry. Wolał to, niż przegrać. Odwrócił się gwałtownie, zgarnął swoje rzeczy i ruszył do wyjścia. Za nim, po chwili wahania, poszli jego towarzysze.

Idąc, nie zauważył krzesła, na którym Vincent postawił torbę i teczkę ze szkicami. Stało w przejściu, zawadzało. Adam zahaczył o nie nogą, teczka zsunęła się, plik arkuszy spadł na podłogę.

Niespodziewanie Vincent, tak zwykle powolny i jakby senny, zareagował błyskawicznie. Poderwał się, zrobił ruch, jakby zamierzał złożyć się do ciosu. Sekunda, dwie, nie dłużej, niczym iskra, która zaraz zgasła.

Vincent cofnął się i opuścił rękę. Przeprosił pierwszy, nim zrobił to tamten. Schylili się obaj jednocześnie, zderzyli. Podnieśli głowy, ich spojrzenia spotkały się zaskakująco blisko.

Koledzy Adama czekali w otwartych drzwiach. Za nimi, w świetle neonu nad wejściem, połykiwał ruchliwy, niespokojny deszcz.

– Idziesz?! – zawołał jeden zniecierpliwiony.

– Idę! – odkrzyknął Adam, wstając. Speszył się, całe zajście wytrąciło go

z równowagi i teraz nie wiedział, jak się wycofać. Bąknął coś niewyraźnie.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Na ulicy przystanął, żeby nałożyć kask. Mocując się z zapęciem, obrócił się w stronę okna, przy którym – po drugiej stronie – siedział już Vincent pochylony nad szkicownikiem. W tej chwili odłożył pisak na stół i odsunął rysunek. Zmrużył oczy.

Adam zbliżył twarz do szyby wpatrzony w otwarty szkicownik, który Vincent trzymał w wyciągniętej ręce. Rysunek był swobodny i niezbyt szczegółowy, ale trafnie oddawał sytuację gry. Również podobieństwo w rysach twarzy i gestach oraz charakterystyczny krój ubiorów były dobrze uchwycone. Adam rozpoznał siebie, nie mogło być wątpliwości, że chodziło o grę w rzutki, mimo że brakowało tarczy i otoczenia. Tak jakby detale wnętrza, jako mało ważne, zostały celowo pominięte.

Vincent podniósł wzrok. W ciągu zaledwie kilku minut ich spojrzenia skrzyżowały się po raz wtóry, z tą różnicą, że teraz dzieliła ich grubość szyby. Zaskoczeni ponowną bliskością, obaj jednocześnie przenieśli wzrok na rysunek.

Adam wyprostował się. Uniósł obie ręce do kasku w geście podobnym do tego, jakim zasłania się uszy. Zapiął pasek pod brodą. Pozostali dwaj siedzieli już na motorach. Jeden machnął ręką, coś zawołał. Jedziemy, na co czekasz!

Adam zawahał się, trwało to sekundę. Potem odszedł od okna i wsiadł na motor. Zapalał już silnik, gdy z kuchni wybiegła Rose, z telefonem w jednej ręce i ścierką w drugiej.

Stała na środku baru.

– Gdzie Adam? – Nim ktoś jej odpowiedział, sama go zobaczyła. Zdążyła wybiec, zatrzymać, zanim ruszył.

Wysłuchał, skinął głową.

Krzyknął coś do dwóch pozostałych, dał znak, żeby na niego nie czekali. Sam zawrócił i odjechał w stronę miasta.

*

Vincent przystanął na drewnianym pomoście prowadzącym na plażę między wydiami.

W dole, aż po daleki płaski horyzont, leżało morze o satynowym dnie, uśpione po deszczu. Na zachód rozciągały się Czerwone Klify, uformowane przez napierające Morze Północne, a na wprost komisarz Herzog tłumaczył coś zawzięcie Nicolasowi le Puy.

Gdyby Vincent stał tam teraz obok ojca i przyjaciela, zobaczyłby na piasku nieprzeliczone ptasie ślady i równie liczne kopce i tunele, a między nimi gromady zaaferowanych, żwawo poruszających się morskich żyjątek: małe krewetki o pomarańczowych pancerzach, które można jeść na surowo, i poruszające się

bokiem cętkowane kraby piaskowe, pracowicie usypujące wokół siebie kulki piasku, z którego wcześniej wydobyły cenne pożywienie, i pękate sercówki o promienistym żebrowaniu, z ukrytą wewnątrz podwójnej muszli nogą, dzięki której potrafią skoczyć na odległość półtora metra, i kolonie omułek i ślimaków, i dziesiątki piaskówek, które łatwo byłoby pomylić z dżdżownicami, gdyby nie ich zabarwienie.

Na wysuniętych daleko w morze umocnieniach odpoczywały gromady dzikich kaczek, mew i rybitw, szablodziobów i ostrygojadów. Zatrzymały się na rozlewiskach Waddenzee na żer: jedne spały, syte i skulone, inne czyściły pióra, a jeszcze inne suszyły skrzydła, obracając je na wszystkie strony, by złowić najmniejszy powiew południowej bryzy. Morskie ptaki są dobrymi lotnikami, ponieważ nie mogą skorzystać z wstępujących prądów powietrza, które umożliwiłyby im szybowanie, tak jak robią to ptaki lądowe. Albatrosy, burzyki czy głuptaki, choć także spędzają wiele czasu, szybując, muszą stosować odmienną technikę od orłów czy bocianów: blisko tafli wody wiatr wieje z mniejszą prędkością, dlatego ptaki te najpierw lotem ślizgowym opadają, niemal dotykając fal, i dopiero wtedy ponownie wzbijają się w górę, by tam gwałtownie skręcić pod wiatr, który uniesie je jeszcze wyżej. W ten sposób, dzięki praktycznej znajomości praw fizyki, oszczędzają siły.

Vincent nie zszedł jednak na dół. Zbyt zdumiony był sytuacją, jaką obserwował z oddali: Kurt mówił, a ojciec słuchał. Sądząc po gestykulacji, ten pierwszy opowiadał, jak hoduje się ostrygi. Vincent nie był w tej materii nowicjuszem, spędził z Kurtem niejedną godzinę, siedząc na skrzynce i szkicując morze. Znał tę opowieść na pamięć.

– Dittmeyerowie mają znacznie lepsze stanowisko, mocniejszą odmianę i większe zyski. Trudno z nimi konkurować. Ale ich Sylter Royal to tak naprawdę wcale nie nasza rodzima, a choćby tylko europejska ostryga, bo tę nasi pradziadowie wyjedli do czysta już sto lat temu. Dlatego oni swoją sprowadzili aż z Pacyfiku. Ale coś ci powiem: w przeciwieństwie do moich francuskich kapryśnych delikatesów, królewska czy nie, ta ich azjatycka rasa jest strasznie niebezpieczna. Bezlitosna, silna i wytrwała. Jasne, dzięki temu tamci mogą produkować dla masowego konsumenta, który chętnie płaci za iluzję, że za niższą cenę można dostać tę samą jakość. Ale to właśnie nas różni: Pacyfik. Zapytasz: dlaczego?

Gdy rozmowa dotyczyła ostryg, Kurt zwykle nie czekał na odpowiedź.

– Bo te z Pacyfiku są przyzwyczajone do wielkiego oceanu, a to niebezpieczne. Wyprą z naszego małego morza wszystko, co się rusza, przejmą rządy nad całą okolicą, i katastrofa ekologiczna gotowa. A mnie nie zależy na ilości, tylko na tym – mówiąc to, Kurt niezmiennie podnosił wzrok, a potem szerokim gestem zakreślał granice swojego świata. Tym gestem obejmował nie

tylko swoje prywatne „poletko” o powierzchni niespełna kilkudziesięciu arów, gdzie na niskich rusztowaniach, wbitych w morskie dno w odległości metra jeden od drugiego, stały rzędy drucianych klatek, lecz całe to płytkie i rozlewne morze, którym rządził księżyc i gdzie czas, nie tylko życia ostryg, wyznaczał odwieczny rytm przyływów i odpływów.

Po krótkiej chwili zamyślenia Kurt wracał do rzeczowego tonu.

– Z ostrygą jest jak z winem. Jeśli będzie dobrego gatunku, o żadnej nie powiesz, że jest lepsza czy gorsza, bo będzie to wyłącznie kwestia preferencji twoich kubeczków smakowych: czy wolą więcej czy mniej soli? A to, jak wiesz, zależy od miejsca, gdzie ostrygi hodujesz. Podobnie Pinot Noir z akwitańskiej winnicy twojego ojca w niczym nie będzie przypominało tej samej winorośli, jeśli posadziłbyś ją w okolicach Sommy (co wątpliwe) czy na stokach wzdłuż Moseli (gdzie bywa dość chłodno).

To wtedy, porównując ostrygi do winogron, Kurt zwykle przypominał sobie o butelce białego reńskiego, które chłodziło się zakopane w mule u ich stóp. Kołysząc kieliszkiem i obserwując, jak ruchliwe pęcherzyki powietrza rozbijają się o jasną seledynową powierzchnię, czekał w napięciu, aż Vincent również zakręci kieliszkiem, upije pierwszy łyk, a potem cmoknie i z uznaniem pokiwa głową.

– Kto powiedział, że im dalej na południe, tym lepsze wino, a im większa ostryga, tym lepsza? Nic podobnego! Mogą ci podać sztukę tak wielką, że muszla nie zmieści się na talerzu, a w środku będziesz miał jedzenia na jeden mały kęs. Tylko pod jednym względem azjatyckie mają rzeczywistą przewagę... – zdanie kończyło westchnienie rezygnacji. – Możesz je jeść na surowo, zaraz po odłowieniu.

W przeciwieństwie do ostryg Kurta, które, niestety, trzeba było najpierw starannie wypłukać z piasku.

– Ale pracuję nad tym, pracuję...

*

Dwaj mężczyźni siedzieli na skrzynkach obok siebie zapatrzeni w morze, w tej samej pozycji, z jedną ręką opuszczoną na kolano, z kieliszkiem w drugiej.

W tej chwili Kurt klepnął się w kolano. Odstawił kieliszek, wstał i podał coś ojcu Vincenta. Co? Nóż, oczywiście, nie mogło to być nic innego. I świeżą ostrygę. Teraz obaj pochylili się i Kurt w napięciu obserwował ruchy Nicolasa. Test polegał na umiejętnym opukaniu muszli.

Ostryga broni się przed drapieżnikami, udając kamień. Jeśli jest żywa, muszla będzie domknięta siłą jej mięśnia; martwa wyda przy stukaniu całkiem odmienny odgłos. W ciasnym zamknięciu jest jedno miejsce, u wszystkich ostryg to samo – nieznacznie poza linią środka. Jego znalezienie wymaga pewnej spostrzegawczości i dużej wprawy. To w ten słaby punkt trzeba wbić nóż. Ostrze

wchodzi głęboko, teraz można powiększyć szczelinę, delikatnie manewrując: podważyć, obrócić i znów podważyć, za każdym razem poszerzając otwarcie o kolejny zdobyty milimetr cięcia, aż usłyszymy syk wyrównywanego ciśnienia i nagle z wnętrza muszli wypłynie słońca i krystalicznie czysta woda.

Stalowe ostrze w dłoni Nicolasa błysnęło, gdy wykonywał półokrągły ruch nacięcia. Chwila zatrzymania i podważona połówka muszli odskoczyła, z charakterystycznym kliknięciem, Vincent niemal usłyszał znajomy dźwięk. A zatem ostrzyga była żywa. Nicolas znieruchomiał na moment, po czym gestem zwycięzcy odrzucił pustą połówkę muszli za siebie. Pełną połówkę podał Kurtowi, a sam sięgnął po kolejną, zamkniętą.

Vincent zawrócił w stronę parkingu.

Nie chciał psuć nastroju chwili, tego niezwykłego momentu gdy ostrzyga w otwartej muszli, lśniąca i ociekająca wodą, czeka gotowa, by wznieść nią toast.

Zamierzał wprawdzie porozmawiać z Kurtem o pewnym, jego zdaniem, ważnym odkryciu, jakiego właśnie dokonał, ale równie dobrze mógł zaczekać z tym do wieczora. W barze nie było okazji, za dużo ludzi. Poza tym Vincent potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć i poskładać w całość: chronologię pewnych zdarzeń z ostatnich tygodni, sytuacje, których był przypadkowym świadkiem. Początkowo nie widział związku, teraz jednak był pewien, że się nie myli.

Zadzzwoni do Kurta, tak będzie najprościej. A szkicownik, który chciał mu pokazać, zostawi w barze; Johannes zawsze jest na miejscu, na pewno nie zapomni go przekazać.

Wyjeżdżając z parkingu, nie zauważył, że w ślad za nim, w pewnej odległości, ruszył motocykl.

LIST Z PRZYBLIŻEŃ

J.

Kiedy tak przyglądał się sylwetce ojca, wciąż krzepkiej, choć już lekko przygarbionej, Vincent nieoczekiwanie przypomniał sobie zdanie, jakie ostatnio zanotował w dzienniku: o tym, co miało związek z miejscami, gdzie upłynęło jego dzieciństwo, a potem młodość. Gdyby nie jego francuskie korzenie, ta cicha zatoka tutaj, na Waddensee, pocięta długimi rzędami hodowli Kurta, którą właśnie obserwował z oddali, wywołałaby w nim odmienne skojarzenia, ponieważ on sam byłby innym człowiekiem. Próbował coś zmienić, odciął się, uciekł. Ale pamięci nie daje się tak łatwo wymazać, nie wystarczy wyjechać. Podróż bez bagażu przeszłości jest fikcją.

Szkoda tego wszystkiego, pomyślał teraz.

Tak, szkoda. Tych miejsc, tych wszystkich chwil, które warto było zatrzymać. Tych scen z rodzinnej winnicy, czerwonej ziemi przetykanej wapiennymi skałami i tych pól pachnących skoszonym sianem, i rzeki, takiej

chłodnej i wartkiej, która zasilala ciepłą i bujną Garonnę. I szkolnych lat w Dax, z ulubioną matematyką i porcją *dacquoise*, tortu bezowego z daktylami z cukierni naprzeciwko szkoły, którą kupował w każdy piątek za groszaki zaoszczędzone ze skąpo wydzielanego przez ojca kieszonkowego. I zaraz potem, jakże szybko, było już Nanterre, i Paryż z jego szumem i miękkim zamglonym światłem Północy – bo dla niego, przyzwyczajonego do światła Południa, Paryż leżał na dalekiej Północy. I nawet Roseraie, z Yvonne i ich wspólnym domem, także było szkoda. Czas minął, ale może jeszcze coś z tamtych dni i cieni, zapachów i dotknięć udałoby się odtworzyć? Nie w słowach, bo słów Vincent nie lubił i nigdy im nie ufał. I nie w liczbach, gdyż przekonał się, że liczby zazwyczaj milczą na temat zapachów i dotknięć.

Ciekawe pytanie: gdyby pozostał matematykiem, czy widziałby świat inaczej? Prościej? Czy może właśnie odwrotnie, świat wydawałby mu się bardziej złożony i zawily, pełen wzorów i ukrytych prawidłowości? Bo matematyka, wbrew pozorom, jest nauką nadzwyczaj metaforyczną.

Vincent spojrzał w stronę morza. A zatem obrazy. Zgoda, niech będą obrazy. Poczul, że chce malować nie tylko wciąż to samo morze, po prostu – malować. I że nareszcie wie, po co chce to robić.

Tymczasem,

B.

Z NOTATEK VINCENTA

Nie wiem, dlaczego tu jestem, nie znam powodu poza tym jednym: że chcę tu być. Wciąż dotyka mnie trwanie, które samo w sobie jest niczym więcej jak przemijaniem. Ale z drugiej strony dzięki temu lepiej rozumiem nieporadność, z jaką mierzą się z życiem inni, zwłaszcza młodzi, jak moja siostra czy R.L. Jeszcze nie wiedzą i nie widzą, a jeszcze mniej rozumieją, ale tak jest dobrze, tak ma być. Refleksja zabija refleks, odbiera odwagę. Lepiej zdać się na instykt.

*

Co się stało? Mam siostrę, o której wcześniej nie miałem pojęcia. Rozmawiam z ojcem, który nigdy ze mną nie umiał rozmawiać. A jakby tego było mało, zacząłem odczuwać potrzebę opieki nad młodą matką. Czas pokaże, co ktoś tak nieprzystający do rzeczywistości jak ja może poczuć z tym niespodziewanym bogactwem uczuć, jakim nagle mnie obdarzono.

*

Dziwne, jak daleko dotarłem, choć nie wybierałem się w żadną drogę, może poza nocnymi wyprawami na wydmy. No, ale z tym chyba koniec. Pozostaje mi oblaskawić słońce, ale wciąż przeraża mnie tortura przeszywającego światła, gdy oczy łzawią od nadmiernego widzenia. „Wszystkie moje najbardziej ponure sny

przesycone są nieznośnym blaskiem słońca”. Nie pamiętam, kto to napisał, ale równie dobrze mogłyby to być moje słowa.

*

To, co dotąd przeżyłem, wbrew pozorom, tworzy spójną, acz trudną do zrozumienia całość. Pewnie nieraz jeszcze będę wyrywał się na wolność, jak wilk w potrzasku. Ale nie powinienem narzekać: czas nie znika, a jedynie otwiera nową perspektywę. To ciekawy aspekt przemijania, który warto przemyśleć.

*

Jednego jestem pewien: pozostaje wyspa. Ja zostaję. A co na wyspie? Dużo mgły i deszczu, depresja i bóle głowy. Wiatr, morze. I ludzie, niewielu, ale jednak – ludzie.

Jutro przyjeżdża prawniczka Yvonne. Czego może jeszcze chcieć? Dostała rozwód, wzięła dom, myślałem, że już nic więcej nie mam. Ale najwyraźniej się myliłem.

Rozdział 22: Czas nocnych polowań

Dochodziła pierwsza w nocy. *Frau* Bellitz siedziała wygodnie w fotelu pod lampą, owinięta ciepłym kocem. Kończyła krzyżówkę. Dowód na to, że byliśmy w miejscu innym niż miejsce przestępstwa, pięć liter, pionowo. Najwyższy czas pójść spać, pomyślała, ale nie ruszyła się z miejsca. Z wiekiem coraz mniej było jej potrzeba snu i coraz mniej jej się chciało wstawać z miękkiego fotela.

Nagle rozległ się dzwonek. Zaskoczona niespodziewanym dźwiękiem, który w nocnej ciszy zabrzmiał alarmująco głośno, w pierwszej chwili nie zorientowała się, że to do jej drzwi ktoś dzwoni.

Zerwała się z fotela tak gwałtownie, że omal nie upadła. Zapomniała o nodze w gipsie.

– Idę, już idę – zawołała. Dzwonek zawsze wywoływał u niej odruch posłuszeństwa. Przez myśl by jej nie przeszło, że o tej porze mogłaby po prostu nie otworzyć.

W progu stał podkomisarz Rattner w asyście dwóch policjantów. Kilka minut później podkomisarz, nie mogąc uspokoić szlochów wystraszonej kobiety, osobiście obudził Adama, po czym jeden z policjantów przedstawił mu zarzuty.

– Jest pan oskarżony o czynną napaść na Cyryła Neuhausę oraz włamanie i zniszczenie mienia w domu przy Hafenstrasse 17, w List.

– Podejrzany ma prawo do obrońcy z urzędu. Tymczasem zaleca się milczenie, nawet jeśli to, co zostanie powiedziane, będzie brzmiało jak pytanie – dodał podkomisarz, stając obok policjanta. – W tej sytuacji brak odpowiedzi jest ze wszech miar rozsądnym wyjściem.

Pierwszy zarzut dotyczył pobicia. Na staranne zaplanowanie drugiego z wymienionych wykroczeń, dokonanego w tym samym miejscu jakiś czas później, wskazywały zgromadzone dowody. W wywiadzie dla lokalnej gazety, jakiego udzielił nazajutrz, podkomisarz oświadczył, że aresztowanie było już czystą formalnością.

– Oddaliśmy... – Rattner zająknął się. Zlecenie na wysłanie pobranych próbek do laboratorium podpisał jego starszy kolega komisarz Herzog, który wtedy jeszcze prowadził śledztwo. – Próbki ziemi, znalezionej na podłodze w separacie uszkodzonego Cyryła Neuhausę, zawierały skrzepy krwi oraz darń pochodzącą z posesji Hansa Meyera; ziemia tamtej nocy była mokra, a podeszwy butów podejrzanego mają na tyle głęboki bieżnik, by przenieść dość materiału do badania. Charakterystyczne odciski zgadzają się z tymi, jakie podejrzany zostawił wczoraj przed południem w barze na nabrzeżu, w pobliżu przystani promowej.

Na pytanie o szczegóły podkomisarz wyjaśnił, że chodziło o ślad odcisnięty na arkuszu papieru do rysowania, który ktoś strącił na podłogę, zapewne przez nieuwagę.

– To oczywiście był przypadek, ale dla nas bardzo dogodny – dodał.

Podkomisarz przyznał, że powód czyjejś nocnej wizyty w szpitalnej separacie był początkowo trudny do ustalenia. Nikomu nic się nie stało, nic nie zginęło, jedynie godzina była nieodpowiednia, a to wprawdzie mogłoby wywołać niezadowolenie personelu, a nie wywołało tylko dlatego, że dyżurna pielęgniarka zajęta była innym pacjentem, natomiast nie podlega karze.

Pomogła dopiero identyfikacja złotego kolczyka.

Tamtej nocy lekarz dyżurny i pielęgniarki w izbie przyjęć mieli poważniejsze problemy niż dociekanie, dlaczego ofiara pobicia, nieprzytomna i bez dokumentów, trzymała w zaciśniętej pięści ubłocony złoty kolczyk. Jedna z pielęgniarek po prostu go umyła i zostawiła w łazience. Przed zejściem z dyżuru włożyła kolczyk do plastikowej torebki i odniosła do separatki, a tam schowała go do szuflady w szafce przy łóżku pacjenta.

Adam Bellitz nie mógł tego wszystkiego wiedzieć.

Wiedział natomiast, że musi odzyskać kolczyk, zanim znajdzie go policja. Dlatego nad ranem wrócił do List, żeby przeszukać ogród Hansa Meyera.

*

Dom stał uśpiony, podobnie jak kilka godzin wcześniej, gdy we trzech zakradli się, żeby, jak to określali, „ukarać” jednego z tych, którzy kalali pamięć ich idola SS-Gruppenführera Reinefartha. Nie opowiada się takich historii o bohaterach bezkarnie. I stary Meyer powinien o tym wiedzieć.

Obserwowali go od dawna, czekając na odpowiednią chwilę. W sezonie był za duży ruch, a Meyer, jak wielu właścicieli domów na wyspie, miał pokoje do wynajęcia. Przez ostatnie dwa tygodnie jednak panowała cisza, nikt nowy się nie pojawił. Skąd mogli wiedzieć, że akurat tego dnia staremu wpadnie do głowy, żeby jeszcze kogoś przyjąć na kwaterę? Ten człowiek musiał zjawić się wcześniej rano, a potem zaraz gdzieś wyjść. Przynajmniej oni go nie zauważyli, a obserwowali dom przez wiele godzin, czekając na zapadnięcie zmroku.

Pojawił się wieczorem, nagle, zupełnie niepotrzebnie. Ich obecność zaskoczyła go. Motocykle ukryli za kępą krzaków, poza tym byli dobrze przygotowani do działania w ciemnościach. Otworzył furtkę i na widok ich zamaskowanych postaci od razu zaczął wykrzykiwać, że wezwie policję, nawet wyciągnął komórkę. Dostał za swoje. Nikt gnojki nie kazał reagować tak ostro, to nie była jego sprawa, uspokajał Adam, gdy po północy dotarli bezpiecznie do Westerlandu, gdzie porzucili pobitego chłopaka na ulicy, na wszelki wypadek dołożywszy mu kilka ciosów kijem baseballowym, żeby za szybko nie oprzytomniał.

– Ktoś na pewno go znajdzie i wezwie pogotowie – bąknął Peter bez większego przekonania. Jesienią dni były krótkie, wypiarze chodzili wcześniej

spać.

– Mieliśmy szczęście, że stary Meyer nic nie usłyszał. Stary i głuchy – zaśmiał się Reiner, zdejmując z szyi białą chustkę. – Masz – podał ją Adamowi – cały jesteś we krwi.

I tyle, rozjechali się do domów.

To znaczy tamci dwaj pojechali, im się nic nie stało, mogli spać spokojnie. Ale on musiał to jakoś załatwić. Liczył tylko na to, że Hans Meyer nie obudzi się zbyt wcześnie.

*

Motocykl zostawił tym razem kilka przecznic dalej. Potem czekał jakiś czas, ale nikt się nie pojawił. Pomyślał: Co za dziura, na tej wyspie nawet latem nic się nie dzieje, a co dopiero nocą, po sezonie.

Oparł się jedną ręką o betonowy słupek, przeskoczył furtkę i od razu wszedł na trawnik; żwir na ścieżce chrząściłby pod stopami.

Na trawniku, w kącie między klombem a płotem, widniała ciemniejsza plama w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej, zamiast zrobić swoje zgodnie z planem i spokojnie się wycofać, musieli zająć się intruzem. To znaczy Adam się zajął, bo jego koledzy rzucili się do pakowania sprzętu do malowania, którego nawet nie zdążyli użyć. Po czym skwapliwie się zmyli i czekali w bezpiecznej odległości, na najbliższej stacji benzynowej.

Ukląkł w kręgu zrytej ziemi i w słabym świetle latarni ulicznej zaczął wypatrywać, czy coś nie błysnie. Przeszukał dokładnie cały teren, przegarniając grudy zrytej ziemi. Ale kolczyka nie było.

Trzęsącymi się rękami zaczął układać kawałki darni, usiłując odtworzyć trawnik. Tyle z tego pożytku, że przynajmniej zatrze ślady, pomyślał. Jego wzrok przykuło coś bielejącego w zagłębieniu między klombem a trawnikiem. Sięgnął tam i dopiero wtedy przypomniał sobie plik kartek, które wypadły temu młodemu spod koszuli. Wszystko toczyło się tak szybko, że nie miał czasu na zastanowienie. Najpierw po prostu bił, gdzie popadnie, gołą pięścią, a gdy tamten usiłował się wyrwać, przytrzymał go za koszulę. Papiery, nie namyślając się, zmiął, rzucił na ziemię i jednym kopnięciem odgarnął na bok.

Teraz wyciągnął rozmiękłą pulpę z kałuży i upchnął pod kurtkę; wyrzuci ją gdziekolwiek, potem.

Wstał i otrząpął kolana. Niby wszystko toczyło się szybko, ale widać nie dość, bo sprawa zdążyła się wymknąć spod kontroli. I jeszcze... Adam zawahał się, trudno mu było samemu przed sobą przyznać się do strachu. Ale tak, w tej chwili ogarnął go tak paralizujący strach, że zabrakło mu powietrza. A co będzie, jak się okaże, że jednak bili za mocno? Przycisnął pięść do czoła, usiłując wyrównać oddech. Potem sięgnął do kieszeni po chustkę; z naderwanego ucha wciąż sączyła

się krew.

Nie spodziewał się, że wyrwanie kolczyka z ucha spowoduje taki ból. Aż mu pociemniało w oczach. Skoczył na równe nogi, skowycząc z bólu. Upokorzenie było podwójne: najpierw ból, a potem własny krzyk. Do tej pory był przekonany, że wytrzymałby każdą torturę, a nie że będzie krzyczał z powodu głupiego kolczyka. Popułnił bład, ściągając kominiarkę. Dostał nauczkę na przyszłość. O kumplach też się czegoś dowiedział. Zostawili go tak łatwo, żaden nawet się nie obejrzał, tak im się spieszyło. Adam po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji. Nigdy wcześniej nie musiał się martwić, co będzie potem. Wchodził zawsze agresywnie, lubił się bić, podobała mu się własna siła, pewność siebie. Potem dawał hasło do odwrotu i sam zmywał się pierwszy, nie patrząc za siebie. Nim ktoś zdążył wezwać policję, był już daleko.

Tym razem musieli zostać, on i ten skatowany frajer. Przez chwilę wsłuchiwali się razem w warkot silników motocyklowych. Odjechały i na ulicy zapadła cisza. Tamten przewrócił się z jękiem na bok i chwycił jedną ręką za brzuch; drugą, zaciśniętą w pięść, spróbował unieść do twarzy, ale przeszkodził mu rękaw swetra. Chwiejnie dźwignął się na kolana, zaraz jednak znowu się skulił i upadł.

Adam stanął nad nim okrakiem. Musiał się pospieszyć.

– Jeszcze nie skończyliśmy – warknął. Był sam, wściekły.

Ale z tą swastyką to nie był jego pomysł. Na posterunku milczał, jak mu przykazał ten nijaki prawnik w garniturku. Zresztą i tak nic im nie powie, nawet jak będą pytali.

Biegając do furtki, Reiner nagle się zatrzymał.

– A podpis? – zawołał.

A wtedy Peter wyciągnął zapalniczkę i zdjął z palca ciężki stalowy sygnet. Adam za nic by nie pozwolił, żeby tamci przejęli inicjatywę. Pomysł nie był jego, ale jeśli chciał zachować twarz i honor, nie mógł postąpić inaczej.

Chwycił zapalniczkę i sygnet.

– Zjeżdżajcie stąd – warknął. – Sam to załatwię.

Racja, lepiej milczeć. Bo co policja może wiedzieć o honorze?

*

Podkomisarz nie chciał przedłużać nocnej wizyty w domu Bellitzów. Do matki wezwano pogotowie, syna przewieziono do aresztu. Nim został odprowadzony do celi, dano mu wyraźnie do zrozumienia, że znacznie bardziej opłacałoby się dzielenie ławy oskarżonych z kolegami niż obrona w pojedynkę. Wszystko, co Adam musiał zrobić, to podać ich nazwiska.

Alibi? Człowiek niewinny zwykle nie ma alibi, nie pamięta nawet, co robił tego samego dnia rano, a co dopiero w zeszły piątek czy miesiąc temu.

– Mocne alibi przemawia przeciwko panu – zauważył Rattner. – Dlatego radziłbym z tym uważać. – Podkomisarz był zadowolony. W takich chwilach czuł, że ma do służby w policji specjalne powołanie. Dyspozycyjny o każdej porze dnia i nocy, bystry, celny w ocenie sytuacji, sprytniejszy od przestępcy. – Alibi to słaba kar-ta – dodał.

Ostatni z zarzutów, a zarazem najświeższy, został sformułowany przed dwiema zaledwie godzinami i mówił o spowodowaniu poważnych zniszczeń jednego z barów w porcie oraz próbie pobicia właściciela, udaremnionej przez psa wilczura.

– Tym razem ustalenie tożsamości napastników nie będzie trudne – oznajmił podkomisarz. – Świadek, niejaki Cyryl Neuhaus, rekonwalescent z silnym urazem psychicznym, w wyniku szoku odzyskał pamięć. A ja nawet nie zapytam, czy podejrzany go zna.

LIST Z PONIEDZIAŁKU

Droga J.

Jakże typowe: gdy nie mamy się gdzie ukryć, uciekamy w świat iluzji. Do domu na bezludnej wyspie. Do biblioteki, w sztukę. Dąbrowska w czasie okupacji tłumaczyła *Dzienniki* Samuela Pepysa, Gołubiew napisał wielotomowego *Bolesława Chrobrego*. Panufnik, który podczas okupacji w duecie fortepianowym z innym wielkim polskim kompozytorem a swoim przyjacielem Witoldem Lutosławskim zarabkował, grając w kawiarniach stolicy, skomponował wstrząsającą *Uwerturę tragiczną*, żeby, jak mówił, nie zwariować. Notabene, po powrocie do Warszawy, w 1945 roku, okazało się, że jego nuty przetrwały wprawdzie wojnę, ale posłużyły nowym lokatorom ich mieszkania jako opał do pieca.

Nie był to tylko polski syndrom. To z powodu wojny J.R.R. Tolkien stworzył Śródziemie, a żeby nie błędzić, poruszał się po wymyślonych ścieżkach i krainach z wymyśloną i własnoręcznie narysowaną mapą. Dodie Smith, autorka słynnych *101 Dalmatyńczyków*, napisała swoją pierwszą powieść *I Capture the Castle (Nie oddam zamku)* w Pensylwanii, dokąd trafiła – z powodu wojny. Pisała z tęsknoty za Anglią i światem bezpowrotnie utraconym. Powieść doczekała się kilkudziesięciu wydań oraz ekranizacji filmowej. Publikacja pierwszej powieści Jansson, *Małe trolle i duża powódź*, napisanej w 1939, miała miejsce w 1945 roku. Na pytanie o czas powstania Muminków, dlaczego wtedy, dlaczego nie wcześniej ani nie później, Jansson odpowiedziała: Z powodu wojny. Bo wojna przeraża i przygnębia, a ona chciała przebywać wśród istot o dobrym sercu. Przynajmniej ona tak to widziała, chociaż w jej prozie straszny świat nigdy nie jest zbyt daleko, zawsze na wyciągnięcie ręki.

Wojna, gdziekolwiek się obejrzysz, wszędzie wojna. Nieważne, mała czy duża, prywatna czy międzyplemienna, zawsze straszna, zawsze okaleczająca. Stąd

nasze wyspy, każdy z nas na swojej, byle dalej od okropności, które niosą śmierć i zniszczenie. Napęlniają strachem. Zdumiewają.

Bronimy się, ukrywamy. Uciekamy w dzieciństwo, ten czas największej beztroski, choć paradoksalnie, wcale nie bezpieczny, bo kruchy. Wracamy do domu rodzinnego, zakładamy biblioteki i ogrody. Każdy jest jakimś Muminkiem, Buką, Włóczykijem, Hatifnatem człapiącym po domu i mrużącym pod nosem: „O, horyzonty, o, horyzonty!”.

Jeśli wyjeżdżamy, to tylko po to, by wrócić.

B.

Dopisek po północy

Kończę dopiero teraz, gdyż za dnia światło tak razi, że nawet bardzo ciemne okulary nie pomagają. Coś jeszcze miałam dodać, ale to następnym razem, bo tymczasem umknęło i pewnie już sobie nie przypomnę. Do usłyszenia, pozdrów Piotra, proszę. Jak mu się wiedzie w L.?

Rozdział 23: Waga Hammurabiego

Nieszczęśliwe wypadki, podobnie jak wydarzenia radosne, mają pewną wymierną zaletę społeczną: łączą. Dzięki nim w ludziach umacnia się poczucie przynależności. Rodzi się wspólnota sąsiadów i obywateli, którzy dla tak zwanej sprawy gotowi są wiele poświęcić.

Westerland to miasto eleganckie, drogie, nazywane niemieckim Beverly Hills, ale w sumie – niewielkie. Jest tu apteka, dworzec kolejowy, przystań promowa i lotnisko, jest kilka kościołów i posterunek policji. Klinika i biblioteka. Straż pożarna. Są piekarnie i sklepy rybne, kwaciarnie, galerie sztuki i antykwariaty, sporo sklepów specjalistycznych i wypożyczalni dla wędkarzy, żeglarzy, surferów i paralotniarzy, płetwonurków i mudwandererów, wędrujących po morzu podczas odpływu. Jest pralnia i zakład zegarmistrzowski, stacja telewizyjna i redakcja lokalnej gazety. Kilkadziesiąt hoteli i tyleż barów, kawiarni i restauracji. Sanatoria. I muszla koncertowa na bulwarze nadbrzeżnym. Wśród mieszkańców można spotkać dziennikarzy i policjantów, dentystów, lekarzy i pielęgniarki, sprzedawców, fryzjerów i kelnerki, właścicieli domów i lokatorów, rybaków, kolejarzy i marynarzy, meteorologów i weterynarzy. W sumie niewiele ponad pięć tysięcy osób, które w sezonie przyjmują u siebie, karmią, poją, ścielą łóżka i roztaczają opiekę nad blisko stutysięczną rzeszą turystów, wczasowiczów i kuracjuszy.

I tyle. Dość, by w takiej chwili, wobec tego, co się wydarzyło ostatniej nocy w porcie, w barze „Bande-à-part”, sprawy prywatne zostały odsunięte na bok i zwyciężyło poczucie solidarności. Zaatakowano znanego wszystkim i lubianego Johanna Sjöberga, a jego bar, popularne miejsce spotkań wyspiarzy, zwłaszcza po sezonie – zdemolowano. Taka rzecz nie powinna mieć miejsca, nie w ich mieście, to oburzające. Ale skoro już się stała, zamiast krzyczeć i załamywać ręce, weźmy się do roboty.

Nazajutrz przyjaciele i stali bywalcy stawili się na nabrzeżu gotowi do pomocy. Również ci, którzy, jak Vincent le Puy i Rose Lighthouse, mimo czasu, jaki spędzili już na wyspie, przez rodowitych wyspiarzy nadal traktowani byli jako „obcy”. Chociaż gdyby się nad tym głębiej zastanowić, takie przeprowadzki na stałe nie powinny nikogo dziwić, w końcu Europa zawsze była miejscem nieustannych wędrówek i pożegnań. I nawet jeśli nikt nie jest samotną wyspą, równie prawdziwe będzie stwierdzenie, że mało kto w tym zakątku świata może o sobie pomyśleć, że jest drzewem. Liściem i trzcina na wietrze już prędzej, ale drzewem – rdzennym, wybujałym i zakorzenionym?

Także podkomisarz Rattner należał do tej ostatniej kategorii, był obcy. Jak utrzymywała *Frau* Bellitz, podobno pochodził gdzieś z Brandenburgii, gdzie studiował prawo, ale przerwał studia, by wstąpić do szkoły policyjnej

w Hamburgu. No, ale *Frau Bellitz* mogła się mylić, jej plotki nie były sprawdzone ani do końca prawdziwe. W ogóle z plotkami lepiej uważać, bo jak pokazały ostatnie tygodnie, nawet osoba tak wścibska i dobrze poinformowana jak *Frau B.* nie wiedziała wszystkiego, a z całą pewnością nie wiedziała, co działo się pod jej własnym dachem.

Tak czy inaczej, podkomisarz Rattner rzeczywiście przebywał w mieście od niedawna i pewnie tylko dlatego pozwolił sobie na sarkazm.

– Ciekawscy gapie i widzowie proszeni są o rozejście – oznajmił na widok sporej grupy mieszkańców, zgromadzonych na chodniku za prowizoryczną barierką z taśmy policyjnej. – To nie jest kino.

Sytuację ocenił właściwie: to nie było kino. Ale co do reszty pomylił się, znacznie odbiegając od prawdziwych intencji tłumu. Równie nie na miejscu był gest, jaki przy tym zrobił: jakby chciał rozpędzić stado zwierząt.

– Widzowie to w Hollywood, a gapie to może w Hamburgu – odparowała impulsywnie Rose Lighthouse, robiąc krok naprzód tak gwałtownie, aż żółta taśma z czarnym napisem opięła się jej na brzuchu. – My jesteśmy sąsiadami.

*

W Westerlandzie wrzało. To już nie były tylko doniesienia w mediach o nieodpowiedzialnych wybrykach neonazistów gdzieś na obrzeżach odległego o szesnaście kilometrów List, tylko rzeczywisty rozbój, namacalny i widoczny. To zabolalo podwójnie: na mapie tego schludnego i porządnego miasta pojawiła się rysa, nadszarpnięte zostało dobre imię. Czy był to chuligański wybryk, napad dla samego napadu? Na razie trudno to było ustalić.

Sam Johannes zdołał się wyrwać napastnikom dzięki Agatowi. Prowadzony przez psa, dotarł na dworzec, tam usłyszał zapowiedź z głośnika, a zaraz potem gwizdek konduktora pociągu odjeżdżającego do Niebüll. Ktoś pomógł mu wsiąść, ktoś inny, kilka godzin później, zawiadomił policję w Westerlandzie.

Agat nie zdążył wskoczyć za Johannesem, a może mu nie pozwolono. Przez jakiś czas biegł za odjeżdżającym pociągiem, w końcu zatrzymał się. Został na torach.

Zawiadomienie o napadzie na bar zbiegło się z inną informacją, przekazaną przez służby kolejowe – o psie, który warował na rozjeździe pod semaforem i nie pozwolił się do siebie zbliżyć. Nie był chory ani ranny. Wyglądał, jakby na kogoś czekał.

Z niewidomym mężczyzną – gdy koło północy przewieziono go z powrotem na wyspę i doprowadzono na miejscowy posterunek – trudno się było porozumieć, wciąż mówił o psie. Dopiero gdy podkomisarz Rattner zapewnił go, że pies jest bezpieczny i spędzi noc w domu niejakiego Vincenta le Puy, Johannes uspokoił się i zdał relację – na podstawie tego, co słyszał. Mówiąc, raz po raz zakrywał

powieki, zupełnie tak jakby odgłos tłuczonych szyb i rozbijanych sprzętów tworzył obraz zbyt wyrazisty dla jego niewidzących oczu.

Johannes był w barze sam. Rose Lighthouse, która zwykle przychodziła pod koniec dnia, żeby mu pomóc posprzątać, chwilę wcześniej poszła do domu na kolację. Wtedy ktoś wszedł. Nie, więcej osób. Męskie głosy. Nim Johannes zdążył ich poinformować, że lokal już zamknięty, jeden z mężczyzn chwycił go jedną ręką za gardło, a drugą zaczął wygarniać butelki i szklanki z półek. Nie, nie potrafił powiedzieć, czego szukali napastnicy, nie chcieli ani pieniędzy, ani alkoholu. Ich zachowanie było gwałtowne, a żądania niezrozumiałe. Głosy wydały mu się znajome, zwłaszcza ten który słyszał najbliżej:

– Powiedz swoim, żeby przestali węszyć.

Potem głos umilkł. Pchnięty za ramiona w dół Johannes osunął się na podłogę, zasłaną szkłem i zalaną alkoholem. Chrzęst kroków, i cisza, i znów ten sam głos:

– Tego właśnie szukaliśmy.

Po chwili:

– O, a tego nie szukaliśmy, ale.... To bardzo ciekawe.

I znowu cisza.

Nie, jeszcze nie cisza. Najpierw jeszcze warczenie Agata, gwałtowne przekleństwo i skowyt psa. Tak, najpierw ten skowyt, potem dopiero cisza.

Na samo wspomnienie Johannes skulił się i ponownie zasłonił oczy.

– A potem? – Podkomisarz obejrzał się na stenotypistkę, upewniając się, że notuje zeznania. – Co było potem, panie Sjöberg?

Potem?

– Panie Sjöberg, może zapamiętał pan jakieś szczegóły?

Jednak Johannes nie potrafił powiedzieć, co działo się potem, nie pamiętał. Tylko ten gorący oddech i te dziwne słowa, które nic mu nie mówiły. I jeszcze zapach rozlanego piwa. I wyprawionej skóry, z jakiej szyje się wojskowe buty. Chrzęst szkła. I najpierw skowyt psa, dopiero potem cisza. I jeszcze jakiś cichy szum.

Ocknął się, gdy wilgotne nozdrza Agata dotknęły jego policzka. Wstał ostrożnie i prowadzony przez psa, wzdłuż ściany dotarł do wyjścia. Kiedy poczuł zimny powiew wieczornego powietrza, zaczął biec.

Opowiadając, drżał. Poprosił o wodę.

Uspokoił się, dopiero gdy usłyszał głos Vincenta le Puy.

– Jak myślisz, czego szukali?

– Nie mam pojęcia. Mówili o jakichś papierach, zeszytach... – Johannes pokręcił głową. – Ale kto szuka zeszytów w barze? Ja kupuję tylko serwetki, papierowe obrusy i papier toaletowy. To bez sensu.

Vincent przysunął sobie krzesło. Usiadł.

– A Herzog? Czy Kurt Herzog był u ciebie dziś po południu? – W jego głosie pojawiła się nuta niepokoju, a może domysłu. – Oddałeś mu mój szkicownik? Zostawiłem go na kontuarze przy kasie.

– Nie, komisarz zadzwonił, że nie zdąży, bo ma coś do załatwienia w List.

Podkomisarz uniósł brwi i spojrzał pytająco na Vincenta.

– Zeszyty? Szkicowniki? Jeszcze to sprawdzimy, ale o ile mi wiadomo, moi ludzie niczego takiego nie znaleźli. Ani w ogóle niczego, co zasługiwałoby na miano „papierów”, jak słusznie zauważył pan Sjöberg.

Również relacje drugiego świadka wydawały się nie całkiem spójne.

Wracając z plaży, z kieszeniami pełnymi muszli, Cyryl Neuhaus usłyszał krzyki. Przestraszył się, ukrył w kępie krzaków.

Z początku opowiadał szybko i nieskładnie, ale tylko dlatego że, jak wyjaśnił, scena, której był mimowolnym świadkiem, nakładała się na inną sytuację, sprzed kilku tygodni, która teraz niespodziewanie mu się przypominała.

W przeciwieństwie do Johanna, on widział napastników. Gdy w końcu wsiedli na motory i odjechali, odczekał jeszcze jakiś czas, żeby się upewnić, że nie wrócą, a biegnący mężczyzna z psem zniknie w głębi ulicy. Dopiero wtedy wyszedł z ukrycia.

W barze najbardziej zdziwiła go zmywarka.

– Zmywarka? – Podkomisarz Rattner przyjrzał się świadkowi z niedowierzaniem. Czyżby świadek mimo wszystko nie odzyskał władz umysłowych?

Ale Cyryl pokiwał głową twierdząco.

– Była włączona. Wyłączyłem ją.

Jak się okazało, w pozornie niespójnych relacjach obu mężczyzn był jednak ukryty sens. Dzięki Cyrylowi, który odruchowo wyłączył zmywarkę, szkicownik pozostawiony przez Vincenta le Puy w widocznym miejscu, z dołączoną kartką „Dla komisarza Herzoga” i serwetką założoną na stronie ze szkicem przedstawiającym portret młodego mężczyzny w czarnej skórzanej kurtce – nie uległ całkowitemu zniszczeniu. Również notatki, które Vincent zwykle robił wiecznym piórem, pozostały czytelne.

W zmywarce było też pełno podartych skrawków jakiegoś maszynopisu. Nasiąknięte wodą i poszarpane, zostały odesłane do laboratorium; przed chwilą podkomisarz otrzymał informację, że skrawki się suszą i kartki będzie można skleić i odtworzyć.

– Wie pan coś o jakimś maszynopisie w pańskim barze? – Podkomisarz zadał to pytanie z czystego obowiązku, bez nadziei na wyjaśnienie zagadki. Ludzie gubią różne rzeczy: torby, telefony komórkowe, instrumenty muzyczne. Klucze i psy, dzieci. Ktoś mógł zgubić maszynopis.

– Panie Sjöberg? – Podkomisarz poruszył się na krześle.

Johannes sprawiał wrażenie, jakby spał.

Vincent dotknął ramienia przyjaciela.

– Domyślasz się, czyj to maszynopis? Ktoś go zostawił? Zapomniał?

Johannes drgnął wyrwany z odrętwienia. Skinął głową.

– Tak, Jasmine. Jasmine Roegge zostawiła u mnie dużą kopertę. Na przechowanie.

*

Czy napad chuligański może być uznany za czyn o niskiej szkodliwości społecznej?

Czy alibi może być zbyt dobre?

Zatrudnienie trzech podsądnych przy rozładunku w porcie na nocnych zmianach zostało poświadczane przez Bastiana Götz, właściciela kutra rybackiego. Sam szyper miał już w przeszłości do czynienia z niejednym paragrafem prawa karnego, wiedział, jak zeznawać. Gdyby to komisarz Herzog prowadził śledztwo, nie poszłoby Götzowi tak gładko. Jednak to nie on był odpowiedzialny za śledztwo, niepotrzebnie się denerwował.

Siedząc w ławach dla obserwatorów, Herzog wysłuchiwał sędziego odczytującego wyrok z pozornym spokojem, ale w środku wszystko się w nim gotowało. Łagodny wymiar kary i ojcowskie pogrozenie palcem to prosta droga do powtórki. Bo co to jest miesiąc pracy na rzecz oczyszczania miasta, które i tak jest czyste jak akwarium? Skoro kara nie boli, recydywa nabiera nowego wydźwięku: staje się sposobem na okazanie pogardy wobec słabości prawa.

Sędzia uznał całą rzecz za chuligański wybryk, nie dopatrywał się premedytacji. Błąd! Nie dostrzegł celowego upozorowania śladów, zlekceważył rzecz tak istotną jak swoista symetria, cechująca każdą recydywę. Tym samym okazał krótkowzroczność, by nie powiedzieć wręcz: ślepotę. Zachował się podobnie jak przełożeni Herzoga w kwestii noża do ostryg. Kolejny dowód, że Temida niewiele może zobaczyć spod swojej opaski.

Tymczasem, gdyby ktoś spytał komisarza Herzoga, chętnie wyjaśniłby, dlaczego był przekonany, że cała sprawa została starannie zaplanowana i przygotowana. Tak jak oczywiste było, że jego nóż nie został skradziony przypadkiem, podobnie pootwierane szafy i szuflady w domu Meyera były chwytem czytelnym i celowym – miały wskazywać, że włamywacze szukali cennych przedmiotów. W takim razie, dlaczego z taką zaciekłością tłukli i niszczyli wszystko, co wpadło im w ręce? Robili to może ze złości, a może z nadmiaru adrenaliny, ale na pewno nie dlatego, że ce-nili antyki.

Komisarz nie wykluczał działania adrenaliny – wiadomo, że podczas akcji przestępcy nieraz zachowują się w sposób nieobliczalny – on jednak wyczuwał w tym złość i premedytację. Hans Meyer nie powinien był chodzić po mieście

i oczerniać bohatera narodowego. Zdaniem młodocianych neonazistów należała mu się nauczka. Kara za grzech prawdy obnażającej mit.

Natomiast w jednym punkcie komisarz Herzog musiał się zgodzić z sędzią, aczkolwiek uczynił to niechętnie. Rzeczywiście, podsądnych trudno było obciążyć winą za śmierć Hansa Meyera. Staruszek zdenerwował się, to prawda, ale śmierć nastąpiła dopiero po tygodniu, w szpitalu.

– W świetle prawa nie mamy do czynienia ze zbrodnią, lecz jedynie z przewlekłą chorobą serca starego człowieka – oznajmił sędzia.

Zbrodnie serca. Namiętne i gwałtowne, które muszą zakończyć się równie gwałtownym wybuchem. I te pozbawione emocji, zaplanowane z zimną krwią. A potem – niespodziewanie – taka cicha śmierć we śnie.

Sędzia Kopke był dobrym znajomym komisarza Herzoga jeszcze z czasów szkolnych. Wspólnie z nadinspektorem Tannenbergiem chodzili do szkoły i wyjechali na studia do Lubeki, gdzie wprawdzie studiowali na różnych wydziałach, ale należeli do uniwersyteckiej drużyny siatkówki. W dorosłym życiu, oprócz łączących ich spraw zawodowych, często mieli okazję do spotkań na gruncie towarzyskim, żeby powspominać stare czasy.

Z gmachu sądu wyszli razem.

Wiał ostry wiatr, ale niebo wypogodziło się i po raz pierwszy od wielu dni pokazało się słońce.

Przystanęli na schodach w milczeniu, z poczuciem, że różne bywają formy zgody i niezgody. Można żyć w zgodzie, a mimo to nie zgadzać się ze sobą, a można stać po przeciwnych stronach, lecz w gruncie rzeczy walczyć o to samo.

Sędzia odezwał się pierwszy.

– Nawet w starannie zaplanowanej intrydze bywa, że rozwiązanie zaskakuje – powiedział, ściskając Herzogowi rękę na pożegnanie. – A co dopiero, gdy mamy do czynienia ze zwykłym szczeniackim wybrykiem.

I po chwili:

– Słyszałem, że wracasz do służby, Kurt. To dobrze, bo już się nudno zrobiło na sali rozpraw. Ci młodzi są tacy przewidywalni.

Z NOTATEK VINCENTA

[Dwa dni później]

O śmierci we śnie mówi się, że to dar aniołów. Błogosławieństwo. Nagroda za łagodność, której ludzkość z jakiegoś powodu nigdy nie ceniła wysoko.

Hammurabi nie wymyślił niczego nowego, na straży prawa i porządku stawiając karę oka za oko, on jedynie tę zasadę wyjaśnił w zwięzły sposób. Zapewne dlatego mówimy, że to z jego ręki świat utracił łagodność, pod pozorem prawa i sprawiedliwości ukrywając bezwzględne dążenie do dominacji, terroru i zemsty, a dążenie do rewanzu nazywając prawem do kary. Temida nie dlatego jest ślepa, że ma sądzić sprawiedliwie, lecz dlatego że nie dostrzega okrucieństwa

poobu stronach.

Hans Meyer był człowiekiem łagodnym.

LIST Z TEATRZYKU

Sent: Monday, September 8, 2014 2:49 AM

Droga J.

Nie pamiętam, czy już o tym pisałam: lubię ciszę. Zwłaszcza taką jak teraz, przerywaną jedynie biciem dzwonów na wieży kościoła. Właśnie wybijają północ, i myśli same się porządkują, powoli, w niespiesznym rytmie nocy.

Zanim wyjmę po raz kolejny pudełko z naszym teatrykiem, przygaszę lampę i oświetlę scenę, zanim wyślę „List” (czyżby ostatni?), w którym opowiem o tych dwojgu – najpierw kilka uwag.

Pora roku w „Listach”. Nie musi odpowiadać tej, jaka panuje na wyspie. Piszemy już niemal dwa lata, maile gromadzą się zgodnie z chronologią naszego życia, a my sięgamy po tematy i wątki, gdy przychodzi odpowiedni moment. Odpowiedni dla książki, nie dla nas, czas astronomiczny absolutnie nie jest tu istotny. Trop gotlandzki to dobry przykład: piszę latem, Anna schodzi codziennie do portu w Visby późną jesienią, a ja wybieram się do Szwecji w ostatnim tygodniu września, ponieważ już wiem, że wcześniej mi się nie uda. Może się tam spotkamy?

Tymczasem najbliższe nasze spotkanie w niedzielę na rodzinnym obiedzie. Nareszcie przez chwilę będzie jak za dawnych lat. Czy to w ogóle możliwe? Próbujemy powrotów, jakby to była sztuka teatralna, którą gramy przez kolejne sezony, a w rzeczywistości tylko potrawy na stole pojawiają się te same co zawsze. Chociaż i to nie, wszystko smakuje dziś inaczej niż w naszym dzieciństwie. Mama też tak twierdzi.

O której ląduje Twój samolot? Czy tata ma wyjechać po Ciebie na lotnisko?

Do zobaczenia w niedzielę.

B.

Rozdział 24: Wiatr z księżycyca

– Gdzie ona jest? – Eva spojrzała mu prosto w oczy. – Muszę to wiedzieć.

Wytrzymał jej wzrok.

– W Paryżu, cała i zdrowa, bezpieczna. Lecimy pojutrze rano. – Położył na stole przed nią dwa bilety lotnicze. – Ale najpierw przeczytaj to – powiedział, podając jej dużą żółtą kopertę. – W przeciwnym razie nie zrozumiesz.

I poszedł do kuchni gotować *linguini*. W drzwiach odwrócił się jeszcze.

– Lubisz omułki?

Koperta A4, z nazwiskiem Thomasa Waltzera jako adresata, została wysłana z laboratorium badań morskich nad mięczakami, opatrzona pieczętką urzędu pocztowego w Stralsundzie. Była rozcięta, co oznaczało, że Thomas musiał wiedzieć, co zawiera. Eva nigdy nie otwierała jego poczty, podobnie jak nie szperała w jego rzeczach ani nie zaglądała do jego komórki.

Oprócz tego, że otwarta, koperta była również złożona na pół. Ewa przyglądała jej się przez moment w zamyśleniu, usiłując coś sobie przypomnieć. Jakiś gest? Czynność? Machinalnie rozprostowała zagięcie, a następnie ponownie je złożyła na pół. Czyżby była to ta sama koperta, po którą sięgnęła tydzień czy dwa temu, na strychu, by zmieścić z podłogi zapiaszczone muszle i wodorosty?

Obejrzała się za siebie w stronę kuchni, skąd dochodził odgłos siekania, zapach czosnku i cytryny. Ponownie przeniosła wzrok na trzymaną w ręku kopertę. Jak Oliver na nią trafił?

Skąd wiedział, czego szukać?

Otworzyła kopertę. Maszynopis spięty był dwiema zszywkami; pierwsza się zagięła, nie chwyciła części kartek, dopiero druga spięła wszystkie.

Eva zaczęła przeglądać tekst, ale niewiele jej mówił. Dużo o małżach nitkostrzelnych, sporo łacińskich nazw: *Pinna nobilis L.*, *Mytilus edulis*, *Dreissena polymorpha*, *Cerastoderma edule* z rodziny *Cardiidae*. Uwagi wstępne. Miejsca występowania, wraz z mapkami akwenów: Atlantyk, Morze Północne i Śródziemne, Bałtyk. Zbiorniki słodkowodne, dane porównawcze. Głębokość toni wodnej, ukształtowanie dna skaliste, ale z dużą ilością piasku. Woda w ruchu, stopnie czystości: mętność a skażenie środowiska, progi „zanieczyszczenia bezpiecznego”. Liczebność poszczególnych populacji, korzyści gospodarcze (w punktach). Ekologia: jako gatunki żywiące się planktonem, małże są naturalnymi filtratorami wody.

Kolejny rozdział zatytułowany był *Złoto morza*. Historia i przyszłość. Otwierało go omówienie gatunku od czasów starożytnych najbardziej popularnego *Pinna nobilis L.*, obecnie zagrożonego z powodu nadmiernej eksploatacji (dane liczbowe), pod ochroną. Wśród licznych gatunków pomniejszych, ale żywotnych i odpornych na zanieczyszczenia, które można by wykorzystać w zastępstwie,

bisior o wskazanych parametrach wytwarzają jedynie omulek *Mytilus edulis* oraz sercówka *Cerastoderma edule*. Tu następowala analiza właściwości nici bisiorowych, takich jak średnia długość, grubość, sprężystość i wytrzymałość, wraz z rysem historycznym i opisem tradycyjnych technik pozyskiwania morskiej wełny, znanej jako *lana penna di Taranto*. Tylko cztery połowy w roku, wyłącznie podczas pełni księżyca, zawsze z rytualnym śpiewem. Metody oczyszczania oraz wybielanie zebranego runa w wodzie z mydłem i sokiem cytrynowym. Stara technologia dawała wprawdzie wysoką jakość, jednak z powodu niezwykle niskiej wydajności była całkowicie nieopłacalna. Obecnie kontynuuje ją już tylko jedna kobieta na świecie: Chiara Vigo, mieszkanka wyspy San'Antioco koło Sardynii.

Opracowanie kończyła analiza *Feasibility Study i.e. evaluation and analysis of potential of the proposed project based on extensive investigation and research*: a) hodowla wskazanych gatunków na dużą skalę przy niskim nakładzie kosztów (nie potrzebują karmy); b) podaż i popyt, wskaźniki przewidywanej konsumpcji (wybrane mięczaki to popularne danie w kuchniach śródziemnomorskich); c) propozycja zastosowania nowych technologii (między innymi niskoobrotowe wrzeczona mechaniczne, zamiast ręcznych z drewna oleandrów), co zapewni zwiększenie wydajności. Wniosek: minimalny ciężar właściwy bisioru jako wskaźnik istotny dla ekonomiki transportu przekłada się na wymierne zyski. Uwaga końcowa: ponieważ ceny rynkowe gotowej przędzy bisiorowej zależne są od długości nici wyjściowej, potwierdza to słuszność założenia wstępnego, aby do hodowli skierować zwłaszcza dwa wskazane gatunki: *Mytilus edulis* oraz *Cerastoderma edule*.

Eva odłożyła kartki na stół.

Skąd u Olivera przekonanie, że te papiery coś jej wyjaśnią? Ani najcenniejsze tkaniny świata, ani żadne małże nic nie zmienią w jej życiu. Wiedza o tym, czym zajmował się kiedyś Thomas zawodowo, nie była jej do niczego potrzebna. Już nie.

Zresztą zawsze tak było. Bez umawiania się czy ustalania reguł, nigdy nie zaglądali sobie przez ramię, nie sprawdzali, co każde z nich robi, gdy nie byli razem. Praca należała do świata, oni – do siebie, to było takie proste. Dzięki temu byli silni i szczęśliwi, i w domu, i poza nim. Po śmierci Thomasa Eva obawiała się najbardziej swojej słabości, pustki i zagubienia. I tego, że sama, bez Thomasa, nie będzie umiała funkcjonować.

Poczuła się przytłoczona. Za dużo znaków zapytania, zagadek i tajemnic, napięcia.

Zaczęła czytać ponownie, tym razem powoli, wyciągając uwagę. I przez cały czas, obok linijek tekstu na papierze, widziała dwoje ludzi, których kochała najbardziej na świecie, a którzy z nieznanym powodów kolejno zniknęli z jej życia.

Bisior występujący w przyrodzie jest to wiązka jedwabistych nici z szybko krzepnącej wydzieliny morskich małżów, takich jak szoldra czy omulek jadalny, lub, rzadziej, słodkowodnych racicznic. Służą do przytwierdzenia się małża do podłoża, osiągają długość do 6 cm i w każdej chwili mogą być porzucone.

Łacińska nazwa „byssus” ma też inne, znacznie starsze konotacje: w języku greckim nazywano tak cienkie płótno, jednak znaczenie to już w czasach starożytnych zostało rozszerzone na wszelkie delikatne tkaniny, wyrabiane z jedwabiu, lnu i bawełny, co jest szczególnie istotne przy interpretacji tekstów biblijnych. Jedwab morski zaczęto określać tym mianem dopiero w średniowieczu. Do nieporozumień językowych przyczynili się tłumacze pism Arystotelesa w XV wieku: istotnie, w swojej historii naturalnej grecki filozof, opisując Pinna nobilis L., wspomina, iż małż ten żyje „na głębinie” (ὁ βυσσός, przepaść, rzeczownik rodzaju męskiego, z akcentem na drugiej sylabie), natomiast nie pisze nic o nitkach czepnych (ἡ βύσσος, rzeczownik żeński, z akcentem na pierwszej sylabie). Nie ma dowodów, że Arystoteles wiedział o istnieniu jedwabiu morskiego. Z kolei Rondelet (1555) wspomina o dwóch rodzajach bisioru: „Byssus terrenus est et byssus marinus”, i na tej podstawie możemy sądzić, iż termin „bisior” został nadany morskiemu runu w wyniku podobieństwa do cienkiego lnianego płótna, a nieodwrotnie.

W starożytności i średniowieczu z bisioru Pinna nobilis L. wyrabiano bardzo lekkie i delikatne tkaniny, wysoko cenione ze względu na swą rzadkość i złocisty połysk. Były niebywale drogie, gdyż wyprodukowanie nici bisiorowych nie było proste: aby uzyskać 200–300 gramów tej przędzy, trzeba było wydobyć z głębin 1000 sztuk. Doprowadziło to do nieuniknionego przetrzebienia siedlisk Pinna nobilis L.

Niezwykły fakt, iż złotawą przędzę bisiorową pozyskiwano z morza, przyczynił się do powstania licznych legend, mitów i domysłów. Przypuszcza się, że opisywane przez Homera złote siatki na włosy, noszone przez królowe i księżniczki, zrobione były z bisioru, inna hipoteza głosi, iż legendarne „złote runo”, po które wyruszył Jazon, wcale nie było skórą barania, tylko właśnie tkaniną z morskiego jedwabiu.

Herodot, który podczas podróży po Egipcie w roku 500 p.n.e. odwiedził piramidy, wspomina o tunice odnalezionej w jednym z sarkofagów w Tebach, iż była „z delikatnej tkaniny, utkanej z przędzy cieńszej od włosa i skręconej z dwóch włókien”. Egiptolog sir John Gardner Wilkinson pokusił się o obliczenie gęstości bisiorowych nitek we fragmentach tkanin odkrytych w grobowcach faraonów: w jednym calu materiału (25,4 mm) miały się znajdować 152 nitki bisiorowego wątku. Dla porównania, najcieńsza bawełna, produkowana dziś przy użyciu najnowszych technologii, osiąga gęstość zaledwie 88 nitek.

Nic dziwnego, że zachwycano się miękkością i lekkością jedwabiu

morskiego: złożoną parę rękawiczek można było zmieścić w skorupce orzecha włoskiego.

*

Eva rozejrzała się bezradnie wokół siebie. Jej wzrok zatrzymał się na biletach lotniczych. Pojutrze lecimy do Paryża, powiedział Oliver. Czy to z powodu Thomasa Sophie przestała się z nią kontaktować? Jaki to wszystko ma związek z jego śmiercią?

Czy dlatego jest w Paryżu?

Wstała i podeszła do okna. Po dniach niepogody mgła i wilgoć nareszcie opadły, odsłaniając uśpiony ogród. Nagie gałęzie drzew rysowały się ostrym konturem na tle czystego nieba. Róże, otulone na zimę, stały nieruchomo na trawniku.

Dotknęła szyby otwartą dłonią, chłodny dotyk podziałał kojąco. Nagle, z ręką na szybie, znieruchomiała. Zamknęła oczy. Tamtego dnia...

Stał przy oknie, dokładnie w tym samym miejscu. Rozmawiał przez telefon, a ona, schylona nad klombem, wykopując dalej, a może osłaniając róże na zimę, obserwowała jego postać za szybą. Wolną ręką przegarnął włosy, po czym zaczął bezwiednie kreślić jakieś znaki na szybie. Mówiąc, kręcił głową, jakby się nie zgadzał, nie, to niemożliwe. Albo próbował przekonać: może jednak? Ktokolwiek był po drugiej stronie, nie był łatwym rozmówcą. W końcu Thomas stracił cierpliwość. Zmarszczył brwi, spojrzał na zegarek, jakby chciał powiedzieć: Muszę kończyć, czas na mnie. Rozłączył się, a potem długą chwilę wpatrywał w telefon, nad czymś się zastanawiając. Nawet z oddali po przygarbionych ramionach mogła poznać, że był zaniepokojony i zrezygnowany. Rozmowa miała coś wyjaśnić, a może załatwić, ale najwyraźniej tak się nie stało.

Gdy Eva wróciła z ogrodu, Thomasa nie było w salonie. Usłyszała jego kroki nad głową; był w pracowni, pakował się.

Podeszła do okna i stanęła w tym samym miejscu, gdzie chwilę wcześniej Thomas, rozmawiając przez telefon, kreślił palcem po zaparowanej szybie. Nie przyjrzała się bliżej, dlatego w wyraźnym kształcie serca nie dostrzegła podobieństwa do otwartej muszli, jakich pełno znalazła ostatnio na strychu. A przecież jeśli Thomas w ogóle kiedykolwiek coś rysował, miało to zawsze związek z morzem. Powinna się była domyślić, a ona mruknęła tylko: Co za romantyk z tego mojego Thomasa, po czym przetarła zamgloną szybę. Miała wtedy wolny dzień, a w wolne dni dom kojarzył jej się z zaległymi porządkami.

Rysunek nie przedstawiał serca, jak myślała, tylko muszlę sercówkę, *Cerastoderma edule*. Tę samą, której między innymi dotyczył przeczytany przed chwilą tekst.

Nagle uderzyła ją jedna myśl. To niemożliwe.

Telefon! W zamieszaniu przedwyjazdowym Thomas zapomniał zabrać ze sobą komórkę, którą po rozmowie odłożył na parapet okna. Policjanci sprawdzili numery, ale nie znaleźli nic ciekawego. Żadnych poszlak, oświadczyli, same stare kontakty. I Evie to wystarczyło; nawet po śmierci Thomasa zagłębienie do jego komórki wydawało jej się niedyskrecją, naruszeniem prywatności.

Z kim Thomas odbył tę ostatnią rozmowę?

Pobiegła do sypialni, gdzie w szufladzie nocnej szafki wciąż leżały jego rzeczy.

Wyszarpnęła szufladę i wysypała zawartość na kapę: zegarek, prawo jazdy, kilka starych baterii, notatnik adresowy. Nareszcie znalazła. Chwyciła komórkę, spróbowała włączyć. Była rozładowana. Gdzie ładowarka? Zawróciła biegiem do salonu, znalazła ładowarkę i drżącymi rękami podłączyła telefon do prądu. Szybciej, na Boga! Czy wszystkie komórki ładują się tak wolno jak ta?

W końcu bateria naładowała się na tyle, że telefon udało się włączyć. Ostatnie połączenia odebrane – jedno z redakcji miesięcznika naukowego, dwa od niej, nieważne. I cztery od Ivara Horvatha. Eva pamiętała to nazwisko: dawny kolega ze studiów Thomasa, a potem współpracownik, laborant w jakimś ośrodku naukowym gdzieś na północy, w Rostocku? Stralsundzie? Przeszła do połączeń wybranych. Do kapitanatu portu, do Ivara, do niej. Ale wszystko to rano, gdy Eva była jeszcze w mieście na zakupach. Potem?

Do Olivera von Ottera. I dziesięć minut później – do Sophie.

Zadzwoił telefon. Poruszyła się gwałtownie nagle wystraszona, zdezorientowana, jakby ktoś ją przyłapał na gorącym uczynku. Telefon! Do kogo?

Spojrzała odruchowo na komórkę Thomasa, którą trzymała w ręku. Nie, to jej komórka dzwoniła.

Sięgnęła do torby.

Dzwonił komisarz Herzog. Prosił o spotkanie.

– Jutro, tak, w południe. Tak, u Johanna – upewnił się. – A zatem do zobaczenia.

Nie wyjaśnił, w jakiej sprawie chce się spotkać.

*

– To jakiś stary tekst o małżach, nawet nie wiem, przez kogo napisany – powiedziała Eva, wchodząc do kuchni. – Co to ma wspólnego z...? – Nie miała siły wyliczać: z nią i Thomasem, z nią i Sophie, z ich życiem. A choćby tylko ze śmiercią Thomasa. – Już ci mówiłam, nie chcę do tego więcej wracać. To koniec.

Oliver stał przy kuchence z paczką *linguini* w uniesionej ręce, czekając, aż woda w rondlu zacznie wrzeć.

– To genialnie proste.

Nie obejrzał się zaaferowany kipiącym garnkiem. Zmniejszył gaz i przez

chwilę mieszał makaron, aż w końcu opanował sytuację na tyle, że woda przestała kipieć.

Sięgnął po sól.

– Zaczynamy od ugotowania *linguini*. Niby to nie sztuka, ale o jednej rzeczy musimy pamiętać: że makaron gotujemy zawsze o dwie minuty krócej, niż podaje przepis – mówił lekko, tonem profesjonalnego szefa z programu kulinarnego. – A ponieważ dziś będą to *linguni rosso*, do sosu, oprócz czosnku i pietruszki, dodamy kilka drobno pokrojonych pomidorów bez skórki. Z San Marzano są najlepsze, ale mogą być i te niewiadomego pochodzenia. – Wskazał na pomidory, które znalazł w spiżarni Ewy. – Białego wina nie skąpimy, ale też nie lejemy za dużo, żeby potem makaron wszystko wchłonął. Teraz czas na omułki. Co za dźwięk... – mówiąc, Oliver jednocześnie z wielką wprawą wykonywał kolejne czynności: siekał, polewał, mieszał, potrząsał patelnią. – I na koniec sekret: nigdy nie siekaj pietruszki nożem, tylko rwij listki palcami, o, tak. Moja babka była Sycylijką, nazywała się Olivetti, jak maszyna do pisania. Otóż babka Marina twierdziła, że nożem mediolańczycy mogą kroić ziemniaki, bo to w sam raz zajęcie dla ludzi, którzy zamiast oliwy używają masła. – Oliver zgasił gaz, następnie posypał *linguini* pietruszką i szczyptą papryczki chili w płatkach, po czym wyciągnął patelnię w stronę Ewy.

– Powąchaj – rozkazał.

Na widok jej miny roześmiał się głośno. Ale zaraz spowaźniał.

– Czytałaś list? – spytał, nagle zmieniając temat.

– List? – Eva zawahała się. – Przeczytałam maszynopis, żadnego listu tam nie było.

Na co on pokręcił tylko głową.

– Jesteś pewna? – Jego uśmiech, pełen przekory, satysfakcji, a może wyższości?, zdawał się mówić: Nie nadajesz się na dziennikarza śledczego, do tego trzeba mieć szósty zmysł.

– Jestem pewna – odrzekła, wracając do pokoju po kopertę. Zaraz mu udowodni, że się nie pomyliła.

– Widzisz? Nic tu nie ma – zaśmiała się triumfalnie, zaglądając do środka.

Dopiero gdy Oliver kazał jej sprawdzić ponownie, odkryła, że do jednej z wewnętrznych ścianek koperty przylegał kawałek cienkiej bibułki, od brzegu do brzegu zapisany drobnym pismem.

– Czytaj – powiedział, podając jej bibułkę. – Nie, nie kładź na stole, bo nic nie zobaczysz. Lepiej przyłóż do szklanki i spójrz pod światło.

Uniosła brwi z niedowierzaniem, ale posłuchała rady.

Thomas, oni naciskają. Grożą, że jak nie sprzedamy im licencji, to i tak ją nam wyrwą, mają na to sposoby. Dali tydzień do namysłu, ale ja już podjąłem decyzję: wypisuję się. Mam dom, rodzinę, Laura spodziewa się trzeciego dziecka.

Myślałem, że ten interes pomoże mi spłacić kredyt, ale nie z takimi pogroźkami. Wybacz, stary. Ty zrobisz, jak zechcesz. Jeśli Ci się uda, nie będę zgłaszał roszczeń, możesz być spokojny. Oni twierdzą, że będą z tego wielkie pieniądze, ale na Twoim miejscu ja bym im nie ufał. Sam wiesz, z Azjatami lepiej uważać. Odezwij się. Kontakt tym samym kanałem co zawsze, I.H.

Oliver postawił patelnię na kamiennej podstawce. Sięgnął po butelkę i napełnił kieliszki.

Eva usiadła przy stole. Machinalnie wzięła do ręki widelec i zaczęła jeść.

– Jesz, jakby to były ziemniaki – powiedział z rozżaleniem. Dolał jej wina. – Najpierw kolacja, zgoda? Chińczycy nam nie uciekną. Zresztą i tak już uciekli.

Eva chciała zadać jakieś pytanie, ale przerwał jej, uciszył ruchem ręki trzymającej widelec.

– Jemy! *Linguini rosso con frutti di mare*. I pijmy wino, jest niezłe, musisz to przyznać.

*

Gdy Oliver skończył zmywać, wytarł ręce i rozwiesił ścierkę na kaloryferze.

– To zawiała sprawa, a ściślej, dwie – zaczął. – Po pierwsze, wspólnie opracowana metoda Thomasa i jego kolegi ze studiów, Ivara Horvatha, jak w warunkach hodowlanych nakłonić omułki i sercówki do produkcji możliwie najdłuższych nitek bisiorowych, a następnie w jaki sposób małże odławiać do konsumpcji, tak by nie niszczyć i nie gubić ich nitek. Po drugie, chiński wywiad gospodarczy. Chiny to teraz potęga, porównywalna do tej, jaką kiedyś była Japonia. Pamiętasz? Kamery i aparaty fotograficzne, radia i adaptory, telewizory i magnetofony, komputery i układy scalone, człowiek bał się kran odkręcić z obawy, że polecą z niego woda z napisem „*made in Japan*”. Dziś największym tygrysem Azji są Chiny. Przejęły europejskie fabryki, mają amerykańskie technologie, mogą wyprodukować wszystko. I wszystko wyeksportować – do Europy i Ameryki, Afryka praktycznie już do nich należy.

Oliver wstał, żeby nalać kawy z ekspresu. Do jednej filiżanki, dla Ewy, dodał łyżeczkę cukru i kroplę mleka; on pił czarną i gorzką.

– Jest tylko jeden szkopuł: transport – ciągnął. – Tak, transport. Towar przekłada się na ciężar, a ciężar zależy od ograniczonych możliwości statków i samolotów. Dlatego im towar lżejszy, tym cenniejszy. Lekkie ubrania i buty masowo zalewają światowe rynki, w dosłownym znaczeniu „lekkie”, bo produkowane z jakichś tajemniczych, często szkodliwych, materiałów. Ten masowy zalew trafia do masowego odbiorcy, maszyna działa bez zarzutu, przynosząc krociowe zyski. Teraz postanowili dotrzeć do klientów, których jest wprawdzie mniej, ale są cenniejsi, bo mają pieniądze. Milioner z Doliny Krzemowej i supergwiazda z Hollywood nie kupi plastiku, uzna to za śmieć. Kupi

bisior. A to jeszcze nie wszystko.

Eva zerwała się od stołu i zasłoniła uszy.

– Dość! Dość!

Ale on podszedł do niej i delikatnie wziął za rękę. Omal nie upadła bliska omdlenia. Przytrzymał ją mocno.

– Jest jeszcze inżynieria, chirurgia i księżyc – powiedział.

Eva odruchowo spojrzała w okno. Zawieszony wysoko na czarnym niebie księżyc wydawał się dziwnie biały i ogromny. Zimny. Przecinała go długa pozioma chmura.

– Spytasz: dlaczego księżyc? – Oliver odwrócił ją twarzą ku sobie, zmusił, by go dalej słuchała. – Z tych samych powodów co chirurgia i inżynieria. Naturalne nici, które byłyby równie cienkie i wytrzymałe jak pajęczyna, nie od dziś budzą zainteresowanie naukowców. Idealne jako szwy chirurgiczne. Do wykorzystania w produkcji układów scalonych i wyposażenia dla kosmonautów. Problem w tym, że pająki hodowane w zamkniętych pomieszczeniach nie chcą za wiele produkować, za to chętnie zjadają się nawzajem. Kosztowna i pracochłonna zabawa. W 2009 roku wyprodukowano kawałek materiału o wymiarach około 3,3 metra na 1,2 metra. Pobrane w tym celu włókno pochodziło od ponad miliona pajaków z gatunku *Nephila madagascariensis*. A to, jak się domyślasz, niezbyt się kalkuluje w produkcji masowej.

Eva wzdrygnęła się ze wstrętem. Najpierw małże, a teraz pająki.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiała. W końcu pokręciła głową.

– Nie rozumiem, co ma bisior do naszego życia!

Próbował wziąć ją za rękę, uspokoić, ale ona odsunęła się zdenerwowana.

– Zostaw mnie w spokoju! – krzyknęła. Nagle zapragnęła wyrwać się z tego domu, gdzie nic nie było już takie proste jak dawniej, pobiec nad morze i tam wykrzyczeć cały ból, strach, wszystko, czego nie rozumiała, i tym bardziej się tego bała. – Tamtej nocy był sztorm, nie pamiętasz? Już to mówiłam tysiąc razy, ale powtórzę jeszcze raz: ludzie giną na morzu, zawsze ginęli. Czy jest jakiś inny powód, że Thomas nie wrócił? Dlaczego ktoś miałby go... – zachłysnęła się łzami.

Zabić?

Oliver stał nieporuszony na środku kuchni.

– Tak, jest powód, a raczej był – odpowiedział, sięgając ponownie po ekspres do kawy. Napełnił filiżanki. – Bisior. Małże i pieniądze, bardzo duże pieniądze.

Podsunał jej cukierniczkę.

Pili kawę, nie rozmawiając, każde zatopione w swoich myślach. Oliver odezwał się pierwszy:

– W kapitanacie odnotowano wtedy wyjście w morze dwóch jednostek. Thomas opuścił port o 20:15, piętnaście minut później w ślad za nim wypłynęła

prywatna łódź motorowa, z trzema ludźmi na pokładzie. Właściciel łodzi jako port macierzysty podał Qingdao w prowincji Shandong; w rzeczywistości jednostka zarejestrowana została w Hongkongu. Jako cel podróży wpisano turystykę, kierunek: wyspy duńskie. Łódź, podobnie jak statek Thomasa, nie wróciła do portu. Nikt nie zgłosił zaginięcia, może faktycznie popłynęła do Danii. Ale nikt też nie zapytał, kim byli pasażerowie.

*

Komisarz Herzog odłożył prochowiec na sąsiednie krzesło i potarł zgrabiąle ręce. Szalika nie zdjął; pogoda była piękna, ale ciśnienie podskoczyło i wiał lodowaty wiatr.

Kawy nie chciał, miał mało czasu. Odkąd przywrócono go do służby, niemal nie wychodził z pracy. Doszło do tego, że wczoraj wieczorem żona zadzwoniła do niego, żeby zapytać, czy pamięta jeszcze adres zamieszkania.

Zamilkł. Nie po to chciał się spotkać z Evą, żeby jej opowiadać o swoich utarczkach z Irmą.

Spojrzała mimowolnie przez okno. Ostre światło rysowało wyraziste kształty budynków i ich cieni. Pod gwałtownymi szarpnięciami wiatru krótka fala kołysała morzem niespokojnie, niecierpliwie.

– Thomas mówił o takim wietrze, że wieje z powodu księżycy – powiedziała.
– Ruch mas powietrza przypomina morskie fale, chociaż my tego nie widzimy.

Herzog wyczuł jej napięcie.

– Evo, wie pani równie dobrze jak ja – zaczął – że upozorowanie katastrofy morskiej nie jest tak trudne, jak mogłoby się wydawać. Wystarczy oderwać ręce sternika od steru i poczekać na mocniejsze uderzenie wiatru, a potem powiedzieć: spójrzcie, jakie morze było okrutne... – urwał i zamyślił się. – Człowiek łatwo przypisuje innym okrucieństwo, do którego sam się przyczynia – podjął po chwili.
– Ale morze nie jest okrutne, morze po prostu jest. Nieogarnione, kiedyś uważano, że również nieujarzmione. Zależy, co się przez to rozumie.

Herzog potarł czoło charakterystycznym gestem. Kochał morze, mógł opowiadać o nim bez końca, tak jak o ostrygach. Po przymusowym urlopie trudno mu się było skupić, a jeszcze trudniej działać szybko i efektywnie.

– Ale ja nie o tym chciałem mówić – zaczął znowu. – Wszyscy znaliśmy poglądy Thomasa. Uważał, że jeśli nadal będziemy prowadzić rabunkową gospodarkę, to pewnego dnia staniemy na brzegu morza, które będzie pozbawioną życia wodną pustynią. Człowiek to dziwne zwierzę, sam potrzebuje tlenu i zdrowego pożywienia, a potrafi wszystko zanieczyścić, wyjałować, wyeksploatować, ogołocić i splądrować. I wszystko dla pieniędzy, za które, jeśli nic się nie zmieni, nie będzie już miał co kupić. – Przy ostatnich słowach nachylił się i zajrzał pod stół zaintrygowany. Wcześniej nie zauważył Agata, który spał

oparty o nogi Evy, a który teraz z głośnym ziewnięciem przewrócił się na drugi bok i całym ciężarem zwałił na jego stopy.

Podrapał psa za uchem. Taki pies to ma dobrze, może spać, ile dusza zapagnie. Ta myśl sprawiła, że ogarnęło go coś na kształt zazdrości. Westchnął. Może jednak powinien się napić kawy? Zapowiadał się długi dzień.

– Wybacz, Agat, ale muszę wstać – powiedział głośno. – Zamówię kawę. Dla pani również? – Spojrzał pytająco na Evę.

Skinęła głową. Taki wietrzny dzień, a ona miała niskie ciśnienie.

Herzog podszedł do kontuaru.

Czekając na kawę, wdał się w pogawędkę z Johannesem. Chociaż prawdę mówiąc, trudno było ich rozmowę nazwać wymianą zdań, ponieważ to Johannes miał dużo do opowiedzenia. Od napadu na bar minęło zaledwie kilka dni, a wszystko już było uprzątnięte, naprawione, odnowione.

– Ludzie pomogli, kto mógł i na ile potrafił. A dzięki dziewczynom mogliśmy każdego nakarmić – opowiadał Johannes, napełniając mlekiem metalowy dzbanek. Ekspres wydał charakterystyczny syk, wypuszczając kłąb pary, i do filiżanek o grubych ściankach spłynął ciemny płyn z warstwą kremowej pianki.

Johannes dopełnił filiżanki spienionym mlekiem.

– Babeczki z rodzynkami na koszt firmy. Paulette le Puy upiekła.

Z tacą w rękach Herzog przystanął koło Vincenta, siedzącego po drugiej stronie, pod oknem. Zamienili kilka słów, ale w ogólnym gwarze Eva nie dosłyszała, o czym mówili.

Gdy wrócił do ich stolika, przez chwilę pili w milczeniu.

– Wszystko, co powiedziałem do tej pory, zmierza do konkluzji, jaką chciałem się z panią podzielić, nim wystosujemy oficjalne pismo w tej sprawie. Otóż po wnikliwych analizach, jakie udało mi się przeprowadzić we współpracy z... – Herzog urwał. Jego kontakt z Bibianne Berg okazał się pożyteczny, ale wolał nie ujawniać za dużo. – Sprawdziliśmy wszystkie poszlaki. Na pokładzie wraka nie odkryliśmy śladów walki, ster był wprawdzie zaklinowany, ale mogło się to stać samoistnie, trudno będzie udowodnić, że było inaczej. Krótko mówiąc, gdyby szyper był w jakikolwiek sposób zamieszany w celowe spowodowanie wypadku, zrobiłby to tak, by samemu wyjść z tego cało. A zginęli... – zająknął się speszony. Popęłnił błąd. A przecież wiedział z doświadczenia, jak należy rozmawiać z rodzinami marynarzy, którzy nie mają grobów na lądzie. – Wiemy, że zaginęli obaj.

Eva wysłuchiwała komisarza, do końca mu nie przerywając. Siedziała nieporuszona. Milczała. Potrzebowała czasu, żeby się zastanowić. Nie nad tym, co usłyszała, tylko nad sobą. Nad tym, co poczuła. Po raz pierwszy ktoś stwierdził głośno i definitywnie: to był nieszczęśliwy wypadek. Obaj mężczyźni zginęli. Nie

ma śladów.

Czy tego się spodziewała? Czy teraz nareszcie będzie mogła zakończyć czas żałoby, tak jak czynią to ci, którzy przy swoich bliskich czuwają do końca, a potem chowają ich w ziemi i zamawiają nagrobek z nazwiskiem, odwiedzają swoich zmarłych, przynoszą świeże kwiaty? Śmierć na morzu jest inna: brak świadków, a choćby tylko pewności, co wydarzyło się naprawdę, otwiera furtkę dla niepewności, brak grobu nie pozwala zamknąć czyjegoś życia. Ani, jeśli o to chodzi, swojego – nasza żałoba trwa, ponieważ gdzieś w głębi tli się niepewność, nieokreślona jak nadzieja.

Odruchowo, z nawyku, policzyła lata, miesiące i dni: od śmierci ciotki Sary, od sztormu, który zabrał Thomasa. Od ostatniego telefonu Sophie. I godziny od powrotu Olivera, bo to też nie było bez znaczenia. Moje życie, a mierzę je życiem innych, pomyślała. A przecież czas, który minął, był także moim czasem.

Komisarz Herzog poruszył się na krześle. Właśnie przekazał Evie Waltzer ważne informacje i wydawało mu się, że przekazał je w sposób logiczny i jednoznaczny. Delikatnie.

Tymczasem ona siedziała wpatrzona w pustą filiżankę, jakby go w ogóle nie słuchała. Może nie wyraził się dość jasno?

– Gdyby szyper chciał celowo spowodować wypadek, zrobiłby to tak, żeby samemu wyjść z tego cało – powtórzył. – A wiemy, że zaginęli obaj.

Powstrzymała go ruchem ręki.

– Tak, rozumiem – odparła.

Sięgnęła do torby. Wyjęła z niej dużą żółtą kopertę zgiętą na pół. Odruchowo przesunęła otwartą dłonią po zagięciu.

– Proszę – powiedziała, podając kopertę komisarzowi. – Może uzna pan, że te materiały są na tyle istotne, iż należy podjąć jakieś kroki. Jeśli nie, to dołączy je pan do akt i definitywnie zamknie sprawę – zamilkła, jakby chciała się jeszcze upewnić, czy rzeczywiście tego chce. Ale zaraz wyprostowała się i odetchnęła głęboko. Podjęła decyzję. Dociekanie prawdy czy ściganie kogokolwiek nic nie zmieni, a jej nie pozwala zamknąć przeszłości. Ale teraz już dość. Thomas odszedł, i ona musi się w końcu z tym pogodzić. Każdy czas jest dobry na pożegnanie, dlaczego nie w tej chwili, dlaczego nie tutaj?

Tak, dzisiaj to dobry moment. Jutro Eva wyjeżdża. Czeka na nią Sophie, jutro się spotkają.

Powiedziała:

– Nie chcę wiedzieć, kto, kiedy ani z jakiego powodu doprowadził do wypadku. I czy w ogóle. Dla mnie to już przeszłość.

LIST ZE SKANDYNAWII

Droga J.

Kim jest mężczyzna zawieszony między dwiema wyspami, dotknięty

syndromem Piotrusia Pana, który w duszy pozostał chłopcem?

Jest szczery i otwarty, lubi rozmawiać, ponieważ lubi ludzi. Jego obecność odbieramy jako pewnik, w jego barze ludzie przesiadują nie tylko wtedy, gdy pada. A jednak sam Johannes pozostaje w cieniu.

Nie dajmy się zwieść, to człowiek z tajemnicą. Gdy nikt nie widzi, po pracy, samotny w swoim pokoju nad barem, powraca do rzeczywistości nie do końca rzeczywistej, która dawno minęła. Co jakiś czas znika. Nigdy nie wiadomo, kiedy ten czas nastąpi, ale wszyscy wiedzą, że Johannes jeździ zawsze w to samo miejsce: na Gotlandię. Powody mogą być różne. Bo tęskni za rodzinnymi stronami? Robi to w chwilach krytycznych, z braku poczucia bezpieczeństwa? Traktuje ucieczkę jako unik i cudowny lek na trudne decyzje? A może z powodu przeszłości albo żeby kogoś odwiedzić? Jeśli tak – to kogo?

Na imię ma Anna, ale to zbieg okoliczności, w szwedzkich filmach zawsze jest jakaś Anna, nie tylko u Bergmana. Dziwna i zagadkowa, jak cała ich znajomość, jakby niedopowiedziana. Oszczędna w gestach, milcząca, zapatrzona. Powściągliwa, odzywa się jedynie zmuszona okolicznościami, jak wtedy gdy odwiedza ją Johannes. Jej postać zarysowana jest mocnymi pociągnięciami, skontrastowana światłocieniem, szkic węglem. Albo czarno-biała fotografia. Dla Johannaesa te mocne obrazy rysują się tym silniej, że zna je od czasów wspólnej młodości.

Codziennie o tej samej porze Anna schodzi do przystani promowej, poza murami starego Visby. Zjawia się Johannes – nieczęsto się to zdarza, raz, najwyżej dwa razy do roku, ale w końcu się zjawia. Widzimy, jak schodzi z trapu, staje na nabrzeżu, nachyla się nad psem, poprawia mu obrozę. Anna dostrzega ich z daleka, podchodzi, dotyka ramienia Johannaesa w milczeniu. Ten prostuje się wyraźnie uspokojony, rozpoznaje znajomy zapach, Anna pachnie ziołami i świeżym, niemalże dziecięcym zapachem mydła domowej roboty. Przez chwilę przygląda się Johannesowi uważnie, jakby liczyła zmarszczki albo jakby chciała sprawdzić, ile smutku przybyło od ostatniego razu. Zaskakuje ją woń kawy i wanilii, coś nowego, czego nie było, czyżby kobieta?

Tak, to tak musi wyglądać scena ich powitania. Kilka słów, zapachy, nic więcej. Oboje bezwiednie unikają dotyku, nie rzucają się na siebie, nie ściskają, nie poklepują po ramionach, nie prowadzą za rękę. Czy Johannes zawiadamia Annę o przyjeździe? To nieistotne, ona i tak codziennie schodzi do portu. Czeka, aż ostatni pasażer zejdzie z trapu, i dopiero wtedy zawraca w stronę miasta spokojnie, bez reakcji, tym samym krokiem, ani szybciej, ani wolniej, tak jak wtedy gdy Johannes i Agat idą obok niej. Z tą różnicą, że na ich widok w jej oczach zapala się światło, krótki błysk, który zaraz gaśnie. Tego błysku Johannes nie może zobaczyć.

Agat z miejsca rusza za tropem, a oni idą na cmentarz. Od tego zawsze zaczynają. Anna idzie przodem, ścieżką między grobami, przystaje. To tu, mówi.

Potem nachyla się i małym pędzelkiem zaczyna poprawiać litery na granitowej płycie, milimetr po milimetrze, powoli, starannie.

– Co robisz? – pyta Johannes, chociaż nie musi pytać. Zna odpowiedź.

– Poprawiam napis – odpowiada Anna. – Deszcz wymył litery – dodaje tonem usprawiedliwienia, nie przerywając pracy. Prowadzi pędzelek po liniach liter, z szarości kamienia wyłania się imię: Louise. Anna nosi to samo nazwisko: Udden. I data urodzenia ta sama. Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Kochali ją oboje, i Anna, i Johannes, to ich trzyma przy sobie. Ale nie tylko to, ich więź jest bardziej złożona.

Johannes przeżył śmierć Louise równie mocno, jednak otrząsnął się, okrzepł. Anna nigdy nie pogodziła się ze stratą. Dlatego on wraca na rodzinną wyspę, wraca nie do niej, tylko dla niej, dla Anny. Nie chce pozwolić, by całe życie stała w oknie.

Anna długo nie chciała słuchać, nie potrafiła oderwać swojego życia od śmierci siostry. Gdy w końcu Johannesowi udało się ją przekonać, poczucie straty zastąpiło poczucie winy. Litery na nagrobku, które z taką starannością poprawia – wypłukane i spłowiałe, są jak wyrzut sumienia. Dowód, że jej życia nie wypełnia już tylko żałoba. Litera po literze, w niewygodnej pozycji. Johannes czeka cierpliwie, nie chce jej płoszyć. Gdyby się nie bał, może zapytałby ją o jedno, o perfumy. Portofino, odparłaby. To były perfumy Portofino.

Gdyby zapytał.

W domu u Anny są jasne sosnowe podłogi, poprzecinane kolorowymi chodnikami, które zimną samą tka na krosnach. W oknach białe batystowe zasłanki, gładkie, bez haftów i koronek. Anna zapala świece na parapetach, jedną większą, po którą sięga do szuflady w kredensie, stawia na kuchennym stole. Potem parzy herbatę. Obiad zjedzą później, smażone ziemniaki z cebulą, boczkiem i siekanym jajkiem na twardo, nic specjalnego, ale „pyttipanna” w tej wersji to było kiedyś ulubione danie Johanna. Kiedyś, gdy jeszcze bywał codziennym gościem w ich domu.

Potem usiądą przy kominku. Trudno nazwać rozmowę z rzadka wypowiedziane słowa, Johannes nie po to tu przyjeżdża, by rozmawiać. Piją herbatę, ona zapatrzona w ogień, on nasłuchując strzelających iskier i wiatru. Anna proponuje szklaneczkę *glögg*, grzanego wina z goździkiem i laską cynamonu. I jeśli będzie chłodny wieczór, Johannes chętnie się napije, ale jest to równie nieistotne jak to, czy zawiadomił ją o swoim przyjeździe.

Dziwny to związek, bez spektakularnej przeszłości, bez oczekiwanej przyszłości. Znają się od dawna, w jej życiu po drodze coś się wydarzyło, coś, od czego ubył jej sił i wiary. Może się dowiemy, może nie, nie jest to tak widoczna strata jak śmierć Louise czy wzrok Johanna. Podobnie nie dowiemy się do końca, jak to było z Louise. Pojawiła się pierwsza w jego życiu i to dzięki niej się poznali?

A może raczej najpierw była Anna, a Louise – ta śmielsza, roześmiana, otwarta – stanęła między nimi, nie czekając, aż Johannes się zdecyduje, i za niego dokonała wyboru?

Sceny jak z Bergmana, bo z życia takich właśnie ludzi tkał on swoje opowieści. Bez tłoku, bez pościgów. I żadnego wspólnego gotowania ani zmywania naczyń, żadnych żartów ani plotek. Żadnych klaksonów, stuku obcasów na ulicznym bruku, wybuchów śmiechu czy muzyki dochodzącej z baru. Ani, tym bardziej, napadów czy neonazistowskich wybryków. Tylko cisza wyspy i to milczenie między nimi. Emocje, myśli, uczucia. Kilka szczegółów, więcej wiatru, krajobrazu, chłodnego światła Północy niż życia. Prosto, surowo. I, z rzadka, dwa głosy splatające rwącą się tkaninę rozmowy, i ostry błysk neonu kina za oknem. W rozmowach nie dotykają wspomnień, sami zbyt nimi dotknięci.

Zastanawiałam się, jak mogliby wyglądać. Na zdjęciu Natalie Wood leży na trawie, James Dean, na wpół siedząc, łaskocze ją żdźbłem trawy w policzek. Może właśnie tak? Wtedy mogliby tak wyglądać, kiedyś, gdy jeszcze żyła Louise. Nie wiadomo właściwie, jak to było.

Wieczorem

Zabrałam *Scenariusze* Bergmana do kuchni, czytam początek *Szeptów i krzyków*, dawno ich nie czytałam:

„Gdy rozmyślam o tym projekcie, nigdy nie jawi się on jako skończona całość. Jest raczej ciemny, rwący potok: twarze, głosy, gesty, wołania, cienie i światło, nastroje, sny – nic trwałego, nic naprawdę namacalnego przez czas dłuższy niż mgnienie oka, a i wtedy tylko pozornie. Marzenie, tęsknota lub raczej nadzieja, lęk, który odbiera odwagę nazwania po imieniu tego, co najstraszniejsze. Mógłbym w nieskończoność opisywać odcienie tonów i barw, lecz to nic nam nie da”³³.

Zamknęłam książkę, powiedziałam głośno: „Proszę natychmiast stamtąd wyjść!”. Wyjść ze stron internetowych z rozkładami jazdy pociągów, promów i samolotów, z cenami biletów, przesiadkami, przyjazdami i odjazdami – ale i z tej wyspy, z ich świata. Jest zbyt intymny.

Ale wciąż wracam.

Na blacie sekretarzyka leży paczka starych listów, przewiązanych cienkim lnianym sznurkiem. Anna miałaby ochotę przeczytać Johannesowi listy Louise, zastanawia się, przekłada jeden po drugim, nie otwierając. W końcu znów je przewiązuje, zamyka w pudełku, chowa. Każdy z nas jest dla kogoś bohaterem drugiego planu, myśli. Louise nie powinna zanadto wysunąć się do przodu, zagarnąć, zaanektować, przejąć kontroli nad tym spotkaniem. Johannes jest takim rzadkim gościem.

Rozmowa schodzi teraz na ich spacer po mieście, Anna wspomina o kinie, że zamknęli, o książce, że kupiła niedawno biografię autorki Muminków. Lubi czytać

biografii, działają na nią kojąco. Bo skoro komuś się udało przeżyć, wytrwać, coś osiągnąć, to może i ona ma szansę. Ostatnio znów popłynęła na Fårö. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka tam cisza, mówi. Jakby tam nikt nie mieszkał, tylko owce na łąkach i kamienne kolosy na straży morza.

Czy po wyjściu z cmentarza, a może następnego dnia rano jeszcze dokądś pójda? Nad morze? Do ogrodu botanicznego, gdzie ona pracuje? A może do miasta, by odwiedzić stare kąty, gdzie kiedyś bywali, gdy jeszcze każdą wolną chwilę spędzali razem we troje? Ale możliwe, że spędzili ten czas w domu.

W porcie, na pożegnanie, znów niewiele słów. Trudno przyjąć jakąś postawę wobec tego, co się wydarzyło, siły są zbyt potężne, przyprawiają o zawrót głowy. Wśród upiorów i wspomnień należy poruszać się ostrożnie.

Nie wiemy, i pewnie już się nie zdążymy dowiedzieć, na której z wysp Johannes jest szczęśliwy. A przynajmniej bliżej siebie samego. Gdy wyjeżdża, Vincent zastępuje go w barze. Nie żeby to lubił, ale robi to z oddaniem, solidnie, poza tym wie, że Johannes zawsze wraca. Nie będzie go trzy, cztery dni, czasem dłużej, a potem pewnego rana, wcześniej, zaraz po otwarciu baru, zadzwoni, żeby powiedzieć, że już jest i jeśli Vincent ma ochotę, to może wpaść, ale nie musi.

Na koniec jeszcze o wyspie, o Południu i Północy, ale *per analogiam*, za pośrednictwem Stasiuka, piszącego o Wschodzie i Zachodzie:

„Oto, co znaczy być środkowym Europejczykiem. Życ między Wschodem, który nigdy nie istniał, a Zachodem, który istniał zanadto. Oto, co znaczy żyć »w środku«, gdy ten środek jest tak naprawdę jedynym realnym lądem. Tyle tylko, że ten ląd nie jest stały. Przypomina raczej wyspę, może nawet pływającą. Ba, może wręcz okręt poddany prądom i wiatrom East–West i odwrotnie. Strony świata, tak jak żywioły, są czymś z pogranicza symbolu, alegorii i fatalnego konkretnego. Życ na tej wyspie czy też okręcie znaczy tyle, co bez ustanku wypatrywać zmian pogody, przemierzając wyspę od brzegu do brzegu albo pokład od burty do burty. I tak jak w morskiej podróży, myśleć tylko o teraźniejszości i o przyszłości, ponieważ przeszłość dostarcza nam jedynie racjonalnych przestróg w rodzaju »lepiej było siedzieć w domu«³⁴.

To tyle. Prognozy meteo na najbliższy tydzień nie są korzystne. Na Bałtyku sztorm. Mam nadzieję, że pogoda się wyklaruje.

Ściskam,

B.

PS Pamiętaj o Dygata i jego opowieści o wystawianiu w oknie, tej bardzo ważnej a ponurej „instytucji trwania, które zmierza do nieuchronnego kresu”? Tak widzę Annę. Stoi i patrzy, ale nic nie widzi. Czeka. W tym kontekście Johannes widzi o wiele więcej niż ona.

Rozdział 25: Place du Tertre

Port ucichł już po porannym rozładunku. Dostawcy świeżych warzyw i owoców wyładowali kontenery na ląd, rybacy sprzedali rybę z nocnego połowu i rozjechali się do domów. Miasto powoli budziło się ze snu, gdy Eva wysiadła z autobusu na dworcu w Westerlandzie. Otworzyła parasol. Padało, chociaż nie było zimno. Prąd Zatokowy oznacza wprawdzie wiatry, lecz ma swoje dobre strony: szarpie, ale nie dopuszcza mrozu.

Eva lubiła takie wczesne poranki późną jesienią, mroczne i zachłapane deszczem. Schodziła w kierunku nabrzeża, wsłuchując się w chlupot kałuż pod podeszwami butów, sprzedawcy i właściciele sklepów otwierali drzwi i podnosili ciężkie żaluzje w oknach wystawowych, samochody dostawcze rozwoziły towar, a im bliżej portu, tym więcej zaspanych przechodniów mijają ją po drodze z torbami świeżego pieczywa. Kiedyś nieśliby jeszcze poranną gazetę pod pachą, pomyślała, ale w dzisiejszych czasach wiadomości nie trzeba drukować, wyświetlają się na ekranach. Całe szczęście, że z komputerów jeszcze nie wyskakują grzanki, jak z tosterka.

Podniosła kołnierz płaszcza i odruchowo wtuliła brodę w ciepły szal, którym szczelnie owinęła szyję. Niesiony wiatrem deszcz zaczął bokiem, krople osiadały jej na twarzy, ziębiły, łaskotały.

Do portu miała niedaleko, jeszcze tylko skręcić za róg i przejść na drugą stronę ulicy, a potem minąć sklep wędkarski.

Przed nią leżało morze, z portem rybackim po lewej i przystanią promową w głębi po prawej. Nad jednym z frontonów nadbrzeżnych domów połyskiwał nowy szyld. Eva uśmiechnęła się: zamiast „Bande--à-part” Johannes powinien nazwać swój bar „À l'arôme du café”.

Przystanąła przed czarną tablicą, na której poprzedniego wieczoru, przed zamknięciem, Rose wypisała kredą menu zaplanowane na ten dzień: *Daily Soup. Fish & Chips albo Strammer Max aus Mischbrot, Schinken und Spiegelei.*

Na deser: *Tarte Tatin aux pommes rainettes.*

Złożyła parasol. Nim weszła i powiesiła płaszcz na wieszaku przy drzwiach, najpierw z przyzwyczajenia zajrzała przez szybę do środka. Odetchnęła z ulgą: będzie jedyną klientką. Pierwszą kawę po powrocie chciała wypić w samotności.

*

Nie musiała się spieszyć. Specjalnie przyjechała z List o godzinę wcześniej, żeby wpaść do Johanna, przywitać się, a przy okazji zjeść śniadanie. W domu nie miała nawet chleba ani mleka do kawy, poza tym nie chciała jeść sama; Oliver prosto z Paryża musiał lecieć do Warszawy.

W samolocie nie zmrużyła oka, a w domu długo nie mogła zasnąć. Mimo to

nie czuła zmęczenia, przepelniała ją energia. Czy to możliwe, że dokładnie tydzień temu usiadła pod pasiastą markizą przed „Café au Clairon des Chasseurs” na rogu Place du Tertre, na paryskim Montmartrze, i czekając, aż Oliver i Sophie znajdą miejsce do parkowania, zamówiła swoją pierwszą „Café crème, s’il vous plaît”?

Prawdę mówiąc, była tak podekscytowana całą sytuacją, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Samotna kawa, która zawsze kojarzyła jej się z błogim lenistwem, w Paryżu wydała się nagle stratą czasu, taką samą jak, powiedzmy, parkowanie samochodu. Gdzie oni się podzieli?

W życiu najbardziej zaskakuje nas to, że nigdy nie wiemy, co nas zaskoczy. Podobnie było i tym razem. Eva do tej pory nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że takiego wydarzenia nie poprzedziło przecucie. Żadnych znaków ani snów, nic. Po tygodniu nieobecności Oliver zjawił się u Johannesesa równie niespodziewanie, jak wcześniej zniknął, usiadł przy jej stoliku i powiedział, że jest zmęczony długą podróżą. A potem jadł w milczeniu.

Zaskoczył ją. I jej własna radość – że wrócił, że znów go widzi – również ją zaskoczyła. Ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że ten powrót może mieć jakiś związek z Sophie. W pierwszym odruchu pozwoliła sobie nawet na podejrzliwy sarkazm. Wrócił na wyspę, bo pragnął ją zobaczyć? Czy po prostu znów miał pytania w związku z wypadkiem Thomasa i liczył, że odpowiedź na nie znajdzie w jego pracowni? Ale trwało to krótko. Lepiej nie dorabiać scenariuszy, życie i tak toczy się, jak chce, nie pytając nikogo o zdanie. Kto jak kto, ona powinna już wiedzieć, że kalkulacje na nic się nie dadzą. Nasze oczekiwania nie spełniają się tylko dlatego, że tego pragniemy.

Oliver z niczego się nie wytłumaczył, ona o nic nie zapytała ani nie zrobiła mu wymówek. Intuicyjnie zgodziła się na tę jakąś dziwną wolność ich znajomości. Nieważne, blisko czy daleko, a za to bez przymusu czy konieczności wyjaśnień. Pomyślała wtedy: Jakbyśmy się znali od dawna, tak jakoś zwyczajnie. Dobrze.

Dopiero wieczorem okazało się, że jednak jest coś ważniejszego od ich spotkania i zwykłej rozmowy przy stole. Nie coś, raczej ktoś.

Sophie.

*

Ewa wystawiła twarz do słońca. A więc tak wygląda paryska jesień.

Uśmiechnęła się na tę myśl. I jeszcze: nareszcie razem. Od dwóch dni powtarzała te słowa jak refren. Razem!

Przed wyjazdem spotkała Vincenta, wychodził właśnie od Johannesesa. Na jego widok zawołała:

– Jadę do twojego Paryża. Do Sophie!

Przystanął, uśmiechnął się. Ale nie zareagował na jej słowa.

Spieszyła się, nie wiedziała, co powiedzieć. Przeprosić?

Spytała:

– A ty? Wrócisz tam kiedyś?

Milczał długą chwilę, tak jakby odpowiedź na tak postawione pytanie wymagała głębszego namysłu.

– *Non* – mruknął. Ponuro? Niechętnie? Zaraz jednak zreflektował się, że zabrzmiało to zbyt ostro i, w jakimś sensie, niesprawiedliwie wobec niej, bo w końcu to ani jej sprawa, ani tym bardziej wina. Dodał prędko: – Ale ty, Evo, baw się dobrze, obie bawcie się dobrze! To piękne miasto. – Odchodząc, obejrzał się jeszcze. – Ucałuj ode mnie Sophie – zawołał.

A następnego dnia siedziała już na Montmartrze, przy jednym z okrągłych stolików, których długi szereg ustawiono wprost na chodniku. Oparta o pomalowaną na ostry błękit ścianę, spod przymkniętych powiek przyglądała się paryskiemu życiu. Na placu między rozstawionymi sztalugami kłębił się kolorowy tłum turystów. W mężczyznach, którzy ją mijali, widziała Vincenta; dlatego zapewne przypomniała jej się ta ich ostatnia rozmowa przed wyjazdem. A więc stąd wywodzi się to jego „coś”, takie bezwiedne, mimowolne i od niechcenia, a jednocześnie wyrafinowane, czego nawet po latach mieszkania na Sylcie Vincent nigdy nie zatracił. To miejsce go stworzyło, ukształtowało, odcisnęło piętno. Wciąż był w każdym calu paryski.

W domu naprzeciwko, na narożnym balkonie ostatniego piętra, zauważyła młodą kobietę. W białym płaszczu kąpielowym stała oparta o framugę drzwi, z dużą filiżanką w dłoni, i podobnie jak Eva, chłonęła jesienne słońce.

Ciekawe, jakby to było, gdybym i ja, zamiast Morza Północnego, miała za tło dla swego życia to kolorowe, gwarne i pełne ruchu miasto? Czy miejsce zmienia człowieka? Czy i ona wychodziłaby na balkon taka „leniwie poranna” jak ta paryżanka? Mieszkanie obok zajmowałby jakiś niespełniony malarz, co to przesypiał ranki, a dzień zaczynał późnym popołudniem, oczywiście od mocnej kawy i papierosa. A ona ze stukotem obcasów zbiegałaby po drewnianych schodach z czwartego piętra, zawsze w pośpiechu, zawsze spóźniona do pracy albo na spotkanie, i biegłaby do metra tą kolorową ulicą, pełną wielkomiejskiego gwaru i elegancji. W takim mieście jak Paryż ludzie czekają na listy, muszą czekać, to część magii. A więc i jej zdarzałoby się czasem, że konsjerżka wybiegłaby za nią aż do bramy, z kopertą w dłoni, wołając: „*Oh là là, madame* Eva biegnie nie wiadomo dokąd, o list się nawet nie zapyta!”. Wracałaby ze śmiechem, szczęśliwa. List, jest do niej list!

Ktoś ją niechcący potrącił, przechodząc, i zaraz przeprosił: *Pardon, madame*, proszę wybaczyć. Eva wyprostowała się na ławce, otworzyła oczy. W takim mieście jak Paryż nasze marzenia nieuchronnie podążają za powieściowymi kliszami. Albo za filmowymi. Są romantyczne i dalekie od rzeczywistości.

W tej chwili, w głębi placu, zobaczyła Sophie. Szła obok Olivera, wysoka,

szczupła i tak bardzo podobna do ojca. Bliska, a zarazem zaskakująco daleka i osobna.

Eva poczuła ukłucie w sercu, ból mieszał się z czułością. W jej stronę zbliżała się młoda kobieta. Rano, na lotnisku, w pierwszym odruchu zareagowała po kobiecemu. Na widok Sophie – w czarnych wąskich spodniach, białej koszuli i skórzanej kurtce – przebiegło jej przez myśl: jaka paryska.

Ale zaraz pojawiła się druga myśl, która ją wzruszyła: jaka dorosła. Chciała zawołać: Córeczko!

Lecz głos uwiązł jej w gardle.

*

Kolację zjedli w domu.

Nic nadzwyczajnego – w kuchni Oliver znalazł tylko paczkę spaghetti, resztę oliwy z oliwek i kawałek bardzo suchego parmezanu.

– Poza kawą niemal nie gotuję w domu – wyjaśniła Sophie. Zrobiła przy tym gest, który miał ją usprawiedliwić: w takiej ciasnocie nie da się gotować. – Wiewiórki w dziupli mają więcej miejsca na zapasy – dodała tonem wyjaśnienia.

Rzeczywiście, mieszkanie przerobione ze strychu na atelier nie było zbyt obszerne: lodówka stała w łazience, a pralki w ogóle nie było; Sophie prała swoje rzeczy w pralni na sąsiedniej ulicy.

– Za to zwiedza się je jak muzeum – zauważyła Eva.

I trzeba przyznać, że w odniesieniu do podupadłej kamienicy na Montmartrze to porównanie wyjątkowo pasowało. Cztery piętra w górę po drewnianych schodach, a tam pokryte licznymi warstwami odpadającej farby olejnej drzwi wejściowe, które trzeba było pchnąć biodrem, a następnie szarpnąć, żeby zechciały się otworzyć. W mikroskopijnym przedpokoiku szafa na ubrania (drzwi bez zamka, założone na kawałek złożonego papieru), stojak na parasole, pękata komoda i rząd butów Sophie ograniczały ruchy do koniecznego minimum. Wąskie drzwi do łazienki miały rzeźbione kasetony, ale zamykały się na haczyk z dużego gwoźdźca i pomalowane były na bladą zieleń; również ściany, rama lustra i wycieraczka z napisem „*Bienvenue*” były tego koloru.

Sam pokój był przestronny, choć stosunkowo niski, ze skośnym sufitem, przez co sprawiał wrażenie mniejszego, niż był w rzeczywistości. Ściany dookoła obudowano półkami na książki; jedyne wolne miejsce do spania i jednocześnie do siedzenia (nisko, tylko dwa materace, jeden na drugim, bez stelaża, przykryte kapą w geometryczne wzory) – pozostawało na środku podłogi. Kolorowy szmaciany dywan zasłaniał nierówne deski. Pod biblioteczką po lewej stał mały okrągły stół i dwa gięte krzesła. Trzecie siedzisko – wysoki stołek barowy – Sophie przyniosła z łazienki, ponieważ kuchnia była tak wąska, że poza zlewem, kuchenką gazową, dwiema podwieszonymi szafkami i krótkim blatem pod oknem dachowym nic

więcej się tam nie mieściło.

Oliver nie krył oburzenia.

– Jakie wiewiórki? Jak to, nie da się gotować? Czyżbyś już zapomniała, jak myśmy tutaj... – urwał, zajął się makaronem. Ale długo nie wytrzymał, krytyczna uwaga Sophie ugodziła go w samo serce. – W takim razie, gdzie podziały się wszystkie te puszki pasztetów i gęsich wątróbek, hiszpańskie sardele i marynowane jabłka z Normandii? A kapary i oliwki, a musztarda z Dijon? I to wcale nie dlatego, że tak się nazywały, tylko dlatego, że osobiście je stamtąd przywiozłem?

Sophie rozłożyła ręce.

– Wyjadłam – przyznała szczerze.

– I pewnie nawet nie zauważyłaś, co jesz. – Oliver nie rozumiał ludzi, którzy nie przywiązują wagi do jedzenia. – Wyjadałaś zapatrzona w ekran komputera.

– Nie – roześmiała się Sophie. – W podręcznik biochemii. Po francusku! – Poza tym... – nie dokończyła.

– Poza tym co?

Ich oczy spotkały się na moment. Uważne, ostrożne spojrzenia. Rekonesans. Ale Sophie zaraz się roześmiała, i był to swobodny, beztroski śmiech. W jej życiu nie było teraz miejsca na mężczyznę ani na przelotne przygody, ani tym bardziej na stałe związki. Poza tym Oliver lojalnie ją ostrzegł, że chce zachować wolność, a to oznaczało, że i ona była wolna. Oboje zgodzili się na ten warunek. Życie jest jak polowanie, człowiek raz jest myśliwym, a raz zwierzyną.

– E, nic...

Nie zamierzała się spierać, nie żywiła urazy.

Oliver miał rację również w kwestii gotowania. Rzeczywiście, kiedy Sophie tu przyjechała, kuchnia była zaopatrzona jak restauracja z gwiazdką Michelina. Ale jadła nie z głodu czy dlatego, że lubiła jeść, tylko ze strachu: osaczona i zaplątana w sprawy, których nie rozumiała, osamotniona i zdana na siebie w nowej, nieznannej przestrzeni, która się nagle wokół niej zatrzasnęła. Taki był plan: miała natychmiast wyjechać z Lubeki, ukryć się w tłumie. Dopiero gdy dotarła na miejsce, w tym obcym mieszkaniu, należącym do kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziała, Sophie zrozumiała, że nie ma większej samotności niż samotność w wielkim mieście. Nikt o tobie nic nie wie, nikt nie zauważy twojej obecności.

Ani momentu gdy znikniesz.

– Nie dam rady! – krzyczała w telefon. – Słyszysz?! W Lubece nic mi nie groziło, ja dopiero tutaj zginę. Zrób coś, to był przecież twój głupi pomysł.

Dwa dni później przyjechał. I dopóki nie wyjechał, razem robili zakupy i razem gotowali. Przestała się bać własnego cienia, zaczęła sama wychodzić z domu, zapisała się na kurs języka. Postanowiła nawet wrócić na studia, i to już nie w Lubece, lecz w Paryżu.

Wprawdzie był u niej krótko, zaledwie kilka dni, ale w odczuciu Sophie

dokładnie tyle, ile potrzebowała. Na tym polega przyjaźń, a przynajmniej lojalność.

– Życie jest jak polowanie – powiedziała teraz głośno, patrząc mu prosto w oczy. – Nie chcę stracić tropu. Muszę się skupić.

Naprawdę tak myślała. Bardzo jej pomógł, dzięki niemu stanęła na nogi, i tyle. Aż tyle.

Oliver uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

– Kolacja gotowa! – zawołał w stronę pokoju.

*

Evie nigdy w życiu żaden makaron nie smakował tak jak to spaghetti z oliwą i parmezanem. Była szczęśliwa. Oszołomiona i szczęśliwa. I pewnie z tego powodu początkowo nie zarejestrowała informacji, że to Oliver udostępnił Sophie swoje paryskie mieszkanie.

Będzie jeszcze czas na wyjaśnienia, myślała sennie, dużo czasu.

Czekając, aż Oliver i Sophie pozmywają naczynia i zaparzą kawę – w ciasnej kuchni, oddzielonej od pokoju zasłoną z kolorowych sznurków, z trudem poruszały się dwie osoby – usiadła na szerokim parapecie wykusza okiennego, by nacieszyć oczy widokiem „dachów Paryża”. Ciągnęły się po horyzont, nie miały początku ani końca: błękitne fale, poprzecinane nitką rzeki i siatkami ulic, z iglicą wielkiej wieży i kopułami kościołów, oświetlone milionem rozmigotanych świateł.

Przeniosła wzrok w dół, na ulicę. Dopiero wówczas się zorientowała, że pracownia Sophie graniczyła z narożnym balkonem, na którym rano, siedząc w „Café au Clairon des Chasseurs” naprzeciwno, zauważyła kobietę w płaszczu kąpielowym, z filiżanką w dłoni.

Zapadał wieczór. Na ulicy zapaliły się latarnie, neony reklam i witryny sklepów rzucały plamy kolorowych świateł, załamując się na koronach drzew i opustoszałym o tej porze brukowanym placu. Po prawej, na wysokości jej oczu, i znacznie bliżej niż się wydawało, gdy spoglądała w tamtą stronę z perspektywy przechodnia, wznosiła się sylweta bazyliki Sacré Coeur; w wieczornych światłach trawertyn z Château-Landon, z którego ją zbudowano, jaśniał nieskazitelnie śnieżną bielą. Ruch na ulicach był wciąż duży, lecz nikomu się nie spieszyło. W restauracjach i kafejkach, mimo jesiennego wiatru, przy stolikach na zewnątrz siedziało mnóstwo ludzi, i wciąż pojawiali się nowi. Śmiali się, rozmawiali, pili wino.

Próbując sobie wyobrazić, jak wyglądają tu dni i noce Sophie, Evę ogarnęło niejasne poczucie, że popełnia niedyskrecję. Tak jakby podglądała życie własnej córki, o której kiedyś wiedziała wszystko, przynajmniej tak jej się wydawało, a teraz wiedziała tak niewiele.

*

– Mamo...

Z początku Eva w ogóle nie rozumiała, co Sophie mówi. Dla niej ważne było tylko to, w jaki sposób jej córka się do niej zwraca: Mamo, mamo.

Powoli z natłoku wydarzeń, pozornie chaotycznych, bo rozgrywały się na przestrzeni wielu miesięcy i w różnych miejscach, zaczął się wyłaniać spójny obraz. Spójny i w jakimś stopniu – Eva nie potrafiła jeszcze ogarnąć, w jakim, lecz jedynie to wyczuwała – dramatyczny.

Przeraził ją.

Jak to możliwe, że nie miała o niczym pojęcia? Przecież nie była ślepa ani nieczuła. Kochała Thomasa, rozumieli się. Nie mieli przed sobą tajemnic.

– Kochaliśmy się! Dlaczego mi nie zaufała?

– To nie ty, mamo – uciszyła ją Sophie. – To tata. Próbował cię ochronić. Zrobił wszystko, by to, co zagrażało jemu, nie dotknęło ani ciebie, ani domu.

– Ale dotknęło!

Chciała zaprzeczyć, ale Sophie znów jej przerwała. Jeszcze nic nie mów, najpierw wysłuchaj.

Powoli. Po kolei.

Gdy Thomas zadzwonił do Sophie, był już po rozmowie z dziennikarzem, z którym skontaktował go Ivar Horvath. Oliver von Otter, w pracy posługujący się nazwiskiem Olivetti, w rzeczywistości nie był żadnym paparazzo, który obwieszony aparatami, poluje na sensacyjne plotki z życia gwiazd i wyższych sfer. Specjalizował się w sprawach kryminalnych powiązanych z wywiadem gospodarczym i zwykle, z niewyjaśnionych powodów, ulegających umorzeniu lub przedawnieniu.

Mężczyźni spotkali się w Klanxbüll. Thomas zaczął od przedstawienia sytuacji, pokazał dokumentację patentową, objaśnił, na czym polega nowatorskie rozwiązanie opracowanej przez niego technologii. Następnie omówili możliwe scenariusze i plany awaryjne, na wypadek gdyby coś mu się przytrafiło. Dokumentację odda na przechowanie do banku w Westerlandzie. W domu, w pracowni na strychu, zostawi maszynopis referatu na konferencję oceanograficzną w Oslo, gdzie Olivetti znajdzie zaszyfrowaną informację o kontrakcie z Hongkongu. To zabezpieczenie było pomysłem Thomasa. Rozsiane ślady są pewniejsze niż jeden mocny, oznajmił, i jak się wkrótce miało okazać, nie pomylił się. Na koniec ustalili formy i kanały kontaktu, a ściślej, jeden kontakt – przez Sophie. Obaj uznali, że to jedyne wyjście: dziewczyna studiuje w Lubece, a weekendy spędza na wyspie, z matką. To nie powinno budzić podejrzeń.

Z początku Sophie słuchała relacji ojca, nie przerywając, w napięciu, ale spokojnie. Dopiero gdy kazał jej zapisać numer telefonu do tego dziennikarza, zdenerwowała się i zaczęła krzyczeć, że ojciec nie ma się pakować w jakieś

podejrzane interesy i dziennikarskie śledztwa, tylko iść z tym prosto na policję. A przede wszystkim powinien porozmawiać z mamą, bo jak nie będzie o niczym wiedziała, to nie rozpozna w porę zagrożenia. Nie może stawiać ich obu w takiej sytuacji i jeszcze zasłaniać się troską o ich bezpieczeństwo. Żadne zobowiązania wobec obcych ludzi nie są tak ważne jak rodzina!

Sophie była przekonana, że argumentuje rozsądnie, ale on nie chciał jej słuchać. Twierdził, że nie może pójść na policję, a Evy woli nie alarmować, żeby nie pomyślała, że coś mu grozi. To zupełnie niepotrzebne, uspokajał. I nieprofesjonalne. Mniejsze lub większe ryzyko zawsze jest wliczone w tego rodzaju sprawy.

Sophie nie dawała za wygraną

– A Ivar? Dlaczego go nie posłuchasz? Co takiego on wie i rozumie, czego ty nie potrafisz pojąć?

Thomas jednak upierał się przy swoim: Ivar się przestraszył, miał prawo się wycofać. Ale zachował się lojalnie, przedstawił swoje racje, ostrzegł, przeprosił.

– Są powody, dla których nie możemy się już wycofać, tamci nie zrezygnują tak łatwo... – urwał. Zreflektował się, że powiedział za dużo.

Wpadła w panikę, była bliska łez.

Próbowała go jeszcze złapać za słowo. („A więc przyznajesz, że to niebezpieczne?”).

Ale on tylko się zniecierpliwiał, wyczuła to po jego głosie.

Uciął krótko:

– Spokojnie, to jak z numerem do powiadomienia. Wpisujemy go do komórek dla bezpieczeństwa, a nie dlatego że mamy mieć wypadek, prawda? Zapisz! Na morzu nigdy nic nie wiadomo. Ten dziennikarz będzie wiedział, co robić.

*

– Teraz Cyryl.

Sophie wróciła właśnie z kuchni z butelką wody. Nalała Evie i sobie, Oliver swoją szklankę zasłonił ręką. Wskazał na kieliszek: zostanie przy winie.

– Miał do ciebie zadzwonić i się umówić. Zadzwonił?

Eva skinęła głową na wspomnienie tamtego dnia.

Zadzwonił. Powiedział, że jest kolegą ze studiów i że Sophie prosiła, żeby wpadł do domu po jakieś buty i kurtkę. Buty i kurtka, niby wszystko było w porządku i brzmiało prawdopodobnie, a jednak w jego głosie odczytała nutę fałszu, a może niepewności.

– Dlatego umówiłam się z nim na następny dzień w mieście. Miał przyjść po twoje rzeczy do Johannaesa.

– I?

– I nic. Nie zjawiał się. Teraz już wiem, z jakiego powodu, ale wtedy potwierdziło to tylko moje podejrzenia.

W ogóle był to dziwny czas. Niespokojny i do tego stopnia pełen zagadkowych przypadków i zbiegów okoliczności, że Eva zaczęła sama siebie egzaminować. Taki swego rodzaju „test na pamięć”. Czy to ja nie zamknęłam furki? A te klucze? Swój komplet nosiła w torbie, do kogo więc należały klucze, które kilka dni po tym jak nie doszło do spotkania z kolegą Sophie, zauważyła na stoliku przy drzwiach wejściowych. Od dawna tam leżały? I dlaczego jeden był od jej drzwi, a drugi nieznanym?

A potem jeszcze ten bałagan na strychu.

Kolega Sophie nie zgłosił się po jej rzeczy, widocznie coś mu wypadło. Sophie nie odpowiadała na telefony Ewy, trudno. Po kolejnej próbie skontaktowania się z córką Eva poddała się. Przestała zostawiać wiadomości na komórce, a rzeczy odniosła z powrotem na strych. Jeśli Sophie będzie ich rzeczywiście potrzebować, sama zadzwoni.

Na strychu odstawiła torbę i zanim zeszła, na chwilę przysiadła na górnym stopniu schodów. O czym wtedy myślała? O niczym specjalnym. O ciotce Sarze. O duchach i barwinku.

Sophie spojrzała na nią zaintrygowana.

– O barwinku?

Ale Eva nie odpowiedziała. Barwinek to magia, pamięć o nieobecnych. Nie tylko o zmarłych, również o tych, którzy zniknęli z naszego życia. Wtedy w domu pojawiają się duchy. Podłogi trzeszczą, okiennice stukają, ogień w kominku nie chce się rozpalić. Albo nagle buchnie czarnym dymem. W salonie spadł obraz, zły znak. Eva przypomniała sobie, co mówiła Sara: zasadź w ogrodzie barwinek i zaprosz duchy, żeby miały gdzie zamieszkać, a do domu wróci spokój.

Eva odstawiła szklankę. Podniosła się z dywanu i podeszła do okna. Za nim, w mroku rozbitym przez miliony świateł dalekiego miasta, majaczył czarny kontur żeliwnej balustrady balkonu.

Wróciła do przerwane wątku

– Za Thomasem zawsze ciągnęła się smuga muszli i wodorostów – zaczęła. – Nie policzę, ile razy zmiatałam podłogę na strychu, i za każdym razem na szufelce było pełno piasku. Tym bardziej nie powinno mnie to zdziwić, a jednak...

– A jednak?

– Pod szafą znowu było pełno muszli i piasku, choć nikt ich już nie znosił do domu. Skąd mogłam wiedzieć, że ktoś zna mój dom lepiej ode mnie i wejdzie pod moją nieobecność, żeby dostać się do tajemnej skrytki?

Oliver pokiwał głową.

– I nadal nic byś nie wiedziała, gdyby Cyryl nie stracił głowy. Skrytkę zlokalizował, maszynopis znalazł, a potem popędził na plażę, gdzie zgodnie

z instrukcją wszystko sfotografował komórką. I to tyle, jeśli chodzi o jego zasługi. Bo o kluczach, wychodząc, zapomniał, a zorientował się dopiero, gdy wrócił po zmierzchu, żeby odłożyć maszynopis na miejsce. A komórkę ze zdjęciami zabrali mu ci neonaziści, którzy go pobili. – Oliver obejrzał się na Sophie. – Sama widzisz, jedno słabe ogniwo, i cała akcja poszła na marne.

– Jesteś niesprawiedliwy – obruszyła się.

*

Zegar na wieży kościoła gdzieś w sąsiedztwie wybił północ. Ciekawe, czy był to głos *le Savoyarde* w Sacré-Coeur, o którym Eva przeczytała w przewodniku?

Oliver wstał, rozprostował ramiona.

Zaczął kolejny wątek.

Przecucia Thomasa, podobnie jak ostrzeżenie Ivara Horvatha, nie były bezpodstawne. Thomas Waltzer zginął. Wprawdzie policja umorzyła śledztwo, ale wątpliwości pozostały.

Oliver dowiedział się o śmierci znanego oceanografa z prasy. Jego córka Sophie skontaktowała się z nim kilka tygodni później, żeby przekazać wyniki dochodzenia Izby Morskiej. Stwierdzono, że to był wypadek na morzu. Katastrofa. Sprawę zamknięto, ojca i Larsa Olafssona, jego nowego szypra, uznano za zmarłych.

Instrukcje Olivettiego były precyzyjne. Na co Sophie powinna zwracać uwagę, co robić, a czego unikać. Z kim nie rozmawiać pod żadnym pozorem, a w jakiej sytuacji skłamać. Nie: dlaczego skłamać, tylko – kiedy. Podał jej numer telefonu do redakcji, nie wspomniał przy tym, czy była to jego redakcja czy jakaś inna. Miała powiedzieć, że dzwoni do kuzyna w związku z wakacjami na Krecie. Nie, nie chce, żeby podszedł do telefonu, wie, jak bardzo jest zajęty. Proszę mu tylko przekazać, że bilety zostały już kupione.

Dzwonić miała tylko w razie konieczności, gdyby coś ją zaniepokoiło.

Ale to nie Sophie odezwała się pierwsza.

Któregoś dnia w redakcji Olivera zjawiała się kobieta, młoda, pewna siebie. Przedstawiła się jako Eva Waltzer. Mąż miał złe przecucia, powiedziała. Gdyby coś mu się stało, miała przekazać policji dokumentację patentową, przechowywaną w skrytce bankowej. Ona jednak ma podstawy, by nie ufać policji, dlatego ustaliły z córką, że zwrócą się o pomoc do niego. Papiery trzeba przenieść i ukryć w bezpieczniejszym miejscu. Na pytanie: Dlaczego akurat ja? kobieta odpowiedziała: Bo tak mi mąż kazał. I popełniła błąd. Gdyby powiedziała, że ma na imię Sophie, Oliver pewnie nie od razu by się zorientował, że nie jest to prawdziwy kontakt; Sophie mogła z jakiegoś powodu spanikować i postąpić wbrew instrukcjom. Ale Eva nie mogła „szukać pana von Ottera”, ponieważ nie wiedziała o jego istnieniu. Chyba że Sophie nie wytrzymała napięcia i, wbrew jego

poleceniom, wtajemniczyła matkę? Ale nie, gdyby tak było, wówczas chciałaby rozmawiać z redaktorem Olivettim, a ona zwracała się do niego: panie von Otter.

Oliver poprosił o czas. Taka nieoczekiwana zmiana planów na najbliższe dni, pani rozumie, to wymaga kilku telefonów. Mieli się spotkać za godzinę, w kawiarni na dworcu.

Po wyjściu kobiety natychmiast zadzwonił do Sophie. Właśnie wracała z zajęć w prosektorium, nie, nie kontaktowała się z matką, nic się nie dzieje, nikt jej nie szukał ani nie nagabywał.

To tylko potwierdziło jego podejrzenia. A zatem kobieta kłamała, to było oczywiste. Już samo kłamstwo stanowiło pewien trop, gdyby nic się nie wydarzyło, trudno byłoby mu pójść dalej. Pozostawało pytanie: na czyje polecenie działała nieznajoma? Możliwe, że męża, ale z całą pewnością nie mógł to być Thomas Waltzer.

Olivetti nie tracił czasu na domysły i zbędne wyjaśnienia. Kazał Sophie słuchać uważnie: potrzebne są materiały ze skrytki w banku i kopia referatu z pracowni Thomasa, im szybciej, tym lepiej. On sam, dopóki nie jest to konieczne, woli się nie ujawniać, żeby nie wiązać sobie rąk. Jego kontakt z Evą zwróciłby uwagę, ograniczył pole działania. Sophie musi zniknąć, i to natychmiast.

Na wyspę powinien pojechać ktoś inny.

Manewr z Cyrylem to była konieczność. Natomiast on sam okazał się, niestety, słabym ogniwiem, czy to się Sophie podoba czy nie.

– Może i tak, ale przyznasz, że gdyby nie jego odwaga i przytomność umysłu, policja nie miałaby w ręku dowodu w sprawie pana Meyera.

To prawda, przyznał Oliver. Kolczyk Bellitza przyspieszył i ułatwił robotę policji. Jednak nie zmienia to faktu, że do tego zadania Cyryl się nie nadawał. Odwaga? Do banku poszedł, to fakt, ale odwagi starczyło mu tylko na tyle i na nic więcej, bo już o dostęp do skrytki nie poprosił, spłoszył się i uciekł. Wprawdzie maszynopis z domu Waltzerów udało mu się wynieść, ale całą resztę spartaczył porwany altruistycznym gestem obrońcy starego Meyera. I papiery, których nie zdołał odnieść z powrotem do Waltzerów, wylądowały w błocie bezpowrotnie stracone. Również zdjęcia stracił.

Sophie uniosła rękę.

– Nie tak szybko. Sam mówiłeś, że ludzie komisarza Herzoga znaleźli te papiery i nawet zostały częściowo odtworzone.

– Częściowo. Ale odtworzenie z błotnistej pulpy tekstu maszynopisu to tylko część sukcesu. Nam potrzebne są znaczniki szyfrujące, a te zrobione były ołówkiem.

Co więcej, gdyby nie szczęśliwy traf, straciliby również kod do skrytki, który Sophie włożyła Cyrylowi do kieszeni.

Przyznać trzeba, że Thomas wymyślił sprytny sposób: numer wyrył igłą

wewnątrz muszli omułka. Cyryl to inteligentny chłopak, wiedział, że informacja jest ważna, mógł się nauczyć kodu na pamięć, muszlę zaś ukryć, a nawet wyrzucić. A tak...

– A tak – Sophie znowu weszła mu w słowo – pielęgniarka znalazła muszlę na podłodze separatki, gdzie Bellitz ją rzucił ze złością, bo nie tego szukał. I schowała ją z powrotem do szafki. Jeśli natomiast chodzi o nauczenie się czegośkolwiek na pamięć, to przypominam, że Cyryl w wyniku pobicia doznał amnezji i wcale nie było pewne, że w ogóle cokolwiek sobie przypomni – w jej głosie zabrzmiała nuta satysfakcji. Bo może i prawda, że jej przyjaciel zachował się jak amator, ale nie był aż tak nieporadny, jak przedstawiał go Oliver. – Normalnemu człowiekowi trudno zachować zimną krew w podobnej sytuacji. Nie wszyscy są takimi twardzielami jak dziennikarze śledczy.

Oliver roześmiał się.

– Nie całkiem zasługuję na to miano, ale faktycznie: *touché*! Przyznać trzeba, że chłopak zachował się przytomnie: sprowadził na wyspę Jasmine. Wprawdzie jego plan był taki, że razem pójdzie im sprawniej, a tymczasem zanim Jasmine dotarła na wyspę, on już leżał nieprzytomny na oddziale intensywnej terapii, niemniej sama Jasmine okazała dość sprytu i inteligencji, by w pojedynkę, i to całkowicie w ciemno, podjąć przerwane zadanie. A więc, plus dla Cyryla. Tyle że... – Oliver rzucił Sophie spojrzenie pełne przekory. – Tyle że na spotkanie Jasmine przyniosła wyłącznie książkę, nasz znak rozpoznawczy. Papierów, wykradzonych przez Cyryla z waszego domu, nie mogła przynieść, bo leżały zagrzebane przez Bellitza w krzakach za płotem starego Meyera. A o materiałach w skrytce bankowej po prostu nie miała pojęcia.

Mimo późnej pory Sophie była równie szybka w argumentacji jak Oliver.

– Skąd wiesz? Może miała pojęcie, tylko ty nie wzbudziłeś jej zaufania. Nie pomyślałeś o tym?

Nie rozwinął tematu. Musiałby wówczas wspomnieć o sposobach, jakimi się posłużył, aby zdobyć zaufanie Jasmine, a następnie, jak skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby się z tej znajomości wycofać.

Sophie zauważyła jego wahanie. Nie powiedział wszystkiego. Co pominął?

Przyjrzała mu się uważnie.

Czyżby spotkanie Olivera z Jasmine nie skończyło się na rozmowie o książce Thomasa i miało ciąg dalszy? Części układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Wyczuł jej nieme pytanie, jej domysł.

– To było krótkie spotkanie – uciął.

I jeszcze krótsza znajomość, pomyślała Sophie.

Co poczuła? Zazdrość? Zastanawiała się przez chwilę. Nie, tu nie chodziło o zazdrość, i nie był to żal. Jej rachunki z Oliverem od początku były przejrzyste:

żadnych tajemnic ani nieudomówień. I żadnych zobowiązań. Natomiast jeśli chodzi o Jasmine...

Zerknęła na niego ukradkiem.

Kim był ten człowiek, który mieszkał wszędzie i nigdzie, który wiedział wszystko, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie, lecz o nim samym trudno było powiedzieć cokolwiek pewnego poza tym, że zjawiał się bez zapowiedzi i znikał bez pożegnania? Jak to robił, że nie ujawniając nic o sobie, budził takie zaufanie i poczucie bezpieczeństwa?

Czy rzeczywiście szukał zabójców jej ojca?

A teraz jeszcze mama. Tak jej się tylko wydawało, czy rzeczywiście coś między nimi iskrzyło?

Znowu wróciła myślą do Jasmine. Sama także nie była bez winy, dlatego w swojej relacji Sophie pominęła sporo szczegółów, zwłaszcza z ostatniego spotkania z Cyrylem. Prawdę mówiąc, jeśli jej domysł był słuszny – że Oliver wykorzystał Jasmine, żeby zdobyć potrzebne informacje – to ona postąpiła równie niełojalnie. Oboje ją wykorzystali, Sophie nawet gorzej, bo przyjaźniły się z Jasmine, a to zobowiązuje bardziej niż przelotna znajomość.

A więc tak stajemy się dorośli, pomyślała. Gdy przestajemy ufać, a zaczynamy zdradzać.

Nagle pojęła, w jaki sposób działa ta pułapka: znowu, tak jak wtedy gdy przed kilkoma tygodniami po raz pierwszy weszła do tego mieszkania, poczuła się jak ryba schwytna na haczyk, uwięziona. Każdy ruch powodował ból. Jeszcze nie niewola, jeszcze nie śmierć, ale już – sytuacja bez odwrotu. Bo nawet zerwanie się z tego haczyka nie oznaczało powrotu do stanu dawnej niewinności.

Żyjąc na wyspie, człowiek lepiej rozumie naturę niż ludzi. Sophie od urodzenia uczyła się morza: potrafiła ocenić siłę fali i kierunek wiatru, znała na pamięć nazwy ryb i muszli, wodorostów i traw na wydmach. Ojciec mówił o nich, że to są struktury jej lustra, ponieważ w morzu, jak w lustrze, możemy zobaczyć, jak powinien wyglądać porządek świata. Gdy Sophie skończyła pięć lat, oznajmiła rodzicom, że wie już o morzu wszystko, dlatego zostanie rybologiem; oceanografia wydawała się oczywistym wyborem. Eva wolałaby wprawdzie, żeby córka wybrała medycynę, gdyż jej zdaniem jeden oceanograf w rodzinie w zupełności wystarczy, ale w końcu i ona poddała się rytmowi ich życia, które dzieliło się na wspólny czas rodziny, ze zbieraniem świeżych muszli na kolację i piknikami na plaży, i czas gdy Thomas wyruszał w kolejny rejs, a one z Sophie zostawały same w domu i czekały.

A potem zostały zupełnie same i już nie czekały. Oceanografia przestała być oczywistym wyborem. Sophie zmuszona była przyznać mamie rację: jeden martwy oceanograf w rodzinie w zupełności wystarczył. Przestała żałować, że studiowała medycynę. Życie okazało się całkiem inne, niż tego oczekiwała. Posiadało ciemną stronę, jak księżyc. Wkrótce pokazało, że wbrew jej przekonaniu, wcale nie była

przygotowana. Nie wiedziała jeszcze, że człowiek nigdy nie jest przygotowany. Nagle musiała podjąć działanie, i to błyskawicznie, zgodnie z poleceniami Olivera. Jadąc na lotnisko i potem biegnąc do bramki, wciąż słyszała jego głos w słuchawce: Im szybciej znikniesz, tym lepiej.

Liczył się tylko czas: natychmiast, liczyło się zadanie, jakie zostało jej postawione: zniknąć.

Wyszła z domu, tak jak stała. Nie spakowała się, nie zabrała ze sobą nic, oprócz torby, z którą codziennie wychodziła na uniwersytet. Oliver kazał jej zniknąć, ale nie powiedział, na jak długo, a ona nie przewidziała, że to może trwać tygodniami. Zamówił dla niej bilet lotniczy do Paryża, który wydrukowała na lotnisku, podał nazwę stacji metra, na której miała wysiąść, i adres. Sophie nie zastanawiała się, nie analizowała sytuacji. Wykonywała polecenia mechanicznie, jak automat, szybko i sprawnie. Dopóki nie wylądowała – w akwarium. Ryba w szklanym kloszu. W zamknięciu, w obcym świecie, czas nie płynie, nie umyka, nie przecieka przez palce. Zatrzymuje się. A my krążymy wewnątrz, poobijani, odliczając minuty, które nie są nam do niczego potrzebne.

*

Olivier żądał więcej. Musiała dostarczyć mu papiery, bez których nie mógł dalej działać. Papiery ojca. I musiała znaleźć kogoś, kto wykonałby zadanie. W jaki sposób to zrobiła, jak udało jej się namówić Cyryla, nie miało większego znaczenia, ponieważ nikogo to nie interesowało. Przynajmniej wtedy, w popłochu i napięciu, tak pomyślała. Ma prawo zrobić coś dla kogoś kosztem kogoś innego.

Pomyliła się. To była jej lekcja. W dorosłym życiu robimy rzeczy, o których potem wolelibyśmy nie pamiętać, ale pośpiech i konieczność okazują się niewystarczającym powodem. Żaden powód nie jest dość dobry, nawet śmierć ojca. I trudno winić Olivera za to, co ona sama zrobiła, to nie on kazał jej nadużyć zaufania przyjaciół. Nawet obwinianie zabójców jej ojca nie wydawało się już wystarczającym usprawiedliwieniem dla własnych postępów.

Jako idealista, tata byłby zawiedziony. Z drugiej strony...

Czy nie oznaczało to, że ucząc córkę czystej natury morza, Thomas Waltzer sam był ślepy i nierozważny? Że popełnił błąd, ponieważ życie opiera się na zupełnie innych zasadach, które często trudno wręcz nazwać zasadami? Sophie tak nie uważała, ale jako dziecko wierzyła, że ojciec jest nieomylny i wie wszystko. Dlaczego więc nie przewidział, że jego córka, z jego powodu, będzie zmuszona uciekać, kryć się i zacierać ślady, a w dodatku robić rzeczy, z których teraz nie była dumna?

Sophie westchnęła. Mogła tylko liczyć na to, że Jasmine jej wybaczy. A przynajmniej postara się zrozumieć.

Usłyszała głos za plecami. Odwróciła się.

– Pokroisz? – To Oliver. W wyciągniętej ręce trzymał cytrynę. – Na ósemki.

Ich oczy na moment znów się spotkały, potem, niemal jednocześnie, oboje obejrżeli się za siebie, w stronę pokoju, gdzie Eva stała przy oknie zapatrzona w nocne miasto.

Odebrał ostrzegawczy sygnał. Uważaj, nie skrzywdź jej!

To coś więcej, zdawał się mówić jego wzrok. Wierz mi.

Sophie sięgnęła po nóż. Zaczęła kroić cytrynę.

*

Świtało, gdy skończyli.

Zeszli po drewnianych schodach cztery piętra na dół, starając się nie narobić hałasu. Mijając konsjerżkę, któreś z nich potknęło się w mroku na pękniętym kaflu posadzki. Zamarli, powstrzymując śmiech. Firanka w oknie dozorczyńni poruszyła się, ale światło się nie zapaliło.

W kawiarni naprzeciwko, tej samej, w której Eva poprzedniego dnia czekała na Olivera i Sophie, zamówili kawę i świeże croissanty. Eva wybrała dla nich stół pod oknem, z parkową ławką, zamiast krzeseł, i z widokiem na Place du Tertre, gdzie mimo wczesnej pory pierwsi malarze bez pośpiechu rozstawiali już swój warsztat, nie tyle z gorliwości i pasji do sztuki, ile po to, by zająć dogodniejsze miejsce wśród stu czterdziestu dziewięciu oczek pajęczej sieci, co rano zastawianej na turystów.

Sophie czekała na zamówienie przy kontuarze, przyglądając się, jak kelner ustawia na tacy spodki, parujące filiżanki prosto ze zmywarki, dzbanek z gorącym mlekiem, talerzyk z croissantami. Kiedy skończył, włączył radio: *Le café est dans les tasses / Les cafés nettoient leurs glaces / Et sur le boulevard Montparnasse / La gare n'est plus qu'une carcasse / Il est cinq heures / Paris s'éveille / Paris s'éveille...*

Oliver usiadł obok Evy. Poglądził ją po policzku. Czuły gest, niespodziewany.

– Przed wyjściem sprawdziłem maile – powiedział. – Herzog napisał, że wznowili śledztwo. Są nowe tropy, w stronę leci do Hongkongu. Sprawą zainteresowali się Amerykanie, a oni nigdy nie odpuszczają.

Za oknem podmuch wiatru zakołysał koronami drzew. Pręgowany kot zeskoczył z pokrywy śmietnika i ruszył w pogoń za żółtymi liśćmi.

Liście i wiatr, kot. Rozpędzone chmury. Jesienny poranek w Paryżu i piosenka Dutronca: *Paris s'éveille...* Paryż się budził.

Podniosła palec do ust.

– Ciii, nie dziś, potem. Teraz to – skinęła głową w stronę okna.

I na widok Sophie niosącej tacę:

– Teraz śniadanie.

Pili kawę w milczeniu. Po nieprzespanej nocy ogarnęła ich senność.

Nagle Evie coś się przypomniało.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego ta kawiarnia nazywa się „Café au Clairon des Chasseurs”? – spytała. – Skąd w Paryżu kawiarnia pod trąbką myśliwską?

Rozdział ostatni: Pożegnania

Jasmine rozejrzała się po pokoju, chcąc się upewnić, że o niczym nie zapomniała. Ale nie, zabrała wszystko, nawet skarpetkę, którą celowo rzuciła pod umywalkę, gdy parę tygodni temu zakradła się tu nocą namówiona do tego przez pana Meyera.

Była spakowana. Zeszła na dół. W korytarzu, wąskim i mrocznym, po raz ostatni przystanęła w drzwiach do salonu. Mimo że posprzątany – rzeczy, które nie zostały zniszczone podczas napadu, wróciły na swoje miejsca – sprawiał wrażenie opuszczonego. Został opuszczony, poprawiła się w myślach. Jego właściciel już tu nie wróci, nie zagra na fortepianie ani nie zaprosi gościa na herbatę.

Z pewnym zdziwieniem uzmysłowiła sobie, że mimowolnie stała się świadkiem końca pewnego świata. Po raz pierwszy przeżyła śmierć kogoś, kogo знаła.

Wciąż nie potrafiła się otrząsnąć.

Ustawiła naprawiony zegar na kominku, młody policjant zamknął za nią drzwi, a klucz wrzucił do plastikowego opakowania, oznaczonego odpowiednim kodem. Hans Meyer zmarł w szpitalu, nie miał spadkobierców. Jego dom pozostał zaplombowany, do czasu dalszych ustaleń jedynie policja miała do niego dostęp.

W samochodzie, przed domem, czekał komisarz Herzog.

Było jeszcze wcześniej, gdy dotarli z powrotem do Westerlandu, do odejścia pociągu pozostało sporo czasu. Dzień był pochmurny i wietrzny; Jasmine nasunęła kapelusz głębiej na czoło. Gdy zajechali na nabrzeże, chciała się pożegnać, ale komisarz wysiadł razem z nią.

– Mam tu spotkanie – powiedział.

*

Bibianne Berg odstawiła filiżankę z herbatą ziołową i charakterystycznym gestem poprawiła okulary. Spojrzała na ekran laptopa. Zajęta pisaniem, nie spostrzegła, kiedy komisarz Herzog zjawił się przy jej stoliku z tacą w ręku.

– Pozwolisz? – Wskazał brodą na tacę, na której stało jego śniadanie: jajecznica na bekonie i dwa spieczony tosty, z topiącym się masłem. – W domu nie zdążyłem.

Bibianne odsunęła swoje rzeczy. Spojrzała na dzbanek z kawą z zazdrością.

– Ta robota mnie wykończy – westchnęła. – I pomyśleć, że kiedyś tak lubiłam kawę.

Herzog kiwnął głową w stronę dzbanka.

– Ja też przeszedłem ostatnio na zbożową. Za dużo nerwów.

Za barem Johannes postukał kolbą o pojemnik. Bibianne uśmiechnęła się na ten odgłos. Miejsca mają swoje rytuały, jak ludzie. Będzie mi brakowało tego baru,

pomyślała.

– Byliście na pogrzebie? – Nie wiadomo, do kogo Johannes kierował pytanie, ale nie miało to dla niego większego znaczenia. – Cała wyspa się zjawiała. Ludzie nie są głupi, wiedzą, że Hans Meyer walczył w słusznej sprawie. Ktoś musi to powiedzieć otwarcie: Heinrich Reinefarth był zbrodniarzem, a nie bohaterem wojennym. I tej prawdy nie da się uciszyć kijem baseballowym.

Komisarz Herzog pokiwał głową. Społeczeństwa dojrzewają do prawdy dłużej niż ludzie. Sprawa Reinefartha była tego najlepszym dowodem.

– A wiecie – zmienił temat Johannes – że u Adama stwierdzono zaburzenia emocjonalne? Zalecono leczenie psychiatryczne, dlatego wyrok był łagodny, i w zawieszeniu. No, ale jego kumplom nic nie dolega, odpokutują swoje i jeszcze odpracują na rzecz miasta. Przyda się i im, i miastu, prawda, komisarzu?

Johannes nie mówił głośno, ale słyhać go było w całym barze. Ludzie mają prawo do poczucia bezpieczeństwa we własnym domu. Jak się nad tym głębiej zastanowić, jest to ważniejsze niż prawa wyborcze.

– Słyszeliście, oczywiście, że *Frau* Bellitz się wyprowadza. Zamieszka u siostry w Lubece. Podobno, gdy przyszła na widzenie, syn nie chciał z nią rozmawiać. Nic dziwnego, że postanowiła wyjechać. Szkoda, wielka szkoda i strata.

Może dziwnie to zabrzmiało, ale oprócz rozpachy matki była jeszcze jedna rzecz, która martwiła Johanna w związku z tym wyjazdem: konfitura morelowa. Po śmierci Emmy Schachmann *Frau* Bellitz przejęła pałeczkę i trzeba przyznać, robiła to znakomicie. Wprawdzie tegoroczny zapas na zimę Johannes zdążył jeszcze zamówić i odebrać od Emmy, ale co będzie, jak *Frau* Bellitz wyjedzie?

– Ktoś będzie musiał wyprawiać się do Lubeki po świeżą dostawę. Chyba że wspólnymi siłami zatrzymamy Paulette – roześmiał się łobuzersko. Od powrotu z Gotlandii był w wyjątkowo pogodnym nastroju.

Herzog odstawił pustą filiżankę, spieszył się. Bibianne podała mu zieloną teczkę.

– Tu masz dane ze Szwajcarii, a tu – wskazała odręczną notatkę przypiętą spinaczem do okładki – adres mailowy do doktor Felicitas Maeder z Bazylei³⁵. Wyniki jej badań zmieniają wprawdzie definicję samego bisioru, ale nie mają wpływu na ustalenia prokuratury w naszej sprawie.

I na pożegnanie:

– Dalej nie będę wam już potrzebna. Dziś wyjeżdżam, mój pociąg odchodzi za godzinę. Powodzenia.

Gdy wyszedł, pochylała się ponownie nad klawiaturą. Chwilę się namyślała, nim zaczęła pisać dalej: *Eva lubiła swoje stałe miejsce przy oknie i smak rogalika francuskiego z masłem i konfiturą morelową. I zapach kawy, zawsze tak samo intensywny, jako że Johannes uznawał tylko kawę prosto z palarni. Eva lubiła też*

Johannesa...

*

– Ale, ale... Najważniejsza wiadomość. Słyszeliście, że Eva odnalazła Sophie? Spotkały się w Paryżu. – Na wiadomość o jej wyjeździe Johannes kazał Rose ustawić na stoliku pod oknem tabliczkę „Zarezerwowany”. Nie ma Evy, to i stolika nie ma, oświadczył kategorycznie. – Wczoraj wróciła, a dziś rano była już na pierwszej kawie! – W jego głosie zabrzmiała nie tyle emocja, z jaką opowiada się plotki i sensacje, ile autentyczne przywiązanie.

Bez Evy wszystko wydawało się inne.

– Nawet Agat tęsknił – mruknął, niezdarnie odpowiadając na uścisk, jakim go rano przywitała. – Zamiast przy drzwiach wejściowych, warował pod twoim krzesłem.

Z miejsca gdzie siedziała Bibianne Berg, widać było bulwar nadbrzeżny. Aż trudno uwierzyć, że tyle tygodni minęło, odkąd przyjechała na Sylt po raz pierwszy. Myślała, że sprawa Waltzera okaże się prosta, ona zaś zostanie jeden, dwa dni, nie dłużej, i nigdy więcej tu nie wróci. Stało się inaczej, a ślady prowadziły aż do Hongkongu.

Rozejrzała się po sali, nagle opustoszałej po śniadaniowym zawirowaniu. Tylko dwa stoliki dalej, przodem do okna, siedziała rudowłosa dziewczyna w filcowym kapelusiku. Jasmine Roegge. Właśnie sięgnęła do torby i wyjęła z niej laptop, notatnik i książkę. Bibianne zerknęła ciekawie, ale było za daleko, nie zdołała odczytać tytułu.

Ciekawe, co pisze?

W głębi za dziewczyną, na szerokim parapecie okna, leżały przybory malarskie Vincenta le Puy. Jego samego nie było. Za to stała tam, opierając się czołem o szybę, Rose Lighthouse i obserwowała Vincenta, który po drugiej stronie ulicy rozmawiał z jakąś kobietą. Elegancka, pewna siebie, światowa. Widać było, że to ona mówi, co więcej, robiła to w sposób, który miał zmusić słuchacza do uległości. Każdy jej gest był jak ostrzeżenie: Proszę mi nie przerywać, teraz ja mówię.

I rzeczywiście, Vincent nie przerywał. Stał nieporuszony, z lekko pochyloną głową, przyglądając się kobiecie znad okularów. W pewnej chwili drgnął, jakby chciał coś powiedzieć, ale trwało to ułamek sekundy, nie więcej. Zrezygnował, znów pochylił głowę. Mimochodem spojrzął na swoje ręce, oczywiście poplamione farbami, po czym skrzyżował je na piersiach, w widocznym odruchu samoobrony.

Rose aż prychnęła z oburzenia na ten widok. Czego to babsko od niego chce?

– Od razu widać, że każdego owinie sobie wokół małego palca – westchnęła z rezygnacją bliska łez. Vincent nie zasługiwał na takie traktowanie. Ileż razy miała

ochotę dotknąć tych kolorowych śladów na jego dłoniach, a choćby tylko umyć mu te jego słoiki i pędzle. Ale coś ją powstrzymywało. Nie była to obawa, Rose nie bała się Vincenta. Przyzwyczyła się do jego ironicznego milczenia, a sarkastyczne uwagi, jakie nieraz wypowiadał, gdy w końcu się odezwał, kwitowała śmiechem; jej też nie brakowało ciętego języka, nie pozostawała mu dłużna. Nie, jej chodziło o ten jego dystans – do siebie, do świata, do ludzi. Czasami odnosiła wrażenie, że są już blisko, naprawdę blisko pierwszego dotknięcia czy spojrzenia, które powiedziałoby coś więcej. Ale zaraz oboje wycofywali się na bezpieczne pozycje. Są sprawy, których lepiej nie ponaglać, powtarzała sobie.

Przycisnęła czoło do szyby. Ot, i po marzeniach. Z taką kobietą nie warto się ścigać, przy niej zwykła dziewczyna nie miała żadnych szans, a co dopiero Rose w ciąży. A jednak szkoda, że oboje z Vincentem tak długo zwlekali.

Drzwi do baru otworzyły się i do środka wtargnął zimny powiew wiatru wymieszany z ciepłym zapachem wanilii i cytryny. To Nicolas le Puy przywiózł Paulette z dostawą świeżo upieczonych brioszek.

Stanęli oboje na środku baru. Paulette, okutana w szal z kolorowej włóczki i w berecie z pomponem, zarumieniona, nie przestawała dyrygować ojcem. Potrzymaj, nie, nie tak, o tak, oddaj mi blaszki, a weź to, i to, i jeszcze to. O dziwo, *monsieur* fukał pod nosem z udawanego oburzenia, ale posłusznie poddawał się rozkazom smarkuli: *Mais oui, ma petite poule, tout de suite. Voilà, ça y est!*

Paulette obesza kontuar dookoła i zaczęła przekładać brioszki z blachy na tace ustawione w witrynie kontuaru.

– Z rodzynkami i skórką cytrynową. A te z wanilią i lukrem. To ostatnia dostawa – oznajmiła. – Jutro wyjeżdżamy.

Gdy skończyła, kazała ojcu odnieść blaszki do samochodu. Żeby nie robić Johannesowi bałaganu, dodała ostrzegawczo.

Sama została za kontuarem. Nalała sobie kawy, a po chwili namysłu sięgnęła po drugi kubek. Następnie podeszła do okna, gdzie stała Rose.

– Słaba, z dużą ilością mleka. Posłodziłam miodem – powiedziała, szturchając Rose łokciem.

Piły w milczeniu. Teraz już obie obserwowały scenę za oknem. Paulette pociągnęła nosem, co miało oznaczać coś między lekceważeniem a poczuciem wyższości.

– Mój przyrodni brat jest ode mnie starszy o trzydzieści lat, a zachowuje się jak potulny chłopiec.

I po chwili:

– Ważna mi pani adwokat. Myśli, że jak się wystroi tak samo jak jej klientka, to nabierze klasy. Nie martw się, Vincent nic nie mówi, ale się nie da.

Rose oderwała wzrok od okna.

– Adwokatka? O czym ty mówisz?

– Nie słyszałaś? Yvonne, jego była żona, wyjeżdża z nowym amerykańskim narzeczoną do Kalifornii. Ktoś powinien pojechać do Paryża i zająć się domem. Podobno przez wzgląd na dawną miłość. Ale ktoś nie ma na to ochoty, ponieważ woli życie na wyspie.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Skąd? – Paulette zrobiła sprytną minę. – Od mojego brata. Zapytałam, a on odpowiedział.

– To niemożliwe! – Rose wróciła do przerwanej obserwacji. – Vincent nigdy nie odpowiada na pytania.

– Odpowiada. Wystarczy zapytać w taki sposób, żeby odpowiedź brzmiała: tak lub nie. Mężczyźni nie są z natury bardzo rozmowni.

Paulette skrzywiła się na wspomnienie pytań, które powinna była zadać Adamowi, ale była tak zaślepiona, że zapomniała. I znów wyszły z tego same kłopoty, i jeszcze wstyd.

Na przyszłość będzie mądrzejsza.

– I tobie też tak radzę, Rose – powiedziała reżolutnie. – Pytaj, a będziesz wiedziała o swoim mężczyźnie to, co chcesz o nim wiedzieć.

*

Drzwi wejściowe zatrzasnęły się za Paulette i jej ojcem.

Jasmine odruchowo dotknęła runda kapelusza. Od rana wiał silny wiatr, pogoda nie była najlepsza na pożegnania. Ale może właśnie w takie dni należy wyjeżdżać? Człowiek chętniej wyrusza w drogę powrotną, gdy za sobą zostawia deszcz i jesień, a nie wiosenne światło czy pełnię lata.

Spojrzała na zegarek.

Rano Cyryl poszedł na dworzec kupić bilety. Potem miał wrócić do domu, żeby się spakować. Powinien już tu być.

Siedziała wpatrzona w wygaszony ekran. Nie pisała. Wiedziała, że powinna, ale nie potrafiła się zmusić. Przeżycia ostatnich tygodni były zbyt świeże. Jasmine wiele by dała, żeby móc wrócić do dawnego życia, jeszcze więcej, by uwierzyć, że Cyryl naprawdę znów chciał z nią być. I że był tamtym dawnym Cyrylem, którego kochała.

Niepotrzebnie tak się przejmuje. Przecież wszystko dobrze się skończyło i chce zacząć od początku. Tyle tylko że ona nie była pewna, czy tego chce. Nie można wykluczyć, że jemu wciąż zależało na Sophie. Albo że Sophie znów będzie go potrzebowała.

Tak, bo była jeszcze Sophie.

*

Powinna się skoncentrować na tym, co teraz dla niej najważniejsze, a teraz

najważniejsze były studia. Tymczasem, zamiast coś zaplanować, a choćby tylko dokończyć referat z filmologii, ona spędzała czas, usiłując ujrzeć swoje „bergmanowskie wnętrze”, jak je nazywała – w sytuacji próby, przez jaką kazało jej ostatnio przejść trzech mężczyzn.

Cyryl. I pan Meyer, którego przed dwoma dniami pożegnała wraz z innymi na westerlandzkim cmentarzu. Oskar?

Zastanawiała się przez chwilę, nie, od wielu dni o tym myślała. Potrzebowała dystansu.

Impulsywnie pochyliliła się nad klawiaturą, zaczęła pisać:

OSOBY: Mężczyzna i Kobieta.

Siedzą po przeciwnych stronach pokoju, daleko od siebie. Ona przy oknie, on koło kominka. W palenisku przygasa ogień. Milczą, siedzą bez ruchu, udają, że na siebie nie patrzą, ale kątem oka obserwują się nawzajem: drobne poruszenia warg, palców, ramion. Mężczyzna chętnie poprawiłby kołnierzyk; przez cały czas czuje, że coś go uwiera, myśli o tym. Ale powietrze jest nieruchome, cisza paraliżuje.

Kobieta odwraca się, spogląda w okno. Po szybie spływają strużki deszczu, nie może nic zobaczyć, ale wie, że tam, za deszczem, w deszczu – jest morze. Myśli o swoim ogrodzie: jak wyglądałby zalany morzem? Zielony podwodny ogród, a w nim jej westerlandzkie róże. Czy z tak blahego powodu jak refrakcja światła zatopione płatki utraciłyby żółte zabarwienie na rzecz błękitu?

Mężczyzna przygląda się miękkiej linii jej karku, włosom upiętym wysoko, w nieładzie. Jej dłonie na kolanach, kobiece dłonie. Nie nosi pierścionków, tylko na lewym nadgarstku połyskuje bransoletka z wisiorkiem w złotej plecionce. To od męża, powiedziała kiedyś. Kiedyś to był znak, dodała, ale teraz nic już nie znaczy. To tylko bransoletka.

Mężczyzna wyjmuje z kieszeni pomietą kopertę.

– Napisał do mnie do redakcji na kilka tygodni przed śmiercią – mówi. – Prosił, żebym się zajął tą sprawą, odszukał...

Z koperty wyjmuje zdjęcie, pokazuje je kobiecie: dwie roześmiane dziewczyny, jedna blondynka o prostych włosach i szarych oczach. Jest podobna do matki, tylko jakby jaśniejsza w tonacji.

Druga ma rude włosy.

Kobieta przenosi wzrok z fotografii na mężczyznę. Słucha, co do niej mówi, wpatrzona w jego usta. Pamięta ich dotyk na swoich wargach. Wszystko jest względne, myśli sennie, nawet miłość.

Mówi:

– To była chwila. On i ja – wtedy. I potem – my.

Mężczyzna milczy, w końcu mówi:

– Tak, to była chwila. Już minęła. Ta również minie.

Ich oczy spotykają się i tym razem kobieta nie ulega pierwszej, wytrzymuje

jego spojrzenie, a wraz z nim wszystko, co chciałby jej powiedzieć. Życie to poważna sprawa, tak jak śmierć. Jeśli więc żyć i kochać, to tylko teraz. I tylko tak – poważnie.

*Kobieta wstaje, przechodzi przez pokój. Zatrzymuje się przed mężczyzną.
– Niech będzie tak, jak chcesz – mówi. – Teraz.*

Jasmine oderwała wzrok od ekranu. Bergman wskazuje, że człowiek może umrzeć na wiele sposobów, a jednym z nich jest utrata poczucia tożsamości. Żyjemy, dopóki dotrzymujemy Śmierci kroku w grze, zdaje się mówić reżyser. To gra na zwłokę. Lecz Śmierć jest przebiegłym graczem i nie ma takiej kombinacji gońca i konia, by udało nam się Śmierć wyprowadzić w pole. Podjęcie przez nas gry budzi jednak zainteresowanie Śmierci, w jej oczach pojawia się błysk. Warto grać.

Sięgnęła po leżącą obok książkę. Przez chwilę przerzucała strony, w końcu znalazła fragment, o który jej chodziło:

Pochylają się nad szachownicą. Antonius Block wychodzi królem. Śmierć rozpoczyna grę takim samym ruchem.

Poranna bryza ustała, ustał też niespokojny ruch morza, fale uciszyły się. Znad lekkiej mgły uniosło się słońce, jego promienie nabrały blasku. Pod ciemną chmurą, marząc o przestworzu, szybuje mewa. Wstał upalny dzień [...] ³⁶.

Z dłońmi zawieszonymi nad klawiaturą zastanawiała się przez chwilę. Wszystko? Czy to wszystko? Potem pod tekstem swojego referatu – a może scenariusza, Jasmine nie była tego pewna – napisała wersalikami: KONIEC.

Profesor Orth wielokrotnie im przypominała, że tak się nie robi, nie pisze się słowa: „Koniec”. Historia zawsze jakoś się kończy, ale powinna pozostawić widza z poczuciem, że to nie koniec wszystkiego, że życie bohaterów nadal trwa. A jednak Jasmine tak napisała, ponieważ tak właśnie poczuła. Że coś się skończyło.

*

Bibianne wyjrzała przez okno. Wciąż padało. Ulica była pusta, tylko od strony miasta zbliżał się szczupły, krótko ostrzyżony chłopak z plecakiem na ramieniu.

Pora się zbierać.

W tej samej chwili rudowłosa dziewczyna również zauważyła tamtego chłopaka. Spojrzała na zegarek, szybko spakowała torbę. Wstała niemal jednocześnie z nią, podeszła do kontuaru, sama włożyła pieniądze do kasy i wydała sobie resztę. Następnie to samo zrobiła i z jej rachunkiem. Wydając resztę, uśmiechnęła się. Potem pożegnała się z Johannesem, pogłaskała psa.

Już miała odejść, gdy nagle coś jej się przypomniało.

Sięgnęła do torby.

– Niech tu zostanie – powiedziała, stawiając na ladzie staromodny budzik z dwoma dzwonekami. – Na pamiątkę.

Post scriptum

12 października 2014, w barze „Bande-à-part” na nabrzeżu, Westerland, na wyspie Sylt

Kochana Siostrzyczko,

z wyspy na ląd nie jest daleko, zaledwie pół godziny jazdy pociągiem. Ale mnie się zdaje, że za chwilę od tego otoczonego morzem i porośniętego dziką różą i trawami piaszczystego spłachetka fryzyjskiej ziemi oddzieli mnie lata świetlne.

Szkoda, że nie udało Ci się przyjechać. Dobrze, że złamanie nie jest skomplikowane, obyło się bez operacji. Rozmawiałam z Ojcem, powiedział, żebym się nie martwiła, zajmą się Tobą razem z Piotrem, będą robili zakupy i gotowali. Wracaj szybko do zdrowia!

Który to już raz? Policzmy: najpierw przez kilka miesięcy jesieni / zimy 2012/2013 rozważaliśmy, gdzie to my się wreszcie spotkamy. Dokładne pomiary odległości dzielącej Lizbonę od Warszawy wskazały, ku naszemu zaskoczeniu, na miasteczko Moux-en-Morvan w Burgundii. Z pewnym trudem przyszło nam nazwać ten losowy wybór „przypadkiem”, skoro właśnie tam, w kamiennym domu z łupkowym dachem, przy Rue du 19 Mars 1962, Vincent spędzał letnie wakacje u stryja Anzelma. No, ale miejsce na spotkanie byłoby idealne: blisko do opactwa w Cluny, jak również do Autun, z cudowną katedrą Świętego Łazarza, gdzie wśród płaskorzeźb jest ta przedstawiająca uśpionych Trzech Króli. Pomyślałaś o tym? Droga była daleka, a oni gdzieś musieli się zatrzymać na nocleg, by odpocząć.

Gdyby starczyło czasu, mogłybyśmy jeszcze zwiedzić Baune, z ufundowanym w 1442 roku przez Nicolasa Rolin słynnym Hospicjum. Samo miasto nie jest może, jak na stolicę Burgundii, zbyt okazałe, ale pełne uroku starej Francji. W każdą sobotę na miejskim targu można kupić wyborne owoce i warzywa z miejscowych sadów, winnic i ogrodów, a także kurczaki z Bresse i sery z Jury, a o tej porze roku również kasztany i trufle. Ale założę się, że dla Vincenta ważniejsze od zabytków i krajobrazów byłyby najlepsze pod słońcem *les glaces au menthe et pepites de chocolat* z lodziarni *madame* Huguette Chamas. Nam wystarczyłyby katedry. Chociaż porcja takich lodów miętowych z czekoladą w przerwie, dla odpoczynku, nie byłaby do pogardzenia. Przy okazji mogłybyśmy zajrzeć do jednej z pobliskich winnic.

Nie zajrzałyśmy. Spotkanie musiałyśmy odwołać, przyznaję, z mojej winy. I tak ominęły nas łąki i winnice Morvan, platanowe aleje i przyjemność zaglądania w okna kamiennych domów. Ale to nic, już kolejna wiosna upłynęła nam na planowaniu przyszłych, i kto wie, może całkiem jeszcze możliwych do zrealizowania, wędrówek po Paryżu. Bo to Paryż zawsze uruchamiał naszą wyobraźnię najbardziej mitycznie i romantycznie. W końcu to miasto po to tylko istnieje, by spełniać marzenia.

A dalej? Dalej miała być Gotlandia. Ostatnie dni września były jeszcze ciepłe i pogodne, a światło niemal tak złote jak na naszych Kaszubach. Przez tydzień czekałam w Visby, na próżno licząc, że jednak uda Ci się wyrwać z Lizbony. Nie przyjechałaś. Niemniej nie był to całkiem stracony tydzień. Krążyłam po wąskich uliczkach, odkrywając tajne przejścia i zakątki, pamiętające czasy Hanzy, a może nawet jeszcze starsze, gdy wyspę zamieszkiwali wikingowie. Zbierałam skamieliny i muszle na plaży, fotografowałam jesienne róże w starych zaułkach wokół rynku, wędrowałam wzdłuż średniowiecznych murów, byłam w muzeum. Kupiłam sweter z gotlandzkiej wełny, bo wieczory bywały już chłodne. Powtarzając w myślach nową wersję znajomego refrenu: *Miss Holiday Golightly, Traveling / Presently on Gotland, Sweden*, odbyłam pieszą wycieczkę do Själsö, wioski rybackiej położonej 7 kilometrów na północ od Visby, gdzie niemal sto lat temu rzeźbiarka Caroline Benedicks i jej mąż kanadyjski malarz William Blair Bruce zbudowali magiczny dom Skälsö Gård, zwany „Brucebo” (naprawdę magiczny, kiedyś opowiem). W cudownym ogrodzie, który był już dziełem samej Caroline, gdyż William zmarł w tym samym roku, w którym ukończono budowę domu – na Boże Narodzenie zakwitają białe róże odmiany wyhodowanej przez Karen Blixen.

Ostatniego dnia wybrałam się samotnie w okolice, gdzie Tarkowski nakręcił swój ostatni film *Ofiarowanie (Offret / Sacrificatio, 1986)*, opatrzony dedykacją „Dla Andriuszy” – syna reżysera. Film przesłanie, film testament; Tarkowski zmarł wkrótce po jego ukończeniu, montaż robił już w szpitalu. Dla mnie równie istotna jak sama fabuła i jej biblijna wykładnia jest postać synka głównego bohatera Aleksandra (w tej roli genialny bergmanowski Erland Josephson). Synek nie ma imienia, nazywają go „Maleństwem” lub Małym Człowiekiem. Mimo że przez cały czas w sposób istotny jest obecny, zawsze blisko ojca, to jednak niemal do końca nie wypowiada ani słowa. Odezwie się dopiero w ostatniej scenie, gdy wszystko się dokona. Powie: „Na początku było słowo... Dlaczego, tato?”.

Wstrząsająca scena, która powinna poruszyć nasz świat z posad języka. Albowiem dziś pewnie mało kto pamięta (współczesny chrześcijanin nie musi być lingwistą), co w istocie oznacza *In principio erat Verbum*. Staropolskie „słowo” oznaczało orzeczenie w zdaniu, a więc właśnie *verbum*. Czyn, działanie, akt (s)tworzenia. Notabene, „imię” wskazywało na podmiot owego działania, nazywało (mianowało) sprawcę czynu. Na potwierdzenie mamy historyczne dowody: przysłówek to określenie stojące „przy słowie”, to jest przy czasowniku / orzeczeniu, a z kolei przyimek stoi „przy imieniu” to jest przy rzeczowniku / podmiocie. „Mądrej głowie dość dwie słowie” to po łacinie *Dictum sapienti sat est*. *Dictum*, nie *verbum*.

Ale do rzeczy. Czytam ponownie Twój ostatni list:

Bibi, w rzeczywistości nic się nie dzieje aż tak szybko, jak nam się wydaje.

Nasz puls i oddech, nasze kroki i wypowiedane słowa mają swój wymiar czasowy, wdech, wydech, wybrzmienie, i dopiero wtedy kolejny krok. Nie martw się, kiedyś przecież wybierzemy się i na Sylt, i na Gotlandię. Znam Cię, zaraz zapytasz: kiedy? A ja odpowiem jak Johannes: Gdy rzeczy ułożą się we właściwej kolejności. Bo nic nie dzieje się w próżni, z wyłączeniem całej reszty, ani życia innych ludzi, ani życia w ogóle. Zwykle o tym zapominamy, czego najlepszym dowodem są współczesne powieści.

Masz rację, Jamilo, wydarzenia w *Księżycu*, nawet gwałtowne, nie po to się działy, żeby wzmocnić fabułę zawiłą intrygą czy dramatycznym pościgiem. Zagadką było samo pisanie, ta dziwna i niczym nieuzasadniona potrzeba trwania przy tym, sama przyznasz, dość dziwnym zajęciu, jakim jest wymyślanie komuś imienia, wzrostu i koloru oczu, obdarzanie go życiem, losem i cechami charakteru.

Pamiętasz? Ja o pisaniu marzyłam od zawsze. Obserwowałam świat z za szyby słów, z ich pomocą usiłowałam coś określić, zrozumieć, dopowiedzieć ciągi dalsze. Świat nie istnieje bez słów, myślałam, wszystko dzieje się wewnątrz nich. Tak było i tym razem. We mnie to jedno zdanie: „Była druga w nocy” – przeczytane na blogu Ewy Marii wtedy, 12 października, przed dwoma laty – w zderzeniu z rzeczywistą chorobą Mamy, wzywaniem karetki i szpitalem, zabrzmiało nieoczekiwaną tajemnicą, obudziło chęć jej rozwikłania, dowiedzenia się, co było dalej. Ta sama „druga w nocy” u Ciebie wywołała jeśli nie lawinę, to długi ciąg całkiem innych skojarzeń, koralikowy sznur obrazów, a każdy miał swoją historię i sieć powiązań, z których musiałas mi się potem tłumaczyć.

Pisanie na odległość ma swoje dobre strony, mam wrażenie, że dzięki temu *Księżyc* zachował tajemnicę, pozostał niedopowiedziany, a przecież na tyle rzeczywisty, że obie zdomowiłyśmy się tam na dobre. Ilekroć spjrzałam na rudowłosą Jasmine w tym jej zabawnym kapelusiku, widziałam Ciebie. To dlatego, gdy poznała Oskara, odruchowo przedstawiła się Twoim imieniem.

Pomyśl, Jamilo, ta przemiana z realnych siostr w bohaterki powieści sprawiła, że na pewien czas nasze prawdziwe życie stało się bardziej skomplikowane, nasycone nowymi sprawami, nieraz wymykającymi się spod kontroli. Kim jesteśmy teraz, po tylu miesiącach ćwiczeń z bycia kimś innym, po tym jak nauczyłyśmy się z taką swobodą poruszać w rzeczywistości absolutnie nierzeczywistej? Znasz na pewno sprawę fotografii „Wrózek z Cottingley”, wykonanych przez dwie kuzynki. Najpierw okrzyknięto je wielką sensacją, potem równie wielką mistyfikacją. Ale to ani jedno, ani drugie, to czysta gra, gra wyobraźni. Jedni wiedzą, jak w nią grać, inni są tej umiejętności pozbawieni. Wszystko jest grą, pamiętasz? To miała być nasza gra, nasza zabawa w teatr, który nosiłby znamiona pewnej znanej nam, a jednak wymyślonej rzeczywistości. Jak kiedyś, gdy jako dziewczynki budowałyśmy scenę z pudełka po butach i projektowałyśmy dla księżniczek stroje z papierków po czekoladkach.

Imiona. Kim bylibyśmy, gdyby nie imiona? Jak wszystko, tak i one są grą, i jak w życiu, gra idzie o wszystko. U Bergmana głównym graczem jest Śmierć, a szachy – Losem. To mocna metafora, która mówi nam, że śmierć nie od razu wygrywa, tak jak miłość nie zawsze przegrywa. Dlatego właśnie warto grać, a sekrety do ukrycia i zagadki do rozwiązania, jeśli je mamy, to nasze asy w rękawie, szczypta emocji w ogólnym chaosie wszechrzeczy, nasza przygoda na tej Wyspie-bez-Przygód, zwanej Życiem, pozbawionej emocji odkrywców, bo z wiadomym zakończeniem. Na szczęście Bergman nie porzuca nas w „otchłani rozpaczy”, przeciwnie: podaje nam rękę, wyciąga z mroków naszych wewnętrznych rozterek i prowadzi do kina – na poziomki. A gdyby snu o poziomkowej polanie było nam jeszcze mało, za chwilę zmieni dekoracje i znów zgasi światło na widowni, jakby mówił, że w każdej kropli niewiary kryje się cień uśmiechu.

O co gramy? W filmie *Paryski blues*, z 1961 roku, Paul Newman gra jazzmana w nocnym klubie (a w ogóle – jak gra!). W pewnej chwili mówi, że jego życie jest muzyką, ponieważ muzyka jest jego życiem. W ten sposób filmowy Ram Bowen próbuje bronić własnej niezależności, przy okazji uciekając przed odpowiedzialnością, którą my, zjadacze chleba, postrzegamy jako nasz obowiązek. W *Do widzenia, do jutra*, z tego samego okresu, życie splata się z teatrem, aktorzy i grane przez nich w studenckim teatrzyku postaci uczą się chodzić po cienkiej linii, zawieszanej między rzeczywistością a marzeniem. Funkcję bergmanowskich szachów pełni tu klawiatura rozstrojonego pianina. Cybulski gra słynną melodię Komedy w taki sposób, że każda nuta przypomina krok na owej linii, spadnę, nie spadnę, a jednak spadłem, jakże boleśnie, ponieważ dziewczyna wyjechała bez pożegnania...

Ciąg dalszy, w pociągu na trasie Sylt – Niebüll – Hamburg

J.

Tak jak prosiłaś, pożegnałam „naszą” wyspę również w Twoim imieniu. W ostatnim czasie dużo się tam wydarzyło, jeszcze więcej zmieniło. Sekrety i poczucie winy nareszcie przestały ciążyć, sceny z pozoru niespójne ułożyły się w mniej lub bardziej logiczne sekwencje (nie)codzienności. Domy przetrwały wewnętrzne burze i jesienne sztormy i rodzi się nadzieja, że wyspa spokojnie doczeka kolejnej wiosny.

Jedni ludzie pojawili się na chwilę i zostali, inni wyjechali.

Domyślałam się, że chcesz wiedzieć, co z Vincentem, bo to o niego zawsze najbardziej się martwiłaś. Otóż Vincent ma się dobrze, widziałam go wczoraj w barze. Jak zwykle, pochylony nad szkicownikiem, zajęty swoimi myślami, wypłukał pędzel w kawie, a potem sięgnął po szklankę z mętną wodą, ale, na szczęście, jej nie wypił. No cóż, on się już chyba nie zmieni, i dobrze! Na jego obronę możemy powiedzieć, że nie ma doświadczenia w jednoczesnym malowaniu

i zajmowaniu się kobietami w ciąży. Podobno planują z Rose połowę roku spędzać na wyspie, a drugą w Saint-Jean-de-Marsacq, gdzie ojciec potrzebuje pomocy przy zarządzaniu winnicą. Do domu w Roseraie jednak nie zamierza wracać, tak przynajmniej twierdzi Johannes, bo Vincent oczywiście milczy na ten temat. Jak z tego widać, wbrew czarnym przewidywaniom Vincenta, ani zaprowadzone przez Rose nowe porządki w domu, ani pojawienie się rodziny nie zburzyły jego spokoju. Przeciwnie, upewniły go, że można – jakby to powiedzieć? – pozostać wycofanym, na przykład w milczenie albo malarstwo, a niekoniecznie wycofywać się z życia. Jedno sobie zastrzegł: na jego biurku nie wolno nikomu nic ruszać pod żadnym pozorem, wliczając w to odkurzanie, zmianę wody w słoikach i mycie pędzli. Poza tym nie zgłasza sprzeciwów. Zmiany i remonty, jakich podczas swojego krótkiego pobytu zdołał dokonać Nicolas – jak naprawiona furka, odmalowana kuchnia, nowe kafle w łazience czy rzędy winorośli posadzone w ogrodzie (niestety, nie na wino, tylko do jedzenia) – Vincent przyjął nawet z pewnym zadowoleniem, jako nowe motywy do malowania.

Co jeszcze? Eva i Oliver to ciekawa historia, tym ciekawsza, że wątek okazał się „rozwojowy”, chociaż jak na razie trudno to nazwać „byciem razem”. W zeszłym tygodniu spotkali się w Warszawie, a pod koniec tego tygodnia Oliver zamierza wpaść na Sylt, ale biorąc pod uwagę jego pracę, do ostatniej chwili nie będzie to pewne.

Tylko księżyc, ten paradoks wiecznej zmiany i powrotu, pozostanie taki, jaki zawsze był, daleki. W 1868 roku francuski fotograf Félix Tournachon, znany jako Nadar, podczas lotu balonem wykonał pierwsze w historii aerostatyczne fotografie Ziemi. Dokładnie sto lat później, w grudniu 1968, Apollo 8 wyruszył w podróż na Księżyc. Lot trwał trzy doby. W Wigilię Bożego Narodzenia rano, po wcześniejszym wykonaniu manewrów korygujących, załoga kapitana Franka Bormana znalazła się po Ciemnej Stronie Księżyca i weszła na okołoksiężycową orbitę. Gdyby coś poszło nie tak, poleciliby ku bezmiarowi Układu Słonecznego.

Ale udało się, i przez następnych dwadzieścia godzin Apollo 8 okrążył Księżyc dziesięciokrotnie. Podczas pierwszej transmisji telewizyjnej, ukazującej powierzchnię Księżyca, selenonauci odczytali pierwszych dziesięć wersów z Księgi Rodzaju. Na pytanie, jak tam jest, z oddali napłynęła odpowiedź: „Księżyc jest, z grubsza rzecz biorąc, szary. Nie ma kolorów, przypomina nieco gładź szpachlową lub zmoczony wodą piasek na plaży. Morze Spokoju nie wygląda tak okazale jak widziane z Ziemi. Langrenus jest wielkim kraterem i ma stożek w centrum”.

Około godziny 16:00, czasu w Houston na Florydzie, Apollo 8 właśnie po raz czwarty okrążył Księżyc i wylatywał z jego ciemnej strony, gdy nagle nad szerokim horyzontem wyłonił się jakiś kształt. Borman krzyknął: „O Boże, spójrzcie, Ziemia się zbliża”. Nie namyślając się wiele, chwycił Hasselblada

i zrobił czarno-białe zdjęcie. Uwiecznił na nim pierwsze w historii ludzkości zdjęcie Ziemi, wykonane z innego ciała niebieskiego. Jednocześnie drugi z astronautów, William Anders, szukał w popłochu kolorowej kliszy 70 mm Ektachrome Kodaka. W końcu znalazł. Drżącymi palcami załadował ją do swojego Hasselblada 500 EL, z teleobiektywem 250 mm, ustawił czas naświetlania na 1/250 sekundy, przesłone 11. Wcisnął przycisk. Była godzina 16:39, gdy Anders wykonał pierwszą kolorową fotografię Ziemi, która stała się jednym z najsłynniejszych obrazów XX wieku. Poczucie osamotnienia we wszechświecie musiało być całkowite. Do domu było tak daleko.

I tak, w chwili gdy nagle na czarnym bezmiarze nieba selenonauca ujrzeli Ziemię, powstało nowe określenie: „wschód Ziemi”. Dziś wiemy, że tak naprawdę na Księżycu nie występują wschody i zachody Ziemi, zaś z punktu, z którego zdjęcia zostały zrobione, Ziemia zawsze widziana jest pod tym samym kątem, a tylko różnie oświetlona przez Słońce. Ale zarazem wiemy, z jaką mocą nauka i poezja, na równi, działają na naszą wyobraźnię. Sprawiają, że nadajemy rzeczom imiona.

Major generał Anders wspominał potem: „Prawdę mówiąc, największe wrażenie zrobił na nas widok Ziemi. Zobaczyliśmy naszą planetę, miejsce, gdzie wzrastaliśmy. Ziemia była bardzo kolorowa, i taka ładna i delikatna w porównaniu z nierówną, chropowatą i w sumie niezbyt ciekawą powierzchnią Księżyca. Ta myśl była dla nas najbardziej poruszająca: oto przebyliśmy 240 000 mil, by ujrzeć Księżyc, a okazało się, że to Ziemia przykuła naszą uwagę”³⁷.

Już dojeżdżamy. W pociągu, oprócz mnie, jest niewielu pasażerów. Elegancka kobieta naprzeciwko, która czyta „Le Figaro”, to podobno adwokatka Yvonne, byłej żony Vincenta. Podobno, przynajmniej wyspiarze tak twierdzą, a wyspiarze, jak wiesz, są dobrze poinformowani. Dwa rzędy dalej siedzi rudowłosa dziewczyna, która dziś rano w barze u Johannesesa wydała mi resztę. Jasmine. A zatem chłopak koło niej to musi być Cyryl.

Do usłyszenia, odezwij się!

Bibianne H. Berg

PS W wigilijnej załodze Apolla 8 zwraca uwagę nazwisko jednego z selenonautów: „Anders”. W językach germańskich oznacza ono: „Inny”. Jakże znamienne.

20/21 marca 2015

zaćmienie Słońca, Superksiężyc i Equinox, wiosenne zrównanie dnia z nocą (o godz. 23:45)

Przypisy

- 1 <http://ewamaria030qra.blox.pl/2012/10/Nowy-Swiat-i-okolice.html>.
- 2 I. Bergman *Tam, gdzie rosną poziomki*, tłum. K. Młynarz, [w:] tenże, *Scenariusze*, Warszawa 1987.
- 3 Cytat z listu Oskara Wilde'a do Philipa Houghtona (1894 r.), [w:] *Nic nie mogło być inaczej. Listy Oskara Wilde'a*, tłum. i oprac. D. Piestrzyńska, Warszawa 2005.
- 4 W. Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*, Kraków 2006, s. 59.
- 5 *Jabberwocky* – fragment wiersza Lewisa Carrolla w tłumaczeniu M. Słomczyńskiego, [w:] L. Carroll, *Po drugiej stronie lustra*, tłum. R. Stiller, Warszawa 1986.
- 6 K. Demel, *Życie morza*, Gdańsk 1974.
- 7 Cyt. za: http://blog.targethealth.com/?page_id=7.
- 8 I. Bergman, *Tam, gdzie rosną poziomki*, dz. cyt.
- 9 Cytaty z filmu *Przed wschodem słońca* z Ethanem Hawke'em i Julie Delpy, w reżyserii Richarda Linklatera (1995).
- 10 Fragment wiersza *The Day Lady Died* Franka O'Hary. Cyt. za: <http://www.poetryfoundation.org/poem/171368>.
- 11 Fragment wywiadu Ingmara Bergmana, cyt. za: E. Binswanger-Stefańska, zob. www.sofijon.pl/module/article/one/376, na podstawie: <http://www.zeit.de/online/2007/31/ingmar-bergman>.
- 12 Cyt. za: https://pl.wikiquote.org/wiki/Tadeusz_Konwicki.
- 13 I. Bergman, *Sceny z życia małżeńskiego*, tłum. M. Olszańska, K. Sawicki, Poznań 1984.
- 14 F. Nietzsche, *Aforyzmy*, wybór, oprac. i wstęp S. Lichański, Warszawa 1973.

15 Jw.

16 Fragment wypowiedzi radiowej Virginii Woolf, nadanej przez Radio BBC 20 kwietnia 1937 r. (przekład własny Katarzyna Krenz). Cyt. za: <https://ebooks.adelaide.edu.au/w/woolf/virginia/w91d/chapter24.html>.

17 W. Szekspir, *Dzieła dramatyczne*, tłum. L. Ulrich, objaśnienia J.I. Kraszewski, t. V, Kraków 1895. Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Dla porównania przekład J. Paszkowskiego: *Mógłżeby cały ocean / Te krwawe ślady splukać z mojej ręki? Nie, nigdy! Raczej by ta moja ręka / Zdołała wszystkich mórz wody zrumienić / I ich zieloność w purpurę zamienić.* (tenże, *Dzieła dramatyczne*, Warszawa 1980).

18 <https://www.youtube.com/watch?v=yK-ffn6Q0k0>.

19 I. Bergman, *Tam, gdzie rosną poziomki*, dz. cyt.

20 Właściwie zdanie, napisane przez Alberta Camusa, brzmi: „*Au milieu de l’hiver, j’apprenais enfin qu’il y avait en moi un été invincible*” („W środku zimy zrozumiałem nareszcie, że jest we mnie niezwykłe lato”) i pochodzi z eseju z 1952 r. *Powrót do Tipasy* wydanego w zbiorze pt. *Zaślubiny. Lato*, Kraków 1981.

21 Cytat ze ścieżki dźwiękowej filmu I. Bergmana *Fanny i Aleksander* (przekład własny Julita Bielak).

22 K.T. Nowak, *Moja mama czarownica*, Kraków 2010.

23 J. Przybora, *Dziecko szczęścia. Listy z podróży*, Warszawa 1975.

24 Ps 29, *Biblia Tysiąclecia*.

25 Por. J. Afanasjew, *Okno Zbyszka Cybulskiego*, Warszawa 2008.

26 F. Nietzsche, *Aforyzmy*, dz. cyt.

27 J. Urbaniak, *Studenci*, [w:] P.W. Płócienniczak, W. Kałek, J. Poczta, J. Urbaniak, *Nowa Kwadryga*, Poznań – Krotoszyn 2011, s. 91.

28 S. Lem, S. Mrożek, *Listy*, Kraków 2011.

29 Fragment wywiadu, jakiego udzielił Claude Simon dla gazety „Le Monde” 8 października 1960 r., [w:] tenże, *Droga przez Flandrię*, tłum. W. Bienkowska, Warszawa 1982.

30 Oprac. na podstawie: J. Treblinka, *Ciche lata kata*, „Polityka” 2002, nr 32 (2362), s. 66.

31 Jw.

32 J. Urbaniak, *Deszcz i nostalgia*, dz. cyt.

33 I. Bergman, *Szepty i krzyki*, [w:] tenże, *Scenariusze*, dz. cyt.

34 J. Andruchowycz, A. Stasiuk, *Moja Europa*, Wołowiec 2007.

35 <http://www.muschelseide.ch/en/projekt.html>.

36 I. Bergman, *Siódma pieczęć*, tłum. K. Młynarz, [w:] tenże, *Scenariusze*, dz. cyt.

37 Por. https://en.wikipedia.org/?title=Apollo_8.

Projekt okładki
Jan Krzysztofiak

Fotografia na pierwszej stronie okładki
© Bruno Ehrs / Corbis

Fotografia Księżycy
umabatata / fotolia

Redakcja
Karolina Macios

Adiustacja
Ewdokia Cydejko

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Barbara Wójcik

Copyright © by Julita Bielak, Katarzyna Krenz
© Copyright for this edition by SIW Znak, sp. z o.o., 2015

ISBN 978-83-240-4077-3

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com

